

**Jan Guillou**

**Krzyżowcy**

**1**

**Droga do Jerozolimy**

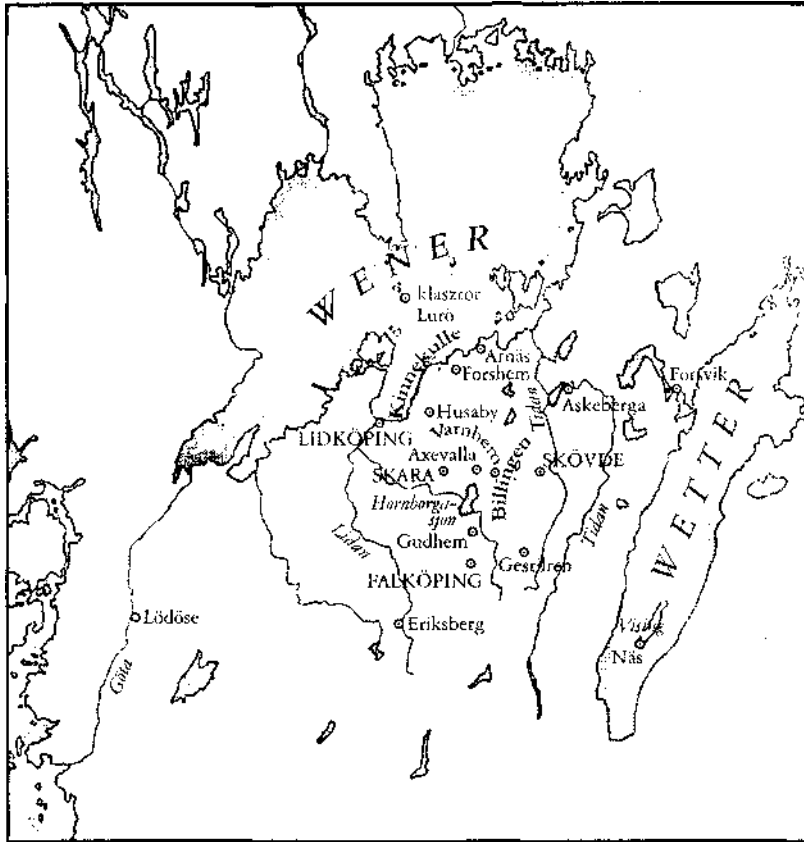
Z języka szwedzkiego przełożył

Marian Leon Kalinowski

Tytuł oryginału: *Vagen till Jerusalem*

*Drogę do piekła wybrukowano dobrymi chęciami.* Jacula Prudentum, 1651, nr 170

## Gocja Zachodnia\* (Vastra Gotaland) 1150-1250



\* W niniejszej książce na oznaczenie historycznego terytorium południowej Szwecji (w oryginale Gotland, co oznacza „kraina Gotów”) przyjęliśmy nazwę Gocja (Gocja Zachodnia - Vastra Gotaland i Gocja Wschodnia - Ostra Gotaland), od imienia Gotów -północnogermańskiego plemienia zamieszkującego niegdyś te tereny (przyp. red.).

# 1

W roku Pańskim 1150, kiedy bezbożni Saraceni — owe męty, z których powstała forpoczta Antychrysta - zadali naszym wiele klęsk w Ziemi Świętej, ku pani Sigrid zstąpił Duch Święty i zwiastował coś, co odmieniło życie tej niewiasty.

Można pewno dopowiedzieć, że tamto zwiastowanie stało się przyczyną skrócenia jej żywota. Ponad wszelką wątpliwość nigdy już nie była taką, jak przedtem. Mniej pewnym wydaje się to, co znacznie później zapisał brat Thibaud: iż owo zwiastowanie, uczynione przez Ducha Świętego wobec Sigrid, było w istocie początkiem dziejów nowego królestwa na Północy, które już do końca świata zwać trzeba Szwecją.

Działo się to w dniu świętego Tyburcjusza, uważanym podówczas za pierwszy dzień lata, w Zachodniej Gocji topniały bowiem ostatecznie lody. W Skarze nigdy nie zgromadziło się tyle ludzi, co tego właśnie dnia, bo też szło o mszę nie byle jaką. Wreszcie powinna była się dokonać konsekracja nowej katedry.

Już drugą godzinę trwały ceremonie. Procesja trzykroć okrążyła świątynię, ale w straszliwie powolnym tempie, ponieważ biskup Odgrim był człowiekiem bardzo starym i tak człapał, jakby wypadło mu wędrować po raz ostatni. Co więcej, sprawiał on wrażenie cokolwiek zakłopotanego tym, iż pierwszą modlitwę w konsekrowanej świątyni odmówił w języku rodzimym, a nie po łacinie:

*Boże, co wszystkich ochraniasz, nie będąc widzialnym, a dla zbawienia ludzi widzialną czynisz Twą władzę, obejmij swoją siedzibę i władaj tą świątynią, iżby wszyscy zgromadzeni tu gwoli modlitwy mieli od Ciebie pociechę i wspomnienie.*

I Bóg uczynił swą władzę widzialną, już to dla zbawienia ludzi, już to z innej przyczyny. Takiego spektaklu nikt wcześniej nie oglądał w całej Zachodniej Gocji, olśniewały barwy szat biskupich, jasny błękit i purpura prze-

tykanego złotem jedwabiu, oszalała woń kadzideł obnoszonych przez kanoników, słyhać też było zaiste niebiańską muzykę, jaka pewno nigdy dotąd nie brzmiała w niczyich uszach - tu, w Zachodniej Gocji. A gdy kto uniósł wzrok, mniemał, iż ujrzał niebo tuż pod dachem świątyni. Nie sposób było pojąć, jak burgundzkim i angielskim budowniczym udawało się tworzyć tak wysokie sklepienia, nie rujnując całej budowli; niechybnie gniewali Boga butnymi próbami wznoszenia gmachów aż ku Jego wyżynom.

Pani Sigrid była praktyczną niewiastą. Właśnie dlatego niektórzy posadzali ją o hardość. Sigrid niechętnie podjęła uciążliwą podróż do Skary, lato bowiem nastąpiło wcześniej i grzęzło się w drodze, a prócz tego odczuwała niepokój na myśl, że w stanie błogosławionym czekała ją jazda powozem, w którym mogła się spodziewać nagłego unoszenia z miejsca, wstrząsów, podrzucania. Bardziej jednak, niż czegokolwiek innego w swym doczesnym żywocie, obawiała się pani Sigrid bliskich już narodzin jej drugiego dziecięcia. A dobrze wiedziała, że konsekracja katedry wymaga wielu godzin wystawiania na zimnej kamiennej podłodze i co pewien czas klękania w modlitwie, co w jej stanie było udręką. Zapewne lepiej niżli większość wielmożów i magnackich córek wokół niej poznała Sigrid wiele kościelnych reguł. Nie nabyła wszakże tej wiedzy przez swą wiarę czy też dobrowolnie. Gdy liczyła sobie szesnaście lat, jej ojciec, który miał pewno dobre intencje, spostrzegł się, iż okazywała ona norweskiemu krewnemu nazbyt niskiego urodzenia nadmierne zainteresowanie, które mogłoby doprowadzić do czegoś, co powinno występować tylko w małżeństwie, jak sam cierpkim tonem wyjaśnił istotę problemu. Sigrid została na pięć lat posłana do jednego z norweskich klasztorów, skąd nigdy by się chyba nie wydostała, gdyby nie odziedziczyła majątku po bezdzietnym wuju ze Wschodniej Gocji, stając się przez to panną zasługującą raczej na wydanie za mąż niż na przetrzymywanie w klasztorze.

Wiedziała więc Sigrid, kiedy stać i padać na klęczki, kiedy powtarzać rozpoczynane przez któregoś ze stojących na przedzie biskupów „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”, kiedy zaś modlić się własnymi słowami. Za każdym razem, gdy wypadło modlić się po swojemu, prosiła o zachowanie przy życiu.

Trzy lata wcześniej obdarzył ją Bóg synem. Rodziła go przez dwie doby i dwakroć wzeszło i skryło się słońce, póki ona, w bólu, ociekała potem i strachem. Wiedziała wtedy, że czeka ją śmierć, i w końcu pojęły to wszystkie poczciwe niewiasty, które jej pomagały. Posłały do Forshem po księdza i od niego otrzymała Sigrid absolicję oraz ostatnie namaszczenie.

Nigdy więcej - taką miała wtedy nadzieję. Nigdy więcej bólu i śmiertelnego przerażenia - o to modliła się teraz. Sigrid była w pełni świadoma tego, że myślała samolubnie. Tak przecież się działo, iż niewiasty umierały w poło-

gu, i tak musi być, że narodzinom człowieka towarzyszy ból. A jednak Sigrid odważyła się prosić Najświętszą Panią o to, by właśnie ją zechciała oszczędzić, i swe obowiązki małżeńskie starała się wypełniać tak, iżby nie wynikł nowy połów. Żył przecież ich syn, Eskil, chłopczyk zdrowy i krzepki, wyposażony we wszystkie umiejętności, jakie dzieci powinny posiadać.

Najświętsza Panię ukarała ją oczywiście. Człowiek winien zaludniać świat, jakże więc można oczekiwać wysłuchania modlitwy, w której prosi się o to właśnie, by móc się uchylić od odpowiedzialności za owo dzieło? Sigrid była pewna, że czekały ją nowe męki. Niejeden raz prosiła jednak teraz o to, żeby uszło jej płazem.

Aby przynajmniej złagodzić znacznie mniejszą, błahą mękę, jaką było stanie i padanie na klęczki przez wiele godzin, podnoszenie się z klęczek i rychłe ponowne padanie na kolana, kazała Sigrid ochrzcić swą niewolnicę, Sot, by zabrać ją ze sobą do domu Bożego, mieć ją obok i wspierać się na niej, gdy trzeba będzie wstawać i klękać. Wielkie czarne oczy Sot były szeroko otwarte, przypominały oczy przerażonego konia, bo też przeraziło ją wszystko, co ujrzała, i jeśli dotąd nie była prawdziwą chrześcijanką, to właśnie wówczas stała się nią zapewne.

Trzy rzędy ludzi dzieliły Sigrid od króla Sverkera i królowej Ulvhild, którzy czuli brzemień swych lat i dlatego było im coraz ciężiej wstawać i padać na klęczki bez nadmiernego stękania czy też niestosownych dźwięków z tylnej części ciała. Sigrid przybyła wszakże do katedry przez wzgląd na nich właśnie, mniej zaś przez wzgląd na Boga. Król Sverker niezbyt poważał jej koligacje norweskie i zachodniogockie czy też norweskie koneksje jej małżonka i tegoż spokrewnienie z dynastią Folkungów. I oto teraz, w podeszłym wieku zwątpił król i zaniepokoił się, czy po tym życiu doczesnym istotnie czekał go pomyślny żywot w zaświatach. Nieobecność na wielkim, miłym Bogu obrzędzie konsekracji katedry, z udziałem króla, mogłaby zostać opacznie zrozumiana. Jeśli mąż czy niewiasta poróżni się z Bogiem, to pewno zdoła się z nim pojednać. Czymś gorszym, jak sądziła Sigrid, byłoby poróżnienie się z królem.

Ale w trzeciej godzinie mszy zaczęła Sigrid odczuwać zawroty głowy i coraz trudniej przychodziło jej wciąż padać na klęczki i podnosić się z nich, a dziecię w jej łonie kopało i wierciło się coraz bardziej, jakby chciało zaprotestować. Sigrid odniosła wrażenie, że połyskliwa bladożółta podłoga z wapienia zakolysała się pod nią i zaczęła pękać, jak gdyby miała się rozstąpić i nagle ją pochłonać. I wtedy pozwoliła sobie Sigrid na coś niesłychanego. Reżolutnie, szeleszcząc jedwabiem, podeszła do prostej bocznej ławki, która znajdowała się daleko od niej, i usiadła. Wszyscy to dostrzegli, król też.

W tej samej chwili, gdy Sigrid z ulgą opadła na krótką ławkę przy ścianie świątyni, do bocznej nawy wkroczyli mnisi z Luró. Sigrid otarła lnianą chusteczką czoło i twarz, po czym skinęła na syna, który stał obok Sot, żeby dać mu otuchy.

I oto bracia zakonni zaintonowali jakąś pieśń. Wcześniej w milczeniu i z pochylonymi głowami, jakby pogrążeni w modlitwie, przeszli środkiem katedry i ustawili się na wprost ołtarza, od którego odstepili zaraz biskupi i ich pomocnicy. Najpierw rozległ się tylko słaby, przytłumiony szmer, potem zaś rozbrzmiały nagle wysokie chłopięce głosy - cóż, niektórzy spośród braci z Luró mieli kaptury brunatne, a nie białe, i okazali się ponad wszelką wątpliwość małymi chłopcami, których głosy unosiły się niczym jasne ptaki ku rozległemu sklepieniu, a gdy dotarły tak wysoko, że wypełniły całą tę ogromną przestrzeń świątyni, usłyszano przytłumione męskie głosy mnichów, którzy śpiewali to samo i nie to samo. Sigrid słyszała już kiedyś śpiew na dwa i trzy głosy, tu zaś było ich co najmniej osiem. Zakrawało to na cud, na coś, co nie mogłoby się wydarzyć, bo przecież już nawet trójgłos bardzo trudno było osiągnąć.

Znużona Sigrid wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w miejsce owego cudu, słuchając całym swoim jestestwem, całym ciałem, w napięciu, które sprawiło, że zaczęła drżeć, a prócz tego zrobiło się jej ciemno przed oczyma i niczego już nie widziała, a tylko słyszała, co stawało się jednak możliwe także dzięki wysiłkowi oczu. Odnosiła wrażenie, że sama znika, że przemienia się w dźwięki, w cząstki owej świętej muzyki, piękniejszej niż jakakolwiek inna w jej doczesnym życiu.

Po chwili Sigrid oprzytomniała, poczuła bowiem, że ktoś ujął jej dłoń, a gdy uniosła wzrok, zobaczyła przed sobą króla Sverkera we własnej osobie.

Król przyjaznym gestem pogłaskał jej rękę i z ironią w głosie podziękował za to, że on, który przecież faktycznie był starcem, potrzebował zachęty ze strony niewiasty w stanie odmiennym, na tyle śmiałej, by dać przykład i usiąść. Co wolno niewieście w błogosławionym stanie, to wolno i królowi - stwierdził. Choć odwrócenie kolejności nie zrobiło, ma się rozumieć, dobrego wrażenia.

Sigrid powściągnęła chęć opowiedzenia o tym, że właśnie do niej przemówił Duch Święty. Uznała, iż taką opowieść poczytano by za puszenie się, a tego wszak jest dość w życiu królów, póki ich ktoś nie skróci o głowę. Opowiedziała natomiast, i to mocno przyciszonym głosem, z czym właściwie przybyła.

Wynikł - co król pewno już wiedział - spór o jej sukcesję w Varnhem. Jej kuzynka Krystyna, która niedawno poślubiła wysoko mierzącego Eryka Je-

dvardssona, rości sobie prawo do połowy majątku. Tymczasem wszak zakonnikom z Luró potrzeba siedziby w okolicy, w której nie wiałyby tak silne wiatry. Wszystkim wiadomo, że tam, gdzie są, uprawiali dotąd ziemię w znacznej mierze daremnie, wszelako nic w tym złego, iż król Sverker wspałaomyślnie podarował im Luró. A gdyby teraz ona, Sigrid, przekazała cystersom w darze Varnhem, niechby król raczył pobłogosławić ten dar i uznać go za prawomocny, przez co cały problem zostałby rozwiązany. Na czymś takim zyskaliby wszyscy.

Sigrid mówiła szybko, cicho i nie bez trudu, jeszcze z sercem bijącym mocno po tym, co ujrzała pośród niebiańskiej muzyki, gdy mrok przemienił się w światłość.

Król sprawiał w pierwszej chwili wrażenie cokolwiek zaskoczonego, bo raczej nie przywykł do tego, by mężczyźni w jego otoczeniu odzywali się doń w tak mało dworny sposób, bez ogródek. A co dopiero niewiasty...

- Moja droga Sigrid, jesteś niewiastą błogosławioną pod niejednym względem - wyrzekł w końcu, mówiąc powoli i znów ujmując jej dłoń. - Jutro, gdy już wyśpimy się w pałacu po dzisiejszej uczcie, wezwę do siebie ojca Henri i wszystkiego dopełnimy. Jutro, a nie teraz. Nie przystoi wszak, byśmy tu bardzo długo siedzieli i rozmawiali szeptem.

Tak więc Sigrid jednym gestem wyzbyła się swojego dziedzictwa - Varnhem. Żaden mąż i żadna niewiasta nie złamie słowa danego królowi, tak jak ów nigdy nie złamie swojego słowa. Niepodobna było cofnąć tego, co uczyniła Sigrid.

Ale świadczyło to także o praktycznym podejściu - przyznała to sama, kiedy nieco ochłonęła. Jak widać, Duch Święty potrafi być istotą praktyczną i wyroki Opatrzności nie zawsze są niepoznawalne.

Varnhem i Arnas dzieliła odległość pokonywana konno w nie mniej niż dwa dni, przy czym ta pierwsza posiadłość znajdowała się w pobliżu Skary, niezbyt daleko od rezydencji biskupa, wzniesionej też obok góry Billingen. Arnas było zaś majątkiem położonym na wschodnim brzegu jeziora Wener, nieopodal góry Kinnekulle, gdzie kończyła się kraina Sunnanskog, a swój początek brała kraina Tiveden. Varnhem stanowiło posiadłość nowszą, w stanie o wiele lepszym, i dlatego Sigrid chciała spędzić tam najzimniejszą porę, tym bardziej, że zbliżał się straszny czas porodu. Magnus, jej mąż, pragnął, aby za swą siedzibę obrali jego ojcowiznę, Arnas, ona zaś wołała Varnhem i nigdy nie umieli dojść do zgody co do tego. Zresztą nie udawało im się też rozmawiać o owej sprawie tak przyjaźnie i z taką ciepłością, jak przystało na małżonków.

Dwór w Arnas wymagał pewnych napraw i przebudowy. Posiadłość ta



ciągnęła się wzdłuż lasu i graniczyła z ziemią niczyją, w sporej części własnością ogółu i po części królewszczyzną, z ziemią, którą można było wydzierzać albo kupić. Wiele dałoby się poprawić w Arnas, zwłaszcza jeśliby Sigrid przeniosła tam całą niewolną służbę z Varnhem.

Niezupełnie to właśnie miał na myśli Duch Święty, kiedy uczynił zwiastowanie wobec niej. Wizja, jaka jej się ukazała, nie była jednoznaczna, ujrzała ona bowiem stado bardzo pięknych koni o barwach, które swym lśnieniem przypominały macicę perłową. Owe konie pędziły ku niej przez łąkę pełną kwiecica, ich grzywy były nieskazitelnie białe, a ogony uniesione butnie, ich ruchy zaś swawolne i sprężyste, jakby kocie. Przyjemnie było patrzeć na wszystkie te zwierzęta ani dzikie, ani wolne, bo przecież miała przed sobą własne konie. I skądś spoza owych koni swawolnych, narowistych, nieosiodłanych, ukazał się młodzian na rumaku srebrzystej maści, również z białą grzywą i wysoko sterczącym ogonem, i Sigrid ni to знаła owego młodzieńca, ni to jednak go nie znała. Jechał z tarczą, ale bez hełmu. Herbu na tarczy nie rozpoznała Sigrid, jako że nie należał do nikogo spośród krewnych jej samej czy też jej małżonka, a była to tarcza całkiem biała z wielkim krwawym krzyżem pośrodku i z niczym ponadto.

Młodzieniec zatrzymał konia tuż przed nią i przemówił do niej, i Sigrid usłyszała wszystkie słowa, zrozumiała je także, ale przecież nie pojęła ich. Wiedziała wszakże, iż to, co mówił młodzian, oznaczało, że winna była ofiarować Bogu dar najbardziej podówczas potrzebny w kraju podległym władzy króla Sverкера - dobre miejsce na siedzibę braci zakonnych z Luró.

Sigrid napatrzyła się na tych mnichów, kiedy truchtem wychodzili na zewnątrz po swym długim występie. Nie wydawali się bynajmniej przejęci cudem, który spowodowali, można by raczej sądzić, że mieli za sobą kolejną zmianę jako robotnicy w jakichś zachodniogockich kamieniołomach, że nade wszystko myśleli o wieczornym wypoczynku. Przedtem gawędzili trochę i drapali czerwoną wysypkę, którą niejeden miał na niedbale wygolonym ciemieniu. U wielu spośród nich skóra na policzkach i karkach była obwisła. W Luró żyło im się niezbyt dostatnio, to mógł dostrzec każdy, kto chciał, i zapewne zima nie była dla nich łaskawa. Nietrudno więc przychodziło pojąć wolę Bożą i ci, co potrafili wyśpiewać cud, musieli uzyskać lepszą siedzibę, gdzie mogliby mieszkać i pracować. A Varnhem było miejscem bardzo dobrym.

Ledwo Sigrid znalazła się poza katedrą, na schodach, zimne, orzeźwiające powietrze sprawiło, że zaczęła myśleć klarownie i nagle, jakby natchniona przez Ducha Świętego, uświadomiła sobie, w jakich słowach przedstawić wszystko małżonkowi, który szedł naprzeciw niej z płaszczami obojga na ręku, przedzierając się przez cizbę. Sigrid przyglądała mu się z dyskretnym uśmiechem na

twarży, już całkiem ufna. Miała go za łagodnego małżonka i troskliwego ojca, choć, jej zdaniem, nie zasługiwał na głęboki szacunek czy podziw. Aż nie chciało się wierzyć, że faktycznie był wnukiem człowieka o zgoła przeciwnym usposobieniu, energicznego jarła, którego zwano Grubym Folke. Magnus był szczupłym mężczyzną i nie wyróżniałby się niczym w tłumie, jeśliby nie miał na sobie cudzoziemskiego odzienia.

Gdy stanął przed nią, pokłonił się i poprosił, by sama poniosła odzienie, które należało do niej, a sam włożył na siebie swój błękitny płaszcz, podszyty futrem kuny, ze srebrną norweską sprzączką, którą spiął go pod szyją. Później pomógł małżonce, delikatnymi rękoma, które nie były rękami wojownika, dotknął - badawczym gestem - jej czoła i spytał, jak, pomimo błogosławionego stanu, zdołała wytrzymać tak długi hymn na chwałę Bożą. Odparła, iż nie sprawiło jej to trudności, bo zabrała ze sobą Sot, by mieć w niej oparcie, a ponadto dane jej było dostąpić objawienia Ducha Świętego; opowiedziała o tym takim tonem, jakiego używała zazwyczaj, kiedy nie mówiła poważnie, a Magnus przyjął z uśmiechem to, co wydało mu się jednym z wielu żartów małżonki i rozejrzał się potem za sługą, który niósł z kruchty jego miecz.

Kiedy Magnus wsunął miecz pod płaszcz i zaczął go tam mocować, oba jego łokcie wypięły płaszcz i sprawiły, że stał się szeroki w barach, że zyskał tak potężną posturę, jakiej - jej zdaniem - nie miał.

Po chwili posłużył małżonce ramieniem i zapytał, czy nie zechciałaby pospacerować po rynku, który rozpościerał się przed nimi.

Pani Sigrid pospieszyła odpowiedzieć, że chętnie cokolwiek rozprostuje kości, skoro już nie musi ciągle padać na kolana, a jej małżonek skwitował ten śmiały żart niepewnym uśmiechem, i dodała, że zabawiliby ją ci wszyscy kuglarze, których zaprosił król; pośrodku rynku występowali frankońscy akrobaci oraz połykacz ognia, grano na fujarkach i skrzypcach, a od jednego z wielkich namiotów docierał przytłumiony odgłos bicia w bębny.

Magnus i Sigrid precyzyjnie przeszli ostrożnie przez ciżbę, w której szlachetnie urodzeni uczestnicy mszy zmieszali się z pospólstwem i ludźmi niewolnymi. Nieco później Sigrid zaczerpnęła powietrza i jednym tchem wypowiedziała wszystko bez ogródek.

- Magnusie, mój drogi małżonku, ufam, że potrafisz zachować się po męsku, spokojnie i godnie, gdy usłyszysz, com właśnie uczyniła - zaczęła i znów zaczerpnęła powietrza, po czym szybko podjęła temat, zanim on zdążył odpowiedzieć. - Przynależało królowi Sverkerowi, iż podaruję Varnhem cyster som z Luró. Słowa danego królowi nie mogę cofnąć, odwołać go nie sposób. Jutro spotkamy się z nim w pałacu, aby spisać to i przypieczętować.

Jak oczekiwała, jej małżonek stanął nagle i najpierw przyjrzał się badaw-

czo twarzy Sigrid, szukając uśmiechu, który towarzyszył zazwyczaj jej całym osobliwym żartom. Ale szybko pojął, że mówiła zupełnie poważnie i wtedy zapalał tak silnym gniewem, iż pewno po raz pierwszy uderzyłby ją, gdyby nie przebywali właśnie wśród krewnych, nieprzyjaciół i całego tego motłochu.

- Czyś ty postradała zmysły, niewiasto? Gdybyś nie odziedziczyła Yarnhem, dalej mieszkałabyś w klasztorze. Wszak Varnhem stało się przyczyną naszego ożenku.

W ostatniej chwili zapanował nad sobą i mówił odtąd cicho, przez mocno zaciśnięte zęby.

- Tak, to zaiste słuszne słowa, mój drogi małżonku - odpowiedziała Sigrid, cnotliwie spuściwszy wzrok. - Gdybym nie odziedziczyła Varnhem, twoi rodzice wybraliby dla ciebie inną partię. To prawda, że w takim przypadku byłabym teraz pokutnicą, ale prawdą jest też, iż Eskila i tego nowego dziecięcia, które noszę pod sercem, nie byłoby bez Varnhem.

Magnus nie odpowiedział. Nazbyt pewno bił się z myślami, by móc składnie mówić. W tejże chwili podeszła do nich Sot z ich synem Eskilem, który zaraz podbiegł do matki, ujął jej dłoń i zaczął szybko i głośno opowiadać o wszystkim, co zobaczył w katedrze. Przedtem musiał długo milczeć i zachowywać spokój, a teraz mówił tak, iż jego słowa płynęły jak woda po wiosennym otwarciu zapory, niepowstrzymanym potokiem.

Magnus wziął syna na ręce i pełnym miłości gestem pogłaskał po głowie, zarazem przypatrując się swej ślubnej małżonce wzrokiem, który świadczył o czymś innym niż miłość. Ale nagle postawił chłopca na ziemi i nieomal opryskliwie polecił, by Sot zabrała ze sobą Eskila na występy wagantów, i oznajmił, że niebawem znowu się wszyscy spotkają. Zdziwiona Sot ujęła rękę chłopca i zabrała go, choć nie był z tego zadowolony i stawiał opór.

- Wiesz jednak także, mój drogi małżonku - nie omieszkała zaraz odezwać się Sigrid, aby samodzielnie pokierować przebiegiem rozmowy i nie dopuścić do tego, by Magnus zapalał niepotrzebnym, bezsensownym gniewem - iż pragnęłam otrzymać Varnhem w ślubnym prezencie, choć ja to odziedziczyłam, i został ów dar potwierdzony aktem z pieczęcią, tak więc otrzymałam właściwie niewiele ponad ten płaszcz, który mam na sobie, i jakieś złote ozdoby.

- Tak, to prawda - markotnie odpowiedział Magnus. - Mimo wszystko Varnhem stanowi jedną trzecią naszego majątku, trzecią część, której oto pozbawiłaś Eskila. Nie potrafię pojąć, dlaczegoś uczyniła coś takiego, choć oczywiście miałaś prawo tak postąpić.

- Idźmy z wolna ku wagantom i nie stójmy tutaj, abyśmy nie wyglądali na takich, co się na siebie pogniewali, a ja w drodze wszystko objaśnię - zaproponowała Sigrid i zachęciła go, żeby ujął jej ramię.

Magnus, zakłopotany sytuacją, rozejrzał się, uznał, że Sigrid ma rację, zmusił się do uśmiechu i wziął ją pod rękę.

- Tak - powiedziała po chwili Sigrid, cedząc słowa. - Zacznijmy od spraw doczesnych, od tego, co jest teraz w twych myślach najważniejszą kwestią.

Ma się rozumieć, całą służbę i ludzi niewolnych zabiorę ze sobą do Arnas. Wprawdzie Varnhem ma najlepsze budynki, ale Arnas istnieje po to, by-

śmy mogli budować od podstaw, tym bardziej teraz, gdy przybyło nam rąk do pracy. Uzyskamy w taki oto sposób lepszą siedzibę, zwłaszcza w zimie. Więcej służby oznacza większą liczbę beczek solonego mięsa i więcej skór, które będziemy mogli posyłać łodzią do Lódóse, wszak zależy ci na tym, żeby handlować z Lódóse, a będąc w Arnas, łatwo to czynić i zimą, i latem, w Varnhem zaś nie byłoby raczej takiej możliwości.

Magnus szedł obok niej w milczeniu, pochylony do przodu, Sigrid widziała jednak, że się uspokoił i zaczął słuchać z zainteresowaniem, i pojęła, iż obejdzie się bez ostrej wymiany słów; całą przyszłość widziała tak klarownie, jak gdyby wcześniej długo wszystko rozważała, choć ów pomysł zrodził się niespełna godzinę temu.

Więcej skór i beczek z solonym mięsem, które wysyłałiby do Lódóse, oznaczało więcej srebra, to zaś oznaczało większe zasiewy. Większe zasiewy znaczyły, iż więcej ludzi niewolnych mogło uzyskać wyzwolenie przez uprawę nowych pól, iż można było wypożyczać ziarno na siew, co zwracałoby się w dwójnasób żytem, które byłoby wysyłane do Lódóse i wymieniane na więcej srebra. I można by wtedy zadbać o umocnienia, o których Magnus myślał od dawna, bo przecież Arnas było miejscem trudnym do obrony, zwłaszcza zimą, w porze lodów. Skupiwszy siły w Arnas, zamiast rozpraszać je przez utrzymywanie w dwóch miejscach, mogli wkrótce się wzbogacić, dzięki tylu świeżo uprawionym polom wejść w posiadanie większych połaci ziemi, zyskać cieplejszy i bezpieczniejszy dom i pozostawić Eskilowi większe dziedzictwo.

Gdy już wydostali się oboje z tłumu (a przeciskali się z pewnością siebie, bez ceregieli), Magnus stał długo w milczeniu, pogrążony w myślach. Postępując, nadeszła Sot z małym Eskilem na ręku, którego niosła wysoko przed sobą, aby ludzie zobaczyli jego odzienie i pojęli, że i on miał prawo się przecisnąć, i oto chłopiec zeskoczył na ziemię i stanął przed matką, która łagodnym gestem dotknęła rękoma jego ramion, pogłaskała go po policzku i poprawiła czapkę z piórami.

Oglądani przez nich waganci mieli na sobie zabawne, bardzo kolorowe stroje, zaś na nogach i przegubach rąk dzwoneczki, których dźwięk towarzyszył wszystkim ruchom tych artystów. Właśnie w owym momencie wznieśli oni wysoką wieżę, złożoną tylko z ludzi, a najwyżej, samotny na jej szczycie, znalazł się bardzo mały chłopczyk, pewno ledwie z rok starszy od Eskila.

Tłum krzyczał głośno, przejęty strachem i zachwycony, a Eskil wciąż wskazywał wagantów i zapewniał, że chciałby zostać jednym z nich, co jego ojciec skwitował zaskakująco serdecznym śmiechem. Sigrid przyjrzała mu się ostrożnie i pomyślała sobie, że ów śmiech oznaczał, iż niebezpieczeństwo minęło.

Magnus wychwycił jej dyskretne spojrzenie i na jego twarzy pozostał już uśmiech, gdy on sam się pochylił i pocałował Sigrid w policzek.

-Jesteś doprawdy niewiastą godną podziwu, Sigrid - wyszeptał bez gniewu. - Przemyslałem to, co mówiłaś, i we wszystkim przyznaję ci rację. Jeżeli skupimy wszystkie nasze siły w Arnas, to wzbogacimy się, i czy jakkolwiek kupiec mógłby mieć lepszą i wierniejszą małżonkę, niż ty nią jesteś?

Sigrid nie omieszkała ze spuszczoneym wzrokiem odpowiedzieć, że żadnej niewieście nie mógłby się trafić lepszy i wyrozumialszy małżonek niż on. Ale po chwili uniosła wzrok, z powagą spojrzała mu w oczy i dodała, że faktycznie dostała w katedrze objawienia i że wszystkie jej myśli pochodziły pewno od samego Ducha Świętego, także te rozsądniejsze, które dotyczyły gospodarstwa.

Twarz Magnusa wyrażała niejake niezadowolenie, jakby niedowierzenie, można by prawie pomyśleć, że śmieszyła go świętość; oboje wiedzieli jednak, że jego wiara była o wiele głębsza niż wiara Sigrid. Lata spędzone w klasztorze bynajmniej nie uczyniły jej korniejszą.

Gdy waganci zakończyli występy i odeszli ku namiotowi, w którym podawano piwo, aby za darmo raczyć się i tym trunkiem, i dobrze przyrządzoną pieczenia, na co sobie zasłużyli, Magnus wziął syna na ręce, po czym razem z Sigrid u swego boku i w towarzystwie Sot, która przez respekt szła o dziesięć kroków za nimi, udał się w kierunku bramy miejskiej; po tamtej stronie muru czekała przy powozie ich służba. W drodze mówiła Sigrid o objawieniu, którego dostała. Opowiadała rozumnie i w wielu słowach, gdyż chciała także wyjaśnić, jak należało pojmować treść świętego przesłania.

Pierwszy poród byłby ją niemal pozbawił życia i Najświętsza Matka Boska uratowała ją i Eskila już na progu śmierci. A wiadomo wszak, iż po jednym ciężkim położu następuje drugi taki sam, i czas tego drugiego był już bliski. Ale przekazawszy w darze Varnhem, zapewniła sobie Sigrid niemało modlitw w swojej intencji, i to z ust ludzi, którzy niechybnie potrafili wiele ich odmawiać. I ona, i jej nowe dziecię powinni pozostać przy życiu.

Ważniejsze jednak było, ma się rozumieć, to, iż połączone rody Magnusa i Sigrid staną się potężniejsze dzięki wzbogaceniu rozbudowanej i umocni nej po

siadłości Arnas Sigrid nie miała tylko pewności co do tego, kim mógł być ów młodzian na koniu srebrzystej maści z obfitą białą grzywą i arogancko sterczącym, bardzo długim białym ogonem. Tamten młodzian nie mógł raczej nadjechać na narowistym koniu, dzierżąc tarczę przy ramieniu.

Zaintrygował ten problem także Magnusa, który po chwili zastanowienia zaczął wypytywać Sigrid o wielkość owych koni i sposób, w jaki się poruszały. Stwierdził potem, że nie ma w ogóle takich koni i ze zdziwieniem w głosie spytał, co Sigrid miała na myśli, kiedy mówiła o krwawym krzyżu na tarczy. Musiał to pewno być czerwony krzyż, a skąd mogła wiedzieć, że znalazła się na nim krew, nie zaś po prostu czerwona farba.

Sigrid odparła, że po prostu to wiedziała. Krzyż był czerwony, ale właśnie od krwi. Tarcza była całkiem biała. Odzienia młodzieńca nie widziała zbyt dobrze, bo jego tors przesłaniała tarcza, na pewno jednak miał na sobie białą szatę. Białą jak u cystersów, ale nie był to bynajmniej mnich, skoro dzierżył tarczę wojownika. I prawdopodobnie nosił kolczugę pod odzieniem.

Zamyślony Magnus zapytał o kształt i wielkość tarczy, a gdy usłyszał, że była w kształcie serca i ledwo przykrywała pierś, pokręcił z niedowierzaniem głową i oświadczył, że nigdy nie widział podobnej. Tarcze bywają duże i okrągłe, jak te, z którymi dawniej ruszano w bój, albo wydłużone i trójkątne, aby wojom było łatwiej się poruszać, kiedy przychodziło stawać w ordynku. Tak mała tarcza jak ta, którą Sigrid widziała w czasie objawienia, raczej przeszkadzałaby niż chroniła, gdyby trzeba było używać jej w walce.

Będąc zwyczajnym człowiekiem, niepodobna jednak pojąć wszystkiego, co zostało objawione. Wieczorem zaś mieli oboje modlitwą wyrazić Matce Bożej wdzięczność za to, iż okazała im swą łagodność i zrozumienie.

Sigrid odetchnęła - poczuła wielką ulgę i uspokoiła się. Najgorsze miała za sobą, pozostawało tylko umiejętnie poprowadzić rozmowę ze starym królem, aby ten nie zwiódł jej, przekazując dar tylko w swoim imieniu. Odkąd się postarzał, coraz usilniej dbał o wielką liczbę modlitw w swej intencji, a nawet ufundował już dwa klasztory, aby to sobie zapewnić. Wiedzieli o tym wszyscy, i przyjaciele, i wrogowie króla.

\* \* \*

Wypiwszy ponad miarę, król Sverker czuł się okropnie i był wściekły, kiedy Sigrid i Magnus weszli do wielkiej sali pałacu, gdzie monarchę czekało podjęcie niejednej decyzji w rozmaitych kwestiach: jak pojmanych w przeddzień na rynku

złodziei pozbawić życia - czy tylko ich powiesić, czy pierwej poddać także torturom - ale i co do sporów o ziemię i sukcesję, których nie potrafił rozstrzygnąć zwyczajny *ting*\*.

Opryskliwość króla brała się, i owszem, z kociokwiku, ale o wiele gorzej podziałała nań otrzymana tego dnia wiadomość, że jego niegodziwy syn, który przyszedł na świat jako przedostatni, dopuścił się ohydnej zdrady wobec niego. Ów królewicz Jan wybrał się był na łupieżczą wyprawę do duńskiej prowincji Halland i samo to nie było zbyt groźne. Tak poczynali sobie synowie wielmożów, kiedy woleli igrać z własnym życiem zamiast grać w kości. Jan okłamał jednak ojca co do dwóch niewiast, które pojmał i przywiózł do kraju. Mówiąc niejednoznacznie, powiedział coś, co pozwalało mniemać, że porwał do kraju jakieś mało ważne cudzoziemki. Ale oto nadeszło pismo od duńskiego króla, które niestety przedstawiało sprawę całkiem inaczej i w sposób niepozostawiający wątpliwości. Owymi dwiema niewiastami okazały się małżonka jednego z jarłów duńskiego króla i jej siostra. Szło więc o afront i niecny występki, o taki czyn, który kto inny niż królewicz natychmiast przypłaciłby życiem. Jan naraził oczywiście obie niewiasty na hańbę.

O nie wystarczyło odesłać je w takim stanie, w jakim zostały porwane. Należało, i to nieuchronnie, sypnąć srebrem, a w najgorszym przypadku można było się spodziewać wojny.

Król Sverker i najbliżsi mu dworacy czynili taki rwetes, że ktokolwiek był w wielkiej sali, rychło usłyszał całą prawdę. Żadnych wątpliwości nie miał nikt co do tego tylko, że niewiasty należało odesłać. Ale na tym zgodność poglądów wyczerpywała się. Niektórzy twierdzili, że płacąc srebrem okazano by słabość i mogłoby to skłonić duńskiego króla Svena Grate do wyprawy wojennej, grabieży i podbojów.

Inni byli zdania, że taniej będzie sypnąć srebrem niż narazić się na wojnę - ktokolwiek miałby w niej zwyciężyć - i grabieże.

Po długich swarach, gdy już padło wiele słów, znużony król westchnął i zwrócił się nagle do ojca Henri z Clairvaux, który siedział z przodu w owej sali i czekał na rozpatrzenie sprawy daru dla mnichów z Luró. Siedział on z pochyloną głową, jakby się modlił, zasunawszy wcześniej spiczasty biały kaptur na czoło, przez co nikt nie widział, czy w rzeczywistości był pogrążony w modlitwie, czy raczej spał. I oto okazało się, że pewno jednak spał.

\* *Ting* - zgromadzenie ludowe, które miało kompetencje prawodawcze i sądownicze (przyp. tłum.).



Tak czy inaczej, nie pojął ojciec Henri istoty zażartego sporu, a gdy odpowiedział na królewską indagację, nikt nie zrozumiał jego słów, wyrzeczonych pewno po łacinie, bo rodzimej mowy nie przypominały. Innych duchownych nie było w pobliżu, skoro rozstrzygnięcia wymagały głównie kwestie świeckie i przyziemne. Rozsierdzony król rozejrzał się po sali i, czerwony na twarzy, zażądał, by czym prędzej zjawił się jakiś kiep, który pojąłby tę okropną, wykwinną mowę klechów.

Sigrid dostrzegła od razu swoją szansę, podniosła się i z pochyloną głową przeszła naprzód, po czym z szacunkiem złożyła ukłon, wpierw przed królem Sverkerem, a następnie przed ojcem Henri.

- Chętnie ci usłużę, królu - powiedziała i stojąc oczekiwała potem jego decyzji.

- Skoro nie ma tu żadnego męża, niechaj tak będzie! Idzie mi o to, iż nie ma tutaj żadnego męża, który władałby tą mową - z westchnieniem rzekł znużony król. - I jak to możliwe, że ty to potrafisz, moja droga Sigrid? - zapytał o wiele łagodniejszym tonem król.

- Ze wstydem muszę wyznać, że w czas mej nauki w klasztorze naprawdę dobrze opanowałam tylko łacinę - odpowiedziała cicho Sigrid z poważną i skruszoną miną, a jedynym mężczyzną w owej sali, który mógłby się domyślić figlarnego uśmiechu, kiedy to mówiła, był jej małżonek, Magnus. Wszak często mówiła tak, iż słowa przeczyły intencji.

Natomiast król nie dopatrywał się żadnej drwiny ze świętych spraw i nie omieszkał *poprosić* Sigrid, by usiadła obok ojca Henri, objaśniła zakonnikowi sytuację i zapytała o jego zdanie w tej materii. Sigrid od razu spełniła prośbę, wdając się z ojcem Henri w szeptaną rozmowę w języku, którym w owej sali najwyraźniej władali tylko oni oboje, i wprawiając pozostałych w zakłopotanie: wszyscy obecni tam mężczyźni spoglądali po sobie, ten i ów wzruszył ramionami, inni przesadnie pstrykali palcami, jeszcze inni wznosili oczy ku niebu. Pośród wielu szlachetnych mężów jeno niewiasta mogła pomóc królowi - tak właśnie było. A co się już stało, tego cofnąć nie sposób.

Po dłuższej chwili Sigrid podniosła się i na tyle głośno, że zagłuszyła wszelkie szmery w sali, oznajmiła, iż ojciec Henri rozważył kwestię i uznał, że najmądrzej byłoby zmusić nicponia do ożenku ze szwagierką jarła. Ale małżonkę jarła trzeba odesłać z darami i nadobnym odzieniem, pożegnawszy ją rozpostartymi sztandarami i biciem w bębny. Król Sverker i jego niegodziwy syn muszą wyrzec się posagu, co pozwoliłoby uniknąć zapłaty srebrem za porwanie. Zdania samego

nicponia niepodobna w tym przypadku brać pod uwagę, jeśliby bowiem udało się ożenić go ze szwagierką jarła, to owe więzy krwi uchroniłyby przed wojną. Niegodziwiec musi wszak coś uczynić, by odkupić swoje szelmstwo. A wojna byłaby tak czy owak najkosztowniejszym rozwiązaniem.

Kiedy Sigrid umilkła i usiadła, zapadła zrazu cisza, albowiem zgromadzeni rozważali istotę propozycji zakonnika. I z wolna przeszedł przez salę szmer uznania, ktoś wyjął miecz z pochwy i jego bokiem uderzył mocno w gruby blat stołu, który stał równoległe do podłużnych ścian. Inni poszli za jego przykładem i wkrótce rozbrzmiewał w sali szcęk oręża, i tym samym owa sprawa została chwilowo rozstrzygnięta.

Skoro już Sigrid siedziała z przodu i skoro powstało wrażenie, że miała ona swój udział w rozropnej propozycji ojca Henri, król Sverker uznał, iż można było przystąpić do rozpatrzenia sprawy Varnhem, i dlatego przyzwał gestem skrybę, który zaczął odczytywać pismo, które król kazał sporządzić, aby cała ta kwestia została rozstrzygnięta podług prawa. Ale odczytany tekst wywarł takie wrażenie, jakby ów dar pochodził tylko od króla.

Sigrid poprosiła o tekst, aby go przetłumaczyć ojcu Henri, ale nie omieszkała też pokornie zaproponować udział pana Magnusa w rozmowie, która miała się rozpocząć.

- Oczywiście, oczywiście - odparł zakłopotany tym król i dał znak, by Magnus przeszedł naprzód i usiadł obok małżonki.

Sigrid szybko przetłumaczyła tekst ojcu Henri, który zdążył zdjąć kaptur i próbował teraz sylabizować kolejne wskazywane przez nią fragmenty. Ledwo skończyła, dodała szybko (aby powstało wrażenie, że nie przestała tłumaczyć), iż dar pochodził od niej, a nie od króla, lecz podług prawa potrzebowała królewskiej akceptacji. Ojciec Henri zerknął na nią z uśmiechem, który przypominał jej własny uśmiech, i podziękował skinieniem głowy.

- I cóż - spytał król z pewnym zniecierpliwieniem, jak gdyby chciał czym prędzej zakończyć sprawę - czy wielce czcigodny ojciec Henri ma coś do powiedzenia lub do zaproponowania w tej materii?

Sigrid przetłumaczyła pytanie ze wzrokiem utkwionym w zakonniku, któremu dzięki temu łatwo było pojąć jej myśli.

- Cóż - zaczął ostrożnie - jest to postępek miły Bogu, kiedy kto obdaruje Jego sługi trudzące się w ogrójcu. Wszelako wobec Boga i wobec prawa można dar przyjąć w tym jeno przypadku, gdy ponad wszelką wątpliwość

wiadomo, kto istotnie jest darczyńcą, kto zaś beneficjentem. Czy to, czym nas Wasza Królewska Mość tak szczerze dziś obdarza, jest jego własnością?

Ojciec Henri poprosił nieznacznym kolistym ruchem ręki, by Sigrid przetłumaczyła jego słowa. I Sigrid wykonała to - szybko i monotonicznie.

Po królu widać było zakłopotanie i zerknął on nieśmiało na ojca Henri, który wpatrywał się weń z przyjaznym wyrazem twarzy, jakby uważał to za oczywiste, że wszystko musi być w najlepszym porządku. Sigrid nie odzywała się już - czekała.

- Tak, zapewne... zapewne - bąkał zażenowany król. - Zapewne można rzec, iż wedle prawa dar musi pochodzić od króla, i tak jest. Idzie mi o to, że nikt nie powinien oponować z tej przyczyny. Wszelako ów dar pochodzi także od pani Sigrid, która jest tu pośród nas.

Podczas gdy król rozważał, co jeszcze powiedzieć, Sigrid nie omieszkała przetłumaczyć słów, które właśnie wyrzekł, i to nie mniej monotonicznie niż poprzednio. I oto na twarzy ojca Henri odmalowało się jakby życzliwe zdziwienie, bo przecież dowiedział się czegoś, co już wcześniej doń dotarło, a po chwili w łagodnym uśmiechem pokręcił głową i słowami bardzo prostymi, ale z przypochlebną skromnością, której potrzeba, gdy wypada pouczyć króla, oświadczył, iż wobec Boga byłoby stosowniej, jeśliby cała prawda znalazła się w oficjalnym dokumencie. Gdyby tedy zawarto w tym akcie imię właściwej donatorki, pospołu z potwierdzeniem daru i aprobatą Jego Królewskiej Mości, dobrze zakończono by sprawę i można by słusznie modlić się i za Jego Królewską Mość, i za osobę czyniącą dar.

Po pierwsze, takie właśnie załatwienie sprawy było zarazem po myśli Sigrid. Skoro dla króla Sverkera żadna inna możliwość nie wchodziła w grę, podjął on szybko decyzję, dopowiedziawszy, iż akt należy sporządzić w języku rodzimym oraz po łacinie, a on jeszcze tego dnia przyłoży doń swą pieczęć; wyraził też nadzieję, że nieco ożywienia wniesie następna kwestia: ustalenie, jak i kiedy miałyby się odbyć egzekucje.

Po drugie, nastąpiło spotkanie dwóch bliskich sobie dusz - ojca Henri oraz pani Sigrid. Albo inaczej: spotkało się w tym świecie dwoje ludzi o bardzo podobnym sposobie myślenia i rozumowania.

Sprawa posiadłości Varnhem została zatem na pewien czas rozstrzygnięta.

\* \* \*

W dzień Filipa i Jakuba, kiedy to trawa powinna już okazać się na tyle zieloną i bujną, aby można było wyprowadzać bydło na pastwisko, i kiedy należało zadbać o ogrodzenie, Sigrid przeraziła się, jakby poczuła zimną dłoń wokół swego serca. Miała wrażenie, że zaczęły się bóle. Ale ów pierwszy ból nastąpił tak szybko, iż wydał się złudzeniem.

Wcześniej, prowadząc za rękę małego Eskila, odbyła spacer do strumienia, przy którym mnisi razem z braćmi-laikami próbowali umieścić wielkie koło młyńskie, używając do tego wielu zwierząt pociągowych oraz kołowrotka. Najpierw zwięzili i pogłębili strumień kamieniami, a ponadto uczynili go bardziej wartkim dokładnie tam, gdzie miało zawisnąć koło młyńskie. Zostało ono zmyślnie złożone z mnóstwa klocków dębowych i powinno było dać tyle siły, by wystarczała do wyrobu mąki, ale też do pracy młota w kuźni, która miała niebawem powstać.

Nieco niżej pojawiło się w tej rzeczce podobne, ale mniejsze urządzenie. Tu koło wodne było jednak trochę inne, stanowiło długi ciąg wiader, który podnosił poziom wody i wlewał ją do kanału utworzonego z wydrążonych pni dębowych, dzięki czemu mogła spadać ku ziemi, na której przewidziano kościół oraz nowe budynki klasztorne. Ów nurt powinien był przebiegać tak, by służył niejednemu budynkowi, i znaleźć ujście w strumieniu. Zamierzano zabudować ziemię przy nim, aby strumień w zimie nie zamarzał i aby zawsze była bieżąca woda w kuchni i miejscach ustronnych, dla usuwania nieczystości.

Sigrid spędzała wiele czasu na placu budowy i ojciec Henri cierpliwie objaśniał, co już czyniono i co zamierzano zrobić. Przy sobie miała dwóch najlepszych spośród swych niewolnych sług, a byli to Svarte, z którym Sot zaszła w ciążę, oraz Gur, którego połowica i dzieci przebywały w Arnas, i na ich język dokładnie tłumaczyła to, co opisywał ojciec Henri.

Magnus pytał ją z przekąsem, czy w samym Varnhem nie znajdowała żadnego zatrudnienia dla najlepszych sług, przynajmniej dla mężczyzn. Byłoby lepiej, gdyby raczej przyspieszyli prace budowlane w Arnas. Ale Sigrid obstawała przy swoim i wyjaśniła, że owi słudzy mogli się nauczyć wielu pożytecznych rzeczy od burgundzkich braci-laików i od angielskich kamieniarzy, których zatrudnił ojciec Henri. I, jak niejedną raz przedtem, jej wola przeważyła, mimo że człowiekowi urodzonemu w Zachodniej Gocji trudno było wytłumaczyć, iż cudzoziemcy okazywali się o wiele lepszymi mularzami niż tamtejsi ludzie.

Wystarczyło ledwie kilka miesięcy, by Varnhem przemieniło się w wielki plac budowy, gdzie rozlegało się echo uderzeń młota, zgrzytały i piszczały piły, skrzypiały i grzechotały wielkie koła do szlifowania brył piaskowca. Wszędzie widać było ożywienie i ruchliwość, na pierwszy rzut oka zresztą można by odnieść wrażenie, że zapanował tam zamęt, że zabrakło planu, jakby wiosną oglądało się mrowisko, bo przecież sądzi się, że mrówki tylko bez sensu przeskakują z miejsca na miejsce. Za wszystkim, co czyniono, kryły się jednak dokładne plany. Robotami kierował pewien zakonnik potężnej postury, nazwiskiem Guilbert de Beaune, jedyny spośród mnichów, który sam się włączał, a wszelkie prace z użyciem rąk przypadały ubranym na brązowo braciom-laikom. Można by pewno dopowiedzieć, że tę regułę łamał także brat Lucien z Clairvaux. Był on klasztornym ogrodnikiem i jako taki nie chciał, by czyjeś obce ręce wykonywały jego misterną pracę sadowniczą, na którą było już wszak dość późno i w której trudno było osiągnąć pełny sukces komuś, kto nie miał dostatecznego wyczucia w rękach i nie dostrzegał tego, co należało.

Pozostali zakonnicy, którzy tymczasowo zajęli główny budynek jako miejsce zamieszkania i medytacji, byli przeważnie zaabsorbowani duchowością albo pisaniem.

Po pewnym czasie Sigrid zaproponowała braciom-laikom pomoc Svartego i Gura, choć nie sądziła, by mogli być wielce przydatni, a raczej obmyśliła sobie, że się czegoś nauczą. Ten i ów spośród braci-laików skarżył się z początku ojcu Henri na to, że owi nieokrzesani i nieuczeni niewolnicy przeważnie sobie nie radzili z tym, co powinni byli wykonywać. Ale ojciec Henri bagatelizował wszystkie te skargi, bo przecież doskonale rozumiał, jakie intencje miała Sigrid wobec owych uczniów. Inaczej niż oczekiwano, ku niezadowoleniu wielu braci-laików, ojciec Henri porozmawiał dyskretnie z bratem Guilbertem o tej sprawie i skutek był taki, że kiedy Svarte i Gur zaczęli sobie radzić w jednym miejscu pracy, posyłano ich w inne miejsce, gdzie znów okazywali irytującą nieporadność i psuli robotę. Obaj pojętni niewolnicy nauczyli się jednak wkrótce większości prac: ciosania i szlifowania kamieni, formowania rozżarzonego żelaza, łączenia dębowych klocków w koła wodne, układania kamieni w studni albo kanale, plewienia ogrodu, aby znikło to, co nie powinno tam rosnąć, wycinania dębów i buków, i kształtowania pni tak, żeby służyły różnym celom, a Sigrid dowiadywała się o postępy owych sług i snuła plany zatrudnienia ich w przyszłości. Uważała, że obaj powinni pracą

zasłużyć na wyzwolenie - tylko ktoś, kto miał pożyteczne umiejętności, mógł sobie poradzić, uzyskawszy wolność. Ich wiara czy zbawienie mniej ją zapewne interesowały, a jedyną niewolnicą, na której wymusiła chrzest, była Sot, co przecież wzięło się z potrzeby czyjegoś wsparcia w dniu poświęcenia katedry.

Nastał spokojny czas. Jako pani domu nie miała Sigrid aż tylu zajęć, ile spadłoby na nią, gdyby była właścicielką Varnhem albo jeśliby odpowiadała za wszelkie prace domowe w Arnas. Starła się jak najmniej myśleć o tym, co było nieuchronne, co musiało nastąpić z taką pewnością, z jaką wszystkich - niewolnych i wolnych - spotyka śmierć. Ponieważ główny budynek nie należał jeszcze oficjalnie do klasztoru, mogła Sigrid, kiedykolwiek chciała, brać tam udział w jednym z pięciu codziennych zgromadzeń modlitewnych. W miarę upływu czasu uczestniczyła w nich coraz pilniej. Zawsze modliła się o to samo, o swoje i dziecka pozostanie przy życiu, i o to, by Najświętsza Paniienka obdarzyła ją siłą i odwagą, aby oszczędziła jej bólu, jakiego doświadczyła za pierwszym razem.

Teraz zaś Sigrid szła z czołem zroszonym zimnym potem, powoli i bardzo ostrożnie, jakby zbyt energiczne ruchy miały wywołać ból, szła ku swemu domostwu, oddalając się od zgiełku, jaki panował na placu budowy. Sigrid przyzwalała do siebie Sot, której nie musiała niczego wyjaśniać. Sot skinęła głową i wybąkała coś w swoim ubogim języku, po czym zaraz udała się do budynku kuchennego i razem z innymi niewolnicami zadbała o porządek. Szybko wyniosły wszystko, co miało związek z pieczeniem i gotowaniem, zamiotły i umyły podłogę, a następnie z mniejszego budynku, w którym Sigrid trzymała własny dobytek, przyniosły wypełnione słomą kołdry i skóry zwierzęce. Gdy wszystko już było w porządku i Sigrid mogła się tam położyć, poczuła znów ból, o wiele gorsze niż za pierwszym razem, przez co pobladła i zachwiała się, i służki musiały ją doprowadzić do przygotowanego na podłodze posłania. Owe niewolnice zadbały o większy żar wewnątrz budynku i w wielkim pośpiechu wyczyściły kotły, które wypełniły wodą i na trójnogach postawiły nad ogniem.

Gdy ból ustąpił, Sigrid poprosiła Sot o sprowadzenie ojca Henri i o to, żeby później zatrzymała Eskila i inne dzieci nieco dalej - aby chłopiec raczej myślał o zabawie i nie słyszał krzyków matki, gdyby do tego doszło. Ale ktoś musiał też mieć baczenie na dzieci, żeby nie zbliżały się zbyt do tego, co w tamtej okolicy ciekawiło je bardziej niż cokolwiek innego, a chodziło o

niebezpieczne wielkie koło młyńskie. Dzieci nie powinny były pozostawać bez opieki!

Sigrid leżała przez dłuższą chwilę w samotności, wpatrując się w otwór kominowy w dachu i wielkie otwarte okno w jednej z podłużnych ścian. Z zewnątrz docierał śpiew ptaków, zięb słyszanych za dnia, zanim śpiew podejmą kosy, które sprawiają, że wszystkie inne ptaki milkną zawstydzone.

Mimo potu na czole Sigrid drżała z zimna. Jedna z niewolnic podeszła nieśmiało i otarła jej czoło zwilżonym kawałkiem płótna, ale nie odważyła się spojrzeć w oczy.

Magnus zachęcał ją, by zawczasu, skoro nadejdzie pora porożu, posłała do Skary po akuszerki, a nie rodziła wśród niewolnic. Ale Sigrid przez cały czas zachowywała się tak, jakby chciała odsunąć w czasie to co nieuniknione, jakby skrycie liczyła na uchylenie się od porodu. Było to głupie i świadczyło o pysze. I oto mogło być w końcu tak, iż urodziłaby i przeżyła, albo zmarłaby w czasie porodu, albo straciła życie razem z dzieckiem i to wśród niewolnic. Sigrid doskonale rozumiała stosunek Magnusa do tej sprawy. Ale był tylko mężczyzną i nie potrafił pojąć, że niewolnice na ogół rodziły o wiele częściej niż tamtejsze niewiasty i wiedziały, jak wszystko powinno przebiegać. Choć niewolnice nie miały białej skóry, nie mówiły pięknie i nie umiały się dwornie zachowywać, jak owe niewiasty, które według Magnusa powinny by zamiast nich wypełnić izbę swoim trajkotaniem i bezsensowną bieraniną, to przecież właśnie tamte niewolne kobiety były wystarczająco ze wszystkim obeznane. O ile wystarczy ludzkiej pomocy. A Maryja, Najświętsza Panienska, pomoże lub nie pomoże, ale na dusze tych, co znajdą się w izbie, zważać bynajmniej nie będzie.

Tak jak lud szwedzki, owe niewolnice miały dusze - ojciec Henri mówił o tym z Sigrid dobitnie i przekonująco. I w Królestwie Niebieskim nie ma wolnych i niewolnych, bogatych i biednych, a trafiają tam tylko dusze tych, którzy zasłużyli się swą dobrocią. Sigrid doszła do wniosku, że ojciec Henri zapewne nie minął się z prawdą.

Gdy przybył ten zakonnik, Sigrid dojrzała u niego stule. Zrozumiał, jakiej pomocy potrzebowała w owej chwili. Ale ojciec Henri udał zrazu obojętność na to, co się działo, i nawet nie wyprosił niewolnic, które spieszenie sprzątały, wbiegały z kolejnymi wiadrami wody i wnosiły prześcieradła i pieluszki.

- Bądź pozdrowioną, czcigodna pani tego domu, tuszę, iż w tym oto Varnhem zbliża się czas radości - rzekł ojciec Henri, zerkając na Sigrid życzliwiej i spokojniej niż mówił.

- Albo czas smutku, ojcze, tego wszak nie będziemy wiedzieć, póki się wszystko nie skończy - odpowiedziała smętnie Sigrid i spojrzała na niego wzrokiem pełnym przerażenia, sądziła bowiem, że zbliżał się kolejny atak bólu. Ale nie odczuła go, po prostu uległa złudzeniu.

Ojciec Henri postawił obok jej posłania stołek na trzech nogach, sięgnął ręką po dłoń Sigrid, ujął ją i drugą ręką pogłaskał.

- Jesteś, i owszem, mądrą niewiastą - rzekł - wśród napotkanych przeze mnie osób świeckich jedyną, która potrafi mówić po łacinie, i starcza ci rozumu na wiele innych rzeczy, na przykład uczysz swych niewolników tego, co my umiemy. Powiedz, czemuż wydarzenie, które cię czeka, jawi ci się jako tak nadzwyczajne, skoro przechodzą przez to wszystkie niewiasty, szlachetnie urodzone, jak ty sama, niewolnice, i niewiasty z gminu, tysiące ich, wiele ty sięcy. Pomyśl, iż w tej właśnie chwili nie jesteś samotną na tym świecie. Być może właśnie teraz, kiedy tu siedzimy, o tej porze jesteś pośród dziesięciu ty sięcy niewiast całego świata. Powiedz mi przeto, czemuż właśnie ty miałabyś się czego obawiać, ty bardziej niżli wszystkie inne?

Dobrze mówił, nieomal tonem kaznodziei, i Sigrid domyśliła się, że nie-jeden dzień rozważał, jakie słowa powinna najpierw odeń usłyszeć, gdy już nadejdzie czas trwogi. Patrząc na niego, Sigrid nie zdołała powściągnąć uśmiechu, który pozwolił mu odgadnąć, że go przejrzała.

- Dobrze prawisz, ojcze Henri - odezwała się słabym głosem, pełnym obaw, że znów dopadną ją bóle. - Tyle że spośród owych dziesięciu tysięcy niewiast, o których wspomniałeś, być może połowa znajdzie jutro śmierć i ja mogę być jedną z nich.

- Byłoby mi w takim przypadku trudno pojąć naszego Zbawiciela - odparł spokojnie ojciec Henri, nadal z uśmiechem i ze wzrokiem, który nieustannie szukał jej wzroku.

- Czy to znaczy, ojcze, że nie wszystko, co czyni nasz Zbawiciel, potrafisz pojąć? - spytała szeptem, w napięciu czekając na następny atak bólu.

- To zapewne prawda - skinął głową ojciec Henri. - Nawet założyciel naszego zakonu, święty Bernard z Clairvaux, nie pojmuje wszystkiego. Jak na przykład druzgocących klęsk zadawanych właśnie teraz naszym rycerzom w Ziemi Świętej. Bardziej niżli komukolwiek innemu zależało mu na tym, byśmy posłali tam więcej ludzi, niczego on sam nie pragnął bardziej aniżeli zwycięstwa naszej słusznej sprawy w starciu z niewiernymi. A jednak pobito nas dotkliwie, mimo silnej wiary, mimo słuszności naszej sprawy i choć



zwalczyliśmy zło. Przeto prawdą jest zapewne, że my, ludzie, nie zawsze potrafimy pojąć naszego Zbawiciela.

- Chciałabym zdążyć się wypowiedzieć - poprosiła szeptem Sigrid. Ojciec Henri odprawił niewolnice, założył stulę, pobłogosławił Sigrid i oznajmił, że jest gotów wysłuchać jej spowiedzi.

- Przebacz mi, Ojczy, bom grzeszyła - z przerażeniem w oczach wydo była z siebie Sigrid. Zanim mogła mówić dalej, musiała kilka razy głęboko odetchnąć. - Miewałam myśli niebogobojne, całkiem świeckie, podarowałam tobie i twoim ludziom Varnhem nie tylko z tej przyczyny, że Duch Święty wskazał mi ów dobry i słuszny postępek, lecz liczyłam nadto, iż tym darem udobrucham Matkę Boską, bo rychlej przez szaleństwo i samolubstwo prosiłam Ją, iżby raczyła oszczędzić mi wielu połogów, choć wiem, że powinnością naszą jest zaludniać świat.

Sigrid wypowiadała te słowa szybko i cicho, oczekując kolejnego ataku, który nastąpił, ledwo skończyła. Jej twarz wykrzywiła się z bólu i Sigrid mocno zacisnęła usta, żeby nie krzyczeć.

Ojciec Henri nie był przez chwilę pewien, co powinien zrobić, ale zaraz wstał i sięgnął po kawałek płótna, który zanurzył w wiadrze z zimną wodą pozostawionym przy drzwiach. Potem podszedł do Sigrid, podniósł jej głowę, zwilżył czoło i twarz, i starł śluz i krew z kącików ust.

- Prawdą jest, moje dziecko - zaczął mówić szeptem, pochyliwszy się ku jej twarzy i rozpoznawszy na niej straszliwe przerażenie — iż Bożej łaskawości nie sposób kupić za pieniądze, iż wielki to grzech, jeśli kto sprzedaje bądź nabywa coś, czym jeno Bóg może obdarzyć. I prawdą jest, że przez twą ludzką słabość poczułaś strach i poprosiłaś Matkę Boską o pomoc i pocieszenie. Ta prośba wszakże nie jest grzechem. A co się tyczy daru w postaci Varnhem, tak się stało, iż Duch Święty zstąpił ku tobie i objawił ci coś, co chętnie przyjął. Na twoją wolę nic nie może działać silniej niżli Jego wola, tej zaś uczyniłaś zadość. Przebaczam ci w imię Ojca i Syna, i Duchu Świętego. Jesteś oto bez grzechu i taką cię opuszczam, abym sam się pomodlił.

Ojciec Henri ułożył jej głowę niżej i dostrzegł w niej pewną ulgę, mimo że Sigrid niejako pograżyła się w swoim bólu. Po chwili wyszedł szybko stamtąd i ostrym tonem przykazał czekającym kobietom, by weszły do domu, i wleciały one tam niczym chmara czarnych ptaków.

Ale Sot pozostała na zewnątrz, ostrożnie dotknęła szaty zakonnika i powiedziała coś, czego ów w pierwszej chwili nie zrozumiał, bo ani ona, ani on

nie władali zbyt dobrze tutejszym językiem. Sot zrobiła jednak jeszcze jeden wysiłek, zaczęła mówić bardzo wolno i gestykulować dla objaśnienia swych słów; zakonnik pojął, że Sot przyrządziła tajemniczy napój z zakazanych ziół, który mógł uśmierzyć ból i bywał podawany przez niewolników tym spośród nich, którzy doświadczyli chłosty, skaleczenia, jakichś szykan.

Zakonnik przyglądał się ciemnej twarzy owej niewysokiej kobiety i nad czymś się zastanawiał. Wiedział oczywiście, że została ochrzczona, i dlatego musiał rozmawiać z nią tak, jak z każdą parafianką. Wiedział, iż to, co mówiła, mogło być prawdą, wszak Lucien z Clairvaux, który dbał o wszystkie rośliny w ogrodzie, miał wiele przepisów na wywary o takim działaniu. A zarazem istniało pewne ryzyko, bo przecież napój, o którym mówiła niewolnica, mógł powstać za sprawą czarów i sił nieczystych.

- Posłuchaj, niewiasto - powiedział zakonnik powoli i tak wyraźnie, jak potrafił. - Pójdę zapytać kogoś, kto się zna. Jeśli powrócę - napój. Jeśli nie powrócę, nie napój. Przysięgnij wobec Boga, że okażesz posłuszeństwo!

Sot pokornie przysięgła wobec swego nowego Boga, po czym ojciec Henri odszedł szybko, żeby porozmawiać z bratem Lucieniem, zanim zbierze wszystkich braci na modlitwę w intencji tej, która ich obdarowała.

Niebawem odnalazł brata Luciena i ten zaczął się opędyć obiema rękami, jakby coś go przeraziło. Wyjaśnił, że napoje uśmierzające ból to wywary bardzo silne, stosowane wobec rannych czy umierających albo przy takich zabiegach, które kończą się amputacją ręki lub nogi. W żadnym wszakże przypadku nie podaje się czegoś takiego niewiastom, które będą rodzić, bo podawano by to także dziecięciu, które przyszłoby na świat z umysłem na zawsze zamaconym albo sparaliżowane. Uchodziłoby to oczywiście tuż po jego narodzinach. Choć wówczas takiego napoju już na ogół nie potrzeba. Idzie tedy nie tylko o wolę Boga, który chce, byśmy wszyscy rodzili się w bólu, lecz także o względy bardziej praktyczne, albowiem uśmierzenie bólu przyplaca się rodzeniem nie całkiem sprawnych dzieci. Zresztą brat Lucien byłby ciekaw składu owego napoju, który łagodził ból, mógłby wszak nasunąć się jakiś nowy pomysł.

Ojciec Henri kiwał głową, zawstydzony wyjaśnieniem, bo powinien był je znać wcześniej, mimo że sam specjalizował się w sztuce pisania, teologii oraz muzyce, nie zaś w sztuce leczniczej czy ogrodnictwie. I oto teraz, nie zwlekając, zebrał braci, by razem z nimi rozpocząć bardzo długie spotkanie modlitewne.

Sot postanowiła, że chwilowo okaże posłuszeństwo ojcu Henri, chociaż uważała to za wstyd i hańbę, iż nie mogła ulżyć cierpieniu swej pani. Przejęła jednak władzę nad pozostałymi kobietami, które były w izbie, i razem ściągnęły Sigrid z posłania, po czym rozpuściły jej włosy, które okazały się długie, lśniące i prawie tak samo czarne, jak włosy Sot. Kobiety umyły Sigrid, która drżała z zimna w czasie tej kąpieli, później zaś ubrały ją w świeżą koszulę i zmusiły do chodzenia wkoło izby, zapewniwszy, że przyspieszy to całą sprawę.

Otępiona oczekiwaniem na kolejny atak bólu, Sigrid krążyła po owej podłodze chwiejnym krokiem między dwiema niewolnicami i zawstydzalo ją to, czuła się jak krowa oprowadzana dookoła targowiska przez niewolną służbę, która miałaby ją sprzedać w imieniu swego pana i właściciela. Z głównego budynku dotarło do Sigrid dzwonięcie, ale nie była pewna, czy je naprawdę usłyszała.

Wkrótce znów poczuła bóle, tym razem głębiej sięgające, i domyśliła się, że potrwać dłużej. I głośno krzyknęła, raczej ze strachu niż z bólu, i opadła na posłanie, na którym jedna z niewolnic ujęła ją od tyłu za ramiona i trochę uniosła, a wtedy już wszystkie razem krzyczały, że musi pomóc dziecku, że musi przeć. Ale Sigrid nie miała odwagi przeć i chyba zemdląca.

Gdy zmierzch przemienił się w noc i kosy umilkły, Sigrid poczuła jakby uspokojenie. Bóle, które kilka godzin wcześniej powtarzały się dosyć często, chyba ustały. Sot i pozostałe kobiety wiedziały, że mógł to być zły znak. Należało coś zrobić.

Sot zabrała ze sobą jedną z kobiet i wymknęły się obie po ciemku, po czym obok głównego budynku, skąd - zza grubych murów - ledwo słyhać było szepty i śpiew mnichów, przekradły się do obory. Wyprowadziły młodego barana ze skórzanym powrozem na szyi i w zapadającym zmroku poszły z nim w stronę lasu, do którego nie miały wstępu. Tam obwiązały sznurem jedną z tylnych nóg zwierzęcia, a drugi koniec zarzuciły na solidną gałąź dębu, jednego z wielu w tym lesie. Sot pociągnęła powróż tak, iż baran nieomal zawisł tylną nogą w powietrzu, a druga niewolnica rzuciła się na zwierzę, chwyciła je za łopatkę, ciężarem swego ciała przycisnęła barana do ziemi i w tym samym czasie przetrzała mu nożem szyję. Wspólnie potem podniosły wierzgającego i beczącego w śmiertelnym strachu barana, a tymczasem na wszystkie strony tryskała krew. Zawiazawszy powróż wokół korzenia dębu, kobiety szybko zdjęły swe czarne koszule i stanęły nago pod strumieniem krwi, którą, wypowiadając modlitwę do Frei, mazały włosy, piersi i łona.

Sigrid obudziła się ze swego półsnu skoro świt, znów poczuła bowiem w swym wnętrzu ogień piekielny i w rozpaczy błagała umiłowaną, błogosławioną Maryję Pannę, by oszczędziła jej bólu, aby raczej już teraz zabrała ją do siebie, jeśli tak ma być, ale niechby przynajmniej uchroniła ją przed bólem.

Niewolnice, które drzemały dookoła Sigrid, też się zaraz przebudziły, zaczęły obmacywać jej ciało i szybko mówiły coś do siebie nawzajem w swoim niezrozumiałym języku. Po chwili wybuchnęły śmiechem. I z zapalem kiwając głowami, uśmiechały się potem do Sigrid oraz do Sot, która miała całkiem mokre włosy, przez co zwisały one prosto, były skołtunione i ociekały zimną wodą, gdy pochyliła się ku Sigrid, by powiedzieć, że teraz się to stanie, że jej syn wkrótce przyjdzie na świat, ale ona musi po raz ostatni naprawdę sobie pomóc. Niewolnice ujęły ją od tyłu i uniosły do połowy, przez co Sigrid znalazła się w pozycji siedzącej, po czym zawyła z bólu i poczęła wykrzykiwać nieskładne modlitwy, aż w końcu uznała, że mogłaby obudzić i przestraszyć małego Eskila, więc jeszcze raz zagryzła obolałe wargi tak mocno, że znowu zaczęły krwawić i poczuła w ustach smak krwi. Mimo nieznośnego bólu miała jednak coraz większą nadzieję, jakby Matka Boska faktycznie stała przy niej, łagodnie do niej przemawiała i zachęcała do tego, by czyniła tak, jak radziry mądre i wierne niewolnice. Sigrid parła więc i krzyczała, ale potem znów zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć, i oto w owej porze świtania rozbrzmiał bardzo głośny śpiew braci zakonnych, bodaj pieśń pochwalna albo inna pieśń, która powinna była wziąć górę nad nieprzyjemnymi dźwiękami.

I nagle poród się skończył. Zlana potem i we łzach, zobaczyła Sigrid zakrwawioną dziecinę, która wyglądała tak, jak gdyby urodziła ją jedna z niewolnic. Obecne w izbie kobiety biegały na przemian z wodą i prześcieradłami, a Sigrid opadła na posłanie, jakby się wszystkiego wyrzekła.

Do Sigrid docierało to, że kobiety myły ją, także ich trajkotanie, usłyszała kilka klapsów i potem krzyk - rozedrgany radosny dźwięk, który mógł oznaczać tylko jedno.

-To zdrowy chłopiec - powiedziała rozpromieniona Sot. - Urodziła pani zdrowego chłopca z tyloma palcami u rąk i nóg, ile powinien mieć. I jest to dziecię w czepku urodzone!

Kobiety myły chłopca i w powijakach ułożyły na pełnej mleka, obolałej piersi matki, ta zaś zerknęła na jego pomarszczoną twarz i zdziwiła się, że był tak mały. Dotknęła go tu i ówdzie, uwolniwszy jedną rączkę, którą chło-

piec machał w powietrzu, a gdy matka wystawiła palec, uchwycił go zaraz i przytrzymał.

-Jak będzie się nazywał? - zapytała Sot, zarumieniona z przejęcia.

- Będzie się zwać Arn, od nazwy Arnas - ledwo wyszeptała Sigrid. - Jego domem stanie się Arnas, a nie Varnhem, ale ojciec Henri ochrzci go tutaj, gdy nadejdzie właściwa pora.

Syn króla Sverkera, Jan, zginął, bo na to zasłużył. Król Sverker oczywiście zastosował się do rad, których udzielił mu ojciec Henri, mianowicie zadbał o to, by małżonka duńskiego jarla niezwłocznie powróciła do Halland. Ale zarówno król Sven Grate, jak też jego jarl odrzucili z pogardą dalszą część planu ojca Henri: zeswatanie niecnego wprawdzie, lecz przecież królewskiego syna z drugą Dunką, która została zhańbiona - aby więzy krwi zapobiegły wojnie.

Plan ojca Henri nie był pewno zły, tyle że król Sven Grate pragnął wojny. Im więcej pojednawczych propozycji padało ze strony króla Sverkera, tym bardziej król Sven Grate pragnął właśnie wojny. Być może nie bez racji uważał gockiego króla za słabego, skoro ten już to w taki, już to w inny sposób starał się od wojny uchylić.

Sven Grate był tak pewien zwycięstwa, że zaczął nawet obdzielać najbliższych mu dworaków lennami na ziemiach gockich, a że mówio iż była tam wielce nadobna niewiasta imieniem Sigrid, obiecał król, że wyda ją za tego spośród swoich podwładnych, który okaże się najdzielniejszymi gdy nastanie czas podbojów.

Ostatnią próbą podjętą przez króla Sverkera było nakłonienie legata papieskiego, Nicolausa Breakspeara, iżby ten w drodze do Rzymu odwiedził Svena Grate i przemówił mu do rozsądku, usposobił go pokojowo.

Nie powiodło się to kardynałowi, tak jak nie powiodło się wyświęcenie arcybiskupa dla zjednoczonych ziem gockich i krainy Swewów.

Papieskie zlecenie mianowania arcybiskupa spełzło na niczym, ponieważ Swewowie i Goci nie umieli się porozumieć co do miejsca, w którym miałyby być katedra przypisana owemu arcybiskupowi, gdzie więc powinien on rezydować - czy, jak tego żądali Swewowie, w Ostra Aros, czy, podług woli króla Sverkera, w Linkóping.

Świeckie zadanie kardynała, czyli doprowadzenie do pokoju, który dla Kościoła był korzystniejszy, skoro niewiele brakowało, by jeszcze jedno zjednoczone państwo dołączyć do terytoriów podległych Ojcu Świętemu, owo zadanie spełzło na niczym z tej tylko przyczyny, że duński król był pewien zwycięstwa. Ziemie, które miał nadzieję zdobyć dla siebie, podlegały kościelnej władzy arcybiskupa Lund, Eskila, król Sven Grate nie znajdował więc żadnego chrześcijańskiego powodu po temu, by wyrzec się wojny.

Król Sverker nie uczynił dotąd niczego, co służyłoby obronie kraju, zbyt był bowiem zajęty opłakiwaniem królowej Ulvhild, ale też przygotowaniami do nowego ożenku z Rychezą, która zdążyła przedtem dwukrotnie owdowieć. Mógł także sądzić, iż modlitwy, które sobie zapewnił w klasztorze, powinny ocalić i jego, i kraj.

Natomiast jego niegodziwy syn, Jan, nie wierzył w zbawienną moc modlitw. I jeśliby Duńczycy wyszli zwycięsko z nowej wojny, on sam musiałby się wyzbyć wszelkiej nadziei. Dlatego też właśnie on, a nie jego ojciec, król, zwołał do królewskiej rezydencji Yreta *ting*, który miałby rozstrzygnąć kwestię obrony przed Duńczykami.

Jan nie rozumiał, jak bardzo go znienawidzono z powodu jego niecných czynów. Wszyscy, prócz bodaj niego właśnie, pojmowali, że za swe dwa występki i za kłamstwo zostałyby ukarany przez ojca, gdyby ten nie był człowiekiem starym i słabym na ciele. Nikt, komu zależało na honorze, nie zamierzał ruszać na wojnę i narażać życia z przyczyny łotra najgorszego autoramentu, który dopuścił się zhańbienia niewiast.

Na *ting* przybyło jednak do Vrety wielu rycerzy, którzy czegoś oczekiwali, tyle że ich nadzieje były zgoła inne, niż wyobrażał sobie Jan. Widząc tłumy przybyłych, zrozumiał wszystko całkiem opacznie.

Zjawili się oni dla rozprawy z nim. I zabili go. Żaden z giermków Jana nie ruszył palcem w jego obronie. Ich zresztą też nikt nie zaatakował. Zwłoki Jana podzielono na kilka dość dużych części i rzucono świniom na tyłach rezydencji w Skarze, aby nie musiał się odbyć pogrzeb z królewską pompą.

W Roku Pańskim 1154 zima nastąpiła wcześniej i skoro tylko powstał lód, król Sven Grate poprowadził swoje wojsko ze Skanii do Smalandii, do krainy Finnveden. Woje palili i niszczyli wszystko, cokolwiek napotkali, ale posuwali się wolno, albowiem tego roku było wiele śniegu. Konie i zwierzęta pociągowe szły z trudem.

Co więcej, stawili opór chłopci z Varend. Poprzednie ich pokolenie doświadczyło tego, iż przybyły z Norwegii Sigurd Jorsalafar spustoszył ową okolicę pod pozorem krucjaty dla szerzenia wiary chrześcijańskiej. Opowiadano, że natknął się on na pięciu czy sześciu zbiegłych niewolników, którym kazał wybrać śmierć od miecza albo chrzest, najbardziej jednak utkwilo w pamięci to, że ukradł i zabrał do domu tysiąc pięćset wołu.

Mieszkańcy Varend, niezbyt przejęci losem tej czy innej pohańbionej niewiasty, ani też możliwymi pretekstami królów do grabieży i spalenia domostw, zebrali się na *ting* i uznali, że jeśli trzeba umrzeć, to już raczej mężnie, wedle pradawnej wiary ojców. Śmierć bez walki - w poddaństwie czy niewoli - byłaby śmiercią w niesławie. A poza tym na wojnie nic nie jest pewne prócz jednego. Kto nie walczy albo jest sam wobec obcej armii, ten musi zginąć, gdy to wojsko przechodzi obok jego domu. Cała reszta pozostaje w rękach bogów.

I oto król Sven Grate rzeczywiście miał niemałe trudności. Lud Varend bronił każdej piędzi ziemi spoza tworzonych na leśnych drogach zapór ze ściętych drzew. Pokonywanie tych przeszkód wymagało wielkiego wysiłku i czasu, i właściwie nigdy nie odnosiło się zwycięstwa. Jeżeli sytuacja przedstawiała się obiecująco pod wieczór, gdy trzeba było przerwać walkę dla wystawienia straży, nocnego spoczynku i modlitwy, to nazajutrz okazywało się, że obrońcy zapory zniknęli. Później zaś, gdzieś dalej, dołączali do nich ludzie z innej wsi, którzy musieli bronić własnych domów, i wszystko zaczynało się od nowa.

Pod osłoną nocy dezerterowały całe gromady duńskich wojów i ruszali oni w drogę powrotną do domu. Ci, którzy uprawiali wojaczkę jako zawód, wiedzieli, że owej zimy walczone już zbyt długo. Jeśliby nawet udało się w końcu przełamać opór przeklętych chłopów, którzy bronili swego, to wiosną było-

by się na zachodniogockich równinach i trzeba by grzęznąć w glinie. Co gorsza,



chłopi z Varend bronili się w straszny sposób. Ranili lub zabijali każdą żywą istotę, która im wpadła w ręce. Nocą przekradali się małymi grupkami, napadali na straże i przebijali brzuchy tyłu koni i wołu, ile nadążyli wybić przed nadejs'ciem posiłków. I skrywali się w ciemnym lesie.

Zadżgany koń zdycha bardzo szybko. Woły są trochę wytrzymalsze, ale i one giną, gdy skórę brzucha przebiją widły albo ostrze lancy. Duńskiemu wojsku pozostawało jeszcze wiele wołu, które można byłoby upiec. Słaba to jednak była pociecha, skoro przejadłoby się tym sposobem własną szansę na zwycięstwo.

Kiedy Sven Grate nareszcie musiał się pogodzić z faktem, że w owym roku tak czy inaczej nie wygrałby wojny, nakazał podzielenie armii przed odwrotem. Sam zamierzał przez Skanię powrócić na duńskie wyspy. Jego jarl powinien był zabrać drugą część wycofujących się wojsk do duńskiej prowincji Halland i zarazem do swego hrabstwa. Sven Grate wyprawił emisariusza z wiadomością o zakończeniu wojny i odwróceniu wojsk, samego króla oraz jarla.

Mieszkańcy Varend wszakże mieli niemało powodów do zemsty. Toteż długo jeszcze opowiadano o niewieście imieniem Blenda, która rozesłała wici do wielu innych niewiast, po czym razem w pobliżu rzeki Nissy powitały jarla i jego ludzi chlebem i peklowanym mięsem. Tego mięsa było, jak się okazało, pod dostatkiem. Niewiasty zaprosiły na obfitą ucztę, na której owo słone mięso zakrapiano obfitością piwa.

Gdy jarl i jego ludzie w końcu chwiejnym krokiem udali się na spoczynek do stodoły, a woje ułożyli się najlepiej, jak było można, na śniegu pod skórami z wołu i baranicami, zresztą nie mniej pijani niż owi szlachetnie urodzeni panowie, Blenda i jej przyjaciółki przygotowały się pieczolowicie. Powlokły dziegiem długie pochodnie. I wezwały swych małżonków, ukrytych w lesie.

Kiedy obozowisko ucichło i słyhać już było tylko chrapanie, kobiety starannie zaryglowały stodołę i w czterech jej rogach równocześnie wzniciły pożar. Zaraz też dopadły śpiących wojów.

Nazajutrz, śmiejąc się radośnie, potopiły ostatnich swoich jeńców pod lodem Nissy, w którym utworzyły dwa spore przeręble, aby owi jeńcy trafili pod lód tak, jakby schwytano ich w wielką sieć.

Król Sverker pokonał w tej wojnie Duńczyków, choć nie posłał na nią ani jednego człowieka i choć sam nie ruszył nawet palcem.

Uważał on oczywiście, że zawdzięczał to głównie licznym modlitwom i Opatrzności Bożej. Niemniej był wszak mężczyzną i nie omieszkął wezwać przed swe oblicze Blendy i jej przyjaciółek. Postanowił też, iż niewiasty z Varend, które okazały się tak mężne w obronie kraju, będą w przyszłości dziedziczyć na równi z mężczyznami. Jako wieczysty znak udziału w wojnie miały one nosić czerwoną szarfę z wyhaftowanymi na nich złotymi krzyżami i znak ten przysługiwał tylko im - i nikomu innemu. Co więcej, panny z Varend, ale też żadne inne, uzyskały prawo do tego, aby na czele ich orszaków ślubnych, gwoli wiecznej chwały, szli dobosze.

Gdyby król Sverker żył dłużej, jego dekret zyskałby pewno większą moc prawną, niż faktycznie posiadał. Ale dni króla Sverkera były policzone. Wkrótce został zamordowany.

\*\*\*

Twierdzy niezdobytej zbudować nie sposób. Jeśli istnieją ważne powody po temu, można ograbić i spalić każdą siedzibę. Ale rodzi się pytanie, czy nie płaci się za to zbyt wysokiej ceny, ilu oblegających zginie od strzał, ilu zmiażdżą kamienie, ilu w czas oblężenia straci chęć do walki i zdrowie?

Pan Magnus był tego świadom i wiele rozmyślał, póki trwała budowa. Nie mógł bowiem wiedzieć, podówczas nikt nie wiedział, co będzie się działo po śmierci sędziwego króla Sverkera, która - jakkolwiek by rozpatrywać tę materię - musiała nastąpić niebawem.

Wszystko było możliwe. Do władzy mógł dojść najstarszy syn Sverke-ra, Karol, a wtedy niewiele by się zmieniło. Wszak już choćby Sigrid zadbała o poprawienie stosunków, skoro podarowała Varnhem niejako w imieniu Sverke-ra.

Mniej jednak było wiadomo o tym, co działo się w krainie Swewów, któż tam - czy tylko jeden człowiek? - przygotowywał się do walki o władzę królewską. Chyba że ktoś w Zachodniej Gocji? Ktoś z rodu Magnusa, z innego przyjaznego rodu albo spośród wrogów. Czekając rozstrzygnięcia, można było tylko budować.

Posiadłość Arnas znajdowała się na cyplu półwyspu, który wbija się w jezioro Wener, z trzech stron miała więc naturalną wodną ochronę. Obok starego i wysłużonego głównego budynku wznosiła się już kamienna wieża, i to na wysokość równą siedmiu postaciom ludzkim. Nie dokończono jeszcze budowy murów wokół wieży, a dostępu do niej broniły zwłaszcza palisady powstałe z

ciasno ułożonych i zaostrzonych pni dębowych. Wiele tu pozostawało do zrobienia.

Magnus stał na szczycie wieży nad swą posiadłością i z łuku próbował strzelać do snopa po tamtej stronie dwu wykopanych fos. Zadziwiający doprawdy był zasięg strzały, gdy posyłało się ją w taki właśnie sposób, z góry na dół. I po dość krótkim wyćwiczeniu można było się nauczyć wyliczać kąt, aby trafiać prawie dokładnie w upatrzony cel, a przynajmniej chybiać nie więcej niż o długość ramienia. Już w obecnym swym stanie okazywało się Arnas twierdzą niełatwą do zdobycia, choćby dla oddziału żołnierzy, którzy powracaliby z jakiejś wojny i w drodze do domu potrzebowaliby prowiantu. I miała to być twierdza jeszcze silniejsza, mimo że nie od razu i mimo że Sigrid zwykle chciała czego innego niż Magnus.

Dobrze wiedział, iż często przeprowadzała ona swoją wolę, gdy się różnili. Wiedział już także, iż potrafiła stworzyć wrażenie, że nie ona nim kierowała, lecz kornie poddawała się woli swego pana i władcy.

Tak było na przykład, gdy poszło o pozostałości po norweskich przodkach. Miejsce honorowe izby i ściany w głębi głównej sali starego domu zdobyły sprowadzone z Norwegii rzeźby w drewnie, obrazy okrętów wikingów na morzu, a wokół tych obrazów oraz dokoła inskrypcji w nich zawartych wił się wielki wąż, którego imienia Magnus zapomniał. Owe teksty runiczne pochodziły z zamierzchłych czasów i trudno je było odczytać.

Sigrid zaproponowała najpierw, by wszystkie te dawne bezbożne ozdoby spalić, skoro chciało się budować coś nowego. Ściany należałoby raczej obwiesić nowomodnymi tkanymi obrazami chrześcijan broniących świętego miasta Jerozolimy albo obrazami kościołów i chrztu pogan.

Magnusowi trudno było się pogodzić z myślą o spaleniu kunsztownych rzeźb przodków. Takich wszak już wówczas nie tworzono i zapewne nigdzie w Zachodniej Gocji nie znalazłoby się podobnych im ozdób. I trudno mu też było strawić jej słowa o bezbożności i pogańskiej sztuce. Ale w tym rację miała przecież ona.

Wszakże owi przodkowie, którzy rzeźbili węże, smoki i ryli znaki runiczne, nie znali innej snycerki i oto pozostały takie tylko piękne dzieła ich rąk. Obrazy, jakie stworzyli, przemawiały do widza głosem z przeszłości, ale przecież niekoniecznie trzeba było mieć nieczyste myśli z ich powodu. Niejako oglądało się promienny wschód słońca, mogło to oznaczać cokolwiek, a w epoce smoków znaczyło co innego niż w czasach naszego Zbawiciela. Magnus nie potrafił

wyrazić tego dość dobrze, skoro ona mówiła wciąż tylko o bezbożności i uwolnieniu się od tej obrazy wobec Boga za pomocą ognia. Stało na tym, że ona miała rację, a on się mylił.

Ale prócz sprzeczki z powodu smoków i run szło im też o to, kto mógłby stawiać mury - zwłaszcza pewno Svarte i Gur oraz niektórzy spośród ich potomstwa. Czy najpierw powinny by wszystkie prace skupić się na umocnieniach, czy raczej należało zacząć od ściany szczytowej nowego głównego budynku?

W starym domu ogień płonął pośrodku, dzięki czemu ciepło rozchodziło się właściwie równomiernie. W tylnej części budynku umieszczono niewolników i zwierzyne, w tej części zaś, gdzie było miejsce honorowe, mieszkał pan domu z rodziną i gośćmi. W taki sposób oszczędzano ciepło w srogie zimy.

Sigrid miała jednak całkiem nowe pomysły, przejęte oczywiście od mniichów z Vamhem. Magnus pamiętał jeszcze, że ze zdziwieniem i powątpiewaniem patrzył na to, co rysowała mu na piasku. Wszystko było inne, nic nie pozostawało po starym.

Według niej, główny budynek miałby się dzielić na dwie połowy, z dużymi drzwiami wejściowymi pośrodku, które prowadziłyby do sieni, skąd szło-by się dalej - albo na połowę pana domu, albo na połowę zajętą przez niewolników i zwierzyne. W tej ostatniej byłyby ponadto dwa poziomy: piętro służyłoby za stodołę, a parter za stajnię i oborę. Paleniska w tej połowie domu nie przewidywano, przeciwnie, ogień byłby tam zabroniony, i to pod surową karą.

W drugiej połowie głównego budynku, która miałaby się stać ich własną połową, jak dawniej, z miejscem honorowym, czyli ołtarzem, tylna ściana szczytowa powstałaby tylko z kamienia, a pod nią byłyby wielkie płaskie płyty ogniskowe, tak razem wmurowane, by powstało palenisko niemal równie szerokie jak dom, wyżej zaś znalazłyby się duże oraz murowane, utworzone z kamieni przewody kominowe.

Magnus wysuwał wiele zastrzeżeń, na które Sigrid miała tyleż odpowiedzi. Czy bez paleniska na całą długość nie będzie zbyt zimno w porze srogich mrozów?

-Nie, mój drogi panie i władco. Kamienne ściany grzeją nieustannie, bo za dnia zawsze jest żar, a w nocy te ściany utrzymują ciepło. I bez tych wszystkich otworów dymnych w dachu, przez które przedostaje się chłód jak diabli, łatwiej nam stale zachowywać ciepło z palenisk.

- Ale bez otworów dymnych w dachu wciąż będziemy chodzić z zaczer-

wienionymi oczami i kaszleć od dymu.

- Nie, mój drogi panie i władco. Ulatuje on tylko znad palenisk do mурowanych kominów, a do wielkiej izby się nie przedostaje.

-Ale niewolnicy i zwierzęta nie mają w ogóle ognia w swojej części domu, jakże więc zniosą zimę, nie możemy przecie stracić ich z powodu zimna, czy aby nie pozamarzają, przez co wiosną wielce zubożjemy?

- Nie, mój drogi panie i władco. Dzieląc ich częś'ć tak, iż powstaną dwa poziomy, sprawimy, że całe ciepło zwierząt utrzyma się na parterze, a skoro na piętrze będzie tyle siana, każdy dobrze się tam urządzi, także niewolnicy.

-Tak, ale budując po twojej myśli, kładąc długie kłody warstwami, doczekamy się tego, że przewieje nas i śnieg będzie nam wpadać do uszu, czy nie trzeba by jednak budować po staremu, stawiając kłody na sztorc?

- Nie, mój drogi panie i władco. Cieśle muszą pierwoc ociosać kłody tak dobrze, jak potrafią to zrobić swymi siekierami, aby leżały potem płasko jedna na drugiej. Później staną się one całkiem szczelne, gdy w szpary między nimi włoży się powleczony smołą len, a jeszcze później zasmołuje się ściany od zewnątrz i wewnątrz, tak jak to robią w Norwegii w drewnianych kościołach.

Tak oto Sigrid postawiła na swoim, ledwo jednak wspomniała o norweskich kościołach drewnianych, które zapewne obywateli się bez takich potworów jak smoki, uznała, że jeśliby się dobrze zastanowiła, mogłaby ustąpić w sporze o cześć dla przodków i ich niezbyt chrześcijańskie ozdoby. A wtedy Magnus nie omieszkał z wielkim zapalem i z uczuciem ulgi przyznać, że trzeba wpięrw przyspieszyć prace murarskie przy ich nowej siedzibie. Wszak uzyskał to, czego chciał.

Oczywiście przejrzał on małżonkę, oczywiście zrozumiał, jak udawało się jej w niemal każdej sprawie postawić na swoim. Czasami na krótko ogarniał go przypływ gniewu, gdy przychodziło mu na myśl, że jego małżonka zachowywała się tak, jakby nie on, Magnus, lecz ona rządziła w Arnas.

Ale to, co Magnus zobaczył teraz, gdy puścił cięciwę łuku i zawołał do niewolników, którzy stali w fosie, by zebrali strzały i odnieśli je na ich miejsce do zbrojowni, było widokiem nie tylko pięknym. Był to widok bardzo przekonujący.

Poniżej zamkowej wieży oglądał Magnus nową siedzibę ze lśniącymi od smoły ścianami i jaskrawozielonym dachem z darni. Na wszystkich domach dachy trzciniowe zastąpiono dachami z darni, choć w okolicy było pod do-

statkiem trzciny, którą łatwo się wycinało. Nie chodziło tylko o ciepło, cały dach przemieniał się w wielką pochodnię.

W drugim końcu posiadłości, też na podzamczu, w cieniu wzniesionego niedawno wysokiego muru znajdowała się długa obora. Wewnątrz wieży zaś trzymano zboże i przechowywano broń. Już teraz Magnus mógłby bronić swego Arnas przez pół dnia.

Gdy spojrzano się dalej na okolicę, widać było po drugiej stronie zewnętrznej fosy całą nową wieś. Tam właśnie znajdowała się garbarnia, od której wzdłuż rzeki, poza innymi domami, rozchodził się przykry zapach, tam wyprawiano skóry wołu i futra kun i gronostajów, za które w Lódóse można było uzyskać wiele srebra. Bliżej zamku znajdowały się, wzniesione dwoma rzędami, inne budynki, obory i domy dla służby, warsztaty kamieniarskie, kuźnie, spiżarnie, kuchnia, zakład bednarski oraz przedzalnia lnu. Niewolników i zwierzyny było dwa razy więcej niż ledwie przed kilku laty.

I zakrawało to na niepojęty cud. Magnus został przez swego ojca, który posiadał tę wiedzę od przodków, co żyli tak dawno, iż owych czasów niemal nie sięgała ludzka pamięć, pouczony, ile właściwie niewolnej służby i zwierzyny może utrzymać majątek takiej wielkości, jeśli nie chciałoby się dopuścić do tego, by dom zjadł swego pana.

Teraz roilo się tam od służby i zwierząt, dwakroć liczniejszych, niżby Magnus sam ważył się posiadać, a przecież Arnas bogaciło się i powiększało dalej, z miesiąca na miesiąc. Las, który sięgał niegdyś północnej fosy, odsunął się o dziesięć długości strzału z łuku, na tyle, że ledwo go było wyraźnie widać. Ów las dostarczył budulca na wszystkie nowe domy, które Magnus oglądał z góry. Tam, gdzie dawniej był las, rozpościerały się nowe pola i pastwiska.

I choć Magnus sypał srebrem na to, czego niepodobna było wytworzyć w Arnas albo co tylko srebro mogło zapewnić, jak sól czy ozdobienie wszystkich drzwi przez mistrza z Bjalbo, Magnusowy zapas wciąż się powiększał, tak jakby srebrne monety w dębowych skrzyniach, umieszczonych w skarbcu i innych izbach wieży, mogły się rozmnażać niczym zwierzyna czy niewolnicy.

Gdy król Sverker dwie zimy wcześniej otworzył w Lódóse mennicę, okazał się od niepamiętnych, bodaj czy nie pogańskich czasów jedynym monarchą, który nabrał przekonania do płacenia monetami. Większość kupców odniosła się nieufnie do tej nowej mody i wolała pozostać przy dawnym sposobie, a więc przy wymianie soli, wyrobów z żelaza, masła, skór, futer na odpowiednią ilość korców zboża.

Ale Sigrid z zapalem przekonywała Magnusa do tego, by od samego początku stosował nowy sposób i by jako pierwszy przyjmował srebro za wszystko, co sprzedawał. Uświadomiła mu, że tak pomógłby on królowi Sverkero-wi w przeforsowaniu innowacji, której nikt nie był przychylny, i dzięki temu zapewniliby sobie na przyszłość królewską łaskawość wobec Arnas.

Było też na początku tak, iż Magnus uzyskiwał dziesięć razy więcej za swoje towary niż ostatnimi czasy, gdy wszyscy inni wzięli z niego przykład. Ale samo pierwszeństwo pozwoliło mu w ciągu kilku lat podwoić swą fortunę. Sigrid zapewniała przez cały ten czas, że to znak nowej epoki i że mądrze czyni ten, kto w porę dba o swój dom, choćby szło o nowość tak dziwną i niepewną.

Jak zwykle miała rację. I gdy Magnus pojął, jaka siła kryła się na dnie skrzyń w zamkowej wieży, z powodu, którego sam nie rozumiał, zapragnął dać jej nauczkę, wychłostać ją, pokazać, gdzie jej miejsce jako małżonki.

Ale gniew Magnusa rychło ustąpił. I myślał on tak, jak właśnie teraz, kiedy dostrzegał, że ożywienie wokół Arnas rozprzestrzeniło się na całą okolicę, i kiedy modlitwą dziękował Bogu za najroztropniejszą małżonkę w Gocji; krainę Swewów uważał on za podupadłą i zacofaną, niewartą nawet tego, by Gocję z nią porównywać. Sigrid okazała się darem Bożym - to była prawda niepodważalna. I Magnus godził się z ową prawdą bez goryczy, gdy oto znalazł się w samotności, pod niebiańskim firmamentem, tam, gdzie tylko Bóg mógł usłyszeć jego myśli. Wszak wiadome to było jemu właśnie i Bogu, i oczywiście samej Sigrid. Nikt inny tego nie wiedział. Wszyscy mniemali, że kwitnąca okolica Arnas i należące do tej posiadłości dwie wsie w pobliżu drogi do Forshem były dziełem Magnusa i tylko jego. Wszyscy mieli go za kogoś wielkiego, kogoś, z kim należało się liczyć i kto potrafił tworzyć bogactwo.

Być może - tego Magnus nie był pewien - Sigrid posądzała go o tyle zarozumiałości, że sam ulegał owemu złudzeniu. Uznał on, iż nie powinien nigdy dopuścić do tego, by Sigrid dowiedziała się, że bardzo dobrze rozumiał, iż za wszystkimi dokonaniem stała ona sama. Tak będzie lepiej.

Zresztą, pocieszył się, Sigrid to on, a on stał się nią, wszak tego, co Bóg złączył, niechaj człowiek nie rozłącza. Wszystko, co kwitło i wyrastało wokół Arnas, stanowiło ich wspólne dzieło, jak Eskil i Arn byli na poły tożsami z nim, a na poły z nią.

Tak na to patrząc, bo przecież chrześcijaninowi inaczej nie godziłoby się patrzeć, miał siebie Magnus za wielkiego zaiste człowieka, i to dzięki Bożej

Opatrzności. Jakże bowiem inaczej mogło to wszystko dojść do skutku, jeśli nie właśnie dzięki Opatrzności Bożej?

\* \* \*

Zima była w Zachodniej Gocji porą uczt. A owej zimy, kiedy żywot króla Sverkera dobiegał końca, odbywało się nadzwyczaj wiele biesiad. Wzdłuż i wszerz tej krainy jeżdżono saniami, zresztą nie tylko gwoli pieczystego i piwa. Dla jednych był to chłodny czas niepewności, dla innych zaś gorąca pora planów na przyszłość oraz intryg.

Eryk Jedvardsson zapowiedział swą wizytę w Arnas tuż przed zimowym przesileniem, a jako jej przyczynę podał to, iż należałoby się lepiej poznać, skoro Sigrid i Krystyna były spokrewnione, i wspomniał, że wiele też trzeba by omówić. I, być może, udałoby się rozstrzygnąć spór o Varnhem.

W owej zapowiedzi zaniepokoiło Magnusa tylko to, że niejedno należałoby omówić. O co szło, Magnus nie pojmował, ale wydawało się to groźną zapowiedzią, wszyscy wszak wiedzieli, iż Eryk Jedvardsson snuł własne ambitne plany. Mógł nawet pretendować do władzy królewskiej. A to oznaczałoby z kolei, że zechce wybadać i wrogów, i ludzi przychylnych tym zamierzeniom.

Magnus długo bił się z myślami, rozważając wszystkie „za” i „przeciw”. Wiedział, co chciał sam osiągnąć w życiu. Zależało mu na solidnym i bogatym Arnas jako dobrej sukcesji dla Eskila i po części pewno także dla Arna. Kto jednak pozwoliłby uwikłać siebie w walkę o królewską koronę, ten mógłby wiele zyskać, ale też wszystko stracić. Magnus nie miał więc trudnego wyboru, bo przecież wyznaczył sobie cele życiowe aż po kres swoich dni, oby w sędziwym wieku. Zamierzał nadal budować, zajmować się handlem i powiększać swe ziemie. Taką jawiła mu się pewna droga do sukcesu i dostatku.

Wszelako - i w tym kryła się prawdziwa trudność - ktoś, kto nie wsparłby zawczasu zwycięzcy w walce o koronę królewską, musiałby się spodziewać przykrości, jeśli by ów triumfator następnym razem przybył w gościnę i chciał usłyszeć, dlaczego to nie uzyskał żadnego wsparcia, nim przestało ono być potrzebnym. Magnus wiedział o Eryku Jedvardssonie przynajmniej tyle, że mógł przewidywać, iż ów zdobywca wda się w walkę, a pewnym też było, że - tak o nim mówiono - niełatwo wybaczał swym nieprzyjaciołom. Na jakąkolwiek postawę Magnus by się zdecydował, mógł stracić.

W skrytości ducha nie uważał on siebie za wojowniczego. Umiał oczywiście posłużyć się mieczem i tarczą, oszczepem czy łukiem, bo czyż nie tego



uczył się za młodu? Miał on przy sobie dwunastu zbrojnych spośród, na ogół młodych wiekiem, dalekich krewnych, którzy nie mogli liczyć na żadną sukcesję, a nie znali innej pracy niż robienie bronią. Zdaniem Magnusa byli to w większości nicponie i lenie. Z wielkim trudem przekonał ich do tego, by przynajmniej połowę swego czasu poświęcali na prace ciesielskie i szkutnicze, jedyne, których nie uważali za wręcz uwłaczające ich godności i za odrabianie pańszczyzny. Resztę czasu woleli przeznaczać na gry wojenne, aby móc dobrze służyć, jeśliby zaszła taka potrzeba. W oczach Magnusa owe zabawy z bronią trwały jednak krócej niż czas spędzany przy piwie, którym ci woje gasili pragnienie.

Tak czy inaczej Magnus mógł wystawić dwunastu zbrojnych. I, choć nie bez trudu, uzbroiłby ośmiokroć dwunastu chłopów z dwóch wsi przy drodze do Forshem. Nie była to siła, która mogłaby przeważać szalę w walce o tron. Ale liczyło się co innego. Na przyszłość decydującym było opowiadanie się za lub przeciw zwycięzcy. A decyzja jednej połowy Magnusowego rodu, jego krewnych w Zachodniej Gocji, o poparciu Eryka Jedvardssona albo wystąpieniu przeciw niemu, zależała przede wszystkim od postawy drugiej połowy rodu - od krewnych z Bjalbo i Wschodniej Gocji.

Już wcześniej Magnus posłał po swego młodszego brata, Birgera, który - choć nie był najstarszy ani też nie przewodził krewnym z Bjalbo - w niejednej trudnej kwestii wypowiadał się w ich imieniu. Uchodził za przebiegłego, ale zarazem uczciwego w rokowaniach, za kogoś, kto mimo braku zarostu na policzkach mógł, zdaniem wielu, liczyć na wysoką godność w królestwie. Ktokolwiek sprawował tu władzę, ród z Bjalbo pozostawał silnym dzięki rozległości ziem i liczbie zbrojnych.

Birger, człowiek stale uśmiechnięty, przybył któregoś popołudnia z szybkością śnieżnej zamieci, wyprzedziwszy innych gości. Głośno pokrzykując, wjechał saniami w obejście, przed główny dom, i to tak zamasyście, że spod płóz tryskał śnieg. Żwawo wyskoczył z sań, pozwolił, żeby przysłani doń stajenni odprowadzili je, po czym rzucił na ziemię martwego wilka, aby zabrano go zaraz do garbarni, gdzie zdarto by z niego skórę; niejednen spośród nie-wolnej służby upatrywał nieszczęścia w tym, że martwy wilk znalazł się tak blisko ludzkiej siedziby.

Po chwili Birger zarzucił na siebie plecak z wykwinnym odzieniem i ruszył już w stronę głównego budynku, gdy Magnus wyszedł mu naprzeciw. A kiedy znalazł się wewnątrz i natknął na Sigrid, którą powitał w słowach

dość ostrożnych, choć dwornych, wychwalał też zaraz ich siedzibę. Oprowadzany przez Sigrid, za którą podążał Magnus, obszedł Birger główną izbę, chłonąc ciepło z krótszej ściany, w niej bowiem, między kamiennymi bryłami, umieszczono palenisko z bierwion, zachwycony, zacierał ręce, nie omieszkął też wybrać sobie łoża, na które zrzucił wierzchni strój, po czym wyrównał wełnianą kołdrę na łożu, a po chwili doszedł do ławki w pobliżu paleniska i zaczął opowiadać o swej jeździe po lodzie przez jezioro Wetter, o tym, że natrafił na stado wilków, że koń łatwo je doścignął mimo cienkiej powłoki śniegu na lodzie, że ustrzelił wilka, który utknął między siedziskiem a płozami sań, dzięki czemu pozostałe wilki odstały.

Potem Birger odruchowo wyciągnął rękę i znalazła się w niej czarica piwa, chociaż ani spojrzął on na sługę, który to piwo podawał. Wypił zdrowie gospodarzy i dosyć głośno, wielce zadowolony, odetchnął z ulgą.

Magnus czuł się niemal onieśmielony przy swym pełnym życia młodszym bracie, tego bowiem nic nie potrafiło przerazić jako trudne czy niemożliwe. Choćby to, że w srogą zimę zdecydował się na sanę po niepewnym lodzie, że w ciągu jednego dnia przedostał się bez trudu z Bjalbo do Arnas, sprawiło, iż Magnus zaczął rozważać, jak wiele właściwie znaczy pochodzenie braci od wspólnego ojca, choć od różnych matek.

Rozmowa o tym wszystkim, co działo się w obu siedzibach rodu, musiała potrwać i wreszcie Magnus dość nieśmiało pokierował ją ku trudnym sprawom, jakie czekały ich nazajutrz.

Ale nawet żadna z owych kwestii nie wydała się Birgerowi trudną. Cały problem skwitował on krótko:

- Ponad wszelką wątpliwość - zaczął, wyciągnawszy rękę po nową czaricę piwa - ów Eryk Jedvardsson jest człowiekiem, który zostanie kiedyś królem albo zostanie skrócony o głowę, albo spotka go i to, i tamto. Wszak wszyscy to wiemy. Ale tak jak się sprawy mają, nie może on uwikłać nas w żadną walkę. Nie może wygrywać Wschodniej Gocji przeciw Gocji Zachodniej ani też odwrotnie. Przekonałby pewno Swewów do swej sprawy, tyle że nie pogan. Jeśli zdoła ich przekonać, to zastanowimy się, jak postąpić. Wówczas bowiem gra przybierze inny tok. Dość o tej błahej kwestii, kiedy się posilimy?

Przybycie Eryka Jedvardssona do Arnas, co nastąpiło nazajutrz, okazało się wielce wymowne. Zajechał on czworgiem sań, z dwunastoosobową świtą, jakby już był królem albo co najmniej jarlem. Pojawił się zresztą na cztery godziny przed porą, o której można było go oczekiwać, ponieważ ze swego dworu

w Ladas na południu kraju, nad rzeką Lidan, nie wyruszył tego samego dnia. Pokonawszy nie mniej niż połowę drogi, zatrzymał się na noc w jednej z rezydencji króla Sverkera, mianowicie w Husaby. Ale choć bawił tam tak krótko, rozegrało się w owym Husaby coś, o czym niewiele chciał mówić.

Obracane na rożnach mięso było jeszcze półsurowe, do kuchennych budynków wnoszono wciąż upolowaną zwierzynę, a Sigrid ledwo zdążyła posprzątać główną izbę i rozwiesić kilimy, więc dla formy nieco przedłużono powitanie, pozwalając na łyk piwa i posmakowanie białego chleba, chluby Arnas, po czym towarzystwo podzielono tak, by czas mijał bez zbytej nudy. Magnus poprosił dowódcę swych zbrojnych o zajęcie się towarzyszami broni z Ladas, żeby dobrze się poczuli i nie byli spragnieni. Sigrid zabrała ze sobą Krystynę, chcąc pokazać jej siedzibę i wszystkie nowe domy w majątku, Magnus zaś poszedł z Erykiem Jedvardssonem ku umocnieniom, gdzie obejrzeni prowadzone tam prace.

Eryk Jedvardsson nie okazał podziwu dla tego, co zobaczył. Stwierdził, że wzniesiono zbyt niskie i zbyt kruche mury, że podwójna fosa to zapewne szczwany pomysł, ale głębokie fosy nie na wiele się zdają przy obronie zimową porą, gdy jest lód. I w tym tonie mówił też dalej, wciąż czyniąc porównania z własnymi budynkami, zwłaszcza z - już prawie gotowym - kościołem na Erikbergu. Zatrudniał oczywiście angielskich kamieniarzy, których sprowadził od krewnych ojca z Anglii, zaproponował zresztą, że wiosną mógłby ich wynająć Magnus, nie musieliby więc wracać do domu.

Magnus nie oponował. Jeśli nawet mury Arnas okazywały się zbyt niskie i kruche, to były one nazbyt niskie i kruche dla króla. Gdyby król chciał zdobyć tę rwiędzę, miałby więcej, i wytrwalszych, oblegających, niż gdyby próbował tego ktoś, kto był tylko kupcem. Eryk Jedvardsson widział już siebie w roli króla i nietrudno było się tego domyślić.

Tyle że Magnus nie czuł się dobrze w jego towarzystwie. Tamten górował i wzrostem, i posturą, przez co mówił i zachowywał się tak, jakby był gospodarzem, a nie gościem.

Tym przyjemniejszym było zaskoczenie Magnusa, gdy pozostawili za sobą umocnienia i zaczęli oglądać stajnie i główny budynek posiadłości. Wzniesiono je wszak całkiem po nowemu, ściśle układając warstwami bale sosnowe, także murowana ściana szczytowa głównego budynku, z trzema wielkimi otworami dymnymi w kalenicy dachu, była czymś zgoła nowym dla Eryka

Jedvardssona, u którego wznoszono nadal pionowe konstrukcje uszczelniane słomą i gliną.

Wkrótce Magnusowi poprawił się humor, mógł bowiem opowiedzieć o swoich pomysłach co do budowania, choć przecież nie zapominał, że do wszystkich nowości przekonała go Sigrid. Był jednak pewien, iż ona nie miałaby mu za złe tego, że przedstawił całe to wielkie dzieło jako własne.

Gdy Eryk Jedvardsson został zaproszony do głównej izby i owionęło go ciepło od szczytowej ściany domu, zaczął głośno wychwalać wszystko i nie omieszkał powieść ręką po balach i fugach, aby stwierdzić, że nie przedostawał się przez nie chłód. Skoro tego niebezpiecznego gościa poczęstowano już piwem, wspomniał Magnus nieśmiało o tym, że tam, na północy kraju, gdzie stykały się ze sobą dwa ciągi lasów, Sunnanskog i Nordanskog, było tyle drewna z wysokich, strzelistych sosen, że istniały w owych okolicach całkiem inne warunki budowania niż na przykład na południu, nad rzeką Li-dan, gdzie można było wykorzystywać przeważnie lasy liściaste.

Ponieważ piwo rozgrzewało, nastrój Magnusa zaczął się poprawiać.

Sigrid zetknęła się z innego rodzaju trudnościami, kiedy oprowadzała swą krewną, Krystynę. Mogły one odnosić się do siebie tylko uprzejmie i chłodno, skoro Krystyna miała pretensje do duchowieństwa i do króla twierdząc, że przynajmniej część Varnhem powinna przypaść jej, a prócz tego bynajmniej nie wyzbyła się swojej części dziedzictwa na rzecz jakichś tam mnichów.

Nie byłoby im jednak zρέcznie poruszać tej kwestii pod nieobecność małżonków. Jeśliby w ogóle miały paść jakiegokolwiek słowa na ten temat, niech nastąpi to wtedy, gdy wszyscy, którym przysługuje prawo wypowiedzenia się w owej materii, zbiorą się w jednej izbie.

Krystyna była oczywiście pod wrażeniem najróżniejszych warsztatów, które powstały w tej posiadłości. Zrażone zapachem, nie doszły obie do garbarni, ale zwiedziły kuchnie, warsztaty kamieniarskie, kuźnie, warsztat bednarza i przędzalnię lnu, po czym obeszły spiżarnie i jeden z domów dla niewolnej służby, gdzie zaskoczyły dwoje, którzy się gzili, nie były jednak wcale skrepowane tym widokiem, a tylko wypowiedziały kilka uspokajających słów, kiedy mijaly ową parę zażenowanych niewolników. Krystyna wspomniała zresztą żartobliwie, że u siebie dbała o to, by przynajmniej co druga osoba spośród służby była płci męskiej, bo przecież ci nieszczęśnicy rozmnażali się ponad miarę i przysparzali zbyt wielu nowych ludzi, których należało wyżywić.

Sigrid wyjaśniła, że sama poniechała tego zwyczaju. Nie tyle ze względu

na niewolników, choć pewno zmiana bardzo przypadła im do gustu, raczej dlatego, że nie było ich w nadmiarze.

Takiego sposobu myślenia Krystyna nie potrafiła zrozumieć. Więcej niewolnej służby to więcej gąb do nakarmienia, więcej zwierzyny na ubój i więcej ziarna na mąkę - czyż to nie jest jasne jak słońce?

Sigrid spróbowała wyjaśnić, że w miarę powiększania się rodzin niewolników przenoszono ich na ugory, które trzeba było uprawić, i wyzwalano ich, wspomniała też o corocznym przybytku w postaci dodatkowych baryłek ziarna z nowizn oraz o tym, że mieszkańcy oszczędzali na jedzeniu, kiedy sami za nie płacili, bo chcieli się wyzwać.

Takie dziwaczne myśli tylko śmieszyły Krystynę, która wyobraziła sobie, że wyprowadzano krowy na zielone pastwiska, gdzie je dojono i ubijano, aż wreszcie przychodziło upiec samych siebie. Sigrid zaniechała rychło wszelkich prób objaśniania i w końcu zaszła z Krystyną do łaźni, gdzie wówczas, o zmierzchu, myła się cała gromada niewolnych sług.

Kiedy otworzyły się drzwi łaźni i z tamtejszym wilgotnym ciepłem zetknął się chłód, jak to w środku zimy, stały naprzeciw wielkiego obłoku pary. Gdy zaś zamknęły za sobą drzwi i odzyskały wzrok, Krystyna po raz pierwszy nie potrafiła ukryć zdziwienia. W łaźni roilo się od nagich niewolników obojga płci, którzy biegali na przemian z wiadrami gorącej wody, tę zaś wlewali do wielkich wanien narożnych albo też mieszały ją z parującą wodą w innych wannach. Sigrid wybrała jedną z niewolnic i pozwoliła Krystynie dotknąć jej ciała. Czyż nie były to zdrowe i odżywione niewiasty?

I owszem, pięknie się prezentowały. Ale cóż to za pomysł, żeby niewolnicy korzystali z ogrzewanej łaźni, jakby byli szlachetnie urodzeni - tego Krystyna nie potrafiła zrozumieć.

Sigrid wyjaśniła, iż była to przecież służba domowa, do której należało przygotowywanie pieczystego, wnoszenie tych mięs, podawanie piwa i do późnej nocy wynoszenie naczyń. Czyż nie przyjemniej mieć do czynienia ze służbą czystą, nie pachnącą brzydko? Po umyciu wszyscy ci ludzie ubierali się zresztą w lniane ubrania, wszak w Arnas wyrabiano ostatnimi czasy o wiele więcej lnu niż można było sprzedać.

Krystyna kręciła głową i pokazywała jednak po sobie, jak bardzo niedorzecznym wydawało jej się takie traktowanie niewolników. Stwierdziła nawet, że mogliby sobie coś nabić głowy.

- Już sobie nabili - odparła Sigrid z uśmiechem, który dla Krystyny był trudny do pojęcia.

Gdy jednak pod wieczór rozpoczęła się biesiada, piękny to był widok, kiedy cała domyta służba w białych lnianych szatach weszła procesją do głównej izby, wnosząc na początek różne mięsa, dziczyznę, biały chleb i zupę z cebuli, fasoli oraz czegoś nowego dla gości, co Sigrid określiła jako czerwone korzenie.

Na urządzonym po norwesku miejscu honorowym, ozdobionym smokami, zasiedli Magnus i Eryk Jedvardsson. Po lewicy Magnusa siedzieli: jego brat Birger, synowie Eskil i mały Arn, i z nimi razem ich rówieśnik Knut, syn Eryka Jedvardssona. Na prawo od miejsca honorowego zasiadły Krystyna i Sigrid. Wzdłuż ścian umieszczono w żelaznych oprawach łuczywa, na długim stole, który według starszeństwa obsiadło dwudziestu czterech zbrojnych, płonęły kosztowne świece woskowe, niczym w kościele, a kamienna ściana za miejscem honorowym roztaczała ciepło, tyle że tym mniej, im dalej od środka izby. Najmłodsi zbrojni, którzy znaleźli się na samym końcu, rychło opatulili się płaszczami.

Ci, co pilnowali roznów, zaczęli podawać najkruchsze mięso, jak też to, czym można było najszybciej uraczyć, delikatną wieprzowinę przyrządzaną w kuchni między dwiema częściami głównej siedziby. Później zamierzano podać mniej wyszukane zakąski, jak cielęcinę, baraninę i mięso z młodych dzików, oraz ciemny, razowy chleb, pieczony po dawnemu, dla tych, którzy nie gustowali w nowomodnym białym chlebie. Piwa wznoszono bardzo wiele, już to mocnego, bez przypraw, już to takiego, co nadawało się dla niewiast i dzieci, z dodatkiem miodu albo imbiru.

Z początku uczta miała pomyślny przebieg i chętnie rozprawiano o rzeczach mniejszej wagi, przy czym zawsze pogodny Birger mógł jeszcze raz opowiedzieć o ustrzeleniu wilka, czego dokazał poprzedniego dnia.

Eryk Jedvardsson i jego zbrojni przepijali do gospodarzy. Magnus i jego woje przepijali do gości, wszyscy więc byli w dobrym nastroju, nikt nie miał złych myśli, nie padały żadne przykre słowa.

Eryk Jedvardsson zdobył się nawet na to, żeby jeszcze raz pochwalić zalety głównej izby, nowy sposób budowania z użyciem długich kłoców, i to tak ściśle, piękne smocze ozdoby wokół miejsca honorowego, zwłaszcza zaś łoża, których rząd wzdłuż jednej ze ścian utworzył jakby przegrodę i które powstały z obfitości materii oraz skór zwierzęcych ułożonych warstwami, a zarazem tak, by wiele osób mogło skorzystać z jednego posłania bez zbytej ciasnoty

czy zbytniego ciepła. Również to warto było mieć na uwadze, jeśli się samemu budowało nową siedzibę. Magnus wyjaśnił skromnie, że ów sposób przygotowywania noclegu był zwyczajem norweskim i każdy Norweg wiedział, iż ułożenie się nieco ponad podłogą lepiej chroniło przed chłodem.

Gdy jednak Eryk Jedvardsson wlał w siebie więcej piwa, wyostrzył mu się język, choć z początku nie na tyle, by to zauważono. Zadrwił on z króla Sverkera, jedyne go monarchy na Północy, który potrafił wygrać wojnę, będąc tchórzem, a jeszcze bardziej szydził z mnichów i kłopotów, jakich przysparzali tacy ludzie. Potem wspomniał znowu o tchórzliwym królu Sverkerze oraz zabawnym kolejnym ożenku tego starca z niemłodą oblubienicą, ową Rychezą, która była nawet małżonką kogoś z Rusi, Wołodara czy jak go tam zwali, po przeciwnej stronie Wschodniego Morza\*.

- Ależ, drogi gościu, czyś nie pomyślał o tym, że król jeszcze raz uratował kraj przed wojną i zgliszczami? - wtrąciła Sigrid z bardzo wesołym wyrazem twarzy, jakby i jej piwo uderzyło do głowy, i jakby mogła dlatego pleść, mniej niż zwykle licząc się ze słowami. Magnus spojrział na nią surowo, czego ona wolała nie zauważyć.

- Jakże to! Czymże wielkim przysłuży się ten starzec krajowi, mając dwa-kroć owdowiałą niewiastę w łożu? - odpowiedział głośno Eryk Jedvardsson, zwracając się raczej do swej, siedzącej bliżej końca stołu, zbrojnej świty niż do Sigrid. Owi zbrojni nie omieszkali przyjąć jego słów ze śmiechem.

- Wszak Rycheza ma syna z pierwszego małżeństwa, Knuta Magnussona, i rzezony Knut Magnusson został właśnie królem Danii, pewno tedy nie zaatakuje kraju, w którym jego matka jest królową - odparła ostrym tonem Sigrid, skoro tylko ucichł rechot zbrojnych. Mówiąc to, wyglądała jednak na bardzo zadowoloną z siebie. Gdy zaś Eryk Jedvardsson sposepniał, z jeszcze radośniejszą miną przerwała przykre milczenie i dodała, iż nawet starzec niezdolny do okazania męskości w łożu potrafi zapobiec wojnie właśnie dzięki temu łożu. Tak oto nawet osłabły członek uczyni coś dobrego, a to nie co dzień się zdarza.

Ow ostatni żart o bezsilnym członku króla sprawił, że wszyscy zbrojni wybuchnęli głośniejszym i skwapliwszym śmiechem niż ten, jakim dopiero co skwitowali żart Eryka Jedvardssona.

Sigrid spuściła wzrok z niejakim zawstydzeniem i poczuła, że się zaczerwieniła z powodu swej śmiałości. Ale Magnus miał już złe przeczucia. Nikt

\* Morza Bałtyckiego (przyp. tłum.).

lepiej niż on nie wiedział, jak ciętym językiem była obdarzona jego małżonka. Nikt nie był też bardziej świadomy tego, iż jeśliby na tej uczcie szło o zwycięstwo w szermierce słownej, w krzyżowaniu słów, jakby to były miecze, wszystkich, może tylko z wyjątkiem Birgera, pokonałaby Sigrid. A tak być nie mogło, musiałyby się to źle skończyć.

Magnus uratował tymczasowo sytuację, spieszenie rozpoczynając długi i dość mętny wywód o znaczeniu ogromu wiedzy, jaką mnisi obdarzyli kraj. Wystarczyło rozpatrzeć się po Arnas i dostrzec nowy sposób budowania, możliwość zawieszania sporo większych kół młyńskich, to, że można było siać pszenicę już na jesieni i pozwalać jej zapadać w zimowy sen, po czym przez całą wiosnę i lato aż do żniw rosła sama z siebie. Magnus wspomniał też o pomysłe wymiany towarów na srebrne monety zamiast wymiany towaru za towar, a więc o czymś, co zapewne miało przyszłość. I o innych rzeczach, w większości poznanych dzięki Sigrid, ale przecież tylko oni dwoje wiedzieli, że nauczyła go tego wszystkiego właśnie ona.

Gościowi nie było oczywiście zżęcznie przerywać wywód gospodarza, ale gdy Magnus zaczął się powtarzać i po raz trzeci napomknął o znaczeniu srebrnego pieniądza w handlu, Eryk Jedvardsson wstał demonstracyjnie i wyszedł za potrzebą. Wtedy Magnus zamilkł i niespokojnie zerknął na swojego brata, Birgera. Ten jednak uśmiechał się niezmiennie i nie widać po nim było żadnego niepokoju, kiedy pochylił się w stronę Magnusa i szeptem zaproponował, żeby też wyszli się wysuszać, bo przecież niebawem nadejdzie pora na to, co sprowadziło ich gościa.

Przerwa w uczcie właśnie w owym momencie przydała się zresztą. Za przykładem dostojnego gościa poszła połowa zbrojnych i wkrótce prawie wszyscy mężczyźni stanęli na stronie i wdali się w wesołą pogawędkę, spryskując leżący tam chrust - zimą obejście przedstawiałoby się zbyt nieporządnie po obfitej uczcie, jeśliby nie rozrzucano chrustu, który niewolnicy szybko zmieniali, kładąc go w równych odstępach.

Kiedy Eryk Jedvardsson znów zajął miejsce honorowe obok Magnusa i gdy nalano mu jeszcze raz piwa, uniósł rękę na znak, że chciałby mówić bez przeszkód. Birger zerknął z dyskretnym uśmiechem na Magnusa i porozumiewawczo pokiwał głową.

- Cała ta pocziwa gościnność nazbyt uderzyła nam do głów i rozprawialiśmy zwłaszcza o własnych zaletach - zaczął Eryk Jedvardsson, po czym z uśmiechem przeczekał uprzejmy śmieszek swych zbrojnych i mało kogo



prócz nich - oto jednak nadszedł czas na pewną poważną sprawę. Dni króla Sverkera są policzone. Nie przesadzam, wkrótce zabraknie go wśród nas na tym świecie. Karol Sverkersson pozostaje w swoim Linkóping i sądzi, iż jemu przypadnie królewska korona. W Zachodniej Gocji wolimy raczej uniknąć podobnego nieszczęścia i ja jestem jednym z tych, co właśnie tak myślą. Zamierzam przeto z Bożą pomocą zdobyć królewską koronę dla siebie. I pytam teraz was, krewnych i przyjaciół, czy będę mieć wasze poparcie, czy też przyjdzie mi opuścić ten piękny dom jako wrogowi?

W izbie zapadło całkowite milczenie. Nawet trzej malcy obok Birgera wpatrywali się ze zdziwieniem w Eryka Jedvardssona, który oświadczył właśnie, iż pragnie zostać królem. A zarazem zagroził wrogością.

Magnus z rozpaczą w oczach poszukał wzrokiem swego brata Birgera, który tylko się uśmiechał i teraz skinieniem głowy dał do zrozumienia, że sam pokieruje dalszym ciągiem wydarzeń.

—Panie Eryku, mówisz z taką mocą i stanowczością, iż ani przez chwilę nie zwątpiłbym, że możesz zostać królem nas wszystkich - zaczął Birger tak głośno, by obecni zauważyli, że mówił on, młodszy brat, który siedział poniżej miejsca honorowego, a nie Magnus. Po chwili spuścił z tonu:

—Niechaj najpierw odpowiem. Mówię w imieniu całego rodu z Bjalbo, to mi bowiem powierzono. Mój brat, Magnus, odpowie po mnie, wszelako wiesz pewno, że liczne więzy krwi łączą nasze dwa rody i raczej nie wystąpią one przeciwko sobie. Pociesz się jednak. W tej materii oraz w tym momencie nie jesteśmy ci ani wrogami, ani przyjaciółmi. Abyś został naszym królem, czego wszak pragniesz, musisz na początek przekonać całkiem inną część kraju. Musisz sprawić, iżby Swewowie wybrali cię królem u kamieni Mora. Jeśli tego dokonasz, już w połowie zdobędziesz, czego chcesz. Jeślibyś natomiast spróbował wbrew woli ludzi ze Wschodniej Gocji zostać królem Gocji Zachodniej, to naraziłbyś się tylko na wojnę, a kto w tym strasznym starciu byłby zwycięzcą, nikt dzisiaj nie wie. I to samo odnosi się do innej drogi, którą byś obrał. Musisz tedy pierwszej przekonać do siebie Swewów. A jeśli to osiągniesz, możesz liczyć i na nasze poparcie. Powiedz, mój bracie Magnusie, czyż nie mam racji?

Magnus zauważył, że wszyscy skierowali wzrok na niego i zapadła taka cisza, jak w chwili największego napięcia łuku, na krótko przed trafieniem strzały do celu. Pogrążony w myślach, jakby był sędziwym mędrcom, Magnus kiwał tylko z wolną głową. Z głębi izby, od strony zbrojnej świty Eryka Jedvardssona, słychać było pomruk niezadowolenia.

- Ty, Birgerze, jesteś żółtodziobem! - wykrzyczał purpurowy na twarzy Eryk Jedvardsson. - Za twe bezczelne słowa mógłbym rozprawić się z tobą tu i teraz. Kimżeś jest, że pouczasz dorosłego wojownika, co miałby zrobić?

Eryk Jedvardsson sięgnął po miecz, tak jakby zapomniał, że nie godziło się już biesiadować z mieczem u boku; całą broń złożono w środkowej części domu, gdzie przyrządzano pieczyste.

Birger nie przeląkł się owego udawanego sięgnięcia do pustej pochwy i ani przez chwilę nie przestał się uśmiechać, gdy odpowiadał:

- Możesz mieć mnie za żółtodzioba, Eryku Jedvardssonie - zaczął chłodnym tonem, tyle że nieco głośniejszym niż przedtem, aby jego słowa dotarły do wszystkich obecnych. - Nie cieszy mnie to, że widzisz we mnie tylko żółtodzioba. Nie pomożesz jednak swojej sprawie większej wagi, albowiem, jeśli ruszysz z mieczem w dłoni przeciw mnie, to w jednej chwili sprowadzisz nieszczęście na siebie samego, jakkolwiek się walczy.

- Czyżbyś, szczeniaku, sądził, że bodaj przez chwilę stawisz mi czoła w walce na miecze?! — wykrzyczał jeszcze bardziej purpurowy Eryk Jedvardsson, już tak rozsierdzony, że wszyscy obecni mieli najgorsze przeczucia i któraś niewolnica pospieszyła dyskretnie zabrać stamtąd trzech malców, których miał przy sobie Birger.

Ten zaś wstał powoli i, nadal uśmiechnięty, odpowiedział:

- Eryku Jedvardssonie, teraz już naprawdę czas, abyś się opamiętał, jesteś wszak naszym gościem. Jeśli będziemy oto walczyć na miecze, to nie czeka cię nic dobrego. Gdybyś tu i teraz padł, nigdy nie zostałbyś królem. Gdybyś mnie uśmiercił, cała reszta twego żywota stałaby się długą podróżą z *tingu* na *ting*, a to za sprawą rodu z Bjalbo, który zabiłby cię w końcu, jeśliby ów pościg za tobą nie wystarczył. Opamiętaj się i pomyśl! Na wyciągnięcie ręki masz królestwo, w to nie wątpię. Nie pozwól, by ci się wymknęło dlatego tylko, iż rzecznik rodu z Bjalbo wydał ci się zbyt młodym i zbyt rezolutnym człowiekiem! Pierwej przekonaj Swewów, a potem nas. To ci radzę po raz wtóry.

Birger usiadł spokojnie i pochylił się ku jednej z przerażonych służek, prosząc o dolanie piwa, tak jakby nie stało się nic nadzwyczajnego.

Eryk Jedvardsson siedział przez dłuższą chwilę w ponurym nastroju, zanim odpowiedział. Pojął już, iż młody Birger z Bjalbo mówił słusznie i przekonująco. Musiał przyznać, iż sam został oto pouczony i pokonany na słowa przez rezolutnego młodzieńca. Nie sposób było udawać, że nie padły słowa, które wszyscy słyszeli.

- Cóż... - wyrzekł w końcu. - Pomyślałem już rychlej o tym, by się udać ku kamieniom Mora i zdobyć przychylność Swewów, co do tego zgadzamy się przeto. Wszakże za twoje słowa oskubię cię jak gęś, kiedy powrócę tu królem.

- W to nie wątpię, przyszedł mój panie i królu - odparł z szerokim, niemal przesadnym uśmiechem Birger, po czym gwoli zakpienia z króla odwłókł dalszy ciąg odpowiedzi. - Skoro wszelako uznajesz moje rady za dobre, proponuję, abyś raczej uczynił mnie swym jarlem niż oskubał mnie jak gęś!

Śmiałość i wesołość, z jaką Birger rzucił te słowa w twarz pałającego gniewem Eryka Jedvardssona, odniosła zdumiewający skutek. Najpierw zapadło milczenie i Eryk Jedvardsson zerkał posępnie na Birgera, ten zaś odpowiadał tylko uśmiechem, a później na obliczu tamtego pojawił się nagle uśmiech od ucha do ucha. I Eryk Jedvardsson zaczął się śmiać. Po chwili śmiech ogarnął jego zbrojnych oraz wojów Magnusa, zaraz też niewiasty, służbę i wreszcie trzech malców, którzy wrócili teraz na swoje miejsca. Owa izba była więc pełna śmiechu - burza minęła.

Eryk Jedvardsson, który wyczuł, że lepiej będzie odłożyć rozmowy o jego drodze do korony królewskiej na inną okazję, postanowił raczej wydać się dobrym, zyskać sympatię, kłaśnięciem w dłońe przyzwał więc norweskiego barda, który przybył z nim ostatnimi saniami, i poprosił o śpiewane opowieści o czasach, kiedy to na Północy posiadano żądzę czynu i odwagę, które teraz widywało się zbyt rzadko.

Gdy bard wstał ze swego dalekiego miejsca wśród najmłodszych wojów i przeszedł na przód izby, gdzie było najcieplej, by tam śpiewać i snuć opowieści, służba pospieszyła uprzątnąć naczynia, donieść piwa i zetrzeć ślady moczu i plwociny sprzed drzwi. Zapadało już pełne oczekiwania milczenie, a tymczasem bard roztropnie czekał ze spuszczoną głową na to, by napięcie osiągnęło szczyt, i dopiero wtedy zaczął.

Słabym, ale pięknym, zaiste śpiewnym głosem opowiedział wpierw o ośmiu wielkich zwycięstwach Sigurda Jorsalafara w drodze do Jerozolimy, o tym, jak splądrował on hiszpańską Galicję, o tym, jak u mauretańskich wybrzeży natknął się on po raz pierwszy na okręty z saraceńskimi poganami na pokładzie, które składały się na wielką flotyllę galer pełnych wioślarzy, o tym, jak Sigurd bez wahania przystąpił do ataku i rychło pokonał pogan, którzy pewno nigdy wcześniej nie natrafili na okręty z Północy i wca le nie pojmo-

wali takiej walki, co mogło skończyć się tylko jednym i o czym bard opowiedział pieśnią:

*Biedni poganie  
napadli na króla.  
Ów potężny władca  
wszystkich uśmiercił.  
'W zaciętej walce  
osiem zniszczono okrętów.  
Władca, któremu sprzyjano,  
zebrał łup na pokładzie.  
Świeży żer skusił kruka.*

Tu bard urwał i poprosił o piwo, aby móc opowiedzieć więcej, a wszyscy zbrojni uderzyli pięściami w stół na znak, że chcieli dalej słuchać...

Najmniejsi chłopcy, Arn i Knut, wsłuchiwali się z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczyma, ale nieco starszy Eskil zaczął marudzić i ziewał, Sigrid wskazała więc służbie, że trzeba chłopców zabrać na spoczynek, a wcześniej zadbała o to, by posłano im w jednym z kuchennych budynków, bo uważała, iż mali chłopcy niekoniecznie musieliby spędzić całą noc wśród dorosłych mężczyzn, którzy pili bez umiaru.

Eskil wyszedł posłusznie za służbą, znowu zaczął ziewać i sprawiał takie wrażenie, jakby on też przedkładał ciepłe łóżko nad starca, który w niezbyt zrozumiałej mowie opowiadał znane historie z przeszłości. Ale Arn i Knut wierzgali, płakali, opierali się, bo chcieli usłyszeć więcej, obiecywali, że będą siedzieć cicho, na nic to jednak się nie zdało.

Niezdługo wszyscy trzej zostali okryci grubymi skórą zwierzęcymi w jednym z kuchennych budynków, gdzie trzy największe kotły wypełniono dla żaru węglem drzewnym. Eskil rychło przekręcił się na bok i spał potem z zamkniętymi ustami, a tymczasem Arn i Knut leżeli bezsennie, dosyć rozżaleni z tego powodu, że właśnie najstarszy z nich pozbawił ich przyjemności. Wkrótce porozumieli się szeptem, bez słowa ubrali się i na palcach wyszli w mrok, niczym małe skrzaty przemknęli obok dwóch zbrojnych, którzy stali przy drzwiach domu i wymiotowali, zwinnie wbiegli do izby i usiedli w ciemności, daleko od jej środka i blisko wyjścia, gdzie nikt nie mógł ich dojrzeć, zresztą Arn wziął ze sobą wielką skórę zwierzęcą, którą ostrożnie przykrył ich obu

tak, iż sponad niej wystawały tylko jasne czupryny chłopców oraz szeroko otwarte oczy. Siedzieli całkiem cicho, jak myszki, zupełnie pochłonięci kolejnymi wielkimi czynami Sigurda Jorsalafara.

Na północ od Mauretanii, na wyspie zwanej Formenterą — tak opowiadał bard, przerywając opowieść w oczekiwaniu na zupełną ciszę — Sigurd Jor-salafar i jego woje natknęli się na saraceńskich piratów, pogan i cuchnących niegodziwców, którzy nigdy się nie myli, nawet przed Bożym Narodzeniem, próżniaków, co zadawali się z oślicami, wszelako bogatych dzięki łupom zdobywanym na poczciwych chrześcijańskich pielgrzymach, którzy w swych miłych Bogu podróżach nie mieli się czym bronić.

Otóż owi poganie znaleźli dla siebie i wszystkich swych łupów dobre schronienie w pewnej grocie obok stromej górskiej ścieżki, a na wprost wejścia do groty wzniesli kamienny mur. Z początku więc ich górską twierdza zdawała się niezdobytą i piraci szydzili z nordyckich wojów, ponad owym kamiennym murem wymachiwali sztukami jedwabiu i innymi rzeczami, które były w cenie. Jako że poganie mogli strzelać z góry na dół i obrzucać przybyszów z Północy kamieniami czy też nieczystościami, gdyby ci próbowali pokonać stromą górską ścieżkę, taka próba pojmania pogan nie byłaby roztropna.

Sigurd Jorsalafar poradził sobie jednak. Kazał on ściągnąć z brzegu kilka barków — tak zwano łodzie z okrętów — i wnieść je na szczyt góry. Tam, ponad wejściem do groty, obwiązali Norwegowie wręgi i stawy owych łodzi grubymi powrozami, wypełnili barki odważnymi wojami, kamieniami i inną bronią, po czym tak wolno spuścili łodzie, że poganie sami zostali przechytzeni, musieli bowiem bronić się przed nieprzyjacielem, który przybył ze szczytu góry.

Bój skończył się rychło. Królewscy ludzie mogli barwić strzały krwią. Kruki zleciały się na świeży żer. W ciągu całej tej wyprawy nigdzie nie zdobyto obfilszych łupów.

Bard znowu został nagrodzony gromką owacją i poproszony o dalszy ciąg, udał jednak zmęczenie, wtedy otrzymał od Magnusa nieco srebra i dolało mu piwa. Przez chwilę siedział spokojnie, czekając na powrót tych wszystkich, którzy najdłużej zwlekali z siusianiem.

Chociaż co najmniej tuzin mężczyzn przeszło obok Arna i Knuta, a ten i ów prawie by zahaczył o nich, wychodząc czy wchodząc, nikt nie odkrył ich tam, gdzie się schowali, jak nocą w lesie kryją się piskłeta głuszców.

I oto latem Sigurd Jorsalafar popłynął ku Ziemi Świętej i został w Jerozolimie dobrze przyjęty przez króla Baldwina. Ten czuł się wielce zaszczycony odwiedzinami tak znacznego wojownika z Północy i razem z Sigurdem podążył konno nad rzekę Jordan oraz do solidnie umocnionego portowego miasta Akki, gdzie norweska flotylla rzuciła kotwice.

Król Baldwin wiedział, jak wykorzystać ową nordycką siłę zbrojną, gdyż z tymi wojownikami ruszył do Syrii, kraju, w którym uwolniono od pogan miasto Sydon, jeszcze jedno w Ziemi Świętej, które odzyskali prawowierni chrześcijanie.

Sigurd nie zażądał złota ani jedwabiu za tę pomoc. Za radą patriarchy i króla Baldwina przyjął natomiast kilka cząstek świętego krzyża, na którym zmarł sam Bóg. I przysiągł, iż powiezie te relikwie do Nidaros, na grób świętego Olafa, i tam wzniesie ogromny kos'ciół.

Bard jeszcze raz doczekał się gromkiej owacji, po czym uproszono go, by powtórzył najpiękniejszy fragment pieśni:

*Zwyciężył Sigurd*

*pod Sydonem, o tym się pamięta.*

*W zaciekłym boju żwawo robiono bronią.*

*Woje natrudzili się, by zdobyć ową twierdzę.*

*Cdy władca odniósł tryumf,*

*piękne miecze zabarwiła krew.*

Aplauz słuchaczy długo nie ucichał, długo też utrzymywał się szmer, bo oto jeden przez drugiego rozprawiali o dawnych wielkich czynach i o teraźniejszych monarchach, którzy przypominali raczej Sverkera, króla o bezsilnym członku, niż Sigurda Jorsalafara.

Magnus pozwolił sobie stwierdzić żartobliwie, że Norwegowie czymś przecież się różnili, sam wszak miał norweskie koligacje. Ale nikomu jego żartobliwe słowa nie przypadły do gustu, a już na pewno nie docenił ich Eryk Jedvardsson, który podniósł się teraz, trzymając podany mu wcześniej stary róg do picia, zapewne norweski, choć mógł tego nie wiedzieć, po czym wypił duszkiem za męską dzielność, nie oderwawszy rogu od ust. Po chwili wspominał o tym, że jakby poprzez objawienie zobaczył właśnie wtedy nowy

herb dla siebie i zarazem nowe godło całego królestwa. Miałyby na nim widnieć trzy złote korony królewskie: dla krainy Swewów, dla Gocji Wschodniej oraz Zachodniej. Powinny by się te trzy korony znaleźć na błękitnym tle. Eryk Jedvardsson przysiągł oto, iż w niezbyt odległej przyszłości to właśnie będzie jego nowy herb i nowe godło państwa.

Gorąco temu przykłaśnięto. Eryk Jedvardsson chciał zresztą powiedzieć więcej, ale czuł też potrzebę wysiusiania się, a że bardzo pragnął jednego i drugiego, to i mówił głośno i niezbyt trzeźwo, idąc ku drzwiom, zapewnił mianowicie, iż każdy, kto go poprze, będzie mógł liczyć na okrycie się sławą w krucjatach. Pierwsza z nich dotrze, być może, ledwie do ludów po tamtej stronie Wschodniego Morza, a skoro owi poganie zostaną ochrzczeni, przyda się pewno także pomoc naszym wojom w Ziemi Świętej.

Gdy Eryk Jedvardsson dotarł do drzwi, nie zdołał już przekroczyć wysokiego progu, lecz chwiejąc się na nogach, oparł się o framugę i ulżył sobie tam, gdzie stał.

Nie zauważył wcale, że obsiusiał Arna i swego syna, Knuta. Ci zaś musieli pozostać w ukryciu i ścierpieć to bez słowa. Żaden z chłopców nigdy nie zapomniał tamtej sytuacji, zwłaszcza że obsiusiał ich ktoś, kto miał zostać królem i świętym.

Zima trzymała Arnas w żelaznym uścisku. Żadna droga na południe nie była przejezdna od pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, a jeśli nawet przejechałoby się, przynajmniej saniami o szerokich płozach, po lodzie jeziora Werner, to trudno by było znaleźć poważny powód po temu, by zadać sobie tyle trudu. To, co Magnus zamierzał sprzedać w tamtych stronach, w Lódóse, mógł zbyć za podwójną cenę pod koniec zimy, w porze wyczerpywania się zapasów w niejednej spizarni.

W Arnas pracowano, jak zawsze, nie tylko w zakładach bednarskich, rzeźniach i przy soleniu mięsa, ale i w warsztatach niewieścich, gdzie zajmowano się przedzeniem wełny i lnu oraz tkaniem grubych materii, a także kilimów - tyleż na chwałę Bożą, co na radość ludziom.

Imię Suom nosiła pewna zręczna tkaczka, która różniła się od innych niewolnic tym, że miała jasne i proste włosy, nie zaś ciemne i kędzierzawe, a prócz tego była dość wysoka i piękna. Nie rodziła jeszcze i sprawiała wrażenie powściągliwej albo skłonnej do marzeń, mimo swej niewolniczej kondycji. Zauważono, że wolała nie słyszeć ordynarnych słów i rechotu, kiedy wypro-



stowana przechodziła obok kuźni czy któregoś z bednarskich warsztatów. Należała do służących przez Sigrid największą sympatią, dzięki czemu bywały obie bardzo często razem w tkalni i zawsze znajdowały nowe wzory na kilimy. Nieśmiało i nie bez strachu powiedziała „nie”, gdy Sigrid spytała ją kiedyś, czy nie zechciałaby poprzez chrzest przyjąć Białego Chrystusa. Sigrid poniechała później takich pytań, ale zarazem zdumiewało ją to, że poganka potrafiła tak pięknie, na chrześcijańską modłę, przedstawić wojów Pana oraz świątynie odnoszące tryumfy nad ciemnymi siłami, nad ogniem piekielnym, wspaniale świątynie Boże.

Już wcześniej dość irytowała Magnusa bezczynność, którą powodowała sroga zima. Lubił przecież pracę w warsztatach, a poza tym głęboki śnieg wykluczał wszelkie łowy. Zainteresował się jednak tkaniem kilimów, toteż Sigrid widywała na śniegu jego ślady, właśnie w pobliżu tkalni, dostrzegła też to, że gdy sama tam wchodziła, Suom bywała jakby wystraszona.

W końcu Sigrid wypytała ją o to bez ogródek i surowym tonem. Suom zaprzeczała, z początku nazbyt skwapliwie i z pewnym uporem, wreszcie jednak schowała twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

Sigrid pocieszała Suom, ostrożnie głaskała ją po plecach i objaśniła ową sytuację. Gdyby Suom była wolną kobietą, oznaczałoby to, że Magnus dopuścił się cudzołóstwa. Ale ten problem oczywiście nie powstał. Jeśli jaśnie pan chciał używać swych niewolnic, mógł to robić swobodnie. A nietrudno wszak było pojąć, iż Suom stanowiła nie lada pokusę, nie tylko dla wszystkich niewolników, lecz także dla panów. Zresztą Sigrid miała i sobie co zarzucić, i była tego świadoma. Często utrudniała Magnusowi korzystanie z mężowskich praw i tylko ona wiedziała, dlaczego tak postępowała, on zaś nigdy by jej nie zrozumiał. Sigrid nie życzyła sobie kolejnych dzieci, nie chciała grać w kości z życiem, miotana między bólem a śmiercią.

I za to przyszło jej teraz zapłacić. Jeśliby rozwiązanie Magnusa trwała nazbyt długo, jeśliby zaczęto go wyśmiewać i wyszydzać, trzeba by na pewno podsunąć myśl o ograniczeniu się w rozpuście. Tymczasem jednak należało przyjaźnie się odnieść do Suom, aby ta zrozumiała, że jej pani nie będzie zazdrosną nieprzyjaciółką, co w zamierzchłych czasach spotykało niejedną niewolnicę. Ze zgrozą przypomniała sobie Sigrid opowieść o kimś z rodu jej matki, o niewieście, której imię dawno wyszło jej z pamięci, a która kazała pewną chutliwą niewolnicę upiec w całości na rożnie i podać ją małżonkowi na wieczerzę. Jak opowiadano, tym sposobem ów mężczyzna został wyleczony ze świądu w pludrach.

Niezadługo rozeszły się w Arnas pogłoski o tym, że wyniosłej Suom użyto, nie mogła więc już okazywać buty i pogardy dla innych, jakby była dziewicą. Niewolną służbę płci męskiej skłoniły owe słuchy do coraz większej arogancji, a nawet rozzuchwalenia, śmieli nawet proponować, aby Suom raczej zadała się z kimś prawdziwie męskim, z buhajem, co dopadłby jej bez ceregieli i bez dwornych ukłonów, pozwalali sobie też na inne żarty w tym stylu. Na biedną Suom powiało lubieżnością. Tak oto zapowiedziane zostało przyszłe nieszczęście.

Dla chłopców, Eskila i Arna, była tamta sroga zima wspaniałą porą. Ich nauczyciel, brat-laik Erlend z Varnhem, powrócił do klasztoru tuż przed Bożym Narodzeniem i nie zdołał jeszcze, choć zbliżał się dzień świętego Pawła\* przedostać się przez śnieg do Arnas. Skoro dni, które chłopcy musieliby spędzić nad łacińskim tekstem o kanonizowanym filozofie, świętym Bernardzie, okazały się dniami wolnymi, nie omieszkali oni ochoczo zabić czasu zimowymi zabawami i psikusami. Najprzyjemniejszym zajęciem było chwytanie myszy w spichrzu i zanoszenie ich do kuchni, do niewolnic, po czym rozchichotani chłopcy uciekali stamtąd, a tymczasem o losie myszek świadczyły głośne krzyki, mocne uderzenia i jakieś głuchoe odgłosy.

Pewnego razu chłopcy zakradli się do zbrojowni i wyciągnęli dwie starodawne okrągłe tarcze i wynieśli je na wielki podjazd do stodoły przy głównym budynku, dokąd pod koniec lata zwożono siano, po czym usiedli na tarczach i zjechali na sam dół, jak małe wydry. Ich głośny i wesoły śmiech sprawił, że zwrócili na siebie uwagę, a gdy nadszedł ojciec i zobaczył, co zrobili z rzeczami przydatnymi dorosłym mężczyznom, wpadł w gniew i tak ich zbił, że rozżaleni pobiegli do tkalni - do matki.

Ta niewielka przykrość szybko jednak minęła. Niewolnik imieniem Svar-te, który dostrzegł pomysłowość chłopców, udał się do warsztatu ciesielskiego, znalazł tam kilka wystarczająco dużych desek i zbił je płasko razem. Węższą stronę tej płyty wygiął ku górze na podobieństwo przednich części płóz, po czym przetknął rzemień, tak jak wóz wyposaża się w cugle, i wkrótce chłopcy mogli znowu, wśród okrzyków i śmiechu, zjeżdżać do woli zasnieżoną stromizną.

Ale gdy synowie Svar-tego zobaczyli, co zrobił dla synów gospodarza, żądali takiej samej przysługi, a kiedy wspomniał o różnicy między dziećmi niewolników a dziećmi panów, wmieszała się w to Sot i przyszło mu cały

\* 25 stycznia (przyp. tłum.).

dzień spędzić w ciesielskim warsztacie. Dla własnych synów zrobił jednak trochę gorsze sanie.

Magnus był z początku nierad temu, że jego synowie tarzali się w śniegu i bawili wesoło razem z dziećmi niewolnej służby. Uważał to za niestosowne. Eskil i Arn powinni dorastać ze świadomością posiadania niewolników, a nie jako ich towarzysze zabaw.

Sigrid uważała, że dzieci są dziećmi, a różnice mające znaczenie w dorosłym życiu każde z nich pozna, kiedy będzie trochę starsze, czy to syn niewolnika, czy to syn właściciela majątku. Poza tym omijała ich przecież łacina.

Gdy wypowiedziała te ostatnie słowa, uśmiechnęła się na swój dwuznaczny sposób. Dla niej było to oczywiste, ale dla Magnusa niepojęte, że chłopcy mieli się uczyć łaciny. Sigrid wróżyła łacinie wielką przyszłość. On zaś był zdania, że znajomość tego języka przydawała się tylko zakonnikom i księżom, zresztą w Lódóse można było zawsze uprawiać handel w języku pospolitym, i to nawet z ludźmi przybywającymi z daleka, tyle że czasem stwarzało to trudności i trzeba było to i owo powtórzyć. Ale skoro tylko brat-laik dotrze z Vamhem i na nowo podejmie zajęcia z chłopcami, skończą się wspólne zabawy z niewolnymi dziećmi.

Zima nie chciała jednak zmniejszyć swej srogości wobec Arnas, zaś Eskil i Arn nie mieli nigdy tak radosnej zimy, mogli bowiem jeszcze więcej czasu spędzać z dziećmi niewolnej służby. Chłopcy zbudowali twierdzę ze śniegu i bronili jej na przemian: gdy Eskil z synami niewolników bronił, Arn atakował, mając tyleż dzieci służby do pomocy. Eskil i Arn dzierżyli w dłoniach małe drewniane miecze, a wszyscy inni musieli się zadowolić śnieżnymi kulami, bo przecież byli niewolnikami i broń im nie przysługiwała. Było z tego powodu trochę płaczu i siniaków.

Poza tym synowie Magnusa pomagali Kołowi, synowi Svartego, łapać myszy, które Svartemu przydawały się do uzupełniania futer gronostajowych. Te ostatnie były w cenie, za cztery skóry tych zwierząt kupowano niewolnika.

Gdy w okolicy Arnas pojawiły się wilki, Svarte zaczął wynosić resztki z rzeźni i umieszczać je w otworze zrobionym w jednej ze skrajnych stodół, skąd też wypatrywał wilków późną porą, kiedy była pełnia księżyca i bezwietrzna pogoda, przez co wiele się słyszało.

Eskil zapewnił niemądrze, Arn zaś z zapalem przytaknął, że ojciec pozwolił im brać udział w owej wachcie, byleby siedzieli cicho jak myszy. Svarte miał

pewne wątpliwości, ale nie śmiał zapytać pana Magnusa, czy to możliwe, by szlachetnie urodzonym trafiały się niemądre dzieci.

W odpowiednią pogodę Eskil i Arn wymykali się nocą, z grubymi baranicami pod pachą, żeby ze Svartem, który miał na podorędziu dwie kusze, czyhać na wilka. Ponieważ Svarte wspomniał o tym w domu, wkrótce także Kol tam się pojawił, znalazło się więc przy nim trzech chłopców ze skrami w oczach i sercami łomoczącymi niecierpliwie w oczekiwaniu, chłopców, którzy wystrzegali się szeleszczenia na sianie i wpatrywali się w białą od śniegu przestrzeń i w stosy padliny, co noc nawiedzane przez lisy.

W końcu, pewnej nocy, gdy księżyc stał się jakby o połowę mniejszy, a zarazem było przejrzyscie, cicho i bardzo zimno, nadeszły wilki. Ostrożne posuwanie się stada usłyszano, zanim je można było zobaczyć. Podekscytowany tym Svarte nakazał chłopcom gestem, by zamilkli zupełnie, by nie szeleścili i siedzieli jak trusie. W swoim przejęciu Svarte powiódł nawet ręką po szyi, chcąc dać do zrozumienia, jaka straszliwa kara czekała chłopców, ale zaraz się przekonał, że Eskil i Arn otworzyli szeroko oczy ze zdziwienia. Nigdy przedtem nie groził im, choćby dla żartu, żaden niewolnik. Teraz jednak kiwali skwapliwie głowami i każdy połączył palec wskazujący i palec środkowy, ślubując, że nie puści nawet pary z ust.

Nieznośnie powolne były ruchy Svartego, kiedy bez szelestu, zgrzytu czy trzasku napinał obie kusze. Jedną trzymał potem w pogotowiu, drugą zaś ostrożnie wymierzył, już gotową do strzału.

Ale wilki okazały się nieufne. Tworzyły one teraz czarne cienie na śniegu. Nie od razu się zbliżyły, przez co Svarte musiał opuścić kuszę, aby nie zmęczyć ramienia. W końcu podszedł bliżej pierwszy wilk, chapnął trochę mięsa i szybko znalazł się poza zasięgiem kuszy, a inne wilki wzięły zaraz z niego przykład. Chłopcy nie widzieli ich, ale słyszeli warczenie tych zwierząt, gdy rzucały się one na jedzenie. Po chwili jednak zaczęły zachowywać się spokojniej, zbliżały się jeden za drugim, niebawem więc stanęły tam wszystkie, zajęte objadaniem się, przy czym pomrukiwały i wydawały różne gardłowe dźwięki. Chłopcom trudno było wytrzymać owo napięcie, jak też zrozumieć, dlaczego Svarte tak działał.

Znowu dał im, już grzeczniej, znak, że powinni zachować zupełną ciszę, po czym uniósł kuszę i wymierzył ją. Ledwo strzelił, sięgnął po drugą kuszę, przyłożył ją do ramienia, zaraz też wycelował i znów strzelił. Na zewnątrz, w śniegu, rozległ się żalсны skowyt.

Usłyszawszy odgłosy manewrów Svartego, chłopcy odważyli się głośno wyrazić swoją radość, po czym podeszli bliżej i nawet walczyli o lepsze miejsce widokowe. Zobaczyli przez otwór w ścianie, że tam, na dole, leżał wilk, który rozkopywał śnieg. Svarte patrzył w milczeniu ponad głowami chłopców. Po chwili powiedział, iż nie jest to widok odpowiedni dla takich malców, w tym bowiem czasie jeden z wilków uciekał już, zraniony. Stwierdził, że chłopcy powinni wrócić do domu albo przeczekać bezpiecznie w stodole, póki on nie zejdzie na dół i nie sprawdzi, co się stało. Chłopcy obiecali natychmiast, że poczekają i nigdzie się nie ruszą.

Zszedłszy tam, gdzie trafiły strzały, Svarte, z laną w ręku, stanął pochylony do przodu i zbadał śnieg, także nieco dalej od siebie. Wilk, który już przestał wierzgać i padł, nie zainteresował Svartego. Po chwili natknął się on na ślady krwi i z trudem ruszył przez głęboki śnieg.

Chłopcy siedzieli długo w milczeniu, wsłuchując się, i w końcu zaczęli okropnie marznąć. Wreszcie rozległo się w ciemności mrozące krew w żyłach wycie, a zaraz potem gardłowe pomruki, jakby wilki były pod stodołą i się obżerały. Eskil, Arn i Kol pobledli, mocno wystraszeni, ale milczeli i czekali. Gdy nastawili uszu, usłyszeli wpierw słabo, potem wyraźniej, ciężkie kroki Svartego i jego sapanie.

- Ojciec niesie tamtego wilka na plecach, przez to tak sapie - stwierdził ze źle zagraną pewnością siebie Kol. Eskil i Arn kiwali w skupieniu głowami. W tym momencie nie przyszło im na myśl, że to zabawne, iż Kol nazwał niewolnika Svartego ojcem. Szlachetnie urodzeni mają wszak zawsze ojców, ale niewolnicy...?

\*\*\*

Nieszczęście spotkało jednak Suom, było jej przecież pisane. Stara niewolnica Urd, zmyślna w garbowaniu skór, choć niewiasta, miała słabego na umyśle syna imieniem Skule. Był on silny jak tur i potrafił dobrze wykonywać dniówki, jeśli prace nie wymagały zbyt wielkiego rozumu, na przykład przy żniwach, sprzątaniu siana i ustawianiu beczek warstwami. Toteż gospodarze wybacжали mu to, iż był nie całkiem użyteczny.

Od dawna zerkał na Suom, a wyczuwał, że inni niewolnicy szydzili zeń nie z powodu jego małego rozumu, słyszał też ich przytyki, których intencji się domyślał.

Na tydzień przed dniem świętego Pawła wbiegł Skule pod wieczór do tkalni ze sztywnym członkiem i uniósł spódnice Suom, jakby już dłużej nie mógł wytrzymać. Widziało to wiele osób i szybko sprowadzono pomoc.

Tak czy inaczej oznaczało to, iż Suom została niepiękną potraktowana i, jak rozumiano, pohańbiona. Nim nadeszła Sigrid, znalazł się Skule, już związany rzemieniami, na podłodze, po czym wyrzucono go na śnieg. Sigrid przestąpiła przez niego i podbiegła do Suom, która oddychała, ale była nieprzytomna. Sigrid zadbała o to, by przeniesiono Suom do najcieplejszego z budynków kuchennych i surowo przykazała starej Sot, żeby ta dobrze doglądała Suom, choćby uciekając się do sztuk, o których tylko sama Sigrid nie chciała nic wiedzieć ani słyszeć, byleby Suom doszła do siebie. A Skulego kazała Sigrid wrzucić do komory, którą można było dobrze zamknąć.

Po wieczornej modlitwie zapadła w głównym domu niezwykła cisza. Niewolna służba poruszała się powoli i nieśmiało, wążąc się ledwie na szepty. Ich przesadna czasem wesołość minęła bez śladu.

Również wokół honorowego miejsca, tam, gdzie siedzieli przy wieczerzy Magnus, Sigrid oraz dwaj synowie obojga, panował smętny nastrój i padało niewiele słów. O tym, co wszystkim teraz dręczyło, wypowiedział się Magnus ledwie w kilku słowach, gdy usłyszał, co się stało. Wspomnił, że nigdy nie był za wyrokami śmierci dla niewolników.

Dla Sigrid ta kwestia nie miała wielkiego znaczenia, wszak ów Skule musiał stracić życie, ktokolwiek miałby się zająć tą kłopotliwą sprawą. Nie można jednak było w żadnej mierze dać odczuć Magnusowi, że decydowała ona, a nie on. Jego swawolenie z Suom nie miało z ową sprawą nic wspólnego, nie powinien więc być uświadomić sobie tego, że Sigrid wiedziała i że, co gorsza, odczuwała zazdrość. Dlatego też postanowiła nic nie mówić i dać mu wolną rękę co do tej decyzji.

Tymczasem Magnus siedział tam z nadzieją na to, iż jego mądra małżonka uwolni go od udreki, jaką było dla niego szybkie decydowanie, i podpowie mu, jak należałoby postąpić. Akurat teraz ucieszyłoby go to.

Prawie wcale więc nie odzywali się do siebie. Eskil i Arn wyczuli ów nastrój i nie pozwalali sobie na żadne zbytki przy stole, lecz jedli w milczeniu, rozmyślając o sannie i wilkach.

W końcu musiał Magnus jednak zmierzyć się z problemem. Odchrząknął i odsunął od siebie pieczeń na znak, że się najadł i że życzył sobie jeszcze piwa, które podał mu zaraz któryś z milczących sług, raczej duch niż człowiek.

- Tak, już dawno nie uśmierciliśmy tu, w Arnas, żadnego niewolnika, wszak nawet na nich nie krzyczymy - zaczął z determinacją, której szybko się wyzbył, skoro pojął, że jego małżonka nie zamierzała mu odpowiedzieć.

- Czy sam go zabijesz, ojcze? - spytał przejęty Arn.

- Tak, synu, to przykry obowiązek gospodarza - odrzekł Magnus i zerknął w stronę Sigrid, która nie spojrzała jednak na niego. Dalszy ciąg odpowiedzi skierował więc do syna, choć właściwie mówił do żony:

- Pojmujesz chyba, synu, i ty, Eskilu, że mamy tu, w Arnas, porządek. Nasi niewolnicy okazują posłuszeństwo, dobrze też im się powodzi. Wszyscy oni wiedzą, iż mogą chwalić swoich pogańskich bogów za to, że są tutaj, a nie gdzie indziej. Ja wszakże jestem ich panem i prawodawcą. Zawsze potrzeba twardego prawa i wszelkiego prawa trzeba przestrzegać, tyczy to się również prawa gospodarza. Kto ucieka się do gwałtu, ten musi umrzeć, tak już jest. Niemiły to obowiązek, gdy przychodzi uśmiercić niewolnika, musi to wszelako nastąpić, iżbyśmy zachowali tutaj, w Arnas, porządek.

Magnus umilkł, wyczuł bowiem, że przemawiał do swych małych synów tonem i słowami ponad ich wiek. Ale naraziły go na to i ciekawość, i przestach obu chłopców.

- Czy sam go uśmiercis, ojcze? - powtórzył swoje pytanie Arn.

- Tak, sam to uczynię - odparł z westchnieniem Magnus. - W wielu innych majątkach utrzymują pewnie katów, ja wszakże nigdy nie uważałem tego za właściwe. Cóż taki człowiek miałby czynić, kiedy by nie uśmiercał czy chłostał sług swego pana? Powiadają zresztą, iż służba często po kryjomu zabija takich ludzi, nie, ja nigdy nie pragnąłem posiadać kata. Mój to obowiązek i ciężkie to brzemie. Wszelako niepodobna się od owego obowiązku uchylić, kiedy trzeba zabić, będziesz wiedzieć, że tak jest, Eskilu, przyjdzie w końcu zmierzyć się niejeden raz z czymś podobnym.

Rozmowa wyczerpała się równie szybko, jak rozgorzał jej płomień. Nie było nic więcej do powiedzenia w owej materii. I nie ożywiłby tej rozmowy żaden nowy temat.

Nazajutrz kazał Magnus swoim dwunastu zbrojnym i bez mała stu osobom z niewolnej i wyzwolonej służby, jeśli doliczyć dzieci, stanąć w najwyższym punkcie podzamcza, aby wszyscy mogli go oglądać, kiedy czekał niżej z szerokim mieczem w ręku.

W nocy źle spał, ale z małżonką nie zamienił ani słowa - wszystkie decyzje podjął samodzielnie. Postanowił oszczędzić owemu niewolnikowi mąk,

łamania kołem, ucięcia tej części ciała, którą najbardziej zgrzeszył, nie zamierzał pozwolić, by poniżano szyderstwami wisielca, chciał go tylko pozbawić życia. I chciał to uczynić osobiście, używając miecza. Okazałby się więc łagodnym panem, bo przecież zabicie mieczem było łaską, na którą występni niewolnicy nie zasługiwali.

Skule trząsał się z zimna i miał sine usta, gdy go prowadzono. Noc w komorze, bez grzejących skór, bez przykrycia, dała mu się we znaki. A jednak sprawiał takie wrażenie, jakby nie rozumiał, co go czekało. Gdy zobaczył swego pana, który stał na śniegu z wielkim mieczem i chrustem dookoła stóp, zaczął kopać i się wyrywać, rozbryzgując śnieg wokół swoich lichy obutych nóg. Jeden but zdołał zrzucić, po czym jego sine, przemarznęte i brudne stopy tworzyły długie wyrwy w śniegu, kiedy go nieubłagane prowadzono dalej.

Eskil i Arn stali razem z matką, w pewnej odległości od zbrojnych, którzy znaleźli się za nimi, a sami mieli za plecami niewolników i wyzwolenców. Sigrid nie okazywała niczego po sobie, jej twarz dumnej pani domu mogła wśród śniegu wydać się zamarznąętą. Natomiast Eskil i Arn szeptali, wskazywali coś palcami i byli tak podekscytowani, że matka ostrożnie, gestem niedostrzeżonym przez nikogo, dotknęła malców, żeby zachowali spokój. Magnus uparł się przy obecności chłopców, uznał bowiem, iż muszą pojąć, że gospodarz ma nie tylko radości, ale też przykre obowiązki i że takie obowiązki trzeba spełniać.

Trudno było sprawić, żeby głowa Skulego pozostawała nieruchoma, bo jego tors miotał się do przodu i do tyłu, i Skule jęczał. Dwaj niewolnicy, którzy mieli go trzymać, znaleźli się kilka razy w niebezpieczeństwie, pod uniesionym mieczem. W końcu jednak Magnus uderzył i nie chybił.

Głowa Skulego opadła na chrust twarzą ku górze, tak więc cała ta gromada ludzi mogła zobaczyć wszystkie słabe drgnienia twarzy, jakby usta chciały coś powiedzieć, a oczy pragnęły coś dostrzec spod niespokojnych powiek. Ciało Skulego miotало się konwulsyjnie i z przeciętej szyi dwoma niksącymi strumieniami tryskała krew.

Arn wytrzeszczał oczy na brudne nagie stopy w śniegu, które wpierw wierzyły, zaraz jednak przestały się poruszać. I wtedy Arn, w milczeniu, z pochyloną głową i mocno zamkniętymi oczami pomodlił się do Boga o to, by zostało mu oszczędzone oglądanie czegoś takiego po raz drugi.

Ale Bóg go nie wysłuchał, albowiem zostało to zapisane, iż ani w krainie Swewów, ani w kraju Gotów nikt nie miał w przyszłości zobaczyć tylu podobnych widoków, co mały Arn.



Na pewien czas zabroniono chłopcom zabaw z dziećmi niewolnej służby. Pozostawali tylko ze sobą w wielkim domu, gdzie Sigrid zaczęła sama uczyć ich łaciny, oczekując nadal brata-laika Erlenda, obfity śnieg sprawił bowiem, że jeszcze trochę odwłókł on swoje przybycie.

\* \* \*

W dniu świętego Pawła, gdy połowa zimy minęła, gdy niedźwiedzie przewracały się z boku na bok i spadało nie mniej śniegu niż przedtem, Magnus kazał oczyścić drogę do kościoła w Forshem, aby i on, i jego najbliżsi mogli po raz pierwszy od zbyt długiego czasu udać się na mszę.

Pogoda okazała się przyjemna, świeciło słońce i wiał łagodny wiatr, było też nie chłodniej niż tuż przed odwilżą, tak więc cieszyła sanna wyjeżdżoną drogą. Magnus słyszał, że chłopcy, którzy siedzieli z tyłu, okryci wielkimi futrami z wilczych skór, pozostałymi po ich pradziadku, hałasowali i chichotali, kiedy sanie zarzucały, a że ich ojciec lubił słuchać pisków tych małych wesołków, to i ponaglał swoje dwa kasztany. Zresztą nie żałował samemu sobie takiej rozrywki także dlatego, że miał złe przeczucia, choć nie umiałby powiedzieć, z czego się one brały. Połowę zbrojnej asysty pozostawił w domu, w Arnas, czym zirytował swych ludzi, którzy po długim zimowym odosobnieniu chętnie by zobaczyli, co mogłoby ich zabawić na kościelnym wzgórzu. Raczej ono ich kusilo, a nie sam kościół, gdzie - jak przystoi chrześcijanom - wysłuchaliby słowa Bożego.

Gdy sanie z Arnas wjechały na kościelne wzgórze, złe przeczucia Magnusa wzmógł widok, jaki mu się ukazał. Rozmawiano półgłosem w niewielkich grupkach i nie było zwykłego przemieszania ludzi, lecz każdy trzymał się swego rodu, niejeden miał zresztą koleczkę pod płaszczem, co zdarzało się tylko w niespokojny czas. Kościół powinien się zapełnić, skoro przybyli wszyscy sąsiedzi z południa, zachodu oraz z Husaby. Na wschodzie zaś nie miał Magnus innych sąsiadów prócz własnych wyzwoleńców, a ci trzymali się nieco na uboczu, i to w kucki, jak gdyby nie nauczyli się jeszcze zachowania stosownego dla ludzi wolnych. Przy każdej innej okazji Magnus podszedłby do nich i porozmawiałby o pogodzie czy silnym wietrze, i mówiłby głośno, aby pojmowali, czym jest wolność, a tym razem nie byłaby taka troskliwość na czasie. Skoro tylko Sigrid i chłopcy wysiedli z sań, pozostawił Magnus konie pod opieką swej służby i razem z rodziną zbliżył się do najlepiej usposobionych doń sąsiadów, rodziny Pawła z Husaby, żeby wypytać, co się stało.

Król Sverker został zamordowany w drodze na pasterkę, a więc gdy udawał się do kościoła w Tollstad, i pochowano go już obok jego małżonki Ulvhild w Alvastrze. Wiedzano, kto popełnił zbrodnię, był to wyzwoleniec króla Sverkera, stajenny z Husaby, i ten człowiek zdążył zbiec, prawdopodobnie do Danii.

Nie miał wszakże większego znaczenia miecz, raczej już ten, kto go dzierżył. Niektórzy domyślali się, iż szło o Eryka Jedvardssona, który znajdował się podówczas w Ostra Aros, wśród Swewów, i ci zdążyli ponoć u kamieni Mory wybrać go królem. Inni sądzili, że inspiratora należałoby szukać w Danii i że był nim Magnus Henriksen, który pretendował do korony królewskiej jako wnuk po kądzieli poprzedniego króla Inge.

Tymczasem w Linkoping syn Sverkera, Karol, obwołał siebie królem i zwołał tam *landsting* dla zatwierdzenia decyzji. Szło więc teraz o to, kto zostanie wybrany królem w Zachodniej Gocji - Karol Sverkersson czy Eryk Jedvardsson. Ale na spokojne, pokojowe rozstrzygnięcie liczyć nie należało.

Kiedy zadzwoniono na mszę, wymiana pogłosek ustała i ludzie pospieszyli do domu Bożego, by zagłuszyć swój niepokój, znaleźć pocieszenie w Ewangelii, nabożną pieśnią złagodzić własną ekscytację albo też, jak Magnus, pograć się w całkiem innych myślach, nie oczyściwszy się, choć tak należało, ze wszystkiego, co doczesne. Większość szlachetnie urodzonych, którzy przebywali w świątyni, podzielała pewno domysł Magnusa, iż, być może, po raz ostatni zgromadzili się pod dachem tego samego kościoła jako przyjaciele. Jeden Bóg wiedział, co ich czekało w przyszłości i które rody miałyby się poróżnić. Odkąd król Sverker zdobył dla siebie władzę królewską (Magnus był wtedy jeszcze małym chłopcem), nie musieli Goci wojować przeciw sobie nawzajem. Oto jednak zbliżał się czas takiej walki.

Gdy msza dobiegła końca, Magnus był tak bardzo pogrążony we własnych myślach, że nie zauważył, iż wypadało iść, póki Sigrid nie poczęstowała go lekkim szturchańcem. Zdążył on wszakże obmyślić, co należało powiedzieć, co zaś przemilczeć.

I Magnus zawsze dobierał właściwe słowa, póki między mężczyznami toczyły się długie rozmowy, podczas gdy ich małżonki i dzieci marzły w saniach, coraz bardziej się niecierpliwiąc. Magnus wspomniał o wizycie, którą Eryk Jedvardsson złożył w Arnas na krótko przed owym mordem, ale zwrócił też uwagę na to, że małżonka Eryka, Krystyna, z wielką irytacją obstawała przy swoim prawie do części majątku Varnhem. Magnusowy ród był więc i za Erykiem Jedvardssonem, i przeciwko niemu.

Objął on ponadto, iż Sigrid umiała zyskać sobie wielką przychylność króla Sverkera, natomiast na norweskich krewnych matki Magnusa nie patrzył ów monarcha łaskawym okiem. Toteż Magnusowy ród był i za rodem Sverkera, i przeciw niemu.

Inni wypowiedzieli się bardziej klarownie, przeważnie z a Sverkerowym rodem, Magnus jednak nie chciał się wiązać, nie chciał wskazać nikogo z obecnych jako przyszłego wroga. Cokolwiek miałyby się wydarzyć, byłoby to nieroztropnym gestem. Wszak naprzeciw nieprzyjaciół przeznaczonych przez Boga trzeba było prędzej czy później stanąć z mieczem w dłoni, niezależnie od słów wypowiedzianych na kościelnym wzgórzu pod wrażeniem chwili.

W drodze do domu miał Magnus jednak posepny nastrój, a gdy zbliżali się do Arnas, niespokojnie badał wzrokiem teren, jakby już oczekiwał oblężenia, chociaż śnieg nadal chronił posiadłość przed wszelkimi żołdakami z północy czy ze wschodu.

Skoro tylko dojechali do domu, kazał Magnus zebrać więcej drewna na ogniska kowalskie, rozpałił je, ściągnął wszystkich niewolników, którzy pracowali w kuźniach i zatrudnił ich przy miechach i kowadłach, iżby wykuli jak najwięcej grotów oraz oszczepów. Kiepskie żelazo, jakim dysponowano w Arnas, nie nadawało się do kucia mieczy.

Już nazajutrz wyszykował Magnus dwoje ciężkich sań na podróż do Lódóse, gdzie zamierzał kupić to, czego było potrzeba na czas spodziewanej wojny.

\*\*\*

Wszelako zima zwlekała z uwolnieniem Arnas od siebie i nie dochodziły żadne wieści o tym, iżby się zbrojono czy to we Wschodniej Gocji, czy w kraju Swewów, toteż Magnusowi poprawił się humor i polecił on, by w kuźniach i warsztatach ciesielskich zajęto się pracą bardziej przydatną do spełniania codziennych potrzeb. Poza tym Sigrid zdołała go uspokoić przypuszczeniem, iż Arnas nie zostałyby zapewne od razu objęte wojną. Skoro Eryk Jedvardsson został obwołany królem Swewów, a Karol Sverkersson władcą Wschodniej Gocji, niechaj dojdą ze sobą do takiego porozumienia, jakie będzie im w smak. Tu, w Gocji Zachodniej, wystarczy po fakcie złożyć hołd zwycięzcy.

Magnus zgodził się z małżonką połowicznie. Uznał on mianowicie, że równie dobrze któryś z pretendentów mógłby najpierw zwrócić się ku Zachodniej Gocji, aby uzyskać jedną z trzech koron, której chciał dla siebie, jak sam ogłosił, Eryk Jedvardsson. Wtedy trzeba by się zdeklarować. A jeśli jako

pierwszy zażąda tego Eryk Jedvardsson? Albo jeżeli wcześniej przybędzie Karol Sverkersson? Obie możliwości wchodziły w rachubę w równej mierze.

Sigrid stwierdziła, że w żadnym przypadku nie wywrze się jakiegokolwiek wpływu na sprawę, siedząc w Arnas, popijając wieczorami piwo i oddając się spekulacjom. Prędzej czy później wszystko będzie jasne i wtedy - dopiero wtedy - nadejdzie czas opowiedzenia się. Magnus zadowolił się tymczasowo tą myślą.

I oto już od tygodnia kapało z dachu i ubywało lodu, gdy na Arnas spadło nieszczęście znacznie większe niż wizyta któregoś z dwu królów dla wymuszenia ślubu wierności.

Chłopcy zachowywali teraz przeważnie spokój, byli upominani i trzymani w ryzach, tuż po Gromniczej powrócił bowiem do Arnas brat-laik Erlend. Od świtu do zmierzchu musieli przebywać głównie w jednym z rogów paradnej izby wielkiego domu, blisko palenisk, i tam brat Erlend wbijał wiedzę do ich opornych główek. Obaj malcy uważali, że przyszło im pracować jak niewolnikom, bo Erlend przywiózł niewiele tekstów z Varn-hem i dotyczyły one takich kwestii, które nie mogły zainteresować małych chłopców ani nawet dorosłych mieszkańców Zachodniej Gocji. W większości były to różne rozprawy jednego filozofa o żywiołach i o fizyce. Ale owa praca służyła przecież nie tylko zapoznaniu chłopców z owym filozofem, lecz także przyswajaniu im łacińskiej gramatyki. Uczoność bez jej reguł byłaby niewyobrażalną, bez gramatyki świat pozostawałby niepojętym - tak gderał Erlend i chłopcy znów, z westchnieniem, ale posłusznie, pochylali głowy nad tekstami.

Brat-laik Erlend zapewne nie narzekał. Ale i on potrafiłby sobie chyba wyobrazić jakieś istotniejsze świadectwo własnego powołania do służenia Bogu, a przynajmniej pracę przyjemniejszą niż próby napelnienia wiedzą opornych umysłów małych chłopców. Nigdy jednak nawet nie przyszłoby mu na myśl, iżby miał podać w wątpliwość polecenie ojca Henri. „Ach - dumiał czasem melancholijnie - być może to zadanie jest po prostu trudną próbą, którą trzeba wytrzymać, albo kolejną karą za grzechy popełnione przeze mnie w świeckim żywocie, zanim dostąpiłem powołania”.

Ale dzień odpoczynku był dniem świętym także dla owych chłopców, których praca skupiała się tylko na łacinie. I w taki dzień obaj po modlitwie porannej pospiesznie znikali dorosłym z oczu niczym wiewiórki. Magnus i Sigrid zgodnie postanowili dać chłopcom tyle swobody i raczej nie dostrzegać

tego, że nie zachowywali się oni spokojnie i rozważnie, jak - podług Bożych nakazów - należałoby w dzień święty.

Kol, syn niewolnika, miał oswojoną kawkę, którą potrafił skłonić do tego, żeby siadała mu na ramieniu i wszędzie mu towarzyszyła, a obiecał też Eskilowi i Arnowi, że razem będą chwycić pisklętą kawek, skoro tylko, jak co roku na początku lata, wylęgnie się ich dość, by można je było wyciągać z gniazd na wieży.

Teraz więc zakradli się na jej szczyt, żeby sprawdzić ilość gniazd i przekonać się, czy kawki już złożyły jaja. Wprawdzie jaj jeszcze nie znaleźli, ale zobaczyli, że ptaki zaczęły mościć sobie gniazda na ów rok, a to był przecież obiecujący widok.

Eskil poprosił wcześniej Kola o wypożyczenie kawki, by przycupnęła ona na jego ramieniu, i Kol nie miał oczywiście nic przeciwko temu, choć wspomniał, że wobec kogoś obcego ptak może się okazać nieco powściągliwszy.

Tak jak Kol się obawiał, kawka faktycznie nagle zniknęła z ramienia Eskila, odleciała i usiadła daleko od nich, na nasypie, jakby dla zlustrowania wolnej przestrzeni wokół siebie i rozważenia, czy nie udałoby się wyrwać z niewoli. Eskil nie śmiał uczynić żadnego ruchu, ponieważ bał się wysokości. Kol nie śmiał uczynić żadnego ruchu, ponieważ bał się spłoszyć kawkę, która latałaby między niebem a ziemią. Ale Arn przekradł się ostrożnie w stronę nasypu i wyciągnął rękę do góry, chcąc dosięgnąć drutu, którym była opleciona jedna nóżka ptaka. Nie udało mu się to, musiał więc wspiąć się wyżej, na oblodzony otwór strzelniczy, stanąć na palcach i jeszcze dalej wyciągnąć rękę. Gdy już dotknął drutu i ostrożnie go uchwycił, kawka wzleciała z krzykiem i właściwie pociągnęła Arna w przepaść. Wystraszonym chłopcom wydawało się, że minęła całą wieczność, zanim usłyszeli głuchy odgłos, kiedy Arn uderzył o ziemię.

Niebawem słyhać było w Arnas głośnie okrzyki i wyrzekania, nieprzytomnego Arna wniesiono bowiem ostrożnie na noszach do budynku kuchennego, który nieco wcześniej opuściła Suom. Ułożono chłopca i uznano, że nie ma żadnej nadziei. Arn był bardzo blady i leżał cicho, nie oddychając.

Gdy z wielkiego domu przybiegła Sigrid, drżała z niepokoju, nie inaczej niż każda inna matka na wieść o groźnym wypadku syna, a kiedy zobaczyła Arna, stanęła jak wryta i zamilkła, na jej twarzy zaś odmalowała się rozpacz. To, co widziała, nie wydawało jej się możliwe. Arn nie powinien był umrzeć

tak młodo, taką pewność miała dlatego, że przecież był dzieckiem w czepku urodzonym.

A jednak leżał nieprzytomny, blady i nie oddychał.

Po chwili ukląkł Magnus obok Sigrid, już świadomy tego, iż nie było nadziei. W swej rozpaczy przykazał gestem, by oddalili się wszyscy prócz brata Erlenda, nikt z domowników czy spośród niewolnej służby nie powinien przecież być widzieć jego łez.

Magnus orzekł, że dalsze modlitwy o ocalenie Arna nie miały sensu i że trzeba by raczej modlić się o wybaczenie grzechów, które to zapewne sprowadziły na nich Bożą karę. Erlend nie odważył się mieć własnego zdania w tej materii.

Sigrid, z twarzą ociekającą łzami, poprosiła obu mężczyzn o to, by nie tracili nadziei, a raczej pomodlili się o cud. Na te słowa oniemieli, wszak cuda się zdarzały, tyle że żadnej pewności co do nich nie można było uzyskać, póki nie podjęłoby się modlitwy o coś takiego.

Magnus zaproponował, żeby skierowali swe modlitwy do Najświętszej Pani, która pewno najbardziej pomogła chłopcu przyjść na świat.

Jego małżonka zaś żywiła w skrytości ducha przekonanie, iż Najświętsza Pani, czyli Matka Boska, straciła do niej cierpliwość, skoro to właśnie się stało, i Sigrid na chwilę pogрузzyła się w niemal gorączkowych rozmyślaniach, po czym tknęło ją, że Arn mógł, z innych względów, spodziewać się najlepszej opieki ze strony świętego Bernarda, którego kanonizacja była bardzo świeżej daty i którego możliwości tu, na Północy, pozostawały właściwie nieznanne.

Brat-laik Erlend nie omieszkał pochwalić tego, co zaproponowała Sigrid, po czym inicjował kolejne modlitwy powtarzane przez klęczących rodziców chłopca; samemu Erlendowi był święty Bernard oczywiście najbliższy.

Zapadł już zmrok, lecz nic nie świadczyło o tym, że Arn pozostał przy życiu. Rodzice nie poddawali się jednak, choć Magnus szeptał co pewien czas, iż trzeba by wyzbyć się nadziei, a raczej przyjąć tę karę Bożą z należyтым ubolewaniem, ze skruchą i z godnością.

Ale oto Sigrid przyrzekła i świętemu Bernardowi, i Bogu, że jeśli Arn ocaleje, to zostanie przeznaczony do miłej Bogu pracy pośród ludzi tego świata. Powtórzyła swoje przyrzeczenie i skłoniła Magnusa do wypowiedzenia go razem z nią - po raz trzeci.

Kiedy już także Sigrid wyczuła, iż gaśnie w jej sercu ostatnia iskierka nadziei, nastąpił cud.

Arn uniósł się na jednym łokciu, po czym, zdezorientowany, rozejrzał się dookoła, jakby dopiero co się przebudził po przespanej nocy, nie zaś jak ktoś, kto powrócił z królestwa śmierci. Pożalił się na ból w drugiej ręce, na której przez to nie mógł się oprzeć. Żadna z trzech dorosłych osób przy nim nie słyszała już jego słów, wszyscy troje byli bowiem pogrążeni w modlitwach dziękczynnych - najczystszych i najszczerzych, jakie zdarzyło im się kiedykolwiek skierować do Pana Boga.

Niezadługo Arn zdołał o własnych siłach, mając matkę po swej lewej stronie, przejść do głównego domu, gdzie posłano mu w ciepłe, przy ścianie szczytowej, a więc i w pobliżu palenisk. Ale że wciąż czuł ból w prawym ramieniu, wezwano Sot i przestrzeżono ją, by nie uciekła się do jakichś czarów czy też nieczystej sztuki leczniczej, albowiem takim sposobem pokalałaby Boży cud. Sot zaczęła nieco uciskać rękę Arna, żeby sprawdzić, w którym momencie chłopiec najgłośniejsz zareaguje, ale nie było to wcale łatwe, ponieważ Arn chciał się okazać dzielny i nie przyznać się do bólu, skoro patrzyło nań tyle osób i skoro był wśród nich jego ojciec.

Ale Sot nie dała się zwieść. Zagotowała suszone pokrzywy i papką z nich wysmarowała dookoła ramię chłopca, po czym obwiązała je płótnem. Później zaś porozumiała się ze Svartem, który poszedł do warsztatu ciesielskiego, gdzie przez jakiś czas pracował, a wrócił z dwiema lekko wygiętymi deskami sosnowymi, które przypasował, ale odszedł z nimi, żeby dokończyć robotę według wskazówek otrzymanych od Sot.

Gdy Svarte zrobił swoje, Sot obwiązała oba łubki oraz ramię Arna świeżymi kawałkami płótna i jemu samemu oraz Sigrid zaleciła, żeby chłopiec nie poruszał tą mocno zwichniętą ręką. Napoiła też Arna wywarem z suszonych liści i korzeni łosiowego ziele, aby spał mimo gorączki.

I chłopiec wkrótce zasnął i oddychał równomiernie, ze spokojnym wyrazem twarzy, jakby nie spotkało go wcześniej nic złego i jakby nie doświadczył żadnego cudu. Sigrid i Magnus siedzieli tam długo, wpatrzeni w śpiącego syna i oboje tak samo przejęci tym niezwykłym trafem, iż Pan Bóg raczył jeden ze swych cudów uczynić właśnie u nich.

Ich młodszy syn, Arn, został wskrzeszony. W to nikt nie mógł wątpić. Nie wiadomo jednak było, czy stało się tak dlatego, że Pan zechciał okazać swą dobroć ludziom, którzy prosili Go ze łzami w oczach, jak w najtrudniejszej chwili uczyniliby to wszyscy ojcowie i każda matka. A może istotnie szło o to, czego - jak sama wyznała - Sigrid była pewna w skry-

tości ducha, iż Pan miał specjalne zadanie dla Arna, które czekało go już jako mężczyznę.

Żadnej wiedzy w tej materii nie sposób było osiąść, wszak wyroki Boże są często ponad ludzkie pojmowanie. Magnus i Sigrid mogli tylko wziąć sobie do serca ów cud uczyniony w Arnas i zmówić jeszcze niejedną modlitwę dziękczynną.

\* \* \*

Brat-laik Erlend długo już był przejęty swą świętą misją. Dokładnie, ze wszelkimi najdrobniejszymi szczegółami, musiał kaligraficznie spisać opowieść o cudzie w Arnas. Jako że śmierć świętego Bernarda nastąpiła niewiele lat wcześniej, szło prawdopodobnie o pierwszy cud w Zachodniej Gocji, który można było przypisać właśnie jemu i dlatego miała owa historia ogromne znaczenie. Poza tym Erlend sądził, że bardzo ucieszyłby ojca Henri tą relacją. I liczył na to, iż pilnością i sumiennością wykazaną w owej misji skróci czas oczekiwania na przyjęcie do zakonu cystersów z pełnią praw. Tak czy inaczej nie zaszkodzi przekazać tych wielce ważnych wieści.

Pergaminu nie wyrabiano w Arnas, była natomiast dostępna cienka skóra cielęca z jednej strony doprowadzana do połysku i sprzedawana przez pana Magnusa jako odzienie. Gospodarz zgodził się na to, żeby Erlend używał resztek tego materiału do ćwiczeń w pisaniu, jakie odbywał z chłopcami.

I oto w uczniowskim końcu wielkiej izby wypadło więcej pisać i kaligrafować niż czytać. Chłopcy nie mieli nic przeciw tej zmianie, ponieważ obaj sprawnie posługiwali się piórem i farbą. Zadanie chłopców polegało przede wszystkim na tym, by na skrawkach materiału spisać łaciński tekst Erlenda, a następnie poniżej umieścić tłumaczenie w postaci tekstu runicznego; pan Magnus przykazał, żeby wraz z kaligrafowaniem w języku kościelnym chłopcy uczyli się pisma przodków. Nie była to bynajmniej sztuka bezużyteczna, skoro w przyszłości mieli zajmować się handlem.

W czasie pierwszych ćwiczeń w pisaniu Erlend zauważył, że mały Arn, którego prawa ręka pozostawała niesprawna, z równą łatwością pisał kaligraficznie i rysował obrazki lewą ręką. Póki utrzymywała się kontuzja, nie budziło to niepokoju u Erlenda, ale byłby to zły znak, gdyby ktoś wolał używać ręki nieczystej. I oto gdy prawa ręka Arna odzyskała sprawność, okazało się, że chłopiec posługiwał się tak samo chętnie obiema. Nie robiło mu to chyba



różnicy, decydował przeważnie nastrój, w jakim był, albo też używał ręki, którą sięgnął po gęsie pióro.

Skoro Erlend po wielu korektach, trudach i modlitwach uznał, że ukończył relację, zapragnął czym prędzej pod jakimś pozorem trafić do Varnhem i wspomniał o obowiązkach klasztornych, o tym, że w pewne święta wszyscy bracia-laicy powinni być na miejscu i że w przeciwnym wypadku naraziłby się na karę. Uzyskał zgodę, po czym wyruszył konno do Varnhem w święto Zwiastowania, czyli w tym dniu, w którym do Zachodniej Gocji powracały żurawie.

Jego wyjazd nie zmartwił wcale chłopców. Wiosną, gdy podwórza, podzámce i inne większe przestrzenie wokół domów Arnas uwalniały się od śniegu, dla wszystkich dzieci następował czas zabaw. Dzieci z Arnas upodobały sobie toczenie przed sobą obręczy wykradanych z warsztatów bednar-skich, obręczy, którymi przez cały czas kierowano, biegnąc za nimi, i paty-kami wprawiano w szybszy ruch. Owa zabawa rozwinęła się tak, iż chłopcy próbowali odbierać sobie nawzajem obręcz, choćby z pomocą kijów, po czym kierowali je pomiędzy zamkowe mury. Zwycięzał ten, któremu udawało się sprawić, że obręcz uderzała o mur. Nie było to wcale łatwe, wszyscy ci bowiem, którzy nie mieli obręczy i własnych kijów do kierowania nimi, starali się w tym przeszkadzać.

Arn nie należał oczywiście do najstarszych chłopców, ale, choć był jeszcze bardzo mały, wkrótce okazał się tym, któremu w owej zabawie zawsze wiodło się najlepiej. Poruszał się zwinnie niczym fryga, a poza tym potrafił coś, czego inni nie umieli: szybko przerzucał obręcz z lewej na prawą rękę, w ten sposób nagle zmieniając kierunek toczącej się obręczy, przez co inni chłopcy biegli nie w tę stronę, w którą należało biec. Udawało im się tylko wtedy zatrzymać Arna, gdy podstawiali mu nogę albo ciągnęli za poły. Arn okazywał się jednak tym zwinniejszy, im chętniej starsi chłopcy uciekali się do takich sposobów. W końcu Eskil, jedyny, który mógł sobie na to pozwolić, zaczął go powstrzymywać, uderzając brata w twarz, ilekroć ten zwyciężał.

Wtedy Arn zniechęcił się i z goryczą odizolował.

Magnus znalazł sposób na to, żeby go pocieszyć, kazał bowiem wykonać łuk i odpowiednie strzały, po czym zabrał Arna na stronę i zaczął go uczyć strzelania z łuku. Niezadługo dołączył Eskil i upomniał się o udział w nauce. Ale, ku jego rozżaleniu, brat strzelał za każdym razem o wiele lepiej niż on sam, rychło więc bracia znów się poróżnili. Oczywiście wkroczył w to

Magnus i przestrzegł, że w razie dalszych waśni chłopcy będą mogli strzelać z łuku tylko w jego obecności. Tym samym zabawa przemieniła się nagle w naukę, niezbyt różniącą się od kaligrafowania albo czytania niezrozumiałego filozoficznego tekstu o zasadzie i kategoriach. Nie sprawiała ta zabawa więc radości, a przynajmniej nie cieszyła Eskila, wciąż pokonywanego przez ojca i bratciszką.

Tymczasem Magnus dostrzegł u swoich synów coś, co go zastanowiło. Eskil przypominał wszystkich innych chłopców swoim sposobem poruszania się i strzelania z łuku, był właściwie podobny do samego Magnusa w dzieciennych latach. Natomiast Arn odróżniał się czymś od reszty chłopców - talentem, który był zapewne darem Bożym. Kilku zbrojnych, których zdanie Magnus chciał poznać, przyjrzało się uważnie Arnowemu strzelaniu i wszyscy z aprobatą kiwali głowami. Nie sposób byłoby z całą pewnością powiedzieć, co by z tego mogło wynikać, wszakże owo pachole ma wielki doprawdy talent - twierdzili.

W niejednym pogodnym wiosennym wieczór, gdy chłopcy już spali, rozmawiał Magnus o tym ze swoją małżonką. Co się tyczyło Eskila, wiadomo było, iż zgodnie z Bożą wolą, jako pierworodny syn, odziedziczy Arnas. Zadba więc o posiadłość i zajmie się handlem. A jakież zamiary miał Pan Bóg wobec Arna?

Sigrid była zdania, że Bóg zapewne gotował Arnowi los wojownika, ale nie miała całkowitej pewności co do tego, czy ją samą cieszyło takie wyjaśnienie, choćby wydawało się oczywiste. Ukrywała to, że dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu przyrzeczenia wobec Boga, które złożyła wszak we łzach i z umysłem zmaconym przez rozpacz, ale przecież przyrzeczenia, że Arn zostanie przeznaczony do miłej Bogu pracy wśród ludzi tego świata.

Nigdy wcześniej nie rozmawiała Sigrid na ten temat z Magnusem, ale miała wrażenie, że jej małżonek wypierał owo przyrzeczenie z pamięci, choć musiał o nim pamiętać równie dobrze, jak pamiętała Sigrid, i choć szczylił się tym, iż zawsze dotrzymywał słowa. Akurat teraz jednak rokował temu drugiemu synkowi przyszłość mocarnego wojownika na czele członków swego rodu i ta perspektywa była mu zapewne miłsza niż myśl o Arnie jako biskupie Skary albo w roli opata któregoś z klasztorów. Taki jest męski sposób myślenia. Sigrid od dawna zdawała sobie z tego sprawę.

Wszelako niezadługo Bóg srogo przypomniał, jaką była Jego wola. Na jednej ręce Sigrid pojawiła się niewielka, ale kłopotliwa rana, jak pamiętała, spo-

wodowana przez drzazgę, którą wbiła sobie w jedną z obór, kiedy krnąbrna jałówka ruszyła na nią i Sigrid musiała się raptownie przytrzymać, żeby nie upaść na gnój. Rana nie goiła się, lecz była coraz większa i coraz bardziej nekłała Sigrid.

I któregoś dnia odkrył Magnus coś dziwnego na twarzy małżonki. Przejrzawszy się w beczce napełnionej wodą, zobaczyła ona nową ranę podobną do tej na rękę i gdy jej dotknęła, wyczuła w niej ropę i śluz.

Choroba dała się wkrótce jeszcze bardziej we znaki. Rana na twarzy przybyła i rychło stało się tak, iż Sigrid przestała widzieć na jedno oko, które było tuż obok pierwszej rany i tak swędziało, że musiała je często trzeć. Zaczęła zasłaniać twarz i codziennie — o świcie, w południe i pod wieczór — modliła się żarliwie. Ale i to nie pomagało. Jej małżonek i synowie zerkali na nią ze strachem.

Kiedy brat Erlend powrócił konno z Vamhem, miał sporo wieści, zarówno dobrych, jak i złych. Te lepsze, przekazane w pierwszej kolejności, dotyczyły tego, że relację o cudzie w Arnas przyjęto w Varnhem tak dobrze, iż zapisywano ją właśnie kaligraficznie na prawdziwym pergaminie w pamiątkowej księdze klasztoru.

Złe wieści miały związek z małżonką Eryka Jedvardssona, Krystyną. Z licznym oddziałem zbrojnych, przeznaczonym jej przez Eryka, króla Swewów, przybyła ona do jednej ze swych posiadłości w owej okolicy. A więc była to prawda: Eryk Jedvardsson został władcą kraju Swewów.

Krystyna dopuszczała się coraz to innych niegodziwości, podjudzała chłopów przeciw zakonnikom, potrafiła zresztą nawet zyskać sobie przychylność niektórych księży. Poszło o to, że klasztor postawiono na ziemi zagarniętej bezprawnie, że niemała jej część wedle prawa należałaby się Krystynie, a jeśliby nie doszło do polubownego rozstrzygnięcia po jej myśli, to trzeba się było liczyć z przykrościami po przybyciu króla Eryka do Zachodniej Gocji.

W czasie pewnej mszy zdarzyło się, iż cała gromada niewiast w białych i niczym więcej wtargnęła do klasztoru, gdzie - tak nieskromnie przyodziane - tańczyły owe kobiety i śpiewały nieprzyzwoite piosenki. Potem zaś pozostawiły po sobie nieczystości na klasztornej dziedzińcu. Sprawily kłopot braciom, którzy musieli doprowadzić klasztor do porządku i na nowo go poświęcić.

Otóż Sigrid pojęła surowe Boże napomnienie. W wielkiej izbie pociągnęła za sobą małżonka oraz Erlenda w głąb, wyprosiła całą służbę i ukazała swą

zeszpeconą twarz Erlendowi, który pobladł, wystraszony widokiem. Po chwili wypowiedziała słowa, jakie musiały paść:

- Magnusie, mój drogi małżonku i panie. Zapewne nie gorzej niż ja pamiętasz, co przyrzekliśmy świętemu Bernardowi i Panu Bogu na krótko przed tym, jak Pan powtórnie obdarzył Arna życiem. Przyrzekliśmy, iż ofiarujemy syna Panu dla świętego trudu tu na ziemi, i Arn odżył. Później wszelako nie rozmawialiśmy o tym. Dziś natomiast Bóg objaśnia nam, jak ocenia nasze wiarolomstwo. Trzeba, iżbyśmy wyrazili skruchę i odpokutowali, chyba to pojmujesz?

Magnus załamał ręce i przyznał, że - i owszem - bardzo dobrze zapamiętał owo przyrzeczenie, zdobyli się na nie wszakże w wielce trudnej chwili, co Pan Bóg zapewne zrozumiał.

Następnie Sigrid zwróciła się do Erlenda, który był przecież lepiej obeznany ze wszystkim, co boskie, niż ona sama czy Magnus. Erlendowi nie pozostało nic innego, jak przyklasnąć. Dopatrzył się on trądu u Sigrid i powiedział o tym bez ogródek. A skoro takiej zarazy nie było ani w Arnas, ani gdzie indziej w Zachodniej Gocji, to mogła ona pochodzić jedynie od Boga. Za wyraźne ostrzeżenie należało też uznać znak dany poprzez to, iż wielce miły Bogu uczynek Sigrid, obdarowanie klasztoru w Varnhem ziemią, mógł się nie spełnić.

Bóg zażądał dotrzymania ślubu. I ukarał Sigrid za chwiejność w tej kwestii. Innego wytłumaczenia tego, co się stało, Erlend nie dostrzegął.

Nazajutrz nad posiadłością Arnas zaciążyło brzemie smutku. Na podwórzach i podzamczu nie słychać było ani śmiechu, ani sprzeczek między dziećmi, które się bawiły. Niewolna służba milczała niczym leśne stwory, chyłkiem zachodząc do wielkiej izby, i niejednemu spośród owych ludzi trudno było powstrzymać łzy.

Magnus wahał się, w jakich słowach przekazać młodszemu synowi brzemienne w skutki przesłanie. Gdy jednak Sigrid zajęła się pakowaniem podróznego bagażu, zabrał Arna ze sobą na wieżę, gdzie mogli porozmawiać w zupełnym spokoju. Po Arnie, który jeszcze nie pojmował, co go czekało, widać było raczej zamyślenie i ciekawość niż strach.

Magnus uniósł syna i usadowił go w jednym z otworów strzelniczych, żeby znaleźli się twarzą w twarz, ale zaraz się spieszył, bo przyszło mu na myśl, że, być może, niezbyt mądrze wybrał miejsce, że Arn mógł się lękać wysokości, skoro po wcześniejszym upadku dotarł aż do królestwa śmierci.

Arn nie okazywał jednak bynajmniej lęku wysokości, lecz wychylił się poza mur, aby obejrzeć miejsce, na które spadł, jego ojciec był bowiem zajęty własnymi myślami.

Magnus cofnął ostrożnie Arna, otoczył go ramieniem i przystąpił do trudnego dlań wyjaśnienia sytuacji. Wskazał wpierw ową okolicę, gdzie, jak okiem sięgnąć, odbywały się wiosenne prace w polu. I zapowiedział, że całe to królestwo obejmie po jego śmierci Eskil, natomiast Arnowi zostało przeznaczone znacznie większe królestwo Boże na tym świecie.

Arn raczej nie zrozumiał ojcowskich słów, w uszach chłopca brzmiały one pewno jak to, co mówiono stale w kościele, kiedy ludzie w odświętnym nastroju wypowiadali słowa, które zaledwie chwilę wcześniej nic dla nich nie znaczyły i którym oni nadawali znaczenie właśnie przez to, że je wygłaszali. Magnus musiał zacząć od nowa.

Opowiedział o tamtej trudnej chwili, kiedy to Arn nie był z nimi wśród żywych, także o złożonym wobec Boga przyrzeczeniu, które jemu i Sigrid poddyktowała rozpacz i które zapowiadało, iż w przypadku ocalenia ich syn zostanie przeznaczony do miłej Bogu pracy na tym świecie. Później nie byli oboje pewni, czy należy dotrzymać przyrzeczenia, ale oto Pan Bóg srogo ich ukarał za krnąbrność i dlatego trzeba natychmiast spełnić owe śluby.

Arn zaczął się niepokoić: czuł, że czeka go coś złego. I jego ojciec zaraz potwierdził obawę syna, wyjaśniwszy wprost, co powinno być nastąpić. W towarzystwie matki oraz Erlenda miał Arn wyruszyć do Varnhem. Winien był tam wstąpić do zakonu jako oblat (tak nazywano dzieci podejmujące służbę Bożą). Pod swoją opiekę weźmie Arna zapewne - mówił Magnus - i Bóg, i patron chłopca, święty Bernard, wszak Pan Bóg ma wobec Arna wielkie plany.

Teraz zaczął Arn pojmować. Rodzice zamierzali ofiarować go Bogu. Nie tak, jak ongiś bywało na świecie, nie tak, jak w sagach z czasów pogańskich, ale przecież ofiarują go Bogu, a on, jeszcze dziecko, nie może w żaden sposób tego uniknąć, skoro dzieci zawsze muszą okazywać posłuszeństwo ojcu i matce. Arn rozplakał się i nie zdołał już powstrzymać łez, choć bardzo się wstydził płaczu w obecności ojca.

Magnus przytulił Arna, nieporadnie próbując go pocieszyć słowami o Bożej woli i opiece, o świętym Bernardzie, który będzie pewno czuwać nad chłopcem, i o innych możliwościach, jakie przychodziły mu na myśl. Ale drobnym ciałem wtulonego chłopca wstrząsał płacz i Magnus czuł, że i sam, nie daj Boże, okaże zatroskanie.

Nadjechały powozy i zbrojni zatrzymali konie przed wejściem do wielkiego domu, z którego wyszła najpierw Sigrid z zasłoniętą twarzą i szybkim krokiem podeszła do pierwszego powozu, gdzie zajęła miejsce. Następnie wyszedł z domu Erlend i lekliwie się rozejrzał, zanim wsiadł do drugiego z powozów.

Na koniec ukazał się Magnus z oboma malcami, którzy płakali i wczepiali się w siebie nawzajem, jak gdyby siłą swych dziecięcych rąk mogli zapobiec temu, co musiało nastąpić. Magnus rozdzielił ich łagodnym, ale i stanowczym gestem, po czym podniósł Arna i usadowił go w powozie Sigrid, właśnie obok matki. Z głębokim westchnieniem dał Magnus po chwili kłaśnięciem znak do odjazdu i konie raptownie pociągnęły powóz, on sam zaś obrócił się na pięcie i odszedł w stronę domu, daremnie spróbowałszy zatrzymać Eskila, który przekradł się obok niego.

Magnus wszedł do domu i nie odwrócił się już więcej, lecz zamknął za sobą drzwi. Eskil biegł przez chwilę ze łzami w oczach za powozami, póki nie upadł boleśnie, a wtedy zobaczył, że głowa brata zniknęła w pyłe gościńca, i nic nie mógł na to poradzić.

Arn płakał gorzko i na klęczkach patrzył za siebie, w stronę Arnas, które się oddalało i było coraz mniejsze. Pojął on, że nigdy więcej nie zobaczy swego domu, i Sigrid nie potrafiła go pocieszyć.

\* \* \*

Wizyta Sigrid nie była na rękę ojcu Henri. Jego stary przyjaciel i kolega z Clairvaux, ojciec Stephane, podówczas przeor w Alvastrze, odwiedził go w celu omówienia trudnej sytuacji, jaka powstała za sprawą królowej, która mąciła i podjudzała lud przeciw braciom z Varnhem. Stephane był oczywiście tym spośród zakonników, z którym ojciec Henri najchętniej rozmawiał o trudnych kwestiach. Byli razem już za młodu i należeli do pierwszej grupy braci obdarzonych przez samego świętego Bernarda niebezpieczną misją na zimnej, barbarzyńskiej Północy, gdzie mieli założyć klasztor filialny. Ich wędrówka na północ trwała długo i była koszmarem, także z powodu zimna.

Ojciec Stephane przeczytał już opis cudu w Arnas, był więc świadomy problemu Sigrid. Co prawda ani w Alvastrze, ani w Varnhem, podobnie jak w macierzystym klasztorze w Burgundii, nie przyjmowano od pewnego czasu oblatów i myśl, jaka przyświecała owej zmianie, była logiczna i łatwa do zrozumienia. Wykluczało się wolny wybór drogi Bożej lub drogi wiodącej ku zatra-

ceniu, jeśli klasztory przyjmowały małe dzieci na wychowanie. Już w wieku dwunastu lat były takie dzieci przygotowane do życia zakonnego, innego zresztą nie znały. Nieodparcie nasuwała się myśl o tym, iż dorastanie w podobnych warunkach pozbawiało dzieci ich wolnej woli, rezygnacja z przyjmowania oblatów była więc rozsądną zmianą.

Z drugiej strony, nie należało doprawdy lekceważyć cudu, jaki stał się w Arnas, szło bowiem o nie lada zdarzenie. Skoro w najbardziej krytycznym momencie rodzice ofiarowali dziecko Bogu, a co do tego nie było wszak żadnych wątpliwości, i skoro Bóg potem istotnie uczynił cud, to i trzeba uznać rodzicielskie przyrzeczenie za tak uświęcone, iż niepodobna go nie dotrzymać.

Cóż jednak wyniknie, jeśli ci, co służą Bogu, sprawią, że ów ślub nie zostanie spełniony, jeśli po prostu odmówią przyjęcia chłopca, ponieważ poniechano owego zwyczaju?

Należałoby zatem zwolnić rodziców z przyrzeczenia. Wszakże w tym przypadku — świadomie, dobrowolnie i z premedytacją — zlekceważyliby bracia zakonni jednoznacznie wyrażoną wolę Bożą. A to nie byłoby możliwe. Wypadało więc przyjąć chłopca.

I jak przedstawiałby się los pani Sigrid? Pan Bóg surowo ją ukarał za chwiejność — tak widzieli to bracia zakonni — i oto przybyła ona dla odprawienia pokuty, wspomniała nawet o zamiarze zadowolenia się resztkami z klasztoru, byle czym.

I jaki wpływ na to wszystko mogłaby mieć kwestia znacznie większej wagi, mianowicie ta perspektywa, iż, być może, wypadnie po prostu oddać Varn-hem i powrócić do Clairvaux, tam zaś zabiegać o ekskomunikowanie Krystyny i ewentualnie także jej małżonka, aby w ten sposób pozbyć się problemu, a potem zacząć od nowa. Biorąc pod uwagę czas podróży i wszystko inne, trzeba by kilku lat na całą tę procedurę.

Owi dwaj mężczyźni siedzieli w cieniu na krużganku między kościołem a dormitoriami zakonników. Przed oczyma mieli ogrodowe wspaniałości brata Luciena, które kąpały się w słonecznym blasku. Ojciec Henri posłał wcześniej brata Luciena do dawnej altany, gdzie przebywali teraz Sigrid i jej syn. Poważną, trudną rozmowę ojca Henri z ojcem Stephane'em przerwał powrót brata Luciena z mocno zmarszczonym czołem.

- Tak — westchnął ten ostatni i siadł na kamiennej ławce obok obu ojców.  
- Nie wiem, co myśleć. Na trąd mi to raczej nie wygląda, jest zbyt wiele ran i nadmiar wilgoci. Idzie tu chyba rychlej o jakąś odmianę świńskiej zarazy, ta-

, ką, co bierze się ze zwierzęcego brudu. Trudno wszakże nie przyznać, iż jest to ohydny widok.

-A jeżeli istotnie idzie po prostu o świńską zarazę, jakże możesz temu zaradzić, drogi bracie? - spytał, zaciekawiony już, ojciec Henri.

- Hm... czyżbyś sądził, ojcze, że uczynię cokolwiek? - choć niepewny siebie, zdziwił się brat Lucien.

- Jakże to? - odezwali się obaj ojcowie, jednakowo zdumieni.

- Otóż... skoro nasz Pan pokarał ją tą chorobą, kimże jestem, iżbym miał czynić coś wbrew Jego woli?

- Ależ nie wystawiaj się na pośmiewisko, bracie! - zirytował się ojciec Henri. - Jesteś narzędziem Pana i jeśli dołożysz wszelkich starań, a Pan pochwali twą pracę, to okażesz się pomocnym. Nic innego po prostu nie może pomóc i nic nie będzie mieć żadnego znaczenia. Cóż tedy zamierzasz uczynić, by temu zaradzić?

Ów zakonnik, który znał się na ziołach, wyjaśnił, że wedle jego rozumienia trzeba by oczyścić i wysuszyć rany. Dla przemycia ich przydałaby się przegotowana i poświęcona woda, a potem świeże powietrze i słońce powinny wysuszyć owe ropne rany w niespełna tydzień. Przynajmniej te na twarzy pani Sigrid, ręka wyglądała bowiem gorzej i mogłoby to nawet mieć swą przyczynę w czymś całkiem innym aniżeli błaha świńska zaraza.

Ojciec Henri, zaciekawiony wyjaśnieniem, kiwał głową na znak aprobaty; każda wstępna diagnoza brzmiała w ustach brata Luciena przekonująco. Szczególny podziw ojca Henri budziło to, iż brat Lucien potrafił odnieść się chłodno do wszelkich problemów i nie spieszył się wypróbować jednocześnie najróżniejszych ziół z nadzieją na to, że któreś pomoże, jeśli pierwsze okaże się nieskuteczne. Jak twierdził brat Lucien, takie nieprzemyślane działanie mogłoby w niejednym przypadku pogorszyć już bez tego zły stan.

Gdy brat Lucien został zachęcony do wykonania swych najpilniejszych w owej chwili czynności, ojciec Stephane podjął wątek wcześniejszej rozmowy i orzekł, iż nabrał pewności co do tego właśnie chłopca. Jeśliby jednak zapragnął On uczynić z chłopca jeszcze jednego zakonnika, pośród tylu innych, to cud i trąd razem musiałyby się wydać niejako przesadą, czyż nie tak? Nie potrzeba doprawdy aż takiego nacisku, by ktoś wstąpił do zakonu.

Skrajna, ale i zabawna logika kolegi rozśmieszyła ojca Henri. Cóż, żadnych kontrargumentów nie potrafiłby on przecież znaleźć. Należy więc przyjąć chłopca, lecz obchodzić się z nim ostrożnie, niczym z delikatną rośliną w ogro-



dzie ojca Luciena, i dbać o to, by nie została złamana jego wolna wola. Być może kiedyś, w przyszłości, uda się lepiej poznać Boże zamiary wobec chłopca. Co do tego zresztą byli obaj zakonnicy zgodni właściwie od początku.

Pozwolono więc chłopcu stać się oblatem, choć dość późno pozyskanym. A gdyby wypadło odejść z Varnhem, to Arn podążyłby za wszystkimi. Tak jednak stałoby się pewno nie od razu.

Do rozstrzygnięcia pozostawała sprawa pani Sigrid. Najprościej byłoby zacząć od wysłuchania jej spowiedzi, tego, co miała sama do powiedzenia. Ojciec Stephane zaszedł do skryptorium, aby jeszcze raz, nieco uważniej, przeczytać opis cudu w Arnas. Ojciec Henri zaś udał się, z troską na twarzy, do starej altany poza klasztornym murem, by wysłuchać spowiedzi Sigrid.

Zastał matkę i syna w kiepskim stanie. Była w tej izbie tylko jedna pryca, na której, w gorączce i z zamkniętymi oczami, leżała Sigrid, a obok niej siedział zapłakany szkrab i kurczowo ścisnął jej zdrową rękę. Ów domek nie został posprzątny, było tam wiele rupieci, a prócz tego panowało zimno. Nie używano go od lat i pewno tylko to, że należało się zająć ważniejszymi sprawami, przeszkodziło w zburzeniu domku i, być może, ocaliło go także stare i zmurszałe drewno ścian, nieprzydatne w żadnym nowym domu.

Ojciec Henri założył stulę, po czym podszedł do Arna i ostrożnym gestem pogłaskał go po główce. Chłopiec chyba jednak tego nie zauważył albo udał, że mu to umknęło.

Łagodnym tonem poprosił ojciec Henri, żeby Arn na krótko wyszedł i pozwolił matce wypowiedzieć się, lecz malec nawet nie uniósł wzroku, a tylko pokręcił głową, jeszcze mocniej ująwszy matczyną dłoń.

Tymczasem Sigrid ocknęła się i Arn zaraz wyszedł, co prawda niechętnie, i zatrzasnął za sobą rozeschnięte drzwi. Sigrid zdawała się rozgniewana, ale ojciec Henri uśmiechnął się, po czym przyłożył do ust wskazujący palec prawej ręki, uciszając ją i prosząc w ten sposób, by nie przejmowała się owym zachowaniem. Następnie zapytał, czy chciałaby się wypowiedzieć.

-Tak, ojcze - odpowiedziała, czując suchość w ustach. - Wybacz mi, ojcze, bom zgrzeszyła. Z pomocą świętego Bernarda udało się nam, to znaczy mnie, mojemu małżonkowi i panu oraz bratu Erlendowi żarliwymi modlitwami sprawić, iż Arn dzięki pomocy Pana odżył i powrócił między nas. Wszelako tuż przed owym cudem uroczyście przyrzekłam Panu, że przeznaczę chłopca do miłej Bogu, świętej pracy pośród ludzi tu, na ziemi, jeżeli raczy On ocalić mego syna.

- Wszystko to wiem, mówisz co do słowa tak, jak zapisał brat-laik Erlend. Twoja łacina płynie zresztą niczym woda, czyżbyś ostatnio ćwiczyła się w niej? Jakkolwiek jest, powróćmy jednak do twej spowiedzi, moje dziecko.

- Tak, czytałam razem z chłopcami... - wybąkała ze znużeniem w głosie Sigrid, po czym westchnęła i, starannie obmyśliwszy dalszy ciąg, podjęła znów spowiedź. - Nie spełniłam świętego ślubu wobec Pana Boga, udałam, że go nie było, i za to, jak widzisz, pokarał mnie Bóg trądem. Chcę odprawić pokutę, jeżeli w ogóle można ją odprawić w obliczu tak ciężkiego grzechu, i przychodzi mi na myśl, iż będę żyć w tym domku, jakbym nie została nikomu zaślubiona, aż po kres moich dni karmiąc się jedynie resztkami ze stołu braci zakonnych.

- Można by pomyśleć, moja droga Sigrid, któraś tyle uczyniła dla nas, trudzących się w winnicy Pańskiej tutaj, w Varnhem, iż Pan okazał wobec ciebie wielką surowość - rzekł refleksyjnym tonem ojciec Henri. - Wszak że nie sposób też pominąć tego, że ciężkim grzechem jest złamanie świętego ślubu złożonego Panu Bogu, choćby stało się tak w trudnej chwili. Czyż zresztą nie przyrzekamy Panu najwięcej w obliczu największych kłopotów? Spełniając prośbę Pana i twoją własną, wyrażoną odmiennie, zajmiemy się twym synem. Zdaje się, że ten malec zwie się Arn, czy tak? Powiniennem to wiedzieć, wszak ja go ochrzciłem. Cóż, spróbujemy też uwolnić cię od winy i pozostaniesz tu, a karmić się będziesz, tak, jak sama mówisz, resztkami z naszego stołu. Wszelako nie mogę ci jeszcze udzielić rozgrzeszenia i proszę, abyś nie przejęła się tym. Otóż nie wiem, co Pan chce nam powiedzieć. Być może idzie Mu tylko o pewną przestrożę wobec ciebie? Zmów dwadzieścia razy „Ojcze nasz” i tyleż razy „Zdrowaś Maryjo”, a potem zaśnij z tą świadomością, żeś jest wśród ludzi troskliwych i że możesz im zaufać. Przyślę do ciebie brata Luciena, iżby z największym staraniem zajął się twymi ranami, a jeśli się okaże (tak przypuszczam, lecz nie wiem tego), iż Pan chciał przywrócić cię do zdrowia, to i wkrótce będziesz bez grzechu. Odpocznij teraz, ja zaś za biorę chłopca ze sobą do klasztoru.

Ojciec Henri wstał bez pośpiechu, przypatrując się zeszpeconej twarzy Sigrid, której jedno oko było tak zanieczyszczone i zaropiałe, że niemal zniknęło, drugie zaś okazało się półotwarte. Zakonnik pochylił się i dyskretnie powąchał rany, po czym zamyślił się, skinął głową i odszedł, chowając stułę do kieszeni.

Przed domkiem na jakimś kamieniu siedział Arn ze spuszczoneym wzrokiem i nie odwrócił się on, gdy ojciec Henri stamtąd wyszedł.

Zakonnik stał przez chwilę i spoglądał na Arna, póki i chłopiec w końcu nie zerknął w jego stronę. Wtedy ojciec Henri uśmiechnął się życzliwie, ale jedyną reakcją było niechętnie prychnięcie, po czym Arn znów odwrócił wzrok.

- Dobrze, dobrze, *mon fils*, bądź grzeczny chłopiec i pójdz ze mną - ojciec Henri, nawykły do niezmiennego posłuszeństwa wobec siebie, odezwał się najłagodniej, jak potrafił, ale zaraz podszedł do Arna i dotknął jego ramienia.

- Czy nie umiesz mówić poprawnie, stary diable? - zapytał niegrzecznie chłopiec, po czym zaczął kopać i ze wszystkich sił bronić się przed ojcem Henri, ten jednak, jako że był mężczyzną potężnej postury, zabrał chłopca ze sobą do klasztoru z taką łatwością, jakby niósł koszyk ziół z ogrodu brata Luciena.

Kiedy zakonnik i Arn doszli do krużganka, tuż obok klasztornego ogrodu, ojciec Henri zastał swojego kolegę z Alvastry w tym samym miejscu, w którym wcześniej siedzieli razem zajęci dyskusją.

Ojciec Stephane zaraz się rozpromienił, gdy zobaczył krnąbrnego i opryskliwego Arna.

- Ach! - wykrzyknął. - Otóż i... hm, nasz *jeune oblat*, *Enfin...* zdaje się, iż w tej chwili nie przepelnia go wdzięczność *de Dieu*?

Ojciec Henri pokiwał z uśmiechem głową i posadził Arna na kolanach kolegi, który bez trudu odparł raptowny cios pięścią, zadany przez malca.

- Zatrzymaj go, jak długo zdołasz, drogi bracie. Ja musze pilnie omówić coś z bratem Lucieniem - wyjaśnił ojciec Henri i wszedł do ogrodu, żeby odszukać tam zakonnika, który odpowiadał za leczenie.

- Hola, hola, nie wrzegaj - przykazał Arnowi rozbawiony ojciec Stephane.

- Mówi się „wierzgać"! A nie „wrzegać"! - odpyskował Arn i spróbował się uwolnić, ale zrozumiał, że uwięziły go silne ramiona, i nie ponowił już takiej próby.

- Cóż, skoro moja nordycka mowa razi twoje chłopięce uszy, to być może porozumiemy się w języku, w którym ja wysłowię się poprawniej - te słowa wyrzekł ojciec Stephane półgłosem po łacinie, właściwie nie licząc na żadną odpowiedź.

- Obu nam będzie poręczniej, skoro naszej mowy jeszcze nie posiadasz, ty stary mnichu - odciął się Arn w tym języku, którym dopiero co zwrócił się do niego zakonnik.

Ojciec Stephane rozpromienił się, szczerze zdziwiony.

- Ufam zaiste, iż ty, ja i ojciec Henri dojdziemy do porozumienia łatwiej i rychlej niżli sam przypuszczasz, młody człowieku - szepnął ojciec Stephane chłopcu na ucho, jakby właśnie powierzał mu jakiś wielki sekret.

- Nie chcę całymi dniami ślęczeć nad nudnymi starymi księgami, jak gdybym był w niewoli - wyburczał Arn, ale już z trochę mniejszą złością niż chwilę wcześniej.

- A cóż chciałbyś robić? - spytał ojciec Stephane.

- Chcę powrócić do domu, nie chcę być waszym jeńcem i niewolnikiem - odpowiedział Arn i zaraz zaniechał krnąbrnego zachowania, znowu się natomiast rozplakał i przytulił do ojca Stephane'a, ten zaś w milczeniu głaskał go i poklepywał po wątlých ramionach.

\* \* \*

Jak niejednen raz wcześniej, brat Lucien nie pomylił się w swej pierwszej diagnozie. Rany na twarzy Sigrid nie wzięły się bynajmniej z trądu i ów zakonnik dość szybko osiągnął pewien postęp w leczeniu.

Najpierw posłał on kilku braci-laików do altany, żeby zaprowadzili tam porządek, a także pobielili i uszczelnili ściany, choć Sigrid zaprotestowała przeciw tym zmianom na lepsze, uważała bowiem, iż jako osoba niegodziwa nie zasłużyła na czystość i schludność. Brat Lucien starał się wyjaśnić, że nie względy estetyczne, lecz medyczne wchodziły tu w grę, ale raczej się nie zrozumieli w owej wymianie zdań.

Twarz Sigrid wyzbyła się jednak oszpeceń, i to właśnie dzięki temu, o czym od początku myślał brat Lucien, a mianowicie dzięki czystej poświęconej wodzie, słońcu i wentylacji. Nie potrafił on natomiast zaradzić ranom, które powstały na dłoni Sigrid i obejmowały całą rękę, zresztą już opuchniętą i siną. Bez powodzenia zastosował pewne bardzo silne, wręcz niebezpieczne preparaty. W końcu pojął, że tylko jednym sposobem można by uporać się z zatruciem krwi. Oznaką, która potwierdziła jego obawy, była niezmiennie wysoka gorączka.

Brat Lucien nie chciał jednak osobiście przedstawić Sigrid owej sytuacji, lecz wyjaśnił ojcu Henri, co należałoby uczynić. Należało mianowicie wykrzewić całe zło, czyli uciąć rękę. W przeciwnym przypadku gangrena musiałaby wkrótce zagrozić sercu. Gdyby chodziło o któregoś z braci, wystarczyłoby sprowadzić brata Guilberta z jego wielkim toporem, ale czyż można by tak się obejść z panią Sigrid, której dobroczynność poznali wszyscy bracia?

Ojciec Henri zgodził się z bratem Lucienem. Obiecał, że przedstawi sytuację, jak najogólniej będzie potrafił, choć miał akurat inne pilne zajęcia. Brat Lucien bodaj po raz pierwszy, w ostrożnych słowach, zganił go za takie postawienie sprawy. Trzeba przecież było liczyć się z czasem i szło o uratowanie życia.

Mimo wszystko ojciec Henri nieco odwłókł ową trudną misję. Do klasztoru zmierzała bowiem, i to w licznej zbrojnej asyście, pani Krystyna.

Przybyła ona do Varnhem konno, na czele oddziału zbrojnych, niczym wódz, a dla okazania swego dostojęstwa miała na głowie koronę królowej i była ubrana w szaty ceremonialne.

Ojciec Henri i pięciu braci zakonnych z jego najbliższego otoczenia przywitani ją u klasztornej bramy, którą demonstracyjnie kazali zamknąć za sobą.

Krystyna nie zsiadła z konia, lecz wolała rozmawiać z mnichami, patrząc na nich z góry, a poza tym uciekając się do drwiącego tonu, i właśnie tak oznajmiła, iż bezwzględnie czym prędzej należy zburzyć jeden z budynków, że właśnie ów dom znalazł się jakimś osobliwym trafem w tej części majątku, która wedle prawa należała do niej.

Krystyna dobrze wiedziała, jak zaatakować. Zamierzała oczywiście sprawić, by ojciec Henri stracił cierpliwość albo i zdrowy rozsądek, i oto przekonywała się, że przynajmniej to pierwsze osiągnęła. Ojciec Henri spędzał najwięcej czasu wśród ksiąg w skryptorium i były to dlań chwile najbardziej świetliste w owym nordyckim mroku, w krainie barbarzyńców, a samo skryptorium stanowiła tę część klasztoru, którą, w większej mierze niż jakąkolwiek inną, poczytywał za swoją własną.

Z zaciekłością w głowie odparł więc, iż zburzenie skryptorium nie leżało w jego zamiarach.

W odpowiedzi Krystyna ostrzegła, że jeśliby ów budynek nie został zburzony w ciągu tygodnia, to gotowa była powrócić nie tylko w zbrojnej asyście, ale i z niewolnikami, którzy, przynagleni batami przez zbrojnych, wykonaliby tę pracę szybko, tyle że pewno mniej ostrożnie niż zakonnicy, o ile ci zechcieliby uczynić zadość jej postanowieniu. Należało po prostu dokonać wyboru.

Na to ojciec Henri tak rozgniewany, że ledwie nad sobą panował, odpowiedział, iż powziął inny zamiar, że postanowił opuścić Varnhem. I u kresu swej podróży będzie musiał prosić Ojca Świętego w Rzymie o ekskomunikowanie i tej niewiasty, i jej małżonka, jeśliby się okazał współwinowajcą niesłychanego wystąpienia przeciw Bożym sługom na tym świecie i przeciw Bożym

ślugom na tym świecie i przeciw Świętemu Kościołowi rzymskiemu. Czyżby Krystyna nie pojmowała tego, iż łącznie mogła doprowadzić wieczne potępienie i na siebie, i na Eryka Jedvardssona?

Ojciec Henri nie mijał się z prawdą, gdy groził ekskomuniką. Ale Krystyna chyba tego nie zrozumiała, tak jak nie pojęła, iż sama stworzyła wielkie zagrożenie dla ambitnych planów małżonka; wyklęty król nie miał na co liczyć w chrześcijańskim świecie.

Krystyna, wciąż gotowa szydzić, zachnęła się tylko, tak zamasyście obróciła konia, że zakonnicy musieli odskoczyć, aby ich nie stratowała, a odjeżdżając, powtórzyła, rzuconą teraz przez ramię, zapowiedź przybycia po tygodniu jej niewolników, zresztą pogańskich niewolników, dla porachowania się z mnichami.

Oznaczało to, iż rozbudowę klasztoru w Varnhem trzeba było wstrzymać dopóty, dopóki Kościół nie okazał swej władzy, przywracając ład. Święty Kościół rzymski nie mógł puścić płazem takiej obelgi ani, tym bardziej, pozwolić sobie na przegranie w rychłym konflikcie. Ojciec Henri dziwił się, że ta rzekoma królowa była tak mało świadoma wszystkich okoliczności.

Z Arnem obchodzono się ostrożnie i nie kazano mu uczyć się gramatyki łacińskiej dłużej niż przez cztery godziny dziennie. Trzeba było przede wszystkim zadbać o to, aby bezbłędnie posługiwał się łaciną, a później można by przyswoić mu kolejny język. Najpierw narzędzie poznania, potem zaś sama wiedza.

Ale ojciec Henri chciał także wydobyć chłopca z melancholii, zarządził więc, żeby Arn spędzał prawie tyle samo czasu w towarzystwie okazałego brata Guilberta de Beaune, który mógł go wyćwiczyć w całkiem innych sztukach niż łacina czy śpiew.

Głównym zajęciem brata Guilberta w Varnhem była praca w kuźniach, zwłaszcza w tej największej i najlepiej wyposażonej, gdzie wytwarzano broń. Był to tylko i wyłącznie dobry interes, jako że miecze wykuwane przez brata Guilberta miały oczywiście przewagę nad wszystkim, co potrafiło wytworzyć w owym barbarzyńskim zakątku świata. I szybko rozeszły się słuchy o mnisich mieczach, dzięki czemu owa kuźnia przynosiła już niezadługo spory dochód w srebrze.

Dokładnie tak jak ojciec Henri się spodziewał, Arn chętnie obserwował i czasem pomagał nawet pod okiem brata Guilberta, który zajął się chłopcem z taką powagą i sumiennością, jakby trzeba było go nauczyć zawodu kowala,

począwszy od najprostszych podstaw, a skończywszy na kowalstwie artystycznym.

Po pewnym czasie Arn dąsał się już jednak mniej, był bardziej skory do obcowania z ludźmi i ośmielił się na tyle, że stawiał nawet pytania niezwiązane z pracą. Spytał na przykład brata Guilberta o to, czy ów strzelał kiedykolwiek z łuku i czy odważyłby się stanąć do zawodów, jeśliby tak było.

Ku niezadowoleniu Arna, owo pytanie rozbawiło brata Guilberta tak bardzo, że wybuchnął śmiechem, który wytrącił go z rytmu pracy, przez co rzucił rozżarzony kawał metalu do wiadra z wodą i, już ze łzami w oczach, usiadł, żeby się uwolnić od tego śmiechu.

W końcu się uspokoił, zaraz też otarł łzy i przyznał, że istotnie zdarzyło mu się kilkakrotnie posłużyć łukiem i że, mając dość czasu, mogliby obaj poświęcić go i na takie zabawy. Dodał też, iż oczywiście bałby się zmierzyć z tak dzielnym młodym wojownikiem, jak Arn de Gothia. I znowu wybuchnął śmiechem.

Arn nieprędko pojął przyczynę tego wielkiego rozbawienia. A w owej chwili było mu po prostu przykro. Z pogardą w głosie posądził nawet brata Guilberta o tchórzostwo. I wywołał jeszcze jeden wybuch śmiechu ze strony Guilberta de Beaune.

\* \* \*

Mając do wyboru amputację ręki i pewno życie w kalectwie albo śmierć, Sigrid wybrała to drugie. Wyznała, że tak właśnie pojęła wolę Pana. Ojciec Henri ze smutkiem w sercu wypowiedział ją po raz ostatni, uwolnił ją od wszystkich grzechów, po czym udzielił jej komunii i ostatniego namaszczenia.

W święto Matki Boskiej Zielnej, gdy lato osiągnęło pełnię i nadszedł czas sianokosów, Sigrid umarła spokojnie w swoim domku.

Była to też pora odjazdu ojca Henri oraz siedmiu braci, którzy mieli mu towarzyszyć w podróży na południe. Sigrid została pochowana w przyklasztornym kościele, pod podłogą tuż obok ołtarza, i miejsce to opatrzone niezbyt wielkimi, tajemnymi znakami, jako że ojciec Henri miał już bardzo złe zdanie o pani Krystynie i jej małżonku. Dwóch braci posłano do Arnas z wieścią o śmierci Sigrid i zaproszeniu do odwiedzenia jej grobu w stosownym czasie.

Póki trwała czterogodzinna msza żałobna, Arn stał wciąż prosto i spokojnie, jako jedyny chłopiec wśród wielu mnichów. I tylko niebiański śpiew

potrafił sprawić, że chwilami coś w nim pękało i nie umiał powstrzymać łez. Ale nie wstydził się tego, bo zauważył, że nie sam płakał.

Nazajutrz rozpoczęła się długa podróż na południe, której pierwszym celem była Dania. Arn był teraz pewien, że jego życie należało do Boga i że żaden człowiek - dobry czy zły, silny czy słaby - nie mógł tego zmienić.

Ani razu nie obejrzał się Arn za siebie w owej podróży.



Nierzadko sprawy przybierają całkiem inny obrót niż przewidywano. To, co małowierni zważają drobnymi przypadkami, a ludzie wierzący - wolą Bożą, potrafi czasem tak zmienić bieg wydarzeń, że nikt nie odgadłby go wcześniej. Dotyczy to mocarzy przekonanych o tym, iż są kowalami swego szczęścia, takich jak Eryk Jedvardsson. Ale dotyczy to również takich jak Henri z Clairvaux, a więc ludzi, którzy są bliżej Boga niż ktokolwiek, i powinni by lepiej pojmować Jego wyroki. W ciągu kilku następnych lat wyroki Pana były zaiste niepojęte dla obu wspomnianych mężów.

Kiedy ojciec Henri dotarł do Roskilde z siedmioma towarzyszami swej podróży na południe i pewnym chłopcem, był on zdecydowany przebyć całą drogę, jaka dzieliła go od Citeaux, gdzie obradowała kapituła generalna zakonu cystersów, której chciał przedstawić kwestię ekskomunikowania Eryka Jedvardssona i jego małżonki, Krystyny. Szło tu o pryncypia, o rzecz wielkiej wagi, albowiem po raz pierwszy stało się tak, iż cystersi musieli zamknąć klasztor z powodu kaprysu - mniej lub więcej znaczącego - króla czy też jego małżonki. Szło o odpowiedź na pytanie, które miało kluczowe znaczenie dla całego świata

chrześcijańskiego: kto decyduje o losach Kościoła - czy on sam, czy monarchowie? Od dawna toczył się zażarty spór w tej materii, ale oto w osobie Krynstyny trafiła się barbarzyńska nordycka królowa, która nie była świadoma istnienia tego sporu.

Należało za wszelką cenę odzyskać Varnhem. Żaden kompromis nie wchodził w rachubę.

I jeśliby ojciec Henri ze swą asystą przybył do Roskilde o kilka lat wcześniej albo o kilka lat później, to wszystko potoczyłoby się wedle jego planu. W to wątpić nie sposób.

Wszakże ojciec Henri oraz jego asysta znaleźli się w Roskilde akurat w tym momencie, gdy dobiegła końca zaciekle dziesięcioletnia wojna domowa i gdy do władzy doszedł kolejny potężny ród. Nowy król nosił imię Waldemar i w swoim czasie zasłużył na to, iż nazwano go Waldemarem Wielkim.

Udało mu się w końcu uśmiercić obu rywali, Knuta i Svenda, a przed rozstrzygającą bitwą obiecał, że w przypadku własnego zwycięstwa, dzięki Bożej łaskawości, założy klasztor cystersów. Podległy mu arcybiskup Lund, Eskil, wiedział o tej obietnicy, musiał bowiem się stawić i przed rozstrzygającą batalią udzielić owej wojnie swego błogosławieństwa. Tenże arcybiskup Eskil był od dawna zaprzyjaźniony osobiście z niebyle kim, bo z samym świętym Bernardem. U niego właśnie, w Clairvaux, zawarł Eskil również przyjaźń z ojcem Henri.

Gdy oto ci dwaj spotkali się w Roskilde, i to w chwili zwołania synodu duńskiego Kościoła, nie tylko ucieszyli się ogromnie tym ponownym spotkaniem. Byli też urzeczeni Bożą mądrością przejawianą w kierowaniu każdym krokiem człowieka.

Części układanki przystawały do siebie w cudowny sposób. Otóż przeor jednego z klasztorów zakonu cystersów przybył dokładnie wtedy, gdy nowy król mógł dotrzymać złożonej Bogu obietnicy ufundowania klasztoru albo też o owym przyrzeczeniu zapomnieć. Długoletnia korespondencja między Roskilde a Citeaux stawała się zbędną, skoro bowiem znalazł się w Roskilde i arcybiskup, i przeor, sprawę można było rychło doprowadzić do końca.

Sam król Waldemar dopatrywał się jednoznacznego wyrażenia woli Bożej w tym, iż wedle słów arcybiskupa, które usłyszał, święte przyrzeczenie złożone Bogu mogło się natychmiast spełnić, albowiem tak właśnie Pan rozstrzygnął ową kwestię.

Król Waldemar przeznaczył część swego dziedzictwa, jutlandzki przyładek Vitskol, wcinający się w Limfjorden, na obszar nowego klasztoru. Synod,

zwołany już do Roskilde (co okazało się wielce przydatne), pobłogosławił temu zamiarowi i niezadługo ojciec Henri mógł, jak gdyby po prostu zatrzymał się w Roskilde na krótki odpoczynek, wyruszyć w dalszą podróż, tyle że już nie do obu macierzystych klasztorów w Clairvaux i Citeaux, lecz zupełnie dokądś indziej.

To, co się wydarzyło, nie miało oczywiście istotnego znaczenia dla kwestii odzyskania Varnhem oraz ekskomuniki, która powinna była spotkać Krystynę i Eryka Jedvardssona. Pojawiła się jedynie różnica praktycznej natury, ponieważ wypadało w owych sprawach korespondować, a to musiało je cokolwiek przeciągnąć. Przed podróżą na przykład Vitskol czekało więc ojca Henri napisanie kilku ważnych listów, ale szybko się z tym uporał. Napisał on do Varnhem i polecił dwudziestu dwóm zakonnikom zabrać ze sobą sporo bydła i koniecznie cały księgozbiór, i udać się do nowego klasztoru na przykładzie Vitsk01. Pięciu mnichom kazał ojciec Henri pozostać w Varnhem i obarczył ich złowróżbnym zadaniem uchronienia klasztornych budynków przed dewastacją, a ponadto polecił, by rozpowiadali o niedalekim ekskomunikowaniu Krystyny i Eryka Jedvardssona, niezależnie od tego, jaki będzie finał owej sprawy.

Ojciec Henri wystosował też pisma do kapituły generalnej zakonu cystersów oraz do papieża Hadriana IV i ukazał w nich niemoralnego opoja Eryka Jedvardssona, który chciał uchodzić za króla, choć pozwolił na to, by jego małżonka zbecześciła klasztor. Potem mógł już odjechać na przykładzie Vitskol, dokąd niewątpliwie kierował go Pan.

A dokąd Pan skierował ojca Henri, tam sprowadził też Arna.

\* \* \*

Eryk Jedvardsson wkrótce doświadczył potęgi Kościoła. Uzyskawszy jedną z trzech upragnionych koron królewskich, posłał on negocjatorów do jurystów, którzy reprezentowali Gocję Zachodnią i Wschodnią. Otrzymał jednak niezachęcające odpowiedzi. Tam, na południu, było wszak Varnhem, które tliło się i kopało jako siedlisko pogłosek, a dym z owego żarzenia spowijał całą krainę - Eryka Jedvardssona i jego małżonkę, Krystynę, czekała ekskomunika. Nikt nie chce wyklętego króla.

Swewowie nie byli na szczęście świadomi tego, co mówiono na południu, albo też nie rozumieli znaczenia ekskomuniki. Chwilowo nie istniało żadne zagrożenie dla Eryka jako króla Swewów.

Sytuacja zmuszała go jednak do podjęcia dwóch spraw, z których jedna była łatwa, druga zaś trudna. Takie zadanie polegało na wysłaniu grupy negocjatorów do owego francuskiego mnicha, który przebywał podówczas gdzieś w Danii oraz na wystosowaniu kornego pisma z błaganiem o powrót zakonników do Varnhem, przy czym należało przyrzec królewskie wsparcie dla nich. Poprosił o to, by w tamtejszym kościele chowano członków Erykowego rodu, obiecać zakonnikom z Varnhem więcej ziemi dla klasztoru i cokolwiek jeszcze przyjdzie mu na myśl. Podległy Erykowi biskup Henryk, duchowny zdolny do praktycznej kalkulacji, przestrzegł Eryka, że alternatywa byłaby o wiele gorsza. Wypadłoby mianowicie pieszo powędrować do Rzymu, przywdziać worek pokutny i posypać głowę popiołem na ostatni odcinek drogi, który trzeba by pokonać boso, aby paść Ojcu Świętemu do nóg. Byłoby to uciążliwe i wymagałoby czasu, i niekoniecznie musiało odnieść skutek, bo przecież nic bynajmniej nie gwarantowało tego, iż takie sztuczki udobruchałyby papieża. A czyż daremność tych wszystkich trudów nie byłaby wielce irytująca?

O wiele łatwiej po prostu udobruchać mnichów kilkoma listami, pięknym słowem i darowaniem ziemi, która stanowiłaby wszak niewielką część wszystkich posiadłości króla. Tego dokonać nietrudno.

Natomiast trudniej było raz na zawsze zamknąć usta ludziom, którzy rozpowiadali o bezbożności króla. Powrócono do dawnego pomysłu Eryka, by odbyć krucjatę do Finlandii, pomysłu, który biskup Henryk uznał za bardzo dobry. Król powinien by zyskać sobie powszechny szacunek jako Boży bojownik o prawdziwą wiarę. Tak więc przez Finlandię wiodła droga, której kresem było zdobycie dwóch pozostałych koron.

Swewowie, skorzy do wojowania, lecz od dawna pozbawieni okazji do potwierdzenia sobie i innym owego bojowego ducha, chętnie poparli królewski plan łupieżczej wyprawy do Finlandii. Pomijając już wszelkie inne względy, było za co wziąć odwet, jako że ludy Finów i Estów wiele naniszczyły wzdłuż wybrzeży krainy Swewów, a najmocniej utkwilo w pamięci splądrowanie i spalenie Sigtuny.

Wojna przynosiła Swewom sukcesy przez dwa lata. Zbierali oni wiele trofeów. Krukowi nie brakowało świeżej padliny.

Większość napotykanych Finów zdążyła wcześniej przyjąć chrześcijaństwo, cóż to jednak komu szkodziło, że kazano im wybierać śmierć od miecza albo ponowny chrzest z rąk swewskiego biskupa. W drugim roku wojny zdarzało się zresztą, tyle że raczej w głębi kraju, natrafić na pojedynczych pogan.

Któregoś dnia woje Eryka, którzy zboczyli z drogi przemarszu, aby ograbić jakichś chłopów z żywności, napotkali starą wiedźmę. Owa niewiasta zadziwiła ich swą mową, niemal taką samą jak ta, której używano w kraju Swewów, oraz tym, że nie przestraszyła się pojmania. Rezolutnie zażądała, by zaprowadzono ją przed oblicze dowódcy, chciała bowiem przedstawić mu propozycję, której on nie powinien by odrzucić. A jeśli by woje nie spełnili jej prośby, czekało ich wieczyste nieszczęście za sprawą czarów.

I woje uczynili zadość żądaniu wiedźmy, nie tyle z obawy przed czarami, ile z ciekawości, jaką wzbudziła owa propozycja wobec Eryka Jedvardssona, której ten rzekomo nie powinien odrzucić.

Usłyszawszy o tamtym zdarzeniu, Eryk Jedvardsson uznał, że będzie mógł zapewnić sobie przyjemną rozrywkę na wieczór, i przykazał, by zabrano wiedźmę i prowadzono ją, póki nie rozbije się obozu, co miało nastąpić o zmroku.

Wtedy też polecił król ściągnąć do jego namiotu kata z toporem i drewnianym klockiem. Najbliższe otoczenie króla zebrało się w oczekiwaniu na wesołą zabawę i w końcu sprowadzono wiedźmę, rzucając ją na kolana przed obliczem króla.

- Nuże, wiedźmo! Chciałaś przedstawić propozycję, której ja jako król ponoć nie ośmielę się odrzucić, posłuchajmy tedy! - głośno zagadnął Eryk ową brudną, spętaną kobietę na klęczkach, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem do swoich ludzi, wprowadziwszy ich tym w wesoły nastrój.

- Taak - wychrypiała wiedźma, trzymana za kark przez jednego z wojów - mam propozycję, której mądry król pewno nie odrzuci.

- I wszyscy chcemy cię wysłuchać, wszakże pojmujesz chyba, że kat nie stoi tu bez potrzeby, pomyśl tedy, co się stanie, jeśli powiem „nie” - odparł, wciąż jednakowo wesoły.

- Przykaż przeto, by mnie puszczone i bym mogła mówić, stojąc. Jeśli odrzucisz mą propozycję, nie omieszkałam poddać się twojemu katu - powiedziała szybko i pewnym głosem owa niewiasta.

Eryk dał znak, żeby ją podniesiono z klęczek, po czym, nadal w wesołym nastroju, pokazał po sobie, iż był gotów jej wysłuchać. Dla otoczenia króla to, co się właśnie działo, było nie lada rozrywką.

Owa niewiasta z godnością przyczesła ręką włosy, odchrząknęła i zaczęła mówić.

- Oto moja propozycja, królu Eryku. Pozwól, abym powróżyła z twej dłoni i powiedziała ci, kim jesteś i co cię czeka w przyszłości. Jeśli uznasz, że mówię

o tobie nieprawdę, albo jeśli nie dasz wiary temu, com przepowiedziała, nie zwlekając oddasz mnie katu. Gdybyś jednak uwierzył, zażądałabym konia i wozu, abym mogła powrócić tam, skąd zostałam uprowadzona.

Eryk zamyślił się zaraz po tych jej słowach, a w otoczeniu króla zanichano śmiechu i zaczęło się mamrotanie. Domyślano się, że osoba tak pewna swych wróżb, iż w przypadku ich niewiarygodności skłonna była dać się skrócić o głowę, dokładnie widziała przyszłość. Tyle że nie każdy chce wiedzieć, co go czeka, wszak już nazajutrz może nastąpić coś złego, na przykład trafienie strzałą posłaną z głębi lasu przez niewidzialnego łucznika albo przypadkowy cios zadany oszczepem pod koniec bitwy, kiedy nie walczy się już właściwie o nic. I czy naprawdę chciałoby się zawczasu wiedzieć o tym, iż całą rodzinę uśmierci zaraza? Potrzeba odwagi na to, żeby chcieć zobaczyć swą przyszłość.

Właśnie tak ocenił sytuację Eryk, uznał bowiem, że okazałby się tchórzem, jeśliby ową gadatliwą wiedźmę powierzył katu. Lepsze wrażenie zrobiłby natomiast, gdyby najpierw wysłuchał jej, a dopiero potem kazał ją ściąć.

- Niechaj tak będzie - rzekł Eryk Jedvardsson. - Wysłucham tego, co powiesz. Jeśli mi się to spodoba, masz moje królewskie słowo, iż powrócisz do domu wozem zaprzężonym w konia. A jeżeli twe słowa nie spodobają mi się, tu i teraz każę katu zająć się tobą. Niech tedy usłyszę, co masz do powiedzenia.

- Taak - odwleka swą wróżbę wiedźma. - Musimy wejść do twojego namiotu, abyś ty jeden usłyszał me słowa.

W otoczeniu króla rozległo się szemranie, które świadczyło o zatrwożeniu. Znaleźć się sam na sam z wiedźmą — to nie byłoby rozsądne. Eryk dostrzegł lęk u swoich ludzi i zirytował się nim nie mniej niż tupetem wiedźmy.

- A jeśli nie przyjmę twej propozycji, jeśli każę ci wróżyć tu i teraz? - zapytał władczym tonem i głosem, który w takich przypadkach stawał się niskim.

- Nie dowiesz się, jakim jesteś człowiekiem i ku czemu zmierzasz, wszak twa przyszłość należy jeno do ciebie i, być może, nie uznałbyś tego za rozsądne, iż miałyby należeć do wszystkich. Jeśli mię jednak wysłuchasz, będziesz przecie mógł później podzielić się tym, co zechcesz opowiedzieć - odparła owa niewiasta z taką pewnością siebie, jakby wiedziała zawczasu, że Eryk przyjmie jej propozycję.

I tak się stało. Wiedźma została brutalnie zrewidowana przez wojów, chciano się bowiem upewnić, że nie miała przy sobie żadnego ostrego narzędzia.

dzia. Eryk odwrócił się na pięcie i wszedł do namiotu, po czym wepchnięto tam ową niewiastę.

Wewnątrz padła zaraz na kolana przed królem i poprosiła, by pozwolił powróżyć sobie z dłoni. Eryk podsunął swą królewską dłoń, wiedźma zaś przyjrzała się jej w milczeniu.

- Widzę Anglię... - zaczęła, szukając właściwych słów. - Ktoś z twego rodu... twój ojciec przybył z Anglii. Widzę Rzym i człowieka, którego zważę papieżem... nie, tutaj linia się urywa. Podążałeś do Rzymu... boso... jakże to możliwe? Do tej podróży jednak nie dojdzie... hm, czeka cię zaiste ciekawa przyszłość.

Zmroziły Eryka Jedvardssona zgodne z prawdą słowa o jego angielskim pochodzeniu i o tym, że byłby nieomal zmuszony powędrować do papieża. Już to go przekonało.

- Tak, niewiasto, wiem, kim jestem, a teraz nie uchylaj się od przepowiedzenia mojej przyszłości! - polecił dość pewnym głosem.

-Widzę... widzę trzy królewskie korony. Nowe państwo z tymi koronami jako godłem, które przetrwa tysiąc lat w całym twym królestwie. Kolejne pokolenia i kolejni królowie po wsze czasy zachowają twoje godło. Trzy korony oznaczają trzy kraje połączone w jedno potężne państwo i za tysiąc lat te właśnie twoje korony będą stanowić godło królestwa umieszczone wszędzie, na każdej pieczęci i każdym dokumencie.

- A co spotka obecnego papieża? - niemal szeptem zapytał wstrząśnięty Eryk Jedvardsson.

- Wszędzie widzę twój obraz... - wymamrotała wiedźma. - Wszędzie twoje wizerunki, twą głowę... świętego, twą głowę w aureoli na tle błękitnego nieba. Wystąpiłeś zrazu przeciw swemu Bogu... idzie o przerwany ślad drogi do Rzymu... później zacząłeś czynić dobro i dlatego twoje imię będzie żyć wiecznie.

- Cóż powiesz o mojej śmierci? - zapytał, teraz już refleksyjnym tonem, Eryk Jedvardsson.

- Twoja śmierć... twoja śmierć. Czyżbyś naprawdę chciał to wiedzieć? Mało kto pragnie takiej wiedzy.

-Tak, powiedz mi.

- Nie widzę zbyt wyraźnie... - wybąkała wiedźma, nagle chyba nieco przestraszona, niepewna, czy można wprost opisać to, co zobaczyła całkiem wyraźnie. Po chwili jednak zapanowała nad sobą i w jej głosie znów nie było wahania.

- Twoje imię będzie żyć wiecznie i żaden mąż zrodzony z niewiasty ani żadna niewiasta w krainie Swewów i w obu Gocjach nie zdoła cię uśmiercić czy choćby zranić - te słowa wypowiedziała wiedźma z pośpiechem i zaraz się podniosła.

Eryk Jedvardsson, teraz całkiem pewny spełnienia się wszystkich jego marzeń, a i tego, że nie zginie z ręki któregoś spośród możliwych wrogów, wyszedł z namiotu i donośnym głosem rozkazał, by zapewniono owej niewieście konia i wóz, i by nikt nie ważył się jej napastować czy obrazić słowem, po czym dopowiedział, że za jej bezpieczeństwo zaręczył jako król.

Po tym spotkaniu Eryk Jedvardsson powrócił do Ostra Aros w pogodnym nastroju, był bowiem pewien świetlanej przyszłości. Nie miał się wszak czego obawiać z czyjejkolwiek strony - ani w krainie Swewów, ani w Zachodniej Gocji, ani też w Gocji Wschodniej.

Magnus Henriksen zaś nie był mężem zrodzonym z niewiasty w kraju Swewów czy w którejś z krain gockich. Był Duńczykiem.

Należał on do tych licznych duńskich magnatów, których wichry wojny pognały w świat niczym plewy, kiedy Waldemar wyszedł w końcu zwycięsko z długiej walki o duńską koronę. Uszedłszy z Danii, żeglował Magnus po Wschodnim Morzu, zabawił też w Linkóping, gdzie potajemnie zmawiał się z królem Karolem Sverkerssonem, po czym kontynuował rejs wzdłuż wybrzeża, aż do Malaren i w górę rzeki Fyrisan.

Znienacka pojmał króla Eryka Jedvardssona i osobiście ściał głowę, która wedle słów napotkanej w Finlandii wiedźmy miała stać się wieczystym symbolem przyszłego państwa.

Magnus, uśmierciwszy poprzedniego władcę, kazał siebie samego obwołać nowym królem, co w owych czasach było na Północy najpospolitszym sposobem dochodzenia do władzy królewskiej, zresztą po kądzieli jego antenatem w linii prostej okazał się stary król Inge.

Magnus Henriksen przeżył jeszcze rok. Eryk Jedvardsson zasłużył sobie na wieczysty żywot.

\* \* \*

Wszelako wiedza bierze się z lektury. Ojciec Henri był święcie przekonany o tym, że nawet tacy ludzie jak on sam, ludzie, których praca skupiała się na tekście, tworzonym czy też kopiowanym, powinni co najmniej dwie



godziny w ciągu doby przeznaczyć na lekturę mogącą być strawą duchową, niejako dozwoloną rozrywką.

I dlatego obowiązywały w Vitskol surowe przepisy co do czytania różnych tekstów. Nawet ci bracia, którzy pracowali głównie rękoma, tacy jak prowansalscy kucharze, jak bracia-laicy stale zatrudnieni przy budowaniu albo szlifowaniu kamieni, nawet brat Guilbert i ci, których uczył on kowalstwa, również brat Lucien oraz podlegli mu adepci ogrodnictwa, musieli codziennie czytać o czymś, co nie miało związku z ich pracą.

Nieco inaczej przedstawiała się owa powinność w przypadku małego Arna: przez cztery czy nawet pięć pierwszych lat jego lektura służyła osiągnięciu jednego tylko celu praktycznego, mianowicie perfekcji w językach, którymi władał. Dlatego też musiał on w obcowaniu z ojcem Henri zawsze używać łaciny, z bratem Guilbertem zawsze rozmawiać po francusku, a swą nordycką mową posługiwać się wobec skandynawskich braci-laików. W pierwszych latach wczytywał się Arn przeważnie w teksty psalmów, albowiem musiał je sobie także przyswoić. Otóż posiadał on bardzo pięknie brzmiący głos sopranowy, który, ilekroć dominował w chórze, stanowił dodatkową ozdobę mszy świętych, zwłaszcza tych, które odprawiano skoro świt i wieczorem.

Wreszcie, w piątym roku istnienia klasztoru w Vitskol, był już gotowy kościół i arcybiskup Eskil, który podążał z Lund na przyładek, mógł dokonać konsekracji. Po wyświęceniu kościoła można było też nazwać klasztor, bo przecież wszystkie klasztory cystersów posiadały własne nazwy. Ojciec Henri już dawno temu postanowił, iż ten w Vitskol otrzyma miano Szkoły Życia — *Vitae Schola*.

Do wyboru tej nazwy przyczyniła się niewątpliwie obecność Arna. Zaniechano wszak przyjmowania oblatów i Arn był jedynym dzieckiem wśród zakonników. Choć nadal nikt nie umiałby powiedzieć, dlaczego Pan Bóg umieścił owo pacholę pośród cystersów, łatwo jednak było dostrzec to, iż nazwa *Vitae Schola* trafnie oddawała sytuację Arna. Właśnie tu przyswoi on sobie pewnie to wszystko, co może się okazać istotnym w jego życiu.

Obdarzywszy chłopca narzędziami językowymi, jał ojciec Henri zapoznawać go z wielką literaturą. Tak jak wszyscy inni, musiał Arn codziennie zajmować się obowiązkowymi lekturami.

Ojciec Henri żywił przekonanie, iż piśmiennictwo świeckie powinno by niemal na równi z pismami teologów służyć kształtowaniu młodego umysłu. Ze strony ojca Henri była potrzebna nie lada przezorność w tej materii, jako że

z początku Arn, choć niechętnie, bywał w skryptorium dosyć często i trafiał

czasem na dzieła niestosowne dla chłopców.

Co się tyczyło na przykład Owidiusza, warto było oczywiście - tak sądził ojciec Henri - skupić się na *Przemianach*, zbiorze ponad dwustu opowieści o magicznych metamorfozach, tekstach, z których czytelnik sporo mógł się dowiedzieć o legendach i kulturze przejętych przez rzymskie imperium. Mniej pomyslnym zdarzeniem było to, że chłopcu wpadło w ręce dzieło o sztuce kochania, *Ars amatoria*. Z tą właśnie księgą przed oczyma wypatrzył Arna w jednym z rogów kuchni ojciec Henri. Chłopiec okazał się zresztą niezdrowo - ze szkodą dla ludzkiej natury - podekscytowany owym dziełem.

Ojciec Henri nie omieszkał nałożyć stosownej kary, mianowicie nacierania wilgotnym ręcznikiem, pewnej ilości modlitw do zmówienia i czegoś tam jeszcze, ale bynajmniej nie odniósł się do owej sprawy tak surowo, jak po sobie pokazał. Był wręcz rozbawiony, kiedy opowiadał o tym bratu Guilbertowi, który skwitował nieświadomy grzech chłopca tubalnym śmiechem.

Nie całkiem stosowne teksty Owidiusza zostały tymczasem przeniesione do osobistego dormitorium ojca Henri, a późniejsze lektury Arna na czas swobodnego czytania były dobierane starannie i ostrożnie.

Oto na przykład Tacytowa *Cermania* powinna by się okazać dziełem doskonale wybranym dla małego chłopca, który sam miał barbarzyńskie pochodzenie. Ojciec Henri nie wykluczał, iż Tacytowi przyświecały jakieś cele związane z wewnętrzną polityką imperium, skoro przedstawił Germanów wręcz jako lud, z którego wszyscy degeneraci mogliby czerpać wzór. Ale prócz tego wszelka wiedza o przeszłości rodu ludzkiego, również wiedza o czasach i obyczajach pogańskich winna by, zdaniem ojca Henri, służyć oświeceniu. Horacjuszowe *Epistulae*, zwłaszcza zaś *L<sup>rs</sup> poetka*, stanowiły w jego mniemaniu znakomite potwierdzenie rzeczywistej rangi wykształcenia opartego na dziełach autorów klasycznych. *Sztuka poetycka* wydawała się, i owszem, tu i ówdzie nazbyt teoretycznym dziełem, ale przecież można było po prostu zastąpić ją Wergiliuszem, nade wszystko *Eneidą*, w którą chłopiec właśnie się wczytywał; z wypiekami na twarzy opowiadał Arn potem o kartagińskiej królowej Dydonie, a także kolejny epizod zstąpienia do świata podziemnego, gdzie Eneasza ujrział przyszłość Rzymu.

Z lektury bierze się wszelka wiedza, z niej też wynikają wszelkie myśli czyste i roztropne. Każdy mógłby to potwierdzić jako coś oczywistego. Wszakże ojciec Henri nieco się chyba różnił od wielu spośród swoich kolegów, był bowiem za tym, aby nawet mali chłopcy wczytywali się w owe teksty wcześniej,

zanim nazbyt się obciążą wiedzą teologiczną i zanim nie zaczną czytać każdego

wersu z osobna, traktując go jak werset Pisma Świętego i pamiętając zarazem o czterech możliwych interpretacjach Biblii - dosłownej, alegorycznej, moralizatorskiej bądź analogicznej.

Nie można oczywiście jednak było zaniedbać kształcenia Arna w teologii. W klasztorze *Vitae Schola* znajdowały się, jak dotąd, zaledwie dwa egzemplarze księgi wówczas najpoczytniejszej, a mianowicie pouczenia co do właściwej lektury Biblii pod tytułem *Clossa Ordinaria*, księgi, po którą wszyscy bracia nieustannie sięgali. Ale ojciec Henri zadbał o to, by ten uzyskiwał dostęp do owego tekstu jak najczęściej.

Co więcej, wszystkie księgi trafiały do rąk Arna bezpośrednio od ojca Henri, chciał on bowiem uniknąć nowych kłopotów tego rodzaju, jak w przypadku lektury niestosownego tekstu Owidiusza. Ponadto codziennie przynajmniej jedna godzina miała być przeznaczona na to, by ojciec Henri mógł wskazać Arnowi, co łatwo i co trudno pojąć w Piśmie Świętym.

W skrytości ducha był ojciec Henri raczej uradowany zapalem, z jakim Arn przybiegał po nowe wskazówki co do lektur albo po to, by go mentor przepytał ze znajomości przeczytanego w danym dniu fragmentu Biblii. Szło wszak i o wykształcenie sprawności rąk chłopca, i o kształcenie umysłu - pół na pół. Jako że Boże zamiary wobec Arna nie były jeszcze widoczne, taka metoda nie zostałaby w żadnym przypadku uznana za błędną.

Można pewno było sobie wyobrazić (zresztą nie oceniając chłopca zbyt krytycznie z tego powodu), że czas spędzany u brata Guilberta bywał przyjemniejszy niż czas przebywania w skryptorium, że obcowanie z braćmi-laikami, którzy stawiali mury i korzystali z pomocy Arna, gdy trzeba było dostarczyć zaprawę tam, dokąd dorosły mężczyzna nie mógł się przedostać, że ów czas sprawiał więcej przyjemności niż godziny spędzane przymusowo w kuchni, że pobyt w porcie albo wśród rybaków nad fiordem mijał przyjemniej niż czas poświęcany na trudne ćwiczenia w śpiewie przed kolejną sumą.

Zapewne ojciec Henri miał takie myśli, iż gdyby był chłopcem, to bardzo różnie podchodziłby do owych bardzo różnych obowiązków. Ale u małego Arna niczego podobnego nie sposób było dostrzec, odnosiło się wrażenie, że z jednakowym zapalem przyswajał on sobie to wszystko, co - zgodnie z dosłownym znaczeniem swej nazwy - dawał mu klasztor *Vitae Schola*.

Ów chłopiec mógł więc stać się kimkolwiek. Ojciec Henri widział w nim przyszłego przeora, nie wykluczał, że Arn zakończy życie w jakimś klasztorze.

Ale mógł on też zostać kimś zgoła innym, tyle że o takiej przyszłości nie należało, zdaniem ojca Henri, mówić głośno, zresztą brat Guilbert napomykał o niej dyskretnie. Tak czy inaczej problem polegał na tym, że nie było jeszcze pewności względem Bożych zamiarów wobec Arna. Wypadało więc postępować po staremu, dając i to, co dla ducha, i to, co dla ciała.

Ojciec Henri przeniósł już wcześniej swoje codzienne pensum ksiąg na przyogrodowy krużganek i oto zagłębił się w roztrząsanie jednego z klasztornych problemów teologii: dlaczego właściwie Bóg musiał naprawić ludzki grzech, do którego w raju, poprzez węza, namówił szatan, w taki sposób, że przyszedł na świat powtórnie, jako człowiek, doświadczył męki i umarł dla dobra ludzkości. Czemuż nie użył po prostu swej wszechmocnej władzy?

Niewątpliwie szatan skusił człowieka podstępnie, niczym złodziej. A złodziej nie ma żadnych praw.

Ale jeśli byśmy nawet usunęli szatana z tego równania, pozostaje przecież wina człowieka wobec Boga. Dlaczego więc Bóg nie posłał któregoś ze swych aniołów, żeby cała ta historia została zażegnana?

Po pierwsze dlatego, że żaden spośród Bożych aniołów nie mógłby przybrać ludzkiej postaci, nie zdołałby tedy również odkupić owej winy. Gdyby nawet tak się stało, wówczas, po wtóre, człowiek miałby wieczny dług wdzięczności wobec któregoś z Bożych aniołów, nie zaś wobec samego Boga. A tylko poprzez przybranie ludzkiej postaci mógł On, będąc jedynym zdolnym do tego, odkupić winę ludzi i wybawić ich od grzechu.

Jak dotąd wszystko było logiczne i klarowne. I jak dotąd, miał ojciec Henri pewno swoje objaśnienia za wręcz eleganckie, bo czyniły one bezprzedmiotowymi wszystkie dawniejsze dysputy o prawach szatana w związku z ową historią.

Wszakże takie objaśnienie nie wystarczało, był w nim pewien słaby punkt. Bóg mógł po prostu, będąc miłosiernym, przebaczyć człowiekowi. Wybaczanie czegoś takiego, jak posmakowanie zakazanego owocu w raju, wydawało się o wiele prostsze niż wyraźnie gorsza sytuacja, mianowicie zgoda na to, by Syn Boży umarł w mękach na krzyżu zamiast Barabasza.

Jeżeli by Bóg tylko zechciał zstąpić między ludzi pod postacią człowieka, mógł to wszak uczynić i uporać się ze wszystkim w tydzień. Pozwolił On jednak na to, by Go zrodzono jako niemowlę, a potem długo żył, zanim nastąpiła decydująca ofiara. Ziemijski żywot Jezusa musiał tedy być czymś znaczącym, wiele znaczącym.

Czy zatem Syn Boży przeżył całe życie na tym świecie jako wzór dla ludzi? Tak pewno było! Czas Jego ziemskiego żywota pozwolił ludziom zobaczyć, jak powinni żyć, mogli też słuchać Jego słów i czerpać z nich pewne nauki. Co więcej: czyż Pismo Święte nie byłoby o wiele uboższym bez własnych słów Boga?

Ojciec Henri poczuł w sobie falę wewnętrznego spokoju, jakby przez jego ciało popłynęło ciepło, bo oto - powoli, bez pochopnych wniosków - dotarł do prawdy. Takie chwile były mu najmiłsze.

Kiedy zjawił się Arn, ojciec Henri zauważył jego pośpiech i wilgoć na stopach, ponieważ chłopiec przyszedł prosto z łaźni. Byłoby to wbrew regule, jeśliby ktoś nie trafił do ławatorium między pracą fizyczną a umysłową. Ostatnio dwie godziny spędził Arn wśród murarzy, którzy kończyli budowę wieży przyklasztornego kościoła, i było tam jeszcze więcej do zrobienia niż przewidywano, kiedy wreszcie została ustalona data konsekracji świątyni. Rusztowania powinny były zniknąć przed przybyciem arcybiskupa Eski-la, który miał tego dokonać.

Gdy jednak zaczęto zdejmować rusztowania, całość stała się łatwiejsza do stwierdzenia, wtedy też brat Guilbert i brat Richard, którzy stanęli niżej, pod wieżą, wykryli tu i ówdzie szpary wymagające wypełnienia czy niestannie wykończoną fugę. Arn uwijał się na rusztowaniu niczym mała kuna i według wskazówek obu zakonników wykonywał ostatnie poprawki; będąc w porównaniu z innymi bardzo niskiego wzrostu, jako jedyny potrafił Arn bez strachu, bez większych trudności i bez drewnianych podpór wspinać się na górę. Wysokość nie budziła w nim lęku, był bowiem przeświadczony, że Bóg nie zechce pozwolić na tragedię kogoś, kto mimo dziecięcego wieku pracował przy czymś, co powstawało gwoli Bożej chwały. Tak przynajmniej mówił sam Arn, gdy któryś z braci pytał ukradkiem chłopca, czy nie odczuwa lęku wysokości.

Ale niekoniecznie mówił prawdę. Nie kłamał też bynajmniej - w Szkole Życia nikt nie kłamał, bo byłoby to poważnym naruszeniem reguły. Otóż zapewne od najmłodszych lat żywił Arn przekonanie, że Bóg miał pewne konkretne zamiary co do dalszego toku jego życia i że raczej nie zaplanował go tak, iżby Arn przez kilka niedługich lat miał wznosić kamienne mury i w końcu spaść, nie znalazłszy oparcia, i doznać poważnych obrażeń albo nawet zginąć, jak w trakcie tamtej budowy dwaj bracia-laicy - owo przekonanie sprawiało, że Arn wcale się nie lękał.

Jeśliby jednak tak odpowiadał na czyjeś pytania, okazywałby pychę, dając wyraz wierze w swą przewagę nad innymi. Byłby to także ciężki grzech, być może nawet gorszy niż kłamstwa.

Arn spadł kiedyś z wysokiej wieży. Sam tego raczej nie pamiętał, tyle że przeczytał kopię opisu zdarzenia w księdze pamiątkowej, którą prowadzono w Varnhem, i ojciec Henri pouczył go, jak należałoby to wszystko rozumieć. Bóg zechciał go ocalić gwoli pewnego zadania w przyszłości, zadania wielkiej wagi. I to stanowiło, rozpoznawalną wszak dla każdego, najistotniejszą część objaśnienia tamtej relacji.

Ponadto już kilka lat wcześniej praca Arna z tekstami została stopniowo zorientowana właśnie na to, na rozumienie ich, zwłaszcza zaś Pisma Świętego, i taką lekcję miał teraz odbyć ten chłopiec, który przybiegł trochę spóźniony, bez tchu i boso, ale z domytymi nogami, które ślizgały się na oszlifowanych wapiennych płytach krużganka, gdzie odnalazł ojca Henri.

Zakonnik nie zganił chłopca, przeciwnie, zdawał się być w bardzo dobrym humorze, siedział tam, myśląc chyba o czymś odległym, ale z uśmiechem zadowolenia na twarzy, i przez chwilę wolnymi ruchami głaskał Arna po przystrzyżonej czuprynie, zanim się odezwał.

Usiadłszy na kamiennej ławce obok ojca Henri, zobaczył Arn, że przed zakonikiem leżała otwarta księga, *Clossa Ordinaria*, i choć znalazł się zbyt daleko, by widzieć tekst, potrafił dość trafnie odgadnąć, w którym miejscu zakonnik otworzył księgę.

— Cóż... — odezwał się po chwili ojciec Henri, nieomal wbrew sobie opuściwszy świat swoich myśli. - A gdybyśmy zaczęli właśnie od tego tekstu, który będziesz śpiewać solo pod koniec mszy konsekracyjnej... jak należy rozumieć. .. zresztą zaśpiewaj pierwsze wersy!

*Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.*

*Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.*

*Prowadzi mnie nad wodę, gdzie mogę odpocząć:*

*orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych*

*ścieżkach przez wzgląd na swoje imię\**

Psalm 23 [22], tłum. o. A. Jankowski OSB i ks. L. Stachowiak

\* Wszystkie cytaty ze *Starego i Nowego Testamentu* podajemy za: *Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

Arn śpiewał posłusznie swym czystym sopranem, i to tak, iż bracia zajęci w ogrodzie oderwali się od wykonywanej w kucki pracy, wsparli się swoimi narzędziami i słuchali potem z życzliwymi uśmiechami na twarzach. Wszyscy pokochali śpiew tego chłopca.

- Doskonale, doskonale, na tym możemy poprzestać - stwierdził ojciec Henri. - A teraz postaramy się pojąć ten tekst. Czy wedle wykładni moralnej, czy podług dosłownego brzmienia? Nie, oczywiście nie tak, a jak inaczej?

- Jest to niewątpliwie tekst alegoryczny - odpowiedział Arn, po czym zrobił wdech, bo potrzebował więcej powietrza, skoro śpiewał jeszcze trochę zdyszany.

- Idzie ci wtedy o to, synu, że właściwie nie jesteśmy stadem owiec? Otóż, to oczywiste, lecz skąd takie porównanie?

- Ono jest klarowne, łatwe do zrozumienia - orzekł z nieco zmarszczonym czołem Arn. - Wszystkim nam zdarzało się widzieć owce i pasterzy, i tak jak one potrzebują pasterskiej opieki i troski, tak my potrzebujemy Boga, a choć jesteśmy ludźmi, nie zaś owcami, Bóg staje się po n i e kąd naszym pasterzem.

- Hm - odezwał się ojciec Henri. - Jak dotąd nie było to jednak trudne. A co oznaczają słowa o orzeźwianiu duszy i właściwych ścieżkach, po których wiedzie Bóg? Czy owca ma duszę?

- Nie - odpowiedział po chwili zastanowienia Arn. Domyślił się tu jednej z wielu pułapek logicznych ojca Henri, lecz już wcześniej zaproponował alegoryczną interpretację owego tekstu. — Skoro alegoria jest od początku oczywista... idzie mi o to, że owce obrazują nas... wobec tego dalszy ciąg tekstu trzeba objaśniać wedle dosłownego brzmienia. Pan istotnie orzeźwia nasze dusze.

- Owszem, tak pewno jest - bąknął ojciec Henri, po czym na jego twarzy pojawił się dość chytry uśmiech, jak zawsze, gdy zastawiał pułapkę logiczną. - A co z dalszym ciągiem: „Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach”? O jakich ścieżkach jest tu mowa? Czy idzie dosłownie o ścieżki, czy o alegorię?

- Nie wiem - wyznał Arn. - A nie może być i tak, i tak?

- Jakże to? Tekst objaśniamy wedle dosłownego brzmienia, a zarazem jako alegorię? Musisz teraz spróbować się z tego wytłumaczyć, synu.

- W poprzednim wersie jest mowa o orzeźwieniu naszych dusz przez Boga, idzie tedy dosłownie o nas, nie zaś o jakieś tam owce - zaczął Arn, zastanawiając się tak usilnie, jak potrafił, i chcąc zyskać trochę czasu. - Wszakże

Bóg może oczywiście wieść nas po właściwych ścieżkach całkiem dosłownie, ścieżkach tu na ziemi, widocznych, takich, po których wędrują konie, wozy zaprzężone w wołu oraz ludzie. Czyż na przykład nie może On, jeżeli zechce, zawieść nas prosto do Rzymu?

- Hm - wyrzekł ojciec Henri z dość surową miną. - Zapewne nie umknęło ci to, że słowa o drogach wiodących tu i tam należą do najczęstszych metafor w Piśmie Świętym? Skoro ścieżek Pana rozpoznać nie sposób, to raczej nie wypatrzy się w tej mgle żadnych zagród dla bydła, czyż nie tak?

- Nie, to całkiem oczywiste, słowa o właściwych ścieżkach tyczą się czegoś takiego, jak ścieżka odwodząca od grzechu, droga ku zbawieniu i tym podobne. Idzie tu przeto o alegorię.

- Dobrze. Na czym stanęliśmy? Jak brzmi następny werset, nie, nie musisz go odśpiewać, bracia, którzy pracują w ogrodzie, wałkonią się, gdy śpiewasz. Jak zatem?

- „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną” - wyrecytował szybko Arn. - Według mnie, idzie tu o sens wszechogarniający. Gdy doświadczam wielkich trudności, gdy grozi mi śmierć, jak na przykład tam wysoko, u szczytu wieży, dokąd docieram z zaprawą murarską, niczego się nie lękam, bo jest ze mną Bóg. W „ciemnej dolinie” widać cień śmierci, trzeba tedy doszukiwać się tutaj alegorii, wszak śmierć nigdzie nie rzuca dosłownie swego cienia i nie ma takiej doliny, w której mógłby mnie ów cień unicestwić. A gdyby nawet istniała... czysto teoretycznie rozważając, to nie znajdowałaby się wszak tam, gdzie mógłbym zaznać pocieszenia. Nie muszę wpadać w rozpacz choćby i w najciemniejszej dolinie, przeto w mrocznych chwilach, w obliczu trosk lub niebezpieczeństw. Z grubsza chyba tak?

\* \* \*

Dzień, w którym Arn wyrósł ze swojego starego łuku, przerwał na pewien czas ową drobną przyjemność, w przypadku Arna zarazem przewidzianą dlań pracę. Ćwiczył się w strzelaniu z łuku tuż obok kuźni, skąd mógł nierzadko wybiegać, ilekroć tamtejsza praca w naturalny sposób ustawała na czas wychładzania żelaza albo rozpalania nowych ognisk. Któregoś dnia wyszedł z kuźni brat Guilbert i zobaczył, że chłopiec bez ociągania się, ale chyba też bez szczególnego zapału do tego zadania, wystrzelił dwanaście razy pod rząd do ruchomego celu, mianowicie do kłębka obwiązanych sznurkiem płóciennych gałganków, który kołysał się na cienkiej linie.



Nadeszła więc pora na to, by zacząć naukę od nowa, ale inaczej. Brat Guilbert starał się dopasowywać powierzony Arnowi sprzęt do jego wzrostu i siły, a nie mniej zależało mu na ćwiczeniach wykonywanych z pełnym zaangażowaniem umysłu chłopca. Ćwiczenia, które okazywały się zbyt łatwe, traciły sens i miały ujemne skutki; coś takiego trudno było objaśnić nawet dorosłym mężczyznom. Arnowi wyjaśniał brat Guilbert w ogóle niewiele i nie musiał tego robić, bo przecież jednym z najważniejszych klasztornych nakazów było posłuszeństwo.

Jako materiał na nowy łuk przydał im się cis, a na strzały - jesion. Otóż zmiana łuku wymagała dostosowania innych strzał, wszystko musiało bowiem pozostawać we właściwej wzajemnej proporcji, aby stało się możliwe współdziałanie, tak jak potrzebna była równowaga ruchów rąk i sprawność myślenia.

Od chłodnej wiosny, pory przebiśniegów, bo tylko one ważyły się ukazać, aż do pierwszych dni lata, kiedy tulipany rozpościerały długie czerwone wstęgi wzdłuż krużganków, trwało przygotowywanie nowego łuku i strzał dla niego, i Arn musiał być przy tym, nauczyć się wszystkiego po kolei: suszenia drewna w ciemnym i należycie zimnym miejscu, odcinania warstw od różnych części drzewa, szlifowania ich gwoździ jednolitego kształtu, łączenia klejem i sprasowywania, po czym następowało znowu wygładzanie. Przygotowywanie strzał było oczywiście prostsze, powtarzało się poprzednie czynności, tyle że szło o inną długość. Kucie ostrzy należało do tych łatwych prac kowalskich, które Arn potrafił wykonywać bez niczyjej pomocy.

Gdy wreszcie nadszedł czas wypróbowania nowego sprzętu, brat Guilbert wprowadził jeszcze jedną zmianę: odległość od celu wynosiła dwadzieścia pięć długich męskich kroków, a nie osiemnaście. W pierwszych dniach Arn miał wrażenie, że zaczynał coś całkiem innego. Napinanie nowego łuku było trudne i męczące, ponadto wysiłek Arna wpływał na kierunek strzał, przez co zdarzało mu się chybiać. Gdy chłopiec okazywał wtedy niezadowolenie, brat Guilbert reagował natychmiast, ganiąc go za brak pilności i niedostateczną wiarę w siebie, czyli dwa niemal jednakowo ciężkie grzechy. I zanim Arn mógł podjąć na nowo ćwiczenia w strzelaniu z łuku, musiał, mając łuk i strzały przed sobą, za karę zmówić kilka razy na klęczkach „Ojcze nasz”.

W takich chwilach brat Guilbert miał ochotę zapewnić chłopca, że jest świetnym łucznikiem, niewątpliwie lepszym aniżeli większość dorosłych i wprawionych w strzelaniu z łuku. Tyle że, jak dotąd, jedyną osobą, z którą

Arn mógł siebie porównywać, był nie kto inny niż sam brat Guilbert, tak jakby na całym świecie pozostało ledwie dwóch łuczników. Ów zakonnik zawsze dotychczas unikał mówienia o swym wcześniejszym życiu i o przyczynie tego, że musiał z nim zerwać dla nieustannej pokuty w klasztorze cystersów. Ojciec Henri nie pozwalał, by brat Guilbert opowiedział swą historię Arnowi.

Jeszcze przed kilku laty brat Guilbert i Arn mieli niewielką strzelnicę poza klasztornymi murami, z dala od budynków gotowych i niedokończonych, część braci uznała bowiem, iż takie zajęcia nie powinny się odbywać na ich oczach, czyli w obrębie klasztoru.

Wszakże któregoś dnia oddział wojów powracających z Fionii do domów, a więc w dobrych humorach, ponieważ wojna dobiegła końca i wkrótce mieli ujrzeć swoje ukochane, zatrzymał się w pobliżu klasztoru, właśnie w miejscu Arnowych ćwiczeń. W pierwszej chwili wydało się to owym wojom nadzwyczaj komiczne, że mały brat-laik z tonsurą, nadto w brązowym zakonnym kapturze i z rozwianymi lokami dookoła uszu, trzymał w ręku łuk. Był to wszak widok niewiarygodny, było to coś niewyobrażalnego.

Wojacy pozwolili sobie na parę ordynarnych żartów, ale niebawem ustawili się obok, żeby się przyjrzeć chłopcu i, być może, jeszcze trochę podowcipkować. Brat Guilbert, który stał przy Arnie i udzielał mu wskazówek, udawał, że nie rozumie nordyckiej mowy wojów, albo też wolał niektóre komentarze puścić mimo uszu.

Wkrótce jednak woje zamilkli. Wzrok ich wprawdzie nie mylił, ale dla rozumu to, co widzieli, było trudne do przyjęcia. Mały brat-laik trafiał z odległości osiemnastu kroków co rusz w powierzchnię nie większą niż pół dłoni, a jeśli któraś strzała chybiła o cal, okazywał irytację, po czym przeproszał nauczyciela i dokładał starań, żeby następny strzał wypadł lepiej. Woje odeszli w milczeniu. Nieco dalej zaczęli się głośno o coś sprzeczać.

Brat Guilbert doskonale rozumiał zakłopotanie owych wojaków, których puszczono do domów. Podobnie jak sam brat Guilbert, żaden z nich nie widział pewno nigdy dziecka tak utalentowanego. Arn jednak nic z tego nie rozumiał ani wtedy, ani też później, dla niego liczył się bowiem tylko on sam i brat Guilbert, a w porównaniu z tym ostatnim miał siebie Arn za najgorszego łucznika na świecie.

Ojciec Henri już niejedyn raz okazał niechęć do rozmowy na ten temat. Cieszyło go to jednak, iż Arn miał zapal do lektury i tyle rozumu, ile można

było oczekiwać od chłopca, który bynajmniej nie przeszedł jeszcze mutacji - ani więcej, ani mniej. Sobie samemu jako dziecku nie przypisywał ojciec Henri szczególnej inteligencji, pamiętał, że był właśnie taki, jak Arn teraz w jego oczach. Najwięcej wszakże znaczył zapał, z jakim się uczył i on, i Arn, ponadto ów zakonnik przypominał sobie, zresztą z uśmiechem, że też w bardzo młodym wieku natykał się na księgi niewskazane dla małych chłopców, a gdy go chwytało na gorącym uczynku, był karany z surowością podobną do tej, którą stosował wobec Arna. Ważna jednak była chęć czytania, pilność w nauce i wytrwałość: Bóg obdarza każdego rozumem w równej właściwie mierze i każdy z osobna ponosi odpowiedzialność za treści, jakimi wypełni swój umysł, i za roztropne korzystanie ze swych talentów.

Brat Guilbert miał tylko jedno zastrzeżenie do takiej logiki. Wedle niej Bóg obdarzałby w równej mierze wszystkich talentem do używania łuku czy miecza, nie mogłoby więc być tak, iż niektórzy zyskali wyraźnie mniej, inni zaś więcej owego talentu. Mały Arn otrzymał go wszak więcej niżli ktokolwiek, młody bądź starszy, z kim brat Guilbert zetknął się w swoim życiu - tak twierdził ów zakonnik.

I tą argumentacją dał ojcu Henri do myślenia. Można pewno było założyć, że mało kto spotkał tylu uzbrojonych mężczyzn, co brat Guilbert. I chyba nie ważyłby się on okłamać swego przeora.

Temat tej rozmowy nie przypadł jednak ojcu Henri do gustu, ustalił więc z bratem Guilbertem, to znaczy: zabronił mu sugerować Arnowi jakieś dziwaczne myśli. I ów zakaz sprawił, że Arn nigdy nie wiedział, kiedy dobrze posługiwał się łukiem lub mieczem, a był tylko ostrym tonem upominany, ilekroć popełnił błąd, albo sam pojmował, czym zawinił.

Zresztą prawdziwego miecza nie miał Arn dotąd w rękę w czasie swoich ćwiczeń. I nie było też wielkiej potrzeby, bo brat Guilbert już przewidywał, co się stanie, kiedy chłopiec wzmocni się w ramionach i będzie przygotowany do zamiany broni drewnianej na stalową.

Używanie miecza wymagało też nade wszystko szybkości wzroku oraz myśli, oparcia w stopach i wycucia w rękę, a siła ramienia była mniej ważna. Brat Guilbert rzadko co prawda widywał Skandynawów z mieczami w dłoniach, ale zdążył się przekonać, że technika robienia bronią, którą stosowali owi barbarzyńcy, opierała się prawie wyłącznie na sile. Ich miecze były krótkie, bo nigdy nie walczyli konno, uważając, o dziwo, te zwierzęta za nieprzydatne w boju. A że stawali blisko siebie w jednej linii, nieomal tak samo, jak Rzymianie czy

Grecy tysiąc lat wcześniej (choć nie nazywali takiego szyku bojowego falangą, lecz określali go jako *fylking*), toteż ich technika sprowadzała się właściwie tylko do bicia z góry i na skos, już to od lewej, już to od prawej strony. Ponieważ każdy, kto dzierży coś przynajmniej podobnego do tarczy i kto posiada choć minimalny instynkt samozachowawczy, potrafi odparować wszelki cios tego rodzaju bez wysilania mózgu i bez potrzeby przemieszczania się, to i trwano na pozycjach, póki któraś ze stron się nie znużyła i póki komuś nie udało się (co w większym czy mniejszym stopniu było skutkiem błędu) rozplatać przeciwnikowi czaszki. W takich warunkach wydawało się to pewno czymś naturalnym, że w końcu zwyciężał ten, który miał najwięcej krzepy w ramionach.

W ciągu trzech albo czterech lat początkowych ćwiczył Arn z obowiązanym kijem w rękę, a brat Guilbert systematycznie przyzwyczajał chłopca do rytmu trójkowego, aby ta liczba ruchów się utrwaliła i była stale powtarzana. Uderzenie z wysoka od lewej strony, niski cios od prawej strony, a następnie pchnięcie na wprost lub nowy cios z boku. Tysiące razy.

W ten sposób Arn przyswoił sobie najpierw rytm oraz umiejętność przemieszczania się. Ponadto nauczył się panować nad własną złością, było bowiem tak, iż przez pierwsze dwa lata brat Guilbert zawsze trafiał za trzecim ruchem. Dopiero w trzecim roku nauki umiał Arn wykorzystywać stopy jako należyte oparcie, przemieszczać się i, tak jak w śpiewie, zachowywać rytm, i zdarzało mu się obronić przed przykrym trzecim ciosem.

W czwartym roku brat Guilbert przygotowywał już odpowiednio ciężkie miecze drewniane, które starannie wyważał metalowymi szynami. Szło o to, by drewniany miecz w rękę Arna pozostawał w takim stosunku ciężaru do jego teraz dzieciennych ramion, jak w późniejszym życiu prawdziwy miecz. Strzały musiały też być coraz twardsze i bratu Guilbertowi wypadało podjąć niejedną próbę, zanim uzyskiwał zadowalający efekt.

Właśnie w trakcie ćwiczeń w posługiwaniu się mieczem zauważył brat Guilbert, że Arn, nie inaczej niż w kuźni, jednakowo chętnie używał lewej i prawej ręki. W każdej innej sytuacji klasztornej nauczyciele Arna próbowaliby, zresztą utyskując, tak jak w skrytorium, odzwyczaić go od używania ręki nieczystej. Brat Guilbert widział to jednak nieco inaczej. Poszukał więc rady w swoim sumieniu oraz u Boga. Ojca Henri wołał w tę sprawę nie mieszać.

Wkrótce pojął, że nie chodziło w tym przypadku o zwykłą leworęczność, o której istnieniu wiedział i zdarzało mu się we wcześniejszym życiu stawać

z mieczem w dłoni naprzeciw takich ludzi. I przekonał się, że niełatwo było walczyć z mańkutami. Miewał wrażenie, iż wszystko, czego się nauczył, znajdowało swoje lustrzane odbicie.

Toteż od samego początku ćwiczył z Arnem używanie obu rąk, co dzień lub co tydzień innej. Ale nigdy nie dostrzegł większej różnicy co do techniki, tyle że lewa ręka chłopca wydawała się trochę silniejsza niż prawa. Brat Guilbert dopatrywał się jednak pewnej dodatkowej możliwości: już od samego początku wzbogacał technikę Arna o szczególne sekretne działanie, a mianowicie o umiejętność nagłego przerzucania miecza z ręki do ręki i obracania nim zgodnie z ruchem wskazówek zegara zamiast w przeciwnym kierunku. Jeśli przeciwnik miał na sobie ciężkie odzienie i podłoże było niepewne, taka raptowna zmiana taktyki mogła mieć tragiczne skutki.

Brat Guilbert wiedział oczywiście, że myśli tego rodzaju uznano by pewno za grzeszne. I wyspowiadał się z nich ojcu Henri, ale wyjaśnił, że chciałby jak najlepiej wywiązać się ze swego zadania, które wszak ograniczało się do udzielania chłopcu nauk. Skoro Bóg nie wyraził jeszcze żadnego życzenia co do życiowej misji Arna, nie ma chyba chwilowo różnicy między potajemnym czytaniem Owidiusza z wypiekami na twarzy a trzymaniem miecza w lewej ręce?

Poprosiwszy Pana Boga o radę, otrzymał ojciec Henri tę oto odpowiedź, iż wszystko będzie w porządku, jeżeli zapal chłopca do lektury dorówna jego upodobaniu do gier wojennych. Byłoby jednak źle, gdyby zaczął przedkładać łuk i miecz nad *Clossa Ordinaria*. Szczęśliwie Arn nie wykazywał takich skłonności.

Ojciec Henri zachęcał stale do pilności i dyscypliny, do czystości i modlitwy, natomiast brat Guilbert upominał się stale o ruchliwość i ruchliwość, o ruchliwość i pilność. Podobnie o wyczucie momentu, w którym strzała powinna powędrować przed ruchomy cel, tak skierowana, by się z nim zetknęła, i nie mniej ważny był ciągły ruch nóg, przestrzeganie tego, by nie stać ani przez chwilę spokojnie, by spodziewać się ciosu przeciwnika, a gdy nastąpi, być gdzie indziej i zaraz zaatakować samemu.

Pilność i dyscyplina. Czystość i modlitwa. Ruchliwość, ruchliwość, ruchliwość i pilność. Do wszystkich tych zasad stosował się Arn równie skwapliwie, jak do nakazu posłuszeństwa i miłowania każdego spośród braci, czyli dwóch najważniejszych zasad życia w klasztorze, trzecią zaś był nakaz prawdomówności, a istniały też różne inne, nie tak istotne zasady, po części zreszt

nie całkiem zrozumiałe, na przykład odnośnie do zachowania przy stole i udawania się na spoczynek.

Dla Arna ów boski ład nie był niczym trudnym. Przeciwnie, cieszył go. Czasami zastanawiał się nad życiem innych dzieci z dala od boskości, bo przecież ledwo pamiętał ślizgawkę, bieganie z obręczą i inne dziecięce zabawy. Być może brakowało mu ich chwilami, tak jak co wieczór brakowało mu, kiedy w porze ostatniej modlitwy prosił o zbawienie matczynej duszy, oddechu pani Sigrid, jej głosu i rąk, tak jak modlił się za swego brata, Eskila, przypominając sobie wspólny płacz, gdy ich rozdzielano. Ale rozumiał, a przynajmniej zapewniał, że rozumie, iż największym szczęściem dla chłopca musi oczywiście być dzielenie własnego czasu tak, by starczało go na cudowności zawarte w księgach oraz na trud w pocie czoła, chwilami też ze łzami bólu w oczach, który narzucał mu brat Guilbert.

\* \* \*

Magnus Folkesson przyrzekł Bogu pięć lat żałoby po śmierci Sigrid, zanim by miał się powtórnie ożenić. Tym postanowieniem zdziwił swych krewnych, było to bowiem wbrew zwyczajom, by mężczyzna jeszcze w sile wieku i obdarzony tylko jednym prawdziwym dzieckiem tak długo zwlekał z płodzeniem kolejnych synów gwoli umocnienia rodu nowymi więzami krwi.

Pewną pociechą dla Magnusa stała się Suom, z którą miał on dziecko z nieprawego łoża. Posiadłość Arnas przemieniła się jednak w posępną twierdzę, bo niewiele się tam działo i rzadko wprowadzano zmiany. Po śmierci Sigrid poczuł Magnus pustkę w głowie i nie znajdował już żadnych nowych pomysłów na dobry handel i prowadzenie interesów. Wszystko toczyło się jak dawniej.

Wszakże to i owo budowano z jego inicjatywy, dokończono wznoszenie murów i powstały dwa odcinki drogi do Tiveden. Budowanie dróg zawsze przecież cieszyło Pana Boga, a ten gościniec przyobiegał Magnus, kiedy po raz pierwszy odwiedził grób Sigrid w Varnhem, pomodlił się tam za jej duszę i zapłacił za dalsze modlitwy w jej intencji.

Magnus pomyślał sobie zresztą, że nie zaszkodzi zatroszczyć się o przyszłe interesy, czyniąc coś miłego Bogu: zbudowanie drogi przecinającej całe Tiveden pozwoliłoby na handel na północy kraju, ze Swewami, którzy byli co prawda naiwni i niezbyt pojętni, ale mieli dobrej jakości żelazo i nieźle rozwinęli handel skórami zwierzęcymi, te zaś mogły zapewnić dużo srebra, jeśliby je sprowadzano przejezdnymi drogami.

Smętny nastrój w Arnas brał się i stąd, że ze swych norweskich włości przybyła tam matka Magnusa, Tora Guttormsdotter, która chciała zadbać o to, co należy do niewiasty, póki syn się nie ożeni. Niestety, traktowała ona surowo niewolników i próbowała rządzić wszystkim podług dawnych obyczajów norweskich, a Magnus, jak wielu mężczyzn, nie potrafił się zdobyć na to, żeby dobitnie wskazać matce, co jej przystoi. I również ta potrzeba lepszego osobistego zapanowania nad własnym domostwem była dla Magnusa silnym motywem po temu, by rychło znaleźć sobie nową małżonkę. Zdaniem samego Magnusa, roztropnym krokiem byłoby spokrewnienie się z rodem Pawła z Husaby, jako że w tamtym kierunku ciągnęły się ziemie, którymi władał. Godziwy posag, wniesiony przez którąś z Pawiowych córek, stanowiłyby pewno lasy dębowe wokół góry Kinnekulle. Wprawdzie owe niezamężne córki ledwo wyszły z wieku dziewczęcego, ale czyż młodość nie przemija szybko?

Eskil był dla ojca i źródłem radości, i powodem do skrywanej troski. Okazał się on podobnym do samego Magnusa i pod niejednym względem do swej matki, Sigrid, po której - jak uważano - odziedziczył rozum. Najbardziej zależało Eskilowi na tym, by razem z ojcem odbywać podróże handlowe, spotykać cudzoziemskich kupców, poznawać ich towary i ceny oraz uczyć się najlepszych sposobów obliczania wartości w srebrze odnośnie do dwóch beczek wieprzowiny w zamian za pszenicę czy skóry, czy kiepskiej jakości żelazo. Ta ambicja czyniła Eskila nieodrodnym synem swego ojca.

Choć szybko dorósł, nie potrafił on jednak rzucać oszczepem ani robić mieczem, na co powinno by było stać rycerza w jego wieku. Prawdę mówiąc, sam Magnus niewiele się różnił pod tym względem od swego starszego syna.

Jeden raz tylko musiał Magnus, jako dziedzic Arnas, wyruszyć na wojnę. Stało się to konieczne, gdy syn duńskiego Henryka ogłosił się królem Swewów, w niecny sposób skróciwszy o głowę Eryka Jedvardssona w Ostra Aros. Być może doszło do tego, jak twierdzili niektórzy, tuż po sumie w kościele Świętej Trójcy i Eryk Jedvardsson zginął, odważnie stawiając czoła przeważającej sile, a w miejscu, na które spadła jego głowa, wytrysnęło źródło.

Albo też, wedle relacji nieprzyjaciół oraz króla Karola Sverkerssona, zginął Eryk niepotrzebnie, tylko dlatego, że nażłopał się piwa tak, iż nie był na siłach mężnie się bronić.

Nie szło zresztą o to, jak rozprawiono się z królem Erykiem, wojna była tak czy inaczej nieunikniona. Łatwo to pojąć, że Swewowie nie mogli puścić

plazem zamordowania ich króla przez jakiegoś Duńczyka. Niebawem posłali wici aż do Helsinglandii oraz w głąb najciemniejszych lasów swew-skiej krainy, wkrótce też ku Ostra Aros podążyło liczne wojsko. I oto w Zachodniej i Wschodniej Gocji zaczęto się zastanawiać, czy należy pozwolić, by Swewowie samodzielnie wyrównali rachunki z duńskim królobójcą, czy raczej wziąć udział w tej wojnie.

Dla króla Karola, Sverkerowego syna, i jego otoczenia w Linkoping nie był to poważny dylemat. Ów władca miał do wyboru albo wyruszenie na wojnę z jak największą siłą zbrojną i po zwycięstwie nad duńskim królobójcą zdobycie swewskiej korony dla siebie, albo pozwolenie Swewom na tryumf w walce sam na sam i późniejszą elekcję nowego króla, którym mógł zostać ktokolwiek spośród tamtejszych wodzów czy jurystów. Karol Sverkersson miał łatwy wybór.

Kiedy Folkungowie zebrali się na *ting* rodowy w Bjalbo, we Wschodniej Gocji, rychło doszli do wniosku, że wielkiego wyboru nie było. Rodzony brat Magnusa, Birger, o przydomku Brosa, czyli Wesolek, na który zasłużył tym, że stale się uśmiechał, łatwo przekonał zebranych na *ting*. Jedną wojną jest nieunikniona dla wszystkich mieszkańców Wschodniej Gocji -to wyjaśnił Birger Brosa - mianowicie wojna przeciw duńskiemu królobójcy. A następna wojna, do której może dojść, nie wydaje się bynajmniej potrzebną. Jedynym słusznym wyborem dla mieszkańców Gocji Wschodniej jest poparcie króla Karola w tej sprawie. To mogłoby jednak mieć taki skutek, iż w przypadku zwycięstwa zostałby on także władcą kraju Swewów. I tryumf był zapewniony, jako że zebrana tam armia już wystarczyła do samodzielnego zwycięstwa. Dni doczesnego żywota Duńczyka Magnusa Henriksena były policzone. Teraz należało go uśmiercić.

Folkungom szło przede wszystkim o to, by się nie poróżnić i nie stanąć przeciw sobie nawzajem w przypadku wojny. A jeśliby król Karol zdobył swe-wską koronę, to nie omieszkałby zażądać uznania także w Zachodniej Gocji. W razie potrzeby zapewniłby je sobie mieczem i wtedy Folkungowie zachodni wystąpiliby przeciwko tym na wschodzie.

Lepiej tedy rozwiązać wszystkie problemy jedną wojną i niechby ci z Zachodniej i ci ze Wschodniej Gocji stanęli przy królu Karolu na czas jego wojny. Zapewne doszłoby do połączenia owych trzech krajów. Tak czy inaczej nastąpiłoby ono nieco później, tyle że kosztem straszego rozlewu krwi oraz, w najgorszym przypadku, walki bratobójczej.



Nikt spośród zebranych na *ting* nie miał do powiedzenia niczego, co przeczyłoby słowom Birgera Brosy. I od tamtej pory przeprowadzał on zazwyczaj swoją wolę.

Magnus wziął udział w wojnie razem ze swoimi zbrojnymi, ale w taki sposób, jaki sam uznał za najlepszy. I on, i jego ludzie włączyli się do walki dopiero wtedy, gdy zwycięstwo było pewne i szło właściwie tylko o rozprawienie się z ostatnimi Duńczykami i o wzięcie do niewoli tych, którzy mogli się wykupić, tak więc Magnus powrócił do Arnas jako tryumfator bez strat w ludziach, lecz o pięćdziesiąt srebrnych marek bogatszy i z tej racji wychwalany przez niewiasty, ale niepoważany przez mężczyzn.

Mimo że Eskil naprzykrzał się i bardzo prosił, Magnus zostawił go w Arnas, kiedy wyruszał na wojnę. Wówczas, gdy należało pomścić Eryka Jedwardssona i ocalić pokój w Zachodniej Gocji, Eskil nie osiągnął jeszcze wieku męskiego. Poza tym był starszym synem i dziedzicem, a więc - inaczej niż byle zbrojny - nie do zastąpienia.

Magnus próbował zapomnieć o istnieniu drugiego syna, którego Bóg pozostawił przy życiu, choć go odebrał. Ale że wiedział, iż Sigrid tego syna umiłowała najbardziej, to i nie potrafił zapomnieć na tyle, by zyskać spokój ducha. Nie wychodziła mu też z pamięci sama Sigrid, póki trwała pięcioletnia żaloba, którą siebie ukarał, gdy Bóg odebrał mu małżonkę. W skrytości ducha przyznawał, że najbardziej ją cenił spośród tych wszystkich ludzi, których spotkał w swym życiu, bardziej niż któregokolwiek z mężczyzn, nie wyłączając kogoś takiego jak jego brat, Birger Brosa.

Te myśli musiał jednak zachowywać dla siebie. Gdyby je wypowiedział, zasłużyłby na pogardę albo opinię głupca. Nawet wobec Eskila nie mógłby się zdradzić z takim sposobem myślenia o niewieście, i to o jego matce.

Gdy jeszcze utrzymywał się lód, zwołano kolejny *ting* tego rodzaju w Bjalbo i Magnus udał się tam z nieliczną zbrojną asystą i w towarzystwie Eskila, który miał po raz pierwszy wziąć udział w obradach dorosłych mężczyzn i dlatego został przestrzeżony, by w nic się nie wdawał, nie pił ponad miarę i nic nie mówił, a tylko słuchał i uczył się.

W wysokiej wieży zamku w Bjalbo znajdowało się sporo sal, gdzie mieścili się obradujący, i w całej Wschodniej Gocji nie było drugiej siedziby, w której zbierano by się tak chętnie jak tam. O doskonałej przydatności Bjalbo świadczyła nawet postawa niewolnej służby wobec przybyszów, gdy ich zakwaterowywano i gdy się dowiadawali o tym, jak i kiedy miałyby się odbywać obrady.

W Bjalbo przyzwyczajono się do takich zajęć. Mówiono tam o władzy, i to nie mniej, niż w Arnas rozmawiano o srebrze.

Birger Brosa przyjął brata i synowca bardzo serdecznie i od samego początku okazywał im więcej gościnności niż innym krewnym. Magnus nie umiałby rozstrzygnąć, czy brało się to z braterskiej miłości, czy też miało związek z Birgerowymi zamiarami w tych kwestiach, które trzeba było omówić albo raczej uzgodnić. Podobało mu się jednak owo godne potraktowanie, tym cenniejsze, że w ich kręgu nie brakowało dzielnych rycerzy, którzy okryli się chwałą w niejednej bitwie, a do tego przykładano wówczas znacznie większą wagę niż do posiadania srebra, wszak byle grubas obdarzony godnością biskupa mógł go mieć wiele, lecz to nie czyniło zeń jeszcze człowieka wielkiej miary.

Pierwsze dni strawiono tylko na ucztowaniu i swobodnych pogawędkach, plotkach o tych krewnych, którzy nie mogli przybyć, jak na przykład ci z Norwegii, akurat wtedy, swoim zwyczajem, zajęci wojną. Tak spędzając czas, można było się doczekać spóźnionych gości, przybywających trochę później z powodu nieprzejezdnej zimą drogi albo niepewnej pokrywy lodowej. Nikt więc nie spóźniał się na rozmowy kończone podjęciem decyzji o tym czasie, gdy samemu wypadło gdzieś daleko, klnąc i postępując, naprawiać sanie albo stawiać je na płozy, jeśli się wywróciły.

Kiedy już wszyscy się zebrali, przystąpiono wreszcie do obrad w największej sali zamkowej wieży. Niejednego, także Magnusa i Eskila, zdziwiło to, że nastąpiły one tuż po modlitwie południowej w dolnej kaplicy wewnątrz wieży, i to bez posiłku. Dopiero co zaczęto przygotowywać pieczone, tak więc mogło się ono nadawać do jedzenia wiele godzin później.

Birger Brosa, który wprowadził tę zdumiewającą zmianę, przyznał, iż równoczesne jedzenie, picie i obradowanie, zwyczajem przodków, miało swoje dobre strony. Przydawało się to czasem, że piwo rozwiązało komuś język i nikt nie czuł się onieśmielony, gdy mówiono o sprawach, które obchodziły wszystkich. Ale bywało i tak, iż owo rozwiązywanie języka za pomocą piwa okazywało się przesadne i nie podejmowano żadnej sensownej decyzji, iż nazajutrz nikt nie pamiętał, co zostało ustalone poprzedniego dnia albo też krewni rozjeżdżali się poróżnieni ze sobą.

Obrady rozpoczęto w zimnej sali, gdzie trzeba było siedzieć w płaszczu, opatulwszy się nim, i dokąd wniesiono ledwie kilka świec.

Kwestią wielkiej wagi okazała się wierność rodu wobec Karola Sverkerssona. Nikt nie widział w nim potężnego króla, nikt nie sądził, iżby potrafił

on obronić kraj, jeśliby najechali go Duńczycy albo grabieżcy z przeciwnego brzegu Bałtyku, a już na pewno nie w przypadku inwazji Norwegów, tyle że ci zwykle skwapliwie wybijali się nawzajem. Czy jednak nadeszła już dla owego rodu pora na to, by wdać się w walkę o królewskie korony?

Birger Brosa stwierdził, że wedle jego przekonania taka pora nastąpi, ale jeszcze nie nadeszła. Ich ród znaczy więcej w Gocji Wschodniej niż w Zachodniej, a właśnie na wschodzie ma król Karol najlepszą sytuację i najwięcej krewnych, zwłaszcza w Linkoping i okolicy. Aby umożliwić zwycięstwo, musieliby mieszkańcy Zachodniej Gocji wyruszyć jak jeden mąż na wojnę o tę czy inną królewską koronę, na wojnę, która dla większości z nich nie ma żadnego sensu. A to się nie stanie.

Najroztropniej tedy będzie jak najdłużej robić dobrą minę do złej gry, popierać króla Karola i nie pozwalać, aby ktokolwiek się domyślił, iż owo poparcie mogłoby w sprzyjających okolicznościach ustać i byłby to pewno grom z jasnego nieba.

Cierpliwie trzeba natomiast budować nadal potęgę rodu, i to nie inaczej niż dotąd, mianowicie poprzez mądre ożenki. I jest po temu dobra okazja, jako że sam Birger Brosa nie może się uchylić od owego obowiązku, choćby mu smakowało kawalerskie życie, bez odpowiedzialności za to, co Bóg prędzej czy później przeznacza każdemu mężczyźnie.

— Dzięki bratu Magnusowi — mówił dalej Birger Brosa, słuchany uważnie przez wszystkich, tak więc żadne krzyki, chrapanie czy głośnie bekanie po piwie nie zakłócało toku jego myśli - ten ród jest połączony więzami krwi z norweskim królem Magnusem Sigurdsenem. Wszakże król Magnus został pokonany przez Haralda Gille i, tak jak się teraz rzeczy mają, władza królewska przejdzie na synów Haralda, co jest jasne dla wszystkich, którzy się znają na norweskich sposobach działania. Chociaż co do zachowań Norwegów nigdy nie można mieć całkowitej pewności, wszystko bowiem może się zmienić przez jedno uderzenie mieczem, skazujące księcia krwi na banicję.

Po tym wywodzie wyraził Birger gotowość udania się w konkury do Norwegii, gdzie zamierzał się związać z Solveig albo Brygidą, a więc z tą córką Haralda Gille, która okaże się najodpowiedniejszą wybranką. Powinno by to umocnić więź rodu z Norwegią, choćby nawet trwało tam wzajemne wybijanie się, prócz pokrewieństwa z rodem Magnusa Sigurdsena, która istnieje dzięki Magnusowi, bratu Birgera, nastąpiłoby bowiem spowinowacenie z rodem Haralda Gille.

Rozpatrzenie wszystkich argumentów za i przeciw potrwało trochę. Można by oczywiście zamiast tego wżenić się w ród Karola Sverkerssona. Ale tak igra- no by z losem i popełniono by głupstwo, bo jeśliby Karol Sverkersson miał sy- na, któremu przypadłaby królewska korona, to powstałyby dwojaki więzy krwi. Cóż, umocnienie więzów norweskich będzie ostrożniejszym - i z czasem pewno okaże się, że mądrzejszym - posunięciem. Tak oto rozstrzygnięto kwe- stię i dalsze rozprawianie o Birgerowym ożenku nie było już potrzebne.

Na porządku dziennym znalazł się teraz przypadek Magnusa, jego wyboru małżonki. Czas żałoby po śmierci Sigrid minął, a poza tym Magnus jest dobrą partią dzięki rozległym włościom i w ogóle wielkiemu bogactwu, a to zawsze ułatwia sprawę. Ale trzeba ustalić, jakie rozwiązanie będzie najrozsądniejsze.

Na początku poproszono Magnusa, by podzielił się swoimi myślami. I wypowiedział się on, nie całkiem pewny swego głosu i doboru słów. Gdyby wżenił się w Pawłowy ród, w Husaby, to jeszcze jeden potężny ród zachod- niogocki miałby powiązania z Bjalbo. Co więcej, ziemie Magnusa i Pawła gra- niczą ze sobą i związek małżeński oznaczałby, że spora część brzegu jeziora We- ner znalazłaby się pod jedną jurysdykcją. Można by zarazem uzyskać mocną pozycję w handlu na całym obszarze Zachodniej Gocji, ponieważ Wener jest przez większą część roku najważniejszym kanałem ku Lodose, a także w kie- runku Danii oraz Norwegii. W Husaby są dwie córki, obie nadobne, tyle że zbyt młode.

Gdy Magnus siadł, szepty i wypowiedane półgłosem uwagi krewnych po- zwoliły mu się zorientować, że - ich zdaniem - mówił dobrze, ale nie całkiem przekonująco. Domyślił się więc, iż pewno kto inny powziął jakieś zamiary wo- bec niego, a skoro tak, to nietrudno było wskazać następnego krasomówcę.

O głos poprosił, jakżeby inaczej, Birger Brosa, który wpierw życzliwie ocenił swego starszego brata, jego zasługi, mądrość w interesach i chęć ożenienia się gwoli większej potęgi rodu oraz gwoli dogodzenia krewnym.

Niebawem jednak zmienił Birger ton, aby zwięźle i dobitnie wyjaśnić, że idzie o zadzierzgnięcie więzów bardziej ryzykownych, ale ważniejszych dla ca- łego rodu. Otóż ród Eryka - jest to pewna wiadomość - bynajmniej nie zrezy- gnował z walki o koronę. Niegodziwa wdowa po Eryku Jedvardssonie przeby- wa w Norwegii, gotując zemstę i wychowując synów na pretendentów do

królewskiego tronu. Erykowy ród jest potężny na południe od Skary i ma swoje gałęzie także w kraju Swewów. Lepiej więc zapewne nie zrażać go do siebie, a mieć raczej po swojej stronie.

Jedną z posiadłości w pobliżu góry Eriksberg dzierży brat Eryka Jedwards-sona, Joar, którego najstarsza córka jest co prawda niezbyt urodziwa, chętnie wszakże ugościłaby piwem nawet kogoś mniej bogatego niż Magnus.

Słuchając młodszego brata, Magnus wzdychał. Już rozumiał, co miałyby się stać. Jego krew powinna posłużyć do tego, by ów ród związał się z -być może - potężnym kiedyś wrogiem albo z potężnym przyszłym sojusznikiem. Magnus mógł tylko potwierdzić roztropność wyvodu Birgera i wyrazić zgodę.

Eskil, który nie całkiem pojmował logikę wybierania sobie powinowatych wśród ludzi skorych do zabijania, nie zaś wśród równie zamożnych, patrzył na ojca z pewnym zdziwieniem. On też zrozumiał, co musiało się stać. Czekало go wkrótce poznanie nowej matki, o której wiedział tylko, że ponad wszelką wątpliwość nie okaże się zbyt urodziwa.

\* \* \*

Arn nigdy nie widział brata Guilberta tak szczęśliwym, jak w ów dzień, gdy przybyły nowe konie. Ogiera, dwie klacze i dorastające źrebię zaprowadzono zaraz do osobnej zagrody, aby nie przemieszały się one ze skandynawskimi końmi. Nowe zwierzęta miały się chyba dobrze, ich podróż przebiegła łagodnie, w korzystnej porze roku, i w drodze nie brakowało im pokarmu oraz wody. A przybyły one z ojcem Henri z kolejnej podróży tego zakonnika do kapituły generalnej, do Cltaux, że zaś ojciec Henri i bracia, którzy udali się tam z nim, podążali przeważnie pieszo, jak to zawsze czynili, i ponieważ do dwóch ciężkich wozów z tym, co potrzebne w drodze, zaprzężono woły, owe konie musiały być naprawdę wypoczęte.

Powroty ojca Henri z kapituły generalnej były zawsze wielkimi wydarzeniami w klasztorze, nie tylko zresztą dlatego, że wszyscy bracia niezmiennie okazywali posłuszeństwo, i w większości całkiem szczerze, miłość bliźniego, ale i z wielu innych powodów: cieszyły nowiny, listy, nowe księgi, wiadomości o tym, co się działo na świecie w życiu świeckim oraz w życiu Kościoła, najróżniejsze ziarna, rodzynki i przeszczepy, na które brat Lucien rzucał się z dziecięcym zapalem, by je zbadać i zapoznać z nimi swoich uczniów, i wreszcie także różne sery i wino w baryłkach, a więc coś, bez czego przynajmniej

burgundzkim zakonnikom trudno było się obejść, tak jak prowansalscy kucharze nie wyobrażali sobie życia klasztornego bez stałego uzupełniania zapasu przypraw, których w surowym klimacie Danii bratu Lucienowi nie udawało się uzyskać.

Niejedyn zakonnik z trudem stosował się do dyscypliny i zachowywał godność, jakiej wymagał taki powrót, wprawdzie bowiem musiała się odbyć msza z okazji szczęśliwego powrotu. A trwała ona wyjątkowo długo, ponieważ chór popisywał się w czasie tej dziękczynnej służby Bożej nowymi pieśniami albo też takimi, które wykonywano wcześniej i które miały po części zmieniony podział na głosy. Również Arn, nadal obdarzony pięknym sopranem, ciężko pracował na każdej takiej mszy.

Później jednak mogli bracia paplać wesoło, kiedy wychodzili z kościoła pod przewodnictwem ojca Henri i oczekiwali przyjemnych ceremonii, które rozpoczynały się, gdy rozpakowywano wielki bagaż. Ojciec Henri odczytywał listę i zaznaczał na niej każdy wręczony dar Boży, dzięki czemu niejedyn brat odchodził z długo wyczekiwanym tomem w rękę, wyrażając swoje ukontentowanie już to szeptem, już to śmiechem. Inni chwalili Pana w bardziej godny sposób. Tak samo reagowali ci, którzy dostawali coś nowego do wykorzystania w ogrodzie albo w kuchni.

Brat Guilbert natomiast wymknął się wkrótce stamtąd razem z Arnem, którego dzięki szerokim, potężnym ramionom mógł schować pod pachą, a mianowicie w tym celu, żeby pokazać najlepszy nabytek, nowe konie, na których żaden z pozostałych braci pewno się nie znał.

Gdy doszli do zagrody tych nowych koni, Arn zadał sobie wiele trudu, ażeby pojąć, co tak bardzo podekscytowało opanowanego zwykle brata Guilberta. Arn widział, i owszem, niemałe różnice między owymi zwierzętami a zwyczajnymi końmi. Te pierwsze były chudsze i żywsze, wciąż się ruszały, jakby zniescierpliwione zamknięciem, biegały tam i z powrotem, wykonując miękkie, kocie ruchy, a ich ogony sterczały do góry. Pyski tych koni były trochę szersze, bardziej trójkątne niż u koni skandynawskich, oczy zaś zdumiewały swą wielkością i mądrym wyrazem. Maści przedstawiały się rozmaicie, jedna z klaczy była niewątpliwie gniada, jak wiele innych koni, ale miała sporą szarą plamę poniżej lewej łopatki, natomiast jej dorastające źrebię było prawie białe, tyle że z dodatkiem szarżyzny. Ogier i druga klacz okazały się siwojabłkowite.

Więcej Arn nie dostrzegał, mimo że wiele pracował w kuźni, w której wykonywano podkowy, a więc w drugim pod względem ważności wśród zakła-

dów podległych bratu Guilbertowi. Arn potrafił podkuć konia tak, iż ani ten zakonnik, ani żaden brat-laik nie musiał po nim poprawiać.

Brat Guilbert stał w milczeniu, pochylony, przy ogrodzeniu z żerdzi i miał łzy w oczach, kiedy patrzył na konie, a sprawiał przy tym takie wrażenie, jakby myślami był daleko od tego miejsca. Arn, który go nie rozumiał, przyjął postawę wyczekującą.

Ku zdumieniu chłopca, brat Guilbert odezwał się nagle do konia w języku, którego Arn nigdy nie słyszał i z którego nie rozumiał ani słowa. Koń jednak zareagował od razu, zatrzymał się i nastawił uszu w stronę brata Guilberta, i po chwili wahania spokojnie podszedł do zakonnika. I wtedy brat Guilbert zdumiał Arna tym, że zbliżył twarz do końskiego pyska i znów coś powiedział w owym miękko brzmiącym obcym języku.

- Pójdź, mój chłopcze, pojeździmy razem, tobie przypadnie źrebię — zaproponował brat Guilbert, po czym przecisnął się przez ogrodzenie i pociągnął za sobą Arna.

- Źrebię... to chyba niemożliwe, nikt go pewno nie ujeżdżał? - wyraźnie zwałpił Arn.

- Pójdź tu, pokażę ci coś, ujeżdżania nie potrzeba! - odparł brat Guilbert i przyzwał owego konika, który zaraz też przydreptał.

Potem działo się coś, co Arnowi wydało się cudem. Brat Guilbert pogłaskał źrebię po pysku, policzkach i szyi, znowu mówiąc tym obcym językiem, który konie rozumiały zapewne lepiej niż francuski czy łacinę. Po chwili zakonnik podniósł Arna jedną ręką, niczym rękawiczkę, i chłopiec usiadł okrakiem na koniu, i zaraz odruchowo chwycił się grzywy, żeby nie spaść, gdyby zaczęły się kłopoty; Arn ujeżdżał już konia, ale nigdy od początku.

W następnej chwili brat Guilbert jednym zwinnym ruchem dosiadł ogiera, jakby wleciawszy na niego, i koń od razu pogalopował dookoła zagrody. Brat Guilbert siedział na oklep, niezbyt mocno trzymając się jedną ręką grzywy konia, śmiało i długo kluczył, wykonując raptowne wolty, i pokrzykiwał na konia w owym obcym języku.

Źrebię, które ujeżdżał Arn, rychło zaraziło się radością ogiera i też zaczęło biegać wkoło, tyle że nie tak równo, raczej nieporadnie. Niebawem jednak oba konie biegały dookoła coraz szybciej, Arn zaś spróbował w swym zdumieniu naśladować obcy język brata Guilberta, był też oszołomiony jazdą i tym, że na wygolonym ciemieniu i przydługich lokach wokół uszu czuł wiatr.

Z niejakim wstydem przyznał się Arn samemu sobie, że przeżył oto chwile czystego, prawdziwego szczęścia, o których trzeba będzie koniecznie wspomnieć przy okazji kolejnej spowiedzi u ojca Henri - chłopiec miał wrażenie, iż koń dzielił się z nim swą żywotnością i siłą, mimo że było to zwierzę bardzo młode i dalekie od osiągnięcia końskiej dojrzałości. Owo przekazywanie żywotności i siły było zaiste cudem, skoro konia, zbyt przecież młodego, pewno wcześniej nie ujeżdżano, nigdy więc nie miał człowieka na swoim grzbiecie.

- Pojmij, mój młody *chevalier*\*— usłyszał Arn od brata Guilberta o wiele później, gdy słowiki rozpoczęły już swój przedwieczorny śpiew i zbliżał się czas niesporów, i gdy siedzieli w owej zagrodzie na trawie, ciesząc oczy widokiem nowych koni - pojmij, iż koń jest doprawdy najlepszym przyjacielem człowieka. Te zaś zwierzęta, jak się przekonałeś, odmienne od wszelkich innych, są najszlachetniejszej krwi, najmądrzejsze, najszybsze i najwytrwalsze. Chwal Pana Boga za ten dar, są to bowiem konie z Ziemi Świętej *outré-mer*\*\*.

Brat Guilbert z emocji poczerwieniał na twarzy i jeszcze był zadyszany po tamtym niesamowitym pokazie wielkich możliwości ogiera.

Arn zaczął już rozumieć, co odróżniało te konie od innych - szło nie tylko o wygląd, zachowanie i ruchy, lecz także o przydatność tych zwierząt. Zapytał jednak i otrzymał odpowiedź, jakiej się spodziewał.

Były to konie bojowe. Również do nich odnosiło się to, co obowiązywało w walce na miecze: ruchliwość, ruchliwość i jeszcze raz ruchliwość.

Wedle dalszych wyjaśnień brata Guilberta, na barbarzyńskiej Północy nie posiadano jeszcze sztuki walki na koniach, potrzebowali tedy Skandynawowie silnych i powolnych koni, które potrafiły donieść spore brzemię aż na pole bitwy. Tam zsiadano, przywiązywano zwierzęta i pieszo ruszono do boju. Jeśliby chrześcijanie próbowali tak stawić czoła przeklętym Saracenom, to nigdy nie wyzwoliliby Jerozolimy.

Gdzie indziej walczono konno, a tylko na barbarzyńskiej Północy nie pojmowano, że tak trzeba. I dlatego brat Guilbert powziął prosty i oczywisty zamiar co do tych nowych koni, których krew mógł już powielić w Danii, a mianowicie chciał zapoczątkować nową metodę walki z wykorzystaniem właśnie nowych koni i w ten sposób przysporzyć klasztorowi srebra. Niemal

\* ...*chevalier* (fr.) - ...rycerzu (przyp. tłum.). \*\* *outré-mer* (fr.) - za morzem (przyp. tłum.).



taką samą korzyść można by osiągnąć, kując lepsze miecze dla Skandynawów. Jedno i drugie powinno by okazać się logiczną i lukratywną innowacją.

Wciąż jeszcze będąc pod wrażeniem wiatru w swoich włosach oraz jazdy konnej, poprosił Arn - z wielkim zapałem, ale niezbyt grzecznie - o przy-swojenie mu sztuki walki z konia, uprawianej przez chrześcijan w świecie cy-wilizowanym.

Brat Guilbert nie pokazał po sobie rozbawienia, a tylko dla żartu dotknął tonsury chłopca i wyjaśnił, że właśnie to czynił dotąd. Przez cały czas. Wszyst-ko, czego Arn dowiedział się o koniach od tamtej pory, kiedy zaczęła się jego praca, służyło temu celowi.

Wpierw chodziło zwłaszcza o utrzymanie równowagi. Arn ćwiczył dREW-nianymi mieczami, czasem dzierżąc je w obu rękach i mając nad sobą skórzane worki z piaskiem, które kołysały się to w jedną, to w drugą stronę, i mogłyby w każdej chwili przewrócić chłopca, tak samo zresztą ćwiczył się w jeździe konnej, od początku i zawsze na oklep, bez siodła. Służyło to wszystko utrzymywaniu równowagi, pozostaniu na koniu pomimo jego ruchów.

I oto po raz pierwszy miał Arn jeździć na źrebięciu (początkowo bez sio-dła), aby mógł poznać konia, rozumieć się z nim, głaskać go i stale doglądać. Imię zwierzęcia winno było pozostawać tajemnicą dzieloną tylko z Bogiem, któ-ry wszak nie mógłby go nie znać. Niechby zwał się ten koń Chamsiinem, jak pustynny wiatr, który potrafi wiać nieustannie przez pięćdziesiąt dni. Klacze niechaj otrzymają imiona Aisza oraz Khadija, ogier zaś otrzyma imię Nasir. Brat Guilbert nie objaśnił znaczeń tych imion, powiedział tylko, że zaczerpnął je z tajemnego języka koni i że nie powinny by one obchodzić nikogo innego w klasztorze - jedynie ich dwóch, jako *chevaliers*.

Siodło miało się pojawić, skoro tylko Chamsiin stałby się dorosłym ko-niem, a tymczasem należałoby poznać podstawy, nabrać zaufania, pokochać i umieć utrzymać równowagę.

Zadzwoniono na nieszpory, trzeba więc było udać się do łaźni. Kiedy pra-wie biegiem oddalali się od koni, Arn zapytał, czy i on mógłby się nauczyć ich tajemnego języka. Czyż nie jest tak, iż mówiąc trzema językami, można opa-nować i czwarty? Brat Guilbert uśmiechnął się dyskretnie i odpowiedział nie całkiem zrozumiale, że zapewne nadejdzie taki dzień. Więcej Arn nie usłyszał od niego.

Arn zawsze dotąd był posłuszny. Miłował braci zakonnych nie mniej, niż miłował księgi. Ciężka praca była mu równie bardzo w smak, jak lżejsza, przy

wznoszeniu wieży przyklasztornego kościoła trudił się tak samo chętnie, jak łowił ryby we fiordzie. Ćwiczenia w robieniu mieczem i strzelaniu z łuku pokochał nie mniej, niż wędrówkę ścieżkami wiary, czyli wczytywanie się, wers po wersie, w Pismo Święte, w czym pomagał zbiór *Clossa Ordinaria*. Niewykluczone, iż cokolwiek mniej pokochał Arystotelesa niżeli Owidiusza, zdarzało mu się bowiem potajemnie naśladować niestosowne poezje tego ostatniego, które czytywał, zanim je zabrano i zamknięto. Później oczywiście spowiadał się z tego i przyjmował karę za ów grzech, uważając, że warto ją było ponieść. Cóż znaczyło kilka dodatkowych modlitw Pańskich wobec rumieńców na policzkach i żaru w ciele, gdy na myśl przychodził Owidiusz?

Ojciec Henri tolerował, i owszem, niedostateczne zainteresowanie Arnawym filozofem oraz jego nieco przesadne zainteresowanie dziełami niestosownymi dla chłopców. Zresztą w pisma Owidiusza wczytywał się i za młodu, i w męskim wieku niejeden bogobojny człowiek z kręgu znajomych ojca Henri, przekraczając miarę w zgłębianiu ich. Na cóż tu wyrzekać? Wszak do grupy zainteresowanych Owidiuszem należał też sam ojciec Henri, który pamiętał, że tak było przynajmniej w okresie nowicjatu. Widać tu normalną zmienność żywota i nic innego, przecież Bóg w swej mądrości zadbał o to, by życie stale się zmieniało. Jeśli zatem chłopiec nie okazywał wielkiego zainteresowania Arystotelesem, do którego miewał nawet drobne, choć arogancko wypowiedziane zastrzeżenia, zwłaszcza do konstrukcji logicznych owego filozofa, to nie dziwił obojętnością i, o ile w ogóle dopuszczał się grzechu, dzielił go choćby z bratem Lucieniem. Otóż ten ostatni, oddany swej sztuce obsiewania, w imię Boże, świata wszystkim tym, co mogło wyrastać jako wzbogacenie stołu, remedium na ludzkie dolegliwości albo po prostu ozdoba, której piękno dostrzegano, również nie był zbyt zainteresowany historią dzieł Arystotelesa. Ale ojcu Henri nigdy nie powstałaby w głowie taka myśl, by z tego powodu uznać brata Luciena za mniej godnego szacunku, za brata zasługującego na mniej miłości, niżli pozostali zakonnicy.

Dla żartu sprzeniewierzając się logice, ponoć wzorem owego filozofa, można by opacznie pomyśleć, iż chłopiec także należał do oddanych - temu, czego uczył brat Lucien. Żmudną i pedantyczną, ale ważną pracą mogli mieszkańcy klasztoru pokazać, jakie piękno powstawało z Bożej woli na ziemi właśnie przy pomocy wiernych braci: najwcześniej pojawiały się śnieżyczki, które zdawały się przebijać przez twardą wciąż, niegościnną zimową skorupę, później, wraz z ciepłem, żółte i białe narcyzy oraz tulipany, wszystkie całkiem nowe na

barbarzyńskiej Północy, zdumiewające gości, którzy, jeśli przybywali w porę, byli urzeczeni białym kwieciami drzew owocowych, nieznanymi owym barbarzyńcom jabłoni, grusze i wiśni. W ostatnich latach kwitła też sprzedaż i właśnie Arn pomagał bratu Lucienowi w zapewnianiu towaru, a także tłumaczył na miejscowy język skandynawski.

W Arnowej nauce panowała dotąd równowaga, nie było więc jednego powodu do zmartwienia. O ile ktoś nie dopatrywał się, jak poniekąd surowi bracia, niewielkiego związku między mieczem i oszczepem a pracą dla Boga na tym świecie. Ci zakonnicy, co tak myśleli, nie dość wczytali się w pisma ich wspólnego ojca, świętego Bernarda, który bardziej wszak niż papież czy jakikolwiek książę Kościoła przyczynił się do powstania zakonu templariuszy.

A jednak... chłopiec zaczął niepokoić. Jakby oszalał, odkąd pojawiły się nowe konie. Nie bez racji mógłby ktoś powiedzieć, że Arn wpadł w nałóg, że owo zainteresowanie usunęło w cień wszystkie inne. Wiązał się z tym poważniejszy, strategiczny problem: nie było pewności, czy Bóg istotnie tego właśnie pragnął, czy raczej oczekiwał rychłego przywołania owego wybrańca do porządku. Należało też podjąć pewną decyzję taktyczną, mianowicie co do tego, jak roztropny ojciec powinien by się wziąć za to pouczanie.

Ojciec Henri wezwał do siebie kilka razy brata Guilberta, żeby ów problem omówić. Odniósł jednak wrażenie, iż poczciwy Guilbert chciał całą tę sprawę zbagatelizować, powiadał bowiem, że chłopcy są przecież jacy są, pytał, co sam ojciec Henri pomyślałby albo zrobiłby w tym wieku, mówił, że trzeba zrozumieć urok nowości, i zwrócił uwagę na to, iż jazda konna należała, nie mniej niż wszystko inne, do umiejętności przekazywanych przez niego chłopcu.

Brat Guilbert nie mijał się pewno z prawdą. Zauroczenie Arna było jednak tego rodzaju, że mogło chyba, bodaj przypadkiem, przeważyć nad jego zapalem do ksiąg. Jako spowiednik Arna, wiedział ojciec Henri oczywiście znacznie więcej, niż mógł o tym wiedzieć ojciec Guilbert. Wszak spowiadając się przeorowi, nie śmiałyby chłopiec kłamać, nie inaczej niż którykolwiek inny zakonnik.

Arn dostrzegał ów problem właśnie dlatego, że musiał się spowiadać, wyznawać ową grzeszną skłonność i później odprawiać pokutę. Ale nie domyślał się tego, że był to dla ojca Henri powód do prawdziwego zatroskania, a zasmuciłby się i zawstydział, gdyby miał tę świadomość. Otrzymywał takie same łagodne kary jak zawsze: musiał zmówić kilka dodatkowych modlitw

i od czasu do czasu przetrwać dzień o chlebie i wodzie, i nie inaczej był karany za czytanie świeckich zmysłowych poezji Owidiusza albo za coś gorszego, mianowicie za własne wiersze, którymi Owidiusza naśladował.

Gdy jednak Chamsiin podrósł na tyle, że ze źrebięcia przemienił się w prawdziwego konia, gdy Arn i ów młody ogier pokochali się nawzajem jeszcze bardziej i gdy lato na Jutlandii osiągnęło swą pełnię, ciesząc dość jasnymi i ciepłymi nocami, i śpiewem słowików, Arn wstawał, mając za sobą ledwie kilka godzin snu od czasu mszy odprawianej o północy, i wymykał się do stajni, gdzie sięgał po siodło i uzdę, w owej ciemności wypowiadał parę słów i zaraz podchodził do niego Chamsiin, po czym ten koń wyginał się do przodu, by przyjąć swym miękkim pyskiem gorące pocałunki chłopca i głaskanie przezeń.

Później Arn dosiadał konia i ostrożnie ruszali ku ogrodzeniu, które Chamsiin pokonywał lekkim kocim skokiem, całkiem cicho, po czym przez dłuższą chwilę trwała powolna jazda, aż wreszcie tempo narastało do tego stopnia, iż Arn był pewno najszybszym dżokejem, jaki kiedykolwiek przemierzał duńską ziemię. Wszak Chamsiin wywodził się z końskiego rodu, który przywykł do dalekiej jazdy, zgoła innej niż skandynawski trucht na krótkich dystansach.

Po lekko pofalowanym terenie i przez rzadkie łąsy bukowe pędzili niczym jeźdźcy Apokalipsy, w jedną czy drugą noc docierając nawet do morza i narażając się na to, że w powrotnej drodze trzeba było utrzymać tempo, aby zdążyć przed poranną mszą.

W okolicy rozeszły się niebawem pogłoski o jeźdźcu-widmie, który jakoby coś zapowiadał, był złym znakiem, o duchu jeżdżącym tak, iż żaden człowiek nie dorównałby mu nawet we śnie, o karle groźnie szczerzącym ostre zęby i uzbrojonym w lśniący miecz, który jakby się żarzył.

Był to jednak miecz drewniany, obciążony pośrodku dodatkiem żelaza. W swoich fantazjach Arn jeździł wszakże z mieczem, który mógłby uchodzić za ognisty, i wymachiwał nim, używając do tego lewej ręki, po czym w biegu zastępował cugle mieczem i dzierżył go potem w prawej ręce. Zresztą miecz nie był najważniejszy. Arn zagłuszał raczej wyrzuty sumienia, z jazdą dla przyjemności łącząc nieco pracy - zamiast spać, jak Bóg przykazał, snem sprawiedliwego.

Liczyła się dla niego przede wszystkim szybkość. Mimo młodego wieku Chamsiina żaden koń, na którym Arnowi zdarzyło się wcześniej jeździć, nie

dorównywał mu siłą nóg. W fantazjach Arna jego koń, Chamsiin, podążał przed siebie dzięki jakiejś' mocy nadprzyrodzonej, tak jakby owa szybkość mogła być tylko dziełem Boga i tak jakby, z tego względu, na Chamsiinie wzlatywał ku Bogu, zbliżając się do Niego bardziej niż kiedykolwiek.

Była to oczywiście grzeszna myśl. Świadomy tego grzechu, Arn zabiegał modlitwą i koniecznymi wyrzeczeniami o absolicję.

„Jakaż to jednak szybkość!” - myślał. Co gorsza, nawet w czasie najzarliwszych modlitw.

Akurat w okolicy Bożego Narodzenia Roku Pańskiego 1144 spotkała chrześcijan z Królestwa Jerozolimy największa klęska od czasu podboju Ziemi Świętej. W chrześcijańskiej Europie nie brakowało takich, co pojęli, iż upadek miasta Edessy oznaczał katastrofę. Nikt jednak nie potrafił sobie wyobrazić tego, że owo zdarzenie mogłoby być początkiem końca chrześcijańskiej okupacji, kto bowiem bodaj przez chwilę pomyślałby o czymś tak strasznym, dopuściłby się niejako bluźnierstwa.

Podówczas, pół wieku po dokonaniu podboju, który kosztował chrześcijan ponad sto tysięcy ofiar śmiertelnych, Królestwo Jerozolimy stanowiło pasmo ziem przybrzeżnych: od Gazy na południe Palestyny poprzez Jerozolimę i Hajfę ku wybrzeżu Libanu i wyżej, aż po Antiochię. Jeszcze dalej, z drugiej strony Antiochii, tam, gdzie Azja Mniejsza wbija się, niczym ciężka belka, ponad Syrię, znajdowała się spora chrześcijańska enklawa wokół miasta Edessy, które razem z przybrzeżną Antiochią miało pod swą kontrolą wszelkie szlaki łączące Bagdad, Jerozolimę i Damaszek z Konstantynopolem, a więc z Cesarstwem Wschodniorzymskim. Edessa była, obok Jerozolimy, jedną z dwóch najważniejszych twierdz chrześcijan.

I oto tamto miasto zostało zdobyte, splądrowane i skazane na niepamięć dziejopisów przez dowódcę wojsk, o którym w Europie mało kto słyszał. Zwał się on Unadeddin Zinki. Po upadku emirów miejskich doszło do rzezi na pięciu tysiącach Franków\* oraz na sześciotysięcznej rzeszy chrześcijan obrządku ormiańskiego i kilku innych miejscowych obrządków. Ich zastąpił Zinki trzystu Żydami, którym pozwolił się osiedlić w mieście, pewno licząc na to, iż ono odżyje. Z wyznawcami islamu łączyła Żydów wszak większa sympatia niż z chrześcijanami, ci bowiem mieli pewien osobliwy zwyczaj: zawsze masowo mordowali Żydów, na których zdarzyło im się natrafić.

Zinki był wodzem energicznym, ambitnym i bardzo okrutnym. Jego wielkie zwycięstwa cieszyły oczywiście cały świat muzułmański, ale też obawiano się go i życzo mu, by odnosił tryumfy gdziekolwiek, byle nie w pobliżu siedzib owych życzliwych.

Być może właśnie okrucieństwo okazywało się jego słabością. I niewykluczone, że mimo wielkiego doświadczenia z wojen przeciw Frankom zostałby pokonany przez potężną armię chrześcijańską, która miała wkrótce podjąć kolejną krucjatę dla wzięcia odwetu za Edesę i dla uratowania Ziemi Świętej.

Zinki nie krył wszakże swego zamiaru zdobycia Damaszku, drugiego co do znaczenia miasta po Jerozolimie, i dzięki temu jeszcze groźniejszego osaczenia chrześcijan.

Muzułmańska ludność Damaszku nie okazywała jednak entuzjazmu wobec ewentualnego pojawienia się nieobliczalnego i okrutnego wodza pod wysokimi murami miasta. Tymczasem, zdążając ku Damazkowi, musiał Zinki się zatrzymać i poprowadzić oblężenie miasta Baalbek. Oblężenie przeciągnęło się bardzo, co tak zirykowało Zinkiego, że gdy Baalbek w końcu skapitulowało i garnizon otrzymał zwyczajowe zapewnienie gęjtu, kazał on skrócić o głowę wszystkich obrońców, z wyjątkiem dowództwa, któremu pozwolił ujść z życiem.

Zinki mógł liczyć na to, że takie postępowanie przerazi mieszkańców Damaszku i odwiedzie ich od stanowczego oporu. Odniosło ono jednak wręcz przeciwny skutek. Damazek sprzymierzył się z chrześcijańskim królem Jerozolimy, jako że - pomimo odmiennej religii - oba miasta jednakowo obawiały się zdobywców pokroju Zinkiego. Bez jego okrucieństwa przymierze Damazku i Jerozolimy nie byłoby możliwe. I bez przymierza trzech

\* Frankowie - tą nazwą określali Arabowie rycerzy chrześcijańskich (przyp. tłum.).

miast chrześcijanie mogliby odnieść tryumf w kolejnej wielkiej krucjacie. Tak więc okrucieństwo Zinkiego było raczej po myśli Allacha niż na chwałę Boga chrześcijan.

Gdy wojska Zinkiego uświadomiły sobie, iż ta wojna dobiegła końca, iż nie zdołają nigdy zagarnąć i splądrować takiej twierdzy jak Damaszek, ruszyły one, tymczasem usatysfakcjonowane, z obfitym łupem do domów. Armia Zinkiego wykruszyła się. Tak działo się zwykle w tej części świata i był to problem równie wielki dla chrześcijan, jak i dla muzułmanów. Owszem, działano na chwałę Bożą, na chwałę Allacha, szanowano świętości, ale kto zyskał obfity łup i zdołał ocaleć, ten zaczynał tęsknić za domem.

Kiedy zirytowany z tego właśnie powodu Zinki przyłapał swego chrześcijańskiego eunucha na potajemnym picciu wina z osobistego kielicha wodza, zadowolili się chwilowo zapowiedzią kary za ową beczelność i postanowili się prześpać, odkładając sprawę. Eunuch zaś, który miał powody, by sądzić, że po zapowiedzi nastąpi więcej kar, i to strasznych, uznał, iż lepiej będzie wbić sztylet w serce wodza.

Również to mogło uchodzić za zdarzenie pomyślne dla chrześcijan, ponieważ winien by nastąpić podział zdobyczy Zinkiego pomiędzy jego synów, jednak nie od razu i pewno w taki sposób, że doszłoby do zacieklejszej wojny domowej i powstałaby lepsza sytuacja dla krzyżowców, którzy zamierzali podjąć krucjatę odwetową.

Wszakże Allah chciał czego innego. Otóż wodzowski pierścień zdjął z ręki Zinkiego, po tegoż śmierci, syn Mahmud, niebawem okrzyknięty Światłem Religii, otrzymał bowiem przydomek Nur ad-Din.

Odziedzyczył on zalety Zinkiego, jako dowódca wojsk potrafił zawsze pokonać chrześcijan. Ale miał odmienne usposobienie i w przeciwieństwie do większości wodzów, którzy stawiali opór europejskim najeźdźcom, nader poważnie odnosił się do prawdziwej wiary, zbierał wokół siebie wszelkich uczonych mężów, kawiarnianych gawędziarzy oraz tych, którzy mieli prawo występować w meczetach, jak też wszystkich, co tworzyli bądź rozprawdzali piśmiennictwo, i zachęcał ich, także pieniędzmi, do upowszechniania legendy o Nur ad-Dinie, który nigdy nie walczył dla własnych celów, który zawsze przestrzegał nakazów Koranu, który nawet swej gwardii przybocznej nie pozwolił pić wina, który nigdy nie skazywał na śmierć pokonanych, jeśli ci się poddali, który nigdy nie przedkładał swych osobistych korzyści nad islam. W krótkim czasie zdołał on dać początek przebudzeniu religijnemu.



Nur ad-Din nie spieszył się jednak z przejściem Damaszku, wolał doczekać się bardziej sprzyjającej pory, a swą stolicą uczynił Aleppo.

Nastanie Nur ad-Dina, a zwłaszcza tegoż następcy, którym został Salah ad-Din, zapowiadało rychły kres obecności chrześcijan w Ziemi Świętej. Upadek Jerozolimy był już tylko kwestią czasu. Tak może jednak powiedzieć ktoś, kto później posiadał tę mądrość i zna przebieg wydarzeń.

\* \* \*

Wiść o upadku Edessy wywołała w Europie tyleż zdumienia, co żalu. Dla świata chrześcijańskiego coś takiego było rzeczą niewyobrażalną, wszak przejście świętego grobu Chrystusa uchodziło za akt chwalebny, po którym nie powinna by nastąpić porażka.

Jeśli chrześcijanie nie zdobyliby się na szybki i dotkliwy kontratak, to niewierni mogliby sięgnąć nawet po Jerozolimę, bo przecież względy militarne czyniły taką kolej rzeczy naturalną i łatwą do zrozumienia również dla prawowiernych chrześcijan.

Papież Eugeniusz III zaczął też niebawem zabiegać o nową krucjatę gwoździ zapewnienia chrześcijanom stałego dostępu do Grobu Świętego i innych celów pielgrzymek. Najpierw zwrócił się on z tym do króla Francji, Ludwika VII, który borykał się z takimi kłopotami małżeńskimi, że gotów był pewno rozważyć każdy pretekst do wyprawy wojennej. Tym bardziej, że szło o kampanię, która prócz zwykłych korzyści z wojny mogła przynieść odpuszczenie wszelkich grzechów popełnionych w dotychczasowym życiu i, tym samym, utorować drogę do raju.

Z początku jednak nie udawało się Ludwikowi bynajmniej przekonać swych wasali do tak dalekiej i długiej wyprawy. Żaden z owych hrabiów i baronów nie narzekał na pozostawanie w ojczyźnie.

Rozżalony Ludwik opowiedział o swoich problemach papieżowi, ten zaś podjął coś, co w obliczu owej kłopotliwej sytuacji było jedynym słusznym rozwiązaniem. Pod święte sztandary wezwał on Bernarda z Clairvaux.

Był to podówczas przywódca duchowny, który wywierał największy wpływ, i prawdopodobnie najlepszy krasomówca na świecie. W marcu 1146 roku rozeszły się wieści o tym, iż Bernard wystąpi z homilią w katedrze w Vezelay, i takie tłumy przybyły do owego miasta, że widać było, iż katedra ich nie pomieści. Wzniesiono więc za murami drewniane podwyższenie, z którego Bernard mógł przemówić, by w niedługim czasie sprawić, że dziesięć tysięcy

na albo liczniejsza rzesza zebranych zaczęła się dopominać o krzyże.

Przygotowano ogromną ilość krzyży z materiału, którymi Bernard obdzielił najpierw króla i jego wasali, bo przecież żaden z niechętnych hrabiów czy baronów nie zdołałby wytrwać w oporze wobec owej fali entuzjazmu i głębokiego przekonania, potem zaś wszystkich innych ludzi. W końcu zaczął Bernard rwać własne odzienie, aby każdy zwerbowany mógł przypiąć sobie taki krzyż z materiału jako znak tego, iż, z jednej strony, przysięgnął udział w świętej wojnie, a z drugiej strony mógł już po krótkotrwałym wysiłku liczyć na wieczyste oczyszczenie z wszystkich grzechów.

Nie bez dumy napisał Bernard do papieża o tym, czego dokonał:

*Tyś rozkazał. Jam był posłusznym. A Moc, która wydała rozkaz, sprawiła, iż moje posłuszeństwo przyniosło owoce. Otwarłem usta. Przemówiłem i wkrótce znalazło się krzyżowców bez liku. Oto opustoszały wsie i miasta. Ledwo jeden mąż przypada na siedem niewiast, wszędzie widuje się wdowy po żyjących małżonkach.*

Przebudzenie chrześcijan w Europie przybrało odtąd na sile nie mniej niż przebudzenie wokół Aleppo, któremu dał początek Nur ad-Din, choć Europejczycy nie mogli przecież zdawać sobie sprawy z owego podobieństwa, tak jak nie wiedzieli o nim Arabowie. Bernard z Clairvaux udał się w dłuższą podróż, ażeby dzień w dzień powtarzać swe wcześniejsze słowa, najpierw w Burgundii, a później w Lotaryngii oraz we Flandrii.

Gdy zaś przebudzenie ogarnęło Niemcy, pojawiły się takie same trudności, jak przed pierwszą krucjatą. Arcybiskup Kolonii był zmuszony niezwłocznie wezwać Bernarda, ponieważ pewien cysters, Petrus Venerabilis, jeździł po Niemczech z przesłaniem podobnym do Bernardowego, co się tyczyło Ziemi Świętej, lecz zgoła odmiennym w kwestii europejskich Żydów.

Jego kazania spowodowały niejedną pogrom: w Kolonii, Moguncji, Wormacji, Spirze i Strasburgu. Mordowano Żydów, tu i ówdzie wybijając ich w pień.

Tuż po swym przyjeździe zaczął Bernard upominać owego czcigodnego Piotra, nakazał mu roczne milczenie, nawoływał do skruchy, jak najszybszego powrotu do macierzystego klasztoru, czyli do Cluny, i prosił, by Piotr nie mieszał się dłużej do spraw, których nie pojmował.

Później nastąpiło powtórzenie wędrówki po Francji, dzięki czemu Bernard, mimo potrzeby tłumaczenia, zyskał w Niemczech taki sam poklask dla pomysłu

świętej wojny. Musiał jednak ponadto zadać sobie wiele trudu, ażeby powstrzymać prześladowanie Żydów, i wciąż napominać, że „kto podnosi rękę na Żyda, aby pozbawić go żywota, ten niejako godzi w samego Jezusa Chrystusa”.

Tak oto zdołał Bernard skierować uwagę rozgorączkowanych tłumów ponownie na to, o co szło najbardziej, i nowa krucjata stała się faktem. Konrad, król Niemiec, zawarł sojusz z królem Ludwikiem VII i już niebawem niezliczona armia ruszyła na świętą wojnę grabieżczym szlakiem przez całą Europę. Na Węgrzech i na Bałkanach zdawało się wręcz, iż Bóg pokarał ludzi wielką plagą, jakby dotknęły ich wszystkie plagi egipskie naraz. Ów bezlik krzyżowców kojarzył się z szarańcza i nadmiarem ropuch.

Po przybyciu do chrześcijańskiego Konstantynopola wojska francuskie i niemieckie strasznie się poróżniły, a poszło zwłaszcza o prawo pierwszeństwa w grabieży i o to, kto miałby w pierwszej kolejności paść jej ofiarą, tak iż przez ową waśń postanowiono po opuszczeniu Konstantynopola udać się różnymi drogami do Jerozolimy. Konrad miał drogą lądową przemierzyć Azję Mniejszą, Ludwik zaś winien był kontynuować marsz wzdłuż wybrzeża, a spotkaliby się w Antiochii.

Inna armia krzyżowców wyruszyła z Anglii z zamiarem przyłączenia się do tamtej ogromnej wyprawy. Anglicy utknęli jednak w Portugalii, gdzie podjęli oblężenie Lizbony, miasta muzułmańskiego, i owszem, tyle że chyba nie wytrzymało ono porównania z Jerozolimą.

1 o czterech miesiącach oblegania padła wobec obrońców obietnica gwałtu, garnizon się poddał i chrześcijanom pozostało już tylko rozpinanie ludzi na krzyżach, obdzieranie ze skóry, ćwiartowanie, gwoli wiecznego zbawienia swych dusz musieli skracać ludzi o głowę, palić domy, gwałcić i grabić w imię Boże. wykonawszy to wszystko, Anglicy znużyli się świętą wojną i ruszyli do domów. Ci, co pozostali, założyli niewielkie kolonie.

Niemiecki król Konrad, który wybrał mniej bezpieczną drogę lądową przez Azję Mniejszą, licząc na obfitszy łup, niż jeśliby podążał bezpieczniejszym szlakiem wzdłuż wybrzeża, przeżył przykrą powtórkę tego, co się zdarzało, ilekroć uzbrojeni po zęby rycerze europejscy stawali twarzą w twarz z mającymi przewagę, bo lżej uzbrojonymi, rajtarami ze Wschodu. Konrad został zaatakowany pod Dorylaeum przez oddziały tureckie i stracił dziewięć dziesiątych swej armii.

Gdy w Antiochii doszło do spotkania Niemców i Francuzów, armia tych ostatnich okazała się nie tak zdziesiątkowana, jak wojska niemieckie, obie

armie wszakże dostały tego, iż iście po książęcemu przywitał je miejscowy władca, hrabia Rajmund. Dołączył doń król Jerozolimy, Baldwin, i oto nadszedł czas świętowania, oczywiście w pierwszej kolejności - ale też później - obmyślenia ścisłych planów.

Nowo przybyli woje Bożej armii nie słyszeli nigdy o kimś takim jak Zinki, toteż nie mogli wiedzieć, że zginął i że mieli już do czynienia z o wiele groźniejszym nieprzyjacielem w osobie jego syna, Nur ad-Dina.

Miejscowi chrześcijanie francuskiego pochodzenia byli oczywiście dużo lepiej poinformowani, wiedzieli, o co szło. Można było ruszyć od razu ku Edessie i odzyskać miasto. Wszak właśnie upadek Edessy stał się przyczyną krucjaty. Takie zwycięstwo miałoby ponadto ogromne znaczenie psychologiczne, i to dla obu stron.

Można też było podążyć w kierunku Aleppo, aby wystąpić bezpośrednio przeciw głównemu wrogowi, którym okazał się Nur ad-Din, i przyjąć bitwę, prędzej czy później nieuniknioną, a więc wartą rozegrania właśnie wtedy, kiedy armia była najsilniejsza.

Tymczasem królowie Konrad i Ludwik, niezbyt świadomi realiów regionu świata, w którym się znaleźli, postanowili wspólnie zaatakować Damaszek. Dość zgodnie uznali pewno, iż w przypadku odzyskania tego miasta, drugiego co do ważności po Jerozolimie, uwieńczyliby dzieło krucjaty wielkim tryumfem, o którym byłoby głośno na całym świecie. A jeśli nawet nie mierzyli tak wysoko (choć kto wie?), byłby Damaszek doprawdy wspaniałym trofeum. I choćby niczego więcej nie udało się osiągnąć, to przecież rychło wyrównano by sobie poniesione koszty.

Miejscowi Frankowie daremnie się trudzili, próbując uświadomić, iż nie należy atakować Damaszku - zostali przegłosowani przez obu królów, którzy byli jednomyślni, a prócz tego dowodzili dwiema największymi armiami.

Tak więc całe chrześcijańskie wojsko ruszyło na Damaszek. I było to czystym szaleństwem, zresztą z niejednego powodu.

Będąc najważniejszym muzułmańskim miastem w owym regionie, pozostawał Damaszek jedynym spośród miast islamskich, które sprzymierzyło się z Jerozolimą. Łamiąc ów pakt, dawało się do zrozumienia, iż na słowie chrześcijan nie można polegać, a do to szczególnie martwiło templariuszy, którzy przesądzali o sile zachodnioeuropejskiej kawalerii.

Co gorsza, ułatwiało się grę Nur ad-Dinowi, człowiekowi, który w tej części świata głosił jedność wobec niewiernych i czystość duchową jako re-

medium chroniące przed porażkami, których w przeszłości nie brakowało. Trudno byłoby znaleźć skuteczniejszy sposób zjednoczenia muzułmanów niż atak na Damaszek.

Usłyszawszy o tym, iż chrześcijańska armia ruszyła na Damaszek, mieszkańcy owego miasta nie dali w pierwszej chwili wiary, wydawało się to bowiem szaleństwem. Wkrótce jednak we wszystkich możliwych kierunkach pofrunęły gołębie pocztowe, po czym wszyscy bracia Nur ad-Dina i inni sojusznicy nadciągnęli z licznymi armiami z północy, południa i wschodu.

Ledwie po czterech dniach oblegania Damaszku zostali chrześcijanie okrążeni przez wielokrotnie większą armię, a na domiar złego wybrali najmniej korzystne miejsce na obóz, mianowicie na południe od miasta, i to miejsce nieosłonięte, pozbawione też studni, które damasceńczycy zawczasu zasypali. Dowódcy templariuszy doszli do wniosku, że jedynym możliwym objaśnieniem tak idiotycznej taktyki jest przekupstwo, przypuszczali, iż któryś z królów, Ludwik albo Konrad, przyjął zapłatę za przegraną w walce.

Niezadługo pozycje chrześcijan okazały się nie do utrzymania, nie było nawet co myśleć o ustawieniu machin oblężniczych, pozostawała tylko ucieczka dla ratowania życia.

Na początku rejtterady w kierunku południowym zostali chrześcijanie zaatakowani przez lekką kawalerię arabską, która, sama wciąż będąc poza zasięgiem, potrafiła posłać mnóstwo strzał w stronę uciekających. Straty chrześcijan były ogromne i przez wiele miesięcy na sporym obszarze Ziemi Świętej utrzymywał się trupi odór.

Tak zakończyła się druga wyprawa krzyżowa. Cztery dni walki i niesłychane straty - raczej przez głupotę niż z jakiegoś innego powodu.

Niemiecki król Konrad, mocno poróżniony się z królem Ludwikiem, ruszył drogą lądową do kraju, przez ostrożność obrawszy bezpieczniejszy szlak wzdłuż śródziemnomorskiego wybrzeża Azji Mniejszej.

Król Ludwik nie miał już tak licznej armii jak przedtem i dlatego zdecydował się na drogę morską z Antiochii ku Sycylii. W czasie tego rejsu jego flota została, co znamienne, zaatakowana i ograbiona przez Bizantyjczyków. I jemu, i Konradowi na zawsze odechciało się krucjat.

Powróciwszy do kraju, król Ludwik musiał wysłuchiwać bardzo słusznych pretensji ze strony swej małżonki. Ta druga krucjata okazała się sromotną klęską. Niebawem Nur ad-Din wkroczył do Damaszku, choć nie musiał nawet unieść miecza ani też posłać bodaj jednej strzały.

Wedle wszelkiej logiki, bliskowschodnie królestwo chrześcijańskie było więc skazane na upadek. Z Europy nie było już czego się spodziewać. Po niedawnym fiasku żadne mocarstwo europejskie nie zdobyłoby się w najbliższym czasie na nową kampanię, pomimo pięknie brzmiących i licznych zapewnień o zbawieniu i pełnej absencji, które padały z ust Bernarda z Clairvaux i innych orędowników świętej wojny. Tak czy inaczej wyzwolenie Jerozolimy przez prawowiernych wyznawców Allacha mogło nastąpić nieprędko. I nie dane było Nur ad-Dinowi oczyścić owego świętego miasta z barbarzyńskich i krwiożerczych europejskich okupantów.

A przyczyną był pewien zakon. Templariusze mieli podobny rodowód religijny jak cystersi, albowiem regułę zakonu rycerzy Świątyni spisał nie kto inny niż Bernard z Clairvaux. Zakon templariuszy uchodził od początku swego istnienia za rodzaj policji, gdyż potrafił on chronić chrześcijańskich pielgrzymów, zwłaszcza na drogach pomiędzy Jerozolimą a rzeką Jordan. Dość irytującą okolicznością było jednak to, iż dla arabskich band zbójceckich ów nieprzerwany ciąg pielgrzymów spragnionych kąpieli w Jordanie stanowił łatwy cel zyskownych grabieży. Tymczasem fakt pojawienia się walecznych mnichów, takiej grupy ludzi, którzy początkowo wydawali się zapewne jakimś paradoksem, niezadługo zyskał poklask daleko od Ziemi Świętej i niejednen spośród najlepszych rycerzy Europy poczuł się powołany. Wybrańców było wszakże niewiele. Szansę na przyjęcie do zakonu templariuszy mieli ci niewątpliwie najlepsi, znani zarazem z bardzo poważnego traktowania religii. Templariusze stali się najświetniejszą rycerską siłą zbrojną w Ziemi Świętej -nie dorównywał im nikt spośród tych, którzy kiedykolwiek przemierzali ów kraj z kopią i mieczem. I właściwie nie było takich w żadnym innym kraju.

Arabowie na ogół nie darzyli zachodnich wojów zbyt wielkim szacunkiem. Ci ostatni bywali uzbrojeni ponad miarę, nazbyt kiepsko jeździli konno, nie radzili sobie z upałem i nie umieli zachować trzeźwości. Byli wszelako tacy europejscy rycerze, których unikano, ilekroć brakowało dziesięciokrotnej przewagi. I pewno nawet mając tak znaczną przewagę, bo przecież zwycięstwo trzeba było drogo okupić. Templariusze nie poddawali się dosłownie nigdy i w odróżnieniu od wszystkich innych rycerzy mniejszej wiary, nie bali się śmierci. Byli niezbitnie przekonani o świętości owych wojen i o tym, że śmierć na polu bitwy pozwalała im natychmiast trafić do raj. Co więcej, asceza, której hołdowali w codziennym życiu, oraz surowa reguła zakonna wykluczały grabież i upajanie się zwycięstwem, czyli to, przez co tryumfujące armie ryczły i stale

traciły dobrą reputację. Reguła zakonu nakazywała ponadto, iżby wszelki czas nieprzeznaczony na wojaczkę czy modlitwę wypełniały ćwiczenia wojskowe, doskonalące i rekrutów, i weteranów.

Owi rycerze w białych płaszczach z czerwonymi krzyżami, wyposażeni też w białe tarcze z krzyżami tejże barwy, byli podówczas jedyną nadzieją Królestwa Jerozolimy.

\*\*\*

Tego dnia, gdy głos Arna tak się zmienił, że nie mógł już śpiewać i wszyscy to zauważyli, chłopiec był przekonany, iż spotkała go tyleż surowa, co niezrozumiała kara Boża. Popęłnił pewno straszny grzech, którym na tę surową karę zasłużył. Czy można jednak popełnić ciężki grzech, nie pojmując, na czym miałby on polegać? Arn okazywał posłuszeństwo, miłował wszystkich braci, nie kłamał, naprawdę starał się nie mijać z prawdą, kiedy spowiadał się ojcu Henri, wspominał nawet o samogwałcie i swych nikczemnych myślach przy takich okazjach. Bez szemrania i bez jakichkolwiek oszustw odprawiał pokutę, którą za masturbację nakładał nań, zresztą coraz bardziej zirytowany, ojciec Henri. I przecież za każdym razem otrzymywał Arn rozgrzeszenie. Czemuż więc Bóg pokarał go tak surowo?

Arn poprosił Boga o wybaczenie także i tego, że w ogóle zadał sobie owo pytanie, które można przecież było uznać za sugestię niesłuszności kary, i dodał, iż chętnie by się dowiedział, na czym polegał jego grzech, aby rychlej się poprawić. Bóg jednak nie udzielił odpowiedzi.

Nauczyciel śpiewu w *Vitae Schola*, brat Louis de Betecourt, zdziwił Arna lekkim potraktowaniem tego, co się stało, i pocieszył go, zapewniwszy, że taka jest naturalna, Boża kolej rzeczy, że wszyscy chłopcy pręcej czy później wyzbywają się swego sopranu i przez pewien czas śpiewają jak kruki. I nic w tym dziwnego, tak jak nie powinna dziwić przemiana chłopca w mężczyznę, to, że Arn rośnie i staje się silniejszy. Ale że brat Louis nie mógł zagwarantować, iż po mutacji Arn będzie mógł znów śpiewać, zapewne niższym głosem, chłopiec pozostał niepocieszony.

Jego najważniejszym zajęciem w Szkole Życia był właśnie śpiew i Arn odnosił wrażenie, że śpiewaniem podczas nabożeństw czynił najwięcej dobrego, że dzięki temu i jego wysiłek coś znaczył. Przydawał się co prawda i częściej, kiedy wznoszono kościelną wieżę, śpiew był wszakże czymś, czego nikt poza nim nie potrafił. We wszystkich innych sytuacjach pozostawał Arn małym

chłopcem, który musiał się od kogoś uczyć. Albo też było tak, iż inne zajęcia stawały się źródłami czystej nadziei dla duszy bądź ciała, na przykład zgłębianie ksiąg czy ćwiczenie się w jeździe konnej pod okiem brata Guilberta, tyle że większą korzyść przynosiły samemu Arnowi aniżeli braciom zakonnym. Ponieważ, zgodnie z regułą, miłował on braci, chciał czymś zasłużyć na miłość z ich strony. Przynajmniej w jego własnym rozumieniu śpiew był najważniejszym środkiem przydatnym do osiągnięcia tego celu.

Nie móc już śpiewać, chociaż śpiew pozostawał w jego myślach, które nadawały właściwe brzmienie każdemu dźwiękowi, zanim wydobywał się on z ust w zniekształconej postaci - to znaczyło dla Arna tyleż, co nagła utrata równowagi, i było nie mniejszym nieszczęściem niż ewentualna niemożność chodzenia, biegania, dosiadania konia. Brat Louis oznajmił Arnowi, że jego śpiew w czasie mszy świętych nie będzie już potrzebny i chłopiec potraktował to jako surową karę za sprawiony zawód.

Ojciec Henri był nieco zniecierpliwiony tym, że tak trudno było wytłumaczyć chłopcu ową oczywistą kolej rzeczy. Wbrew oczekiwaniom ojca Henri, nie wystarczyło wskazanie na mutację jako powszechną przypadłość i dziwił się ten zakonnik, że nawet tak proste objaśnienie, iż głosy męskie brzmią inaczej niż chłopięce (jak sądził, łatwe do przyjęcia), nie trafiało Arnowi do przekonania. Niewykluczone też, iż na pozór niepotrzebne zmartwienie chłopca było — niepokojącą ojca Henri — oznaką straszliwego osamotnienia. Gdyby Arn dorastał wśród innych chłopców, czy to w klasztorze, czy poza nim, łatwiej pewno dostrzegłby owe prawdziwe „ja”, siebie jako chłopca i, być może, kiedyś zakonnika, a tymczasem jednak jeszcze nie brata.

Zakon cystersów zaniechał przyjmowania oblatów raczej powodując się teologią niż biorąc pod uwagę jakieś względy praktyczne bądź ekonomiczne. Jak sądzono, chłopcy, którzy dorastali w klasztornych murach, wyzbywali się swej wolności jako osoby i jako ludzie zdolni do myślenia, po osiągnięciu dojrzałości mogli więc tylko stawać się zakonnikami. Choćby dlatego, że właściwie do niczego poza tym się nie nadawali.

Ojciec Henri dobrze zapamiętał dyskusje na ów temat, które prowadził ze swym kolegą, ojcem Stephane'em w tym czasie, gdy do Varnhem przybyła matka Arna, by - jak to sama określiła - „podać syna Bogu”, gwoli spełnienia Jego woli oraz odpokutowania własnych grzechów. Obaj zakonnicy już wtedy przewidzieli, że powstanie problem, i o tym rozmawiali. Doszli do wniosku, iż w wychowaniu Arna trzeba będzie bardzo popuścić cugle, aby mógł on



w przyszłości sprostać ewentualnemu Bożemu powołaniu jako człowiek niezłamany, swobodny w swym myśleniu.

To, co się stało, to, że Arn nie przyjął do wiadomości faktu istnienia między narodzinami a śmiercią czegoś takiego jak mutacja, wszak zjawiska oczywistego, było sygnałem ostrzegawczym. Z jednej strony, ów chłopiec okazywał się, w porównaniu z pospólstwem spoza klasztornych murów, człowiekiem lepiej wykształconym niż niejeden dorosły, przynajmniej tu, na barbarzyńskiej Północy - a jakże, właśnie tutaj. I pewno lepiej władał bronią niż ktokolwiek spośród ludzi świeckich.

Z drugiej strony, odznaczał się on skrajną naiwnością w swoich wyobrażeniach o świecie laickim. Nie potrafiłby nawet zasiąść bez odrazy do stołu razem ze swymi krajanami, spędzić wśród nich bodaj jednego dnia bez rozpoznania ludzkiej skłonności do kłamstw, i musiałby się przekonać, iż większość grzechów śmiertelnych, które pewno miał za swoiste odstrasające przykłady, za teoretyczne exempla przytaczane gwoli moralizowania, iż większość z nich popełniano na co dzień i czynił to w owym świecie każdy bez wyjątku.

O pysze wiedział Arn prawdopodobnie tyle, ile mógł pojąć dzięki przykładom czerpanym z Pisma Świętego. Obżarstwa nie potrafił pewno nawet sobie wyobrazić, nie pojmował przypuszczalnie także, czym jest chciwość, a gniew rozpoznawał niechybnie tylko jako gniew Boży, czyniąc własne rozumienie grzechu nader realistycznym. Zawiść była, o ile ojciec Henri mógł się zorientować, całkiem obca Arnowi, który wszak żywił jedynie podziw dla tych braci, co potrafili więcej niż on, oraz bezgraniczną wdzięczność za to, że dane mu było pobierać nauki. A obojętność? - jakże obcym musiało się owo pojęcie wydawać chłopcu, który wciąż zachowywał ogromny zapał, nie mogąc się doczekać kolejnego zatrudnienia czy kolejnej pory na lekturę.

Pozostawała, być może, jeszcze l u b i e ż n o ś ć, tyle że nieco przesadne wyobrażenia Arna o grzechu, jakiego dopuszczają się ponoć mali onaniści, czyniły odnośne przestrogi zbędnymi. Do pewnej ironii skłoniło ojca Henri wspomnienie tego, że w chwilach szczególnej skruchy Arn kojarzył mutację, czyli „karę Bożą”, ze strasznymi grzechami. W jego przypadku były one zresztą pewno dość monotonne. Arn modlił się o to, by mógł zachować głos, obiecując obfitą pokutę, a ponadto prosił modlitwą o uwolnienie od świądu, który czynił wyrzeczenie się grzechu tak trudnym.

Ojciec Henri - jak zawsze, mimo surowej miny, nieco rozbawiony - przemówił swego czasu szybciej niż pomyślał, i nagle, ku własnemu zdziwieniu, zbagatelizował problem zapewnieniem, że można by w prosty sposób zachować czystość głosu, a zarazem pozbyć się świądu, lecz owo remedium nie byłoby godne polecenia.

Arn nie zrozumiał intencji zakonnika, toteż wypadło ojcu Henri, zażenowanemu własną bezmyślnością, wyjaśnić, iż z wielu powodów nie kastrowano chłopców w klasztorach, choćby zachwycali swym śpiewem. I na zakończenie dopowiedział, że mutacja jest zjawiskiem zgodnym z naturalną, miłą Bogu kolejną rzeczą, a więc bynajmniej nie grzechem.

Ojciec Henri żywił nadal przekonanie, iż Bóg rzeczywiście powziął pewien szczególny zamiar wobec Arna. I za swoją powinność uważał przygotowanie Arna do tego, by sprostał przyszłemu powołaniu, i dopóty zamierzał przygotowywać chłopca, dopóki Bóg nie ujawniłby Swojej intencji. Wcale sobie nie przechwalając, mógł ojciec Henri twierdzić, że dokładał wszelkich starań, lecz oto okazywały się one, być może, niedostateczne. Prędzej czy później czekało Arna poznanie mniej pięknego Bożego świata, miał się przekonać, jak naprawdę wygląda świat *extra muros*. Bez tego poznania zachowałby dziecięcą niewinność po wiek męski, a przecież takim mężczyznom aż nazbyt często brakuje roztropności. Nie byłoby to pewno wedle Bożej woli.

\* \* \*

Gdy zachodnie wybrzeże Jutlandii zaczęły nękać jesienne sztormy, nastał czas żniwa. Zbieranie plonów z wraków było oczywiście czymś, co mieszkańcy rybackich wiosek na długim piaszczystym wybrzeżu uważali za swe odwieczne prawo, tymczasem król Waldemar zakazał przywłaszczania sobie tego, co znajdowano na wrakach, wszystkim oprócz mnichów z Vitsk0l. Król doszedł do wniosku, że tą decyzją upiecze więcej pieczeni przy jednym ogniu. Uprzątnięcie wraków nie było zajęciem całkiem bezpiecznym, bo oto ktoś, komu wydawało się, że zdobył obfity łup, mógł nierzadko mieć do czynienia z osobą, która pojawiała się tylko trochę później i twierdziła, że powinno dojść do podziału. Albo też bywało tak, iż chłopci i rybacy zabijali się nawzajem i wtedy bogactwo, którym bogowie morza często obdarzyli ludzi, szło na marne.

Teraz jednak, skoro król przypieczętował przywilej zbierania plonów z wraków, udzieliwszy go mnichom, powinien był zapanować ład i ci, którzy zajmowali się rybnymi żniwami, mieliby poświęcić się całkowicie temu właśnie,

zresztą ku powszechnemu pożytkowi. Wszak zakonnicy posiadali zgoła więcej rozumu niż wszyscy inni i wiedzieli, co stanowiło plon, umieli też zadbać o to, by dobrze posłużył. Tak więc i dary morza mogły być lepiej wykorzystywane. Ratowanie rzeczy z wraków przez mnichów, doprowadzanie ich do porządku i późniejsze sprzedawanie owych towarów ludziom mniej roztropnym było zapewne o wiele rozsądniejszą praktyką niż dopuszczanie do tego, żeby niejedna dobra rzecz uległa zniszczeniu czy marniała z powodu ludzkiej nieświadomości. Owa królewska innowacja mogła się wydawać mądrą zmianą.

Tyle że nie wszystkim mieszkańcom wybrzeża było w smak wyrzeczenie się odwiecznego zwyczaju.

Ten i ów mówił, że mnisi dopadali każdego napotkanego wraku jak egipska szarańcza i nie pozostawiali niczego, co oko mogłoby wypatrzeć. W takich stwierdzeniach była i prawda, i zawiść. Otóż mnisi z Vitskol na ogół nie musieli pracować w wielkim pośpiechu, chyba że narzucała go pogoda. Mogli oni pracować spokojnie, systematycznie i przy dziennym świetle, a potrafili też, inaczej niż wszyscy inni mieszkańcy wybrzeża, spożytkować, cokolwiek znajdowali, a nie tylko ograbić rzeczy, które wydawały się najkosztowniejsze i które najłatwiej było przemieścić z mielizny na ląd. Zakonnicy ściągali każdą rzecz znalezioną do swej Szkoły Życia, a więc kawałki drewna na opał, całe poszycia pokładów oraz maszty, jako budulec dla własnych skutników, wełnę dla przyklastrotnych przędzalni, ziarno siewne, także żyto i pszenicę na sprzedaż, wyprawione i niewyprawione skóry dla warsztatów kuśnierskich, biżuterię, wszelkie kosztowności, przesyłane do Rzymu, dla wszystkiego znajdowano zastosowanie. Ponadto zakonnicy czynili coś, na co dawniejsi grabieżcy wraków nigdy się nie zdobywali. Każdy napotkany zmarły oczekiwał się chrześcijańskiego pochówku.

Na takie zbieranie plonów potrzebowali mnisi z Vitskol czasami aż dziesięciu dni. Większość rzeczy przewożono ciężkimi wozami zaprzężonymi w woły i obfitość ładunku sprawiała, że powrót trwał dwa razy dłużej niż dojazd do brzegu.

W tych wyprawach zawsze brał udział brat Guilbert, zwłaszcza ze względu na jego ogromną siłę, która mogła się przydać, ale i dlatego, że razem z Arnem potrafili w krótkim czasie pokonywać konno długie odcinki plaży. Dotarłszy do nich, ekspedycja z *Vitae Schola* zakładała na brzegu obóz, po czym Arn i brat Guilbert jechali w dwóch kierunkach dla zasięgnięcia języka co do dalszego ciągu podróży. Zawsze był tam oczywiście także brat Guy le Breton, nikt

inny bowiem w Szkole Życia nie wiedział tyle, co on, o morzu, jego niebezpieczeństwach, owocach i kaprysach pogody. Inni bracia jeździli według kolejności ustalonej przez ojca Henri. Niemal wszyscy wyrażali chęć, bo owe wyprawy nad morze okazały się całkiem nowym zajęciem, a poza tym dobrze było popatrzeć na morze i doświadczyć tego, iż Bóg jedną ręką odbierał coś żeglarzom, aby drugą ręką obdarzyć tym ludzi, którzy najpilniej trudzili się w Jego winnicy.

Arn przyjmował swój stały udział w owych wyprawach ze zdwojoną wdzięcznością. Mógł z szybkością, jaka jemu odpowiadała, jeździć na Chamsiinie plażami, które nie miały końca, i to tuż przy brzegu, gdzie rozbijały się fale, piasek zaś był mokry, ale też zbity i równy, dzięki czemu Chamsiin nie grzązł, widział wszystko przed sobą i mógł pędzić w tak prostej linii, że niezbyt ciężki jeździec w siodle czuł, iż nie była to już zwykła jazda, lecz przemieszczanie się jakby we śnie, ponieważ przez nadzwyczajną długość końskich skoków unoszenie się i spadanie siodła stawało się ledwo wyczuwalne. Arn zajmował się więc czymś, co sobie upodobał. A zarazem wykonywał na pożytek braci pewną ważną pracę, która znaczyła nie mniej niż dawniej śpiew.

W drugim roku zwiadowczej służby Arna, przydatnej rym, co przejmowali rzeczy z wraków, wydarzyło się coś niesłychanego. W rzadkim lesie sosnowym, o ćwierć stajania od brzegu morza, mnisi ze Szkoły Życia zostali w drodze powrotnej napadnięci przez pijanych zbójców. Nie byli to tacy rozbójnicy, którzy stale grabili na drogach, raczej zawiedzeni rabusie rzeczy z wraków, osiadli w jednej z okolicznych wiosek, nazbyt skorzy do picia piwa i zbulwersowani tym, że oto tłuści mnisi okradali ich z czegoś, co powinno by przypaść ludziom znad morza. Owi zbójcy byli jednak uzbrojeni w kopie i miecze, a jeden z nich, który dosiadał krzepkiego skandynawskiego konia, wymachiwał groźnie starodawnym toporem o długim ostrzu.

Ciężkie dębowe wozy z kołami o stalowych obręczach zatrzymały się jękliwie. Mnisi nie wyglądali na skorych do ucieczki, bo pochylili głowy w modlitwie. Człowiek z toporkiem nie bez trudu skierował konia ku bratu Guilbertowi, który jechał na czele kawalkady i tuż za sobą miał Arna. Po chwili chłopiec wziął przykład z brata Guilberta, zdjął kaptur i też skłonił głowę w modlitwie, choć nie był pewien, o co trzeba by się modlić. Ale oto człowiek z toporkiem zażądał krzykiem, zwróciwszy się do brata Guilberta, aby wszyscy odstąpili od wozów, albowiem przybyli prawowici właściciele bogactw morza. Brat Guilbert nie odpowiedział, ponieważ dalej się modlił, a to

wytrąciło z równowagi i rozeźliło człowieka z toporem tak, iż bardzo brutalnym tonem stwierdził, że żadne modlitwy tu nie pomogą i że wozy zostaną natychmiast rozładowane.

Wówczas padła spokojna odpowiedź brata Guilberta, który wyjaśnił, że oczywiście nie modlił się o coś tak mało ważnego, jak zachowanie rzeczy z wozów, lecz z tego powodu, iż duszom tamtych ludzi, które pobłądziły, na resztę doczesnego żywota groziło nieszczęście. Człowiek z toporem zdumiał się w pierwszej chwili, ale zaraz zapalał jeszcze większym gniewem, pozostając na koniu, powtórzył żądanie i z rozmachem zamierzył się na brata Guilberta.

Arn, który siedział na swoim Chamsiinie ledwie o kilka metrów dalej, instynktownie przewidział reakcję zakonnika i nie pomylił się, przynajmniej co do pierwszej decyzji brata Guilberta. Gdy pijany grabieżca rzeczy z wraków uniósł topór, ujął go obiema rękami i skierował ukośnie w dół, dla zadania ciosu, który zabiłby, jeśli okazałby się celny, brat Guilbert dwoma prawie niedostrzeżalnymi ruchami nóg sprawił, że Nasir z szybkością węża uskoczył w bok i zrobił krok w tył. Człowiek z toporem trafił więc w próżnię i jego własny ruch wysadził go z siodła, po czym ów zbójca wykonał w powietrzu półobrót i upadł na wznak.

Gdyby to były wspólne ćwiczenia Arna i brata Guilberta, i Arn wylądowałby na ziemi, to już po chwili poczułby chłopiec stopę zakonnika na ręce dzierżącej miecz, który zostałyby mu odebrany, a samego Arna czekałaby przygana.

Tymczasem brat Guilbert splótł ręce przed sobą, ledwo przytrzymując cugle małymi palcami.

Upokorzony zbójca miotał przekleństwa, kiedy się podnosił z upadku, znów ujął topór i zaraz przystąpił do ataku pieszo, który skończył się tak samo. Ów człowiek doskoczył do brata Guilberta, zamierzył się zamasyścić i po chwili, padając pod własnym ciężarem, uświadomił sobie, że znowu zadał cios w próżnię. Jego wspólnicy nie mogli powstrzymać się od śmiechu, a to go jeszcze bardziej rozżłościło.

Kiedy po raz trzeci ujął topór, brat Guilbert uniósł rękę w uspokajającym geście i wyjaśnił, że nikt nie przeciwstawi się kradzieży, jeśli tylko o to szło napadającym. Ale też, po raz ostatni, przestrzegł przed czymś takim.

- Możesz wybrać - mówił spokojnie zakonnik, pozwolewszy Nasirowi dreptać w miejscu, jakby chciał dać do zrozumienia, że następne ataki byłyby daremne. - Albo ukradniecie to, po co przybyliście. My nie możemy i nie

chcemy powstrzymywać was przemocą. Pomyśl jednak, iż w takim przypadku wszyscy zaprzysięgniecie się szatanowi i po prostu narazicie się, jako złoczyńcy, na surową karę ze strony króla. Albo też się opamiętacie i wróćcie do domów, a my wam przebaczymy i będziemy się za was modlić.

Wszakże człowiek z toporem nie chciał tego słuchać. Głupiec powtórzył, iż dobytek z wraków od niepamiętnych czasów należał do ludzi z wybrzeża, a tymczasem ci, co stali za nim, potrzęsali już to kopią, już to - mało który - mieczem, już to widłami, potwierdzając swą zaciekłość, jeden z nich nagle rzucił swoim oszczepem w brata Guilberta.

Była to broń ciężka i powolna, ze standardowym szerokim zakończeniem, Arn zdążył więc przewidzieć, co nastąpi. Brat Guilbert uchylił się nieznacznie, pozostając w siodle, chwycił oszczep w powietrzu i zaraz skierował go w stronę tamtej gromadki, jakby przyszło mu na myśl, że należałoby zaatakować. Arn zobaczył białka szeroko otwartych, pewno ze strachu, oczu zbójców. Ale brat Guilbert zaraz oparł oszczep o swe kolano, połamał go, jakby to była trzcinka, po czym pogardliwym gestem odrzucił kawałki oszczepu na ziemię.

- Jesteśmy sługami Pana, nie możemy z wami walczyć i wy wiecie o tym!  
- wykrzyczał. - Jeśli wszelako koniecznie chcecie siebie unieszczęśliwić na resztę nędznego żywota doczesnego, to ukradnijcie, co pragniecie ukraść. My nie możemy was ustrzec przed tym głupstwem.

Przez chwilę się naradzano. Człowiek z toporkiem chwiejnym krokiem zawrócił do swoich kompanów i doszło tam do gwałtownej wymiany zdań. Brat Guilbert zebrał wokół siebie braci zakonnych razem z Arnem i polecił, by w przypadku użycia przemocy przez tamtych każdy salwował się ucieczką. Nic innego nie można było zrobić. Arn został surowo pouczony, iż powinien utrzymywać bezpieczny dystans do zbójców i w razie bójki niezwłocznie odjechać do domu, by opowiedzieć o zdarzeniu.

Problem zbójców polegał na tym, że zapewne sądzili, iż mogliby wykraść tyle z ciężkiego ładunku, ile chcieli. Ale nie wchodziło w rachubę uśmiercenie wszystkich świadków, tak jak dawniej zabijano nieszczęsnych rozbitków, którzy byli przekonani, że ocaleli, skoro znaleźli się na plaży, i zaraz dokonywali ostatniego odkrycia w życiu - iż wyratowali ich grabieżcy wraków. Tu zaś nie sposób było osiągnąć dwóch jeźdźców w zakonnych szatach. Zbójcy postanowili jednak się obłowić i mieli nadzieję, że skoro nikt nie zostanie zabity, nie spotka ich królewska zemsta, wszak tylko ujmą obciążenia wozom opasłych zakonników.

I na tym stanęło. Zbójcy wzięli, cokolwiek zdołali unieść albo co uznawali za kosztowne, mnisi zaś stali w pewnej odległości od tamtych i modlili się za dusze owych potępieńców. Gdy już wozy zostały ograbione i rozwrzeszczani zbójcy odeszli, mnisi rozmieścili inaczej pozostały ładunek i ruszyli w dalszą drogę powrotną - do Szkoły Życia.

Po ich powrocie ojciec Henri wystosował skargę do króla Waldemara, jako że wykroczone przeciwko nadanemu przezeń przywilejowi. Niebawem posłano najemnych wojów w celu schwycenia winnych, co nie było trudne. Żołdacy przywieźli do Szkoły Życia większość wykradzionych rzeczy. Wszyscy zbójcy zostali powieszani.

Ów incydent mocno oddziaływał na Arna, dał mu wiele do myślenia. Żał mu było zbójców, którzy dopuścili się świadomego grzechu pazerności i sami siebie rychło skazali na potępienie, i cierpieli oto wieczne męki. Potrafił zrozumieć ich urazę, przyznawał, że ograbianie wraków było ich prawem, z którego mieszkańcy wybrzeża korzystali od niepamiętnych czasów, toteż bolała ich pewnie utrata owego źródła zysku na rzecz cudzoziemskich mnichów. Zbójcy byli też pijani. Choć Arn niewiele wiedział o pijaństwie - nielicznym braciom zdarzało się przekroczyć miarę w picciu wina, przy czym potwierdzali tę prawdę, iż tam, gdzie wchodzi wino, tam znika świadomość, i miesiącami pokutowali później o chlebie i wodzie - pochlebiał on sobie, iż pojął, że człowiek pijany nie w pełni jest świadom swej odpowiedzialności.

Arn rozumiał więc także postępowanie brata Guilberta. Ci, co atakowali, byli rybakami, nieobeznanymi z posiadaną bronią - tak przynajmniej sądził Arn. Brat Guilbert mógł po prostu odebrać im broń i zmusić ich potem do ucieczki. Wówczas nie zdołaliby dokonać kradzieży, a królewscy żołdacy nie musieliby ich wytropić i powiesić. Czyż prawdziwa miłość bliźniego nie każe, jeśli to możliwe, łagodzić skutków popełnianych przezeń głupstw?

Z samym bratem Guilbertem nie śmiał Arn o tym rozmawiać, a przecież był on pewno przekonany, iż postąpił słusznie, zaniechawszy odwodzenie owych potępieńców od dalszych głupstw.

Arn poruszył tę kwestię w rozmowie z ojcem Henri i to w taki sposób, że przyznał się do nieustających modlitw za dusze powieszonych zbójców.

Ojciec Henri nie miał żadnych zastrzeżeń do tego, wręcz przeciwnie, uznał, że Arn przejął się bardzo Jezusowymi zaleceniami co do wzorowego życia tu, na ziemi. Było to więc tylko godne pochwały.

Bardziej zaniepokoiła ojca Henri ta okoliczność, iż Arn jednak nie potrafił sobie wytłumaczyć niedopuszczalności *użyciu* przemocy przez brata Guilberta. Zakonnik, który zabiłby innego człowieka, skazałby siebie samego na potępienie. „Nie zabijaj” to wszak przykazanie, które wyklucza jakiegokolwiek kompromisy.

Arn zwrócił uwagę na to, iż w Piśmie Świętym nie brak nakazów bezsensownych. Wspomniał o czymś takim, jak daremne zachęcanie Duńczyków do jedzenia małży, co próbował osiągnąć brat Guy le Breton. Ledwo przybył on do klasztoru *Vitae Schola*, okazało się, że jest ich w głębi fiordu pod dostatkiem. Dotychczas jednak tylko bracia zakonni raczą się potrawami z małży, przyrządzanymi na różne wymyślne sposoby, albowiem Duńczycy z okolic Limfjorden stosują się bodaj do wersetu 14,8 w piątej księdze Mojżeszowej: „A nie będziecie spożywali nic z tego, co nie ma płetw i łusek, uważać to będziecie za nieczyste”.

Ojciec Henri poprawił Arna, wskazując na werset 14,10 w tejże księdze. Przypomniawszy też, iż w wersecie 14,8 zawarto zakaz spożywania wieprzowiny i mięsa zajęcy. Dodał potem, że właściwie idzie o to samo albo przynajmniej ma się tu do czynienia z odwrotną stroną tegoż problemu, bo zapewne Duńczycy nie są przeciwni zjadaniu prosiąt i zajęcy. Jakkolwiek jest - niechże Arn to teraz przyzna - istnieje wielka różnica między różnymi zakazami tego rodzaju a zakazami poważnymi. Spośród tych pierwszych znalazłoby się wszak w Piśmie Świętym niemało wręcz zabawnych, jak zakaz szczególnego strzyżenia włosów na czas żałoby, nadto są tam przepisy niemądre i cechujące się niechrześcijańską surowością, jak nakaz ukamienowania tego, kto powie cokolwiek przeciw matce czy ojcu.

Ważna jednak jest - to trzeba powtórzyć - nabyta umiejętność rozumienia Pisma Świętego i w pojmowaniu go należy się oczywiście wzorować na samym Panu Jezusie. To On wskazał nam, jak powinniśmy ów tekst rozumieć. Krótko mówiąc, zakaz zabijania jest jednym z najsurowszych.

Ale Arn się nie poddawał. Z logiką, którą przez większą część jego życia osobiście wtłaczał mu do głowy ojciec Henri, chłopiec stwierdził, że list też może zabić, nie inaczej niż miecz. Pisząc do króla Waldemara, ojciec Henri skazał owych nieszczęsnych zbójców, którzy niczego nie zyskali, a kara spotkała ich, ledwo król otrzymał list ze Szkoły Życia.

Zabić można też przez poniechanie, przez rezygnację z przemocy. Czyż brat Guilbert nie popełniłby lekkiego grzechu w porównaniu z wieloma



innymi, jeśli by pobił dwóch czy trzech spośród owych nieszczęśników tak do-  
tkliwie, że znaleźliby się na ziemi?

Arn był zdziwiony tym, że ojciec Henri mu nie przerwał i nie zganił go, lecz zatoczył ręką niemal koło, dając tym znak, iż oczekiwał dalszego ciągu lo-  
gicznych wniosków Arna.

Gdyby zatem brat Guilbert popełnił lekki grzech, który bez trudu od-  
pokutowałby w ciągu kilku miesięcy, gdyby wygarbował skórę paru zbójcom,  
skłoniwszy w ten sposób pozostałych do ucieczki, to efekt byłby pozytywny.  
Zbójcy okazaliby się nie zbójcami, lecz po prostu zgrają moczymordów, którzy  
postanowili się wygłupić. Zostaliby oni uchronieni przed kradzieżą, nie zawi-  
śliby, a ich dzieci nie stałyby się pólsierotami, połowice zaś nie byłyby jeszcze  
wdowami. Jeśli by rozważyć wszystkie „za” i „przeciw” w owym równaniu, to  
nasunąłby się jednak wniosek, iż brat Guilbert miałby dobrą intencję, gdyby bez  
gniewu uciekł się do przemocy. A skoro tak, to nie postąpiłby wszak źle? Do te-  
go tematu powracał zresztą niejedną raz sam święty Bernard.

Arn zamilkł. Otóż ogarnęło go tak wielkie zdziwienie, iż nie potrafił już  
kontynuować swego logicznego wywodu, zauważył mianowicie, że ojciec Hen-  
ri pograżył się we własnych myślach, o czym świadczyło i zmarszczone czoło, i  
przyjęcie pozy, którą zazwyczaj dawał do zrozumienia, że próbował zgryźć ja-  
kiś twardy orzech i nie chciał, by mu w tym przeszkadzano.

Ponieważ ojciec Henri nie odprawił Arna, czekał on cierpliwie i długo.  
W końcu zakonnik uniósł wzrok i dodał chłopcu otuchy swym uśmiechem,  
poklepał go po rękę i pokiwał głową na znak aprobaty, po czym swoim zwycza-  
jem długo odchrząkiwał, zanim przystąpił do objaśnienia. Arn czekał w napię-  
ciu.

- Zdumiewasz mię, młody człowieku, tą błyskotliwością okazaną w dys-  
kursie, który chyba nie był dotąd twoją najmocniejszą stroną - zaczął ojciec  
Henri. - Poruszyłeś dwa problemy, jako że widać tu powiązania. Z formalnego  
punktu widzenia słusznie zwróciłeś uwagę na to, że lekki grzech brata Guilberta  
mógłby zapobiec czemuś gorszemu. A jednak jesteś w błędzie. Jeśli by brat Guil-  
bert był świadom następstw w owej chwili, gdy musiał wybierać między zasto-  
sowaniem przemocy, najgorszym grzechem, jakiego właśnie on mógłby się do-  
puścić, a postępowaniem, na które się zdecydował, to wówczas, i jedynie pod  
takim warunkiem, twoje rozumowanie okazałoby się adekwatnym. Bez złośliwo-  
ści wobec ciebie muszę wskazać, iż formalna strona twego logicznego wywodu,  
którą sam Arystoteles pewno by pochwalił, została

oparta na założeniu, że brat Guilbert nie jest tym, kim jest, a więc grzesznym śmiertelnikiem, lecz okazuje się Bogiem, zna prawdę i całą przyszłość. Mamy tu wszakże do czynienia z budującym przykładem, który nader wyraźnie pokazuje, jak niezręcznie my, ludzie, potrafimy działać, gdy usiłujemy postąpić słusznie, bo wedle sumienia. Doprawdy wielce budujący to przykład.

- Niezbyt budujący dla nieszczęśników, którzy popadli w większy grzech, zostali powieszani i oto doświadczają wiecznych mąk w piekle - wyrzekł pół głosem nieprzekonany Arn i zaraz ojciec Henri ukarał go za tę impertyncję, przykazawszy ostrym tonem, by zmówił dziesięć razy „Ojcze nasz”.

Gdy Arn modlił się posłusznie, ojciec Henri ucieszył się wolnym czasem, który mógł, zresztą z nie całkiem spokojnym sumieniem, poświęcić na dalsze rozmyślanie, tyle że, ku swemu przerażeniu, doszedł do wniosku, iż sam stracił pewność co do własnego kontrargumentu.

Czy nie przesadził, mówiąc, że brat Guilbert musiałby być Bogiem, aby przewidzieć, iż przemoc zastosowana z umiarem, bez gniewu, mogła uczynić więcej dobrego w owej sytuacji, niż łagodność okazywana zazwyczaj przez Jezusa Chrystusa?

Czy nie jest raczej tak, iż brat Guilbert, który we wcześniejszym życiu, mając Boga po swojej stronie, mógł skracać o głowę każdego, kto w jego osobie atakował obrońcę majątku Kościoła, teraz narzucił samemu sobie tak surową pokutę za grzechy popełnione podczas świętej wojny, że we wszelkich sytuacjach wyrzeka się przemocy? Czy nie jest po prostu tak, iż brat Guilbert został pozbawiony albo sam siebie pozbawił możliwości refleksji w tego rodzaju przypadkach, okazując ślepe posłuszeństwo własnemu nakazowi pokuty?

Jeśli to jest prawdą, trzeba brata Guilberta oczyścić z zarzutów i uznać, iż nie popełnił grzechu swoim postępowaniem. W takim jednak przypadku mały Arn istotnie po raz pierwszy dał dowód teologicznej błyskotliwości oraz, co jeszcze lepsze, autentycznego przejęcia się wiarą.

Większy problem spośród tych, które poruszył Arn, okazywał się zarazem łatwiejszy do rozstrzygnięcia od razu. Do drugiego można by powrócić z tydzień później, kiedy ojciec Henri starannie przemyśli go i będzie miał za sobą stosowne lektury.

- Zajmiemy się teraz wtórym problemem wśród tych, które cię nurtują - ostentacyjnie życzliwym tonem odezwał się ojciec Henri do Arna, gdy ten uporał się z dziesięciokrotnym zmówieniem Modlitwy Pańskiej. - Święty Bernard zwraca bardzo słusznie uwagę na to, iż coś, co czynimy w dobrej

intencji, ty wiesz, co mam na myśli, darujemy sobie tedy definicje, otóż coś podjętego w dobrej intencji nie może prowadzić do złego. Gdzie ten pewnik ma największe znaczenie praktyczne?

- Oczywiście odnośnie do krucjat - odrzekł posłusznie Arn.

- Zgoda! A tymczasem krucjaty przyczyniają się do śmierci wielu Saracenów, nieprawdaż? Czy zatem nie obowiązuje zakaz zabijania? I jeśli nie, to dlaczego?

- O nieobowiązywaniu zakazu świadczą wszak fakty oraz ta okoliczność, iż dzieje się tak z błogosławieństwem Ojca Świętego, który jest w Rzymie - odpowiedział ostrożnie Arn.

- Tak, tyle że w swym dowodzeniu stworzyłeś błędne koło. Pytałem: dlaczego?

- Ponieważ musimy mniemać, iż to, co dobre, okazuje się czymś bardzo dobrym, iż dobry efekt zachowania Grobu Świętego dla wiernych znacznie przeważa nad złem, jakim jest zabijanie Saracenów - padła wypowiedziana niepewnie riposta Arna.

- Tak, jesteś na właściwym tropie - potwierdził pełnym refleksji skinieniem ojciec Henri. - Wszak nawet wówczas, gdy Pan Jezus przepędzał przekupniów ze świątyni, ani myślał On o uśmiercaniu ich, czy tak?

- Owszem, jednakowoż mógł on użyć dokładnie tyle siły, ile było potrzeba, gwoli okazania gniewu Jego Ojca, który to gniew różni się zgoła od naszego. Oczywiście usunął On przekupniów ze świątyni. Nie musiał ich uśmiercać, wydaje mi się, iż brat Guilbert...

- Otóż to! Powróćmy teraz do naszej kwestii - przerwał mu brutalnie ojciec Henri, który za swą maską surowości skrywał jednak uśmiech, wywołany tym, iż Arn nagle, jakby całkiem przypadkowo, natrafił na argument nieomal nie do zbiccia, którym mógł bardziej przekonująco uzasadnić swe wcześniejsze stwierdzenie, iż brat Guilbert powinien był zastosować ograniczoną przemoc, po prostu postąpić tak, jak Pan Jezus w świątyni.

- Czy Pan Jezus odnosił się niechętnie do tych, co wojowali, czy ich potępiał za to, iż byli wojami? - spytał, umyślnie spuściwszy z tonu, ojciec Henri.

- Nic mi o tym nie wiadomo... - po chwili zastanowienia odparł Arn. - Przypomina się scena z monetą. „Oddaj cesarzowi co cesarskie, a Bogu, co...”, tak chyba to brzmiało. I coś podobnego mamy, zdaje się, w wersecie 3,14 Ewangelii Łukaszowej: „Pytali go też i żołnierze: «A my, co mamy czynić?». On im odpowiadał: «Nad nikim się nie znęcajcie i nikogo nie uciskajcie, lecz

poprzestawajcie na swoim żołdzie»". Jeśli poza służbą żołnierz okazuje się człowiekiem honoru, to... pewno nie czyni źle, służąc?

- Zgoda! A cóż czynią żołnierze?

- Zabijają ludzi. Tak jak owi żoldacy, którzy się zjawili po twym piśmie do króla, ojcie. Cóż jednak mają z nimi wspólnego żoldacy i królowie gdzieś w świecie?

- Zadałeś wielce interesujące pytanie, synu. Pytasz bowiem po prostu o to, czy zdarzają się sytuacje, w których tacy jak ty albo ja mieliby prawo zabijać! Widzę, żeś niepewny, odpowiem ci tedy, nim sam wyrzekniesz coś głupiego, czego mógłbyś niepotrzebnie żałować. Otóż jest pewien wyjątek. Pan Jezus miał dzięki Swej niezmiernej łagodności oczywiście to na myśli, iż nie powinniśmy zabijać innych dzieci Bożych, choćby to byli rzymscy albo też duńscy żoldacy. Istnieje wszakże lud nieobjęty zakazem pochodzącym od Pana, pewnie odgadujesz, który?

- Saraceni! - natychmiast odpowiedział Arn.

- I znów się zgadzam z tobą! Albowiem Saraceni są najohydniejszą rasą, jaką szatan osiedlił tu, na ziemi. To nie ludzie, to diabły w ludzkiej postaci, nie wzdragają się oni nadziewać chrześcijańskich niemowląt na swe dzidy i piec ich nad ogniskami, iżby sycić się nimi; znani są z rozpustnego żywota, z picia bez umiaru, jak też z nieustannego uprawiania sodomii oraz obcowania ze zwierzętami. Jest to lud wyrodny i każdy zabity Saraceni stanowi widok miły naszemu Panu, ten zaś, kto tak postępuje, kto uśmierca Saraceni, dokonywa czynu świętego i zapewnia sobie wstęp do rajów!

Ojciec Henri objaśniał niegodziwość Saraceni z wielką ekscytacją, którą coraz bardziej zdumiewał Arn. Chłopcu nie mieściło się w głowie to, co słyszał, nie potrafił sobie wyobrazić raczenia się przez owe ohydne istoty małymi chrześcijańskimi dziećmi, nadziewanymi na dzidy, nie pojmował, jakim sposobem takie diabły mogły z postaci przypominać ludzi.

Łatwo mu wszakże było pojąć, iż wyplenienie takiego zła, także z udziałem braci zakonnych, byłoby dziełem miłym Bogu. Doszedł ponadto do wniosku, że musiała istnieć ogromna różnica między tamtą duńską hałastrą a Saraceni. W pierwszym przypadku obowiązywało - bez wyjątków - „Nie zabijaj”. W drugim przypadku zatem coś wręcz przeciwnego.

Tyle że na Północy taki prosty i oczywisty wniosek miał niewielkie znaczenie praktyczne.

\* \* \*

W latach bez śpiewania Arn zmieniał się nie mniej niż jego zajęcia. Czas wcześniej spędzany z bratem Louisem i chórzystami, a było to kilka godzin każdego dnia, stał się oto czasem poświęcanym na zajęcia przy brzegu, pod opieką brata Guya. Szybko nauczył on chłopca poznanych w rodzinnych stronach sposobów wiązania sieci, łowienia ryb i kierowania małymi łodziami; dla bezpieczeństwa zadbał brat Guy także o to, żeby Arn nauczył się nurkować i pływać.

Pod opieką brata Guilberta był Arn już tyleż pracownikiem, co uczniem. Wykonywał coraz trudniejsze zadania w kuźniach i poszerzał się w ramionach niemal tak szybko, jak rósł w górę. Opanował on większość rutynowych czynności kowalskich, mógł więc wytwarzać rzeczy dobrej jakości i nadające się do sprzedaży, jedynie w wykuwaniu mieczy pozostawał jeszcze daleko w tyle za bratem Guilbertem.

Każda z klaczy - i Khadija, i Aisza - zdążyły wydać na świat po troje źrebiąt, Chamsiin zaś wyrósł na ogiera nie mniej wytrzymałego niż Nasir. Właśnie do Arna należało doglądanie wszystkich koni zamorskich, *de l'outr-mer*, ujeżdżanie młodych koni, które się pojawiały, i pilnowanie, by Nasir i Chamsiin były starannie izolowane w swoich zagrodach i nie parzyły się ze skandynawskimi klaczami w innej kolejności niż ta, którą po dokładnym zbadaniu sprawy ustalił brat Guilbert.

Wielkie nadzieje na zysk, jakie ów zakonnik wiązał z tymi końmi *de l'outr-mer*, spełniały się jednak bardzo powoli. Duńscy wielmoże, którzy odwiedzali klasztor z myślą o zakupie mieczy dla siebie oraz ziół dla swych połowic, przyglądali się nieufnie owym obcym koniom. Twierdzili, że to zbyt chude zwierzęta i że pewno nie na wiele je stać. Brat Guilbert nie potrafił z początku traktować takich zastrzeżeń poważnie i nawet podejrzewał, że panowie raczyli sobie z niego pokpiwać. Gdy pojął, iż owi barbarzyńcy byli szczerzy, i gdy czasem z dumą demonstrowali swoje zwierzęta, ich zdaniem konie z prawdziwego zdarzenia, bardzo się przejął.

W końcu ów stan rzeczy sprawił, że brat Guilbert obmyślił fortel, który, i owszem, był skuteczny, ale przyprowadził go o wyrzuty sumienia i narzucił skrucę. Gdy jeden z Duńczyków zademonstrował swego skandynawskiego konia, zwierzę pulchne i narowiste, i wśród jego zalet w porównaniu z końmi „chudymi” wskazał nie tylko siłę, lecz szybkość ponad tą, którą osiągały rumaki cudzoziemskie, wpadł brat Guilbert na swój znakomity pomysł. Zaproponował czcigodnemu duńskiemu rycerzowi wyścig do brzegu i z powrotem do klasztoru,

przy czym rywalem byłby tylko mały chłopiec, podopieczny zakonników, który dosiadłby jednego z nowych koni. I jeśliby czcigodny duński pan zajął pierwsze miejsce, to nie musiałby płacić za nabyty właśnie miecz; osoba świecka w takiej sytuacji uległaby zapewne pokusie postawienia przeciwnego warunku, iżby duński rycerz w przypadku przegranej poczuł się zobowiązany do kupienia czegoś, na przykład konia. Wszakże gra o pieniądze byłoby nazbyt wielkim grzechem. A zaproponowany dopiero co zakład nie był grą, skoro wynik został przesądzony. I udawanie, że nie tak się sprawa miała, też okazałoby się grzechem, tyle że mniejszym niż gra, w której szło o pieniądze, lecz mimo to brat Guilbert narzucił sobie pewną pokutę w następnym tygodniu.

Ale oto Arn zrobił wielkie oczy, kiedy usłyszał, że akurat na Chamsiinie miały się ścigać ze starym tłuściochem dosiadającym konia, który wyglądał tak jak ów mężczyzna. Arn nie wierzył własnym uszom, ale przecież musiał okazać posłuszeństwo. Gdy już obaj jeźdźcy dosiedli pod klasztornym murem swoich koni, Arn przez swe podenerwowanie po łacinie, choć zawsze rozmawiali ze sobą po francusku - zapytał brata Guilberta, czy trzeba jechać jak najprędzej, czy raczej na tyle spokojnie, by ów podobny do wielkiego serdelka koń mógł nadażyć. O dziwo, brat Guilbert przykazał mu surowo, by jechał galopem. Chłopiec jak zawsze okazał się posłusznym.

Był z powrotem pod klasztorem, gdy duński jeździec miał za sobą dokładnie połowę wyznaczonej trasy i właśnie zawracał, dotarłszy do brzegu.

Takim to sposobem różni wielmoże z Ringsted, którzy upodobali sobie szybką jazdę, wyścigi oraz zakłady na nich, przekonali się jednak do tego, że chude szkapy z Vitsk0l można było rozsądnie wykorzystywać. Później słuchy o tym dotarły do Roskilde i już niebawem konie ze Szkoły Życia zaczęły przynosić spore dochody. Ale nie tak wyobrażał sobie rozwój wydarzeń brat Guilbert.

W konnych ćwiczeniach z Arnem, którymi brat Guilbert kierował, nie chodziło już tylko o zachowanie równowagi i szybką jazdę, lecz o zgoła kunsztowniejsze popisy. Dzień w dzień spędzali kilka godzin w jednej z zagród dla koni i okrążali się nawzajem na różne sposoby, cofali konie, unosili je i obracali w powietrzu, uskakiwali w bok albo też łączyli to zbaczenie z ruchami do przodu i do tyłu, uczyli konie rozpoznawania sygnałów zachęcających do uderzenia przednimi kopytami z równoczesnym skokiem naprzód albo do wierzgnięcia obiema nogami w tył, po którym następował skok w bok. Taki kunszt podobał

się Arnowi, gdy wszystko potrafił wykonać po myśli brata Guilberta, ale zdarzało mu się też narzekać na pewną jednostajność. Przynajmniej w ćwiczeniach obowiązkowych. Więcej emocji budziły całkiem swobodne ćwiczenia, które polegały na wzajemnych atakach z drewnianymi mieczami czy lancami w rękę.

Potem trzeba było wykonywać o wiele trudniejsze ćwiczenia w atakowaniu mieczem i odpieraniu ataków; od dawna zresztą Arn używał prawdziwego miecza, ze stali. A że brat Guilbert bardzo rzadko chwalił Arna i tym częściej krytykował, i ponieważ Arn nigdy nie oglądał nikogo innego z mieczem prócz brata Guilberta, upokarzał ten chłopiec samego siebie przekonaniem o swym braku umiejętności. Nie poddawał się jednak, lecz wytrwale pracował także w tej winnicy Pańskiej. Zwątpienie byłoby ciężkim grzechem.

Zgoła inaczej przedstawiała się jego praca na brzegu, pod okiem brata Guya. Ów zakonnik wyrzekł się już co prawda niewątpliwie daremnych prób zachęcenia Duńczyków z okolic Limfjorden do tego, by jadali małże. W porównaniu z pierwotnymi zamiarami ograniczył ich połowy do znikomych ilości, zaspokajając tylko potrzeby prowansalskich kucharzy z *Vitae Schola*.

Nie oczekiwano od brata Guya tego, by przysparzał Szkole Życia dochodów, lecz winien był upowszechniać błogosławieństwa cywilizacji, świecąc przykładem. Za jego pracą kryła się podobna intencja, jak za pracą na roli, którą zajmowali się niektórzy z braci, tyle że nie w tym celu, by koniecznie coś sprzedawać, lecz dla uczenia ludzi. Na sam początek spotkało brata Guya całkowite niepowodzenie, bo nie potrafił przekonać ich, że jedzenie małży jest zaiste błogosławieństwem.

Lepiej powiodło mu się ze sprzętem rybackim i w skutnictwie. Gdy zobaczył prosto zakończone ościenie rybaków z Limfjorden, zamówił poprzez brata Guilberta nieco ościeni z haczykami na końcach i rozdał je. Kiedy zaś odkrył, że ludzie z Limfjorden łowili zawsze tylko w jednym miejscu i jedynie wewnątrz fiordu, zaczął on wyrabiać przenośne sieci oraz włóki. Większe oka i cieńszy materiał nadawały jego sieciom giętkość, której brakowało sieciom rybaków z Limfjorden.

Arn uczył się przez kilka lat sztuki wiązania sieci i, jak twierdził brat Guy, można by pomyśleć, że wyrabiał je chłopiec z jego rodzinnych stron. Nie była to dla Arna ciężka praca, a po prostu monotonna.

W dość krótkim czasie wszystko ułożyło się właściwie po myśli brata Guya. Z wiosek dookoła klasztoru *Vitae Schola* przybywali już mieszkańcy Limfjor-

den, żeby z ciekawością, ale też z początku cokolwiek nieufnie, popatrzeć, jak można by wykorzystywać przenośne sieci, a brat Guy gotów był oczywiście, mając Arna za tłumacza, po chrześcijańsku podzielić się swą wiedzą.

Bywało i tak, iż brat Guy zostawiał Arna na plaży, przy łodziach, a sam zapraszał duńskich rybaków, by wypływali razem z nim swoimi kutrami w morze, po czym pokazywał im, jak należy rozstawiać sieci z pokładu kutra będącego w ruchu. Na naukę wiązania sieci zgłaszały się natomiast tylko kobiety, i młodsze, i starsze, jako że w całym Limfjorden była to czynność niewieścia.

I oto Arn, który miał wcześniej do czynienia co najwyżej z mirażem kobiety, kiedy odmawiał wieczorne modlitwy za spokój duszy swej matki, był właściwie na co dzień w niewieścim otoczeniu. Te młodsze i te starsze setnie się z początku bawiły, widząc owego wysokiego i szczupłego młodziana z krzepą w ramionach, który piekł raka, jąkał się i spuszczał wzrok, przez co pokazywał wciąż tonsurę, a nie swoje niebieskie oczy.

Teoretycznie Arn wiedział, jak powinien się zachowywać nauczyciel, sam miał ich przecież tak wielu. Ale wiedza o sztuce uczenia, jaką sobie przypisywał, nie przystawała do tego, co właśnie przeżywał, gdyż osoby, które uczył, nie okazywały należytego posłuszeństwa i godności. Żartowały i chichotały, a starsze niewiasty potrafiły nawet, bez żadnego wstydu, głaskać go po głowie.

Arn zaciskał jednak zęby, miał wszak zadanie, z którego musiał się w odpowiedzialny sposób wywiązać. Po pewnym czasie odważył się już trochę unieść wzrok. I później padał on, co było nieuchronne, na ukryte pod cienkim letnim odzieniem piersi, dostrzegał wesołe, figlarne uśmiechy i zaciekawienie w oczach niewiast.

Tamto dziewczę miało na imię Birgite i była to panna o bujnych włosach w odcieniu miedzi, zebranych w warkocz, który opadał na plecy, wiekiem zaś dorównywała Arnowi i często prosiła, by pokazywał jej coś, co, jak wiedział, już potrafiła wykonać. A gdy obok niej siadał, czuł ciepło jej nóg, kiedy zaś udawała nieporadność, ujmował jej dłonie i po raz kolejny demonstrował łączenie w oka i używanie szydełka.

Arn nie pojmował tego, iż stał się grzesznikiem, toteż ojciec Henri nie od razu odgadł, co się święciło. Odgadł to zbyt późno.

Być może z wyjątkiem Chamsiina, Birgite była najpiękniejszą istotą, jaką zdarzyło się Arnowi dotychczas oglądać. Zaczęła mu się ta dziewczyna śnić po nocach, przez co budził się ze spermą na ciele, choć nie uprawiał onanizmu. I na jawie marzył o niej, zresztą w tym czasie, gdy powinno by go absorbować co



innego. Pewnego dnia został spoliczkowany przez brata Guilberta za nieuważne wykonywanie jakiegoś ćwiczenia, ale nie bardzo rozumiał, co się stało.

Gdy Birgite prosiła go usilnie o któreś z upojnie pachnących ziół z klasztornych zbiorów, Arn domyślił się, że chodziło jej albo o melisę, albo o lawendę. Rychło dokonał wyboru dzięki krótkiemu pytaniu, jakie dyskretnie zadał bratu Lucienowi i na które ów roztargniony zakonnik odpowiedział, że każda niewiasta przepada za zapachem lawendy, nieświadomy tego, iż rozniecił wielki płomień.

Z początku Arn przemyślał od czasu do czasu po kilka gałązek. A gdy Birgite kiedyś, raptownie i bez świadków, pocałowała go w policzek, chłopiec zupełnie stracił rozum i następnym razem przyniósł całe naręczce ziół, z którym Birgite, ćwierkając ze szczęścia, pobiegła do domu. Arn widział jej chyże bosc stopy, które poruszały się tak szybko, że rozpryskiwały piasek.

W takiej sytuacji, z nieobecny wzrokiem i rozdziawionymi ustami, ale też skorego do westchnień, zastał swego młodego ucznia brat Guy. I bujanie w obłokach zostało raptownie przerwane.

A w tym samym czasie brat Lucien zakłopotał się tajemniczymi ubytkami w zapasie lawendy.

Arn został ukarany dwoma tygodniami o chlebie i wodzie, przy czym pierwszy tydzień miał spędzić w odosobnieniu i poświęcić ten czas na refleksje i modlitwy. Ponieważ nie posiadał własnej celi, lecz sypiał razem z kilkoma braćmi-laikami, wyznaczono mu pokutę w niezajętej celi w klasztorze. Miał przy sobie najstarszy i najbardziej zaczytany egzemplarz Pisma Świętego - i nic poza tym.

Arn potrafił pojąć pierwszy ze swych wielkich grzechów, drugiego jednak nie rozumiał. Choć szczerze próbował zrozumieć, i to niejedyn raz, i choć żarliwie prosił Najświętszą Panię o przebaczenie.

Wykradał lawendę - to był konkret, czyli coś łatwego do zrozumienia. Poza murami klasztoru ziele lawendy stanowiło towar poszukiwany, toteż brat Lucien sprzedawał je z niemałym powodzeniem. Tym, po co sięgnął Arn, była pewna *gratia*, która znaczyła, tyleż, co nauka wiązania sieci, a ponadto szło o jedno ze źródeł zysku, wszak przynosiły go i miecze wykrawane u brata Guilberta, i rośliny brata Luciena, choć bynajmniej nie wszystkie. Na owo określenie - *gratia* - zasługiwały w istocie też niektóre rośliny, na przykład rumianek.

Wszystko to wziął także pod uwagę ojciec Henri. Kradzież jest kradzieżą, co gorsza, niesłychany naruszeniem reguły zakonnej, ale przecież i czymś

takim, co - mówiąc oględnie - wynikało z młodzieńczej nieroztropności. Ojciec Henri nie omieszkiał też zasięgnąć opinii brata Guya o tym, co się stało, lecz musiał go upomnieć za zbagatelizowanie przezeń Arna i za ryzykowną uwagę, że gdyby ojciec Henri zobaczył owo dziewczę na własne oczy, to nie uznałby już całej tej historii za wielce tajemniczą. Brat Guy rychło przekonał się na swej skórze, iż takich słów nie powinien był wypowiedzieć.

Drugim i gorszym grzechem Arna było pożądanie. Jako pełnoprawny członek zakonu zostałby ukarany półroczną vegetacją o chlebie i wodzie oraz sprzątaniem kuchennych odpadków i latryn.

Z tym, że kradł lawendę, potrafił sobie Arn z łatwością poradzić w swoich samotnych rozmyślaniach i był to grzech, za który bez trudu mógł wyrazić szczerą skruchę, nie potrafił jednak w żaden sposób pojąć, dlaczego tęsknota do Birgite i urzeczenia, których obiektem była, miałyby okazać się czymś gorszym niżli kradzież. Owey tęsknoty i marzeń nie umiał wszak się wyrzec. Na nic włosiennica, nocny chłód w celi czy twarda prycza bez baranicy albo koca. Arn miał Birgite przed oczyma, kiedy leżał bezsennie. Gdy udawało mu się zasnąć, oglądał jej piegowatą twarz i brązowe oczy bądź białe stopy na piasku, chyże jak u kozłątka; ledwie zasypiał, przynosiło mu też wstyd jego własne ciało. O świcie, kiedy któryś z braci bez słowa wstawiał do jego celi wiadro z lodowatą wodą, musiał najpierw zmyć wstydlive ślady i ukryć zbyt widoczny grzech.

Gdy zaś przychodziło opamiętanie i Arn zagłębiał się w Pismo Święte, jakby sam szatan naprowadzał go na fragmenty, których ten chłopiec nie powinien był czytać. Orientował się w Piśmie Świętym na tyle dobrze, iż próbował otwierać je na chybił trafił, z zamkniętymi oczami. Tak czy inaczej natykał się na teksty w rodzaju tego oto:

*' bo jak śmierć potężna jest miłość  
a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol  
żar jej to żar ognia, płomień Tański.  
Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości,  
nie zatopią jej rzeki.  
Jeśliby kto oddał za miłość całe bogactwo swego domu  
, pogardzą nim tylko.*

Pieśń nad Pieśniami, 8,6-8, tłum. o. P. Rostworowski

Jakkolwiek Arn próbował posłużyć się swą wiedzą o właściwym odczytywaniu i pojmowaniu słowa Bożego, nie potrafił w miłości dopatrzeć się grzechu. Czyż owa moc, o której sam Bóg Ojciec mówi, że jest błogosławieństwem dla ludzi, czyż owo uczucie, tak silne, iż nie pochłonie go ocean i nawet największy bogacz nie kupi go sobie za srebrne pieniądze, czyż owa moc nie do pokonania, jak nie sposób pokonać śmierć, może być grzechem?

Gdy w drugim tygodniu o chlebie i wodzie mógł Arn już mówić, szybko doszedł z ojcem Henri do porozumienia w kwestii kradzieży ziela lawendy, po czym zakonnik, surowy wobec nazbyt skorego do ekscytacji młodzieńca, próbował mu uświadomić, czym jest miłość. U świętego Bernarda można wszak znaleźć wielce klarowne objaśnienie jej istoty.

Najpierw człowiek miłuje siebie samego dla własnej korzyści. Po wtóre, uczy się on miłować Boga, i jest to następny etap rozwoju człowieka, tyle że nadal liczy się dlań on sam, nie zaś Bóg. Później nadchodzi czas prawdziwego umiłowania Boga, teraz j uż ze względu na Niego, a własna osoba znaczy mniej. I wreszcie uczy się człowiek miłości bliźniego, i to wyłącznie gwoli spodobania się Bogu.

W procesie rozwoju osoby ludzkiej dzieje się tedy tak, iż *cupiditas*, czyli żądza, z której biorą się wszelkie ludzkie pragnienia, zostaje powściągnięta i przemienia się w *caritas*, po czym wszystkie widoczne żądze znikają i pojawia się czysta miłość. Czyż nie jest to oczywiste?

Arn przyznał niechętnie, iż w istocie jest to wiedza elementarna i oczywista, wszak - podobnie jak większość mieszkańców klasztoru *1)itae Schola* - zapoznał się starannie z wszystkimi tekstami Bernarda z Clairvaux. Tyle że wedle Arnowego rozumienia powinny by istnieć dwa rodzaje miłości. Owszem, pokochał ojca Henri, brata Guilberta, brata Luciena, brata Guya, brata Louisa i wszystkich innych. Mógł swymi błękitnymi oczami bez wahania spojrzeć ojcu Henri prosto w jego piwne oczy i o tym zapewnić, a wiedział też, iż ojciec Henri potrafił zajrzeć w głąb jego duszy.

Nie mogła to jednak być cała prawda... Nagle Arn uległ pokusie zacytowania pewnych dłuższych fragmentów *Pieśni nad Pieśniami*.

Cóż tedy znaczy to słowo Boże? I o czym mówił Owidiusz w tekstach, które Arn czytał przez czyjeś niedopatrzenie, kiedy jeszcze był małym chłopcem? Czyż pod pewnymi względami teksty Owidiusza nie wykazują zadziwiająco wielu podobieństw do słowa Bożego?

Po tym spontanicznym wybuchu Arn zawstydział się i spuścił wzrok. Nigdy przedtem nie pozwalał sobie na tak arogancką polemikę z ojcem Henri, ocze-

kiwał więc za karę kolejnych dwóch tygodni o chlebie i wodzie, i nie uznałby tej kary za niesprawiedliwą. Okazał się wszak nieskorym do skruchy.

Ojciec Henri zareagował jednak całkiem inaczej, tak jakby ucieszyło go to, co usłyszał, choć oczywiście nie mógł się zgodzić z ujęciem, jakie przedstawił Arn.

- Masz silną wolę, jesteś' nadal swobodny w swym sposobie myślenia i czasem trudno cię okiełznać, jak niektóre spośród koni, które ujeżdżasz, a musisz wiedzieć, że widziałem cię, kiedy to czyniłeś - rzekł refleksyjnym tonem ojciec Henri. - Tak jest dobrze, bardziej niż czegokolwiek obawiałem się bowiem, iż złamałem twą wolną wolę, gdyby zaś to nastąpiło, nie pojął byś Boga w ów dzień, gdy On cię powoła. I dość o tym. Teraz wyjaśnię, dlaczego nie masz racji.

Ojciec Henri objaśnił wszystko bardzo spokojnie, bez emocji. To prawda, iż z woli Boga człowiek posiada *libido*, którego nie trzeba się wstydić i o którym mówi na przykład *Pieśń nad Pieśniami*. Boży ład nakłada na człowieka obowiązek zaludniania świata i lepiej wszak służy osiągnięciu tego celu przyjemny charakter czynności, której owa powinność wymaga. Pożądanie jest miłe Bogu, przeto nie grzeszne w związku pobłogosławionym przez Boga, w zawartym gwoli płodzenia potomstwa związku małżeńskim.

Arn zaraz wyciągnął z tego całkiem nedorzeczny wniosek, że i mężczyzna, i kobieta powinni czekać, aż znajdą osobę, którą pokochają, i potem ich *libido* zostanie pobłogosławione poprzez małżeństwo. Ta dziwaczna myśl bardzo rozbawiła ojca Henri.

Zachęcony niespodziewaną łagodnością zakonnika, Arn nie poddawał się jednak. I zaraz wyraził zdziwienie tym, że najpilniejszym robotnikom z winnicy Pańskiej zakazano miłości, choć sama przez się, w tej postaci, o której mówi *Pieśń nad Pieśniami*, nie jest złem, lecz - pod pewnymi warunkami - czymś miłym Bogu. Ujmując to krócej - jak miłość może być i ciężkim grzechem, wymagającym ukorzenia tego, kto jej ulegnie, wegetacją o chlebie i wodzie oraz noszeniem włosienicy, i błogosławieństwem dla ludzi?

- Taak - wyrzekł, wyraźnie rozbawiony takim właśnie postawieniem kwestii, ojciec Henri. - Na początek trzeba oczywiście rozróżnić świat wyższy i niższy. Jak wiesz, tak jest u Platona. Otóż my należymy do świata wyższego - to przyjmuje się za punkt wyjścia w teoretyzowaniu - zakładam jednak, iż tobie potrzeba czegoś więcej, wszak Platona już poznałeś. Pomyśl przeto o zieleniących się polach wokół *Vitae Schola*, pomyśl o wszystkich ziołach

i owocach z plantacji brata Luciena, o wiedzy, którą obdarza on bliźnich, pomyśl też o kowalskim kunszcie brata Guilberta i hodowanych przezeń koniach albo o rybackiej profesji brata Guya. I zwróć uwagę na to, że nie posługuję się metaforami, lecz pozostaję na gruncie praktycznym. Jakież znaczenie przypiszesz, po zastanowieniu, temu wszystkiemu?

- Jesteśmy dobroczyńcami wobec naszych bliźnich. Tak jak Pan pozostaje niezmiennie naszym pasterzem, tak i my, przynajmniej czasami, bywamy pasterzami ludzi. Dzięki naszej wiedzy i pracy żyje im się lepiej, czy to masz na myśli, ojcze?

- Tak, synu, właśnie to. Jesteśmy Bożymi zwiadowcami na ziemi nieznannej, czyjeż to słowa?

- Tak przekonująco mówi święty Bernard.

- Owszem, nader przekonująco. Zgłębiaamy rzeczy nieznanne, oswajamy naturę, po nowemu wyginamy stal, potrafimy zaradzić złu, przysparzamy chleba. To czynimy z czysto praktycznych względów, a prócz tego, nie inaczej niż byśmy siali pszenicę, obdarzamy innych wiedzą o tym, czym jest słowo Boże i jak należy je pojmować. Czy nadażasz za mną?

- Oczywiście, jakże jednak... - zaczął Arn, nazbyt skory do sprzeciwienia się, przez co musiał sam siebie powściągnąć i zacząć od nowa. - Wybacz, ojcze, że znów pytam całkiem konkretnie. Wybacz mi, jeśli okażę impertynencję, owszem, pojmuję to, co rzekłeś o naszym dobrym dziele. Dlaczegoż jednak braciom zakonnym nie wolno nigdy cieszyć się miłością? Jeżeli miłość jest czymś dobrym, to dlaczego właśnie my musimy się jej wyrzekać?

- Można to objaśnić dwojako - odparł ojciec Henri, pozornie nadal bez troskim tonem, świadczącym o rozbawieniu refleksjami tego ucznia. - Nasze szczytne powołanie, nasza praca najgorliwszych Bożych sług na tym świecie ma swoją cenę. Idzie mianowicie o to, iżbyśmy ciałem i duszą służyli Bogu. Jeśliby tak nie było, nigdy nie stworzylibyśmy żadnej trwałej rzeczy. Pomyśl, co by się działo, gdyby w każdym kącie klasztoru były niewiasty i dzieci braci! Jak by to wyglądało? Co najmniej połowę czasu poświęcano by na co innego niż nasze obecne czynności. I, pełni obaw, pożądalibyśmy majątku, nasze dzieci dziedziczyłyby po nas, czy nie dość tego! Składany przez nas ślub ubóstwa służy tedy nieomal temuż, co nasz ślub czystości. Niczego nie posiadamy, to zaś, czego używamy i co tworzymy, staje się po naszym odejściu własnością Kościoła.

Arn milczał i zastanawiał się. W objaśnieniach ojca Henri dostrzegł pewną logikę, był zresztą wdzięczny swemu mentorowi za przykłady z życia docze-

snego, zamiast rozważań o Platonie i świętego Bernarda teoriach odmienności ludzkich dusz w różnych stadiach życia. Nie czuł się jednak usatysfakcjonowany, wyczuwał jakiś brak w logicznych wywodach zakonnika, nurtowało go choćby to pytanie: dlaczego samogwałt miałby być czymś tak strasznym? Czyżby szło o swoiste łakomstwo duszy? Albo po prostu o uciekanie myślami od Boga? Z rumieńcem na twarzy stwierdził Arn, że istotnie trudno byłoby myśleć o Bogu, zajmując się czymś takim.

Przekonany o tym, że Arn zrozumiał i niemal w całości zaaprobował proste objaśnienie, jakie usłyszał, postanowił ojciec Henri, wyraźnie ucieszony, iż kolejny tydzień Arnowej pokuty będzie miał miejsce pod okiem prowan-salskich kucharzy. Nadal jednak musiało to być życie o chlebie i wodzie, zapewne ciężka próba w kuchni, wszakże pożyteczna dla umocnienia duszy i dodania siły woli.

\* \* \*

W całej *Vitae Schola* nigdzie nie pracowano tak wiele, jak w budynkach kuchennych. Bracia, którzy byli zajęci w polu, powracali na nieszpory, ci, co pracowali w kuźniach, warsztatach stolarskich i kamieniarskich, w przedziałniach, przy kuciu podków, wypalaniu cegieł, w chlewach, ci, którzy doglądali owiec i pszczoł, dbali o sady owocowe i warzywne ogrody, mieli w nocy przerwy, kiedy to pracować nie musieli, i mogli ponadto - wszyscy bez wyjątku - poświęcić się lekturze, nie zaniehbując swych codziennych obowiązków.

Natomiast w budynkach kuchennych były tylko dwie godziny ciszy na dobę, mianowicie po mszy odprawianej o północy, gdy wygaszał ogień, panował spokój i wszystko błyszczało czystością. Ale na długo przed świtem praca rozpoczynała się od nowa, i to obfitym wypiekiem chleba na dany dzień. Potem zaś w kuchennych budynkach pojawiała się coraz więcej braci pełnoprawnych i braci-laików. Najbardziej wrzała praca w godzinach, które poprzedzały główny, południowy posiłek, i wtedy dziesięciu członków zakonu i braci-laików trudziło się równocześnie w wielkim pośpiechu. Dzień w dzień trzeba było nakarmić od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu osób, w zależności od tego, ilu braci wybrało się właśnie w podróż, oraz od liczby gości. Nieograniczoną władzę nad pomieszczeniami kuchennymi sprawował brat Roger z Nimes, a podlegali mu jego dwa rodzeni bracia, Catalan i Louis, których dotąd nie przyjęto do zakonu, pewno dlatego, że wciąż brakowało im czasu na zgłębianie ksiąg.

Tego dnia, gdy Arn miał służbę, na południowy posiłek była przewidziana baranina. Dlatego też musiał Arn najpierw zejść do pasterzy, wybrać dwa młode baranki i sprowadzić je do rzeźni, która znajdowała się obok budynków kuchennych. Niekoniecznie jednak z tych właśnie zwierząt przyrządzono by potrawy. Ale że dwa baranki, które zaszlachtowano dziesięć dni wcześniej, powisały dość długo i dojrzały do tego, by trafić na stół, należało zastąpić je w chłodni, urządzonej obok głównej kuchni, dwoma świeżo ubitymi zwierzętami, które też miały się znaleźć na stole po dziesięciu dniach. Mięsem niedojrzałym raczyli się tylko barbarzyńcy.

To, że dwa nieświadome baranki trzeba było sprowadzić w pobliże kuchni, nie ucieszyło Arna. Otoczył on szyje zwierząt skórzanymi rzemieniami i poprowadził je na luzie, chwilami ponaglając, gdy stawały, by poskubać w kępie trawy, która wydawała im się szczególnie kuszącą. Przyszły Arnowi na myśl te przypowieści z Pisma Świętego, w których jest mowa o wzajemnym stosunku pasterza i jego stada, akurat wtedy Arn nie był zaiste dobrym pasterzem.

Skoro tylko doszedł ze zwierzętami do rzeźni, przejął je od razu pewien opryskliwy brat-laik i, nie ociągając się, powiesił oba, zaczepiwszy po jednej tylnej racicy na wielkich hakach, po czym przeciął im szyje. Kiedy białka oczu świadczyły o przerażeniu zwierząt i kiedy uchodziło z nich życie, ów brat-laik uchwycił trzonek trzcinowej miotły i otworzył drewnianą klapę, która zamykała kanał wodny, tak więc krew została splukana z ceglanej podłogi i trafiła do podziemnego ścieku. Ledwo upewniono się co do tego, pojawił się jeszcze jeden brat-laik i obaj w krótkim czasie oprawili zwierzęta swymi nożami tak, iż już bardziej kojarzyły się z mięsem na stół i potrawami.

Niezadługo wypadło Arnowi zanieść dwie jeszcze ciepłe skóry do garbarni, a jelita do oczyszczalni, oraz wydobyć dwie nowe bryły lodu z wielkiego bloku i na taczce przewieźć je do chłodni, gdzie już wisały nowe tusze, opatrzone numerami i umieszczone na końcu szeregu, obok cieląt, prosiąt, krów, kaczek i gęsi. Bryły lodu należało umieścić pośrodku chłodni, tuż przy rynnie, którą woda mogła spływać do systemu ściekowego. W chłodni było ciemno i zimno, przez co Arn dygotał, kiedy czymś w rodzaju kropidła spryskiwał porowate ceglane ściany zimną wodą. Znajdował się tam wysoki sufit z dwoma niedużymi otworami, przez które wnikało światło i wydostawały się wszelkie przykre opary sponad tusz zwierzęcych.

Gdy Arn wszedł do głównej kuchni, owe solidnie zawieszane tusze jagnięce były już poćwiartowane i pławiły się w oliwie z oliwek, z dodatkiem czosnku,

mięty i różnych mocnych ziół z rodzinnych stron prowansalskich kucharzy, i rozniecono też ogień w wielkich piecach. W nich pieczone i grzbietowe części tusz pozostawały, póki nie przesiąkły wystarczająco zapachami przypraw, i w tym czasie krajano udźce oraz resztę tuszy na mniejsze porcje, które trafiały do dużych żelaznych garnków. Na wieczerzę przewidziana była zupa na baraninie, urozmaicona różnymi roślinami okopowymi, także kapustą, po czym zamierzano podać deser w postaci galaretki z czereśni, z dodatkiem miodu i pieczonych orzechów laskowych. Do pieczenia podawano biały chleb, oliwkę z oliwek i świeży kozi ser.

Codziennie picie wina w *Vitae Schola* nie było możliwe, ale nie przez zasadę życia klasztornego, lecz za sprawą trudności, jakich przysparzał przewóz wina w wystarczających ilościach z Burgundii na tę odległą Północ. Toteż brat Roger ustalał tylko według własnego uznania, kiedy należało podać wino do posiłków i kiedy podawano wodę. Co do pieczenia baraniej stwierdził, że najlepiej popijać ją winem, posłano więc Arna do piwnicy, by przyniósł pół kufy, i usłyszał on, że trzeba koniecznie czerpać z tylnej części piwnicy, stamtąd, gdzie przechowywano najstarsze wino, bo zawsze pito w takiej kolejności, otrzymał też dokładne objaśnienie tego, jak kufa powinna być oznaczona. Arn wrócił jednak z niewłaściwą kufą na tacze i, ku swemu zdumieniu, najadł się wstydu, został bowiem pouczony, że to, co przywiózł, mogłoby posłużyć jako wino mszalne, nie zaś jako dodatek do chrześcijańskiego obiadu. Musiał więc drugi raz zrobić to samo.

Kiedy podano południowy posiłek i wszyscy zabrali się do jedzenia, Arn odszedł z powrotem do budynku kuchennego i zaczerpnął wody z przewodu, którym docierała tam czysta woda pitna i którego nie należało mylić z odprowadzaniem wody używanej w łaźni. Pijąc zimną wodę, Arn cieszył się tym darem Bożym. Potem zmówił wyjątkowo długą modlitwę przed posiłkiem, zanim się uraczył białym chlebem.

Nie czuł on głodu ani zawiści wobec braci. Tamci spożywali wszak zwyczajny obiad, właściwie taki sam, jak każdego innego dnia w Szkole Życia. Podjadłszy, zaczął Arn sprzątać i doglądał potem wielkich garnków, w których warzono strawę na następny znaczny posiłek.

Po mszy odprawianej o północy trzeba było dokładnie wymyć kuchnie, żeby usunąć wszelkie odpady, które trafiały kanałem odprowadzającym do strumienia i dalej do fiordu albo na wielką górę kompostu za kuchniami, między pokrzywy. Bratu Lucienowi bardzo zależało na tym, by okazywano dba-



łość o ten kompost, bo przecież w jego pracy wiele znaczyło ciągłe używanie ziemi.

Po sprzątaniu czekały Arna dwie godziny snu do czasu pieczenia chleba. Tyle że w rozgrzanych pomieszczeniach kuchennych pracował z takim zapalem, że nie mógł się uspokoić, bo w całym ciele dalej czuł żar i rytm pracy.

Była duszna letnia noc z pierwszymi oznakami jesieni w powietrzu. Wiatru nie było. Na rozgwieżdżonym niebie ukazała się połówka księżyca.

Arn posiedział trochę na kuchennych schodach, które prowadziły do wielkiej kuchni, i bez jakiejś konkretnej myśli zerkał na gwiazdy. Rozmyślał już to o pracowitym dniu, już to o mocnych zapachach kuchennych, a także o porannej rozmowie z ojcem Henri. Miał wrażenie, że jednak nie całkiem zrozumiał to, co usłyszał na temat miłości.

Później zszedł do Chamsiina i przywołał go. Ten potężny ogier prychnął donośnie na znak, że rozpoznał Arna, i zaraz przyklusował z ogonem w górę, sprężyste i wysoko unosząc nogi. Był to nadal młody ogier, ale wyrośnięty, a jego maść przeszła z dziecięcej jakby bieli w szarobiały. W blasku księżyca wydawał się koniem srebrzystym.

Arn objął krzepką szyję konia, uściskał go, pogłaskał i zaczął płakać, nie wiedząc, dlaczego uczynił ten gest. A jego pierś unosiła się, targana uczuciami, których nie rozumiał.

- Kocham cię, Chamsiinie, ciebie naprawdę kocham - wyszeptał i łzy popłynęły mu z oczu niczym potok. W skrytości ducha czuł, że pozwolił sobie na myśl grzeszną i zakazaną, której nie umiał sobie objaśnić.

Po raz pierwszy doszedł do wniosku, że nie ze wszystkiego będzie mógł się wypowiedzieć.

Klasztor w Varnhem otrzymał ostatecznie nazwę: Monasterium Beatae Mariae de Varnhemio. Ojciec Henri kaligrafował tę nazwę z radosnym dreszczem, a czynił to znowu w klasztorным skryptorium. Całkiem słusznie został ten klasztor przypisany błogosławionej Maryi, wszak najbardziej przyczyniła się do ustanowienia go, mianowicie objawieniem, jakim zaszczyciła panią Sigrid w dniu konsekracji katedry w Skarze. I wreszcie miał tu zapanować lepszy porządek.

Zaiste niemało było powodów do radości dla ojca Henri, który teraz starał się dać im stosowny wyraz w długim liście, jaki pisał. Cystersi wyszli zwycięsko z niebezpiecznej i skomplikowanej gry, w której mieli do czynienia z samym cesarzem Niemiec, Fryderykiem Barbarossą. Ojciec Henri także dostał udziału w owej rozgrywce, podobnie jak - szczególnie zaangażowani - arcybiskup Eskil z Lund oraz ojciec Stephane z Alvastry, jego serdeczni przyjaciele. Któż by się domyślił takiego rozwoju wypadków dwadzieścia lat wcześniej, kiedy to razem z ojcem Stephane'em przywędrowali pośród chłodu i posępnych krajobrazów na ową daleką Północ?

Cesarz Fryderyk Barbarossa odsunął od władzy papieża Aleksandra III i wyznaczył własnego, bardziej uległego antypapieża w Rzymie. Świat chrześcijański musiał potem wybierać poparcie dla prawdziwego papieża Aleksandra bądź dla rzymskiego uzurpatora. Spierano się o to zgoła bez rozstrzygnięcia.

Niejeden król obawiał się niemieckiego cesarza i wolał z nim nie zadzierać, a należał do takich niestety także król Danii, Waldemar, którego popierali po niektoś co strachliwsi biskupi. Jednakowoż arcybiskup Lund, Eskil, przyjaciel cystersów, opowiedział się przeciw swemu królowi, a za właściwym papieżem, Aleksandrem III. Sam siebie skazał tym wyborem na banicję.

W istocie szło wciąż o to samo: czy monarchom miałyby przysługiwać władza nad Kościołem, czy też Kościół powinien by pozostawać niezależnym od władzy świeckiej.

Pepinierą cystersów stały się i kraina Swewów, i obie Gocje. Król Karol, syn Sverkera, który nie znał cesarza Fryderyka Barbarossy na tyle, by się go obawiać, dał się przekonać do ustanowienia nowej metropolii właśnie w tych krajach. W sytuacji, jaka się wytworzyła, nie odgrywało to już tak wielkiej roli, które miasto dostąpiłoby uznania za siedzibę arcybiskupa, szło po prostu o to, by archidiecezja powstała. Poprzedni król, Sverker, całkiem roztropnie wyrzekł się rezydowania w Linköping na rzecz swewskiego miasta Ostra Aros. Niech i tak będzie - uznali cystersi - byleby można kuć żelazo, póki gorące.

Tak oto ojciec Henri znalazł się w katedrze w Sens, kiedy Eskil - w obecności samego papieża - namaszczał Stephane'a jako arcybiskupa i ordynariusza nowej metropolii, która objęła kraj Swewów i obie Gocje. Jako że archidiecezja norweska również dochowała wierności prawdziwemu papieżowi, szala przeważała się na niekorzyść Fryderyka Barbarossy i uległego mu antypapieża. Eskil mógł, dość niedawno, powrócić tryumfalnie do Danii, a Stephane zainstalował się już w Ostra Aros. Odniesiono zwycięstwo.

Cysters na trzeciej skandynawskiej stolicy arcybiskupiej... To zaiste nie lada osiągnięcie. Już król Eryk Jedvardsson był, trzeba to przyznać, łaskawy dla Varnhem, a oto jego następca, Karol Sverkersson, zapewnił klasztorowi nowe posiadłości i przywileje, i nawet użyczył części własnej ziemi dla założenia klasztoru cysterek w Gocji Wschodniej w miejscowości Vreta.

Nie mogło też obecnie być mowy o tym, iżby któryś klasztor popadł w konflikt ze skandynawskim władcą, jak niegdyś Varnhem, a jedną z przyczyn tego stanu rzeczy stały się niedawne wydarzenia w krainie Swewów.

Pewna natchniona przez Boga niewiasta, imieniem Doter, podarowała cystersom swą rozległą posiadłość Viby w okolicy Sigtuny, tak jak swego czasu matka Arna przekazała w darze Varnhem. I dokładnie tą samą koleją rzeczy, co w przypadku Varnhem, zgłosił się ktoś z rodziny, aby zażądać unieważnienia donacji. Tym razem chodziło o syna, imieniem Gere.

Tyle że nie mógł on liczyć na wielkie poparcie ze strony nowego arcybiskupa Stephane'a. Wręcz przeciwnie: Stephane zdołał szybko nakłonić króla Karola Sverkerssona do uznania daru i potwierdzenia aprobaty pismem opatrzonym królewską pieczęcią. Ów syn, Gere, nie stracił jednak wszystkiego, jemu bowiem przypadła cała reszta schedy po matce. Istotna w tej historii była jednak sama zasada - ta okoliczność, iż nie można było w przyszłości kwestionować żadnych darów dla cystersów.

Oznaczało to wreszcie także pewność istnienia dla klasztoru w Varnhem i nadszedł czas na nowe decyzje, ale też na przywrócenie dawnej świetności. Ostatnio bowiem klasztor wegetował, licząc zaledwie dwunastu braci, którzy przede wszystkim dokonywali różnych napraw, utrzymywali klasztor przy życiu i swą obecnością zapobiegli temu, by popadł on w zupełną ruinę.

Założony w Danii klasztor *Vitae Schola* pod wszelkimi względami prześcigał w minionych latach ten w Varnhem. Dlatego też było to oczywiste, że właśnie ze Szkoły Życia sprowadził ojciec Henri pierwsze nowe siły, gdy podjął się przywrócenia świetności tamtemu klasztorowi, i tego dotyczyły szczegółowe instrukcje spisywane przezeń po peanie na cześć słusznego zwycięstwa, jakie najpilniejsi robotnicy z winnicy Pańskiej odnieśli nad Barbaros-są, który dzierżył władzę świecką.

Wśród wezwanych właśnie do Varnhem znaleźli się brat Guilbert i Arn. Kilkanaście lat pracy w *Vitae Schola* pozwoliło bratu Guilbertowi na to, by wielu grzesznych braci-laików przyuczyć do zawodu kowala i zapewnić sprawne działanie wszystkich kuźni. W Varnhem była wręcz przeciwna sytuacja, jako że kuźnie leżały tam odłogiem. Rozumiało się więc samo przez się, że należało wezwać brata Guilberta z powrotem do Varnhem.

W przypadku młodego brata-laika Arna sprawa przedstawiała się nie tak prosto. Swoje praktyczne umiejętności uzyskał on przecież zwłaszcza dzięki bratu Guilbertowi, skoro zatem ów zakonnik został wezwany do Varnhem, to bardziej logicznym rozwiązaniem mogłoby się wydawać pozostawienie Arna w Szkole Życia.

Ojciec Henri miał jednak co do Arna pewien plan, którego nie chciał jeszcze ujawniać, i to w liście, który musiał trafić do archiwum cystersów.

Wolał on po części zakamuflować swoje zamiary poleceniem, by niewielkie stado wybranych koni z *Vitae Schola* sprowadzono do Varnhem, gdzie można by sprawdzić, czy pomysły brata Guilberta trafiłyby barbarzyńskim mieszkańcom Zachodniej Gocji bardziej do przekonania niż barbarzyńskim Duńczykom. Ojciec Henri napisał, że nie zamierza wdawać się w szczegóły w tej materii, pozostawiając wszystkie decyzje co do praktycznych detali samemu bratu Guilbertowi. Uporawszy się z tym kłopotliwym fragmentem swego listu, kłopotliwym, ponieważ nie mógł napisać całej prawdy o swych intencjach, a jednak musiał koniecznie ustrzec się kłamstwa, otóż po tym fragmencie przeszedł do kwestii plantacji. Poleciał, ażeby najlepsi uczniowie brata Luciena spośród braci-laików przybyli do Varnhem, gdzie mieliby wkrótce po przyjeździe stać się pełnoprawnymi członkami zakonu. Na brata Luciena złożył autor listu odpowiedzialność za to, by w transporcie z Danii znalazły się właściwe zioła w dostatecznych ilościach, podobnie jak zaszczepki, nasiona i co tam jeszcze, i by dotarły one bez szwanku.

Dopisawszy długi list do końca, ojciec Henri poświęcił trochę czasu na uzupełnienie lektur, które prezentowały się nie dość pięknie, i nadanie im większej czytelności, i skupił się na tej pracy, przez dłuższą chwilę nie myśląc o niczym innym. A gdy i to miał za sobą i odłożył pióro, głęboko odetchnął z ulgą i satysfakcją. Rozejrzał się po swym ukochanym skrytorium. Wcześniej zawsze, nie wiedzieć dlaczego, właśnie tę izbę uważał za swój duchowy dom, za miejsce swych najważniejszych zajęć. Teraz półki, na których znajdowały się książki, ziały w wielu miejscach przerażającą pustką, ale wypełnienie luk było tylko kwestią czasu. Ojciec Henri zamierzał w tej właśnie izbie spełnić to, co miał za dzieło swego życia, i w swoim czasie chciał zostać pochowany pod wapienną podłogą kościoła, gdzie już spoczywała ta osoba, dzięki której powstał klasztor w Varnhem - pani Sigrid.

Ów zakonnik odchylił się do tyłu, na mocno zużyte skórzane oparcie krzesła, zerknął na pęknięcie w suficie, przez chwilę krążył myślami wokół różnych praktycznych zadań oraz ich kolejności, w końcu jednak żywo przypomniał sobie ów moment tryumfu w katedrze w Sens.

Była to świątynia cudownej piękności, która ludzi obeznanych ze sztuką budowania, na przykład brata Guilberta, urzekłaby pewno bardziej niż nawet ojca Henri. Zaczęto wznosić ową budowlę w całkiem nowym stylu, wymagają-

cym spiczastych sklepień, które kierowały wzrok ku górze i sprawiały, że każdy kościół zbudowany w tym stylu musiał wyglądać tak, jakby faktycznie podążał ku Bogu zamiast skupiać się daleko od nieba, niejako ustanawiając granicę człowieczeństwa. Zdaniem ojca Henri, kształty kamiennych brył były w istotnej mierze powiązane z wiarą. Nade wszystko szło o harmonię między formą a treścią, zwłaszcza w przestrzeni uświęconej. Nadmierna ozdobność musiałaby demoralizować i odciągać myśli od świata ponad ludźmi. Natomiast formę skierowaną ku samemu Bogu, bodaj czystą i wynikłą tylko z kamienia, uważał ojciec Henri za taką, która opisuje więź całkiem odmienną, boską. Być może trzeba by sprowadzić projekty i przyuczonych budowniczych z ojczystych stron? Nie, zważywszy na obecny stan Varnhem należy pomyśleć o innych, bardziej nagłych i praktycznych ulepszeniach. Kto by najpierw poświęcił się stworzeniu pięknej formy, ten popełniłby grzech.

\* \* \*

Nie istniało nic, co byłoby domem dla Arna. Nie było nim Varnhem ani też położony nad brzegiem Limfjorden klasztor *Vitae Schola*, ani żadne inne miejsce. Jego dom znajdował się tam, gdzie przebywali bracia zakonnicy, a przede wszystkim tam, gdzie byli brat Guilbert i ojciec Henri.

Z opuszczeniem Szkoły Życia wiązała się pewna przykrość, to mianowicie, że wypadło zostawić Chamsiina; brat Guilbert uznał, że Chamsiin powinien nadal przebywać w *Vitae Schola* dla utrzymania rasy, i udowodnił to Arnowi wyrysowaniem na piasku skomplikowanych wzorów, z których miało wynikać, jakich koni można się było spodziewać po Chamsiinie, jakich zaś po Nasirze, i dlatego zatem Nasir oraz źrebę zrodzone z Chamsiina i Aiszy musiały trafić do Varnhem, a sam Chamsiin winien był pozostać w Szkole Życia - co było do udowodnienia. Arn nie mógł tego wyводу zakwestionować.

Maść źrebaka okazała się czerwonoszara, a miał on nosić imię Chimal, co - wedle wyjaśnień, jakie Arn usłyszał od brata Guilberta po mszy odprawionej w *Vitae Schola* tuż przed odjazdem zakonników - w tajemnym języku koni oznaczało Północ. Wszakże brat Guilbert dostrzegł smutek w oczach Arna, wziął go więc na stronę i objawił mu, że żal po rozłące z koniem nie jest grzechem ani powodem do wstydu. Zbyt mało wiedzą ci, co twierdzą, że to tylko rzecz, przedmiot pozbawiony duszy, przeto niegodny miłości. Formalnie mają oni rację, tyle że nie brak na świecie ludzi, którzy w tej czy innej kwestii mają for-

malnie rację, a jednak nie potrafią niczego pojąć, i zdarzają się pośród nich także poczciwi słudzy Boga. Wobec Boga - to przysiągł brat Guilbert - jest tak, iż nie-jeden Jego sługa całkiem słusznie kocha konie w rodzaju Chamsiina.

Trzeba jednakowoż wiedzieć, że konie, tak jak bliźni, których się ma, jak bracia czy najbliższa rodzina, wciąż nas odumierają. Choćby z tej przyczyny, iż koń żyje krócej niżli człowiek, najpewniej przyjdzie Arnowi żałować niejednego konia - tak przynajmniej widział Arnową przyszłość brat Guilbert. Nie inaczej żałuje się starszych krewnych i nie jest to wcale grzeszna myśl. Żal z powodu utraty bliskich stanowi jeszcze jeden przejaw życia, zrządzenie Boże.

Arn dał się jakoś pocieszyć, i to jedynie zapewnieniem, że nie zgrzeszył smutkiem, jaki odczuwał z tego powodu, iż musiał odjechać, pozostawiając Chamsiina.

Choć uchodził on już za mężczyznę, a nie za chłopca, trochę jednak płakał, kiedy razem z innymi opuszczał *Vitae Schola*. Zauważył to tylko brat Guilbert. I tylko on zrozumiał przyczynę płaczu. Pozostali, członkowie zakonu i bracia-laicy, nie mieli zresztą, podobnie jak Arn, innego domu prócz tego miejsca na Bożym świecie, gdzie można było odnaleźć braci. Cóż ponadto mogli oni wiedzieć o koniach z zamorskich krajów?

Na krótko przed dniem świętego Bartłomieja, w najgorętszej porze żniw i uboju kozłów w Zachodniej Gocji, zobaczył Arn z oddali wieżę kościoła w Varnhem, zrazu niewyraźnie, jakby koronę drzewa, które było dziwnie sękatę, wyschłe czy też uszkodzone przez piorun i rosło gdzieś pośrodku bujnego dębowego lasu, potem zaś całkiem wyraźnie.

Arn pamiętał ową kościelną wieżę z dzieciństwa i to nie jej widok wzruszył go. Wiedział przecież, iż w tamtym kościele pochowano jego matkę, do której przemawiał w czas wieczornym modlitw. Wydało mu się, że w kościelnym wnętrzu odnajdzie ją żywą, choć były tam tylko jej doczesne szczątki; z zakamarków pamięci wydobył Arn niewyraźny obraz samego siebie, kiedy to, jako dziecko, stał smutnie wśród obcych mężczyzn, jeszcze nie swoich umiłowanych braci, podczas mszy żałobnej. W podniosłym nastroju przejechał on teraz przez klasztorną bramę, po czym sprawdził, czy potrafi rozpoznać ową siedzibę, i przekonał się, że jej nie zapomniał, dostrzegł też to, iż bardzo podupadła. Pozdrowiwszy ojca Henri, który wyszedł przybyszom na spotkanie niemal do klasztornej furty, poprosił Arn o zgodę na oddalenie się i pospieszył do kościo-

ła, gdzie przy wejściu padł na kolana i uczynił znak krzyża, zanim ruszył dalej w stronę ołtarza.

Tam, z przodu, dwaj bracia-laicy na klęczkach pracowali, używając dłuta i młotka, przy płycie, która przykrywała miejsce pochówku jego matki, dawniej opatrzone niepozornym, ledwo widocznym znakiem; a oto teraz, skoro cystersi odnieśli swe wielkie zwycięstwo nad władzą świecką i Monasterium Beatae Mariae de Varnhemio okazywało się bezpiecznym schronieniem i dla braci zakonnych, i dla szczątków zmarłych, uznał ojciec Henri, że ów grób powinien się odznaczać. Zależało mu jednak na ukończeniu owej pracy przed przybyciem grupy braci ze Szkoły Życia. Wszakże pogoda okazała się niespodziewanie łaskawa dla podróżnych.

Arn nieśmiało przywitał braci-laików, najpierw po łacinie, którą doskonale władał, potem po francusku, całkiem niezrozumiale dla tamtych, i wreszcie w skandynawskiej mowie, którą się posługiwali, choć śpiewniej niż on sam, po czym padł na kolana, aby zmówić modlitwę w podzięce za to, że się porozumiał.

Gdy zaś później czytał tekst na płycie nagrobnej, to, co już wykuto, i słowa ledwie zarysowane, poczuł się tak, jakby pozostawała przy życiu nie tylko dusza jego matki, ale też ona sama jako istota z krwi i kości, i miał wrażenie, że uśmiechała się doń spod owego wapienia. „Pod tą kamienną płytą spoczywa w wiecznym pokoju świętej pamięci Sigrid, nasza wielce czcigodna do-natorka, urodzona w Roku Pańskim 1127, a zmarła w roku 1155” - przeczytał Arn. Pod tekstem znajdował się rysunek lwa i coś, czego Arn nie umiał sobie skojarzyć. Przed oczyma miał oto tylko ręce matki, czuł jej zapach i zdawało mu się, że usłyszał jej głos.

A podczas mszy powitalnej, która zgromadziła wszystkich, raz po raz rozbrzmiewało w dziękczynieniach imię jego matki i napelniła go ta okoliczność uczuciami, których wcale nie pojmował, postanowił więc zaraz, iż się z nich wypowiedzi. Obawiał się tego, że mógłby paść ofiarą pychy.

\* \* \*

Na kilka tygodni przed ponownym ingresem ojca Henri jako przeora klasztoru w Varnhem i przed wizytacją, której miał dokonać sam arcybiskup Stephane, brat Guilbert i Arn wraz z paroma miejscowymi braćmi-laikami zadawali sobie wiele trudu, by przywrócić właściwy przepływ wody. Jej spiętrzenia przy młynach zamieniły się w bagno i trzeba było je bagrować. Kanał,



który powinien doprowadzać wodę do większych i mniejszych kół napędowych, uległ po części zniszczeniu, przez co prąd osłabł do ledwie jednej dziesiątej swej rzeczywistej mocy, a koła młyńskie i ich ząbienia wymagały wielu napraw. Dopływ wody stanowił siłę motoryczną klasztoru, a zarazem duszę zapewniającą oczyszczenie, i był jednakowo ważny w łaźni i w kuchniach, nadto także jako źródło siły dla miechów kowalskich, kowadeł, młynów. Ze względu na wagę owej pracy gwoźli zapewnienia dopływu wody zwolniono tę niewielką grupę braci od udziału we wszystkich codziennych mszach i lekturach. Arn padał znużony na łożo po niesporach i spał bez marzeń sennych aż do mszy porannej, i tak mijał jeden dzień pracy za drugim, coraz dobitniej sugerując, że czas się zatrzymał i przemienił w jeden długi ciąg robót.

Ale w dniu, w którym arcybiskup konno minął wraz ze swą asystą furte klasztoru w Varnhem, łaźnia i budynki kuchenne miały znów dość czystej wody, cele gościnne były doprowadzone do porządku i pobielone na nowo, a w jednej z kuźni rozbrzmiewały już uderzenia młota o kowadło.

Po mszy dla uczczenia ponownego ingresu przeora wysłuchali bracia arcybiskupiego kazania o tryumfie dobra nad złem oraz o ówczesnej potędze zakonu cystersów, tak wielkiej, iż nie było dlań zewnętrznych zagrożeń w żadnym zakątku tego świata, a pozostawało to jedno niebezpieczeństwo, stale groźne, we wnętrzu każdego człowieka, iż własny grzech pychy, lenistwa czy bierności sprowadzi na niego słuszną karę Bożą. Toteż nikt nie powinien się rozsiadać wygodnie, w poczuciu sytości odchyłać się na oparcie krzesła, lecz należy pracować w winnicy Pańskiej nie mniej gorliwie i wytrwale niż dotąd.

Po posiłku, który połączono z dziękczynieniem, arcybiskup Stephane i ojciec Henri oddalili się ku owemu miejscu na krużganku, w którym zawsze niegdyś razem siadywali, a więc obok wyraźnie wówczas podupadłego ogrodu. Odbyli dłuższą rozmowę o czymś, czego zapewne inni bracia nie powinni byli sobie uświadomić, i aby nic do zakonników nie docierało, porozumiewali się tak cicho, że bracia, którzy pracowali w ogrodzie, słyszeli tylko pojedyncze słowa, gdy jeden czy drugi z owych dostojników się zapalał, na krótko i mocnym płomieniem niczym suche łuczywo, po czym szybko powracał do ściszonego tonu.

Około godziny wystarczyło, by uznali, że osiągnęli zgodę, a wtedy wezwali Arna, który został już wciągnięty do ciężkiej pracy w jednej z kuźni, gdzie całkiem się popsuł mechanizm, który powinien był napędzać miechy.

Później odszedł Arn do łaźni i umył się od stóp do głów, a przyszło mu też na myśl, że trzeba by może się wystrzyc, czego nie robił przez ostatnie tygodnie, kiedy był zwolniony od wszelkich obowiązków prócz pracy dla zapewnienia dopływu wody. Gdy powiódł dłonią po ciemieniu, wyczuł szczecinę na pół cala. Nie godziło się tak stanąć przed obliczem arcybiskupa. Ale skoro został wezwany, nie mógł się spóźnić.

Nieco zawstydzony, przyszedł Arn na krużganek, padł na kolana przed arcybiskupem, ucałował jego dłoń i poprosił o wybaczenie swego niechlujnego wyglądu. Ojciec Henri wyjaśnił zaraz, że Arn należał do tych, którym w ostatnich tygodniach przyszło wykonać różne prace i poprosił Arna, żeby usiadł, co było zadziwiającą łaską.

Arn zajął miejsce na kamiennej ławce naprzeciw obu dostojników, nie czuł się jednak spokojniejszy w tej sytuacji, bo wciąż nie rozumiał, dlaczego owi duchowni chcieli rozmawiać akurat z nim, który był tylko młodym bratem-łaikiem. Tego, co miało go spotkać, nigdy by się nie domyślił, uważał bowiem, iż jego życiu nadano już niezmienny kierunek, tak pewny, jak ruchy gwiazd w nieskończonej przestrzeni.

- Czy nie przypominasz mnie sobie, młody człowieku? - spytał arcybiskup przyjaznym tonem, ale, o dziwo, po francusku, a nie po łacinie.

- Nie, *monseigneur*, nie mógłbym szczerze odpowiedzieć, iż was rozpoznaję - odparł zażenowany Arn i spuścił wzrok ku ziemi.

- Za pierwszym razem, kiedy się spotkaliśmy, próbowałeś bić się ze mną, nazwałeś mnie starym grzybem czy jakoś tak i oznajmiłeś, iż nie chcesz ślęczeć nad nudnymi księgami, lecz chyba i to wyszło ci z pamięci? - mówił dalej arcybiskup, udając surowość w tak wyraźny sposób, że przejrzałby tego dostojnika każdy inny człowiek na tym świecie prócz Arna.

- *Monseigneur*, szczerze proszę o wybaczenie, mogę się tylko tłumaczyć tym, iż byłem nieświadomym dziecieniem - odpowiedział Arn z rumieńcem wstydu i zobaczył siebie wówczas, gdy spróbował podnieść rękę na obecnego arcybiskupa. Ale po jego słowach i arcybiskup, i ojciec Henri wybuchnęli śmiechem.

- Tak, tak, młody człowieku, ja żartowałem, zapewniam cię, że nie przybyłem tutaj, by pomścić tę dawną krzywdę. To, co słyszałem, każe mi być wdzięcznym za to, iż nie walczysz ze mną dziś. Nie, nie prosz znów o wybaczenie! Teraz będziesz raczej słuchać. Mój drogi stary przyjaciel Henri i ja rozważaliśmy to, co ciebie dotyczy, na wszelkie sposoby, zresztą już wówczas,

gdy tu przybyłeś jako pachole. Wiesz pewno, synu, iż sprowadził cię do nas cud?

- Czytałem opowieść o tym - odrzekł cicho Arn. - Dawnych zdarzeń jednak nie pamiętam, przypomina mi się tylko to, co przeczytałem.

- Skoro wszakże święty Bernard i nasz Pan wydobyli cię z królestwa śmierci i przywiedli do nas, jakiś wniosek trzeba by z tego wyciągnąć, czyś ty kiedy sam rozważał ową kwestię? - zapytał arcybiskup innym tonem, bardziej rzeczowo, jakby zaczynał oto poważniejszą rozmowę.

- Kiedym jako małe dziecko spadł z wysokiego muru, Pan okazał swą łaskę i mnie, i chyba także moim rodzicom, w nagrodę za ich żarliwe modlitwy. To jest prawdą, co do tego możemy mieć pewność - odpowiedział Arn, nie wając się jeszcze unieść wzroku.

- Owszem, owszem, mówisz tyle, ile trzeba - stwierdził arcybiskup Stephane z ledwo wyczuwalną nutą zniecierpliwienia w głosie. - Zaraz też wszakże nasuwa się pytanie o przyczynę, czyż nie tak?

- Tak - odparł Arn. - Dochodzimy do pytania o przyczynę, tyle że ja nigdy nie umiałem na nie odpowiedzieć. Wszak łaska Pana okazuje się po wielokroć czymś ponad ludzką zdolność pojmowania. Nie ja jeden nie pojmuję w pełni łaski Pana.

- Ach tak! Teraz rozpoznaję małego nicponia, który próbował bić się ze mną i nazwał mnie starym grzybem. Dobrze, młody człowieku! Ależ odszczekuj się, nie, nie mówię tego z ironią, twoje odszczekiwanie przypadło mi do gustu. Zatem nie przemieniliśmy cię w karnie rosnącą jarzyną z ogrójca, masz | własną wolę i nie oduczyłeś się myślenia, i my obaj uważamy, że tak jest bar- j dzo dobrze, zwłaszcza na tę ostatnią cechę twego jestestwa zwrócił mi uwagę Henri. Nawiasem mówiąc, od dawna nie używałem francuszczyzny, nie masz chyba nic przeciwko temu, byśmy przeszli na łacinę?

- Nie, Wasza Przewielebność.

- Dobrze. Właściwie chciałem ci odplacić pięknym za nadobne, kiedy bowiem spotkaliśmy się po raz pierwszy, szydziłeś ze mnie, bom niezbyt dobrze władał skandynawską mową. Cóż, mój żart się nie udał, wszak mówisz, świetnie po francusku. I jak to możliwe, skoro na ogół czytasz po łacinie?

- Zostało postanowione, iż język łaciński miał mi się przydawać do rozważania tego, co dla ducha, i różnych lektur, francuski przy niemalże połowie prac, jakie przypadały mi w udziale, a skandynawska mowa w obcowaniu z tymi braćmi-laikami, którzy nie władają francuszczyzną - odrzekł Arn i po raz

pierwszy uniósł wzrok, by spojrzeć na arcybiskupa. Ze swego skrępowania zdążył się już prawie wydobyć.

- Doskonale pomyślane, to dobrze, żeś nie zapomniał swej skandynawskiej mowy, i jeszcze bardziej się to przyda, jeśli tutaj wszystko potoczy się tak, jak przypuszczam - półgłosem, refleksyjnym tonem stwierdził arcybiskup. - Pozwól jednak, bym zadał ci pewne nader konkretne pytanie, na które oczekuję prawdziwie szczerzej odpowiedzi. Czy Pan Bóg przemówił kiedy do ciebie? Czy objawił ci swe zamiary wobec ciebie?

- Nie, Wasza Przewielebność, Bóg nigdy nie przemówił wprost do mnie, nic mi nie wiadomo o Jego intencjach wobec mej osoby- odpowiedział Arn, znowu zażenowany i świadomy swej zależności. Jakby zawstydział się z tego powodu, że osobiście, bezpośrednio, nie otrzymał żadnych wskazówek od Boga, który wszak uczynił cud, aby przywrócić mu życie. Arn poczuł się tak, jakby swą grzesznością sprawił, iż przestał być godnym pierwotnych Bożych zamiarów wobec niego - jakiegokolwiek one były.

Tamci dwaj, przecież starsi wiekiem, zastanawiali się w milczeniu nad odpowiedzią Arna. Przez dłuższą chwilę nie padło z ich ust ani jedno słowo, w końcu jednak porozumieli się wzrokiem i na znak zgody pokiwali obaj głowami, po czym ojciec Henri długo odchrząkiwał, jak to zwykł czynić, zanim rozpoczął obszerniejsze wyjaśnienia.

- Umiłowany synu mój, wysłuchaj mię teraz, lecz się nie przeraż - odezwał się, wyraźnie wzruszony, ojciec Henri. - Mój dobry przyjaciel Stephane i ja podjęliśmy decyzję, która, jak mniemam, jest jedynie słusznym postanowieniem. O Bożych zamiarach wobec ciebie wiemy nie więcej niż ty sam, wiadomo nam tyle tylko, iż zapewne są to intencje szczególne. Skoro jednak nikt z nas nie ma takiej wiedzy, może się na przykład okazać, iż misja, jaką Bóg chce ci powierzyć, nastąpi nieprędko. Przeto naszym i twoim celem może być tylko jak najlepsze przygotowanie ciebie do niej, czyż nie tak?

-Tak, oczywiście, ojcze - odpowiedział cicho Arn. Nagle poczuł suchość w gardle.

- Uzyskałeś solidne wykształcenie i nas, którzy pozostajemy tutaj, w murach klasztoru, wielce też radują dzieła twych rąk- mówił dalej ojciec Henri.

- Nic wszakże nie wiesz o świecie zewnętrznym. Toteż poznasz go, powrócisz na ojcowiznę, do posiadłości Arnas, odległej stąd o dzień konnej jazdy.

Hm, o skandynawski dzień konnej jazdy... zapewne pojmujesz, co mam na myśli, przypuszczam, że koniom z krajów zamorskich wystarczy pół dnia.

Tak czy inaczej, właśnie to ci teraz nakazujemy. Powrócisz tam, gdzie niegdyś był twój dom.

- Ja... oczywiście wykonam wasze polecenie - odparł Arn, choć słowa więzły mu w gardle. Poczł się tak, jakby spotkało go rzadkie nieszczęście, jakby został ekskomunikowany, usunięty ze świętej wspólnoty.

- Widzę, że nie cieszy cię nasze polecenie - stwierdził arcybiskup.

- Nie, Wasza Przewielebność. Staralem się tu u nas zachowywać jak należy, to, co powiem, nie oznacza bynajmniej, iżbym chciał się puszyć, mogę jednak uczciwie nadmienić, iż robiłem, co było w mej mocy - odpowiedział przybity Arn.

- Jesteś cystersem, mój młody przyjacielu - rzekł arcybiskup Stephane.

- Pomyśl o tym, na zawsze jesteś jednym z nas, albowiem co się dokonało, tego nie sposób cofnąć. Być może zostało to nawet przewidziane, iż pozostaniesz na zawsze jednym z nas *intra muros*, właśnie tego wszak nie wiemy. Być może powrócisz, stwierdziwszy, że świat zewnętrzny ci nie odpowiada, i okażesz się w pełni przygotowanym do złożenia ślubów zakonnych. Musisz wszelako poznać to, o czym nic nie wiesz, a tu, w klasztorze, nie posiadziesz wiedzy o świecie zewnętrznym, choćbyś i bardzo przykładał się dolektury. Chcemy dla ciebie jak najlepiej, wiedz, iż zarówno Henri, jak też ja sam, umiłowaliśmy cię prawdziwie i obaj będziemy się za ciebie modlić, kiedy znajdziesz się tam, w świecie. Musisz wszakże w jakiejś mierze poznać ów odmienny świat, i o to właśnie idzie.

- Kiedyż będę mógł powrócić, jak długo wypadnie mi pozostawać tam, w świecie? - spytał Arn, znów ufny, iż nie wyklęto go na zawsze, lecz poddano pewnej, ograniczonej w czasie próbie.

- Powrócisz do nas, gdy będzie to życzeniem Bożym. Jeśli Bóg nie zechce, by tak się stało, to wyznaczy ci jakieś odmienne zadanie tam właśnie, w świecie zewnętrznym. Pytaj Go o to w modlitwach, my nie możemy niczego przesądzać w tej materii, pozostaje ona czymś między tobą a Bogiem

- skonstatował arcybiskup i po jego minie widać było, że zamierzał wstać i uznać rozmowę za zakończoną. Znalazł jednak coś, co chciał dodać, i wyrzucił to z nieco radośniejszym wyrazem twarzy.

- Tak, jeszcze jedno, młody człowieku. Gdy znajdziesz się tam, w świecie zewnętrznym, miej świadomość tego, że nie tylko twoi tutejsi bracia będą się za ciebie modlić. Twym przyjacielem jest także arcybiskup, pamiętaj, że za wsze możesz przyjść do mnie i zwierzyć się ze swych trosk!

Po tych słowach arcybiskup wstał i wyciągnął rękę ku Arnowi, który padł na kolana i, pochyliwszy głowę na znak posłuszeństwa, ucałował dłoń owego metropolity.

\*\*\*

Gdy Arn wyjeżdżał z Varnhem, było mu zrazu ciężko na duszy. Mimo wielu objaśnień i napomnień z ust ojca Henri, nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż spotkała go kara oddalenia - za to, że okazał się niegodnym pozostawania we wspólnocie z braćmi zakonnymi.

Chcąc się pocieszyć, zaczął jednak śpiewać i to rychło pomogło. A skoro tylko przekonał się o skuteczności remedium, w innym już nastroju rozśpiewał się jeszcze bardziej, raczej z radości niż gwoli pocieszenia siebie. Śpiewał zresztą tak, jak ogół braci, nieco lepiej niżli poniektórzy i nieco gorzej aniżeli ten i ów, nie górował więc i nie odstawał. Ale oto śpiew sprawił mu niespodziewanie większą radość, niż odczuwał ją przez wiele minionych lat, taką samą, jak wówczas, gdy ze swym sopranem występował w zakonnym chórze.

Skoro smętny nastrój Arna przemienił się w radosny równie szybko i nieoczekiwanie, jak odmienia się wiosenna pogoda, poczuł także wewnętrzne napięcie i zaczął żywić pewne nadzieje. I owszem, nic nie wiedział o świecie poza murami, ledwo też pamiętał Arnas, ową posiadłość, która niegdyś była jego domem. Miał w pamięci bardzo wysoką kamienną wieżę oraz otoczony murem podwórzec, gdzie razem z innymi dziećmi pchał przed sobą obręczec beczek i gdzie ojciec uczył go strzelania z łuku. Trudno mu wszakże było uzmysłwić sobie, jak właściwie tam się mieszało. Odnosił wrażenie, iż w pewnym sensie wszyscy mieszkali razem, iż panował tam mrok i było wielkie palenisko, ale co do tych - dziwnych dlań - szczegółów nie ufał swej pamięci. Miał to wszystko jednak zobaczyć na własne oczy. A dotrzeć tam mógł już nazajutrz. Na lepszym koniu dojechałby nawet wieczorem tegoż dnia, ale przypadł mu powolny i stary koń skandynawski, jeden z tych, co to - jak twierdził brat Guilbert - nie nadawały się do utrzymania rasy i pewno w ogóle do niczego. Ale że brat-laik Erlend przebywał w Arnas, gdzie kolejnym dzieciom przyswajał sztukę czytania, tak jak kiedyś uczył Arna i Eskila, niechby więc powrotną drogę do Varnhem odbył na koniu uległym. Otóż ojciec Henri uznał, iż brat Erlend raczej nie będzie już potrzebny w Arnas, skoro Ara wróci do domu - ani do nauki czytania, ani do innych zadań.

Człowiek musi się godzić z tym losem, jaki mu Bóg wyznacza. Na cóż chcieć innej tożsamości czy pragnąć być gdzie indziej, trzeba próbować obrócić nową sytuację na jak największy własny pożytek, iżby tym właśnie sposobem najlepiej spełnić to, co zamierzył Pan Bóg. Ostatnim z braci, który powtórzył Arnowi owo napomnienie przed jego odjazdem, był brat Roger, również wezwany ze Szkoły Życia do Varnhem, ponieważ ojciec Henri narzekał tam na kiepskie jedzenie, kiepskie iście po skandynawsku.

Żegnając się z Arnem, uрониł brat Roger łezkę, którą ukrył przed innymi, po czym wyposażył Arna na drogę tak, iż starczyłoby tego jada na tydzień i dłużej. Mimo protestów młodzieńca brat Roger szybko wypełnił mu plecak i napomknął, że przybywając do domu nie zaszkodzi mieć ze sobą nieco żywności. Podobnie jak każdy inny brat w *Vitea Schola*, brat Roger uważał, że Arn trafił do nich z powodu ubóstwa rodziców, którym trudno było wyżywić wszystkich domowników. Najczęściej tak się działo, iż dzieci takie znajdowały schronienie w klasztorach.

Po kilku godzinach ukazała się Arnowi z oddali Skara, gdzie dwie katedralne wieże znacznie wyrastały ponad skupisko niskich drewnianych domów. Jadąc przeciw wiatrowi, poczuł Arn wkrótce zapachy miasta. Dym, zgnilizna, odpady, ekskrementy zwierząt dawały tak silną woń, że ostatnie pół godziny jazdy mógłby Arn odbyć w zupełnej ciemności, a jednak trafiłby tam bez trudu.

Blżej miasta zaciekawiał Arna wielki plac budowy, trochę więc nadłożył drogi, żeby się tej budowli przyjrzeć. Wznoszono zamek.

Arn zatrzymał konia, coraz bardziej zdumiony widokiem. Krzątało się tam wielu, zresztą większość była zajęta przetaczaniem kamiennych płyt po bierwionach, ale pracowano dość niemrawo. Nigdzie nie było widać kołowrotek ani wind, jakby wystarczała siła ludzkich mięśni, prawdziwa harówka spadła jednak na kiepsko odzianych mężczyzn, których pilnowali uzbrojeni strażnicy, raczej nieprzyjaźnie nastawieni do owych robotników. I żaden z harujących ludzi nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego swą pracą.

Wznoszono niezbyt jeszcze wysokie mury, a składała się na nie przeważnie usypana ziemia, na której szczyt łatwo można by wjechać i dobry koń pokonałby pewno taki wał jednym skokiem; Chamsiin poradziłby sobie bez trudu.

O prowadzeniu wojny i umocnieniach obronnych wiedział Arn niewiele ponad to, co kiedyś wyczytał, przeważnie zresztą z dzieł o strategii oraz

taktyce Rzymian. Przyszła mu jednak myśl, iż wznoszonego tam zamku byłoby trudno bronić, jeśli by oblegający zbudowali własne drewniane wieże i skierowali je przeciw murom. Rzymskie metody mogły wszakże być całkiem przestarzałe.

Jeden z nadzorców zauważył gapia, podszedł więc do Arna i ostrym tonem wypowiedział takie słowa, których ten dobrze nie zrozumiał, ale objaśnił sobie tak, iż nie był osobą mile widzianą. Zaraz też przeprosił i znów skierował swego ociężałego konia ku miastu.

Samo miasto Skara też było otoczone rodzajem murów, czymś, co powstało z drewna, zwałów chrustu oraz hałdy ziemi. Obok bramy wjazdowej znalazło się sporo namiotów i ludzi, którzy śpiewali z cudzoziemską i grali na jakichś instrumentach. Zbliżywszy się, zobaczył Arn w jednym z namiotów wielu raczących się piwem, i to od dawna, skoro ten i ów padł, zmorzony snem. Ku swemu zdziwieniu, dostrzegł Arn także pewną niewiastę w niedbałym stroju, która chwiejnym krokiem szła do mniejszego namiotu, oraz mężczyznę bez żadnego skrepowania załatwiającego swą naturalną potrzebę.

Arn w ogóle nie rozumiał zachowania owych ludzi, wszak swych bliźnich, i pewno widać to po nim było, skoro dostrzegli go trzej malcy, po czym ze śmiechem, którego przyczyny wcale się nie domyślał, wskazywali go palcami. On musiał jednak ich minąć, aby skorzystać z otworu w murze, a wtedy tamci poszeptali między sobą i stanęli na jego drodze.

- Tu trzeba płacić myto na rzecz biednych, aby się znaleźć wewnątrz, braciszku! - oznajmił najstarszy i najśmielszy z owej trójki.

- Niewiele mogę dać - odparł szczerze zmartwiony Arn. - Mam tylko trochę chleba i...

- Chleb się przyda, bo my nie mamy nic. Ileż go masz, braciszku?

- Cztery bochenki, upieczone wczoraj rano - odpowiedział zgodnie z prawdą Arn.

- I dobrze, to będą dla nas! Oddaj nam zaraz chleb! - zakrzyknęli wszyscy trzej, w oczach Arna nagle uszczęśliwieni.

Pokrzepiony tym, że tak niespodziewanie łatwo mógł uradować bliźniego, otworzył Arn plecak i wyjął bochenki, które owi trzej chłopcy szybko pochwycili, po czym z głośnym śmiechem, a bez podziękowania, odbiegli. Zbity z tropu Arn zobaczył ich plecy. Domyślił się, że padł ofiarą jakiegoś oszustwa, ale nie rozumiał, dlaczego ktoś miałby coś takiego zrobić, ogarnęły go więc wyrzuty sumienia z tego powodu, że źle osądził bliźniego.



Gdy chciał przekroczyć bramę, uniemożliwili mu to dwaj senni mężczyźni z bronią w rękach. Wpierw spytali go o imię i sprawę, jaką miał. Przedstawił się jako brat-laik Arn z Varnhem i wyjaśnił, że pragnąłby odwiedzić katedrę i niebawem ruszyć w dalszą drogę. Tamci wpuścili go ze śmiechem i nie całkiem zrozumiale stwierdzili, że nadałby się do pewnej czynności, której sensu on w ogóle nie pojął. A że było to po nim widać, owi dwaj mężczyźni śmiali się jeszcze głośniej.

Znalazłszy się w bramie, nie był Arn pewien drogi. Ku katedrze kierowały oczywiście, widoczne zewsząd, dwie wysokie wieże. Tyle że między niskimi i stłoczonymi domami z drewna zalegał obficie kompost i Arn pomyślał w pierwszej chwili, że trzeba będzie, wobec tak wielu odpadów, znaleźć inną drogę. W uliczce, która wiodła chyba prosto do katedry, dojrzał jednak jakiegoś jeźdźca. Koń ciągle grzązał w szlamie, zwierzęcych odchodach i rozkładającej się materii. Nader niepewnie, wśród drażniącego powonienie smrodu, ruszył Arn ową drogą w przeciwnym kierunku. Wciąż trwał poranek czy też pora, którą w mieście uważano za poranną, z różnych stron dochodziło pianie kogutów, a ponadto kilkakroć w czasie jazdy ową ulicą ledwo uniknął Arn spryskania nieczystościami z nocników i kuchennych kotłów. Z tego, co widział i słyszał, szybko wyciągnął wniosek, iż ludzie żyli razem z trzodą i drobiem. Raczej go to zdziwiło niż przejęło odrazą.

Gdy jednak wreszcie wyjechał z owej uliczki i znalazł się na wprost katedry, zabudowę zastąpiło wielkie targowisko z długimi rzędami namiotów, w których odbywał się jakiś handel. Tu była też czystsza ziemia.

Arn zsiadł ostrożnie z konia, starannie wybrał miejsce, gdzie mógłby postawić stopy, po czym uwiązał zwierzę przy słupie przed katedrą, przy którym stały już dwa inne rumaki. Przez chwilę się wahał: czy pozwolić, by ciekawość wzięła górę, i najpierw sprawdzić, co właściwie sprzedawano w namiotach, czy raczej udać się pierwszej do domu Bożego. Ledwo zadał sobie owo pytanie, poczuł wstyd z tego powodu, że w ogóle - co prawda krótko - się wahał, mając taki wybór, i zaraz wszedł do katedry, padł na kolana i przeżegnał się.

Świątynia była prawie całkiem wyludniona i pogrążona w takich ciemnościach, że Arn musiał chwilę spokojnie odczekać, aby przyzwyczaić oczy do mroku. Bliżej ołtarza paliło się ze dwadzieścia świeczek i Arn wypatrzył tam niewiastę, która właśnie zapalała kolejną świeczkę, a potem, rozmodlona, padła na klęczki.

Gdzieś na przedzie rozbrzmiewały w ciemnościach psalmy śpiewane przez

jakiś chór. Nie był to jednak piękny śpiew, gdyż Arn wyraźnie słyszał, że dwa głosy po prostu fałszowały, i zdziwiło go to, jakby ktoś drwił sobie z Pana, tak śpiewając w domu Bożym.

Arn przeszedł do jednej z bocznych naw i siadł na niewielkiej kamiennej ławce, aby zadumać się nad tym, co widział i słyszał, spróbować to pojąć i pograżył się w modlitwie. W tym domu Bożym nie czuł się jak w domu. Na przedzie, przy ołtarzu, wisiały wielkie tkaniny w jaskrawych kolorach, a prócz tego dwa wizerunki świętych i obraz Matki Boskiej, namalowany w barwie błękitnej, złotej, czerwonej i zielonej. Od witrażowego okna, umieszczonego wysoko, w bocznej ścianie wieży, prosto na niego padało światło tak przełamane, iż odtwarzały się wszystkie kolory tęczy. Arn odniósł wrażenie sztucznego przepychu, jakby ozdobność katedry coś zafałszowywała. Wizerunek Jezusa Chrystusa na jednej ze ścian wieży usiano złotem i srebrem, jak gdyby Pan był świeckim władcą. Arn padł na kolana i poprosił wpierw o odpuszczenie grzechów, potem zaś o to, iżby Bóg przebaczył ludziom, którzy Jego dom przemienili w świecki przybytek zbyt wielu obrazów i siedlisko złego smaku.

Gdy znów wstał, wyraźnie poczuł on jednak ciepło wapienia kamiennej ławeczki, jakby ów kamień przemawiał do niego. Przyszło mu na myśl, że kiedyś już tam siedział, choć nie było to możliwe. Zobaczył też przed sobą matkę, która zdawała się z uśmiechem iść w jego stronę. Zaraz wszakże owa wizja zniknęła, gdyż w przedniej części świątyni chór rozpoczął nowy psalm i ta melodia wdarła mu się do uszu.

Chór śpiewał dwoma tylko głosami, tyle że wciąż kiepsko, ponieważ ten, który intonował drugim głosem, wprowadzał ciągle w błąd pozostałych śpiewaków. Ufając, że uczyni bodaj coś dobrego, przeszedł Arn do przodu, stanął przed chórem, przejął ów drugi głos i zaśpiewał tak jak należało, bo przecież tekst znał od dziecka.

Katedralny chórmistrz, wikariusz Inge, odniósł w pierwszej chwili wrażenie, że sam Bóg, znużony tyloma dysonansami, zażartował z nich wszystkich ową korektą śpiewu. Potem zauważył jednak młodego brata-laika z Varnhem, który stał tuż obok i, wcale nie onieśmielony, po prostu przejął prowadzenie drugiego głosu. Kiedy odśpiewano psalm, do którego wmieszał się Arn, wikariusz, niewiele myśląc, podszedł do Arna i ustawił go pośrodku chóru, w taki sposób wyznaczony mu miejsce na resztę mszy.

Już po mszy niejeden chórzysta chciał w swoim zapale obsypać Arna py-

taniami, lecz wikariusz zaraz odciągnął go na stronę i zabrał do zakrystii, gdzie dwa niewielkie okna dawały tyle światła, że ewentualni rozmówcy widzieli siebie nawzajem. Wikariusz poprosił, by Arn usiadł, i podał mu kubek wody, żartując, że to marna zapłata za piękny śpiew.

Nie zrozumiawszy żartobliwej intencji, Arn pospieszył zapewnić, iż nie oczekiwał żadnej rekompensaty za śpiewanie w domu Bożym. Zapytany o imię, przedstawił się tylko jako Arn z Varnhem.

Wikariusz był już pełen zapału, doszedł bowiem do wniosku, że natknął się na skarb. Oto miał przed sobą młodzieńca, którego nie sposób było wziąć za pełnoprawnego cystersa, który z jakiegoś powodu został relegowany, mógłby więc pewno stać się wielce pożądaną podporą chóru. Cokolwiek by mówić o cudzoziemskich mnichach, śpiewać umieli tak, iż nawet aniołowie Pańscy musieli wpadać w zachwyty - temu nikt nie mógł zaprzeczyć.

Jako że dotąd żaden człowiek nie rozmawiał z Arnem w skrywanych zamiarach, to i nie pojał on w ogóle sensu pytań, którymi zasypał go natrętny wikariusz.

A więc opuścił Varnhem, by powrócić do domu? Hm, i gdzież ten dom? I cóż porabiają rodzice? Ach, tak, matka umarła, cześć jej pamięci i pokój jej duszy, a ojciec, cóż on porabia? Tak jak wszyscy, pracuje w pocie czoła? Czyli na roli, jest zatem arendarzem albo wyzwolencem?

Arn odpowiadał jak potrafił, nie kłamiąc, tyle że na żartobliwe pytanie o to, czy miał bogatego ojca, udzielił odpowiedzi przeczącej, słowo „bogaty” uważał bowiem za wstydlive, a nie chciał myśleć o rodzonym ojcu tak, iżby musiał się wstydzić. Nie rozumiał też określeń „gospodarz” i „wyzwoleniec”, wątpił jednak, by wobec jego ojca któreś z nich było trafne.

Tymczasem wikariusz wkrótce uzyskał pełną jasność. Oto syn biedaka, ciężko pracującego na roli, być może dawnego niewolnika, któremu przyszło żywić wiele osób i przynajmniej jednej wolał się pozbyć przez umieszczenie w klasztorze. I teraz ten młody człowiek wraca do domu, i to w wieku największego apetytu, a niewiele z niego pożytku ponad to, iż potrafi odmówić modlitwę przy stole. Oto okazja do przysłużenia się wszystkim zainteresowanym, trzeba tylko z niej skorzystać, *Carpe diem!*

Ów młodzian żywił, być może, nawet nadzieję na jakąś sposobność, choć zbyt był nieśmiały, by ją wprost nazwać.

- Mój młody bracie-laiku, sądzę, że możemy sobie nawzajem pomóc, ku powszechnemu pożytkowi - rzekł wikariusz, zadowolony ze swych wniosków.

- Jeśli mogę ci w czymkolwiek pomóc, ojcze, nie omieszkam tego uczynić, cóż by to miało być? Jestem przecie zaledwie ubogim bratem-laikiem - odpowiedział Arn, nie kłamiąc, ponieważ wierzył w to, co mówił.

- Cóż, wśród ludzi tego świata nie brak ubogich, lecz nawet oni otrzymują czasem wielkie dary od Boga, i właśnie ty, Arnie - tak się chyba nazywasz? a jakże, nie inaczej - ty otrzymałeś wielki zaiste dar od Boga.

- Tak, to prawda - odrzekł Arn i wstydliwie spuścił wzrok, pomyślał bowiem o wielkim darze Bożym, jakim było niegdyś przywrócenie mu życia, ale nie mógł pojąć, skąd wikariusz zaczerpnął wiedzę o tamtym zdarzeniu.

- Cieszę się, Arnie, iż mogę ci oznajmić, że nadarza się sposobność, abyś był wolnym od wszelkiej troski dla ciebie i twego ojca, a zarazem czynił coś miłego Bogu. Czyś gotów wysłuchać mojej propozycji? — spytał wikariusz, po czym z uczuciem tryumfu pochylił się ku Arnowi, zionąc nań przykrym oddechem spomiędzy zębów ni to czarnych, ni to brunatnych.

- Tak, ojcze - padła posłuszna odpowiedź Arna, który jednak się wystraszył i cofnął twarz. - Choć po prawdzie nie pojmuję, co możesz mieć na myśli, ojcze.

- Możemy zapewnić ci wikt i kwaterę, także nowe odzienie, jeśli tu pozostaniesz i włączysz się do chóru katedralnego. Trzeba ci wiedzieć, iż to wielki honor dla biednego młodzieńca. Masz wszelako i rzadki dar Boży, o czym pewno sam wiesz.

Arn był tak zdumiony, że w pierwszej chwili nie umiał nic odpowiedzieć. Potem zaś domyślił się, iż jego dość pospolity śpiew był, zdaniem księdza, owym wielkim darem Bożym, a nie to, że Bóg wydobył go z królestwa śmierci. Jakiej odpowiedzi udzielić, wciąż nie wiedział.

- Tak, pojmuję twe zdziwienie - skonstatował z zadowoleniem wikariusz. - Nie każdego dnia można jedną strzałą trafić tyle ptaków. Twemu ojcu ubędzie jedna osoba do wykarmienia, a my będziemy mogli ucieszyć żywych i umarłych piękniejszymi duszami, ty sam zaś otrzymasz odzienie, strawę i miejsce dla siebie, powiedz, czyż to nie dość błogosławieństw w jeden dzień?

- Nie... to znaczy, tak można pewno pomyśleć - odpowiedział w zmieszaniu Arn. Nie chciał on bynajmniej popaść w niewolę u owego brzydko

pachnącego księdza, choćby i z katedry, ale nie wiedział też, jak się wyplątać z sytuacji. Nie ważył się odmówić komuś, wobec kogo winien był posłuszeństwo.

Wikariusz, który objaśniał sobie opacznie wszystko, co widział i słyszał, uznał, że załatwił sprawę, poklepał się po kolanach, po czym stanowczym ruchem wstał, by zaraz zająć się praktyczną stroną dłuższego pobytu młodego śpiewaka.

- Pójdź ze mną! - zaproponował, zapaliwszy się. - Przejdziemy do kwatery chórzystów, gdzie spotkasz pozostałych i otrzymasz miejsce noclegowe niemal wyłącznie dla siebie.

- Ależ... ależ to niemożliwe! - wyjąkał desperacko Arn. - Odczuwam... owszem, głęboką wdzięczność za twą życzliwość... lecz tak nie może być...

Wikariusz przyjrzał się badawczo zdziwionym wzrokiem owemu młodzieńcowi z porośniętą tonsurą i gruzłowatymi rękoma niewolnika, które świadczyły o bardzo pośledniej pracy. Cóż, na Boga, mogło skłonić tego biednego i niemądrego młodzieńca do odrzucenia tak wspaniałomyślnej propozycji? Wyglądał przecież tak, jakby trudno mu było powiedzieć „nie”.

- Na zewnątrz jest zresztą mój koń, ja odpowiadam za niego i muszę go sprowadzić do domu, dla innego brata-laika - spróbował coś wyjaśnić Arn.

- Twierdzisz, że masz konia? - zmieszał się wikariusz. - To chyba niemożliwe, chcę go zobaczyć na własne oczy!

Arn pozwolił, by wikariusz przeprowadził go przez całą katedrę, a w tym czasie idący obok kapłan obliczał wartość konia i uznał, że musiała ona przekraczać wartość zaoferowanej dopiero co strawy i zakwaterowania.

Na zewnątrz, w słonecznym blasku, rzeczywiście stał z nisko opuszczonym łbem użyczony Arnowi koń, z wyglądu bardzo wymęczony. Wikariusz dopatrzył się w nim jednak dorodnego zwierzęcia, Arn zaś odkrył z przerażeniem, że zginął plecak wypełniony przez brata Rogera obfitością baraniej kielbasy i wędzonej szynki, i zastanawiał się, kto by mógł sobie przywłaszczyć to wszystko. Gdy wikariusz wypowiedział na głos swą pochwałę konia, Arn zaprotestował i stwierdził, że niczym szczególnym ten koń się nie wyróżniał, i że trudno mu zrozumieć, gdzie zniknęły szynki i pęta kielbasy. Zirytował tym wikariusza, który oświadczył, iż oczywiście nie należy być tak głupim, by coś podobnego pozostawiać złodziejom.

Arn przeraził się na myśl o tym, iż został okradziony, iż tak oto bezpośrednio zetknął się z ciężkim grzechem, i naiwnie zapytał, czy nie można by od-

zyskać tamtych rzeczy od złodziei, jeśliby obiecało się im przebaczenie. Wikariusz wpadł w jeszcze większą złość, wybuchnął gniewem i nazwał Arna baranem. Ten domyślił się, że to słowo zostało wypowiedziane urągliwie.

Gdy poprosił o wybaczenie tego, że - bynajmniej nie w złej intencji - okazał się baranem, wikariusz po prostu go zostawił, na odchodnym mieląc w ustach różne gniewne słowa o koniach i baranach. Arn nie omieszkał zmówić krótkiej modlitwy, w której prosił o przebaczenie dla nieszczęśników ulegających pokusie kradzieży. Dopowiedział w owej modlitwie, iż zrozumiał swoją winę za to, co się stało, ponieważ pozostawionym plecakiem wywiódł na pokuszenie ludzi małego ducha i, co gorsza, głodnych.

\* \* \*

Na północ od Skary, we wsi Redeberga, odbyło się wesele Gunnara, arendarza, który dzierżawił grunty od Torkela, proboszcza parafii katedralnej w Skarze. Obecnego na weselu księdza cieszyło to, co uczynił dla swego arendarza, gdyż ów Gunnar wyglądał niepięknie i niewiele mógł ofiarować w prezencie ślubnym. Wszakże ksiądz zlitował się nad dzierżawcą i własnymi dochodami, i zadbał o to, by Gunnar mógł się ożenić.

Wielce zamożny gospodarz, Tyrgils z Torbjórntorp, uzyskał wsparcie ze strony katedralnego proboszcza w pewnej trudnej sytuacji, po czym, w chwili największej słabości, obiecał rewanż i ksiądz zażądał, by wydał on najmłodszą córkę, Gunvor, za Gunnara z Redebergi. Z różnych względów dobrze się stało, jako że Tyrgils nie musiał się wykosztować na posag, jakiego wymagałoby wydanie córki za kogoś znacznieszego, a przecież wyszła za mąż. Od Gunnara z Redebergi oczekiwano zaś równie mało, co się tyczyło prezentu ślubnego z jego strony, a jednak, mimo że brakowało mu pieniędzy i ziemi, i pomimo szpetnej gęby, trafiła mu się panna doprawdy urodziwa i młoda.

Proboszcz uznał, że dobrze postąpił wobec wszystkich, zwłaszcza zaś wobec uległego i pilnego arendarza, Gunnara, który nie zdołałby nigdy o własnych siłach pozyskać płodnej oblubienicy. Jako że Gunnar należycie wywiązywał się z powinności arendarza i siedmiokroć zwracał proboszczowi nakłady, to i ów ksiądz roztropnie zadbał o to, by w domu pojawiły się dzieci i by gospodarstwo było nadal pod zarządem tej samej rodziny, dzięki czemu Gunnar mógł pozostać w starszym wieku na miejscu, pod opieką dzieci, które z troszczą się też o arendę.

Wszyscy byli więc zadowoleni z tego, co ułożono. Z wyjątkiem Gunvor, ta bowiem płakała gorzko przez cały tydzień, zanim przyszło jej wobec katedralnego proboszcza wypowiedzieć „tak”, oraz z przyrzeczenia, którego trzeba było niebawem dotrzymać, by małżeństwo zostało spełnione.

Dopiero współzycie w noc poślubną czyniło małżeństwo rzeczywistym i uznanym powszechnie, także przez Kościół, za takowe. Starsze niewiasty wówczas podjęły z Gunvor rozmowę o różnych szczegółach i opisały męki i obowiązki młodych kobiet, kiedy już się to wydarzy, aż w końcu Gunvor zakryła sobie uszy, aby nie słuchać dłużej o tak strasznych rzeczach.

Usilnie prosiła ona wcześniej swego ojca, Tyrgilsa, by uchronił ją przed owym obmierzłym mężczyzną i pozwolił jej na poślubienie innego Gunnara, który był trzecim synem dziedzica sąsiedniej posiadłości Langavreten. Rozmawiała na ten temat z tamtym młodzieńcem i oboje pragnęli, żeby tak się stało.

Usłyszawszy o tym, jej ojciec, Tyrgils, wpadł jednak w gniew i oznajmił, iż na taki układ nie mógłby przystać, jako że Langvreten było posiadłością nie mniejszą niż jego własny majątek i dlatego połączenie sąsiedzkich rodzin przy weselnym piwie wymagałoby zbyt wielkiego posagu. A jeśliby przyzwoitego posagu nie zapewnił, to okazałby się człowiekiem bez honoru. Tego problemu nie sposób było rozwiązać i prośby Gunvor nie zdały się na nic. Tyle że ojciec spróbował ją pocieszyć, zapewniwszy, iż panieńskie fochy pojawiają się, znikają i, co najważniejsze, w końcu całkiem przechodzą. I Gunvor zapomni o wszystkim, kiedy trzeba będzie wycierać nosy pierwszym dzieciom.

I oto siedziała Gunvor w ślubnej sukni, a mężczyźni, którzy znaleźli się przy weselnym stole, dolewali sobie coraz częściej, i ta panna młoda czuła jakby ukłucia igłą, ilekroć słyszała wesołe docinki i żarty na temat pokładzin, które wszyscy chcieli oglądać na własne oczy. Gdy Gunvor widziała swego małżonka, który ślinił się i bełkotał z przepicia, i był poklepywany przez mężczyzn, którzy robili nieprzyzwoite znaki, dając do zrozumienia, że miał on kutasa jak konie, na przemian drżała z zimna i oblewała się potem, a zarazem modliła się do Najświętszej Pani o szybkie zabranie jej do domu albo o łaskę nagłej śmierci, byle nie grzesznej i nie samobójczej, a takiej, która uratowałaby ją przed strasznym losem. W skrytości ducha pojmowała Gunvor jednak, iż Matka Boska nigdy by nie spełniła tak grzesznej prośby, pojmowała, że nie było dla niej nadziei, że wkrótce czekało ją, bezradną, pohańbienie przez śliniącego się starca, i mogła tylko posłusznie otworzyć się przed nim, jak pouczyły ją starsze niewiasty.

Gdy wszakże Gunvor zobaczyła, że popołudniowe słońce chyliło się już ku zachodowi, zapowiadając nieuchronne nastanie wieczoru, nagle usłyszała w swym wnętrzu wyraźne, dobitne słowa Matki Boskiej.

Gunvor krzyknęła dziko i wskoczyła na stół, po czym długim i zwinnym susem pozostawiła go za sobą i zaraz była przy drzwiach, które wiodły na zewnątrz, kiedy zaś już się znalazła poza domem, uniosła suknię i co sił w nogach pobiegła przed siebie.

Oszołomieni piwem mężczyźni przy weselnym stole nie od razu pojęli, co się stało, zresztą większość z nich, z różnych względów, nawet nie zauważyła ucieczki panny młodej. Ale po chwili wzięli się oni w garść i, chwiejąc się na nogach, chcieli rozpocząć pościg za zbiegłą, gdy tymczasem ktoś - kto, tego nigdy się nie dowiedziano - krzyknął trzy razy: „Porwano pannę młodą!”.

Wobec tego pijana zgraja cofnęła się niezdarnie po miecze i kopie, i zaczęła beładnie siodłać konie, podczas gdy zaniepokojone kobiety wypatrywały uciekającej panny młodej, która, jak sądzono, nadal biegła ku drodze do Skary.

Z przeciwka jechał powoli Arn, czując pustkę w żołądku. Nie spieszył się, bo rozumiał, że noc będzie ciemna, bez gwiazd i bez blasku księżyca, i że wypadnie mu gdzieś poszukać noclegu, a zarazem nie miał nadziei na to, by mógł dotrzeć do Arnas wcześniej niż koło południa następnego dnia.

Ale oto zobaczył biegnącą w jego stronę młodą kobietę z odzieniem w nieładzie, z dzikim wyrazem oczu i wyrzuconymi przed siebie ramionami. Zdumiony, powściągnął konia i przyjrzał się jej, nie umiejąc pojąć widoku ani też zdobyć się na jakieś przyjazne pozdrowienie.

- Ratuj mię, ratuj mię przed tymi demonami! - zawołało to dziewczę i padło ze zmęczenia na ziemię, niemal pod końskie kopyta.

Zakłopotany i wystraszony Arn zsiadł z konia. Widział wyraźnie, że owo dziewczę, które zaliczył do swych bliźnich, znalazło się w trudnej sytuacji, jakże jednak mógłby ją uratować?

Arn kucnął obok rozedrganego drobnego ciała i ostrożnie wyciągnął rękę, żeby pogłaskać tę kobietę po pięknych kasztanowych włosach, ale nie odważył się na to. Wtedy też ona uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, a na jej twarzy pojawił się wyraz uszczęśliwienia, po czym zaczęła dość nieskładnie mówić o jego łagodnych oczach, o Pani naszej, która zesłała jej anioła-wybawiciela, i jeszcze o czymś, aż przyszło mu na myśl, że pewno postradała zmysły.

W takiej sytuacji zastali pijani, rozjuszeni weselni goście zbiegłą pannę młodą i tego, co ją porwał. Pierwsi mężczyźni, którzy zsiadli z koni, zaraz do-



padli pannę młodą i zaczęła ona przeraźliwie krzyczeć, tak więc związali jej stopy i dłonie, i zatkali usta, dwaj mężczyźni trzymali Arna, który miał ręce na plecach i siłą przygiętą głowę. Nie stawiał oporu.

Niebawem dotarł tam sam pan młody, Gunnar z Redebergi, i od razu otrzymał od kogoś' miecz, jemu bowiem przysługiwało prawo zabicia porywacza oblubienicy, schwytanego na gorącym uczynku. Na widok uniesionego miecza poprosił Arn pokornie, by pozwolono mu najpierw zmówić modlitwy, i zebrani, którzy sapali jeszcze ze zmęczenia, uznali, że nie godziłoby się nie spełnić takiej chrześcijańskiej prośby.

Padając na kolana, Arn nie lękał się, był tylko zdziwiony. Czyżby Bóg ocalił mu życie po to jedynie, aby zginął niewinnie, uśmiercony przez pijaną zgraję, przez ludzi, którzy chyba uwierzyli w jego złe zamiary wobec owej niewiasty? Takie przypuszczenie było zbyt głupie, by mogło odpowiadać prawdzie, toteż Arn nie modlił się o własne ocalenie, lecz o to, by ci nieszczęśliwi bliźni, którzy po prostu przez błędne mniemanie gotowi byli popełnić śmiertelny grzech, opamiętali się.

Arn wyglądał pewno żałośnie, kiedy modlił się na klęczkach, jak wszyscy tamci mężczyźni sądzili, o zachowanie życia, które miało się niebawem skończyć, kiedy czynił to jako nie w pełni jeszcze mężczyzna, z meszkiem na policzku, z wypłowiałym brązowym kapturem mnicha i wyraźnymi śladami tonsury na głowie. Na ten widok ktoś zaczął się modlić w intencji Arna, wierząc, B że wesprze tego nieszczęśnika w jego modlitwie. Ktoś inny stwierdził, iż nie po męsku byłoby zabić bezbronного chłopca w mnisim odzieniu, należałoby przynajmniej dać mu miecz, aby mógł się bronić i umrzeć, jak przystało na mężczyznę. Te słowa wywołały szum aprobaty i Arn zobaczył niespodziewanie, że tuż przed nim spadł na trawę krzywy i krótki miecz skandynawski.

Zanim Arn podjął miecz, żarliwie podziękował Bogu, pojął bowiem, iż ocaleje.

Teraz Torkel, proboszcz z katedry w Skarze, podszedł tak blisko, że wyraźnie widział, co się działo, i od tej chwili wszystko, co zobaczył - albo mniemał, że zobaczył - nabrało wielkiego znaczenia.

Otóż gdy Gunnar z Redebergi rzucił się z wniesionym mieczem do ataku, by czym prędzej położyć kres nieszczęściu, które zakłóciło mu ucztę weselną, przekonał się on, iż bił w powietrze, i nie rozumiał przyczyny, a nie miał siebie za bardzo pijanego.

Jeszcze raz zadał cios bez trafienia, potem jeszcze raz i po raz trzeci.

Arn dostrzegł to, że ów mężczyzna naprzeciw niego był bezbronny, i przypuścił, iż miało to swą przyczynę w opilstwie. Pomyślał też, że tak jest lepiej, bo nie będzie musiał skrzywdzić bliźniego.

Tymczasem Gunnarowi z Redebergi wydawało się owo zdarzenie złym snem. Wzbudził już śmiech u sąsiadów i miał wrażenie, iż jego przeklęty przeciwnik był demonem, jakkolwiek bowiem sam uderzał, ów znajdował się gdzie indziej, choć nie uciekał, wciąż był w jakimś innym miejscu.

Arn krążył spokojnie, zwodząc przeciwnika i dzierżąc miecz w lewej ręce, gdyż brat Guilbert zawsze zwracał uwagę na to, że ciosy zadawane lewą ręką najtrudniej parować. Sam nie musiał zbyt często się bronić, wystarczało się wciąż przesuwać, a liczył też na rychłe znużenie starca i na to, że ów zrezygnuje i że nikt nie poniesie szkody, skoro w dzieło uratowania ich wszystkich wmieszał się Bóg.

Tymczasem upokorzony i mocno wystraszony Gunnar z Redebergi poprosił starego wojownika Joara, by ten wsparł go w słusznej sprawie, a że powagę ślubu spostonowano już ponad wszelką miarę i dlatego, iż doświadczony w walce na miecze Joar dostrzegł proste wybiegi chłopca, tenże Joar postanowił włączyć się do walki, aby rychło zakończyć całą tę sprawę. Rozpaczliwe protesty proboszcza nie na wiele się zdały.

Nagle Arn znalazł się w niebezpieczeństwie i, wystraszony, przerzucił miecz do prawej ręki, wykonał raptowny obrót i obronił się dwoma szybkimi wypadami, po raz pierwszy zadawszy prawdziwe ciosy.

Po chwili Gunnar z Redebergi upadł z rozciętą szyją, a Joar osunął się z jękiem na ziemię, trafiony w brzuch.

Wszyscy zebrani stali teraz jak wryci. Goście weselni, wszyscy bez wyjątku, zobaczyli na własne oczy coś nierealnego, czyli coś, co zakrawało na cud.

Arn zaś zdrętwiał z przerażenia, gdyż, pomny częstego szlachtownia zwierząt, aż nazbyt dobrze widział, że człowiek, który go zaatakował, wykrwawiał się na ziemi, a drugi, sprawny w robieniu mieczem, był śmiertelnie ranny. Zdruzgotany swymi niegodziwościami, upuścił Arn miecz i pochylił głowę w modlitwie, przygotowany na to, że ktoś z obecnych słusznie mu ją za chwilę zetnie.

Wszakże proboszcz wznosił ręce ku niebu i zaintonował psalm, czym bodaj na krótko udaremnił kolejne ataki na Arna. Potem zaś ów ksiądz, natchniony cudem, który właśnie oglądano, mówił surowym tonem o tym, iż zapewne całkiem niewinny człowiek przez swą niewinność zaznał Bożej opieki, oraz

o tym, że sam widział wyraźnie archanioła Gabriela, który stał za bezbronnym chłopcem i prowadził jego ramię gwoli obrony. Niejeden z obecnych przyznał niebawem, iż był świadkiem tego samego, zaiste cudu Bożego, świadkiem starcia chłopca w mnisim odzieniu z dwoma dorosłymi wojownikami.

Pannę młodą, która jednak odzyskała wolność, rozwiązano i również ona padła na klęczki, by podziękować Bogu za to, że zesłał kogoś, kto ją w ostatniej chwili uratował. Odśpiewano kilka psalmów, lecz Arn nie zdołał się włączyć w ten śpiew.

Później proboszcz wypytał Arna o to, skąd pochodzi, i postanowił osobiście towarzyszyć biednemu mniszce w powrotnej jego drodze do Varnhem, a ponadto zarządził, by poniesiono zwłoki Gunnara z Radebergi do jego domu i tam je złożono, i do owego domu miał też trafić, na noszach, ciężko ranny Joar.

Następnie ksiądz przyjrzał się obecnym surowym wzrokiem i spytał, kto trzy razy krzyknął, że porwano pannę młodą. Wszyscy jednak patrzyli w ziemię i nikt nie odpowiedział. Ksiądz zapytał więc, czy faktycznie ktoś wierzył w to, że ów braciszek z Varnhem był porywaczem panny młodej, ale nikt się nie zgłosił.

\*\*\*

W pewien dosyć ciepły jesienny poranek, gdy klony, dęby i buki wokół klasztoru zaczęły się już złocić i przyoblekać w czerwień, na drodze do Yarnhem pojawiła się bardzo niedobrana para jeźdźców.

Ksiądz Torkel był w świetnym humorze, ponieważ Bóg raczył dozwolnić, by ujrzał jeden z Jego cudów na tym świecie. Była to szczególna łaska.

Arnowi, który od czasu swej niegodziwości pościł i nie chciał spędzać nocy nigdzie indziej, jak tylko w katedrze, i to na modlitwie, zszarzała twarz i czuł on brzemie swego ciężkiego grzechu. Wiedział przecież, iż kapłan mijał się z prawdą, kiedy mętnie rozprawiał o cudzie. Bóg okazał Arnowi łaskawość, obdarzywszy go mieczem, którym mógł się bronić bez niczyjej szkody. On jednak nadużył łaskawości i popełnił najgorszy z możliwych grzechów. Wiedział, że stał się potępieńcem, i dziwiło go to, iż Bóg nie pozbawił go od razu życia, kiedy dopuścił się czynu niewybaczalnego.

Gdy zostali obaj wpuszczeni za klasztorną furkę, pod dwa wysokie jesiony, które najwidoczniej stanowiły jedyną pozostałość po niegdysiejszych darach matki Arna, ten ostatni poprosił o zgodę na oddalenie się i przemknął

do przyklasztornego kościoła, aby się pomodlić o siłę potrzebną do odbycia szczerzej spowiedzi, i to w niedługim czasie.

Ksiądz Torkel ośmielił się poprosić o audiencję u ojca Henri, miał wszak nie lada nowiny do przekazania.

Doszło do dziwnej zaiste rozmowy tych dwóch mężów, nie tylko dlatego dziwnej, że ledwo się nawzajem rozumieli, ponieważ ksiądz Torkel mówił po łacinie równie kiepsko, jak ojciec Henri posługiwał się skandynawską mową, ponadto zaś proboszcz był tak podekscytowany, że nie mógł składnie opowiadać, póki ojciec Henri nie poprosił, by się uspokoił, napił wina i zaczął od nowa.

A gdy ojciec Henri pojął już, do jakiej katastrofy doszło, nijak nie potrafił zrozumieć radości i zachwytu proboszcza.

To, że Arn nie mógł być porywaczem panny młodej, było oczywiste, ale bardzo trudno przyszło ojcu Henri uzyskać od skandynawskiego kolegi, człowieka niezbyt wykształconego, wyjaśnienie przyczyny tego, iż w ogóle posądzono Arna o taki czyn.

Całkiem zrozumiały był również późniejszy tok zdarzeń: czyjś feralny pomysł, by rzucić Arnowi miecz, oraz uśmiercenie jednej osoby i nieomal agonia drugiej. A skoro tak się stało, to ojcu Henri nasunęła się myśl bluźniercza - Bóg Ojciec brzydko zadrwił z zebranych tam gości weselnych. Albo raczej ukarał ich okrutną bezmyślnością, gdy przerażona niewiasta wzięła nogi za pas, oni zaś nie omieszkali uznać za porywacza panny młodej pierwszego człowieka, którego napotkali na drodze. To, co potem się działo, było zaiste barbarzyństwem, tym bardziej nagannym, że mniemali oni, iż mieli prawo bez ceregieli zabić napotkanego człowieka. Cóż, z drugiej strony, takie prawa obowiązywały w owych stronach, ci nieszczęśnicy o duszach, które pobłądziły, działali przeto w dobrej wierze.

Najtrudniej jednak przyszło ojcu Henri przełknięcie pychy nieuczzonego kolegi, który wyobrażał sobie, iż dostąpił oglądania cudu z postacią archanioła Gabriela za plecami Arna, archanioła pomagającego zabić mieczem.

Ojciec Henri skomentował to półgłosem tak oto: jeśliby archanioł Gabriel rzeczywiście widział, co się święciło, to pospieszyłby z pomocą owym mordercom, które przypominały zwierzęta, nie zaś Arnowi. Głośno taką myślą się nie podzielił.

Owo wyobrażenie o cudzie stało się jeszcze bardziej kłopotliwe przez to, że ksiądz Torkel poprosił o udział klasztoru w starannym opisanu jego opowieści o cudzie, póki wszystko dobrze pamiętał, nawet imiona świadków.

W pierwszej chwili ojciec Henri odpowiedział na tę prośbę wymijająco, poprosił bowiem o wyjaśnienie, jak wedle tamtejszego prawa trzeba by oceniać zachowanie Arna, tak więc ksiądz Torkel musiał na dłużej zapomnieć o swej prośbie o pomoc skrybów.

Wedle miejscowych praw należało zabić porywacza panny młodej, jeśli by go schwytano na gorącym uczynku.

Z jednej strony, prawo stanowiło, iż gdyby dwunastu mężów uznało Arna za niewinnego i potwierdziło, że nastąpił cud, to Arn zostałby uwolniony przez *ting*, o ile do niego by doszło. Z drugiej strony, jeśli by za sprawą ofiary czy też, w najgorszym przypadku, z woli rodów obu ofiar *ting* musiałyby rozpatrywać ów przypadek, to spytano by, czy Arn - skoro tak brzmiało jego imię - miał jakichś przyjaciół, którzy mogliby zań poręczyć, a nie byłiby cudzoziemcami. Czy Arn znalazłby poręczycieli, czy należał do jakiegoś rodu?

-Tak - stwierdził z ulgą ojciec Henri. - Ów młodzian należy do jednego z rodów, nazywa się bowiem Arn Magnusson z Arnas, jego ojcem jest tedy Magnus Folkesson, a stryjem Birger Brosa z Bjalbo, wśród krewnych ma jurystę Eskila i tak dalej, i tak dalej. Ten chłopiec jest przeto jednym z Folkungów, choć nie sądzę, by sam zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego pokrewieństwa. Oczywiście nie będzie trudno znaleźć poręczycieli. j;

-Zaiste! Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknął ksiądz Torkel. - Nie omieszkam powiadomić krewnych ofiar, iż nie mają się czego spodziewać, jeśli by odbył się *ting*. Tym lepiej, albowiem nie odmówią poświadczenia wiarygodności relacji o cudzie!

Mimo że ci dwaj duchowni pozornie znaleźli wspólne proste rozwiązanie dla pewnego problemu prawnej natury, mieli zgoła odmienne odczucia. Ksiądz był szczęśliwy, jak gdyby uniósł się nieco nad ziemią, jego opowieść o cudzie, o którym zamierzał wiele mówić w katedrze, została bowiem ocalona i miała się znaleźć na pergaminie, pięknie wykaligrafowana przez najlepszych skrybów.

Ojciec Henri, który wiedział, że żaden cud się nie zdarzył, odczuwał ulgę z tego powodu, że Arn nie mógł paść ofiarą surowego, bezwzględnego prawa Zachodniej Gocji. Martwiła go jednak wina Arna i martwił go jego własny grzech, przypomniał sobie, iż razem z bratem Guilbertem w niemałym stopniu przyczynili się do owego zdarzenia.

- Czy teraz mogę rychło liczyć na taką pomoc skrybów, jakiej wymaga owo wielkie i ważne przedsięwzięcie? - spytał ksiądz, który zapalił się do sprawy i był w dobrym nastroju.

-Tak, oczywiście, bracie - odparł zadziwiająco powściągliwie ojciec Henri.  
- Zaraz się tym zajmiemy.

Ojciec Henri wezwał do siebie jednego ze skrybów i w języku francuskim, którym ów nieuczony ksiądz nie władał, wyjaśnił, że trzeba po prostu zrobić dobrą minę do złej gry i nie ustawać w pisaniu, niczego nie kwestionując, choćby cały tekst wydawał się bzdurny.

Skoro tylko ksiądz, głośno chwalać Pana, sprężystym, młodzieńczym krokiem odszedł w asyście do skryptorium, ojciec Henri podniósł się niechętnie, aby odszukać nieszczęsnego Arna. Doskonale wiedział, gdzie go mógł znaleźć.

Torkel, katedralny proboszcz, był człowiekiem praktycznym i wyrachowanym, zwłaszcza gdy szło mu o własne pieniądze. Oto arendarz, Gunnar z Redebergi, bardzo nie w porę zszedł z tego świata w pełni sił, i to bez potomstwa, które mogłoby przejąć dzierżawę. Jego uczta weselna została wszak przerwana w sposób doprawdy godny pożałowania.

Ochłonąwszy po wydarzeniu, w którym dostrzegł coś wielkiego, po tym, iż na własne oczy mógł oglądać cud Pański, zaczął Torkel wkrótce rozważać bardziej przyziemne następstwa tego, co się stało. Nade wszystko najpilniej potrzebował nowego skrzętnego dzierżawcy w Redeberdze.

Jako spowiednik Gunvor, oblubienicy przeznaczonej Gunnarowi i niemal zaślubionej mu w pełni, nie mógł Torkel nie wyciągnąć pewnych oczywistych wniosków z tego, co usłyszał od niej na spowiedzi. I owszem, pragnęła wcześniej śmierci dla siebie i dla przeznaczonego jej małżonka, co ów ksiądz skwitował zadaniem łagodnej tygodniowej pokuty, a prócz tego wyznała, iż jej grzeszne pragnienia wzięły się z silnego afektu, jaki skierowała ku innemu młodemu mężczyźnie, też Gunnarowi.

Ksiądz Torkel wywiedział się rychło, iż ów Gunnar z Langavreten był trzecim synem swego ojca i właściwie nie mógłby się ożenić, ponieważ trzeba by posiadłość Langavreten podzielić na trzy zbyt małe legaty. Wszakże Gunnar był krzepkim młodzieńcem, raczej skorym do pracy na roli niż do zaciągnięcia się na służbę w czyjejś drużynie zbrojnych.

Został on niezadługo wezwany przez księdza Torkela, który wysłuchał jego spowiedzi i zaraz mógł wykalkulować, jak należałoby wszystko urządzić. Ten młody człowiek darzył Gunvor nie mniej żarliwym uczuciem niż ona jego.

Tak więc najlepszym rozwiązaniem byłoby umieszczenie tych dwojga młodych ludzi w Redeberdze, jako nowych arendarzy księdza Torkela. Tyrgils z Torbjontorp, ojciec Gunvor, pewno roił sobie wcześniej, iż jego córka będzie kimś więcej niż małżonką czyjegoś trzeciego syna. Tyle że w tej nowej sytuacji nie byłoby chyba łatwo, mimo jej urody, wydać ją za męża, w całej Zachodniej Gocji rychło dowiedziano się bowiem o jej strasznym weselu. Do tego rozgłosu niemało zresztą przyczynił się sam proboszcz z katedry, gdyż zależało mu na tym, by wielu księży zawierało w kazaniach wzmianki o jego relacji z cudu. Tak więc dla Tyrgilsa, chłopca, który uprawiał własną ziemię, najbezpieczniejszym rozwiązaniem było wydanie Gunvor za męża, skoro tylko nadarzyłaby się sposobność.

Dla ojca młodego Gunnara, Larsa Koppera z Langavreten, ożenek trzeciego syna, i to po myśli chłopca, też był niezłym wyjściem. Dzięki temu obaj ojcowie mogli sporo oszczędzić na posagu i prezencie ślubnym. A oboje młodzi nie pozostawiliby pewno swych ojców w spokoju, skoro tylko uświadomiliby sobie, że trafiła im się niejako manna z nieba.

Ksiądz Torkel zasiał pierwsze ziarno w trakcie serdecznej, duszpasterskiej rozmowy z Gunvor, po czym to samo potkało z jego strony Gunnara i wtedy łatwo już było sprowadzić obu ojców i szybko załatwić sprawę. I zaraz mogły się odbyć zrzękowiny.

W obecności proboszcza z katedry, który winien był potwierdzić narzeczeństwo Gunvor i Gunnara, urządzono je w Redeberdze, i to na świętego Michała, po żniwach, kiedy nikt już nie musiał pilnować łąk. Przemawiając do obojga na owej uroczystości, gdy goście byli jeszcze dosyć trzeźwi, żeby wysłuchać sługi Bożego, upomniął ich Torkel, by mieli w poważaniu cud Pański, który jednak, wbrew przyziemnym racjom, połączył ich.

Dla Gunvor był to najszczęśliwszy dzień w życiu. Cóż to znaczyło, że czekał ją nieco mniej dostatni żywot niż w domu rodzinnym? Oto siedziała jako narzeczona na plecionym krześle, mając przy sobie właściwego Gunnara, któ-



rego uważała wcześniej za bezpowrotnie straconego. Najgłębszą rozpacz zastąpiło w życiu owego skowronka niebiańskie szczęście. Temu Gunnarowi, z którym była teraz zaręczona, odda się jak najchętniej - raczej bolała nad tym, iż musieli się uzbroić w cierpliwość, by to przeżyć, aż do wesela przewidzianego na wiosnę. Takie brzemie łatwo jednak było udźwignąć, wszak gdyby sprawdziły się obawy Gunvor z najczarniejszych chwil jej życia, każdego wieczoru leżałaby pod ohydny starcem. Tak przynajmniej przedstawiały jej owo nieszczęście wszystkie starsze niewiasty.

Ona i Gunnar mogli teraz chodzić własnymi drogami i spotykać się do woli, byleby ktoś był w pobliżu. A po kilku godzinach uczty z okazji zaręczyn wyszli razem, by obejrzeć zachód słońca. Trzymali się za ręce i czuli się tyleż zadowoleni, co szczęśliwi w obliczu tego, że czekało ich wspólne życie, wspólna starość i śmierć, co prawda na mniejszym gospodarstwie niż to, które znali z lat dziecińczych, ale przecież zawsze razem.

Dość kłopotliwa sprawa, o której Gunvor chciała teraz wspomnieć, nie spotkała się bynajmniej ze sprzeciwem narzeczonego i zaraz poczuła ona ulgę.

Oczywiście Gunvor była dozgonnie wdzięczna Najświętszej Paniencie za uratowanie jej od nieszczęścia w ostatnim momencie. I oczywiście nigdy by nie zaniedbała przypomnienia tego w modlitwie.

Chociaż jednak człowiek jest tylko narzędziem w ręku Boga i nic nie może się zdarzyć wbrew Jego woli, i wszelka wdzięczność należy się właściwie Jemu jednemu, Gunvor nie przestawała myśleć o młodzieńcu, który stał się takim Bożym narzędziem. Prezentował się on doprawdy żałośnie z tym swoim wypłowiałym mnisim kapturem, gdy tamci pijacy przygięli mu kark, by skrócić go o głowę. Potem wszakże wybawił ją z opresji, stał się wybawcą ich obojga.

Dlatego też chciała Gunvor, aby oba otrzymane w zaręczynowym prezencie cisawe konie podarowali klasztorowi w Varnhem, aby ponadto wybrali się tam i wyrazili wdzięczność owemu niepozornemu braciszкови, który z narażeniem własnego życia bronił ich szczęścia.

Jej Gunnar uznał to za przednią myśl i pochwalił ją za ten pomysł, zaproponował też zaraz, iż w owej intencji wyruszy do Varnhem razem z nią.

Ich postanowienie miało się okazać zapowiedzią radosnego ukojenia duszy młodzieńca, który nie był ani tak niepozorny, ani tak godny pożałowania, jak zapamiętała go Gunvor.

\* \* \*

Brat Guilbert spędził sześć dni pod rząd w kuźni, w której wykonywano miecze, i pracował jakby w gorączce albo pod wpływem szaleństwa, albo też z Bożej inspiracji. Większości innych obowiązków nie wykonywał co prawda właściwie wcale, lecz ojciec Henri nie wspomniał o tym ani jednym słowem, toteż w owych dniach stale słychać było w Varnhem uderzenia młota kowal­skiego, i to niejedną raz nawet w porze modlitwy.

Już dawno jednak nie zdarzyło się bratu Guilbertowi wykuwać miecza no­wym sposobem, bo i nie miałyby sensu sprzedawanie tej broni skandynawskim barbarzyńcom, którzy nie mogliby nawet marzyć o tym, by zapłacić za taki wy­rób tyle, ile był naprawdę wart. Zresztą niezbyt też potrzebowali damasceńskich mieczy, skoro ledwo umieli się posługiwać własnymi.

Wyrabiając miecze na skandynawską modłę, używał brat Guilbert trzech rodzajów żelaza, które łączył po wielokrotnym wyważeniu i wyrównaniu pro­porcji. Owa mieszanina pozwalała osiągnąć pewną giętkość, a równocześnie nadać ostrzu połysk i wzorzystość po myśli Skandynawów, dla nich bowiem miecz prezentował się tym piękniej, im lepszy wzór udało się uzyskać. Naj­chętniej widziano węże jako wzory, które ukazywały się, gdy kto tchnął na nagi miecz. Tak czy inaczej brat Guilbert zapewniał większą trwałość owej broni niż zwykło się spotykać na tych peryferiach świata.

Tymczasem miecz, nad którym brat Guilbert pracował teraz, i to w świę­tym zapamiętaniu, miał w sobie od samego początku rdzeń w postaci har­towanej stali. Ludziom z Północy nie była znana sztuka przemieniania żelaza w stal. Gwoli osiągnięcia swego celu użył brat Guilbert doprawdy najlepszego że­laza i na trzy doby otoczył je węglem, skórą i cegłami, aby dokonała się prze­miana. Następnie wlał ów stalowy rdzeń, który był błogosławieństwem, w war­stwę większego żelaza. Szło o to, by brzeszczot nadawał się dzięki swej ostrości nawet do wystrzyżenia głowy zakonnika. Z każdym kolejnym uderzeniem młota o kowadło i z każdą kolejną modlitwą powoli, ale niezawodnie powstawało arcydzieło, któremu równe znalazłoby się tyl ko w samym Damaszku albo *outré-mer*, w owych zamorskich krajach, gdzie tacy jak on przyswoili sobie sa­raceński kunszt - brat Guilbert miał mieszane uczucia co do Saracenów, a jed­nak roztropnie unikał wdawania się w dyskusje o nich. Choć w ojcu Henri wi­dział najmądrzejszego i najłagodniejszego przeora, jaki mógł się trafić takiemu grzesznikowi jak on, żywił przekonanie, że żadną miarą nie byłoby politycznie rozmawiać z tym przeorem o Saracenach.

Szóstego dnia pracy Guilbert zdziałał już wiele, gdy przeszkodził mu pewien brat-laik, po którym widać było przestach, jeszcze większy, kiedy dostrzegł on dziwaczny wygląd Guilberta, jego wybałuszone oczy i zmierzwione włosy. A przysłał owego brata-laika ojciec Henri, który wzywał na spotkanie tak pilne, że praca w kuźni musiała poczekać.

Brat Guilbert zaraz też ją przerwał i poszedł do łaźni, aby okazać się godnym tego, by stanąć przed obliczem przeora.

Ojciec Henri czekał na niego w skryptorium, drugim miejscu, które sobie upodobał. Mimo jeszcze dość wczesnej jesieni wieczory były chłodne, a do zimnej pory na Północy nie zdołał ojciec Henri przywyknąć. Dlatego też skryptorium musiało zastąpić kamienne ławy krużganka, tuż obok ogrodu.

- Dobry wieczór, drogi Wulkanie - padły z ust ojca Henri żartobliwe słowa powitalne, gdy obmyty, ale jeszcze parujący brat Guilbert zapukał, zanim wszedł drzwiami obliczonymi na ludzi znacznie mniejszej postury.

- Skoro tak, to witaj, drogi ojczy Jowiszu - odpowiedział w podobnym tonie brat Guilbert i nie czekając na zaproszenie, siadł na wprost pulpitu, przy którym stał, coś rysując, ojciec Henri.

Po chwili milczenia ów zakonnik dokończył swoje esy-floresy, powoli osuszył pióro i odłożył je. Następnie odchrząknął tak, iż brat Guilbert potrafił - nie inaczej niż wielu innych w Varnhem czy w Szkole Życia - rozpoznać w tym zapowiedź dłuższego wywodu.

- Niebawem wysłucham spowiedzi naszego syna, Arna - głęboko odchrząknawszy, zaczął mówić ojciec Henri. -1 udzielię mu rozgrzeszenia. Od razu. On nie będzie się tego spodziewał ani też go tym nie ucieszę, jest bowiem pełen skruchy i nie przestaje przejmować się swoim grzechem i... zresztą to wszystko potrafisz sobie wyobrazić. Wiedz wszakże, mój prawdziwie umiłowany bracie, iż zawczasu wniknąłem we własne wnętrze i doszedłem do wniosku, który okazuje się nie całkiem przyjemnym dla ciebie i dla mnie. Otóż wina za to, co się stało, spada raczej na nas obu niż na Arna. Oczywiście mamy do czynienia ze sprzecznością między, z jednej strony, prawem świeckim tej części świata, które nam może się wydawać zaiste barbarzyńskim, jest jednak prawem. Po przeciwnej stronie pozostaje prawo Boże. Żadne z nich, ani świeckie, ani boskie, nie potępia Arna. W twoim i moim przypadku idzie o delikatniejszą materię, i teraz już wiesz, do czego zmierzam. Zechciej się powstrzymać od przypominania, co kiedyś mówiłem!

- Z należną pokorą, ojcze, zauważę, iż idzie o to, co ja mówiłem - odpowiedział natychmiast brat Guilbert. - Powinniśmy byli ujawnić mu jego tożsamość. Gdyby wiedział, kim jest, zanim spotkał owych pijanych włościan...

- Tak, wiem, nikt nie musiałby ucierpieć! - przerwał ojciec Henri, a w jego głosie było więcej rozpaczy niż irytacji. - Jakkolwiek się sprawy mają, postąpiliśmy tak jak postąpiliśmy, i teraz musimy rozważyć skutki. Ja sam winienem podjąć starania o to, by Arn potrafił pojąć, iż wedle prawa Bożego uzyskał wybaczenie, a nie sądzę, iżbym mógł to łatwo osiągnąć. Tak mi dopomóż Bóg, prawdziwie bowiem umiłowałem tego chłopca! Gdy opuszczał nas, ruszając w drogę do domu swego ojca, był to człowiek bez grzechu, takich zaś spotyka się rzadko...

- Perceval - wyszeptał brat Guilbert, który się zamyślił. - Zaiste młody Perceval.

- Któż to taki? Ach, pojmuję, niech i tak będzie - również półgłosem odezwał się ojciec Henri, nieco zbity z tropu swoich myśli. Na chwilę zamilkł, nim powrócił do rozmowy.

- Otóż, bracie Guilbercie, jako twój przeor polecam ci, co następuje. Gdy Arn przyjdzie ode mnie do ciebie, powiesz mu, kim jest, i wyjaśnisz wszystko, czego ja wyjaśnić nie mogłem. Czy pojmujesz, co mam na myśli?

- Oczywiście pojmuję twą intencję, ojcze, i w pełni zastosuję się do twego polecenia - odrzekł z wielką powagą brat Guilbert.

Znów zamyślony ojciec Henri skinął w milczeniu głową i, podniósłszy się, pomachał przyjacielowi na pożegnanie. Brat Guilbert pozostał tam na dłużej, modląc się o siłę potrzebną po temu, by przekonująco wykonać otrzymane właśnie polecenie.

\* \* \*

Dziewięć dni spędził Arn w jednej z gościnnych cel klasztoru w Varnhem. Wyrzekł się jednak wszystkiego, co przysługiwało gościom, mianowicie porządnego siennika, pikowanej kołdry w czerwonym kolorze czy też owczej skóry, ponadto sam sobie narzucił milczenie i życie o chlebie i wodzie.

Ojciec Henri zastał go bladym, z czarnymi podkowami pod oczyma i pełnym smutku wzrokiem. Nie sposób było przewidzieć, co ów młody człowiek powie i jak się zachowa, ani nawet odgadnąć, czy pozostawał przy zdrowych zmysłach i czy zrozumiałby to, co go czekało niebawem. Ojciec Henri po-

stanowił na początek wystąpić tylko zgodnie ze swą funkcją i powstrzymać się zarówno od pocieszania, jak i od surowości.

- Oto jestem gotów wysłuchać twojej spowiedzi, synu - oznajmił ojciec Henri, po czym przysiadł na twardej drewnianej pryczy i gestem dłoni wskazał Arnowi miejsce obok siebie.

- Proszę ojca o wybaczenie mojego grzechu - zaczął Arn, ale musiał przerwać, aby dyskretnie odchrząknąć, gdyż dziesięciodniowe milczenie odebrało mu pewność mowy. - Popeliłem najcięższy z możliwych grzechów i nie mam nic na swe usprawiedliwienie. Uśmierciłem dwóch mężów, choć wiedziałem, że dla mej duszy byłoby lepiej, gdybym sam umarł i spotkał Pana Jezusa bez tego grzechu na sumieniu. I dlatego gotów jestem przyjąć każdą pokutę i karę, jaką mi wyznaczysz, ojcze. Żadna też, moim zdaniem, nie byłaby nazbyt surową.

- Czy to wszystko? Nie pozostało nic więcej do rozważenia? - spytał niefrasobliwym tonem ojciec Henri, zarazem zażenowany tym, że jego słowa zabrzmiały tak, jakby nieomal drwił ze strasznych duchowych mąk młodzieńca.

- Nie... To wszystko... to znaczy, miałem złe i niestosowne myśli, kiedy próbowałem kogo innego obarczyć winą, tyle że wszystko to znalazło już wyraz w moim wyznaniu - odpowiedział z widocznym zakłopotaniem Arn.

Ojciec Henri poczuł naraz ulgę z tego powodu, że Arn miał jednak dość przytomności umysłu, by rozsądnie odpowiedzieć na pytanie, które mogło go zbić z tropu. Oto więc została okazana łaska Boża, jakże często będąca czymś ponad ludzkie pojmowanie. Ojciec Henri odetchnął głęboko i po raz ostatni zasięgnął rady u Pana Boga, czy należy wypowiedzieć dwa słowa o decydującym znaczeniu. Krótce odczekawszy, poczuł w swym wnętrzu wsparcie, jakiego potrzebował od Boga.

- *Te absolvo*, wybaczam ci, synu, w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego - rzekł ojciec Henri, po czym uczynił znak krzyża wpierw wobec Arna, potem zaś wobec siebie samego.

Arn wpatrywał się weń jak zaczarowany, nie potrafiąc zrozumieć tego, co usłyszał. Ojciec Henri poczekał na to, by *sens* wypowiedzianych słów zapadł Arnowi głęboko w duszę. A później długo odchrząkiwał, tym razem całkiem świadomie dając znak, iż nastąpi objaśnienie.

- Nasz Pan okazuje zaiste wielką łaskę i oto jesteś, synu, człowiekiem prawdziwie wolnym od grzechu. Jako twój spowiednik i pokorny sługa Boży,

z Jego pomocą przebaczyłem ci. Niechaj ucieszy nas ta wielka łaska, lecz niech nasza radość nie będzie powierzchowna. Trzeba ci wiedzieć, iż ja zasięgałem rady u Boga nie krócej niż tyś to czynił w samotności. I jeśli, być może, usłyszałeś od Boga co innego aniżeli ja, to kryje się pewno i za tym jakiś zamiar, mieliśmy wszak do czynienia ze sprawą wielce trudną, najtrudniejszą, odkąd spowiadam ludzi. Męka, którą przeżywałeś w owych dniach szczerzej skruchy, stanowiła zatem część próby, jakiej zostałeś poddany.

- Wszakże... chyba... nie dopuściłem się... zabójstwa? - wyjąkał Arn.

- Usłyszysz, co trzeba, jeśli nie będziesz przerywać - odpowiedział stanowczym tonem ojciec Henri, który uspokoił się już, bo uznał Arna za o wiele bardziej skorego do rozmowy niż się obawiał. - W tym oto przypadku widać dwoistość Bożego świata, a nam trzeba dostrzegać całość. Istnieje świat zewnętrzny, *extra muros*, z prawami po części nader osobliwymi. Wedle nich jesteś bez winy i to bardzo łatwo pojąć. My wszelako mamy swój świat, wyższej rangi, *intra muros*, a ten stawia nam znacznie większe wymagania. Zacznijmy od tego, iż my dwaj, brat Guilbert i ja, zgrzeszyliśmy bardziej niż ty, co się tyczy owego zabójstwa. Zaraz objaśnię to obszerniej. Musimy jednak także spojrzeć na twój postęp z wyższego, Bożego punktu widzenia, mimo że nam, nieszczęsnym grzesznym ludziom doprawdy trudno się na to zdobyć i musimy starać się pojąć Bożą intencję. Mogę cię zapewnić, że nie z powodu tego postępu okazał ci Bóg szczególne zainteresowanie. Nadal czeka cię wielkie zadanie w toku twego żywota, jakie - tego nie wiemy. Tymczasem Bóg posłużył się najpraktyczniejszym narzędziem, jakie miał pod ręką, aby ukarać ludzi, którzy ciężko zgrzeszyli. Tak właśnie było: zmusili oni młodą niewiastę, Gunvor, którą poznałeś w drodze, do ożenku z kimś, kto budził w niej odrazę, a zmusili ją dla własnej przyjemności i korzyści. Gdy w rozpaczy próbowała uniknąć niechcianego losu męczennicy, zapalali oni gniewem i pragnęli zabić każdego, kto by stanął na ich drodze, później zaś kłamliwi uznali pierwszego napotkanego człowieka za porywacza panny młodej, którego wedle ich praw mogli pozbawić żywota. Ujrzawszy to, Bóg się rozgniewał i ciebie postawił na drodze owych grzeszników, iżbyś ich ukarał tak, jak On jeden może ukarać. Toteż Torkel, proboszcz z katedry, nie całkiem mijał się z prawdą, gdy mówił, iż widział anioła, który poprowadził twą rękę, choć cała ta gadanina o cudzie *et caetera, et caetera*, jest oczywiście bez sensu. Byłeś Bożym narzędziem i wykonawcą Jego wyroku, a chyba nie mógłbyś się nim stać, gdybyśmy cię nie zwiedli razem z bratem Guilbertem. I dlatego uzyskałeś teraz przebaczenie i jesteś bez grzechu, synu. Dziś kończy się twój

post, lecz wieczorem zachowaj pewną ostrożność z jedzeniem, po tak długim poszczeniu nie trzeba się objadać. Otóż to. Wszystko już powiedziałem.

Arn nie odpowiadał przez dłuższą chwilę i ojciec Henri pozwolił mu pograżyć się we własnych myślach, gdyż to, co zostało powiedziane, nie mogło utkwić w świadomości Arna od razu i dopiero po jakimś czasie należałoby dalej rozprawiać o tym samym albo poruszyć inny temat.

Nie było Arnowi trudno dopatrzeć się formalnej logiki w wywodzie ojca Henri. Wszakże taka logika wymagała tego, by każdy jej element konstrukcyjny wynikał z bezwzględnej zgodności z prawdą i pokory wobec Boga. W przeciwnym przypadku przemieniłaby się w pustosłowie. Arn poczuł niezadługo wstyd z powodu swej pierwszej myśli, gdy padły owe dwa słowa przebaczenia, tej mianowicie, iż ojciec Henri w imię nadmiernej miłości do swego syna odstąpił od swoich przekonań, iż w obliczu tego właśnie przypadku wykoncypował sobie szczególną łagodność, której w innej sytuacji nie okazałby. Taki sposób myślenia o ojcu Henri był niewłaściwy i gdyby Arn przy tym obstawał, nie na długo pozostałby wolnym od grzechu po uzyskanej absolucji. A w tym akurat momencie nie mógłby od nowa zacząć spowiedzi.

- I oto doszliśmy do kwestii grzechu, jaki obciąża nas obu z bratem Guilbertem, i naszej części winy za to, co się stało - stwierdził z westchnieniem ojciec Henri. - W tamtym, zewnętrznym świecie rozróżnia się ludzi i w różny sposób ocenia się ich, tak jakby nie wszyscy byli jednakowo obdarzeni duszą. A więc inaczej niż u nas, gdzie każdy jest wart raczej mniej niżli więcej w porównaniu z którymkolwiek bratem. Tamci z zewnątrz nie biorą pod uwagę duszy człowieka, nie widzą w nim nade wszystko bliźniego, widzą niewolnika czy króla, jarla czy wyzwolenca, widzą męża czy niewiastę, którzy mają bądź nie mają szlachetnie urodzonych przodków, i właściwie podobnie ty i brat Guilbert oceniacie wartość koni. Tak niestety jest w owym innym świecie.

- Wszyscy mamy jednak przodków, wszyscy skądś pochodzimy i nasz rodowód sięga aż do Adama i Ewy, i wszyscy przecież byliśmy nagimi ludźmi w chwili narodzin - z niejakim zdziwieniem w głosie zaoponował Arn.

- Tak, wszyscy mamy przodków, a jakże. Zgodnie z owym sposobem oceniania antenaci niektórych ludzi górują nad innymi, a są i tacy, co mają bogatszych antenatów, i tam, w zewnętrznym świecie, dziedziczy się majątek.

- Skoro tedy ktoś się urodził w bogactwie, to i pozostaje zamożnym, a skoro ktoś posiada lepszych przodków, to i bez własnego wysiłku przewyż-

sza innych? I pewno nie odgrywa żadnej roli, czy jest się dobrym, czy złym, mądrym czy głupim, mimo wszystko pozostaje się kimś znaczniejszym? - zastanawiał się Arn, a wyglądał zabawnie z tą swoją miną dociekliwego człowieka, gdy czynił ów pierwszy, niepewny krok na drodze ku poznaniu świata zewnętrznego.

- Właśnie tak jest i dlatego dziś są tacy, którzy mają niewolników, z tego zdajesz sobie pewno sprawę? - rzekł ojciec Henri.

- Taak... - z wahaniem w głosie odpowiedział mu Arn. - Mój rodzony ojciec posiadał niewolników. Od dawna nie przychodziło mi to na myśl, jakby szło o coś, czego pamięć nie pochwała, podczas wieczornych modlitw myślałem przeważnie o matce, rzadziej o ojcu, zaś o tym, że miał niewolną służbę, nigdy nie zdarzyło mi się pomyśleć. Wszakże tak było. Przypominam sobie teraz, iż pewnego razu ojciec uciął głowę jednemu z niewolników, nie pamiętam już, dlaczego, lecz nigdy nie zapomnę tamtego widoku.

- Cóż, sam widzisz. Obawiam się zresztą, że twój ojciec nadal posiada niewolników. Pochodzi on bowiem ze znaczniejszego rodu, toteż, dobrze to sobie rozważ, i ty masz takie pochodzenie. Na płycie grobowej twej matki znajdują się dwa herby, które pewno widziałeś, nigdy zresztą o tym nie rozmawialiśmy. Jeden z nich, herb twojej matki, ukazuje łeb smoka i miecz. Natomiast herbowym znakiem twego ojca jest stojący lew. Ten herb posiadają Folkungowie, do których zatem również należysz, chociaż prawdopodobnie nie wiesz, co to oznacza.

- Niece... - przeciągnął Arn i faktycznie widać po nim było, że nawet nie umiał sobie wyobrazić, iż mógłby się okazać kimś innym niż dotąd, ani też pojąć istoty tego.

- Konkretnie ma to takie oto znaczenie - zaczął natychmiast ojciec Henri. - Przysługuje ci prawo jeżdżenia konno z mieczem, masz prawo nosić tarczę z herbem Folkungów i gdyby tak wyposażonym zobaczyli cię tamci grubianie, nawet by nie marzyli o zaatakowaniu ciebie, a jeślibyś nie miał przy sobie miecza bądź tarczy z herbem Folkungów, wystarczyłoby, iżbyś podał swe imię, które brzmi: Arn Magnusson z Arnas, a ich zapal do walki obróciłby się zaraz wniwecz. Nigdy dotąd ci tego nie ujawniałem, nigdy nie powiedziałem, kim jesteś w oczach świata zewnętrznego, i niesłusznie to przemilczałem. Jeśli w ogóle mam coś na swe usprawiedliwienie, to oczywiście stało się tak po części z tej przyczyny, iż my tutaj inaczej postrzegamy bliźniego aniżeli tamci ludzie, którzy żyją w świecie zewnętrznym. Nie chciałem



też wodzić cię na pokuszenie, iżbyś kiedy nie wmówił sobie, że znaczysz więcej. Ufam, że potrafisz to pojąć i być może nawet wybaczyć.

- Jednak to nie może przecież sprawić, iż stanę się kim innym? - podzielił się swymi wątpliwościami Arn. - Jestem takim człowiekiem, jakim zostałem stworzony przez Boga, takimiż ludźmi są wszyscy inni, czy ty sam, czy owi niewolnicy w świecie zewnętrznym, nie jest to ani moja wina, ani zasługa. A poza tym, dlaczego tamci nieszczęśnicy, którzy chcieli mię uśmiercić, mieliby się cofnąć, usłyszawszy me imię? W ich oczach tak czy inaczej byłem wszak braci szkie m, niezdolnym do posłużenia się mieczem, czemuż tedy miałyby ich owo imię wystraszyć?

- Otóż dlatego, że jeśliby podnieśli rękę na ciebie, żaden z nich nie doczekałby więcej niż kilku jeszcze zachodów słońca. Ani jeden spośród nich. Mieliby przeciw sobie cały ród Folkungów, twój ród. A żaden włościanin w całym tym nieszczęsnym kraju nawet nie uroiłby sobie takiego głupstwa. Tak właśnie jest tam, na zewnątrz, czas już, byś zaczął przywykać do tej myśli.

- Lecz ja nie chcę dostosowywać mych myśli do porządku, który okazuje się tak nierozsądnym i złym, ojczu. Nie chcę również żyć w takim świecie.

- Musisz - stwierdził zwięźle ojciec Henri. - To bowiem zostało ci przeznaczone. Niezadługo powrócisz do owego odmiennego świata i to ci nakazuję.

- Wobec tego polecenia okażę posłuszeństwo, lecz...

- Żadnych „lecz”! - przerwał mu ojciec Henri. - Nie będziesz od tej pory wygalać głowy. Już teraz zaprzestaniesz postu, na początek zachowaj jednak ostrożność w jedzeniu. Zaraz po wieczerzy pójdziesz do brata Guilberta, aby zapoznał cię on z odwrotną stroną prawdy o tobie, której również nie znasz.

Ojciec Henri z trudem wstał z odrapanej pryczy. Nagle poczuł się stary i ociężały, i po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że nastąpiła jesień życia, że ubyło piasku w klepsydrze i że, być może, nigdy się nie dowie, jaką misję przewidział Bóg dla jego umiłowanego syna.

-Wybacz mi, ojczu, iż zadam jeszcze jedno, ostatnie pytanie, nim odejdziesz - odezwał się Arn, którego twarz świadczyła o wielkim wysileniu myśli.

- Oczywiście, zadaj, synu, tyle ostatnich pytań, ile zechcesz, zresztą nigdy nie ma końca pytaniom.

- Nadal nie pojmuję, na czym polegał grzech, jakiego dopuściłeś się razem z bratem Guilbertem.

-To bardzo proste, synu. Gdybyś wiedział, kim jesteś, nie musiałbyś zabijać. A wiedziałbyś, gdybyśmy ci to ujawnili. Przemilczeliśmy prawdę, ufając, iż ochronimy cię kłamstwem, a Bóg oświecił nas w bolesny sposób, że zło nie może zrodzić dobra. Takie to proste. Dobro nie może też zrodzić zła i ty nie miałeś złych zamiarów. Zobaczymy się zatem na nieszpórach!

Ojciec Henri pozostawił Arna w samotności na te godziny, których ów potrzebował dla dziękczynienia, aktu tak oczywistego, że przeor nie musiał o nim wspominać. I ledwo ojciec Henri zamknął za sobą drzwi, Arn padł na kolana, by za niezmierną łaskę ocalenia jego duszy podziękować, w należytej kolejności, Bogu, Najświętszej Paniencie i świętemu Bernardowi. Modląc się, miał Arn wrażenie, iż Bóg udzielał mu odpowiedzi, poczuł bowiem jakby ożywienie swego ciała ciepłą falą nadziei, a w końcu także coś tak trywialnego, jak zwyczajny głód.

\*\*\*

Gunvor była wręcz upojona własną dobrocią, która ją czyniła szczęśliwą. Wszak razem z Gunnarem zamierzali złożyć wielką ofiarę, pozbywając się dwóch pięknych kasztanek, czyli niemal połowy majątku, jaki posiadali, a tyle oddać, to przecież nie przychodzi łatwo. Słuszny to jednak był gest, toteż Gunvor odczuwała dumę i zadowolenie z tego powodu, że ani ona sama, ani Gunnar nie zaczęli się wahać, gdy już byli niedaleko klasztoru w Varn-hem. W rozumieniu Gunvor Najświętsza Panienska przyjęła przychylnie jej żarliwe modlitwy, lecz nie wyzwalając ją poprzez śmierć, a zsyłając braciszka, który dwoma uderzeniami miecza odmienił na zawsze życie ich obojga - jej własne i Gunnara. Czekali ich wspólne życie aż po grób i dlatego w żadnym dniu podróży nie zaniedbali dziękczynnej modlitwy do Matki Boskiej, która ją wybawiła i obdarzyła oboje tym, co było im w życiu najdroższe.

Chociaż ów braciszek okazał się więc tylko narzędziem, w porównaniu z Matką Boską tyleż znaczącym, co szufla do usuwania mierzwy, był przecież jedynym człowiekiem, do którego Gunvor i Gunnar mogli się zwrócić z podziękowaniami, a ponadto pozostawał związany z klasztorem, który stanowił w tym świecie jedyne miejsce, gdzie mogli oni z wdzięczności złożyć swą ofiarę. Ojciec Gunvor zawsze podkreślał znaczenie składanych ofiar, choć w istocie adresatami tych z jego strony byli nie tylko święci Pańscy.

Tuż za Gunnarem, a mając za plecami matkę Birgite oraz siostrę Gunnara, Krystynę, wjechała Gunvor do rectorium klasztoru w Varnhem, czyli tam,

gdzie witano przybyszów z zewnątrz, i poczuła głęboki respekt wobec owych murów, wobec pięknego kamiennego sklepienia, pod którym, niczym muzyka, rozlegało się echo końskich kopyt, wobec barwnego kwiecia w wewnętrznym ogródku, gdzie słycać też było szum wody. Gunvor popadła w uroczysty nastrój, albowiem każdy obcy, który tam się znalazł, rychło odnosił wrażenie obecności Boga w owym miejscu.

Wszyscy zsiadli z koni i uwiązali je, a wtedy podszedł do nich dyżurny receptariusz i przyjaźnie zapytał o cel wizyty. Usłyszawszy wyjaśnienie Gunnara, poprosił, by usiedli na kamiennych ławkach przy fontannie, posłał kogoś po piwo i chleb, który pobłogosławił, łamiąc się nim z przybyłymi, po czym wypowiedział słowa powitania i oddalił się, aby sprowadzić przeora.

Wypadło im czekać dość długo, ale mało co mówili do siebie w tym czasie, na wszystkich czworo podziałała bowiem cisza owego miejsca. Gunvor rozmyślała o drodze powrotnej, którą trzeba było pokonać pieszo, idąc za końmi matki Birgite i siostry Krystyny. Nie zmieniła jednak zdania, bo i cóż znaczyły dwa cisawe konie, choćby tak piękne, wobec daru Bożej miłości, przekazywanego za pośrednictwem mieszkańców klasztoru?

W głębi rectorium otworzyły się w końcu niewysokie drzwi z żelaznymi okuciami i ukazał się w nich czcigodny przeor, który podszedł do nich. Jego tonsurę otaczał wianek siwych włosów, ale w życzliwych piwnych oczach skrzyło się życie, nie wyglądał więc na swój wiek. Pobłogosławił on wszystkich, bez pośpiechu usiadł i, jak kazał obyczaj, połamał się z nimi chlebem, który również pobłogosławił, po czym zaraz przystąpił do rzeczy i zapytał, dlaczegóż to ludzie niezamożni, co łatwo rozpoznał mimo ich odświętnego odzienia, zapragnęli przekazać pilnym robotnikom w winnicy Pańskiej dar tak kosztowny. Chwilami przybyłym trudno było zrozumieć to, co mówił, gdyż używał wielu słów charakterystycznych dla duchowieństwa, z języka liturgii.

Gunnar, który powinien był wystąpić w imieniu ich wszystkich, zmieszał się, tak więc Gunvor zastąpiła go zaraz w wyjaśnieniach, co jej narzeczony przyjął bez kwaśnej miny, i opowiedziała ojcu Henri o tym, że z wielką żarliwością skierowała swą ostatnią życiową nadzieję ku Matce Boskiej, że Najświętsza Panna zesłała jej zbawcę w osobie młodego mnicha i że dzięki temu mogła liczyć na spędzenie reszty doczesnego żywota u boku najdroższego człowieka.

Przeor słuchał zrazu bardzo uważnie, przerywając opowieść pytaniami o szczegóły, których znaczenia Gunvor nie rozumiała, i już niebawem ów

czcigodny starzec rozpromienił się, jakby pod wpływem szczęścia pochodzącego

z głębi jego jestestwa. Kiwał też głową, niejako przytakując myślami, które zdążyły mu się nasunąć, i można by nawet przypuścić, iż przewidział ich przybycie; zmówił także jakąś modlitwę w swej obcej mowie.

Nieco później posłał ojciec Henri po zakonnika potężnej postury, czarnego od sadzy i ociekającego potem, i ów mnich obejrzał konie, pomrukując już to z aprobatą, już to z niezadowoleniem, po czym wyjaśnił coś przeorowi w języku całkiem niezrozumiałym.

- Bogu niech będzie chwała za wasz dobry dar - odezwał się ojciec Henri, a po tych słowach tamci czworo wsłuchali się w to, co mówił olbrzymi mnich, który podszedł z klaczą, ujął jej uzdę i zaczął przyjaznym tonem przemawiać do tego zwierzęcia, gdy tymczasem dorodny ogier raczej go nie zainteresował.

- Wielka to ofiara, a chęć obdarowania nas czymś, co sobie cenicie, zasługuje na niemały respekt - dopowiedział ojciec Henri. - Możemy jednak przyjąć jedynie klacz, a to z tej przyczyny, iż ogier nie przyda się nam do niczego. Lecz nie uważajcie, iżbym okazywał lekceważenie, dar, który pragnęliście przekazać, już się dokonał, być może zresztą Matka Boska zmiłowała się nad wami i uznała, iż ofiarowywaliście zbyt wiele. Ja zaś proszę, abyście zachowali ogiera.

Gdy tamci zastanawiali się nad odpowiedzią, ojciec Henri dał dyskretnie znak bratu Guilbertowi, który pokłonił się tamtym, otworzył drewniane drzwi, by przeprowadzić klacz, i zamknął je za sobą. Gunnar był tym bardzo zmieszany, bo z ogierem rozstałby się mniej chętnie. A że klacz zawsze stawiała pewien opór, dziwił się, że ów obcy mnich z taką łatwością ujął ją za uzdę i bez żadnego sprzeciwu z jej strony przeprowadził ją poza wąskie drzwi. Przyszło mu na myśl, że klacz poddała się, tak jak oni sami, uroczystemu nastrojowi, wywołanemu przez wstąpienie za próg jednego z domów Bożych. Nie przypuszczał, by mnisi mogli się dobrze znać na koniach.

Przekonawszy się, że szczerzy i wdzięczni goście pogodzili się z jego półowiczną odmową, ojciec Henri usiadł wygodniej i dla przyzwoitości zapytał, czy nie mógłby czegoś uczynić w zamian, na przykład przysłużyć się modlitwą.

Gunvor poprosiła wtedy, z rumieńcem na twarzy, o zgodę na to, by osobiście podziękowała owemu braciszкови, zaraz też przeprosiła za swą śmiałość i dodała, że jej narzeczonzy zapragnął tego samego.

Być może spodziewała się, iż stary zakonnik okaże niezadowolenie i uzna jej prośbę za niestosowną. Z uczuciem ulgi przekonała się jednak, iż przyjął to rozpromieniony i stwierdził, że wystąpiła ze znakomitą propozycją, po czym żwawo wstał, jakby był młodzieńcem, obrócił się na pięcie, by odejść stamtąd, ale zatrzymał się, bo przyszło mu coś na myśl.

- Spotkacie się z nim bez świadków - oznajmił z szerokim uśmiechem, który ukazał sporą lukę w uzębieniu dolnej szczeki. - Ten młody człowiek niepotrzebnie by się kępował, gdyby czuł przy sobie przeora, a nie przywykł do przyjmowania podziękowań. Lecz nie miejcie obaw, on jest jednym z was i wszystko, co powiecie, zrozumie.

Na pożegnanie ojciec Henri pobłogosławił gości i szybkim krokiem bardzo młodej osoby, coś nucąc, zniknął za dębowymi drzwiami.

Tamci siedzieli jeszcze przez chwilę, zajęci rozmową o tym, jak należałoby rozumieć słowa przeora, ale nie znajdowali objaśnienia. Pojęli tyle, iż bynajmniej nie dostrzegano niestosowności w tym, by młody mnich przebywał sam na sam z gośćmi, choćby to były niewiasty, choć nie godziło się, aby Gunvor i Gunnar ruszyli tylko we dwoje do Varnhem.

Gdy zjawił się przed nimi domyty, acz onieśmielony Arn, zobaczył zaraz Gunvor na klęczkach, która ujęła jego dłonie, co mogła uczynić, skoro obok stali jej narzeczony, matka Birgite oraz siostra Gunnara, Krystyna, po czym skierowała ku Arnowi dłuższe podziękowanie.

Wypowiadając je, przekonała się Gunvor, że dłonie, które trzymała, nie były dłońmi małego chłopca. Okazały się one szorstkie i twarde jak kamień, Gunvor odniosła wrażenie, że w swych rękach miała dłonie ojca albo jakiegoś kowala. Gdy jednak uniosła wzrok ku jasnym oczom Arna, wydało jej się, iż jego dziecięca i łagodna twarz nie harmonizowała z takimi dłońmi, i przyszło Gunvor na myśl, że Najświętsza Panienska zesłała jej, być może, niepospolitego braciszka, skoro te dłonie nie należały do delikatnego z natury chłopca.

Arn stał zapłoniony i nie wiedział, jak się zachować w tej sytuacji. Z jednej strony powinien był uszanować szczerą wdzięczność owej młodej niewiasty. Z drugiej strony, uważał, że znalazła całkiem niewłaściwego adresata swych podziękowań. Ostrożnie, tak szybko, jak potrafił przy swym onieśmieleniu, uwolnił dłonie i poprosił Gunvor, żeby wstała, pobłogosławił owe podziękowania i przypomniał, że właściwie powinna skierować je wyżej. Gunvor nie omieszkała się z nim zgodzić i zapewniła, że będzie tak czynić do końca swego żywota.

Kiedy Arn uściskał dłonie pozostałych gości i kiedy tamci wyczuli to samo, co Gunvor, ledwo dotknęli jego stwardniałej ręki, wszyscy na chwilę usiedli i zapadło niezręczne milczenie.

I wówczas Gunnar uznał, że trzeba coś powiedzieć, nim będzie za późno, gdyby bowiem wcale się nie odezwał, żałowałby tego przez resztę życia.

O męskiej odwadze i godności świadczyło wszak i to, iż bez wahania wypowiadało się swoje myśli.

Otóż Gunnar zaczął wyjaśniać, zrazu cokolwiek nieporadnie i niepewnie, iż od wielu lat darzył Gunvor wzajemnym, ale skrywanym afektem, iż stale prosili Boga o cud, który by ich połączył, chociaż nie zanosilo się na to, bo ojcowie obojga zbywali ich marzenia jako dziecinne iluzje. On sam czuł jednak, iż nie potrafiłby żyć bez swojej Gunvor. Takie były też jej odczucia. A owego dnia, gdy Gunvor została zabrana na ucztę weselną, jej ukochany zapragnął, by jego życie dobiegło końca. Również ona nie chciała dłużej żyć.

I jeśli nawet zmiłowała się nad nimi Najświętsza Paniienka, to przecież Jej sługą i wykonawcą Jej woli był Arn.

Ten zaś poczuł wielki respekt i ogromną wdzięczność, usłyszawszy słowa, które świadczyły o tym, iż ów prosty i szczery człowiek chciał, bodaj nieporadnie, ale jednak wypowiedzieć swoje pojmowanie łaski. Gdy Arn wcześniej przekonał w końcu samego siebie o szczeroci absolucji udzielonej przez ojca Henri, powstało niejako rusztowanie oraz zrąb domu, lecz domu niegotowe-go. A dar miłości, który otrzymali owi prości wieśniacy i za który teraz tak żarliwie dziękowali jemu, mało ważnemu wykonawcy Bożej woli, sprawił, iż dom stanął nagle w całości, z pełnym pruskim murem, ze wszystkimi ścianami i każdym oknem na właściwym miejscu.

- Gunnarze, mój przyjacielu - odezwał się Arn, uradowany w skrytości ducha - to, co mi powiedzieliście, zachowam w pamięci na zawsze, mogę was zapewnić, że tak będzie. Wszakże podziękować wam obojgu mogę jedynie słowami z Pisma Świętego i nie miejcie mi tego za złe, póki owych słów nie usłyszycie. Wszystko bowiem pokonała wasza miłość, którą Matka Boska dostrzegła i wobec której zmiłowała się nad wami. Wysłuchajcie tedy tych oto słów Bożych i niechaj one na zawsze zamieszkają w waszym domu i waszych sercach:

*Położ mię jak pieczęć na twoim sercu,*

*jak pieczęć na twoim ramieniu,*

*bo jak śmierć potężna jest miłość,  
a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol,  
żar jej to żar ognia, płomień Pański.  
Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości,  
nie zatopią jej rzeki.  
Jeśliby kto oddał za miłość całe bogactwo swego domu,  
pogardzą nim tylko\**

Arn odczytał tekst w ich języku, aby go zrozumieli, i kilkakrotnie go powtórzył, by pozostał im w pamięci, po czym wskazał, gdzie w Piśmie Świętym znalazły się te słowa, mianowicie w *Pieśni nad Pieśniami* 8, 6-7.

Żegnając się, znów wymienili uścisk dłoni i wtedy Gunvor zapytała owego młodzieńca o imię. Arn gotów był po raz pierwszy wypowiedzieć wobec kogoś obcego imię, które należało do świata zewnętrznego, przedstawić się jako Arn Magnusson z Arnas. Nie odważył się jednak, bo uznał, że okazałby pychę. Wypowiedział tylko imię Arn.

Gdy Gunnar odjeżdżał, mając narzeczoną przed sobą w siodle i obejmując ją w pole, bo przecież nie było powodu iść pieszo, skoro pozostał im teraz krzepki ogier, oddychał on pełną piersią i nigdy nie czuł się swobodniejszy, nigdy też nie cieszyło go bardziej owo rześkie jesienne powietrze. Jechał z przyszłą małżonką przy sobie, czuł ciepło ciała Gunvor i kołatanie jej serca pod swoją ręką. Razem powtarzali wciąż Boże słowa o ich zwycięskiej miłości.

\* \* \*

Tego dnia szybko zapadł zmrok i zanosiło się na burzę. Nie sposób było rozmawiać na powietrzu, toteż powiedziano im, że pozostaną bez osób postronnych w parlatorium, które sąsiadowało z salą zebrań kapituły. Spiesząc przez krużganek na owo spotkanie, z kapturem targanym przez wiatr, modlił się Arn o to, by Gunvor i Gunnar znaleźli dobrą ochronę w drodze do domu, pokonywanej w czas pierwszej jesiennej burzy, by ogrzała ich nie tylko miłość. Ale przychodziło mu też na myśl, że była to miłość tak silna, iż

\* Ostatni werset przekładu zawartego w katolickiej Biblii Tysiąclecia jest sprzeczny z tekstem szwedzkim. W polskiej wersji protestanckiej czytamy natomiast: „(...) to czy zasługuje na pogardę?” - zgodnie ze szwedzkim tekstem (przyp. tłum.).

powinna by ochronić oboje przed wszelkimi wichrami, zarówno przed wichrami ludzkiego żywota, jak i przed bliską niepogodą.

Brat Guilbert czekał już w parlatorium, starannie umyty i z mokrymi wciąż włosami, gdy wszedł tam Arn. Szybkie otwarcie i zamknięcie drzwi sprawiło, że przez chwilę zamigotały trzy woskowe świece. Najpierw razem zmówili „Ojcze nasz”, następnie zaś każdy pomodlił się w milczeniu przed rozmową, którą teraz przekażemy.

Kiedy brat Guilbert wreszcie uniósł wzrok, zakończywszy modlitwę, jego oczy świadczyły o tkliwej miłości do tego ucznia, ale również o dziwnym smutku, który Arnowi zdarzyło się wcześniej rozpoznać od przypadku do przypadku.

- Jak wiesz, będąc w tym zakonie, zwę się Guilbert de Beanne - zaczął bez pośpiechu brat Guilbert. - Tak zwałem się też w innym zakonie, pokrewnym naszemu, można by rzecz zbrojnym zakonie siostrzanym, który ma tegoż ojca duchowego, ty wiesz, kogo.

- Jest nim święty Bernard z Clairvaux - stwierdził Arn, po czym złożył ręce przed sobą, na ciężkim dębowym stole, i spuścił głowę, jakby dając do zrozumienia, że odtąd chciał tylko słuchać, a nie mówić niczego od siebie.

-To prawda, właśnie on - rzekł brat Guilbert i, głęboko westchnąwszy, dodał: - Nie kto inny, właśnie on utworzył także świętą armię Bożą, zakon rycerzy świętyni, w którym aż dwanaście lat byłem bojownikiem o sprawę Bożą. Dwanaście lat wojowałem ponadto *outré-mer* i miałem z górą tysiąc przeciwników w walce, ludzi dobrych i złych, odważnych i tchórzliwych, zręcznych i niezręcznych, a żadnemu nie udało się mnie pokonać. Zapewne jesteś w pełni świadom tego, że istnieje tu także aspekt teologiczny, nie idzie zaś jedynie o sprawność rąk i nóg. Faktem jest i to, iż nigdy nie spotkałem lepszego od siebie w walce na miecze albo kopie, co najwyżej w jeździe konnej, a wspominał o tym nie dlatego, iżbym chciał się puszyć, jak wiesz, tu w klasztorze nikt nie ma takich skłonności. Mówię o tym, gdyż jest to prawda i trzeba, żebyś jak najpełniej zrozumiał, od kogo przejąłeś sztukę posługiwania się mieczem, kopią, tarczą, łukiem oraz tym, co - być może - znaczy najwięcej, mianowicie koniem. Zanim powrócę do opowieści, muszę z czystej ciekawości zadać ci pewne pytanie. Czy doprawdy nigdy nie przyszło ci nic takiego na myśl?

- Nieważne - odpowiedział niepewnie Arn, w tym samym momencie uświadomiwszy sobie ze zdumieniem, że od lat, odkąd pamiętał, krzyżował miecze z olbrzymem obdarzonym Bożym błogosławieństwem. - Nie, a przynajmniej nie



od razu, byliśmy wszak tylko my dwaj. Kiedy zaś po fakcie zastanawiałem się nad dziecinny i nieporadnym używaniem miecza przez ludzi, którzy chcieli mnie zabić, to i owo dało mi do myślenia. Otóż od ciebie, drogi bracie Guilbercie, dzieliła ich przepaść szeroka jak niebiosy.

- Tak, zatrzymajmy się tu i pomówmy o tym, sądzę, że raczej z pożytkiem niżli ze szkodą dla ciebie - zaproponował brat Guilbert, jakby raptownie zmienił temat rozmowy i jakby zdążył przekazać to, co miał do powiedzenia. Jeśli wszystko dobrze zrozumiałem, ktoś zaatakował cię od tyłu na skos, mierzając w twą głowę, czy to prawda?

- Owszem, tak sądzę - odpowiedział Arn i poruszył się niespokojnie. To, że rozmowa przybrała właśnie taki obrót, nie spodobało mu się.

- Oczywiście skuliłeś się i zaraz zmieniłeś rękę, ten zaś, który był przed tobą, obniżył gardę, ponieważ nie patrzył na twój miecz, a na głowę, która według niego miałyby potoczyć się po ziemi. Widząc, że się odsłonił, od razu uderzyłeś. Zdążyłeś jednak pomyśleć, że trzeba się szybko uchylić, uskoczyć w bok, aby tamten znów nie zdobył przewagi nad tobą. I tak uczyniłeś. Tamten zdołał unieść miecz, tyle że musiał teraz zmienić nogę, zobaczyłeś odsłonięte ciało od łokcia po ugięte kolano i zaraz zadałeś cios. Tak się to odbywało, znacznie szybciej niżbyś sam czy też ktoś inny mógł pomyśleć. Nieprawdaż?

Brat Guilbert mówił z zamkniętymi oczami i wielkim skupieniem, jakby oglądał wszystkie te zdarzenia na nowo oczyma duszy.

- Tak, dokładnie tak, to prawda - odpowiedział zawstydzony Arn. - Lecz ja...

- Nie mów tego! - przerwał mu brat Guilbert i uniósł nawet rękę dla powstrzymania słów. - Nigdy więcej nie usprawiedliwiał się z tego powodu, otrzymałeś już absolucję. Teraz powróćmy do rzeczy, którą na polecenie ojca Henri muszę ci objaśnić. Otóż liczba tamtych gburów, trzech czy czterech, nie miała żadnego znaczenia, zdołałbyś ich wszystkich pozabijać. Szczerze mówiąc, wątpię, czy tam, w świecie zewnętrznym, masz sobie równego w robieniu mieczem, a przynajmniej nie w tym kraju. Pomyśl jednak, co by było, jeśli byśmy właśnie my dwaj walczyli ze sobą, pragnąc się wzajemnie zabić. Jak sądzisz, co działałoby się wtedy?

- Trafiałbyś mię, nim zdążyłbym dwakroć mrugnąć okiem... być może trzykroć - odpowiedział zmieszany Arn. Trudno mu było wyobrazić sobie tak dziwną sytuację.

- Skądże! - prychnął brat Guilbert. - Oczywiście nie idzie mi o wspólne ćwiczenia, w których ja zawsze wydawałem polecenia, a ty podporządkowywałaś się. Gdybyś jednak musiał sam pomyśleć, jak walczyłbyś ze mną w takim przypadku?

- Nie stać mię na tak grzeszne myśli, nie umiałbym w złej wierze wystąpić z bronią przeciw komuś, kogo umiłowałem - odparł Arn zawstydzony, jakby jednak właśnie to przyszło mu na myśl.

- Przykazuje ci, abyś tak pomyślał, zajmujemy się teorią i nie trzeba się certować. I cóż, jak biłbyś się ze mną w teorii?

- Bynajmniej nie atakowałbym cię wprost - zaczął z wahaniem w głosie Arn i po chwili zastanowienia posłusznie powrócił do odpowiedzi na postawione pytanie. - Gdybym atakował cię wprost, rychło przesądziłaby o wszystkim twoja siła i długość rąk. Musiałbym długo cię unikać, krążyć wokół ciebie, czekać, przeczekiwać, póki...

- Tak? - odezwał się z dyskretnym uśmiechem brat Guilbert. - Póki co?

- Dopóki... nie pomógłby mi przypadek, dopóki nie zacząłbyś wykonywać tyłu ruchów, że ciężar twego ciała i siła nie byłyby już na twą korzyść. Lecz nigdy nie...

- Oto, co osiągasz, kiedy musisz myśleć samodzielnie! - przerwał mu brat Guilbert. - A teraz przejdźmy do czegoś ważniejszego. Rozpatrując rzecz jedynie z punktu widzenia logiki, ta myśl ojca Henri, by nigdy nie ujawnić ci, kim jesteś, była zapewne łatwa do zrozumienia, czyż nie tak? Nie mogliśmy w żadnym razie pozwolić, aby ten chłopiec stał się człowiekiem zarozumiałym, musieliśmy uratować go przed pychą, zwłaszcza co się tyczy rzeczy, które tu, u nas, lecz bynajmniej nie tam, gdzie przebywałem, zanim tu trafiłem, uchodzą za poślednie. W krajach zamorskich, *oultre-mer*, szkoliłem wielu braci, niczego ponad to nie trzeba było czynić, kiedy była wojna. Zdarzyło mi się wszakże spotkać nielicznych ludzi z takim Bożym darem jak twój, darem władania bronią, masz też dwie sekretne zalety, które zapewniają ci wielką siłę. Jednej, jak sądzę, się domyślasz?

- Potrafię przerzucać miecz z prawej do lewej ręki - odpowiedział cicho Arn i wbił wzrok w stół. Jakby się wstydził, choć sam nie wiedział, dlaczego.

- Otóż to - potwierdził brat Guilbert. - A teraz powiem ci, jaki jeszcze sekret posiadasz. Jesteś, w odróżnieniu ode mnie, niezbyt wysokim człowiekiem. I dlatego ponad połowa tych, z którymi, być może, wypadnie ci walczyć na miecze w świecie zewnętrznym, okaże się z wyglądu cięższa i silniejsza. Jak dotąd

przez cały czas uczyłeś się jednak właśnie tego, walki z kimś potężniejszej postury, i z tym radzisz sobie najlepiej. Nigdy zatem nie obawiaj się człowieka wysokiego, raczej obawiaj się równego wzrostu albo niższego. I jeszcze jedna, bardzo ważna rada. Niebezpieczeństwo pychy, które było przedmiotem wielkiej troski ojca Henri, istnieje, tyle że niekoniecznie jest ono wedle jego wyobrażeń. Na moich oczach zginął niejeden człowiek za sprawą pychy, dlatego że w toku walki ze słabszym przeciwnikiem czy raczej z kimś, kto stwarzał pozory gorszego, zbyt podziwiał samego siebie. Bóg mi świadkiem, że widywałem umierających z butnym uśmiechem na ustach. Zapamiętaj to sobie, dokładnie to zapamiętaj! Choćby nawet wszyscy twoi ziomkowie tam, w świecie zewnętrznym, ustępowali ci w sprawności, a tak pewno jest, to którykolwiek może cię zranić albo zabić w chwili, kiedy ulegniesz własnej pysze. Można by sądzić, iż kara Boża rychlej spotka tego, kto zgrzeszy z bronią w ręku. Nie inaczej ma się rzecz w przypadku gniewu czy pazerności. Toteż powiadam ci i zawsze miej to w pamięci, iż sztuka, którą posiadłeś w tych uświęconych murach, jest sztuką błogosławioną. Jeśli tedy uniesiesz miecz w grzesznym zamiarze, to łącznie narażysz się na karę Bożą. Po raz trzeci upominam: miej to zawsze w pamięci. Amen.

Po tym wyjaśnieniu brata Guilberta przez dłuższą chwilę siedzieli obaj w milczeniu, Arn z nieobecny wrokiem, wpatrzony w migoczące płomyki świec, brat Guilbert zaś zaabsorbowany dyskretną obserwacją młodzieńca. Zdawali się wzajemnie przeczekiwać i żaden nie chciał się odezwać jako pierwszy w obawie, iż tamten drugi wolałby nie poruszać innego tematu.

- Pewno się zastanawiasz, jakież to grzech kazał mi porzucić templariuszy na rzecz cystersów? - przemówił wreszcie brat Guilbert.

- Ależ to jasne jak słońce - odparł Arn. - Drogi bracie Guilbercie, nie potrafię wyobrazić sobie ciebie jako strasznego grzesznika. Po prostu nie mieści mi się to w głowie.

- Nade wszystko nie potrafisz sobie wyobrazić świata zewnętrznego, jest on bowiem pełen grzechu i pokus, jest grzędawiskiem, ziemią z wieloma wilczymi dołami. Może grzechem była symonia, najgorszy to grzech wedle zbioru przepisów, jaki obowiązywał rycerzy Świątyni. Czy wiesz chociaż, co to symonia?

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą Arn, zresztą nie bez zdziwienia. Słyszał o tysiącu grzechów, wielkich i małych, nigdy jednak o owej symonii.

- Idzie o przyjmowanie zapłaty za posługi w imię Boże - wyjaśnił z westchnieniem brat Guilbert. - W naszym zakonie obracało się oczywiście wiel-

kimi sumami i nie zawsze umiano stwierdzić, co było grzechem, a co nim nie było. Nie zamierzam się wszakże usprawiedliwiać, wyznałem swój grzech i po dziś dzień pokutuję zań. Tak oto nie dane mi było umrzeć w stanie łaski za sprawę Bożą, i to z mieczem w ręku. Tak jest. Gdyby jednak ów grzech nie kazał mi podjąć tutaj pokojowej służby, nigdy byś mię nie spotkał i stałbyś się całkiem innym człowiekiem niż jesteś dzisiaj. Warto się i nad tym zastanowić, jako że Bóg wiąże pewne zamiary ze wszystkim, co się dzieje.

- Przrzekam, że cię nie zawiodę, że nie zaznasz rozczarowania z mego powodu, umiłowany bracie - zapewnił zaraz z przejęciem w głosie Arn.

- Hm - wyrzekł brat Guilbert, po czym pochylił się do przodu i, rozbawiony, przypatrzył się po dziecięcemu szczerzej twarzy Arna i spojrzał mu w szeroko otwarte oczy. - Nie spiesz się przrzekać, gdyż rychlej niż sądzisz wypadnie ci złożyć kilka ślubów. A tymczasem naszą rozmowę uważam za skończoną i polecam ci spędzić czas od mszy o północy do mszy porannej w naszym kościele. W tę burzliwą noc poszukaj Boga w swym sercu, jest to zalecenie ojca Henri. A zatem spiesznie odejź i prześpij kilka godzin, później zaś spotkamy się, być może, na mszy odprawianej o północy.

- Zastosuję się do waszego polecenia - wybąkał Arn, po czym wstał i, pokłoniwszy się swemu mistrzowi, odszedł do celi, w której sypiał, tam zaś nakazał samemu sobie przebudzenie przed odprawianą o północy mszą - nie chciał zaspać. Zaraz też usnął.

Brat Guilbert spędził chwilę na refleksjach, wpatrzony w migotanie świec. A później je zdmuchnął i wielkimi krokami udał się do kuźni, gdzie podczas jego rozmowy z Arnem podtrzymywali pracę dwaj bracia-laicy. Brat Guilbert nie był jeszcze całkiem gotów, wypadło mu teraz użyć resztki tajemniczych smarów, które przywiózł *de l'outrre-mer* i trzeba było nieco poprawić zdobienie.

\* \* \*

Po odprawionej o północy mszy pozostawiono Arna w samotności w kościele przy klasztorze w Varnhem i pierwsze godziny spędził na klęczkach u grobu matki, przed ołtarzem. Na tak długie modlitewne klęczenie wolno było używać miękkich podkładek, które brano z zakrystii.

Arn był wytracony z równowagi tym, że nie czuł się już sobą, zdawało mu się, iż stanowił dwie osoby, z których jedną, wedle jego wiedzy i odczuć, był brat-laik Arn, raczej ze Szkoły Życia niż z Varnhem. Drugą postacią okazywał

się Arn Magnusson z Arnas, raczej inskrypcja niż on sam. W ową burzliwą noc prosił Arn Boga o przewodnictwo na drodze ku temu, co dobre w obu postaciach, modlił się też do świętego Bernarda o wskazanie prostej drogi żywota, iżby nie ugrzązł w grzechu, który, jak uważano, wypełniał świat zewnętrzny, i wreszcie poprosił o wskazanie, jak nade wszystko uniknąć pychy, najgorszego z grzechów.

To, iż właśnie pychy należało się wystrzegać usilniej niż czego innego, nie było w istocie jego osobistym przekonaniem, uczciwie bowiem mógł siebie uważać za wolnego od tego grzechu, lecz wynikało raczej z wiedzy o tym, iż tego grzechu obawiali się ojciec Henri oraz brat Guilbert tak bardzo, że coś przed Arnem ukryli.

Póki się modlił, na zewnątrz ustała burza, a prócz tego zatrzymał się czas. Mówiąc ściślej, czas zanikł zupełnie, ledwo Arn całym swym jestestwem pograżył się w modlitwie. Rychło więc nastał brzask i wraz z nim kres burzy.

Ku zdziwieniu Arna wszedł do kościoła cały chór, który stanął za ołtarzem, po czym ten i ów spośród śpiewaków zerknął na Arna wzrokiem i życzliwym, i tajemniczym. To pozwoliło mu odgadnąć, iż zapowiadała się msza pożegnalna w rodzaju tych, jakie odprawiano przed odjazdem kogoś znacznie ważniejszego spośród braci niż on sam.

Potem jednak usłyszał Arn zgrzytanie wielokrażków i lin, które towarzyszyło opuszczeniu chrzcielnicy tuż przed drzwi kościoła, gdy zaś spojrzął w tamtą stronę, zobaczył, że wypełniono chrzcielnicę święconą wodą. Teraz już w ogóle przestał rozumieć, co mogło niebawem nastąpić.

Ale oto chór zaintonował najwspanialszą pieśń na chwałę Pana, hymn o wiecznym królestwie i wieczystej władzy. Arn zauważył od razu wielką staranność śpiewaków, którzy naprawdę robili co mogli, zresztą pewne fragmenty nucił Arn półgłosem razem z nimi, mając przy tym zamknięte oczy, i zdawać by się mogło, że na przemian marzył i płonął i że jego pieśń wypełniała święta światłość, i że tajemna moc pieśni unosiła go ku Panu.

A kiedy w trakcie powolniejszego pasażu w pieśni spojrzął Arn znów, to przekonał się, że niektórzy śpiewacy wyciągali szyje i zerkali na chrzcielnicę, oczywiście bynajmniej nie wypadając z rytmu, gdy zaś się odwrócił, zobaczył najdziwniejszy i najbardziej zaskakujący widok w swoim życiu. Stał tam bowiem ojciec Henri, by pobłogosławić trzymany przez brata Guilberta miecz. Spadło na ten miecz nieco święconej wody, jakby go chrzczono. Niesłychane - miecz w domu Bożym!

Skoro tylko odśpiewano do końca wspaniałe *Te Deum*, ojciec Henri oraz brat Guilbert przeszli przed ołtarz, przy czym ten ostatni trzymał miecz między rozpostartymi dłońmi, jakby to był komunikant albo jakiś inny przedmiot konsekrowany. Ostrożnie umieszczono miecz pośrodku ołtarza, po czym ojciec Henri zainicjował Modlitwę Pańską i wszyscy wtórowali. Następnie ojciec Henri odwrócił się w stronę Arna i dał znak, by stanął on tuż przy grobie matki, a gdy Arn wykonał polecenie, chór rozpoczął kolejny hymn w języku francuskim, pieśń, której Arn nigdy dotąd nie słyszał, zresztą nie tak dobrze opanowaną przez chórzystów, jak wszystkie inne pieśni. Tym, co niewyobrażalne, przejął się Arn tak bardzo, iż nie docierały doń słowa hymnu. Szeroko otwartymi oczami chłonał natomiast wszystko, co widział przed sobą.

\*\*\*

I oto zabrano miecz z ołtarza, aby umieścić go na grobie matki Arna, na wprost niego, i to tak, iż rękojeść była skierowana ku ołtarzowi, czubek miecza zaś w stronę Arna. Był to przepiękny miecz z klingą z białej hartowanej stali, jakiej Arn nigdy jeszcze nie oglądał. Rękojeść miecza uformowano tak, iż pozłacane jelce tworzyły krzyż, w poprzek którego umieszczono tekst, który nie sposób było zrozumieć opacznie: IN HOC SIGNO VINCES. „Ten znak pozwoli ci odnosić zwycięstwo”, j e d y n i e ten znak pozwala zwyciężać - dopowiedział sobie od razu Arn.

Uchwyt miecza dopasowano ściśle do ręki Arna, który przymierzył się doń i uznał, że ta broń będzie tak przylegać do jego dłoni, jakby stanowiła część jego samego. Pozłota błyszczała nowością, w silnym słonecznym blasku lśnienie złota dawało większą pewność co do skuteczności ciosów, a z bogactwem czy wywyższaniem się takie zdobienie nie miało nic wspólnego.

Później ojciec Henri oraz brat Guilbert padli na kolana, zwróceniu ku Arnowi, który pozostawał po przeciwnej stronie grobu matki, i w kościele zrobiło się całkiem cicho, tak jakby wszyscy wstrzymali oddech. I wtedy ojciec Henri szepnął bratu Guilbertowi, że najlepiej byłoby, jeśliby właśnie on, jako najbiedniejszy, zajął się tym, co miało nastąpić. Brat Guilbert skwitował eufemizm ojca Henri przelotnym i dyskretnym uśmiechem, zresztą i na niego podziałała powaga chwili. Odwrócił się więc w stronę Arna i spojrzał mu w oczy.

- Arnie, nasz umiłowany bracie - pod kościelnym sklepieniem rozległo się echo głośno wypowiedzianych francuskich, a nie łacińskich, słów brata Guilberta - złoś teraz następujące ślubowanie, którego rotę ci odczytam:

*Ja, Arn Magnusson, ślubuję wobec Jezusa Chrystusa,  
wobec Świętego Grobu i Świątyni,  
iż miecza, który teraz otrzymuję,  
nigdy nie użyję w gniewie  
ani dla własnej korzyści.  
Miecz ten będzie służyć szlachetnej sprawie Bożej,  
prawdzie, czci moich braci oraz mojej własnej.  
Z tą wiarą i pod tym znakiem będę zwyciężać.  
Jeślibym wszakże uchybił mej wierze,  
niechaj Bóg sprawiedliwie powali mię na ziemię.  
Amen.*

Arn musiał powtórzyć rotę dwakroć po francusku i trzeci raz po łacinie, objąwszy klingę miecza obiema rękami. Potem ojciec Henri ujął miecz w swoje ręce, ucałował go i, trzymając przed sobą, z zamkniętymi oczami odmówił cichą modlitwę. Następnie skierował krótkie pouczenie do Arna.

- Nigdy, synu, nie zapominaj o tym ślubie wobec Boga. Ten miecz, który będzie twoim po kres twych dni, jest mieczem błogosławionym i prócz ciebie może go nosić jedynie ktoś spośród rycerzy Świątyni Pańskiej. Tenże miecz i jemu podobne są jedynymi, które mogą się pojawiać w domu Pańskim, pamiętaj i o tym. I noś swój miecz, nie sprzeniewierzając się miłości do Boga i nie uchybiając czci, która z tym mieczem się wiąże.

Nieco drżącymi rękoma przekazał ojciec Henri ów miecz Arnowi, który przyjął go, choć chyba z pewnym wahaniem. Jakby bał się, że go ta broń będzie parzyć.

A gdy miał już miecz w ręku, chór zaintonował kolejny bardzo radosny hymn hołdowniczy, którego Arn nie znał, i to również w języku francuskim.

\* \* \*

Arn odjechał tego samego dnia. Tym razem jego wyjazd z Varnhem był lepiej przygotowany niż pierwsza podróż, która rychło zakończyła się nieszczęściem. Dosiadał teraz ogiera imieniem Chimal, który wykonał swoje zadanie rozplodowe z rocznym wyprzedzeniem i nie musiał wracać do następnej okazji. Ubrano Arna na szaro i czerwono, jakby należał do gorszego świata; sam nie pamiętał siebie z lat dziecińczych, kiedy nosił się inaczej niż bracia-laicy. I ostrzyżono go tak, iż miał jednolite krótkie włosy, bez śladu tonsury.

Brat Roger zaopatrzył go w ciężki plecak, którego tym razem nikt nie mógłby mu odebrać, ledwo znalazłby się poza klasztorem. Jego plecak mieścił także sporo roślin, które trzeba było utrzymywać w wilgoci, w skórzanych workach, ponadto nasiona i pestki owoców.

U jego boku zwisał duży miecz w zwyczajnej skórzanej pochwie, miecz, który gdy unosił, ledwo czuł go w ręku, jakby stał się częścią samego Arna, tak doskonale wyważony, że Arn mógł, stojąc prosto, obcinać nim paznokcie u nóg i nawet nie musiał ujmować go obiema rękami.

Wcześniej brat Guilbert z niezbyt starannie skrywaną drwiną, rozpoznawalną po niektórych słowach, opowiedział mu wszystko o takich mieczach i o tym, co różniło je od mieczy zwyczajnych. „Hm, może niezupełnie wszystko” - wyjaśnił skromnie na koniec. Reszty Arn miał się wkrótce dowiedzieć całkiem samodzielnie.

Długo i czule żegnał się Arn ze wszystkimi w klasztorze i przepełniała go ich miłość do niego, którą prawdziwie zrozumiał dopiero podczas ostatniej mszy, gdy rozpoznawał wielką powagę śpiewaków, ci zaś zgotowali mu najpiękniejsze pożegnanie, na jakie potrafili się zdobyć.

W końcu w rektorium pozostał tylko on z ojcem Henri oraz bratem Guilbertem. Skinieniem głowy, już bez słów, dał mu ojciec Henri znak, iż należy dosiąść konia, po czym Arn zwinnie usadowił się w siodle na niecierpliwie tańczącym Chimalu.

- Niechaj ci się nasunie ostatnia myśl, skoro już teraz lepiej cię uzbrojono niżli poprzednio, gdy wyruszałeś w świat, który jest na zewnątrz - rzekł ojciec Henri, ale zaraz urwał, przez chwilę bowiem nazbyt podziałały nań jego własne uczucia. - Nosisz u boku miecz o wielkiej mocy, to już wiesz. Pamiętaj wszakże i to, co wypowiedział święty Bernard: „Jakaż twa broń, Boży wojowniku? Czyż nie jest nią nade wszystko tarcza wiary, hełm zbawienia i kolczuga łagodności?”.

-Tak, ojcze, przyrzekam, że nigdy o tym nie zapomnę - odrzekł Arn i odważnie spojrzął ojcu Henri w oczy.

- *Au revoir, mon petit chevalier Perceval*- odezwał się wtedy brat Guilbert i dał potężnego klapsa niecierpliwemu ogierowi, po czym ten, stukając kopytami, wybiegł wyłożonym kamieniami, wąskim pasażem w świat poza-klasztorny.

- Była to chyba pewna nieostrożność, pomyśl, co by było, gdyby on spadł z konia - rzekł z troską w głosie ojciec Henri.



- On nie spada z koni, teraz też mu to na pewno nie grozi - odparł brat Guilbert i pokiwał z uśmiechem głową, tak kwitując niepotrzebną troskę przeora.

- Poza tym nie podobają mi się te głupstwa o Percevalu, o świętym Gra-alu i różne takie wulgarne śpiewki - dodał zgryźliwie ojciec Henri, po czym obrócił się na pięcie i zrobił kilka kroków w stronę dębowych drzwi. Ale nie po raz pierwszy przyszło mu jeszcze coś na myśl i w połowie drogi odwrócił się.

- Pomińmy Percevala, to wszystko rychło pójdzie w zapomnienie, jak wszelkie historie pospolite, nic to nie znaczy!

- Nie znaczy to mniej niż twoja znajomość takich wulgarnych rzeczy, ojcie - odpowiedział zadziornie i ze śmiechem brat Guilbert, rozbawiony bardziej, niż zdarzyło mu się to kiedykolwiek okazać przeorowi.

Zapewne obaj byli pod wrażeniem pożegnania, choć żaden nie chciał tego ujawniać. W odróżnieniu od ojca Henri, brat Guilbert był jednak pewien, że jeszcze spotka Arna. Albowiem, odmiennie niż przeor, miał też całkowitą pewność co do misji, jaką Bóg ostatecznie wyznaczył Arnowi.

Pan Magnus siedział w swym wielkim domu, choć było dopiero popołudnie, ponad miarę upijał się piwem i miał zły humor. Martwiło go to, że nie potrafił pokochać młodszego syna, Arna, który był najdroższą istotą w życiu jego świętej pamięci małżonki, pani Sigrid.

Magnusowi niełatwo przychodziło pogodzenie się z tym faktem, iż miał dwóch dorosłych synów, którzy nie przysparzali jego domowi chwały, na jaką zasługiwał ów ród, i nic tu nie pomagało nawet upijanie się. Na nic wszak królewska krew w żyłach, skoro ludzie wytykali ojca i syna palcami i pokpiwali z nich.

Co się tyczy Eskila, Magnus już dawno przystał na to, czego ludzie nie potrafili pojąć, że przyszłość należała do handlu, do nowych sposobów uprawiania ziemi i wypełniania kufrów srebrem, w tym wszystkim zaś Eskil wykazywał wielką roztropność i mógł podwoić dziedzictwo, które miało kiedyś przypaść jemu. Niewiele wiedzieli ci, co szydzili z Eskila z tej przyczyny, że niezbyt się interesował męskimi cnotami, wcale nie pojmowali bożych zamiarów co do toku i celów doczesnego żywota człowieka. Nie było powodu wątpić, iż

Eskil stanie się roztropnym i zamożnym gospodarzem Arnas, przemyślnym we wszystkim, co naprawdę ważne.

Bez wielkiej ujmę można jednak było przyjąć to, iż najstarszy syn istotnie do robienia bronią się nie nadawał, zresztą Arnas mogło tylko skorzystać na tym, że Eskil miał szanse pożyć dłużej, nie używając miecza i tarczy.

Nie lada ujmę przynosiło natomiast to, iż również drugiemu synowi brakowało męskich cnót; Magnus słyszał już, iż jego zbrojni szeptali niezyczliwie między sobą o Arnie, z a k o n n i c y z Varnhem, lecz wołał przełknąć zniewagę i udać, że niczego nie słyszał, aby nie robić wielkiej sprawy z tego, co zostało powiedziano. Wystarczyło mu tego, iż zbrojni mieli chyba całkowitą rację, a niełatwo było się przekonać czy pojąć, co mnisi mogli zrobić z owym małym chłopcem, którego Magnus ledwo pamiętał jako, bystrego zresztą, swawolnika, już bardzo wcześnie umiającego strzelać z łuku. Odkąd Arn powrócił do domu, rozbrzmiewały tam piękne modlitwy przed posiłkami, tyle że splendor rodu zyskiwał na nich niewiele.

W piękny jesienny dzień chłopiec przybył na chudej szkapie, która budziła śmiech, a u boku, co gorsza, miał miecz jakby stworzony dla niewiasty, jeśli taki miecz w ogóle można by sobie wyobrazić. Okazał się on doprawdy zbyt długi, nazbyt lekki, a ponadto źle wykuty, z nadmiernym połyskiem. Magnus zarządził zaraz, by odniesiono miecz do zbrojowni w wieży, iżby nie skłaniał ludzi do złośliwego wyśmiewania niewinnego chłopca.

Wedle nieuchronnego Bożego ładu, ojciec musi kochać swych rodzonych synów. Nie wiadomo wszakże, jak wielki zawód i jaka hańba może nadwreżyć ową miłość tak, iż w końcu nie sposób już nazywać to uczucie miłością.

Oczywiście szło i o to, czy chłopca uda się wyprowadzić na człowieka. Magnus miał jednak wrażenie, że Arn sam stał się mnichem przez bardzo długie przebywanie wśród zakonników. Poniekąd pojawił się w domu kapłan, tyle że nie był to tylko powód do radości, bo podczas wieczerzy nie wypadało już rozmawiać swobodnie o wszystkim, co przychodziło na myśl, lecz należało dobierać słowa, aby nie wydawały się zbyt bezbożne.

Nieszczególnie też przykładał się Arn do picia. Okazało się to już w czasie pierwszego wspólnego posiłku, na powitanie, który powinien by przebiegać w odświętnym i radosnym nastroju. Jak zapisano w Piśmie Świętym, na powrót utraconego niegdyś syna zaszlachtował Magnus tuczne ciele, a właściwie młode prosię, bo tak było stosowniej. I wszyscy przyodziali się odświętnie, przy czym Arnowi przypadły szaty Eskila, z których ten wyrósł w ostatnich latach, bo też

nie wdał się Eskil w pradziadka po mieczu, którym był Gruby Folke.

Owego dnia widział to jednak każdy, iż ten syn, Arn, nie okazywał się zbyt męskim, jako że przez cały wieczór wypił tylko dwa puchary piwa, a kolejne porcje wykwintnej wieprzowiny zjadał starannie, jakby był niewiastą. I choć zapewne wysiłał się, żeby dorównywać, sprawiał wrażenie człowieka, do którego wszystko, co mówiono, docierało z niejakim trudem, nie pojmował żartów i niełatwo mu przychodziło odpowiadanie, gdy kto próbował pomóc w nawiązaniu kontaktu. Uznano, że raczej nie odziedziczył po matce błyskotliwości w myśleniu i przebiegłości w mowie.

Ponieważ odurzenie uwalnia i język, i myśli, doszedł Magnus do niepięknego wniosku, że żyjąc wśród zakonników Arn zniewieściał, takie bowiem historie opowiadali ludzie małej wiary czy też bezbożni, rozmawiając o pewnych, niedających się nazwać, grzechach mnichów.

Mając teraz rozum nieco zmacony, spróbował Magnus ocenić, czy to, że Arn czuł się najlepiej pośród niewiast, mogło oznaczać, iż przejął ohydne upodobania zakonników, czy raczej większa łatwość porozumiewania się z niewiastami aniżeli z mężczyznami świadczyła o czymś wręcz przeciwnym.

„O ohydnej skłonności” - pomyślał Magnus w pierwszej chwili. Wszak tacy upadli mężczyźni są jak niewiasty i, być może, właśnie dlatego lepiej się czują w niewieścim towarzystwie.

„O czymś wręcz przeciwnym” - poprawił sam siebie. Otóż jeśli mężczyzna przejmuje inne ohydne upodobania tegoż rodzaju, chęć obcowania z jałówkami, to czyż nie będzie właśnie z nimi szukał kontaktu, mniej czy bardziej kryjąc się z tym? W Arnas wszyscy mieli na oku owego syna o niepewnym usposobieniu, który niegdyś został utracony, toteż nawet najbardziej nieśmiała próba zadania się z którymś młodym niewolnikiem wywołałaby wręcz lawinę plotek i nie umknęłaby uwadze gospodarzy.

„Nie, Arn nie jest niewiastą pod męską postacią”. A byłoby to największe pohańbienie ojcowskiego domu i rodu. Dla przywrócenia domowi dobrego imienia trzeba by prędzej zabić Arna.

Ze złością w głosie posłał Magnus wystraszoną służbę po więcej piwa i ten rozkaz wykonano błyskawicznie i bez słowa.

Jeszcze raz rozważywszy swe ostatnie refleksje i uświadomiwszy sobie swoją sytuację, co wymagało opróżnienia do połowy pucharu z piwem, wybuchnął Magnus płaczem, pokonany przez własne uczucia. Istotnie, nazbyt źle my-

ślał o Arnie, swym rodzonym synu i oczku w głowie jego ukochanej Sigrid. Co właściwie zamierzył Pan Bóg, gdy sprawił to wszystko? Wpierw należało małego chłopca, Arna, podarować Bogu, na to wszelkie znaki wskazywały tak wyraźnie, że nie można było mieć żadnych wątpliwości. Cóż, jeśli Arn pozostał na resztę życia osobą duchowną, wszystko toczyłoby się dobrze, bo przecież Magnus nie należał doprawdy do tych, co zaprzeczali, iż owi zakonnicy dali Zachodniej Gocji wiele dobrych rzeczy. Przeciwnie, gotów był każdego zapewniać, że niejedno znaczące ulepszenie w Arnas, stawiające tę posiadłość ponad innymi, wzięło się z wiedzy zakonników.

Co jednak kryje się za tym, że Arn trafił z powrotem do swego dawnego domu, będąc ni to mężczyzną, ni to mnichem, zamiast być w zakonie i w imię Boże czynić dobrze? Nie bez racji mawia się, iż Pan często obiera drogi, których poznać nie sposób.

Bodaj czy nie gorsze było to, że chłopak chciał koniecznie pracować jak niewolnik? Już po kilku dniach ponownego pobytu Arna w Arnas kopano wszędzie, stawiano mury i słyszano uderzenia młota, i nic w tej mierze nie zmieniło ostrożne wyjaśnienie udzielone synowi przez Magnusa, który zapewnił Arna, że ten nie musi tak się zapracowywać, bo można by zatrudnić beczynnych niewolników, których o tej porze roku nie brakowało. Potem było jeszcze gorzej, ponieważ Arn spieszył od pracy do pracy. Możliwe skutki tego pozostawały nieznane, a zanimby się kto dowiedział więcej, nie należało przecież zabraniać.

Jedno wszakże zyskało sobie powszechne uznanie, nawet u najbardziej skorych do szyderstw członków zbrojnej drużyny. Arn miał pieczę nad wszystkimi końmi w majątku, a ponadto wykuł podkowę z hufnalem, który sterczał na przedzie kopyta i zapobiegał odpadnięciu podkowy. Ten nowy rodzaj podków był zapewne lepszy niż dawniejsze. Magnus zapytał o to zbrojnych oraz niewolników z kuźni i wszyscy okazali się całkiem zgodni w opiniach.

Nastąpiła więc zmiana na lepsze i, tak jak wszystkie inne ulepszenia w Arnas, była czymś godnym pochwały, zdaniem Magnusa i Eskila też. Odczuwano jednak przykrość z tego powodu, że rodzony syn gospodarza pracował w brudzie i dymie, jakby należał do niewolników, i wcale się nie wstydził. Przeciwnie, w modlitwie przy stole, którą odmawiał teraz w zrozumiałym języku, zwykł dziękować Bogu za to, iż pobłogosławił go pracą wykonaną tego dnia.

Co do wielu spośród owych zdarzeń Eskil miał mniej wątpliwości niż jego ojciec i powtarzał, że nade wszystko nigdy nie należy pogardzać wiedzą.

A zręczności rąk, z całą pewnością uzyskanej przez brata Arna u zakonników, którzy przyswoili mu niejedną umiejętność, można by się odeń uczyć. Gdyby Arn wyuczył niewolników, ci mogliby w swoim czasie przejąć pracę. Pierwej jednak musieli koniecznie pobierać naukę, a jedynym, który potrafił nauczyć, był Arn. Poza tym nie należy pogardzać pracą, która oznacza postęp dla ich majątku. Każdy krok naprzód czyni się z pożytkiem dla wszystkich.

Być może istotnie - pocieszał się Magnus - jest tak, iż wszystkie te nowości, przejęte przez Arna od zakonników, przysporzą solidności i bogactwa Arnas. Trzeba jednak koniecznie sprawić, by niewolnicy rychło uczyli się od Arna, a on sam nie hańbił już rodu, pracując w pocie czoła jak niewolnik.

Skoro piwo roztkliwiało Magnusa ponad miarę, dostrzegł on i coś lepszego, to mianowicie, że Arn musiał się zgodzić z macochą, którą była Eryka Joarsdotter. Magnus nie wiedział zbyt dokładnie, co Arn i Magnusowa małżonka, Eryka, mieli razem do zrobienia w kuchniach, bo sam nigdy tam nie zaglądał, tak czy inaczej Eryka sprawiała wrażenie wielce uradowanej tym, co się tam prawdopodobnie działo, i zadowolonej. Dla samej Eryki było też dobrze, iż ktoś z rodziny gospodarza odnosił się do niej przyjaźnie. Eskil nigdy nie potrafił ścierpieć swej macochy, sama zresztą urodziła Magnusowi kilkoro dzieci, tak przecież musiało być, ale dopiero za trzecią próbą przyszedł na świat syn. I Magnus zdecydował, że ten syn nie trafi bynajmniej do żadnych mnichów, lecz od najmłodszych lat będzie pobierał nauki od zbrojnych.

Eryka miała pewną wadę, która zwracała powszechną uwagę. Była urodziwą niewiastą, ledwo jednak otwierała usta, rozpoznawano, iż musiała mieć rozszczepione podniebienie, gdyż artykułowane przez nią dźwięki wychodziły raczej z nosa niż z ust. Mniej uprzejmym zdarzało się wtedy wybuchnąć śmiechem, toteż Eryka nigdy się nie odzywała w obecności obcych mężczyzn i nie mniej onieśmielona była, kiedy przyjmowano gości i do niej należało zadbanie o to, by towarzyszące gościom niewiasty dobrze się czuły. Magnus ledwo tolerował swoją małżonkę, często zaś wracał myślami do Sigrid, bliższej mu niż ktokolwiek. Do tego mógł się jednak przyznać tylko samemu sobie albo Bogu.

Wszakże nie należało zapominać o tym, iż Eryka była bratanicą króla, iż w jej żyłach płynęła królewska krew, zatem tą krwią obdarzone zostały dzieci, które urodziła - jej dwie córki i syn - zresztą i po kądzieli, i po mieczu.

\* \* \*

W Arnas pojawił się anioł. Czegokolwiek dotknął, stawało się niebawem nieco lepsze albo cokolwiek piękniejsze, i był zarazem wśród tych mężczyzn, jakich Eryka Joarsdotter spotkała w swym życiu, jedynym, który rozmawiał z nią tak, jakby dorównywała rozumem wszystkim innym ludziom. Nigdy nie okazywał zniecierpliwienia jej niewyraźną mową, sam nawet przepraszał, że jeszcze nie całkiem udało mu się powrócić do języka swego dzieciństwa, z tej mianowicie przyczyny, iż w latach, w których dorastał, rozmawiał przeważnie z Duńczykami. Nigdy też, inaczej niż jego starszy brat Eskil, nie dawał po sobie poznać, iżby w jego oczach Eryka Joarsdotter miała być obcą osobą, która zajęła miejsce matki obu chłopców.

Wcześniej, bo skoro świt, kiedy wszyscy mężczyźni spali po powitalnej uczcie na jego cześć, on sam, trzeźwy i umyty, zjawił się w jednym z kuchennych budynków, gdzie Eryka właśnie zaczęła długi dzień pracy, mając przy sobie służbę. Uprzejmie, w słowach tyleż łagodnych, co ostrożnych, poprosił Arn, by pokazała mu te miejsca domowych prac, za które odpowiadała jako gospodyni, po czym obeszli razem spiżarnie i kuchnie. Pytania, jakie Arn zadawał, rychło uzmysłowiły Eryce, że lepiej niż większość mężczyzn znał się na wieszaniu, wędzeniu, przechowywaniu mięsa oraz na przyrządzaniu ryb i bynajmniej się tego nie wstydział.

Niezadługo nastąpiły zmiany, które objęły wszystko, przy czym Arn tak to urządził, jakby to Eryka decydowała, mianowicie z nią u boku obchodził gospodarstwo i wskazywał, co można by zrobić wkrótce, co zaś mogło trwać dłużej.

Posiadłość Arnas stanowiła właściwie wieś z dwóch stron otoczoną rzeczkami. Na jednym końcu tej wsi, bliżej jeziora Wener, znajdował się zamek z murami obronnymi umieszczonymi tam, gdzie zwężone rzeczne odnogi tworzyły fosę. Do obu rzeczek trafiały jednak nieczystości z kilku garbarni i latryn, z rzeźni i browaru, a według Arna to skażenie sprawiało, że niejedno dziecko z rodzin niewolników miało zaczerwienione oczy, śliniło się ponad miarę, cierpiało z powodu brzydkiej wysypki na skórze, i że wiele dzieci spośród tych najmniejszych umierało, choć potrafiły przetrwać najgorszy czas tuż po swym przyjściu na świat.

Wielką zmianą było to, iż w przyszłości nieczystości miały trafiać tylko do wschodniej odnogi wokół Arnas, a zachodnią rzeczkę należało całkiem uwolnić od ścieków. Dzięki temu można by - to Arn wyrysował Eryce na piasku, wskazał jej tam, dokąd ją zaprowadził, i opisał - z czystej rzeczki po-

prowadzić wodociąg do budynków kuchennych i dalej, aż do odnogi zanieczyszczonej. Stały dopływ wody do kuchni oznaczałby wielką oszczędność czasu pracy i budynki kuchenne byłyby utrzymywane w czystości, a dzięki temu posiłki smakowałyby lepiej. Poza tym trzeba by zadbać o ulepszenia w kuchniach, w taki sposób, by powstały tam kamienne posadzki, a to poprzez przykrycie ubitej ziemi zaprawą murarską, i musiałyby one być nieco pochyle, aby zapewnić odpływ do przyszłego kanału ściekowego.

Takie zmiany wymagały jednak czasu. Szybciej udało się założyć ogród między budynkami kuchennymi. Arn zaczął od tego, że oczyścił całą wolną przestrzeń między kwaterami niewolników z odpadów, które wielkimi furami wieziono na miejsce przyszłego ogrodu i tam gromadzono, by użyźniały ziemię, te zaś, które nie wnikłyby w nią prędko, a więc resztki ryb i kości, palono. Arn jednak poprosił Erykę, aby sama zarządziła pomoc ze strony całej służby, przez co powstawało wrażenie, że właśnie ona, jako pani domu, podejmowała wszystkie decyzje.

Zmianą najtrudniejszą do przeprowadzenia była ta, która miała związek z ludzkimi ekskrementami, Arn twierdził bowiem, że mogłyby one służyć jako nawóz nie gorzej niż odchody zwierząt, choć stanowiłyby szkodliwsze zanieczyszczenia żywności czy wody. Dotychczas niewolnicy załatwiali się, gdzie popadło, a teraz należało ich zmusić do korzystania z osobnych latryn, kto zaś zostałby przyłapany na załatwianiu się gdzie indziej, tego czekała surowa nagana.

Niewolnicy trochę sarkali na te zmiany, ale Eryka Joarsdotter okazała w tym przypadku bezwzględność jako pani domu, gdyż bardziej ufała Arnowi niż komukolwiek innemu.

Zanim nagle została przez swego ojca zabrana z klasztoru i wydana za mąż, spędziła Eryka pięć lat w nowicjacie, niemało rzeczy, o których rozmawiał z nią Arn, poznała więc właściwie wcześniej. I być może, sądziła wtedy, że w klasztornych murach zapanował odmienny ład Boży, że ten lepszy ład przynależał do świata rzeczy wyższej rangi, że wszystko tam, wewnątrz, jest nieporównanie czystsze niż w świecie zewnętrznym, tak jakby czystość miała swój wymiar duchowy. Toteż zanim pojawił się Arn, by otworzyć jej oczy, myślała, że ów dobry ład, znany z życia w klasztorze, nie jest osiągalny w codziennym życiu tutaj, na zewnątrz. Eryka rumieniła się lekko, ilekroć wspominała gafę, którą popełniła, gdy przywitała Arna po raz pierwszy, wypowiedziawszy kilka starannie przygotowanych zawczasu zdań po łacinie, jakby ów język mógł w ten



czy inny sposób zatuszować jej wadę wymowy i sprawić, by coś brzydkiego wydało się piękniejszym. Arn zaś odpowiedział długimi, w pogodnym nastroju wypowiedzianymi zdaniem, z których ona zrozumiała ledwie połowę, mogła więc tylko udawać, że nadąża. Ale że on szybko dostrzegł jej zakłopotanie, to i przeszedł na język rodzimy, po czym mówił głośno, aby inni też słyszeli, i wyjaśnił, że nie godziłoby się tamtych wyłączać z rozmowy, bo przecież w Arnas tylko oni oboje posługiwali się łaciną.

Teraz, gdy Eryka poznała go już lepiej dzięki codziennym długim rozmowom, jakie prowadzili ze sobą, przypomniała o swej gafie i oboje śmiali się z tego. Arn zrewanżował się opowieścią o jeszcze zabawniejszym zdarzeniu, o tym, jak po raz pierwszy spotkał księdza z Forshem. Arnowi wydawało się to naturalne, że wobec duchownego należy posłużyć się językiem kościelnym, pozdrowił więc go grzecznie, przedstawił się i wyraził radość z powrotu do kościoła znanego z dzieciństwa, tak pięknej teraz świątyni. Na kościelnym wzgórzu stali jednak jacyś ludzie, toteż ksiądz odpowiedział tak, jakby faktycznie władał łaciną, chociaż nie posiadał tego języka. Naśladując go, Arn wypowiedział coś, co zabrzmiało jak: *Pax vobiscum, hummalidumdum, pater noster et Ave Maria krusilurum Srokuspokusum, honsum at gasum per aspera ad astra.*

Ta imitacja na wesoło sprawiła, że oboje wybuchnęli serdecznym śmiechem. W nie mniej wesołym tonie opisał Arn siebie samego, pewno ze zdumieniem na twarzy, kiedy usłyszał pozorną łacinę księdza, na którą nie umiał odpowiedzieć, i dodał, że ksiądz zręcznie wybrnął z sytuacji, zwrócił się bowiem do tych, co stali dookoła, i z nutą pobłażania w głosie stwierdził: „Tak, tak, młodym ludziom niełatwo opanować łacinę”, po czym przeprosił, bezczelnie mruknął do Arna i znalazł sobie pilne zajęcie po drugiej stronie wzgórza.

Oboje rozbawiła ta historia nieomal do łez, aż w końcu padli sobie w ramiona i Eryka macierzyńskim gestem pogłaskała Arna po policzku. Tym go jednak spłoszyła i szybko się od niej odsunął, w swym zmieszaniu prosząc o wybaczenie.

Tak więc przyjazd Arna sprawił, że dalszy pobyt Eryki Joarsdotter w Arnas był dla niej radośniejszy i łatwiej znosiła brzemień własnej odpowiedzialności jako pani domu, wczesnym rankiem wstawiała w nastroju tak pogodnym, że nigdy przedtem czegoś podobnego nie potrafiłaby sobie wyobrazić. A gdy rychło okazało się ponadto, że na stół w wielkim domu trafiała niejedna nowa i smaczniejsza potrawa, mężczyźni, którzy doń zasiadali, zaczęli wypowiadać

pod adresem Eryki pochwały, jakich wcześniej nigdy nie zdarzyło jej się słyszeć. Chwalono zwłaszcza wędzoną szynkę.

Arn miał wszak ze sobą zapas kielbas i płaty wędzonej wieprzowiny, kiedy przyjechał z Varnhem, a choć prawie wszystko zniknęło w czasie uczyt powitalnej, po której nikt nie pamiętał zbyt dobrze smaku tej mnisiej strawy, Eryka zapytała jednak, jak ją wyrabiano. Niebawem też Arn zaczął wznosić wędzarnię z powleczonego smołą drewna. Gdy budowa została ukończona, poddał on kilka kawałków wieprzowiny próbie wędzenia, po czym zademonstrował wszystkie czynności Eryce i niezadługo ona sama, ze swą niewolną służbą, potrafiła wędzić wieprzowe mięso tak dobrze, iż sprawiało wrażenie sprowadzonego prosto z jakiegoś klasztoru.

\*\*\*

Tymczasem Arn zdążył już zająć się czym innym, wytłumaczył wszak Eryce, że smołowanego drewna można używać do wzniesienia czegoś tak prostego jak wędzarnia, lecz wiele budowli należących do świata kuchennego wymagałoby raczej stosowania cegieł. Na pewien czas zniknął jej więc z oczu, aby postawić cegielnię. Na brzegu wschodniej rzeczki, powyżej garbarni, znajdowała się odpowiednia glina, tyle że Arn potrzebował paru tygodni, by przydzieleni mu na stałe niewolnicy pojęli wreszcie, jak powinno się kształtować glinę w drewnianych formach, ażeby uzyskiwać jednakową wielkość elementów, i jak potem tę glinę wypalać, która to czynność przypomina wypiekanie chleba, wymaga jednak większego żaru, osiąganego dzięki miechom kowalskim, i trwa dłużej. Wkrótce obok budynków kuchennych zaczęła wyrastać nowa ceglana spiżarnia i Arn niejedynym razem oprowadzał Erykę po placu budowy i zabierał ją na rusztowanie, opisując wszystko i objaśniając, co będzie można sobie zapewnić, jeśli lód z jeziora Wener ochłodzi ową ceglana spiżarnię także w najgorętszych dniach lata. W pierwszej chwili Eryka skwitowała pomysł śmiechem, bo przecież wiadomo było powszechnie, że w lecie lodu nikt by nie znalazł. I wtedy Arn po raz pierwszy sprawił takie wrażenie, jakby poczuł się trochę urażony, i stał ze spuszczoną głową, chyba po to, by zapanować nad sobą i ani jednym słowem nie okazać gniewu. Po chwili zaś łagodnie i cierpliwie wyjaśnił Eryce, co należałoby zrobić i że bynajmniej nie ma w tym cudu, iż lód przechowuje się, aby móc go wykorzystywać również w lecie.

Modląc się wieczorami, Eryka Joarsdotter stale dziękowała Bogu za to, że zesłał owego utraconego niegdyś syna, który ją traktował jak matkę, choć nie

był jej synem, a ponadto w życie Eryki w Arnas wniósł radość i sens, czego w owym żywocie wcześniej brakowało. Eryka nie śmiała jednak podzielić się z Bogiem pewną myślą, która dzień w dzień postawała w jej głowie, tą mianowicie, iż Arn właściwie pojawił się w Arnas jako anioł.

\* \* \*

Eskil wahał się, właściwie nie wiedział, co sądzić o młodszym bracie, który pewnego dnia nagle wjechał na podzamcze na szkaradnej szkapie, w równie cudowny sposób powróciwszy spośród żywych, choć umarłych, jak niegdyś został pomiędzy nich posłany za sprawą rzekomego cudu.

W pierwszej chwili zapalał Eskil żarliwą braterską miłością, albowiem mocniej niż cokolwiek innego w życiu utkwiał mu w pamięci dzień, w którym bezwzględnie odciągnięto go od młodszego brata u drzwi głównego domu, po czym biegł za wozem, którym Arn został zabrany, aż w końcu z płaczem upadł w koleinie i przez łyż i kurz gościńca widział, że Arn zniknął na zawsze, wyrwany z domu z przyczyny niepojętego Bożego nakazu.

Kiedy uściskał Arna, który ledwo powrócił, w tym samym miejscu, w którym się niegdyś rozstali, wydał mu się brat mizernym, bodaj nawet niedożywionym, ale to wrażenie zniknęło, gdy poczuł niedźwiedzią siłę ramion, którymi brat go objął, tak przycisnąwszy Eskila do siebie, że temu brakło tchu. I była to szczęśliwa chwila niezmiernej radości.

Wszakże już pierwszego wieczoru, podczas wielkiej uczyty powitalnej, zaczął młodszy brat martwić Eskila tym, że właściwie nie brał udziału w biesiadzie, że nieomal niegrzecznie odmawiał jedzenia, a piwo sączył jak niewiasta, zresztą i pod innymi względami zdawał się nieco odstawać.

Wkrótce zapanowało pewne napięcie, gdyż ojciec i starszy brat odsunęli się od Arna, który czuł ich niechęć i nad męskie towarzystwo przedłożył niewolną służbę i panią domu. Za plecami Arna znaleźli się już wcześniej tacy, co stroili miny, wznosili oczy ku niebu, z pogardą pstrykali palcami, a mianowicie zbrojni. Eskil zapalał chęcią udzielenia im surowej reprimendy, ale się na to nie zdobył, bo i sam nie był wolny od uczuć, którym zbrojni dawali wyraz swoimi szyderczymi zachowaniami.

Ilekróć potem była mowa o Arnie, ojciec okazywał się oszczędny w słowach, a jedyna roztropna uwaga, jaką zgodnie wypowiedzieli Mangus i Eskil, sprowadzała się do tego, że trzeba poczekać, pozwolić Arnowi zajmować się, czym zechce, w otoczeniu niewolnej służby i niewiast, później zaś spróbo-

wać po dobroci wpłynąć na niego tak, by, jeśli się nada, zaczął być przydatny także w inny sposób.

W ich stosunkach istniał jakby zmierzch, bo przecież ani pełnia dnia, ani nocny mrok. Każdy szedł w swoją stronę, Magnusa i Eskila niezbyt interesowało to, co Arn czynił wśród niewolników, w kuchniach i w ogóle na południowym końcu Arnas, a więc tam, gdzie ojca i starszego brata widywano rzadko.

To i owo rzucało się jednak w oczy. Na stół trafiały wszak nowe potrawy z mięsa, najbardziej zresztą smakowała Eskilowi wędzona szynka, która nie była twarda czy wyschnięta ani słona jak to, co z konieczności jadano zimą, lecz przyjemnie soczysta, tak że na samą myśl o niej leciała ślinka. Niepodobna też było nie dostrzec odmiany, jak zaszła w pani domu, Eryce, tego, że zaczęła, mimo wady, mówić głośno i bez skrepowania, że przy stole potrafiła się śmiać i wesoło odpowiadać na pytania o nowe urozmaicenie obiadu i wieczerzy, którymi mogła teraz zabłysnąć.

Eskil był zwolennikiem zmian i sam z czasem zrozumiał, że pragnęła ich także jego matka, Sigrid, i raczej ona niż ojciec. Zmiany na lepsze mogły przysporzyć bogactwa, a jeśli nie okazywały się właśnie takimi, to należało zmieniać dalej. Tak się działo i tak musiało być i w przyszłości w Arnas, dzięki temu wszak ich posiadłość górowała nad tymi, w których nie zmieniano niczego, miała się lepiej, rozrastała się, była coraz większym bogactwem.

Toteż Eskil nie potrafił długo udawać braku zainteresowania. Poprosił Arna o to, by mu brat objaśnił, co się działo, i od razu bardzo tym Arna ucieszył, wręcz uszczęśliwił, był więc gotów natychmiast odejść od stołu, żeby wszystko pokazać starszemu bratu.

Oprowadzony po gospodarstwie, zobaczył Eskil takie rzeczy, które sprawiły, że całkiem zmienił zdanie o Arn. Niewątpliwie znał się na tym, co robił, i Eskil rychło zrozumiał, że osądził brata pochopnie.

Gdy doszli do kwater niewolnej służby, wszystko okazało się odmienione, gdyż uprzątnięto gnój, tak jak to czyniono zimą w oborach. Można było udać się do owych kwater, nie uważając na to, gdzie się stąpnie.

Pierwszą reakcją Eskila były wypowiedziane żartobliwym tonem słowa, których się wkrótce zawstydział, stwierdził mianowicie, że, i owszem, jest czyściej, ale też dodał, iż chyba niekoniecznie trzeba dbać o to, by niewolnicy mieszkali nie gorzej niż wolni ludzie.

Arn odpowiedział poważnie, wyjaśnił mianowicie, że odkąd zniknął gnój, poprawił się stan zdrowia niewolników, że więcej dzieci w ich rodzinach mogło pozostać przy życiu, że zdrowy niewolnik jest oczywiście czymś o wiele lepszym niż chory niewolnik, tak jak żywy jest lepszy aniżeli martwy niewolnik, że chorzy spośród niewolnej służby mogliby zarażać ludzi wolnych i że właśnie dlatego czystość służy wszystkim. Potem opowiedział Arn o swoich zamiarach rozdzielania nurtów wody, z jednym utrzymywanym w czystości, i o chęci urządzenia latryn, aby nie załatwiano się gdziekolwiek, a także o tym, że odchody ludzkie można by wykorzystywać jako nawóz, na coś by się więc przydały, a nie rozsiewały już zła.

Powaga, z jaką Arn potrafił rozprawiać nawet o czymś tak przyziemnym jak łajno niewolników, zrobiła na Eskilu dwojake wrażenie: z jednej strony brzmiało to zabawnie, jakby Arn żartował, z drugiej strony przekonywało, wydało się tak oczywiste, że Eskil był wręcz oszołomiony. A jeśli takie proste zmiany, które zresztą mogły zostać wprowadzone przez samych niewolników, faktycznie oznaczały ogromną poprawę? Wiele wszak zyskałoby się przy małym wkładzie pracy i nie kosztowałyby to ani jednej sztuki srebra.

Kiedy dotarli do kuchennych budynków i Arn zwrócił uwagę na to, że odpady i nawóz zaczęły już przysparzać nowych poletek, na których można było uprawiać cebulę, pory i coś jeszcze, czego Eskil nie znał dobrze, i gdy w kuchniach zobaczył, że kładziono tam posadzkę z palonej gliny, zważył on w pewnym momencie, czy w ogóle warto upiększać miejsce pracy niewolników i niewiast. Na to Arn zareagował pierwszym uśmiechem, jakby spoza ciemnej chmury jego powagi wyjrzało słońce, i wyjaśnił, że nie o piękne otoczenie dla niewolników tu chodziło, lecz o czystsze i lepsze posiłki, na czym bez wątpienia skorzystaliby wszyscy.

Do łez wzruszył Eskila widok nowej wędzarni, gdzie Arn objaśnił, jak wędzono szynki i wszystko inne, oraz ceglanej budowli, która stanowiła nowy rodzaj spiżarni, dzięki używaniu lodu i ciemnościom przydatnej także w lecie. Łzy świadczyły o wyzbyciu się wątpliwości. Eskil nabrał całkowitej pewności co do tego, że Arn, choć nie mógłby sobie zasłużyć na szacunek zacieężnej drużyny, stał się przez pobyt w klasztorze człowiekiem obdarzonym ogromną i błogosławioną wiedzą, która mogła naprawdę przynieść posiadłości Arnas wielki postęp. Wszak od lat panował tam właściwie zastój, nic nie posuwało się do przodu, mimo że był ten majątek w lepszej sytuacji niż inne.

Eskil wyściskał Arna i zaraz poprosił o wybaczenie tego, że nie pojął wcześniej, iż rodzony brat jest prawdziwie bratem, i to nie gorszym. Arn musiał pocieszać Eskila i wziąć się samemu w garść, bo obaj tak się rozczulili, że słudzy, którzy stali w pobliżu, patrzyli na nich ze zdziwieniem.

Gdy zauważył to Eskil, zaraz się wyprostował i powiódł surowym wzrokiem po służbie, które nie omieszkała zniknąć mu z oczu, a potem zaproponował Arnowi, żeby razem wypili kilka czarek piwa w tej izbie na wieży, w której prowadzono księgowość.

Arn chciał w pierwszej chwili powiedzieć, że czekało aż nazbyt wiele pracy i że dopiero pod koniec dnia można by spożywać owoce tego, co się zdążyło w pocie czoła osiągnąć. Ale szybko się zreflektował, pomyślał bowiem, że nie powinien żadnych zasad wcześniejszego życia narzucać rodzonemu bratu, z którym znalazł się pod jednym dachem. A czekał przecież na uznanie i niejednym raz się o to modlił; bolał go i smucił chłód i nieufny stosunek ojca i brata do niego. Liczył jednak na to, że niedługo zrozumieją jego poczynania i pożytek z nich. Tak więc wcale nie zgrzeszy, jeśli z rodzonym bratem napije się piwa, choćby w biały dzień, jeszcze po południu.

\* \* \*

Pan Magnus szukał pretekstu do tego, by nie zabrać ze sobą Arna w podróż do Norwegii, którą zamierzał odbyć dla rokowań w sprawie pewnej rodowej sukcesji w owym kraju. A zabranie Eskila mogło, nie po raz pierwszy, okazać się nader kłopotliwe, jako że norweska gościnność łatwo kończyła się różnymi zabawami z bronią, gdy mocne piwo uderzało do głów. Kto zaś nie był dość szybki i sprawny ani zbyt stary, żeby się odzegnać od popisów młodzieży, ten narażał się na złą opinię w Norwegii.

Mimo tego niebezpieczeństwa chciał Magnus mieć przy sobie Eskila, w grę wchodziły bowiem trudne i niecodzienne pertraktacje, a Eskil nawet po wypiciu wielkich ilości piwa potrafił wyliczyć w pamięci wartość rozmaitych rzeczy i powiedzieć, ile srebra trzeba by na nie przeznaczyć. Magnus i Eskil mówili wszystko szczegółowo i doszli do wniosku, że najrozsądniej będzie sprzedać norweskie dziedzictwo, choć niejednym się na to oburzy. Tak w Norwegii, jak w Zachodniej Gocji honor nakazywał zachowanie sukcesji, aby nigdy nie trafiła w obce ręce.

Tyle że posiadłość nad wielkim fiordem rokowała niewiele korzyści komuś, kto nie zamierzał tam osiaść. Wówczas sprawa przedstawiałaby się zgo-

ła inaczej, ponieważ fiord jest przez cały rok wolny od lodu, stamtąd więc wygodniej byłoby handlować niż z głębi lądu, pozostając w okolicy jeziora Werner.

Wszyscy inni powierzyliby pewno gospodarowanie komuś obcemu albo któremuś z norweskich krewnych, lecz Magnus i Eskil zgodnie mniemali, iż w takiej sytuacji posiadanie stałoby się równoznaczne z nieuzyskiwaniem korzyści, byłoby tylko posiadaniem, bo przecież żaden norweski krewny nie płaciłby przyzwoitej dzierżawy.

A sprzedając, można by zarobione srebro przeznaczyć na jakiś lepszy cel. Skoro stało się tak, iż Arn powrócił do domu, trzeba wszak myśleć o przyszłości, kiedy to również jemu będzie się pewno należała jakaś sukcesja, i z tego względu praktyczniej szy byłby zakup ziemi niezbyt daleko od Arnas albo na południe od Skary, w sąsiedztwie rodu Eryka, albo czemuż by nie nabyć jej od rodu Pawła z Husaby? Przynajmniej dla Arna każda z tych możliwości byłaby bezpieczniejsza niż posłanie go do Norwegów, nazbyt chętnie sięgających po miecz.

Tymczasem należało tak uprzedzić Arna, że minie go podróż do Norwegii, aby go nie urazić, znalazło się jednak proste rozwiązanie problemu. Nadeszła ta jesienna pora, w której niewolnik Svarte i jego syn Kol polowali na jelenie i dziki. Zdążyli oni przywieźć do domu niemały łup. Arn i Eryka mieli co robić w nowej wędzarni, tym bardziej, że Arn zapewnił, iż dziczyznę raczej należy wędzić niż peklować i suszyć. I oto tuż przed ową podróżą do Norwegii oraz przed kłopotliwą rozmową ojca z Arnem o niestosowności pojawienia się człowieka o miękkim usposobieniu wśród Norwegów, sam Arn zwrócił się do Magnusa z pytaniem o to, czy mógłby towarzyszyć Svartemu i Kołowi w ich wyprawach myśliwskich, a chciał też nauczyć się łowiectwa.

To pytanie ucieszyło Magnusa w dwójnasób. Oto unikał żenujących wyjaśnień co do norweskich krewnych, używania miecza i toporka po piwie. A prócz tego Arn okazał po raz pierwszy chęć nauczenia się czegoś, co należało do zajęć rycerskich. Dobry myśliwy, choćby i niewolnik, zyskiwał sobie wielkie uznanie.

Magnus nie miał jednak nadziei na to, że Arn, na poły mnich i w dobrym, i w złym, mógłby sobie bodaj po części przyswoić trudną sztukę polowania, wymagającą przecież męstwa.

Takiej nadziei nie żywił też Svarte, lecz jego obowiązywało posłuszeństwo. Gdy się dowiedział, że wypadnie mu zabrać jeszcze jednego syna - półmęż-

czyżnę, zaraz wyobraził sobie, jak przebiegnie polowanie. Dwa lata wcześniej, też jesienią, zmuszono go do tego, by zabrał starszego syna dziedzica, Eskila, który nie przypominał jeszcze wtedy baryłki piwa, a jednak stał się nieznośnym ciężarem i sprawił, że łowy spełzły właściwie na niczym. Niełatwo było mieć przy sobie panicza, który miał o wszystkim decydować, choć nic nie rozumiał.

Tak czy inaczej co do drugiego syna, Arna, miał Svarte mniej pewności niż w przypadku Eskila, który w sumie przypominał ojca. Inni niewolnicy często rozmawiali o Arnie i niejednym raz dostrzegali u niego talenty, których dziedzice nie posiadali, a poza tym mieli go za człowieka łagodnego usposobienia. Arn nigdy nie podniósł ręki na nikogo, nie kazał chłostać i nawet nie ganił surowo.

Svarte domyślał się raczej związku owej cechy Arna z dziwną religią Magnusowego rodu niż z tym, o czym plotkowali zbrojni i różni inni ludzie. Bo też była ta religia pod niejednym względem trudna do zrozumienia. Istniało w niej tylu bogów, że nikt by ich nie zliczył, i to skłonnych do nieustannego karania ludzi bez szczególnej winy z ich strony, zresztą na ogół karali chyba za myśli. Jak gdyby bogowie mogli je słyszeć! A gdyby nawet słyszeli, to czy zależałoby im na zachowywaniu porządku przy wymierzaniu kar za nieprawomyślność?

Co zaś tyczyło się właśnie tego Arna, dobrze pamiętał Svarte sytuację, w której, goniąc kawkę, wspiął się on na wysoki wał obronny i spadł zeń, szczęśliwym trafem w śnieg. Chłopiec stracił oczywiście przytomność i nie od razu wydobrzył, ale jaśnie państwo przebłagali modlitwami swych bogów, obiecali wiele rzeczy możliwych i niemożliwych i skończyło się to wszystko tak, iż, karząc siebie albo może chłopca, wysłali Arna z domu. Kogo ukarali, trudno było zrozumieć, tak jak niezbyt zrozumiałą okazywała się ich religia.

Ale oto Arn chyba odbył swą karę i powrócił do domu, wszakże niepodobny do nikogo. Svarte widział Arna w kuźni i musiał, choć niechętnie, bo przecież uchodził za najlepszego kowala w Arnas, przyznać, że tego chłopca mógłby nauczyć niewiele, co się tyczyło używania młota i kowadła. Jeśli już trzymać się prawdy, Svarte odczuwał raczej przykrość z tego powodu i niełatwo mu było to strawić.

Kiedy wyruszali na łowy, doszło zresztą do sytuacji, które zabiły Svartemu człowieka. Jako że brali ze sobą syna gospodarza, Svarte i Kol mogli swobodnie



wybrać broń w arsenale na wieży. Sposób, w jaki Arn ujmował łuki i je napinał dla sprawdzenia, nawet te najmocniejsze bez widocznego wysiłku, uświadomił Svartemu, że ten syn gospodarza miał zapewne niejednego łuk w ręku. A gdy Arn zdecydował już, który łuk weźmie, całkiem pewnie dobrał też strzały. Wcześniej Svarte miał dość mgliste wyobrażenie o tym, co się działo w klasztorach białych chrześcijan, a ćwiczenie się w strzelaniu z łuku, które tam praktykowano, jak się domyślił, zadawało kłam złośliwym żartom, na jakie pozwalali sobie niewolnicy i Svarte razem ze wszystkimi.

Gdy też jedne konie objuczyl, a inne wyprowadzili, żeby je osiodłać, Kol w ostrożnych słowach podpowiedział Arnowi, że jako syn dziedzica Arnas mógł dosiąć dowolnego konia i że miałby do wyboru niemało lepszych niż ta jego mizerna mnisia szkapa. Arn skwitował uwagę Kola śmiechem, ale bez urazy, i zapowiedział, że skoro tylko wjadą na otwartą przestrzeń, udowodni, iż nie byłoby taki koń.

Svarte znał się na tych zwierzętach nie lepiej i nie gorzej niż inni, dbał o wszystkie konie w Arnas, teraz - to szczerą prawdą - z podkowami, które górowały nad używanymi dawniej, jeździł jak każdy, kto miał z końmi do czynienia, jak wszyscy ludzie wolni i niewolni, jak chłopcy czy członkowie zbrojnej drużyny. Rychło jednak musiał przyznać, że Arnowi w jeździe nie dorównywał. Ledwo bowiem trochę się oddalili od Arnas, zaczął Arn wyczynić ze swym koniem takie rzeczy, na jakie nie stać było nikogo - co do tego i Svar-te, i Kol nie mieli wątpliwości. A ów niepozorny w brzuchu koń okazał się, gdy Arn ujął cugle, tak silny i chyży, że nie inny byłby pewno koń Odyna, jeśliby ktoś chciał go sobie wyobrazić.

W pierwszych godzinach nie rozmawiano wiele, ponieważ Svarte i Kol niezbyt dobrze rozumieli Arna i często musieli powtarzać swoje pytania, a to ich trochę onieśmiało.

Gdy zaś wjechali w dębowe lasy Kinnekulle ponad posiadłością Husa-by, Arn okazał się jednak równie miernym myśliwym, jak jego brat. Natomiast coś go wyraźnie różniło od pana Eskila, to mianowicie, że przyznawał się do błędów, prosił o wybaczenie ich i później pytał wciąż, jak należało się zachować.

Tak było, kiedy po raz pierwszy bardzo się zbliżyli do stadka jeleni, które wylegiwały się tego dnia na jakiejś polanie. Czuło się dosyć silny wiatr i właśnie pod wiatr jechali. Susza sprawiła, że jesienne listowie zaszeleściło na wietrze i to tak podziałało na słuch jeleni, że w biały dzień znalazły się w zasięgu strzału.

Svarte i Kol wypatrzyli zwierzęta na długo wcześniej, zanim je nagle dostrzegł Arn, który nie omieszkał z entuzjazmem oznajmić, że zobaczył przed sobą jelenie. Te usłyszały pewno nie gorzej niż Svarte i Kol to, co Arn miał do powiedzenia i z całą pewnością zrozumiały, co im groziło, toteż długimi skokami czym prędzej zniknęły.

Kiedy wieczorem stanęli obozem i rozniecili ognisko, zadawał Arn wiele dziecinnych pytań, na które Svarte i Kol odpowiadali cierpliwie, nie dając po sobie poznać, co o tych pytaniach sądzili. Tak, pod wiatr jeździć nie należy, bo wtedy jelenie i dziki, zresztą inne zwierzęta też, orientują się, że ktoś nadjeżdża. Tak, słyszą człowieka z takiej odległości, jaką pokonuje strzała, jeżeli jest cicho i prawie bezwietrznie, a kiedy indziej z połowy tej odległości. Nie, nie powinno się zabijać jeleni z porożem, bo najgorzej wtedy smakują, zwłaszcza o tej właśnie porze roku, tuż po rui. Tak, ruja to czas, w którym samce pokrywają samice, i mięso samców mocno pachnie wtedy moczem. Tak samo jest z dzikami, knury zabija się dopiero wtedy, gdy są średniej wielkości. Jeśli się zdarzy ustrzelić lochę, która ma przy sobie mnóstwo prosiaczków, to dobrze, bo gdy ona się pokłada przed śmiercią, wszystkie te maleństwa otaczają matkę i kto ma szczęście oraz wspomóżenie bogów, ten może ustrzelić je wszystkie naraz i właściwie one najlepiej smakują.

Gdy siedzieli przy ognisku i Svarte oraz Kol uprzejmie odpowiadali na niemądre pytania panicza, w głębi dębowego lasu rozległ się ryk jakby z otchłani. Arn zerwał się, sięgnął po łuk i kołczan, po czym pytającym wzrokiem spojrzął na Svartego i Kola, którzy dalej siedzieli całkiem spokojnie przy ogniu i uśmiechali się. Nie dopatrywszy się u nich strachu, Arn usiadł jeszcze raz, ale widać po nim było wielkie zdziwienie.

Svarte wyjaśnił, że nieświadomi ludzie określali ów dźwięk już to jako okrzyk wojenny króla gór, już to jako ryk zapowiadający odwet trolla na człowieku. Takich złych zamiarów pewno też nie brakowało, ale w tym przypadku szło o starego jelenia, który nie całkiem wyzbył się rui. Ów dźwięk, najpotężniejszy w lesie, potrafił sprawić, że niejeden człowiek ze strachu tracił zdrowy rozsądek, myśliwi jednak słuchali go chętnie, oznaczał on bowiem, iż za kilka dni, skoro świt, odnajdą pewno wszystkie łanie i cielęta, za którymi stary jelen się uganiał. Kto szedł śladami starych jeleni w rui i orientował się po ich ryczeniu w ciemnościach, zwłaszcza w trochę wcześniejszej porze jesiennej, ten niechybnie natrafiał na łanie i cielęta, które trafiały do kuchni, na rożen, które czekało peklowanie i suszenie.

Wcześniej, bo sporo przed brzaskiem, ostrożnie i cicho poszli oni w las, by na słuch rozpoznać, gdzie przebywały jelenie, stary byk i łanie. Po mroźnej nocy było jednak trudno zachować ciszę, bo każdy krok Svartego i Kola sprawiał, że szeleściły albo skrzypiały zmarznięte liście dębowe i bukowe oraz żołądźcie. A kroki Arna przypominały tamtym marsz całego oddziału zbrojnych w pełnym rynsztunku, myśleli więc sobie, nie ważąc się czegoś takiego wypowiedzieć, iż do czułych uszu jeleni docierał pewno odgłos kroków Ragnaroka.

Svarte nie śmiał zbliżyć się jeszcze bardziej, a tak czy inaczej znaleźli się na polanie pośrodku dębowego lasu, tuż obok niewielkiego jeziora. Słaby wiatr wiał im w oczy, bo ani Svarte, ani Kol nie poruszałiby się w żadnych innych warunkach. Tyle że owo jeziorko leżało po przeciwnej stronie polany, w kierunku wiatru, ponad nim zaś unosila się gęsta mgła, przez co słyszeli potężne porykiwanie starego jelenia w rui, i to całkiem blisko, a łanie i cielęta migwały tylko tu i ówdzie we mgle. Znajdowali się zbyt daleko, lecz nic zrobić nie mogli. Gdyby przekradli się bliżej, przez polanę, zostaliby wykryci. Wypadało pozostać na miejscu i nie tracić nadziei.

Po dłuższej chwili Arn spytał, dlaczego nie strzelają, i uczynił to bardzo cicho, bo już rozumiał, że tak trzeba. Szeptem odpowiedzieli, że znaleźli się zbyt daleko na to, aby strzelać, a trafić jelenia można by dopiero z połowy tej odległości. Arn przyjrzał im się sceptycznie i szeptem oznajmił, iż potrafi strzelać.

Svarte gotów był pokręcić głową, słysząc te wszystkie głupstwa, ale rozsądnie pomyślał, że dla Arna będzie lepiej, jeśli nauczy się czegoś na własnym błędzie, niżby miał go pouczać jego niewolnik, i zwięźle powtórzył pewne słowa wypowiedziane wieczorem przy ognisku. Trzeba celować w płuca, które są na wprost łuku. Wtedy, przy dobrym trafieniu, jelenź zatrzymuje się. Serce jest zbyt nisko dla łuku. W tym przypadku jelenź ucieka w popłochu i swym strachem zaraża inne zwierzęta. Jeżeli nastąpiło trafienie w płuca i jelenź pozostał na miejscu, to można spróbować ustrzelić jeszcze jednego.

Arn założył strzałę na cięciwę, przytrzymał ją lewym kciukiem i przeżegnał się. A potem czekał.

Po oczekiwaniu, które z całą pewnością wydało się Arnowi znacznie dłuższe niż tamtym dwóm, zatrzymały się trzy jelenie, próbując poprzez mgłę przed nimi coś usłyszeć. Widać je było jednak niewyraźnie. Arn lekko ujął ramię Svartego, aby pytać wzrokiem, a nie mówić. Svarte szepnął mu cicho

do ucha, że stoją w dobrym punkcie, ale zbyt długo. Arn potwierdził skinieniem głowy, że rozumiał.

Po chwili zaś napiął on swój łuk, jak było można, i bodaj czy nie na wyciągnięcie ręki wypatrzył ciele w najkorzystniejszej pozycji, po czym bez wahania wypuścił strzałę. Tamci usłyszeli trafienie, ale zobaczyli, że trafione ciele stoi spokojnie, jakby nie rozumiało, że ma w sobie śmierć. Arn strzelił znowu. I zaraz to powtórzył... Teraz słysząc było ucieczkę jeleni.

Arn chciał czym prędzej rzucić się w mgłę, aby sprawdzić, co się stało, lecz Kol chwycił go za ramię i od razu wystraszył się własnego gestu. Arn nie okazał jednak wcale gniewu z tego powodu i na znak zrozumienia skinął głową. Długo przyszło mu czekać, nim słońce swym ciepłem położyło kres tańcowi rusalek.

Svarte i Kol zdjęli płaszcze, które ich opinały, ułożyli się obok jakiegoś pnia i zasnęli. Arn usiadł, ale nie mógłby usnąć. Strzelał jak potrafił i był pewien, że na początku dwa razy trafił, lecz niezbyt dobrze rozumiał, co się stało przy trzecim strzale, wyczuwał jednak, iż nastąpiło coś, do czego nie należało dopuścić. Być może strzelał za szybko albo też robił to w zbyt napięciu. Serce łomotało mu wtedy tak głośno, że sam przypuszczał, iż jelenie mogły to usłyszeć.

Gdy słońce już od dawna zapewniało dobrą widoczność, Svarte obudził się i wyrwał swego syna ze snu. Wtedy poszli, na łąkę, żeby sprawdzić, co tam można było znaleźć.

Ciele ustrzelone przez Arna w pierwszej kolejności leżało martwe w miejscu, w którym zostało trafione, i tego właśnie należało się spodziewać, jak wyjaśnił Svarte, w zamyśleniu oglądając ślad po strzale. Przebiła ona oba płuca cielecia i wydostała się z drugiej strony. Dlatego też owo zwierzę pozostało na miejscu. Nawet nie poczuło bólu, nie odbiegło więc.

Łani nie było tam, gdzie powinna by się znajdować, ale Svarte i Kol od razu wypatrzyli ślady krwi. Zbadawszy je, porozumiewawczo pokiwali głowami, po czym i Arn doczekał się skinienia od każdego z nich. Kol powiedział, że również ta łania została trafiona w płuca i że pewno leży martwa gdzieś blisko, gdzie ją rychło wypatrzą. W miejscu, w którym znaleźli krew, Kol wbił w ziemię strzałę, a potem razem z ojcem obeszli, pochyleni, punkt, w którym ich zdaniem stało trzecie zwierzę, kiedy Arn strzelał. Na źdźble trawy dopatrzyli się krwi, wzięli to źdźbło między czubki palców, powąchali i już po chwili znów wiedzieli wszystko.

Svarte wyjaśnił, że to zwierzę otrzymało śmiertelną ranę, ale nie zginęło, lecz leżało w gorączce o dwie lub trzy długości strzału stamtąd, i że można teraz sprowadzić konie, bo nie warto wybierać się po nie zbyt wcześnie. Niech spokojnie umrze.

Kiedy powrócili z końmi, wszystko, co powiedzieli Svarte i Kol, okazało się prawdą. Druga łania, ofiara strzały Arna, też leżała martwa, tyle że trochę dalej. Svarte wskazał, że strzała Arna trafiła od tyłu, ale nieco poza właściwy punkt, a gdy zawstydzony tym Arn przeproszał, Svarte nie mógł powstrzymać śmiechu, choć starał się tego po sobie nie dać poznać. Z powagą wyjaśnił, że jeśli nawet jelen w chwili wypuszczenia strzały stoi tak, iż się wystawia, to przecież może się zdarzyć, że zrobi mały krok do przodu, kiedy strzała będzie w drodze. I tak się stało.

Pod wieczór znów polowali na jelenie, ale bez powodzenia. Według Svartego, przyczyną był słaby wiatr, bo zwierzęta łatwo wyczuwają człowieka, gdy tylko się on poruszy.

Gdy zapadł zmrok, byli jednak w bardzo dobrym humorze, bo trzy wypatroszone łanie wisały rzędem na mocnej gałęzi dębu. Jak na jeden dzień łowów, poszczęściło im się mimo wszystko.

Przy ognisku Svarte i Kol ofiarowali części zwierzęcych serc swoim bogom, być może sądząc, że syn ich gospodarza nie zrozumie tego, bo odwrócili się plecami i w swojej mowie szeptali coś nad ogniem. Kiedy nadszedł czas wieczerzy, Svarte i jego syn znaleźli się w niezręcznej sytuacji, ponieważ Kol przyniósł wcześniej świeże gałązki leszczyny, umieścił je nad nieco słabszym ogniem, na te witki zaś nadział małe kawałki wątroby i nerek, przyprawione cebulą, którą Svarte wydobyl z jednego ze swych skórzanych mieszkań. Ku zdziwieniu obu niewolników Arn okazał się zaraz chętny do jedzenia tych podrobów, chociaż powszechnie było wiadomo, że to strawa tylko dla niewolnej służby. Arn jadł jednak z nie mniejszym apetytem niż tamci dwaj i prosił nawet o więcej tego samego, a swojej solonej wieprzowiny nie tknął. Ów posiłek jakby zbliżył ich wszystkich do siebie i zmniejszył wzajemne skrępowanie.

Kiedy syci i zadowoleni legli przy ognisku, przed nocą opatuliwszy się płaszczami, Svarte zaryzykował pytanie o to, czy w klasztorach Białego Chrystusa rzeczywiście uczą strzelania z łuku. Arn, który wywnioskował z pytania, że dobrze strzelał, był nim też rozbawiony, bo pomyślał, iż mało komu przecież przytrafiał się taki nauczyciel, jak brat Guilbert, i wyjaśnił, że nieczęsto się zdarza, by zakonnicy strzelali z łuku, a on miał pod tym względem wyjątkowe

szczęście, gdyż trafił na bardzo biegłego nauczyciela. Svarte i Kol uśmiechali się, usłyszawszy wyjaśnienie, i Kol powiedział, że chętnie by tego mistrza poznali. A gdy Arn odpowiedział żartobliwym tonem, że pewno byłoby to możliwe, jeśliby Kol i Svarte przyjęli chrzest, obaj niewolnicy sposepnieli, zamilkli i wpatrzyli się w ogień.

Jakby chcąc zatrzeć przykre wrażenie po swym żarcie, wspomniął Arn o tym, że cokolwiek by sobie myśleli o klasztorach Białego Chrystusa, jest to jednak świat bez niewolników, świat, w którym każdy człowiek ma nie mniejszą wartość niż inni. Ich reakcją było tylko milczenie. Mimo to Arn chciał osiągnąć swój cel, wypytał więc, tak niedwuznacznie i prosto, jak umiał, dlaczego Svarte i Kol zostali niewolnikami, którymi byli już przecież w jego chłopięcych latach. Skoro wielu innych wyzwolono, to dlaczego nie uzyskał wolności Svarte ze swą rodziną?

Svarte, który musiał odpowiedzieć, mimo że nie było mu to w smak, niemrawo wyjaśnił, że wyzwolenie zależało od rodzaju zajęć każdego z osobna. Niewolnicy, którzy uprawiali ziemię, uzyskiwali wolność rychlej niż ci, co byli murarzami albo myśliwymi. Tym pierwszym powierzano karczowanie, dzięki czemu powiększała się posiadłość Arnas, i wyzwalało ich jako arendarzy. A łupy z łowów - zimną skórą, jesienią mięso - trafiały bezpośrednio do Arnas, toteż nie mógł liczyć na wyzwolenie ktoś, kto zajmował się właśnie czymś takim, jako że musiał pracować dla dobra samej posiadłości. Nie inaczej miała się rzecz ze wszystkimi pracami murarskimi, z kowalstwem też. Jakby wystraszony tym, że być może mówił za długo i zbyt śmiało, dodał Svarte, iż sam nie narzekał, bo przecież w podobnej sytuacji znajdowało się wielu cieśli.

Po dłuższej chwili zastanowienia, które tamci przeczekali bez słowa, stwierdził Arn, że uważa ten system za niesprawiedliwy, bo, jeśli wszystko dobrze rozumiał, to futra gronostajowe i kunie przynoszą nie mniejszy zysk niż ziarno, rzepa czy żyto. Na te słowa Arna rozległ się niemal bezczelny śmiech Kola, który zdziwił Arna, toteż niewolnik wyjaśnił z drwiną w głosie, że trudno byłoby o takie urządzenie życia w niewoli, by została zachowana sprawiedliwość. Wtedy Svarte kopnął syna w nogę pod przykryciem, dając mu znak, żeby zamilkł. Ale Arn nie miał bynajmniej pretensji o rezolucję Kola, a przeciwnie, najpierw w milczeniu kiwał głową, potem zaś przeprosił, że źle myślał, i przyznał Kolorowi całkowitą rację. Dodał, iż sam nigdy nie chciałby - i nie mógłby - mieć innego człowieka za swego niewolnika.

Jako że Svarte i Kol nie mieli nic więcej do powiedzenia na ten temat, to i wyczerpał się on. Arn zmówił wieczorną modlitwę w intencji wszystkich trzech, opatulił się płaszczem i skórąmi zwierzęcymi tak, iż widać było, że sypiał już na wolnym powietrzu, po czym ułożył się do snu. Później udawał, że nie dotarło doń nic z tego, o czym, leżąc, szeptali tamci dwaj.

Kol i Svarte nie mogli zasnąć. Swoim zwyczajem leżeli tuż obok siebie, aby się ogrzać, i długo rozmyślali potem o owym dziwnym synu gospodarza i jego dziwnych bogach.

\* \* \*

Nocny mróz sprawił, że wstali wcześniej, na długo przed świtem, i posilili się rzepą, którą Kol zaczął gotować wieczorem i na całą noc pozostawił na ogniu. Svarte i Kol kolejno dokładali drewna i dolewali wody. Razem z zupą, ugotowaną na mięsie z boków jelonka i przyprawioną cebulą, jedli ciemny chleb i posiłek szybko ich ogrzał.

Nastał pogodny dzień i gdy wszyscy trzej, bardzo obciążeni, zjeżdżali zboczami Kinnekulle przez rzadki dębowy las, u ich stóp rozpościerała się cała posiadłość Arnas. Jechali w blasku przedpołudniowego słońca, które zabarwiło jezioro Wener wpierw srebrzyście, potem zaś na złoty kolor, i Arn z radości wdychał rześkie powietrze. Dostrzegł on w oddali jakieś migotanie od strony kowala w Forshem, mógł więc skierować wzrok ku Arnas, choć jeszcze nie widział tego majątku.

Zbocza góry Kinnekulle dość gęsto porastał dębowy i bukowy las, a niżej ścieliły się spore zaorane pola, teraz czarne, ale i posrebrzone przez mróz. Arn pomyślał, że świat nigdy pewno nie był aż tak piękny, że Bóg musiał być w bardzo dobrym nastroju, kiedy tworzył właśnie te pokryte dębami stoki i te pola. Z radości zaczął śpiewać, ale kątem oka zauważył wyraźny przestach na twarzach Svartego i Kola, i dlatego zaraz przestał śpiewać. Zastanawiał się, czyby nie zapytać, co im się nie spodobało w jego śpiewaniu, czy przestraszyła ich magia Białego Chrystusa, czy raczej co innego. Ale się zreflektował, bo uświadomił sobie, że musiałby bardzo powoli rozmawiać z tamtymi dwoma, którzy z usposobienia byli niewolnikami do tego stopnia, iż wolność pewno ich raczej przerażała niż nęciła.

Gdy jechali, coraz wyższe słońce szybko ogrzało wyziębioną ziemię na tyle, że ścichł odgłos uderzeń żelaznych podków. Jezioro Wener spowiło się

teraz w błękit, niebawem wszakże zniknęło im z oczu, ponieważ zjechali tak nisko, że mogli je znów zobaczyć po powrocie do domu.

A dotarli do Arnas około południa, witani okrzykami rados'ci, jako że z tak krótkich łowów przywieźli aż trzy ustrzelone jelenie. Niewolną służbę ucieszyło to, że właśnie Arn upolował owe zwierzęta, unieśli więc ci ludzie swoje narzędzia, czy co tam mieli w rękę, ponad głowy, po czym obracali językami, wywołując radosne powitalne trele. Arn nie mógł się oprzeć uczuciu niejakiej dumy z tego powodu, ale zaraz pomodlił się do świętego Bernarda, żeby ten miał nad nim pieczę i stale przestrzegał przed niebezpieczną pychą.

Rychło zdjęli skóry z jeleni i półwiotrowali zwierzęta, a same skóry oddali do garbarni. Ale że nie byli już na polowaniu z Arnem jako nowicjuszem, lecz szło o przyrządzenie mięsa, właśnie Arn mógł bez większego wstydu wskazać, co należało zrobić. Pomyślał sobie, że skoro Svarte i Kol potrafili go nauczyć orientowania się po śladach krwi i uświadomić znaczenie szeleszczącego kroku w mroźnej porze, to i on może im pokazać, jak wędzić i zawieszać mięso, i dlatego uznał to za oczywiste, że on sam wszystkim pokieruje.

Mięso na pieczone oraz udźce oczyszczono, pokrojono i posłano do wędzarni. Części szyjne i grzbietowe kazał Arn zawiesić na nowych żelaznych hakach w też nowej, ceglanej spiżarni. To, co pozostało, serca, wątroby i nerki oraz boki, posłał Arn bez wahania do domu Svartego i Kola. Następnie pozwolił, by Eryka Joarsdotter zajęła się tym, co należało uwędzić, i udzielił jej samej i jej służbie wskazówek co do czasu wędzenia, różnego dla udźców i pieczonego i różnego dla mięsa z jelonka i z łani. Gdy to wszystko zostało zakończone, spytał Arn uprzejmie Svartego i Kola, czy nie byłby to dobry pomysł, żeby niebawem wrócić na teren łowiska, dokąd dotarliby pod wieczór i zaraz nazajutrz mogliby przystąpić do dzieła. Tamci dwaj zerknęli nań ze zdziwieniem, ale po chwili pokiwali głowami, pochwalając pomysł. Kol poszedł po nowe baranice i świeży chleb, a potem znów wyruszyli.

W czasie jazdy z powrotem ku Kinnekulle spróbował Arn ostrożnie się zorientować, czy nie nadał zbyt szybkiego tempa, czy tamci dwaj nie myśleli przypadkiem o spędzeniu nocy w domu, w ciepłych łóżkach, zanim mieliby znów wyruszyć, czy też równie ochoczo jak on gotowi byli kontynuować polowanie. Na wszelkie pytania o to odpowiadali wymijająco, z czego Arn wyciągnął wniosek, że tak szybki odjazd nie był po ich myśli. Arn wyobrażał sobie, iż ich ostrożne zachowanie brało się z tego, że nigdy w życiu nie rozmawiali szczerze z kimś takim jak on. Był jednak świadomy niemożności rychłej od-



miany. W grę wchodziło tylko to, by on świecił przykładem. A surowe rozkazy nie mogły w żadnej mierze pomóc w zbawieniu tych dwóch duszyczek.

Ledwo wjechali z powrotem na zbocze Kinnekulle, tam, gdzie dębowy las gęstniał, wypatrzyli w oddali stado dzików. Svarte dostrzegł je jako pierwszy i wskazał pozostałym, wstrzymawszy konia. Arn długo wnikał w mrok dębowego lasu, zanim dojrzał dziki, i to o wiele bliżej niż przypuszczał. Wszystkie one stały spokojnie, z pyskami zwróconymi w stronę przybywających jeźdźców, i wyglądało to tak, jakby czujnie węszyły i postanowiły, zanim trzeba będzie uciekać, przyjrzeć się ruchom nieprzyjaciela. Wyżej, ponad jeźdźcami, las był rzadszy, pełen grubych pni dębowych, i sprawiał wrażenie przejeźdnego.

Arn poprowadził Chimala w stronę krzepkiego skandynawskiego ogiera, którego dosiadał Svarte, i spytał, czy nie można by tamtych zwierząt ustrzelić. Svarte musiał zapanować nad sobą, ale uprzejmie wyjaśnił, że zwierzęta uciekną, jeśli oni podjadą bliżej. Po Arnie widać już było pewne zniecierpliwienie, ale powiedział, że rozumie sytuację i zapytał, czy aby na pewno małe dziki biegają szybciej niż konie.

To niemądre pytanie zmusiło Svartego do jeszcze większego wysiłku, by jednak okazać się uprzejmym w mowie, co Arn łatwo wyczuł po głębokim j westchnieniu, którym Svarte poprzedził swoje słowa. Jakby mówił do dziecka, objaśnił mu on, że na płaskim terenie koń zapewne dogoni dzika, zwłaszcza koń Arna. Ale, po pierwsze, nie są na płaskim terenie. A po drugie, jeśli nawet dopędziłoby się dzika, to na cóż byłby tam na górze potrzebny koń?

Na twarzy Arna pojawił się uśmiech od ucha do ucha i zaraz zdjął on, nic nie odpowiedziawszy, łuk z ramienia, nagiął go z taką łatwością, jakby nie był to bynajmniej jeden z najsolidniejszych łuków w Arnas, wyjął kilka strzał z kołczana i schował je pod pachę tej ręki, w której trzymał łuk, uwolnił swego konia od części ładunku i wręczył te rzeczy tamtemu. Potem zapytał, które zwierzęta należałoby ustrzelić, jeśliby się je teraz dopędziło. Svarte ze spuszczonym wzrokiem i powstrzymując szyderczy śmiech odpowiedział, że powinny to być raczej dziki średniej wielkości albo małe.

Arn pokiwał głową i spokojnie pokłusował w stronę dzików, jakby sądził, że pozostaną na miejscu i będą czekać na śmierć. Svarte i Kol spojrzeli po sobie z rozbawieniem i, nic nie mówiąc, wzruszyli ramionami.

W tej samej chwili, gdy dziki uniosły ogony, dając sobie nawzajem znak, że trzeba uciekać, koń Arna wyrwał tak, iż wydało się ledwo po kilku skokach,

że leciał nad ziemią. Svarte i Kol dostrzegli pierwszą strzałę wypuszczoną przez Arna stojącego w siodle bez trzymania się rękoma i zobaczyli, że pierwszy dzik został trafiony. Później słychać było tylko odgłos kopyt konia, który galopował po zboczu w górę, trając żołądź, i ryk kolejnego, a potem jeszcze jednego dzika.

Svarte i Kol uporali się z tym wszystkim nieprędko. Pierwszego dzika, którego sami wypatrzyli, gdy już został trafiony, szybko odnaleźli, rozcięli i wypatroszyli. Ale potem się natrudzili, zanim się doczekali, aż młody pan Arn opowiedział, z jakiej pozycji strzelał, gdzie się wtedy znajdował i w którym kierunku ruszył drugi trafiony dzik. W swym zapale okazał się nie dość roztropny, żeby na to zwrócić uwagę. O zmierzchu tak czy inaczej wszystkie trzy dziki zawisły na gałęzi, tak jak się należało.

Obóz wypadło im jednak rozbić w niższej części zbocza Kinnekulle aniżeli przewidywali. Ale warto to było zachodu, bo na pozór łatwo ubili trzy następne zwierzęta. Tyle że dziki, a te powinny były trafić do Arnas w szybszym czasie niż jelenie, bo mięso dzików prędzej się psuje.

I znów rozmowa przy ognisku potoczyła się niemrawo. W końcu Svarte wybąkał ze spuszczonego wzrokiem, o co im dwóm chodziło. Żaden człowiek nie potrafi tak szybko jechać konno i równocześnie strzelać z łuku, zwłaszcza w lesie. Coś takiego udaje się tylko za sprawą czarów.

W pierwszej chwili Arn się wystraszył, mniemał bowiem, że czary to ciężki grzech i u pogan, i u chrześcijan. Wdał się więc w długi wywód, że nigdy do czegoś takiego jak czary nie przyłożyłby ręki, bo to grzech śmiertelny. Niebawem jednak pojął, że niewolnicy jego ojca bynajmniej nie uważali czarów za grzeszne, a raczej byli ciekawi, jak mogły się odbyć, skoro tak dobrze posłużyły na polowaniu. W ich oczach czary nie były naganne, lecz godne pochwały.

To spostrzeżenie kazało Arnowi głęboko się zamyślić i nie wiedział też, jak zareagować. Po chwili zaczął szczegółowo wyjaśniać, że przez całe życie ćwiczył jazdę na lepszych koniach, takich jak Chimal, i pod okiem lepszych znawców koni, i właśnie dlatego, a nie z innego powodu potrafił strzelać z łuku, stojąc w siodle.

Od razu zrozumiał, że tamci nie uwierzyli. Kol, nieco swobodniejszy w obcowaniu z Arnem niż Svarte, przez dłuższą chwilę wypowiadał się zagadkowo, jakby przypuszczał, że Arn nie chciał podzielić się swą znajomością czarów, i jakby uważał to za całkiem słuszne, bo przecież i on, i jego ojciec byli zwykłymi niewolnikami, Arn zaś należał do rycerstwa.

Na to Arn nie umiał odpowiedzieć i potem długo modlił się w duchu o wsparcie ze strony świętego Bernarda, aby Svartemu i Kołowi objawiła się prawda, i to prawda wolna od podejrzeń o działanie złych mocy.

\*\*\*

Algot Palsson, pan na Husaby, był właścicielem niejednego majątku i niejednego lasu, lecz sam uważał, iż posiadał tylko dwa prawdziwe skarby. Miał na myśli dwie córki, Katarzynę i Cecylię, które dopiero co wyszły z wieku dziecięcego i rozkwitły niczym śliczne kwiaty. Każda z nich była dlań oczkiem w głowie. Ale że okazywały się też nieokiełznane i filuterne, zwłaszcza starsza córka, Katarzyna, to i przysparzały mu największych trosk. O tym jednak głośno nie mówił.

Gdy Katarzyna ukończyła dwanaście lat, niewiele brakowało, by zaręczono ją z Magnusem Folkessonem z Arnas, i dla Algota byłoby to wielce fortunne, w jego życiu rozbłysłoby światło, które rozproszyłoby mrok, który niedawno zaciążył na tym żywocie za sprawą odejścia z tego świata jego małżonki Doroty Rórikdotter, która zmarła w połogu, a wraz z jej zgonem skończyło się życie niedoszłego pierwородnego syna Algota.

I jeśliby starsza córka weszła do rodu Folkungów, byłby to ożenek iście królewski albo nawet lepszy niż królewski, skoro posiadłości Algota znalazły się w otoczeniu majątków Folkungów oraz Erykidów. Albowiem sama posiadłość Husaby stanowiła królewszczyznę, dzierzawioną od Karola Sverkerssona. Gospodarowanie na królewskich włościach wyróżniało. Poza tym Husaby było posiadłością większą i piękniej położoną - bo u podnóża góry Kinnekulle - niżli własne majątki Algota.

Tak mocna więź z Karolem Sverkerssonem mogła w Zachodniej Gocji okazać się nie całkiem bezpieczna, gdyż Sverkerowy ród był tam tak słaby, jak miał się dobrze w Gocji Wschodniej. Na zachodzie Karol Sverkersson nie śmiał występować jako król, nazywał siebie hrabią Zachodniej Gocji, co chwilowo zadowalało i Folkungów, i Erykidów. Ale nawet ktoś lekkomyślny, kto wolał widzieć własną przyszłość w różowych barwach, musiał żywić pewne obawy co do niej. Niełatwo było żyć w Husaby i być stronnikiem króla Karola, odkąd ten zginął z ręki kogoś z nieprzyjaciół, bo tak zwykli dokonywać żywota królowie.

Wszystko więc mogłoby się dobrze ułożyć, jeśliby Katarzyna została panią na Arnas. Tyle że Algot zadbał o to, by nie wszystkie jaja znalazły się w jednym

koszyku. Obojętnie, który ród zwyciężyłby w walce o władzę królewską, jego ród okazałby się przyjaznym i dlatego pewnym własnego ocalenia i zachowania dóbr.

Ale oto plany Algota spełżyły na niczym, ponieważ Magnus Folkesson przedłożył w końcu wżenienie się w ród Eryka. Do Magnusa nie mógł mieć pretensji o tę rozsądną decyzję, pozostawało tylko wyrzekanie na własny brak szczęścia. Zresztą Algot rozmawiał o tym osobiście z Magnusem i wiedział, że myśleli podobnie i że obaj przywiązywali wielką wagę do graniczenia posiadłości.

Wszakże nie było za późno na to, by owa gwarancja stała się zbyteczną, jako że Magnus miał syna w wieku Katarzyny i Cecylii, ten zaś syn, Eskil, powinien był w swoim czasie przejąć Arnas. Z odrobiną dobrej woli można by tę sytuację uznać nawet za lepszą, bo Katarzyna musiałaby, ledwo wyszedłszy z wieku dziecięcego, poślubić człowieka w kwiecie wieku.

Pozostawał jednak problem filuternego usposobienia córek. Żadna z nich nie okazywała wobec młodych mężczyzn takiej wstydlivosti, jakiej mógł oczekiwać ojciec, a że tego rodzaju zachowanie obniżało ich wartość i w najgorszym przypadku uniemożliwiłoby wydanie ich za mąż, postanowił Algot rozdzielić córki. Kiedy Katarzyna była w domu, Cecylia przebywała jako nowicjuszka w klasztorze w Gudhem. Gdy zaś Cecylia wracała do domu, wypadało z kolei Katarzynie udać się do Gudhem, aby tam zaznała dyscypliny i doświadczyła Bożych przestroż, a prócz tego nabyła wielu pożytecznych umiejętności, które mogłyby się przydać pani na Arnas. Ten ostatni wzgląd był doprawdy nie do pogardzenia, albowiem córki zyskiwały na wartości, choć same nie zdobywały się na wdzięczność za to, że je rozdzielono i kolejno poddawano klasztornemu wychowaniu. Właśnie zbliżał się czas podróży Katarzyny do Gudhem, a wcale nie wyrażała się ona przychylnie o tej perspektywie.

Utrzymywanie córek w Gudhem wymagało tego, by zakonnice otrzymywały wiele srebra, bo też taką zapłatę raczyły przyjmować. Ale, zdaniem Algota, warto było płacić, bo w przypadku pomyślnych mariaży córek poniesione koszty zwróciłyby się siedmiokroć. Poza tym uzyskiwał Algot niespodziewaną sposobność po temu, by wdać się w interesy z Magnusem Folkessonem, który, jak przypuszczano, miał niewyczerpane zapasy srebra w kufrach. Sprzedając dębowy las panu w Arnas, Algot wzbogacał się o potrzebne mu srebro, a prócz tego, przy dobijaniu targu, miał niejedną okazję do rozprawiania o dobrych obyczajach córek, a więc o czymś, na co te pieniądze

warto było przeznaczyć. Tak oto mógł Algot często przypominać Magnusowi o poniekađ zerwanych zaręczynach i o tym, że w oczach ich obu Katarzyna i Ceylia nadal stanowiły dobre partie.

Algot Palsson zasłyszał tylko o powrocie do Arnas drugiego syna Magnusa Folkessona, którego w bardzo młodym wieku posłano do klasztoru. To, co o chłopcu mówiono, raczej nie przysparzało mu chwały, był wszak na poły mnichem.

I pogłoski o Arníe, bo tak się nazywał, wydały się zrazu potwierdzone, kiedy na dwa tygodnie przed wielkim zgromadzeniem szlachty pod Axevallą, w pewien chłodny jesienny wieczór, pośród mgły, wjechał konno do Husaby. Miał przy sobie dwóch niewolników, obciążonych niejednym jeleniem i dzikiem, które to zwierzęta chcieli teraz ofiarować jako udział dziedzica Husaby w ich myśliwskich trofeach. Magnus Folkesson i Algot porozumieli się co do tego, że jeśli ludzie z Arnas polowali na włościach Algota, gdzie były lepsze warunki do łowów aniżeli w położonym niżej Arnas, bo zwłaszcza dziki garnęły się jesienią do bukowych lasów, to czwartą część łupu w postaci ustrzelonych zwierząt należało jako rekompensatę przesłać Algotowi do Husaby.

Tym razem polowanie zakończyło się pewno bardzo pomyślnie, skoro wszystko, co myśliwi mieli ze sobą, trafiło do Husaby. Kiedy to spełnili, zamierzali po ciemku wrócić do domu, jako że starszy z niewolników oznajmił, iż nawet w ciemnościach znalazłby drogę.

Algot nie omieszkał się temu powrotowi sprzeciwić. Źle by uczynił, jeśliby ludzi przybyłych z tak doskonałym mięsem wynagrodził tym tylko, że pozwoliby im jeszcze jechać po nocy. A prócz tego - szybko doszedł do takiego wniosku - być może, dzięki Bożej Opatrzności, Katarzyna spotkałaby się z jednym z synów dziedzica Arnas, choćby i gorszym. „Na to samo wyjdzie - pomyślał Algot - bo niewykluczone, że wybierze ona raczej starszego syna”.

Tak to doszło do małej uczy w Husaby, i to na krótko przed dniem Wszystkich Świętych, gdy zbliżała się zima. Skoro tylko konie zostały rozsiodłane i odprowadzone do stajni, a mięso zabrano, by usunąć skóry i by zajęli się nim ci, co w Husaby przyrządzali pieczone, i skoro już niewolnicy, którzy towarzyszyli Arnowi, odeszli do domu miejscowej niewolnej służby, Katarzyna powiedziała z niewinną miną do ojca, że nie należałoby pozwolić na to, ażeby ich gość spał wśród wszystkich domowników w głównym domu, bo w Arnas panowały przecież wykwintniejsze obyczaje. Katarzyna zadbała już o to, by panicz Arn miał dla siebie łożę w jednym z mniejszych domów, które zamierzano

właśnie zamknąć na zimę. Algot skwitował słowa Katarzyny aprobującym pomrukiem, nie rozumiawszy naprawdę albo z wyboru, jakież to osobliwe zamiary mogła mieć jego córka.

Arn poczuł się mocno zakłopotany, ponieważ nigdy przedtem nie był niczym gościem i nie miał pewności, jak należy się w takiej sytuacji zachować. W Arnas przekonał się już przynajmniej, że patrzono niechętnym okiem na tych, którzy jedli i pili zbyt mało, kiedy więc osobiście rozsiadł się i czyścił Chimala, postanowił z głębokim westchnieniem, że naprawdę spróbuje jeść i pić jak świnia, aby także z dala od Arnas nie przynieść wstydu ojcu. Szczęśliwie przez wiele godzin nie mieli czasu na jedzenie, gdyż mokra od deszczu ziemia sprawiała, że długo i żmudnie szukali łupu. Głód doskwierał więc.

A zatem Arn chciał spróbować jeść i pić jak wieprz, choć niełatwo mu przyszło zdecydować się na zachowanie tak niegodne chrześcijanina. Wyszedł na podwórze, żeby się umyć przy studni, gdzie wypatrzył niewolników, i ledwo zaczął, pojął, że od razu zachował się nie tak, jak przystało na gościa, bo wypłoszył niewolną służbę, która oddaliła się ze śmiechem i spoza pleców Arna wskazywała go palcami. „Niech już będzie ta niezręczność przy myciu” - pomyślał Arn. Skoro wypadło mu jeść jak wieprz, to wołał nie pachnieć tak samo.

Na krótko legł on na niskie drewniane łoże, które mu wskazano, i patrząc na sufit, widział w migoczącym świetle wyraźne obrazy jeleni i dzików. Cieszyło go to, że dokonał czegoś, co bardziej niż cegielnie mogło skłonić ojca do przychylniejszego spojrzenia nań. Z tą pocieszającą myślą i dziką zwierzyną przed oczami zasnął.

Gdy nadszedł ktoś ze służby i ostrożnie go obudził, było całkiem ciemno, tak więc Arn przespał pewno kilka godzin. Zerwał się, wystraszony myślą, że sprawił także wrażenie, jakby odżegnał się od uczty, czego zapewne nie przyjęto by dobrze. Ale sługa uspokoił go i wyjaśnił, że uczta zaczęła się dopiero co i wystarczyło dołączyć. Pieczenie mięsa musiało potrwać.

Ledwo Arn wszedł do mrocznej wielkiej izby w Husaby, poczuł się przeniesiony w przeszłość. Sufit tej wydłużonej i ciemnej izby wspierały dwa rzędy filarów ozdobionych snycerką i, co Arn zauważył, potrzebował takiego wsparcia, bo był ciężki przez użycie torfu i ziemi. Wzdłuż kalenicy znajdowały się trzy przykryte otwory dymne, a gdy Arn przechodził obok długiego paleniska, umieszczonego pośrodku izby, poczuł jednak kilka kropelek deszczu na twarzy. Owe czworokątne słupy zostały ze wszystkich stron na wysokość człowieka

ozdobione czerwonymi i wijącymi się postaciami smoków oraz zwierząt z sag i to samo widać było wokół miejsca honorowego i innych wygodnych miejsc w głębi izby, u zbiegu dłuższej i krótszej ściany. Arnowi wydało się to otoczenie pogańskim, ponurym i zimnym.

Gdy zauważył, że Algot i jego córka Katarzyna przyodziali się odświętnie, podobnie jak czterej nieznani mu mężczyźni, którzy zasiedli wokół miejsca honorowego, onieśmieliło go to, ponieważ sam miał na sobie strój myśliwski z szorstkiej wełny i skóry jelenia. Ale niewiele mógł na to poradzić. I oto wszyscy oni patrzeli nań, jakby czegoś od niego oczekiwali, wypowiedział więc „Szczęść Boże” i pokłonił się wszystkim, najpierw jednak dziedzicowi i jego córce Katarzynie. Arn dostrzegł nieco drwiący uśmiech na jej twarzy i pojął, że pewno powinien jeszcze coś zrobić i powiedzieć.

Tymczasem Algot Palsson uznał, że nie ma powodu wprawiać tego ważnego, choć niezdarnego gościa w większe zakłopotanie, i zszedł zaraz z miejsca honorowego, ujął rękę Arna i zaprowadził go na miejsce po swojej prawicy, czym uczynił mu zaszczyt, a następnie kazał podać wielki róg do piwa, który pozostawał w Husaby, jak powiadano, od czasów Olafa Skótkonunga, i uroczystym gestem wręczył go Arnowi, aby ten w taki właśnie sposób rozpoczął ucztę.

Arn nie mógł się oprzeć pokusie szybkiego obejrzenia rogu, zanim przytknął go do ust. Nie zwrócił w pierwszej chwili uwagi na jego ciężar, a raczej pomyślał o mnogości pogańskich obrazów, które go zdobiły i wśród których chrześcijański krzyż wydawał się o wiele późniejszym dodatkiem, jakby dla zatarcia grzechu. Arn domyślił się, że pewno oczekiwano, iż wleje w siebie nie mniej niż jakieś zwierzę, odetchnął więc głęboko i rzeczywiście się postarał, bo prawie by się udławił, a tymczasem inni patrzyli nań w napięciu. Gdy zasapany odstawił róg, brakowało w nim ponad jednej trzeciej piwa, po czym przejął go Algot, szybko wylał resztę na podłogę, uniósł róg i skierował go w dół. Pozostali biesiadnicy postukali dłońmi o stół na znak, że gość okazał ich domowi szacunek tym, iż wypił do dna. Arn czuł już, że tej wieczery nie będzie wspominać z radością.

Każdemu z biesiadników podano potem jeszcze więcej piwa w wielkich kuflach i mięso z jelenia pieczone na rożnie oraz tak samo upieczoną wieprzowinę z warchlaka nie pierwszej młodości. Jak Arn przewidywał, mięso z jelenia okazało się suche, łykowate i przyprawione tylko solą, której bynajmniej nie poskąpiono. A więc upiekli zwierzę, które jeszcze rano żyło, to zaś brat

Roger uznałby za grzech bodaj nie lżejszy niż bluźnierstwo. Arn chwalił sam siebie za to, że robił dobrą minę do złej gry, bo niczego nie zganił, a przeciwnie, nie omieszkął wyrazić się pochlebnie o smakowitym mięsie, obficie też raczył się piwem i okazywał zadowolenie mlaskaniem, bo tak zachowywali się inni. Niełatwo mu jednak przyszło znaleźć temat do rozmowy, tak więc musiał go do niej zachęcić Algot pytaniami o polowanie, bo przecież każdy mężczyzna stawał się elokwentny niczym bard, gdy miał okazję do myśliwskich przechwałek, choćby właściwie był człowiekiem milkliwym.

Arn wszakże nie umiał skorzystać z zachęty do chełpienia się i odpowiadał zwięźle, tym wymowniej chwalać łowieckie talenty swych niewolników, co szlachetnie urodzonym biesiadnikom nie spodobało się. Tak więc na początku owej wieczerzy rozmowa toczyła się niemrawo, przypominała ruchy ślimaka na wyschniętej leśnej ścieżce. A gdy Algot zapytał w końcu, czy Arn sam ustrzelił któreś ze zwierząt, co było pytaniem i złośliwym, i ryzykownym, jako że gość mógł zawsze siebie trochę przechwalić i nikt nie miałby o to pretensji, Arn odpowiedział cicho i ze spuszczonego wzrokiem, że trafił sześć jeleni i siedem dzików, ale zaraz dodał, iż jego niewolnicy ustrzelili prawie tyle samo zwierząt. Po tych słowach biesiadnicy umilkli, lecz Arn nie rozumiał, że nikt mu nie uwierzył, uznano natomiast, iż nic by się nie stało, gdyby trochę pofantazjował, ale nie aż tak, żeby wydało się to bezczelnym, rażącym kłamstwem.

Ktoś młody, jakoś spokrewniony z Algotem, tyle że Arn nie zdołał zrozumieć, jak, spytał z pogardą w głosie, czy Arn przypadkiem nie chybił za którymś strzałem, czy też może miał takie szczęście, że za pierwszym razem ustrzelił wszystkie zwierzęta. Arn nie dopatrzył się groźnej intencji w pytaniu, całkowicie zgodnie z prawdą odparł więc, iż pierwszym strzałem powybił wszystkie zwierzęta. Na to ów młody człowiek wybuchnął szyderczym śmiechem i wznosił toast na cześć tak znakomitego łucznika. Arn z całą powagą przepił do niego, ale zapłonęły mu policzki, gdy dostrzegł drwinę i szyderstwo w oczach innych biesiadników. Łatwo mu było zrozumieć, że na zadane pytanie nie odpowiedział roztropnie. Skoro jednak mówił tylko prawdę, jakże miałyby to być roztropniejsze niż mówienie nieprawdy? Warto było się zastanowić nad tym pytaniem, tyle że akurat w tamtym momencie wolałby Arn raczej umieć roztropnie skłamać i uniknąć oglądania oczu pełnych drwiny i szyderstwa.

Chcąc przyjść Arnowi z odsieczą, Algot Palsson zaczął mówić o tym, że słyszał o nowych roślinach z klasztoru i poprosił, by Arn coś o nich powiedział. Lecz młodzieniec, który wcześniej wyszydził Arna, nie chciał, by ten mu się



wymknął, zaczął więc, kierując znaczące spojrzenie ku Katarzynie, głośno rozprawiać o tym, iż byłoby źle, gdyby tym, co siebie przechwalają, przypadły w udziale poczciwe niewiasty, na które ci nie zasługują dla swych własnych zalet. Mówił też inne rzeczy w podobnym, niezyczliwym tonie, przez co Arn domyślił się, że ów wrogo usposobiony mężczyzna był zakochany w Katarzynie, a to Arna bynajmniej nie obchodziło.

Algot podjął jeszcze jedną próbę takiego pokierowania rozmową, żeby powrócił bezpieczny temat klasztorny, i odwrócenia uwagi od łuczника, który mógł tylko wzbudzić większą niechęć biesiadników. Wszakże Tord Geirsson - tak zwał się skory do szyderstwa młodzian - chciał odnieść wielki tryumf nad Arnem, zależało mu bowiem na tym, by Katarzyna doceniła jego możliwości. Otóż zaproponował on, żeby przyniesiono łuk i żeby w tej długiej izbie odbyły się zawody, gdyż kątem oka zauważył, że Algot Palsson zamierzał zapobiec tej rywalizacji.

Zaraz też posłano służbę po łuk i kołczan, po czym tuż przy drzwiach izby ustawiono przewiązany sznurem stóg, od którego dzieliło biesiadników dwadzieścia pięć kroków. Tord Geirsson przyjął łuk i strzały i głośno oznajmił, że z takiej odległości nietrudno zabić dzika, zaproponował też, by tak zręczny łucznik, właśnie pan Arn, zechciał zademonstrować, jak to się robi, a potem on sam przejąłby łuk jako naśladowca.

Chłodne wyrachowanie kazało Arnowi natychmiast wstać. Nie cieszyła go sytuacja, w jakiej się znalazł przez swą prawdomówność, ale chciał się z niej szybko wydobyć, a na to był w jego mniemaniu tylko jeden sposób. Długimi krokami podszedł do Torda Geirssona i niemal niegrzecznym gestem odebrał mu łuk, szybko i sprawnie go napiął, starannie dobrał trzy strzały, dwie przytrzymał ręką, w której miał łuk, trzecią zaś umieścił w cięciwie i rozciągnął cięciwę do granic wytrzymałości łuku, chciał bowiem wykorzystać całą jego siłę, aby strzała jak najmniej obniżyła swój lot, i wreszcie wystrzelił. Trafił w środek stogu, tyle że o cal niżej. Wszyscy obecni wyciągali szyje, żeby to zobaczyć, a potem zaczęli szeptać do siebie. Arn wiedział już, jak ten łuk strzelał, starannie się więc przygotował do dwóch kolejnych strzałów, które oddał bez pośpiechu i z nieco lepszym efektem. Później bez słowa wręczył łuk Tordowi Geirssonowi i usiadł na swoim miejscu.

Tord Geirsson pobladł, wpatrzony w trzy strzały, które tkwiły w stogu tuż obok siebie. Zrozumiał, że przegrał, ale nie umiał wybrnąć z trudnej sytuacji, w jaką sam siebie uwikłał. Wszystkie wyjścia, które przychodziły mu na myśl,

były haniebne, a wybrał nie najmądrzej, bo gniewnym ruchem odrzucił łuk i bez słowa wyszedł z izby, słysząc tylko głośny śmiech biesiadników.

Arn pomodlił się w duchu w intencji Torda, o to, by ustał jego gniew i by własna pycha go czegoś nauczyła. Dla siebie poprosił świętego Bernarda o ochronę przed pychą i o to, by sam nie przypisał owej zwyczajnej sprawie nadmiernego znaczenia.

Gdy Algot Palsson otrząsnął się ze zdziwienia, jakie wzbudziła w nim zręczność Arna, poczuł jednak wielką satysfakcję i zaraz zachęcił wszystkich zebranych przy stole do tego, by szczerze przepijali do Arna jako, co okazał, sprawnego łuczника; wniesiono dużo więcej piwa, aż wreszcie Arn zaczął się tam lepiej czuć i niezadługo doszedł nawet do wniosku, że łykowate mięso z jelenia, które nie zdążyło powisnąć, ma dobry smak. A piwo starał się pić, jakby był chłopem na schwał.

Przedtem Katarzyna nie kwapiła się dolewać Arnowi piwa, co nakazywała grzeczność i co powinna by czynić od samego początku, skoro zasiadła na miejscu pani domu, Arn zaś na miejscu dla wyróżnionego gościa. Najpierw wydał jej się Arn nijakim i mało znaczącym człowiekiem. A teraz miała go za kogoś, kto naprawdę coś znaczył.

Niebawem zamieniła się z ojcem i zajęła miejsce honorowe obok Arna, siadłszy tak blisko, że czuł jej ciało, kiedy do niego mówiła, a coraz bardziej garnęła się do rozmowy, coraz skwapliwiej okazując, że jej zdaniem Arn wypowiadał się doprawdy mądrze. Od czasu do czasu ręce Katarzyny stykały się z jego rękoma, ale jakby nieumyślnie.

Wielce to wszystko ożywiło Arna, raczył się więc piwem, ilekroć je przed nim stawiano, i bardzo był uradowany tym, że Katarzyna, która, jego zdaniem, patrzyła nań, gdy wszedł do izby, wzrokiem zimnym i szyderczym, teraz się rozpromieniła i miała w uśmiechu tyle ciepła, że dzięki niej czuł je nawet w swym wnętrzu.

Jeśliby Algot Palsson umiał zdobyć się na więcej dworności w roli gospodarza, to przywołałby córkę do porządku, zwłaszcza że miał przecież swój pogląd na filuterność Katarzyny i jej siostry. Dostrzegał jednak niemalą różnicę między sytuacją, w której takie zachowanie, niezbyt stosowne dla młodych niewiast, było demonstrowane wobec Torda Geirssona, krewnego, który okazywał dumę, ale niewiele posiadał, i popisami filuterności wobec panicza z Arnas. Patrzył więc przez palce na coś, czego dobry ojciec nie omieszka wytknąć i za co surowo upomni.

Wkrótce Arnowi zaszumiało w głowie od nadmiaru piwa i niemal zbyt późno spostrzegł się, że zebrało mu się na wymioty, czym prędzej więc umknął z izby, aby nie pokalać miejsca biesiady. Gdy poczuł na twarzy powiew chłodnego powietrza i rzucił się naprzód, aby zwymiotować chyba pół łykowatego jelenia i sporą baryłkę piwa, gorzko wszystkiego pożałował, ale o modlitwie nie mógł myśleć, póki nie skończył.

Później starannie wytarł usta, długo też wdychał zimne powietrze, mamrotał coś do siebie o tym, że cokolwiek podejmował, robił niemądrze, po czym wszedł do izby i, rezygnując z dalszego biesiadowania, życzył dobrej nocy, wypowiedział „z Bogiem”, podziękował za obfity poczęstunek i na sztywnych nogach, ale z wielką determinacją, wyszedł z izby na podwórze, w stronę studni, teraz pogrążonej w ciemnościach i przesiąkniętej deszczem mgłą. Opryskał się zimną wodą, głośno i bełkotliwie, ale surowym tonem mówił coś do siebie, potem zaś po omacku trafił do swego domku, odnalazł mimo ciemności łoże i powalił się na nie jak ubity wół.

Gdy w głównym domu udano się na nocny spoczynek i rozlegało się tylko chrapanie, Katarzyna wychynęła ostrożnie w mrok. Algot Palsson, który ostatnio sypiał źle, bo wieczorami mocno się upijał, usłyszał jej skradanie się i dobrze zrozumiał, dokąd zmierzała. Jako dobry ojciec powinien był udaremnić jej zamiar i porządnie ją złajać.

Jako dobry ojciec - tak się pocieszył - mógł jednak również tego wszystkiego zaniechać, aby wreszcie przynajmniej ta jedna córka trafiła do Arnas.

Człowiek niczego nieświadomy mógłby pomyśleć, że Folkungowie opuszczą teraz Arnas i wyruszą na wojnę. Tak samo mógł pomyśleć ktoś, kto widział wszystko.

Na podzamczu stłoczyło się sporo wojska i wśród kamiennych murów rozlegało się echo uderzeń żelaznych podków, parskania koni, szczęku broni i niecierpliwych głosów. Słońce było coraz wyżej i zapowiadał się chłodny dzień, ale bez śniegu i z dobrymi warunkami do jazdy. Aby wszyscy jeźdźcy mogli się pomieścić, odciągnięto za bramę dwa mocno obciążone wozy na piskzących i skrzypiących dębowych kołach z żelaznymi okuciami. Czekano na najważniejszych członków rodu, którzy radzili w wysokiej izbie wewnątrz wieży, i ten czy ów żartował, że modlitwy mogą potrwać długo, jeśli zachęcił do nich chłopiec z klasztoru. Zapewne dla rozgrzania się albo po to, by zaradzić niejakiemu niecierpliwienu, czterej członkowie zbrojnej drużyny z Arnas zaczęli się nawzajem atakować, dzierżąc miecze i tarcze, a tymczasem wystraszeni niewolnicy musieli powstrzymać ich niespokojne ogiery, natomiast przybyli skądinąd krewni dziedzica zachęcali walczących wesołymi okrzykami i udzielali dobrych rad.

Owszem, inicjatorem modłów odbywanych razem z ojcem, ze stryjem Birgerem Brosą i Eskilem był faktycznie Arn, bo i potrzebowali opieki Pana Boga oraz świętych w obliczu podróży, która mogła się dobrze skończyć albo też sprawić, że wojna spustoszyłaby niebawem również całą Zachodnią Gocję.

Gdy Arn zszedł na podzamcze i zobaczył owych czterech ludzi z drużyny, którzy atakowali się nawzajem mieczami, stanął oniemiały ze zdumienia, przekonał się bowiem, że ci ludzie, którzy powinni okazywać się najświetniejszymi wojami w ojcowskiej drużynie i stanowić jego zbrojną ochronę, nie potrafili posługiwać się mieczem. Coś takiego nie mieściło się Arnowi w głowie. Choć wyrośnięci i odziani w ciężkie kolczugi do kolan oraz zbroje w barwach Folkungów, wyglądali jak mali chłopcy, którzy raczej nie mają pojęcia o używaniu miecza i tarczy.

Magnus, który uświadomił sobie, że syn patrzył baranim wzrokiem, uznał, iż Arn pewno się wystraszył tych dzikich igrców, spokojnym gestem dotknął więc Arnowego ramienia i na pocieszenie stwierdził, że takich ludzi nie musi się bać, póki pozostają oni u niego na służbie. Wszakże ich dzielność w walce jest z korzyścią dla Arnas.

Wtedy Arn po raz pierwszy wyglądał tak, jakby trochę odstawał i niczego nie pojmował. Ale po chwili chyba coś mu zaświtało, bo ojcowskie pocieszenie przyjął słabym uśmiechem i zapewnił, że wcale się nie obawia owych fechtujących się i ma oczywiście poczucie bezpieczeństwa, skoro tak samojak on noszą barwy Folkungów. Nie chciał przecież urazić ojca wypowiedziem tego, co myślał o niezdolności owych ludzi do posługiwania się mieczem. Zaczął wszak pojmować, iż w gorszym świecie zewnętrznym nie zawsze roztropnie jest mówić prawdę.

Jeszcze bardziej niezręczna sytuacja wynikła, gdy Magnus zobaczył, że Arn nieświadomie miał u boku miecz otrzymany od mnichów, miecz, który mógł tylko wzbudzić wesołość, jego ojciec pospieszył więc do zbrojowni i przyniósł dobry i piękny miecz skandynawski, który chciał ofiarować Arnowi zamiast tamtego, lecz Arn okazał się kapryśny, tak jak wtedy, gdy nad godnego mężczyzny skandynawskiego ogiera przedłożył chudego konia z klasztoru.

Magnus próbował mu wyjaśnić, że Folkungowie powinni teraz występować znaczną siłą swej jazdy, aby zastraszyć nieprzyjaciół i usposobić ich pokojowo, że również Arn, który nosi barwy Folkungów, musi się do tego przyczynić tak, by nie śmieszył. A śmieszyłoby to, iż syn głowy rodu ma miecz i godny niewiasty, i konia, który do niczego się nie nadaje.

Zanim Arn odpowiedział, długo starał się nad sobą zapanować i było to po nim widać. W końcu stwierdził łagodnym tonem, że mógłby sobie wyobrazić siebie jadącego na którymś z cięższych czarnych rumaków, a jeśliby miał zrezygnować z własnego miecza, to wolałby nie nosić żadnego. Magnus ustąpił, nie całkiem zadowolony, ale jednak uspokojony, bo załatwił najkłopotliwszą sprawę, mianowicie uchronił syna przed dosiadaniami konia, który budził wesołość.

Tak więc liczna asysta mogła w końcu wyruszyć z Arnas na *ting* gockiej szlachty, tym razem *landsting*, bo dla całej krainy, a to dlatego, że po raz pierwszy od dwóch lat miał w tym zgromadzeniu wziąć udział król Karol Sverkersson i czekało go dokonanie wyboru: wojna czy pokój.

Na czele jechał dowódca drużyny w pojedynkę, z herbem Folkungów na czubku kopii. Za nim podążali razem Birger Brosa i Magnus Folkesson w srebrzystym i błękitnym odzieniu, okryci szerokimi płaszczami w niebieskim kolorze podszytymi kunim futrem i z Is'niącymi ostrymi hełmami na głowach. Za siodłami, po lewej stronie, umocowali tarcze, na których złoty lew Folkungów unosił się dzielnie, gotowy do walki. Eskil i Arn jechali za ojcem i stryjem, odziani tak samo, jak najważniejsi członkowie rodu, za nimi zaś podążały dwa rzędy zbrojnych, z których wszyscy mieli kopie z barwami Folkungów na ich czubkach, i powiewały te chorągwie na wietrze.

Przewidziano, że dołączy nie mniej Folkungów z południowej i zachodniej części kraju, a za Skarą miało nastąpić połączenie z rodem Eryka, aby przybyciem tej największej wspólnej siły można było wyraźnie dać do zrozumienia, że wojną król Karol zraziłby sobie i Folkungów, i Erykidów, których łączyły nie tylko więzy krwi, bo także niechęć do podległości. *Ting* całej gockiej szlachty powinien być się odbyć przed królewską rezydencją w Axevalli.

Dwaj młodzieńcy, których czekała długa wspólna jazda, rozmawialiby pewno przede wszystkim o owej walce o władzę, w którą sami byli nieuchronnie uwikłani, ale nie Eskil i Arn. Ten pierwszy wolał opowiadać o swych norweskich interesach.

Arn zaś był nadal zamyślony i cichy - trwał w tym nastroju od powrotu z Yarnhem. Nazajutrz po nocy spędzonej w Husaby pomknął tam, by się wyśpowiadać ojcu Henri, a gdy wreszcie dotarł do domu, smętnie zajął się hełmami, które, jak rozumiał, zamierzano wcisnąć na głowy i jemu, i jego bratu. Z zewnątrz te zmiany, jakie wprowadził, nie były zbyt widoczne, bo hełm Eskila i jego własny został wywatowany, a więc ocieplony od wewnątrz, aby nie odmrozili obaj uszu w zimny czas.

Eskil doszedł jednak do wniosku, że nie przystoi braciom jechać w milczeniu. Uznał, iż lepiej będzie, jeśli przełamię lody i zacznę mówić o tym, co absorbowało jego myśli, a potem już łatwiej przyjdzie zaciekawienie się tym, co najwyraźniej dręczyło Arna.

Rozmawiał więc Eskil o interesach w Norwegii, bardzo udanych, ponieważ doszło do ugody i można właściwie było uznać, że majątki, o które chodziło, pozostały w rękach jednego rodu, a poza tym, co korzystne dla Arnas, Eskil przywiózł do domu sporo norweskiego srebra. A najlepsze było to, że, nie narażając nikogo na niezadowolenie czy waśnie, udało się to i owo sprzedać.

Zaintrygowało Eskila jednak co innego, mianowicie suszone ryby, sztokfisz, w Norwegii znane jako *klippfish*. Na północy tego kraju nie brakowało ryb norweskich. U wybrzeży tak zwanych Lofotów poławiano ich tyle, iż cała Norwegia nie mogła się uporać ze spożywaniem i sprzedażą, toteż było pod dostatkiem do kupienia sztokfiszów, które nie sprawiały kłopotu jako fracht, gdyż - co zakrawało na magię - nie psuły się, potrafiły przetrwać, póki nie namoczyło się ich. Eskil umyślił sobie, że będzie kupować te norweskie ryby, które okażą się nadwyżką, i później sprzedawać je w obu Gocjach. Wszak trzeba było często pościć, nawet czterdzieści dni przed Wielkanocą, i kto jadł mięso, ten grzeszył. Ryb z jezior i morza, dostępnych dla mieszkańców obu Gocji, nie wystarczało bynajmniej, zwłaszcza odczuwali to ci, co żyli w wielkich skupiskach ludzkich i daleko od wód bogatych w ryby, choćby w takich miastach jak Skara albo Linkóping.

Ku zdziwieniu Eskila, Arn od razu zrozumiał, o co szło, tyle że określił sztokfisz jako *kabalao* i wspomniał, że jadał ich wiele, i to nie tylko w poście. W świecie klasztornym znano je od dawna. Według Arna, trzeba by uświadomić mieszkańcom miast pożytek z suszonych ryb, co pewno nie byłoby łatwym zadaniem (Arn nie miał dobrego zdania o mieszczanach), kto zaś pierwszy mełłby w tym młynie, ten przysporzyłby sobie niechybnie srebra. A jakże, takie ryby jest wygodnie przechowywać i przewozić, są też doskonale do jedzenia, i to prawda, że takie dobre jadlo może się cieszyć powodzeniem w czasie postu i w nazbyt długie zimy. Oczywiście u tych, co nie mieszkają w klasztorach.

Wszystko to bardzo uradowało Eskila i upewniło, że natrafił na coś nowego, co niezadługo przysporzy mu srebra. Miał przed oczyma całe hordy niechlujnych mieszczuchów, w wielkich ilościach pożerających jego ryby, i zaraz postanowił wysłać duże zamówienie do norweskich krewnych. Z całą pewnością przyszłość należała do suszonych ryb.

Gdy liczny orszak Folkungów dotarł pod kościół w Forshem, z tego miejsca, w którym ujrzano pierwszego jeźdźca, nie widać było ostatnich. Dzwon kościoła w Forshem rozbrzmiewał, jakby wieszcząc nieszczęście albo życząc powodzenia, i tłumnie zebrali się chłopcy, aby zobaczyć ów spektakl. Stali jednak w milczeniu i pełni lęku, bo trudno było odgadnąć, czy owo wielkie wojsko nadjechało gwoli wpędzenia kraju w katastrofę, czy dla ocalenia pokoju, wszak gołym okiem nikt by tego nie rozpoznał. Dla zwykłego wieśniaka orszak Folkungów był widokiem raczej przerażającym niż napawającym nadzieją.

Skoro już odetchnęli w pół drogi i niebawem mieli spotkać się z krewnymi, przez co orszak mógł się niemal podwoić co do liczby, zaczął Eskil ostrożnie wypytywać Arna, coż go tak wyciszyło, że robił wrażenie wręcz posępnego, z jakiej też przyczyny odwiedził klasztor w Varnhem i włożył na siebie włosiennicę na czas dziesięciodniowej pokuty, co Eskil zauważył, choć Arn próbował to ukryć, żyjąc ponadto o chlebie i wodzie. Eskil pospieszył dodać, iż nie zamierzał dociekać świętej tajemnicy spowiedzi, ale że są braćmi, to przecież mogą rozmawiać i o trudniejszych sprawach, nie tylko o rybach i srebrze.

I wtedy Arn opowiedział szczerze, iż okrył się hańbą przez nietrzeźwość i torsje, iż nocą, po uczcie w Husaby, czynił z niewiastą coś, co przystoi w małżeństwie, iż bardzo się wstydzi tych głupich zachowań.

Eskil nie zatrwożył się bynajmniej, gdy to usłyszał. Wręcz przeciwnie, wybuchnął tak głośnym śmiechem, że ich ojciec odwrócił się na siodle i spojrzał na obu synów surowo, wszak tym razem Folkungowie nie po to jechali na *ting*, by siać radość.

Ciszej, ale nadal pogodnym tonem, stwierdził potem Eskil, że wszystko rozumiał, bo przecież nie tak trudno było się tego domyślić. Zresztą wymiotami z powodu nadmiaru jadła i piwa nie warto się przejmować, jako że świadczą po prostu o docenieniu poczęstunku, co należy do dobrych obyczajów. A co do Katarzyny, bo o nią chyba idzie... jeśli nawet niczego nie postanowiono, to przecież może się tak stać, iż on sam albo Arn zwiąże się z nią lub z Cecylią. Wszakże Algot Palsson z Husaby jest w opresji, gdyż brak mu srebra, którego musi wciąż się wyzbywać, i nie ma głowy do interesów, może tedy dojść w końcu do tego, że jego ziemie zostaną dołączone do Arnas nawet bez weselnego piwa. Oczekiwanie ożenku z kimś stamtąd sprawiło, iż w Husaby zaczęto się niecierpliwie i to, co przedsięwzięła Katarzyna, było po prostu próbą przyspieszenia czegoś, co pewno leży w zamiarach Boga. Tyle że taka próba winna raczej budzić śmiech, a nie skłaniać do marszczenia czoła z troski.



Mimo wszystko Arnowi nie było do śmiechu, bo jakkolwiek całą rzecz rozważał, nasuwał mu się nieodparcie wniosek, iż sam ponosił wobec Boga odpowiedzialność za to, co go spotkało, wszak działał, powodując się własną wolną wolą - co prawda przeraźliwie chwiejną wolną wolą, a to za sprawą nadmiaru piwa. Nie inaczej niż Eskil, ojciec Henri też potraktował ów grzech łagodniej, niżby Arn oczekiwał, i choć niejedno musiał z Arna wydobyć pytaniami, doszedł przeor do tych samych wniosków, co Eskil. Lubieżna i pożądliva niewiasta skuśiła Arna za pomocą piwa i sztuczek, do jakich niewiasty zwykły się uciekać, jeśli przebiegłością dorównują zmijom. Arn zaś, w niejednym sensie niewinny, nie mógł więc raczej się obronić przed tą intrygą.

Dlatego też ojciec Henri wyznaczył mu tak łagodną, bo ledwie dziesięciodniową pokutę, która wobec Boga uwolniła go od tego grzechu. Wszakże Arn nie umiał szczerze się ucieszyć tym, co powinno stać się dlań powodem do wielkiej ulgi. Miał wrażenie, że po raz drugi ciężko zgrzeszył, i to bez kary, którą można by uznać za takową, toteż, wbrew oczekiwaniom Eskila i ojca Henri, bynajmniej nie odczuwał radości. Dręczyła go ponura myśl, ta mianowicie, iż mimo absencji grzech pozostał gdzieś w głębi jego jestestwa. Arn pamiętał bowiem, że nie dał się zbyt długo prosić, gdy Katarzyna pokazała mu, jak wszystko powinno się odbyć.

\*\*\*

Król Karol Sverkersson stał ze swym najbliższym otoczeniem ponad murami Axevalli i patrzył na wspólny wjazd Folkungów i Erykidów, którzy zdążali na miejsce zgromadzenia. Jakby nadciągało wielkie błękitne morze, Erykidzi zaś łączyli błękit ze złotym kolorem, toteż ostrza kopii z powiewającymi błękitnymi proporcami zdawały się jak las, rozpościerający się poza zasięg wzroku. Zaiste nie przybyli oni z kilkoma ledwie tuzinami zaprzysiężonych wojów, lecz jako dobrze wyekwipowana armia, i nietrudno było pojąć, co chcieli dać do zrozumienia. Co gorsza, na czele jechał nie tylko - zgodnie z oczekiwaniami - Joar Jedvardsson ze swym zięciem, Magnusem Folkessonem, lecz także Birger Brosa z Bjalbo. I ostatnie przesłanie też łatwo było pojąć. Oto ród Bjalbo, najsilniejsza gałąź Folkungów, stanął po nieprzyjacielskiej stronie.

Jedynym pomyślnym faktem okazała się nieobecność młodego pretendenta, Knuta, syna Eryka Jedvardssona, w błękitnej armii. W przeciwnym przypadku trudno byłoby utrzymać spokój podczas zgromadzenia. Jego nieobecność świadczyła zresztą również o woli zachowania pokoju.

Teraz król Karol potrzebował już tylko krótkiej narady ze swymi ludźmi. Wszyscy oni widzieli - i pojęli - to samo. Zamiar proklamowania siebie królem Gocji Zachodniej należało odłożyć, albowiem wobec przybycia Folkungów i Erykidów w wielkiej sile, znamionującego - jakże wyraźnie - określone plany, nie dałoby się czegoś takiego przeprowadzić.

Szło wszak i o to, by nie okazać słabości, lecz wybrać mniejsze zło, mianowicie sprawić, ażeby *ting* przyjął pierworodnego syna króla, bardzo małego chłopca imieniem Sverker, właściwie jeszcze dziecię w powijakach, jako hrabiego Zachodniej Gocji.

Później można by nadal liczyć na fortunne rozstrzygnięcie sporu, który toczyli Emund Ulvbane i Magnus Folkesson. Kryła się za tym przemyślnie zastawiona pułapka, poza tym Magnus był pod pewnymi względami najsłabszym ogniwem w łańcuchu Folkungów i wiele byłoby do zyskania, jeśliby to spoiwo udało się wyeliminować.

Nieco na zachód od miejsca zgromadzenia stawali Folkungowie i Eryki-dzi obozem, nawet z oddali przypominającym - zgodnie z intencją - obóz wojskowy.

Gdy postawiono namioty i wyładowano wozy, ze wschodu prawie że nie mniej licznie przybył ród Sverkera oraz krewni Sverkerydów, a wśród nich małoletni przyrodni bracia króla, Kol i Bolesław. Tak oto na zachód od miejsca zgromadzenia wszystko mieniło się błękitem, złotem i srebrem. Na wschód od miejsca przeznaczonego na *ting* przeważał kolor czerwony, złoty i czarny.

Od północy i południa gromadziły się rody niezwiązane z żadną ze stron i widziało się tam spokojniejsze barwy w większym urozmaiceniu, jako że niejednen szlachcic z Zachodniej Gocji uznał za bardziej stosowne przybyć na *ting* w odzieniu wedle własnego wyboru, a nie w pełnym rynsztunku.

Zamierzano rozpocząć *ting* dopiero w południowej porze, kiedy słońce jest najwyżej i nadchodzi odpowiedni czas do obradowania. Przed największym namiotem błękitnego obozu widać było herb Folkungów, czyli złotego lwa, oraz nowy herb Erykidów - trzy korony na tle błękitnego nieba. Ten ostatni herb mógł zostać potraktowany jako zniewaga wobec Karola Sverkerssona, dawał bowiem do zrozumienia, że tym, którego Erykidzi uważali za swego króla, był Eryk Jedvardsson, a wszyscy wiedzieli, że właśnie on posługiwał się znakiem trzech koron. Kto zaś składał hołd królowi Erykowi na oczach Karola Sverkerssona, ten deklarował rzeczy, które mogły uchodzić za przejawy wrogości, nieprzyjaźni tym bardziej oczywistej, że wszyscy wiedzieli już, iż za mor-

derstwem popełnionym na osobie Eryka Jedvardssona stał Karol Sverkersson, a nieszczęsny Duńczyk, Magnus Henriksen, był po prostu tegoż narzędziem i jako wykonawca przegrał wszystko, ledwo Eryk Jedvardsson padł martwy. W tym bowiem momencie, gdy Magnus Henriksen miał siebie w Ostra Aros za tryumfatora, z martwym monarchą u swych stóp, ustało wszelkie wsparcie z Linköping ze strony Karola Sverkerssona, który złamał wszystkie śluby i ruszył do boju przeciw komuś, kogo sam uczynił królobójcą.

Takim sposobem Karol Sverkersson zdobył koronę królewską. Chodziły też słuchy, że Magnus Henriksen otrzymał odeń pomocnika w dokonaniu mordu na Eryku Jedvardssonie, mianowicie Emunda Ulvbane, i że ów Emund przyłożył rękę do miecza, który oddzielił głowę Eryka Jedvardssona od reszty ciała.

Jeżeli owe pogłoski były zgodne z prawdą, to Magnus Folkesson okazywał się adwersarzem królobójcy, i z tej przyczyny należało starannie obmyślić dalszy ciąg konfrontacji, łatwo bowiem było dostrzec, iż szło o coś więcej niż parę pogranicznych majątków pomiędzy Arnas a ziemią, którą Bolesław, przyrodni brat króla, oddał Emundowi w lenno.

Wszakże chłodna kalkulacja bez pochopności i bez ulegania podszeptom tych, co zapewne chcieliby podjudzać, powinna by pozwolić na dość łatwe zwycięstwo w tej grze. Otóż główny sędzia, Karol Eskilsson, wnuk Karlego z Edsvary, również wzenił się w ród Folkungów. I właśnie teraz przybył on do ich namiotu na naradę.

W namiocie znaleźli się także Joar Jedvardsson, Birger Brosa, Magnus z dwoma synami oraz czterej dowódcy drużyn Folkungów i Erykidów.

Do omówienia były dwie kwestie i moderatorem został jurysta Karle, najznakomitszy mąż w tym namiocie. Przystąpił on od razu do rzeczy i mówił zwięźle, aby nie tracono czasu. Jeśli król Karol podejmie teraz próbę obwołania siebie królem także na obszar Gocji Zachodniej - a może mieć taki zamiar - i jeśli wszyscy Folkungowie oraz członkowie rodu Eryka przeciwstawią się mu, to sprawa będzie jasna. Żaden jurysta ani żaden z biskupów nie uzna tej uzurpacji. Jakże jednak postąpić, jeżeli - takie słuchy też chodzą - król Karol zechce raczej prosić *ting* o przyjęcie jego syna, Sverkera, jako hrabiego Zachodniej Gocji?

Birger Brosa stwierdził, że tak byłoby bardzo dobrze. Król Karol uniknąłby wyśmiania i pewno mniej paliłby się do wojny. Zachodnia Gocja pozosta-

łaby wolną od jego królewskiej władzy, a jeśli zechce obwołać niemowlę jarlem, to być może zaspokoi on własną próżność, lecz istotnego znaczenia taka proklamacja nie będzie mieć. Ów hrabia stałby się mieczem królewskim dopiero po wielu latach, a tymczasem byłby to po prostu tytuł. Takim sposobem można by uniknąć najgorszej z wojen, mianowicie wojny między jednakowo silnymi stronami.

Słowa Birgera Brosy zyskały sobie natychmiast poklask u Joara Jedvardsona i Magnusa. Oni też oświadczyli, że należy jak najdłużej unikać wojny równych sobie stron. Zwycięzca musiałby drogo okupić swój tryumf i miałby wokół siebie wiele wdów i sierot oraz rozgrabione i spalone ziemie.

Sędzia Karle uznał, iż w tej kwestii osiągnięto porozumienie, i nikt nie zaprzeczył.

Następną kwestią był spór majątkowy między Magnusem a popiecznikiem młodego Bolesława, Emundem Ulvbane. Ów spór został trochę wyolbrzymiony. Powód sporu był zbyt błahy, a oczekiwanie, by rozstrzygnął to *landsting*, zgoła osobliwe, mógł się więc za tym kryć zamysł wywołania waśni, która przerodziłaby się w pożogę wojenną. Emund miał poparcie Bolesława, przyrodniego brata króla Karola. Ale Bolesław był dzieckiem, jeszcze nawet nie młodzieńcem, nie mógł zatem samodzielnie podejmować intryg w celu wywołania wojny. Za Bolesławem stał wszakże król Karol, tak więc on chciał waśni.

Jurysta Karle stwierdził, iż wedle jego rozumienia należałoby ów spór rozstrzygnąć w łagodny sposób, iżby zachować pokój. Tyle że prawne rozstrzygnięcie nie wchodziło w grę, ponieważ obie strony mogły bodaj w nieskończoność, jeśliby zaszła taka konieczność, posyłać na wojnę równie wiele tuzinów zaprzysiężonych wojów. Jakaż inną drogą można przeto pójść? Co sądzi o tym sam Magnus?

Ten mówił zwięźle, po męsku, i oznajmił, że podziela mniemanie, iż zaprzysiężeni woje przyczyniliby się do tego, że pod koniec walk spór pozostawałby w tym samym miejscu, co na ich początku. Dlatego pomyślał o zaproponowaniu zgody przez zapłatę w wysokości 30 marek srebrem za sporne majątki. Była to pewno cena o 10 marek przekraczająca ich rzeczywistą wartość, ale, zdaniem Magnusa, nie nazbyt wysoka, jeśli tym sposobem można by spór zakończyć. Zapewnić krajowi pokój za jedne 10 marek - to bardzo tanio.

Sędzia Karle kwitował w zamyśleniu wypowiedź Magnusa aprobującymi skinieniami i wreszcie oznajmił, że tak należy postąpić, że wpierw trzeba zło-

żyć zeznanie pod przysięgą, aby wszyscy się przekonali, iż spór utkwiał w martwym punkcie i niepodobna go rozstrzygnąć. Dopiero potem powinien by *ting* usłyszeć od Magnusa o trzydziestu markach srebrem i propozycji polubownego załatwienia, tej, o której sam mówił. Sędziemu i jego ławnikom byłoby wówczas łatwo orzec ugodę i nikt nie miałby kontrargumentów.

Na tym narada się skończyła i wszyscy uczestnicy, zadowoleni z wyniku, rozeszli się, aby w obozie poszukać krewnych, z którymi mogliby pogawędzić.

Eskil i Arn poszli w swoją stronę, przypatrując się koniom, oglądając broń i pozdrawiając członków własnego rodu, których znał tylko Eskil, oraz członków rodu Eryka, nieznanymi żadnemu z braci. Eskil objaśnił Arnowi tok zgromadzenia. Arn powinien był wiedzieć, że w pobielonym kręgu nie należało mieć przy sobie miecza, ów krąg stanowił bowiem granicę obszaru, na którym odbywał się *ting*, i że dla złożenia przysięgi trzeba było znać rotę i wypowiadać ją wyraźnie i czysto, bez niemęskich wahań czy jąkania się, gdyż kto tak czynił, ten nie budził zaufania. Rota brzmiała: „Jako ja mówię prawdę, tak i wy, bogowie, okazujcie mi łaskawość”.

Arn musiał od razu powtórzyć te słowa, stwierdził jednak, iż owa rota kłóciła się z pierwszym przykazaniem bożym i była rotą pogańską, bo też jacyż to bogowie mieliby okazywać łaskawość? Jak można przysięgać wobec bożków?

Eskil wyśmiał tę wątpliwość i wyjaśnił, że jeśli nawet słowa przysięgi pochodzą z zamierzchłych czasów, to przecież idzie w istocie o Boga, i, chcąc przekonać Arna, zwrócił uwagę na pierwsze słowa kodeksu, które czynią rzecz jasną jak słońce, brzmią bowiem tak: „W naszym prawie najwięcej znaczy Chrystus. Liczy się też nasza chrześcijańska nauka i każdy chrześcijanin: król, chłopci, wszyscy ludzie osiadli, biskup i wszyscy uczeni mężowie”.

Arn zadowolił się tym i zażartował, iż wedle tego prawa Eskil okazywał się chłopem, gdy tymczasem on sam mógłby ostatecznie ująć za uczonego męża. Tak czy inaczej prawo mieli, jak dotąd, jednoznacznie po swojej stronie.

W stosownej porze przybył biskup Bengt ze Skary i pobłogosławił *ting*, by odbywał się w spokoju, po czym sędzia Karle głośno oznajmił, że *ting* się rozpoczął i że niegodziwym będzie ten, kto zakłóci spokój zgromadzenia. Potem rozległ się pomruk z tysięcy ust ludzi, którzy w napięciu patrzyli na króla Karola, gdy ten powoli torował sobie drogę na najwyższy punkt w miejscu zgroma-

dzenia, tam, gdzie stał sędzia. Niebawem okaże się, jak zostanie rozstrzygnięta kwestia wyboru pokoju albo wojny.

Gdy król wszedł tak wysoko, że wszyscy go dojrżeli, wypatrzone też małe dziecko na jego rękach i wielu, zrozumiałwszy, co to oznaczało, odetchnęło z ulgą. Pokój został ocalony, ponieważ Karol Sverkersson nie zamierzał z mieczem w dłoni zdobyć dla siebie korony króla Gocji Zachodniej.

Potem już działo się wszystko tak, jak przewidzieli Karle i Birger Brosa. Karol Sverkersson uniósł synka wysoko ponad głowę, aby każdy go zobaczył, i poprosił *ting* o przywitanie nowego jarla Gocji Zachodniej, Sverkera. Od strony Sverkerydów oraz tych, którzy otaczali przyrodnich braci króla, Kola i Bolesława, rozległo się zaraz „tak”, po czym zerkano w napięciu na tę część placu, która mieniła się błękitnie, i w której naprzód wysunęli się Joar Jedvardsson, Magnus Folkesson i Birger Brosa.

Ten ostatni szepnął z uśmiechem, że trzeba chwilę odczekać, i wszyscy go posłuchali, także ci, co stali z tyłu, zachowali milczenie. Szmer, jaki się rozlegał dotąd na miejscu zgromadzenia, ustał i wkrótce zrobiło się tak cicho, że słychać było tylko wiatr. Ale oto trzech mężowie, którzy stali na przedzie, jednocześnie wzniesli ręce ku niebu i za nimi pojawił się od razu cały las rąk, i radość. Biskup Bengt mógł pobłogosławić nowego hrabiego, który rozplakał się swym dziecięcym głosem, wyglądało to więc raczej na chrzest niż na pobłogosławienie najznakomitszej osoby w Gocji Zachodniej.

Następnie *ting* powinien był zająć się w pierwszej kolejności sprawami, które obchodziły nielicznych, takimi jak przypadki zabójstw czy wyrządzone komuś szkody, później zaś zamierzano powiesić kilku złodziei mienia kościelnego, aby dostarczyć rozrywki tym, co przybyli na *ting* z daleka, zwłaszcza że wielkie kwestie rozstrzygnięto. Toteż dopiero późnym popołudniem doszło do konfrontacji Magnusa Folkessona z królobójcą Emundem Ulvbane. Gdy nadeszła stosowna pora, ponad placem powiał jakby zimny wiatr napięcia i ze wszystkich stron nadciągnęli ludzie w barwach Sverkerydów. Widocznie oczekiwano wielkiego wydarzenia, mimo że przedmiot sporu był tak błahy.

Z początku toczyło się wszystko według przewidywań Folkungów. Wezwano po dwa tuziny gwarantów z obu stron, którzy po zaprzysiężeniu zapewnili, odwoławszy się do łaskawości bogów, iż sporna ziemia od niepamiętnych czasów należała do tego, na którego rzecz złożyli przysięgę.

I dalszy przebieg był zgodny z przewidywaniami, oto bowiem Magnus Folkesson uniósł swe srebro i oznajmił, że gotów jest pójść na ugodę i o to samo

prosi stronę przeciwną, wyznacza wszak dobrą cenę, a pokój między sąsiadami więcej znaczy niż to srebro. Emund Ulvbane uparł się jak osioł i nie chciał przystać na ugodę, lecz sędzia Karle i jego ławnicy orzekli zaraz polubowne załatwienie sprawy i nawet nie musieli ustępować wobec żądania otoczenia. Wtedy też zaczęto się rozchodzić w różne strony, przy czym ten i ów mamrotał coś w swym rozczarowaniu, ale tak czy inaczej wszyscy widzieli, że owa sprawa znalazła swój finał i niczego więcej nie można było się spodziewać.

Oto jednak wysunął się naprzód Emund Ulvbane i pogardliwym gestem postawił stopę na przysądzonym mu srebrze, po czym uniósł prawą rękę na znak, że miał coś do powiedzenia. Rychło się uciszono i czekano w napięciu, gdyż na twarzy Emunda malowały się i gniew, i szyderstwo.

- Jak każdy, muszę się podporządkować temu, co postanowił *ting* - zaczął donośnym głosem, bo przecież odznaczał się wielką siłą. — Ciężko to jednak przyjąć, że srebro może znaczyć więcej niż honor i prawo. Ciężko też iść na ugodę z człowiekiem bez honoru, z kimś takim jak Magnus Folkesson. Ty bowiem Magnusie żadnemu z mężów nie dorównujesz i nie jesteś męskim z ciała, a twych synów określe nie lepiej, obaj wszak są szczeniakami, zresztą jeden okazuje się zakonnica, drugi zaś baryłką piwa.

Po tych słowach Emund Ulvbane dał któremuś ze swych zbrojnych znak, by ten zabrał srebro, a sam stał dalej z rękami po bokach, z pogardą w oczach szukając wzroku nieprzyjaciół. Jedynym człowiekiem po przeciwnej stronie, który wytrzymał jego spojrzenie, okazał się jeden z synów określonych jako szczeniak, młodzieniec, którego oczy świadczyły o niewinności baranka, gdyż patrzył on na Emunda tak, jakby nie miał dość rozsądku, by odczuwać lęk, raczej można było z jego oczu wyczytać zdziwienie i współczucie.

Zrobił się zaraz tumult, *ting* rozbrzmiał głośnymi okrzykami, czuło się wielki niepokój i wielu spieszenie ustąpiło z placu, jako że na pozór całkiem pewny pokój znalazł się w ogromnym niebezpieczeństwie.

Niebawem zebrano się na naradę w namiocie Folkungów, gdzie się zatraskano, ponieważ jako tako biegli w prawie Joar Jedvardsson i Birger Brosa przyznali się do pewnych obaw co do przepisów prawnych obowiązujących w przypadku tak jawnego znieważenia w obecności zgromadzonych na *ting* i przepisów dotyczących obrony koniecznej w tego rodzaju sytuacji. Srebro tym razem nie obroni.

Trzeba było poczekać na Karlego, który jako jurysta mógł odczytać kodeks, i czekano w ponurym nastroju, niewiele mówiąc. Eskil zadbał o to, by

przyniesiono baryłkę piwa i by każdy miał kufel, ale pito w milczeniu, jak na początku stypy.

Ledwo Karle wszedł do namiotu, dostrzeżono smutek i troskę na jego twarzy. Pozdrowił wszystkich bardzo zwięźle i, bez jednego słowa ponad potrzebę, przystąpił od razu do rzeczy.

- Chcecie, moi krewni, wiedzieć, co prawo stanowi w kwestii obelżywych słów, jakie padły. Wyjaśnię wam to, a wówczas sami zdecydujecie, jak postąpić najroztropniej, gdyż o tym nie mam nic do powiedzenia. Wszakże odnośnie do zniewag, któreśmy usłyszeli z ust Emunda, prawo okazuje się tak niedwuznacznym, iż nie sędzę, by sam Emund musiał je dobrać, raczej miał wielu doradców i niejedna myśl poprzedziła te słowa. Otóż wysłuchajcie kodeksu, rychło go wam odczytam.

Karle zauważył jednak, iż podawano piwo, zrobił więc przerwę, sięgnął po kufel i upił piwa kilkoma obfitymi łykami, a przy tym zdawał się powtarzać sobie kodeks w pamięci. Odstawiwszy kufel, otarł usta ręką, po czym głośno i śpiewnie zaczął odczytywać tekst kodeksu:

„Niechby kto kogo zelżył: «Żadnemu mężowi nie dorównujesz i nie jesteś męskim z ciała». «Jestem niegorszym mężem niżli ty». Muszą się oni spotkać tam, gdzie zbiegają się trzy drogi. Jeżeli przybywa ten, który słowa wypowiedział, ten zaś, który je usłyszał, nie przybywa, wówczas trzeba uznać, iż ów człowiek zasłużył na obelgę; nie może on przysięgać ni świadczyć czy to na rzecz męża, czy to na rzecz niewiasty. Jeżeli natomiast przybywa ten, który słowo usłyszał, nie przybywa zaś ten, który je wypowiedział, wówczas zelżony wykrzykuje trzykroć: «Łotr» i czyni na ziemi stosowny dla tamtego znak. Ów, który mówił, okaże się gorszym człowiekiem i przez to, iż nie odważył się stanąć. Oto jednak spotykają się w pełnym rynsztunku. Jeżeli pada ten, który słowo usłyszał, wówczas tamten traci połowę mienia. Jeżeli pada ten, który słowo wypowiedział - niegorszą jest zniewaga słowna, język jest przekleństwem dla głowy. Niechaj ów człowiek leży w hańbie".

Gdy wszyscy rozważali prawo, w namiocie przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Jurysta Karle, który usiadł, znów sięgnął po swoje piwo, rychło też zaczęto zerkać na Birgera Brose, ten bowiem posmutniał i siedział ze spuszczoną głową. Zorientował się on, że na niego spoglądano, i zrozumiał, iż jemu wypadnie wyrzec przykre słowa, wypowiedzieć to, o czym pewno większość obecnych już myślała, właśnie jemu, skoro Magnus, jego brat, pobladł i zdawał się sparaliżowany.



- Dla niejednego poczciwego człowieka, nawet dla lepszych ludzi niż my wszyscy, którzy tu siedzimy, pojedynek z Emundem Ulvbane oznacza niechybną śmierć - zaczął z głębokim westchnieniem Birger. - To właśnie podstępnie obmyślił król Karol ze swymi doradcami i jedynie w tej intencji Emund dostał jako lenno ziemię graniczącą z posiadłością Arnas. Mój brat, Magnus, ma do wyboru zmierzenie się z Emundem na miecze albo uznanie swej osoby za człowieka bez honoru i jest to wybór, którego nie życzę najgorszemu wrogowi. Wszakże tak, a nie inaczej, przedstawia się ta sprawa i żadnych do brych rad nie potrafię udzielić.

Magnus nie odzywał się i miał taką minę, jakby akurat w tym momencie nie chciał mówić. Zamiast niego głos zabrał Joar Jedvardsson.

- Niepiękną wynagrodził król Karol nasze starania o niedopuszczenie do wojny - zaczął poważnym tonem. - Prędzej czy później wojna jednak wybuchnie, jak to nam teraz okazał Karol Sverkersson i jak to rozumiemy my wszyscy, którzy tu siedzimy. Mój bratanek, pretendent Knut Eriksson, nie przybył na ten *landsting*, ponieważ nie sposób byłoby w takim przypadku utrzymać spokój podczas zgromadzenia. Wszelako właśnie Knut został przez podstęp i mord za sprawą Karola Sverkerssona człowiekiem bez ojca! Bez korony, a jak wszyscy wiemy, niezadługo nadejdzie pora upomnienia się o przywrócenie czci. Pytam was tedy, moi krewni, na cóż zda się teraz Magnusowa ofiara z własnego żywota? Kto jest w tym namiocie i kto jest poza nim, pojmuję przecie, iż ów atak ze strony Karola Sverkerssona służył temu jedynie, by przywódca Folkungów z Zachodniej Gocji zginął, zanim jeszcze zacznie się wojna. On ma wiele do zyskania, my zaś tyleż do stracenia. Za Magnusem Folkessonem niejedni pójdzie, aby stanąć do walki pod znakiem Folkungów, lecz, wybaczcie mi konieczną szczerą, mniej mamy pewności, czy tyłuż pójdzie za Eskilem Magnussonem. Jak Bóg zechce, by Magnus zginął za naszą sprawę, to niechaj raczej zginie na polu bitwy w wojnie, która musi wybuchnąć. Możemy jednak teraz wszyscy, którzy należymy do rodu Eryka i do Folkungów, pospołu i jednocześnie odejść stąd. Takim sposobem wszyscy razem okażemy swe stanowisko. Oto moje zdanie.

- Roztropnie mówileś, mój drogi krewniaku - rzekł Birger Brosa, lecz wiercił się nieswój, a ci, co go znali, wiedzieli, że myślał co innego niż powiedział. - Prawo stanowi jednoznacznie. Jeśli Magnus nie stanie do pojedynku, okaże się łotrem, człowiekiem bez honoru, niegodnym nawet tego, by świadczyć. Ktoś taki nie może przewodzić Folkungom, tak się nigdy nie

działo i nigdy nie powinno działać. My to wiemy i wie to także Karol Sverkersson, podobnie jak jego poddani doradcy, którzy wpędzili nas w te tarapaty. Magnus ma tylko dwie rzeczy do wyboru i bratu przykro to powiedzieć, muszę jednak stwierdzić coś, co jest prawdą. Albo odejdzie on i ocali swój żywot, lecz kosztem honoru. Albo też stanie do pojedynku, a wówczas uratować go może jedynie cud uczyniony przez kogoś ze świętych. To ostatnie jest lepszym wyjściem. Wszak wyniku żadnego pojedynku nie zna nikt przed czasem. Ten jednak, kto tchórzliwie ucieka, przesądza o wszystkim na całą resztę swych dni. Tak już jest.

Sędzia Karle podniósł się ociężałym ruchem i oznajmił, iż nie ma nic do dodania w tej kwestii, co do treści przepisu panuje wszak pełna jasność, a poza tym wielka liczba członków trzech gałęzi rodu nie ułatwiła podjęcia koniecznej teraz, trudnej decyzji. Karle oddalił się i ze smutkiem pokręcił głową, kiedy już wychodził z namiotu.

Po jego odejściu zapadło milczenie. Wszyscy czekali odtąd na to, co powie sam Magnus, bo przecież najważniejsza - jeśli nie jedyna - decyzja należała do niego. Szło wszak nie tylko o jego życie, lecz również o honor Fol-kungów.

- Postanowiłem - rzekł, gdyż nie mógł dłużej milczeć w obliczu nieznośnego dlań oczekiwania na jego słowa. -Jutro o świcie wystąpię, jak każe prawo, w pełnym rynsztunku przeciw Emundowi w miejscu, które my, którzy gromadzimy się tutaj na *ting*, zwiemy stykiem trzech dróg. Niechaj wesprze mnie Pan i niechaj każdy z was modli się za mnie. Innego wyjścia nie ma, bo też w naszym rodzie nikt nie wkroczy na drogę wiodącą ku pohańbieniu i prawdą jest także to, iż nikt nie podąży za mężem zhańbionym.

Eskil i Arn siedzieli obok siebie w głębi namiotu i żaden ze starszych mężczyzn nie zwracał bynajmniej uwagi na tych, co byli mężczyznami tylko połowicznie. A skoro przemówił ojciec, w powszechnym mniemaniu skazawszy siebie na śmierć, Eskilowi zabrakło tchu i wyglądał tak, jakby miał się rozpląkać, zaraz jednak wziął się w garść. W męczącej ciszy, która nastąpiła, ponieważ nikt nie sprzeciwił się Magnusowi, co było równoznaczne z aprobatą ogółu i decyzją o skazaniu go, Arn, powodowany rozpaczą, zdobył się na odwagę ubrania w słowa tego, co należało powiedzieć.

- Wybaczcie, że i my, synowie, wtrącamy się do tej sprawy - zaczął nie pewnym głosem. - Wszelako dotyczy to mnie w równej mierze, jak dotyczy wszystkich innych... Tak przynajmniej sędzę. Czyż nie zostaliśmy obra-

żeni nie mniej niż ojciec, Magnus, gdy ów Emund nazwał nas szczeniakami i czym tam jeszcze?

- Tak, to prawda - przyznał smętnie Birger Brosa. - Ty i Eskil zostaliście obrażeni tak samo, jak wasz ojciec, Magnus. Do niego jednak należy obrona czci was wszystkich.

- Czyż nie mamy wedle kodeksu takiegoż jak ojciec prawa do obrony owej czci? - zapytał Arn z dziecinną naiwnością, którą kilku starszych mężczyzn skwitowało uśmiechem, mimo powagi chwili.

- Magnus postąpiłby niezbyt honorowo, jeśliby posłał na rzeź któregoś z niedorosłych synów, zamiast samemu po męsku stanąć we własnej sprawie - zgryźliwie wymamrotał Birger Brosa i zaraz wstał, żeby wyjść na zewnątrz i się wysuszać, tak więc pozostawił całą resztę w próżni bez słów.

Tymczasem Arn wyszedł po chwili wahania za Birgerem Brosą i nie od razu go wypatrzył, bo kiedy siedzieli w namiocie, szybko zapadł zimowy zmierzch. Zdecydowanym krokiem podszedł do stryja, który właśnie podciągał gacie, i bez obawy, z wielkim przekonaniem zagadnął go.

- Drogi stryju, muszę ci teraz powiedzieć coś, co jest prawdą, a ponadto czymś ważnym. Uwierz mi, wszak powaga chwili nie pozwala na wypowiedanie słów nieprawdziwych. I nie tylko o *to* idzie, że z nas trzech znieważonych ja najlepiej posługuję się mieczem. Co więcej, mniemam, iż łatwo po konałbym owego Emunda albo ciebie samego, albo kogokolwiek w naszej drużynie. Musisz więc postanowić, iż ja stanę do pojedynku zamiast mego nieszczęśliwego ojca.

Te słowa tak zdumiały Birgera, że jeszcze stał z rękami w gaciach, jakby chciał siusiać. O Arnie wiedział niewiele - to tylko, że wydrwiwano jego klasztorną przeszłość, a więc coś, o czym słyszał także Emund Ulvbane, skoro nazwał Arna zakonnicą. I oto ów wielce pobożny i nader poważny młodzian stał przed nim i mówił rzeczy, które nie mogły być zgodne z prawdą, ale jego twarz nie świadczyła bynajmniej o kłamstwie. Birger Brosa nie wiedział, co myśleć, widział tylko, że chłopak nie sprawiał wrażenia człowieka obłąkanego, choć słowa to sugerowały. Powątpiewanie Birgera dawało się pewno rozpoznać, ponieważ Arn wykonał gest zniecierpliwienia, po czym wpadł na pewien pomysł.

- Drogi stryju, wzrostem znacznie górujesz nade mną, jesteś właściwie tak samo wysokim człowiekiem, jak ów Emund - powiedział Arn, podekscytowany i wyraźnie przekonany do swego pomysłu. - Ujmij dłoń i stań obok- mówił

dalej, wyciągnawszy rękę w stronę Birgera Brosy, który po prostu przez swe zdziwienie ujął tę dłoń i zdumiał się po chwili jej siłą, a tymczasem Arn poprawił pozycję ich stóp, aby znalazły się ściśle na wprost siebie, jak przy zwykłym siłowaniu się na rękę.

- Otóż to! - ożywił się Arn. - Spróbuj teraz tą siłą, która przewyższa moją, sprawić, bym się przewrócił!

Birger Brosa podjął niepewnie taką próbę, ale tyle osiągnął, że Arn go wyśmiał. Po chwili Birger zabrał się do sprawy bardziej stanowczo i w następnym momencie został rzucony w brudną wodę i błoto. Ze zdziwieniem wstał i znów sięgnął po silną rękę Arna, znowu jednak wylądował na ziemi, przewrócony w taki sposób, jakby chłopak mógł sobie z nim igrać do woli. Po trzeciej próbie Arn nie chciał dalszego ciągu, lecz uniósł dłonie w obronnym geście.

-Wysłuchaj mnie teraz, stryju - rzekł. - Tak potrafię potraktować Emunda i każdego, muszę ci więc wyjaśnić, dlaczego tak jest. Przez te wszystkie lata, które spędziłem w klasztorze, ćwiczyłem dzień w dzień, więcej niż ktokolwiek wśród znanych ci osób, władanie bronią pod kierunkiem człowieka, który ongiś był templariuszem w Ziemi Świętej. Klnę się imionami Najświętszej Panny oraz świętego Bernarda, sprawujących pieczę nade mną, iż ja najlepiej spośród nas umiem obronić się mieczem, i trzeba ci wiedzieć, że ktoś taki jak ja nie zechce nikogo okłamać, a już na pewno nie krewnych, i to w tak trudnej chwili.

Birger Brosa poczuł, że przekonanie i prawdomówność Arna przeszły na niego, jakby doznał iluminacji. Raptownie nabrał przekonania, iż Arn powiedział prawdę. Gdy zaś rozważył możliwe skutki, rozpromienił się i, niemal uszczęśliwiony, objął Arna i przyjrzał mu się. Roztropność Birgera Brosy, kiedykolwiek toczono walkę o władzę, pozwoliła mu stwierdzić, że oto najczarniejsze widoki dla Folkungów mogły niezadługo przybrać białą barwę, i to bez względu na wynik pojedynku Arna z Emundem Ulvbane, który miał się odbyć nazajutrz o świcie. Albo zwycięży Arn, albo też zostanie pokonany, lecz bardziej honorowo, niżby udało się to Magnusowi. Wtedy zaś zwycięstwo Emunda będzie uchodzić za marny tryumf.

Tak czy inaczej przyjęte to zostało z powątpiewaniem i niezadowoleniem, iż Birger Brosa powrócił do namiotu pełnego lamentujących już krewnych i oznajmił, iż Arn będzie tym, który stanie do walki z Emundem Ulvbane, i że należy objaśnić to tak, iż Arn został najboleśniej urażony, jako że Emund nie tylko nazwał go szczeniakiem, lecz zadrwił też z domu Bożego, w którym Arn dorastał.

Magnus, wielce wylękniony, sprzeciwił się. Dostrzegał bowiem wybawienie dla siebie, ocalenie życia, z którym zaczął się już żegnać, ale przewidział, iż straci syna, i dlatego zwrócił uwagę, że musi wyglądać źle ktoś, kto zamiast osobiście bronić swej sprawy - posyła na rzeź niecałkiem dorosłego syna. Nie potrafił zdobyć się na to, by potraktować poważnie łagodnym tonem wypowiedziane zapewnienie Arna, iż najroztropniej jednak byłoby posłać na pojedynek tego spośród trzech, który najlepiej posługuje się mieczem.

Joar Jedvardsson, zakłopotany sytuacją, pozostawił Folkungów samym sobie na tę noc i podobnie uczynili czterej zbrojni, po których widać było wielki sceptycyzm, gdy ze spuszczonym wzrokiem wypowiadali słowa pożegnania i życzyli Bożego błogosławieństwa młodemu Arnowi, który miał jeszcze meszek na policzkach.

Gdy pozostali tylko Folkungowie, z ust Magnusa padła propozycja, by nocą modlili się, póki zdołają. Arn uznał to za dobry pomysł, ale wszystkich zadziwił tym, iż rozpoczął modlitwą o zachowanie Emunda Ulvbane przy życiu oraz za jego grzechy i pychę.

\* \* \*

O świcie owego dnia, który na długo miał pozostać w pamięci mieszkańców Zachodniej Gocji, o którym też opowiadano później wiele razy, wokół miejsca zwanego stykiem trzech dróg zebrało się niemal tyleż mężów, co na *ting*. Mimo że *ting* dobiegł końca, mało kto wyruszył poprzedniego wieczoru do domu, bo i mało który mąż chciał wyrzec się obejrzenia na własne oczy walki mogącej stać się przyczyną wojny.

Nie odjechał nikt spośród Folkungów czy Erykidów, chciano bowiem wspólnie dowieść ludziom króla, że ten, który uśmiercił krewnego, znalazł się przeciw nim wszystkim. Jeszcze bardziej zależało na tym, by stać przy człowieku, który musiał zginąć gwoli honoru. Trzeba stać przy krewnych od narodzin po śmierć, a oto nadchodził czas śmierci.

W nastroju powagi i w milczeniu nadciągali z zachodu Folkungowie i członkowie rodu Eryka. Ze wschodu przybywali dworacy i krewni króla, bardzo weseli i skorzy do drwin, bo bez względu na przebieg walki pewni zwycięstwa. Jeżeli Magnus Folkesson chciał ratować swe życie niepojawieniem się, oznaczało to hańbę dla Folkungów i tryumf ludzi króla. Jeśli zaś Magnus Folkesson zmierzy się z Emundem Ulvbane, zwycięstwo będzie także zapewnione, tyle że z większą uciechą dla widzów.

Folkungom, którzy tam przybyli, przewodzili Birger Brosa, Magnus Folkeson i jego dwaj synowie, wszyscy w grubych błękitnych płaszczach podszytych kunim futrem, wszyscy w hełmach i z tarczami w ręku, tarczami, na których widniał lew Folkungów. I oto ci czterej nieco wysunęli się przed swoich milkliwych krewnych, czekając. Emund i jego asysta umyślnie zjawili się późno.

Było chłodno i szybko wschodzące słońce za plecami ludzi króla zabarwiało niebo krwawą czerwienią. Powszechnie uznano, że to dobry dzień na śmierć, kiedy wśród niecierpliwych szeptów zbierano się, oczekując pierwszych promieni słonecznych, a więc chwili rozpoczęcia walki.

Ledwo zebrani ujrzeli pierwszy przebłysk, po stronie królewskiej rozległ się ponaglający okrzyk bojowy, po którym Emund Ulvbane zrzucił z siebie płaszcz, wyciągnął swój ciężki miecz i energicznymi długimi krokami wystąpił na środek placu.

Tego, co nastąpiło, nie spodziewał się nikt. Młodszy syn Magnusa Folkesona, którego nazywano maminsynkiem i zakonnicą, pozbył się teraz swojego płaszcza, zdjął hełm i bandolet, wyciągnął długi i kruchy miecz, i ucałował go, wypowiadając przysięgę, której nikt nie dosłyszał. Następnie się przeżegnał i powoli, lecz bez wahania, ruszył przeciw Emundowi.

W pierwszej chwili kilka tysięcy zgromadzonych zamilkło, potem zaś rozległ się - coraz głośniejszy - pomruk niezadowolenia. Oto wszyscy przekonali się, że ów braciszek z klasztoru był nawet bez kolczugi, toteż lada cios mógł okazać się śmiertelnym. Wszak hełmu też się pozbył.

Dla Emunda Ulvbane była to dotkliwa obelga, chciano bowiem zmusić go do odstąpienia od pojedynku albo też, niezbyt honorowo, mógł rozprawić się z bezbronnym braciszkiem, bo tak pewno myślano, takie wrażenie odnieśli też wszyscy Folkungowie, nie mniej niż ludzie króla zaskoczeni tym, że do pojedynku na śmierć i życie stanął zamiast ojca młody Arn. Podjął on przecież szaleńcze ryzyko, jako że nikt nie wierzył, iżby Emund Ulvbane zechciał okazać się łagodnym czy też odstąpić od pojedynku, który rokował mu pewne zwycięstwo. Doceniono jednak (także ludzie króla byli tego zdania) odwagę chłopca, który postawił na szalę własne życie, aby ocalić ojca i honor rodu.

Wszakże Emund Ulvbane nie zamierzał pozwolić na to, by zeń drwiono, lecz postanowił zakończyć walkę tak szybko i w tak poniżający sposób, jak należało w obliczu obelgi ze strony Folkungów, toteż z wielką determinacją doskoczył do Arna z uniesionym mieczem, by zaraz odrąbać mu głowę.

Niebawem Emund Ulvbane znalazł się na ziemi, bo pewno zbyt zapalczywie atakował głowę przeciwnika i dlatego sromotnie chybił. Chłopiec nie okazał się niestety na tyle rozsądny, żeby wykorzystać daną mu przez Boga szansę, lecz dalej stał całkiem spokojnie i czekał na nowy atak królewskiego wojownika, skoro tylko ten się podniesie.

Emund zaatakował już swego przeciwnika trzy razy, ale Arn bez trudu i wciąż kolistymi ruchami uchylał się przed jego mieczem, swoim wcale nie parując. Ci, którzy stali daleko i nie widzieli wszystkiego uważnie, sądzili z początku, że Emund bawił się okrutnie z Arnem jak kot z myszą. Ci zaś, co stali bliżej, przekonali się o całkiem innym przebiegu pojedynku.

I oto niektórzy Folkungowie oraz Erykidzi wybuchnęli już śmiechem, a niezadługo cały plac rozbrzmiał wesołością, która spadała na Emunda Ulvbane niczym fala szyderstwa, ten bowiem, mimo zawziętego wysiłku, wyrąbywał tylko wielkie dziury w powietrzu.

Arn czuł się już pewnie, bo choć przeciwnik był człowiekiem potężnej postury i brutalnym, to przecież nie dorównywał wzrostem bratu Guilbertowi i nawet w dziesiątej części nie miał takiej zręczności, jak tamten zakonnik. Teraz należało koniecznie ocalić Emunda, nie ulec pysze i przejść do kontrataku, skoro tylko Emundowi będzie ciężiej walczyć i bardziej się zasapie. Arn cieszył się z tego, że wbrew dobrym radom i perswazjom postawił na swoim i nie miał na sobie ani kolczugi, ani hełmu, gdyż po to, by zwyciężyć, a nie zabić, musiał być w stanie szybko się poruszać i stale dobrze widzieć, bo przecież lada błąd mógł sprowadzić nań śmierć.

Gdy Arn zaczął się nagle bronić, Emund wykonywał tak powolne ruchy, że wszyscy to dojrzeliby. I Arn zmęczył go jeszcze bardziej, zaczął bowiem od pierać ciosy mieczem i tarczą, i to stale na skos, przez co kierował je ku ziemi. Ciężki miecz Emunda raz po raz miotał skry, uderzając o kamienie. Arn udawał, że odpiera ciosy na wprost, ale za każdym razem odginał przegub tak, iż cios Emunda ślizgał się dalej w swoim kierunku, i Arn nie musiał długo stosować tej metody, by Emund znów, za sprawą własnego ciężaru i swej siły, padł na ziemię. Wtedy szybko doń doszedł i przyłożył ostrze miecza do szyi Emunda, po czym pierwszy raz odezwał się do niego. Emund klęczał, gwałtownie dysząc, i można było pomyśleć, że to ostatnia chwila jego życia.

Ci dwaj przeciwnicy znajdowali się pośrodku placu boju, dla wszystkich tych, co przywykli do głośnego mówienia, zbyt daleko, aby któryś mógł usłyszeć słowa tam wypowiedziane. Mimo wszystko jednak udało się odgadnąć to

mianowicie, że człowiek, którego nazywano mniszkiem, zaproponował Emundowi ocalenie, o ile ten poddałby się i na znak kapitulacji przekazał Arnowi swą tarczę. Zamiast tego Emund cofnął się nagle przed groźnym ostrzem miecza, wstał i tak oto pojedynek został wznowiony.

Teraz jednak nawet ludzie króla nie negowali tego, co było prawdą, a czego z początku nie widziano czy też nie potrafiono zrozumieć. Ów Folkung, którego Emund wyszydził, nazwawszy szczeniakiem i zakonnicą, miał wyraźną przewagę i nie był to cud, efekt czarów ani przypadek, bo przecież widziano aż nazbyt wiele i zbyt długo, by oczy uległy złudzeniu. Doświadczeni woję, którzy stali blisko znających się na fechtunku, zaczęli opisywać, co zobaczyli, próbując zrozumieć i nadszycić za objaśnieniem sposobu, w jaki Arn posługiwał się mieczem. Zgodnie uznali już, iż Arn posiadał wielki kunszt, Emund zaś trafił na lepszego od siebie przeciwnika. Drwiny ze strony Folkungów rozlegały się coraz głośniejsze, a szydzono z pokonanego, tymczasem z szeregów ludzi króla dochodziły pojedyncze okrzyki namawiające Emunda do kapitulacji oraz do oddania tarczy. Wszyscy przecież widzieli, że Arn już kilka razy darował mu życie.

Wszelako Emund Ulvbane cenił sobie swój honor na tyle, iż nie mógł się poddać szczeniakowi, a poza tym pojedynekował się już tak często, że wiedział, iż nie potrzeba wcale cudu, aby nagle wydobyć się z beznadziejnej sytuacji. Walczył odtąd ostrożniej i starał się tak poruszać, żeby oszczędzać siły.

W pierwszej chwili Arn popadł z tego powodu w pewną rozterkę i pojał, że nie zwycięży przez nakłonienie Emunda do kapitulacji, co byłoby rozsądną decyzją, jeśliby Emund zauważył, iż nigdy nie zadał celnego ciosu, i dzięki temu zrozumiał, że Arn mógł go trafić w dowolne miejsce. Ów uświadomił sobie, iż będzie musiał się zdobyć na bardzo precyzyjne myślenie i nie może popaść w pychę, choćby Emund wydawał się bezbronnym. Z wielką determinacją położył Arn swą tarczę na ziemi, chcąc sprowokować Emunda do kolejnych dzikich ataków, które powinny by całkiem pozbawić go sił.

Nad placem boju powiało grozą, gdy widzowie zobaczyli, że Arn zrezygnował z tarczy, a ponadto przerzucił miecz do niewłaściwej ręki, bo oto w dwójnasób zwiększyły się szanse Emunda na zadanie śmiertelnego ciosu tak, jak to on potrafił. I Emund złapał się na tę przynętę, gdyż z nową siłą zaatakował Arna i rozpaczliwie, i wściekle zarazem. Arn, który przez cały czas poruszał się dookoła własnej osi, ale z punktu widzenia Emunda w niewłaściwym kierunku, miał wiele okazji do uderzenia w głowę czy szyję i niejedno to widział, nikt jednak nie rozumiał, dlaczego Arn się powstrzymywał.



Krył się za tym pewien szczególnie zamyślony zamiar. Wzrok Arna kierował się nie tyle na głowę albo szyję Emunda, ile na jego prawy przegub, niechroniony przez skandynawską kolczugę. Im dłużej Arn krążył wokół Emunda, tym częściej ukazywała się ta część ciała, ale czekał na jej pełne odsłonięcie. I wtedy po raz pierwszy zaatakował z całej siły.

Kilkutysięczny tłum ogarnęła trwoga, gdy ci ludzie zobaczyli, że wielki miecz Emunda powędrował, wirując, w powietrze razem z jego prawą dłonią, która wciąż trzymała rękojeść.

Emund opadł bez słowa na klęczki, odrzucił swą tarczę i lewą ręką objął swą prawicę, aby zatrzymać upływ krwi po odrańbieniu przegubu.

Arn podszedł do niego i skierował miecz ku jego szyi, a wszyscy czekali teraz w milczeniu, które nagle zapadło, na uprawniony śmiertelny cios.

Arn tymczasem podniósł czerwoną tarczę Emunda z czarnym łbem gryfa, odwrócił się do niego plecami, wziął też własną z ziemi, powrócił do ojca i jemu przekazał tarczę Emunda.

Kilka osób z otoczenia królewskiego brata, Bolesława, podeszło szybko do Emunda, aby czym prędzej zabrać go sprzed ludzkich oczu.

Magnus Folkesson odczuwał tak wielką dumę i ulgę, że miał łzy w oczach, gdy tryumfalnym gestem wznosił zdobytą czerwoną tarczę ku niebu, inni Folkungowie zaś sięgnęli po miecze i uderzali nimi o swoje tarcze, przez co powstało wielkie larum bitewne.

Kto tam był, ten nigdy nie zapomniał owego dnia. A ci, którzy tam nie trafili, słyszeli później tyle opowieści o nim, że mieli wrażenie, iż również byli na tamtym placu.

Pretendent Knut Eriksson powrócił z Norwegii do Zachodniej Gocji niczym jesienny wicher. Wpierw wybrał się do stryja, Joara Jedvardssona, aby uczcić nadejście adwentu i w kościele na Eriksbergu wysłuchać mszy dziękczynnej z okazji powrotu. Potem zaś przyszło mu gościć u wielu krewnych, którym mówił (bo inaczej nie mógł), że przybywał na łowy. W Zachodniej Gocji taką srogą zimę jak ta zwano wilczą, ponieważ śnieg nie sprzyjał ucieczce owych zwierząt, choć nie był zbyt wysoki dla koni i brodzących w nim niewolników. W taką zimę młodzi a dzielni myśliwi zwykli jeździć od majątku do majątku i wyc jak wilki. Oprócz polowania nie brakło wszakże innych tematów do rozmów, związanych z tryumfem Folkungów i Erykidów na wielkim zgromadzeniu szlachty w Axevalli. I Knut miał wiele do powiedzenia o tym, także niejedną myśl, którą chciał się podzielić, aby w stosownym czasie ułatwić sobie zebranie plonów.

Pierwszym i najważniejszym celem wilczego objazdu było Arnas. Oczekiwano go tam razem z jego asystą, w przeddzień przysłał koźmi emisariuszy w celu zapowiedzenia wizyty. Svarte i Kol oraz wszyscy inni niewolnicy, których

można było wykorzystać, zostali już wczesniej posłani przez Magnusa w lasy na północ od Arnas, żeby sprowadzili wilki tam, gdzie były dobre tereny łowieckie.

I oto na podwórze wjechali wśród łomotania końskich podków dzicy i krzepcy młodzieńcy, z których połowa pochodziła z Norwegii, zaraz też podbiegła do nich służba, by zająć się ich końmi. Knut Eriksson zwinnie zeskoczył z siodła jako pierwszy i z rozpostartymi ramionami podszedł do gospodarza, Magnusa. Objął potem także Arna i przyjaźnie nim potrząsnął, mówiąc, że to zaiste szczególnie miłe spotkanie, bo z Arnem - właśnie z nim - wiązało się pewne zdarzenie z lat dzieciennych Knuta, które należało do jego najtrwalszych wspomnień. Arn nie zrozumiał w pierwszej chwili, o co mogło chodzić, gdy jednak Knut z rozbawieniem przypomniał to, że gdy prze-kradli się razem do tego wielkiego domu, przed którym teraz stali, aby posłuchać norweskiego barda sprowadzonego przez ojca Knuta, świętego Eryka, ich obu obsusiał sam król, później kanonizowany.

Arn też sobie to przypomniał i stwierdził, że, i owszem, utkwiał mu w pamięci tamten epizod, ale we wspomnieniu przedstawiał się on o wiele lepiej niż w owej chwili. Obaj wybuchnęli po tych słowach gromkim śmiechem i widać było, że po latach odnaleźli siebie nawzajem dwaj przyjaciele. Otoczywszy Arna ramieniem, wszedł Knut do wielkiego domu jako pierwszy gość i ci dwaj młodzi ludzie mówili już głośno jeden przez drugiego i dostarczali otoczeniu ogromnej uciechy, bo Knut przypominał w mowie Norwega, Arn zaś - Duńczyka.

A później można było pomyśleć, iż Bóg pobłogosławił tę gościnę, jako że nigdy wcześniej nie panował w Arnas tak dobry nastrój. Nie odczuwano też dawniej tak wielkiego szczęścia jednocześnie i w tej samej izbie.

Magnus był teraz szanowanym ojcem syna, który pokonał w pojedynku samego Emunda Ulvbane, czym przysporzył nie lada czci ojcowskiemu domowi i okrył chwałą swój ród. Eskil był nie mniej uszczęśliwiony tym, że o pomawianym wcześniej bracie mówiono teraz najpochlebniej i że wszystkie cienie pomiędzy ojcem i synami dzięki temu zniknęły, jakby porwał je wiatr. Arn miał wrażenie, iż dopiero teraz powrócił jako utracony syn. Do Eryki docierały już wkrótce ze wszystkich stron wyrazy uznania i pochwały, bo oto jelenie mięso z pieca z italskimi przyprawami, i okraszone miodem mięso małych dzików, którymi to specjałami raczyła gości, podając też najlepsze piwo z tego domu i miód pitny, wywoływały okrzyki podziwu i zdumienia ich wszystkich, raz

po raz przepijali więc do Magnusa, gratulując mu takiej gospodyni. Żaden z gości nie dawał po sobie poznać, że zauważył niewyraźną mowę Eryki.

Knut Eriksson nie mógłby zostać powitany życzliwiej w domu, który ze względu na swe plany uznał w owym momencie za najważniejszy w całej Zachodniej Gocji. Doznane przyjęcie uszczęśliwiło go wielce i pozwoliło odechnąć z ulgą.

Gdy już każdy się nasycił i starczało tylko sił na popijanie, poruszono temat, który - co wiedzieli wszyscy - musiał się prędzej czy później pojawić, mianowicie temat pojedynku stoczonego w Axevalli, kiedy odbywał się *landsting*.

Arn poczuł się zakłopotany i niewiele chciał o tym mówić, stwierdził tylko, że pokonał łajdaka, który miał gorszy miecz i mniej wprawy, i że nie warto się nad tym rozwodzić. Ale Knut zapragnął przynajmniej obejrzeć miecz Arna, a życzenie królewicza i specjalnego gościa należało spełnić natychmiast. Zaraz też służba podała Knutowi miecz.

Ten, zdziwiony, wyjął go z pochwy i najpierw zważył w dłoni, następnie zaś stanął pośrodku izby i na próbę zamachnął się nim w powietrze, i widać było, że nie po raz pierwszy dzierzył w ręku miecz. Arnowa broń wydała mu się jednak zbyt lekką i nazbyt giętką - takie słuchy dotarły zresztą do niego - i dlatego poprosił Arna o wyjaśnienie.

Arn wzbraniał się, mówiąc, że nie na wiele zda się miecz tam, gdzie jest jadło i piwo. A gdy ujrzał zarumienioną twarz Eryki, która nalegała na demonstrację i objaśnienia, ustąpił.

Stanął naprzeciw Knuta i zapytał, czy może jego miecz wyjąć z pochwy, po czym zważył tę broń na dłoni.

- Mój najdroższy przyjacielu z dziecinnych lat, posiadasz pięknie ozdobiony, ciężki miecz norweski - rzekł w zamyśleniu i pomachał nim. - Przy dobrym trafieniu nie ostanie się pewno nawet hełm, popatrz jednak!

Arn uniósł miecz Knuta, jak gdyby chciał rzucić go bokiem w ogień i tym samym dopuścić do przełamania miecza pośrodku. Knut wystraszył się i krzyknął. Arn, na pozór zdziwiony, wstrzymał się od rzutu, po czym głośno się roześmiał, z szacunkiem i ostrożnie oddał Knutowi miecz i powiedział, że oczywiście nigdy nie zniszczyłby broni, która mogła posłużyć do zdobycia królestwa.

Po chwili zaś odebrał Knutowi swój własny miecz, uniósł go i z całej siły bokiem uderzył nim o kamień, i nic się nie stało, tyle że rozległ się w izbie brzęk stali.

- Knucie, mój przyjacielu, widzisz chyba różnicę - odezwał się z drwiną w głosie Arn, kilka razy wygiąwszy czubek miecza. - Wasze skandynawskie miecze są z twardego żelaza, mogą się łamać i ciężko nimi obracać. Mój zaś ma miękką końcówkę, co stanowi trzecią część długości, nie łamie się i łatwo nim wymachiwać.

Jego słowa przyjęto ze zdziwieniem, ale dano im wiarę. Knut zapragnął wymienić parę ciosów z Arnem, znowu więc wyciągnął swój miecz, Arn zaś usłużnie wznosił swój. Dla okazania tego, co należało okazać, kilkakrotnie wychwytał on cios Knuta w powietrzu i zmniejszył siłę ciężkiego Knutowego miecza dzięki giętkości własnej broni, przy czym mógł stać spokojnie i na pozór wcale się nie wysilał, podczas gdy każdy daremny cios Knuta wymagał użycia wielkiej siły. Wreszcie Arn raptownym ruchem, parując, wygiął przegub, przez co cios Knuta został skierowany w dół, na podłogę, i on sam też upadł. Zwłaszcza norweskim krewnym wydało się to bardzo zabawne.

Wszakże Knut wstał bez gniewu, raczej pełen podziwu, podszedł do Arna, przyjaźnie go objął i powiedział, że wszyscy święci powinni zadbać o to, aby miecze ich obu zawsze pozostawały po tej samej stronie, bo nie chciałby mieć wroga w Arnie.

To krasomówstwo, te dobre słowa oraz dobry nastrój dzięki piwu sprawiły, że dalszemu wspólnemu picciu towarzyszyła wielka zażyłość. Wszyscy czuli, iż łączyły ich nie tylko więzy krwi.

Kiedy nieco później Eryka Joarsdotter wstała i życzyła dobrej nocy, podszedł do niej najpierw Eskil z pochwałami i podziękowaniem, i życzył jej spokojnego snu. Nigdy przedtem na to się nie zdobył, a teraz miał wrażenie, iż w końcu, późną wiosną, ruszyły lody.

Gdy Arn podszedł, by życzyć dobrej nocy, Eryka śmiała się z zadowoleniem i tak cicho, żeby tylko on usłyszał, powiedziała, że jeszcze nikt nie zasłużył na takie uznanie za przyrządzenie posiłku. Arn nie przyjął komplementu i stwierdził, że goście uraczyli się poczęstunkiem ofiarowanym przez domowników i że w istocie oboje ciężko pracowali, by go przygotować. Z porozumiewawczym mrugnięciem dodał, iż musi to jednak pozostać ich tajemnicą, bo w przeciwnym przypadku ci Norwegowie znów uznają, że nie jest prawdziwym mężczyzną. Po tych słowach pożegnali się, świadomi wielkiej miłości między macochą a pasierbem.

Eskil znalazł teraz pretekst do tego, żeby zaproponować biesiadnikom pewne zmiany. Tych, którzy chcieliby dalej raczyć się piwem i miodem, zaprosił

do jednej ze swych izb wewnątrz wieży, ponad podwórcem, gdzie co prawda było zimno, ale służba miała tam niebawem wnieść misy z żarem. Tak więc każdy, kto chciał spać bez hałasu w uszach, miał szansę na to, a kto wolał hałasować, ten mógł to czynić, nie zakłócając snu pani domu.

Wszyscy młodzi mężczyźni wybrali izbę na wieży. Magnus uznał, że najroztropniej będzie udać się na spoczynek.

W owej izbie wewnątrz wieży było z początku zimno, póki nie wniesiono mis z żarem, i pewno dał się też we znaki chłód, jaki panował na zewnątrz, gdyż wznowili owi młodzi ludzie biesiadę w innym nastroju.

Knut, popijając piwo, zaczął mówić podstępnie o tym, że w pewnym sensie Arn popełnił błąd, gdy oszczędził królobójcę Emunda. Ale pospieszył dodać, iż był to też dobry postępek, bo oto Emund stał się na zawsze pośmiewiskiem, skoro zwano go odtąd Jednorękim, a nie Emundem Ulvbane, czyli Pokonującym Wilki. Wszelako królobójca nie zasługuje na pozostawienie przy życiu i Knut dokona, przez wzgląd na swego ojca, tego, co nie zostało spełnione przez Arna.

Na te słowa Arn pobladł i nie potrafił odpowiedzieć. I nie musiał, bo zaraz wmieszał się Eskil, ale w sposób, którego nikt się nie spodziewał.

Najpierw Eskil zapewnił, że zamiar Knuta przyjął bez zastrzeżeń i osobiście nie miałby nic przeciw spełnieniu go. Ów plan stwarza jednak mały problem, który, być może, uda się rozwiązać w gronie życzliwych krewnych.

Eskil przyniósł sporządzoną na pergaminie mapę i rozwinął ją na jednym ze stołów w tej izbie. Oświetlił mapę i poprosił, by wszyscy się przyjrzeni. Już po chwili został otoczony przez ciekawych mapy biesiadników.

Palec Eskila wskazał wpierw Arnas, po czym z biegiem rzeki Tidan powędrował na wschód, do miejsca zgromadzeń szlachty zwanego Askeberga, i zatrzymał się na miejscowości Forsvik nad jeziorem Wetter, w której miał swą główną siedzibę Emund Pokonujący Wilki, nie, Emund Jednoręki - poprawił się Eskil.

- Popatrzcie teraz i pomyślcie - rzekł, zakreśliwszy ręką koło tam, gdzie była ziemia Emunda - oto siedzi on w Forsvik, samopas we wrogiej krainie, i to bez jednej ręki. Pewno nie czuje się z tym zbyt dobrze ani też bezpiecznie. Po tym szczeniaku Bolesławie nie może się spodziewać żadnej pomocy, a Karol Sverkersson nieprędko pokaże swą facjatę w Zachodniej Gocji. Spójrzcie teraz! Jeśli my, którzy dzierzmy Arnas, zdołamy wykupić jego ziemię, to będzie do nas należeć cały obszar między jeziorami Wener i Wetter.

Wówczas wszystkie drogi i cały handel znajdują się w naszych rękach. Byłoby to nie lada krok naprzód.

Po minie Eskila było widać, że oczekiwał powszechnego zrozumienia sensu swoich słów, ale się zawiódł. Knut stwierdził ponurym tonem, iż właściwie nie ma związku między tymi dwiema sprawami.

I wtedy Eskil, już oględniej, zaproponował, by wpierw zająć się przedstawioną przezeń sprawą i dopiero potem zgotować królobójcy to, na co zasłużył. W przeciwnym przypadku po prostu dziedziczyliby jego ziemię członkowie tego samego rodu wrogów. A w obecnej sytuacji - to Eskil wyjaśniał nieomal szeptem - Emund nie powinien zbyt się sprzeciwiać sugestii przeniesienia się w bezpieczniejszą okolicę, można by więc chyba zaproponować mu niską cenę za Forsvik. I negocjacje nie okazały się pewno zbyt trudne.

Dwie osoby z norweskiego otoczenia Knuta, a mianowicie Geir Erlendsen i Elling Mocny (nosił ten przydomek nie bez kozery), wybuchnęły gromkim śmiechem, wszystko zrozumiałwszy. Po chwili już powszechnie zaśmiewano się do łez, jeden tylko Arn nie dostrzegał żadnego powodu do wesołości.

Wszyscy przepijali w radosnym nastroju do Eskila, chwając go za świetny pomysł, i nie omieszkali zapewnić, iż jako życzliwi krewni zadbają o jak najlepszy finał sprawy.

- Eskilu, mój krewniaku, rzadko zdarzało ci się proponować komuś coś tak oczywistego - stwierdził, parszkając nad swoim piwem, Geir Erlendsen. - I tuż, iż Emund Jednoręki raczej nie odrzuci twej ceny, choć okaże się niską. Później zaś możesz spokojnie resztę pozostawić nam i kto wie, czy nawet nie odzyskasz sporej części swego srebra!

-Jako wasz przywódca i przyszły król przysięgam, iż tak właśnie okażemy respekt przyjaznym krewnym! - wykrzyknął Knut Eriksson, po czym wszyscy znów wybuchnęli bardzo radosnym śmiechem, lecz Arn wciąż nie pojmował tego, co postanowiono.

Skoro nie było jeszcze zbyt późno tej nocy i skoro już nazajutrz czekała ich jazda w śniegu, norweski krewniak Eyvind Jonsson stwierdził, iż nadszedł czas na wysłuchania barda, jego opowieści o przodkach i całym rodzie, i o rzeczach przynoszących pokrzepienie. Ów bard, Orm Rógnvaldsen, wystąpił na środek i poczekał na to, by każdemu dolano piwa, po czym siadł wygodnie i dopiero wtedy rozpoczął. Krewni z Gocji Wschodniej spodziewali się zapewne opowieści o wyprawach w zachodnie krainy, bo takie historie wszyscy męż-

czyżni cenili sobie najbardziej. Bard rozpoczął jednak całkiem nową sagę, a brzmiała ona tak oto:

„Działo się to w dzień po Wniebowstąpieniu Chrystusa i na niebie ukazało się wiele wróżebnych znaków. Gdy święty Eryk brał tego dnia udział w sumie w kościele Świętej Trójcy na tak zwanej Bożej Górze w Ostra Aros, jeden z jego ludzi przywiózł mu wiadomość. Głosiła ona, iż pod miastem stanął nieprzyjaciel i chciano postanowić niezwłocznie zbrojne starcie się z nim. Jak powiadają, Eryk rzekł: «Pozwólcie, abym w spokoju wysłuchał tej sumy pontyfikalnej do końca. Otóż pokładam ufność w Panu, iż gdzie indziej w podniosłym nastroju posłuchamy dalszego ciągu tej właśnie służby Bożej». Po tych słowach polecił się opiece Pana, przeżegnał się, opuścił kościół i uzbroił siebie oraz swych ludzi. Mimo znikomej ich liczby odważnie wyruszył z nimi nieprzyjacielowi naprzeciw.

Ów starł się z nimi, usilnie godząc zwłaszcza w króla. Ledwo pomazaniec Boży padł na ziemię, zadano mu wiele ran. Rychło leżał już na poły martwy, lecz tamci postąpili jeszcze okrutniej, bo zaczęli zeń drwić i szydzić. Wypowiadając pogardliwe słowa, wystąpił Emund Ulvbane, powiernik Karola Sverkerssona, w niegodny sposób, od przodu, odrąbał głowę czcigodnego króla. Tak właśnie święty Eryk wyszedł zwycięsko z wojny i osiągnął pokój, z doczesnego królestwa trafił, zbawiony, do królestwa niebieskiego. Tam zaś, gdzie upadła jego głowa, wytrysnęło wkrótce źródło, które istnieje po dziś dzień i zwie się źródłem świętego Eryka. Woda stamtąd uczyniła wiele cudów. Święty Eryk nadal przeto, po wsze czasy, żyje wśród nas”.

Gdy bard Orm Rógnvaldsen zakończył swą opowieść, w izbie zapanowało zupełne milczenie, nie było słyhać nawet uderzenia kuflami o stół, którym to sposobem upominano się o dolewkę. Natomiast Knut poprosił Arna o modlitwę za zbawienie jego ojca, i to - gwoli większej mocy - w języku liturgii. Arn spełnił prośbę, choć jeszcze był zasmucony i jakby zagniewany po tym, co usłyszał.

Wszakże Knut Eriksson powierzył wymownemu Ormowi występowanie z tą właśnie opowieścią w każdym domu, gdzie zamierzał gościć. Wedle zamysłu Knuta, żaden mąż w owym kraju nie powinien uniknąć poznania tej historii.

Nazajutrz udało się w Arnas polowanie na wilki, a ustrzelono ich osiem. W zimie futro z wilka służyło najlepiej.

\* \* \*



Owego roku wielka pasterka powinna była się odbyć w królewskim kościele w Husaby. Ale żaden król nie mógł tam się pokazać, jako że mieszkańcy Zachodniej Gocji stawili opór monarsze. Oczekiwany był tam jednak sędzia Karle, najznakomitszy mąż w owym kraju. Z tej przyczyny również Folkungowie chcieli udać się na pasterkę do Husaby, nie zaś do Forshem, gdzie mieli własny kościół.

I oto na kilka dni wcześniej proboszcz z Forshem przysłał do Arnas pomocnego mu żaka - z pewną misją. Sam proboszcz pochwalił się królewskiemu słudze, księdzu z Husaby, świetnym kantorem, który swym śpiewem upiększał msze, toteż ze strony tamtego księdza padło pytanie o to, czy Arn nie mógłby z kilkudniowym wyprzedzeniem przybyć do Husaby, żeby, z korzyścią dla pasterki, poświęcić z chórem. Arn uznał to za chrześcijańską prośbę, której nie należało odrzucać, odłożył na bok kielnię i wkrótce był gotów jechać konno do Husaby. Magnus chciał przydać mu zbrojnych, jako że Arn dodałby teraz splendoru komuś, kto zdołałby go zabić, a poza tym jego śmierć ucieszyłaby Sverkerydów. Wszystkie te przestrogi Arn zbagatelizował, wyjaśnił bowiem, że jadąc konno za dnia nie zostanie napadnięty przez nikogo, przynajmniej nie na swoim lichym koniu z klasztoru (to dopowiadał ze śmiechem).

Teraz już i Magnus potrafił się uśmiechnąć, gdy była o tym mowa, wszak pojął, że bardzo się pomylił co do konia i miecza Arna, jak też źle ocenił umiejętności syna w posługiwaniu się mieczem i jeździe konnej. Magnus poprosił o wybaczenie tych wszystkich pomyłek i wtedy dalsze rozmowy na ten temat stały się zbędne.

Arn wyruszył skoro świt, dobrze wyekwipowany w broń i wilcze futro, z kościelnymi szatami w torbach przytroczonych do siodła. Było straszliwie zimno, a że Arn umiał jechać prędko, to i on sam, i Chimal nie marzli, ale też nie pocili się, do kościoła w Husaby i na tamtejszą plebanię dotarli więc koło południa. Umieściwszy Chimala w stajni i wypiwszy trochę powitalnego piwa, przełamał się Arn chlebem z księżowską małżonką\*, jak kazał zwyczaj, a następnie udał się do kościoła, po katedrze w Skarze drugiego co do wielkości w Zachodniej Gocji, od zachodu wyposażonego w imponującą wieżę, którą wzniesiono w niepamiętnych czasach.

Arn był w doskonałym nastroju, bo chętnie śpiewał, a że - tak sądził - wszyscy znali bożonarodzeniowe hymny na pamięć, to w owe radosne świę-

\* W owych czasach małżeństwa księży były jeszcze tolerowane przez papieży (przyp. tłum.).

ta nawet tym, którzy niezbyt się wyćwiczyli, łatwo przychodził śpiew w różnych tonacjach.

Nie on jeden nauczył się śpiewania u cystersów. W chórze była bowiem Cecylia Algotsdotter, którą w ostatnich latach, na zmianę z siostrą Katarzyną, wychowywano w klasztorze Gudhem nad jeziorem Hornborge.

Jej głos usłyszał Arn, ledwo wszedł do zimnego kościoła. Klarowny, czysty, górował nad wszystkimi innymi głosami, sprawił więc, że Arn, zdziwiony, zatrzymał się i wsłuchał. Nigdy przedtem czegoś tak pięknego nie zdarzyło mu się słyszeć i dlatego przyszło mu na myśl, iż tak właśnie, promiennie, brzmiałby w chórze chłopięcy sopran, iż nie inaczej pewno śpiewał sam w chłopięcym wieku, póki przebywał w Szkole Życia. Chociaż tamten głos brzmiał jego zdaniem jeszcze lepiej. Ów niewieści sopran wydał mu się dźwięczniejszy i żywszy.

Stojąc daleko od ćwiczących śpiewaków, nie widział Arn, do kogo tamten niebiański głos należał, i tymczasem nie interesowało go to nawet, bo wbił wzrok w podłogę, aby nic nie absorbowało oczu, kiedy uszy chciały w pełni poznawać muzykę, każdy jej zakamarek.

Gdy chór odśpiewał cztery z szesnastu strof, wedle wiedzy Arna tyle bowiem zawierał hymn, ksiądz, który dyrygował śpiewakami, zrobił przerwę, by coś skorygować i zganić jednego z tych, co śpiewali jako drugie głosy. I wtedy Arn podszedł, pozdrowił księdza i nieco onieśmielony, pokłonił się owej grupie chórzystów.

W tym samym momencie ujrzał ją po raz pierwszy. Zdało mu się, iż znów zobaczył Birgite znad Limrjorden, tyle że teraz jako dorosłą niewiastę, tę Birgite, z której powodu musiał wiele pokutować i nieomal powadziłby się z ojcem Henri o to, czym właściwie jest miłość. Arn widział takie same obfite i rude włosy, które opadały na plecy, takie same wesołe piwne oczy i takie samo naddobne blade oblicze. Pewno się zapatrzył na nią, bo uśmiechnęła się prowokacyjnie, chyba przyzwyczajona do spojrzeń młodych mężczyzn. Nie wiedziała jednak, kim był, gdyż ksiądz nie wspomniał o sprowadzeniu dodatkowego śpiewaka, i to kogoś takiego, bo przecież ów proboszcz nie mógł być pewnym, że syn dziedzica z Arnas pofatyguje się tylko po to, żeby poćwiczyć śpiew.

Pleban w Husaby był oczywiście rad przybyciu Arna, jeżeli bowiem okazałby się on bodaj w połowie tak dobrym śpiewakiem, jak zapewniał dość prostacki ksiądz z Forshem, to można by się spodziewać nadzwyczaj pięknej pa-

sterki, jako pierwszy głos pozyskał wszak pleban z Husaby niepospolicie piękny sopran. A że był raczej wesołym, a nie surowym księdzem i, jeśli nadarzała się sposobność, nie stronił od dobrych żartów i niespodzianek, to zaraz też pozwolił sobie na drobny figiel.

Zwięźle oznajmił, że przybył śpiewak z kościoła w Forshem, co Arn uznał za dość osobliwą prezentację, i że można by teraz przeciwiczyć odśpiewany właśnie fragment z udziałem dwojga tylko śpiewaków i z rozłożeniem na dwa głosy. Po tych słowach skinął na Cecylię, która wystąpiła przed chór z widoczną pewnością siebie, znowu rozbawiona tym, że wpatrywał się w nią ów chłopski syn z Forshem.

Arn domyślił się, iż właśnie ona posiadała niebiańsko piękny głos, i pewno ten domysł sprawił, że patrzył jeszcze bardziej baranym wzrokiem.

Gdy Cecylia, jak wskazał ksiądz, zaczęła w pojedynkę śpiewać jako pierwszy głos, prowokacyjnie podwyższyła tonację, aby śpiewakowi z Forshem pokazać, gdzie jego miejsce.

Ledwo jednak usłyszała, czy raczej wyczuła całym ciałem, że ten nowy śpiewak ściśle dostosował swój drugi głos do jej głosu i podążał za nią niczym w tańcu, w którym ich głosy oplatały siebie nawzajem, przenikały się wzajemnie, spiesząc potem na zewnątrz i powracając z taką łatwością, jakby zawsze razem śpiewali, nie mogła się Cecylia powstrzymać od uniesienia wzroku i spojrzała na niego. A że on też już na nią patrzył, poczuli oboje, gdy ich oczy się spotkały, że jej czy jego głos przemienił Bóg. I wtedy Cecylia zaczęła urozmaicać swój śpiew, czyniąc go o wiele trudniejszym do naśladowania. Arn zaś nadal podążał za nią swoim drugim głosem z równą łatwością jak przedtem, aż wreszcie przestali widzieć pozostałych śpiewaków i księdza, który stał przed nimi, ich wszystkich, których urzekło piękno roztaczane niczym blask ku sklepieniu kościoła, widzieli bowiem tylko siebie nawzajem, a odśpiewali każdą z szesnastu strof hymnu.

Sporo działo w czasie tej owocnej próby. Proboszcz z Husaby odnosił się dobrze do wszystkich i był w tak pogodnym nastroju, w jakim dawniej nikt go nie widywał. Wobec tych, których chciał przywołać do porządku, okazywał łagodność i niezadługo wszyscy mieli pewność co do tego, jak cały hymn należało zaśpiewać, pojawił się wszak duet z dwoma różnymi głosami i był to chór z sopranem, z drugim, a nawet trzecim głosem, jako że Arn potrafił w dowolnym miejscu owych prostych a radosnych pieśni bożonarodzeniowych użyć tego ostatniego głosu.

Wszyscy więc byli w świetnym humorze, gdy przed wieczerzą należało skończyć próbę, natomiast Arn i Cecylia, którzy po raz pierwszy mogli porozmawiać, rychło zaczęli się nawzajem wypytywać o to, gdzie posiadli swój kunszt i wkrótce mówili też - jedno przez drugie - o klasztorach w Gudhem i Varnhem i klasztorze zwanym *Vitae Schola*. Tym zajęci i tylko w siebie nawzajem wpatrzeni, znaleźli się na schodach wiodących do kościoła, przy których czekało dwóch zbrojnych z płaszczem Cecylii oraz jej koniem, aby bez zbytnich ceregieli sprowadzić ją przed wieczorem do królewskiego majątku w Husaby, jak surowo przykazał jej ojciec, Ałgot.

Jeden ze zbrojnych zbliżył się kilkoma gniewnymi krokami do owego chłopca z chóru, co nazbyt się spoufalił z panną, której cnoty tenże zbrojny winien był strzec. Drugi człowiek z tej samej drużyny, obecny wcześniej w Axevalli, gdzie odbył się *landsting*, przestrzegł go jednak chwyceniem za rękę, po czym wyminął go i dwornie pozdrowił pana Arna z Arnas.

Radosne opowieści Cecylii o klasztornym śpiewie niejako znalazły swój opaczny finał, wydało jej się bowiem, że źle usłyszała. To niemożliwe, by ten sympatyczny młodzian z łagodnie patrzącymi oczyma miał być owym mężem, o którym opowiadano sobie przy piwie, jak Zachodnia Gocja długa i szeroka.

- Jak się zwiesz, klasztorny śpiewaku? - zapytała z niedowierzaniem w głosie.

- Jam jest Arn Magnusson z Arnas - odrzekł natychmiast, w tym samym momencie uświadomiwszy sobie, że po raz pierwszy w życiu przedstawił się tak jak należało. - A ty? - dodał swoje pytanie i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jam jest Cecylia Algotsdotter z Husaby - padła odpowiedź onieśmiejonej panny, która zrobiła na Arnie takie samo wrażenie, jak on na niej, gdy wypowiedział swe imię, oto bowiem oboje pojęli, iż istotnie Pan sprawił, że się spotkali, a to właśnie odczuli mocno każde z nich w głębi swego jestwa, kiedy w kościele oplatały siebie nawzajem ich żarliwe śpiewacze głosy.

\* \* \*

Pasterka odprawiona w kościele w Husaby Roku Pańskiego 1166 pozostała w ludzkiej pamięci. Według powszechnej opinii, jeszcze nigdy nie śpiewano tak pięknie na chwałę Pana. I znużenia, które prędzej czy później zwykło ogarniać wszystkich, skoro długo stali na kamiennej podłodze, w czasie tej mszy nie odczuł nikt.

Nawet oczy widziały, iż przemawiał Bóg, kiedy bowiem młody Folkung w błękitnym płaszczu, z jasnymi włosami, i córka Pawłowego rodu, odziana w zielony jedwab wedle rodowej barwy, ze swymi rudymi włosami, z ogromną radością i mocą śpiewali razem, wszyscy mogli się przekonać o Bożych intencjach wobec tych dwojga. I jeśliby nie dostrzegli tego ich obecni tam ojcowie, to wśród uczestników późniejszej biesiady w Husaby znalazłby się niejeden skory do uświadomienia ojców. Wiadomo wszak było wszystkim, iż ani srebro, ani interesy nie stały na przeszkodzie, i wszyscy wiedzieli też o niemałych trudnościach Algota Palssona. Można było mniemać, iż zebrani w kościele wierni słuchali Boga, wsłuchując się w niebiańskie głosy dwojga młodych ludzi, które wieściły dobrą nowinę o narodzeniu Chrystusa i o tym, iż miłość jedna, jako siła przeciwstawiająca się złu, a miłość, którą widziano i słyszano na owej mszy w noc Bożego Narodzenia, doprawdy była silna i oczywista.

Algot Palsson dostrzegł zapewne to, co zauważali nawet ci, którzy mieli gorsze miejsca w kościele. Jako dzierżawca królewskiej ziemi stał on na samym przedzie, obok jurysty Karlego Eskilssona i pana Magnusa. I to, co widział, co widzieli wszyscy, pewno napawało go nadzieją. Ale niejedno wcześniejsze doświadczenie nauczyło go, że z panem Magnusem i jego synem Eskilem nielato było negocjować, i że w obecnej sytuacji, kiedy to mówiono powszechnie o drugim synu, Arnie, bliskim przyjacielu Knuta Erikssona, jak szeptano, przyszłego króla tego kraju, mogło się tak zdarzyć, iż wyraźny płomień nadziei zgasłby i ledwo podjęto by negocjacje, pozostałby popiół. Niewykluczone, że panowie na Arnas liczyli na znakomitą partię i z takim ożenkiem wiązali wielkie plany, być może pragnęli jeszcze ściślejszych więzów Erykidów z Folkungami albo też rola im się któraś z norweskich królewien. A to, że Cecylia i Arn mieli marzenia, które wzlatywały wysoko i śpiewali niczym ptaki, jak każdy widział i słyszał, mogło się okazać całkiem bez znaczenia, jeśliby doszło do właściwych negocjacji.

Rozważając te możliwości, Algot Palsson miotał się między nadzieją a rozpaczą. Lękał się też biesiady, bo kojarzyła mu się ona z pozostawieniem za sobą spalonych na brzegu okrętów, co ponoć czynili, według sag, przodkowie, gdy nie było już możliwości odwrotu.

Jako dzierżawca królewskiej ziemi Algot winien był zapewnić królowi możliwość przybywania w dowolnym czasie, ze świtą tak liczną, jak zapragnie, i należało go podejmować, póki by tego sobie życzył. Królewskiej musiała w każdej chwili być przygotowana na urządzenie wielkiej uczty.

Jeśliby sam król Karol Sverkersson przysłał emisariuszy z zapowiedzią, iż ze swą świtą przybędzie on do Husaby na pasterkę, tak jak niejedną raz czynili królowie, również on sam, to wszystko odbywałoby się wówczas należycie. Ale król postąpiłby nieroztropnie, bo trzeba by pamiętać, co spotkało jego ojca, staro Sverkera, właśnie w drodze na pasterkę. Poza tym Sverke-rydzi nie mogli się czuć bezpiecznie w Zachodniej Gocji.

Okazało się natomiast, iż Folkungowie na czele z sędzią i panami z Arnas, w asyście wielu zbrojnych, zamierzali, jakby uzurpując sobie uprawnienia króla, świętować w Husaby. Odmowa była ryzykowna, zwłaszcza jeśliby podano jedyną prawdziwą przyczynę, mianowicie tę, iż królewszczyzna należała do Karola Sverkerssona, a nie do Folkungów. Powiedzenie prawdy mogłoby oznaczać skazanie siebie na śmierć.

Tak samo mogło się skończyć wyrażenie zgody, co Algot Palsson istotnie uczynił. Ponieważ była zima i nie brakowało śniegu, królewskie wojsko, jeżeli w ogóle, mogło nadciągnąć dopiero wiosną. A gdyby przybyło i odniosło zwycięstwo, to niełatwo można by się wytłumaczyć z tego, że pokonany nieprzyjaciel objadał króla w jego posiadłości. Algot Palsson mógł tylko żywić nadzieję na wiosenny tryumf Folkungów, całego ich rodu. Z córką Cecylią nie podzielił się Algot tym wielkim kłopotem, wątpił zresztą, czy swym dziewczęcym rozumem pojęła, co się stało.

Mimo wszystko biesiada naprawdę się udała. A jednak na początku Algot Palsson czuł się osaczony tarczami, gdy siedział na honorowym miejscu razem z sędzią Karlem, a trzech najznakomitsi Folkungowie z Arnas zajmowali miejsca kolejne co do rangi. Niezbyt trudno było się domyślić, jak ów ród odnosił się do wymowy tego, iż beczelnie raczyli się królewskim jadłem, jak gdyby należało do nich. Pozwalali sobie nawet na głośne żarty i co pewien czas wznosili toasty za króla, którym towarzyszył śmiech, za każdym razem donośniejszy.

Cecylia i Arn nie mieli podczas owej uczy żadnej szansy na to, by być obok siebie. Mogli jednak rozmawiać oczami, bo prawie przez cały czas dzieliło ich ledwie kilka kroków. Ten sposób porozumiewania się nie ograniczał bynajmniej ciszy między nimi, skoro inne osoby w owej izbie wręcz słyszały dźwięk dzwonu.

Magnus i Eskil pojęli rychło, iż stanęli w obliczu trudnego problemu, ale w krótkich słowach zgodzili się szeptem, że to doprawdy nie czas i nie miejsce na poruszanie owego tematu ani w rozmowie z Arnem, ani między sobą.

Po bożonarodzeniowej uczcie w Husaby odjechali Folkungowie ze swą drużyną na południe, w stronę Eriksbergu, by pogościć kilka dni u Joara Jedvardssona, Knuta Erikssona oraz ich krewnych.

Suto ugoszczeni i zmęczeni tym, powrócili do Arnas. Niezadługo przybył tam ze swoją dziką norweską drużyną Knut Eriksson, wszyscy uzbrojeni tak, jakby myśleli nie tylko o udanym polowaniu na wilki na stokach Tive-den. Takie właśnie łowy podali zresztą jako powód przybycia.

Tymczasem pogoda akurat wtedy nie sprzyjała polowaniu, odniesiono wszakże wrażenie, iż Knut Eriksson był z tego jeszcze bardziej rad, gdyż miał niejedną sprawę do omówienia z Folkungami. Z Eskilem chciał rozmawiać o królu Swewów i mieszkańców Gocji oraz o sprawach, którymi mocarstwa powinny się zająć, bo właśnie Eskil miał wiele do powiedzenia na takie tematy. Nade wszystko - tak uważał Eskil - władca krainy Swewów i Wschodniej Gocji powinien zadbać o więcej kontraktów z Saksonią i Lubeką. Nie umiano jak dotąd wykorzystać Bałtyku, jakby sięgał on tylko tam, gdzie, poza granicą smalandzkich lasów, zaczynała się Dania. Mając możliwość handlu poprzez owo morze uzyskaną pokojowo, bo dzięki umowie zawartej w pierwszej kolejności z władzami Lubeki, można by uzyskać niemałe dochody. Wówczas trzeba by jednak zadbać o bicie nowych królewskich monet, minął wszak czas wymieniania kunich skór na cudzoziemskie towary. Później przydałby się szlak handlowy między Norwegią a wschodnimi częściami królestwa, który przebiegałby z Lódóse poprzez Wener, ziemie należące do Arnas oraz Wetter, Eskil stwierdził, że tą drogą można by zwłaszcza robić wielkie interesy na handlu suszonymi rybami z Lofotów, kupując bardzo tanio, a sprzedając ze sporym zyskiem.

Te pomysły na dobry interes bardzo zaciekały Knuta Erikssona, który zapowiedział, iż Eskil będzie miał nań największy wpływ we wszelkich sprawach handlowych i co do obracania pieniędzmi, gdy już on sam uzyska dla siebie trzy królewskie korony.

Najrychlej wszakże można było doprowadzić do końca jedną tylko sprawę, mianowicie ułożenie się z Emundem Jednorękiem z Forsvik, jako że jego ziemia stanowiła brakujące ogniwo łańcucha, który łączył Norwegię z krajem Swewów i ze Wschodnią Gocją. Ale że szło o interes bardzo pewno intratny dla jednej strony, mniej zaś korzystny dla drugiej, stwierdził Eskil, iż trzeba by załatwić sprawę po nowemu, to znaczy aktem kupna z zapisem transakcji. W Arnas nie było zbyt wiele pergaminu i utensyliów potrzebnych do pisania, na coś takiego

wystarczyłoby ich jednak, tak więc Arn został zagadnięty o to, czy potrafiłby taki dokument sporządzić, i potwierdził, że umiałby. Wszak i w Szkole Życia, i w Varnhem raz po raz pracował pod okiem archiwisty, a w obu klasztorach przechowywano niejedyn akt darowizny i zakupu. Arn zapewnił, że z łatwością napisałby taki dokument, jeśliby wiedział, kto miał co kupić od kogo i za jaką sumę.

Posłuchawszy przez chwilę wyjaśnień Eskila, udał się Arn na wieżę, do izby, w której prowadzono księgowość, zebrał to, czego potrzebował do pracy, i zniknął na resztę dnia. Powrócił na wieczerzę z aktem bardzo pięknie spisany na pergaminie, do którego przyłożył woskową pieczęć Magnusa Folkessona. Ponieważ w celu nadania dokumentowi mocy prawnej sporządził go po łacinie, wypadło mu kilkakrotnie odczytać go na głos w języku rodzimym, aby reszta rodziny to zrozumiała:

„W imię Trójcy świętej a niepodzielnej. Ja, Magnus, pan na Arnas, oraz dwaj moi synowie, Eskil i Arn, czynimy wiadomym każdemu, kto żyje obecnie, jak też całej potomności, iż oto zakończył się haniebny i niezbyt długi spór pomiędzy Emundem Ulvbane a nami i synami naszymi, albowiem z Bożą pomocą i za obopólną zgodą położyliśmy temu kres w taki sposób, iż Emund Ulvbane przekazuje nam posiadłość Forsvik z tym, co do niej przynależy, a są to; łąki, lasy, wody bogate w ryby, i ze wszystkim, co w granicach posiadłości potrzebne, iżbyśmy władali nią swobodnie i wiecześnie. Niechaj po wsze czasy potwierdza tę oto umowę 50 marek srebrem, którą to sumę podajemy w rodzimym języku.

Również ja, Knut Eriksson, który jako wtóra osoba po Bogu przyczyniłem się do tego przekazania i owej ugody, pospołu z wieloma innymi świadkami byłem obecny przy tym przekazaniu. I aby uczynić dokument prawomocnym i niepodważalnym, przyłożyliśmy doń pieczęć Magnusa oraz Knuta, nadto mocą nadaną nam przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa, jego matkę, Maryję wiecznie dziewicę, i wszystkich świętych, wyjmujemy spod prawa każdą osobę, która sprzeniewierzy się temu, co uzgodniono i co stanowi przedmiot niniejszego porozumienia. Świadcami tegoż są Eskil i Arn Magnusson, Ey-vind Jonsson, Orm Rógnvaldsen, Ragnar, proboszcz w Forshem, i wiele innych osób, których imiona musielibyśmy nazbyt długo wyliczać”.

Po trzykrotnym odczytaniu tekstu przez Arna, dzięki czemu wszyscy zrozumieli, co zawierał, dłuższą chwilę trwała ożywiona rozmowa. Norwescy krewni stwierdzili, iż Arn nie powinien był użyć przydomka „Ulvbane”, lecz raczej



nazwać Emunda Jednorękiem. Magnus wyjaśnił, że Emund chętniej pewno przyłoży swą pieczęć do aktu, w którym został określony jako Pokonujący Wilki. Mimo że przydomek „Enehand” jest i bardziej zgodny z prawdą, i zasłużony w większej mierze, idzie przecież akurat teraz nie o to, żeby ubliżyć, choćby nie bez racji, lecz o dobiecie targu. Tamci Norwegowie przyjęli słowa Magnusa niechętnie i sarkali półgłosem, że osądzenie martwego człowieka powinno jednak się spełnić, i trudno było pojąć, co mieli na myśli.

Ponieważ Knut zażądał, by prócz patronimiku zostało w dokumencie umieszczone określenie: *rexsveorum etgothorum*, które to słowa zrozumiał od razu tylko Arn, ale im się sprzeciwił, mówiąc, że nie należałoby rozgłaszać - uprzedzając fakt - czegoś, co chce się móc uznać za prawdę i co zasługuje na to, by się nią stać, bo byłoby to dzieleniem skóry na żywym niedźwiedziu.

Pozostali nie zrozumieli owej wymiany zdań, póki Arn nie wyjaśnił, że tamte słowa oznaczają „król Swewów i Gotów”, po nim zaś zabrał głos Magnus i stwierdził, iż wszyscy obecni żywią, co oczywiste, nadzieję na spełnienie się tego w niezbyt odległej przyszłości, i dodał, że być może wedle prawa powinno tak być już teraz, lecz nazbyt wielu Swewom i mieszkańcom Gocji nic o tym nie wiadomo, faktycznie więc za króla kraju Swewów i Gocji Wschodniej uważają Karola Sverkerssona. Ów dokument zaś znaczy tym więcej, im prawdziwiej brzmi. To prawda, że Knut Eriksson jest Knutem Erikssonem i pozostanie nim nawet jako król. A jeśli przyłoży się jego pieczęć do aktu, to po wsze czasy będzie on nie mniej prawdziwy bez dodania owych czterech słów.

Ponieważ widać było po Knucie, że nie chciał w tej sprawie ustąpić, Arn zwrócił mu uwagę na to, iż w gruncie rzeczy napisał tak, jakby Knut już był królem, tyle że użył słów, które można było rozumieć dwojako, i słowa te odczytał powoli i wyraźnie:

„(...) mocą nadaną nam przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa, jego matkę, Maryję wiecznie dziewicę, i wszystkich świętych, wyjmujemy spod prawa każdą osobę, która sprzeniewierzy się temu, co uzgodniono i co stanowi przedmiot niniejszego porozumienia”.

Arn objaśnił, że odniesienie słowa „wyjmujemy” tylko do Knuta Erikssona oznacza, iż otrzymał swą władzę od Boga, a tak może przecież być jedynie w przypadku króla i poza tym tylko król może samodzielnie wyjąć kogoś spod prawa. Oczywiście ową liczbę mnogą można by też odczytać jako tyjącą się wszystkich wymienionych i wówczas, pewno bardziej naginając fakty,

zrozumieć groźbę wyjęcia spod prawa tak, jakby wszyscy spodziewali się, że uchwalą to *ting*. Niełatwo jednak byłoby przewidzieć, jak dokument zostanie odczytany, i Arnowi wcale nie chodziło o taki efekt, kiedy go sporządzał. Zamierzał powiedzieć, że Knut Eriksson jest królem z Bożej łaski, nie mówiąc tego jednak.

Knut przyjął wyjaśnienie, wręczył Arnowi swą pieczęć z trzema koronami i poprosił, by poszedł do skryptorium i ją przyłożył. I wtedy brakowało już tylko pieczęci Emunda, ale wszyscy uważali, że niewątpliwie zawiśnie ona niebawem obok pozostałych, choć w owym momencie sam Emund nic nie wiedział, że czekała go wkrótce ta transakcja.

Eskil i Knut z całą drużyną norweską oraz połową zbrojnych z Arnas wybierali się nazajutrz do Forsvik. Arn wątpił, czy potrzeba było aż takiej eskorty na jazdę z ładunkiem srebra w pokojowych zamiarach, ale Eskil wyjaśnił, że kto chce uniknąć awantury, ten powinien działać tak, żeby człowiek, którego należy wyprowadzić w pole, raczej nie miał ochoty na zwadę. Norwescy zbrojni zapewne ostudzą takie zapędy. Zawieszając swą pieczęć na dokumencie, Emund musi cieszyć się dobrym zdrowiem i być spokojnym, gdyż w przeciwnym wypadku sprawa spełźnie na niczym. Arn zaniepokoił się, kiedy doszedł do wniosku, że rozumiał.

I oto Knut odciągnął go na stronę, po czym stwierdził, że najroztropniej byłoby, gdyby w tej właśnie sprawie Arn nie wziął udziału, bo jego obecność nie sprzyjałaby pewno spokojnemu usposobieniu Emunda. Teraz idzie o interesy, a z tymi Eskil ma więcej do czynienia niż Arn. Niezadługo przyjdzie jednak czas na coś innego, z czym Arn sobie radzi, Eskil zaś nie na wiele się wówczas przyda.

Arn pogodził się z tym szybko i łatwo, tak szybko, że zdziwił Knuta, niepokojnego przed ich rozmową. Wszakże Arn miał inne plany i pragnienia, dość też ostrożnie wspomniał, iż podczas nieobecności krewnych, którzy będą coś załatwiać nad jeziorem Wetter, on w pewnej sprawie innego rodzaju znajdzie się w Husaby. Knut od razu zrozumiał, o co chodziło, ponieważ Eskil opowiedział mu wcześniej o Cecylii oraz tarapatkach, jakich ona i Arn mogliby przysporzyć.

Obładowana i uzbrojona gromadka wyruszyła z Arnas wkrótce po dniu świętej Gertrudy, kiedy w powietrzu wyraźnie czuło się wiosnę i łatwo było jechać po śniegu, lody zaś jeszcze nie topniały. Cały bagaż wypadło dźwigać na plecach albo przewozić w torbach przytroczonych do siodeł, bo użycie wozów

czy sań nie wchodziło w rachubę, nastąpiła bowiem ta wiosenna pora, która najmniej sprzyjała obfitym ładunkom. Z tymi zaś wiązały się pewne zamiary, jako że Emund i ludzie z jego otoczenia raczej nie spodziewali się gości o tej porze roku, trzeba więc było ułatwić sobie sprawę.

Wpierw skierowano się na północ, gdzie ludzie z Arnas natrafili na rzekę Tidan, wciąż skutą lodem, co pozwoliło łatwiej przedostać się do Askebergi, miejsca zgromadzeń szlachty, tam zaś przenocowano w szopach, z których korzystali ci, co przybywali na *ting*. Nazajutrz wyruszyli skoro świt, aby dotrzeć do Forsvik o zmroku i wjechać do majątku, zanim otoczenie Emunda wypatrzyłoby gości.

I to się powiodło. Rychło rozbrojono zaskoczonego Emunda i jego ludzi. Członkowie drużyny i inni mężczyźni, którzy wyglądali na takich, co umieli użyć broni, zostali zamknięci w spiżarniach i kuźniach, gdzie pozostawali pod ścisłym nadzorem groźnych Norwegów. W wielkim domu przebywali odtąd tylko sam Emund, jego dorosły syn Germund, małżonka Ingeborg i oraz troje małych dzieci. W głębi tego domu znalazła się także niewolna służba w potrzebnej liczbie, tyle że bez broni, ponieważ goście starannie sprawdzili, czy ktoś jej nie posiadał.

Owa wizyta przebiegała w ponurym nastroju, chociaż Eskil i Knut jedli i ze smakiem, rozprawiali głośno i beztrzesko, podczas gdy ze strony Emunda i jego otoczenia padały odpowiedzi lakoniczne i pełne nieufności, i to na wszelkie pytania.

Mimo wszystko Eskil okazywał szczególnie dobry humor, na samym początku ujawniwszy, iż przybył w interesach, i wyraziwszy nadzieję na to, że zapewne dojdą do porozumienia, a zaproponował też, by, jak kazał obyczaj, najpierw uraczyć się jadłem i trochę razem wypić, po czym byłoby łatwiej rozmawiać. Gdy już pojadł, polecił, żeby wniesiono kufer pełen srebra, i znalazł się on na stole między nim a Emundem, któremu w tym momencie nieco poprawił się humor, nie tyle dlatego, że był bardzo łasy na srebro, ale z tej przyczyny, iż obawiał się, że mogło tu iść raczej o życie - jego własne i jego dzieci. Srebro na stole wskazywało wszak na interes, a nie na śmierć. Tak czy inaczej rozmowa toczyła się niemrawo.

Po dłuższym raczeniu się jadłem Eskil stwierdził bardzo dwornie, że skoro czas przejść do interesów, takie rozmowy najlepiej odbywać w męskim gronie, pani domu, Ingeborg, i jej dzieci mają więc zgodę na to, by się usunęły. Rodzina gospodarza natychmiast posłuchała rozkazu.

Gdy Eskil i Knut pozostali tylko z Emundem, z ust Eskila padły słowa zwyczajne i jednoznaczne. Stwierdził, że cena może się wydawać dość niską, wszak wiadomo, iż posiadłość Forsvik jest więcej warta niż pięćdziesiąt marek srebrem, to każdy rozumie. W tym miejscu urwał, aby otworzyć kufer ze srebrem i wyjąć akt kupna, który odczytał w rodzimym języku, lecz nie podał wszystkich imion wymienionych w dokumencie, zwłaszcza zaś pominął imię Knuta Erikssona. Tak oto Emund nabrał większego przekonania, że istotnie szło o jakiś interes, choć niekorzystny.

Następnie Eskil zwrócił uwagę na to, że sumę trzydziestu marek, którą Emund uzyskał w Axevalli, kiedy odbywał się *landsting* (o tym wspomniano tu po raz pierwszy), zresztą w osobliwy sposób, należałoby uwzględnić w rozliczeniu przy kupnie, jako że owych trzydzieści marek miało związek z ugodą, która nie dotyczyła wtedy Emunda, teraz natomiast ten ostatni postąpi roztropnie, jeśli pójdzie na kompromis.

Emund skinął głową, przyznając, że zrozumiał ów sposób myślenia, i dość ostrożnie stwierdził, iż osiemdziesiąt marek to przyzwoita suma, zwłaszcza że nastąpi ugoda co do kupna. Eskil wyraził zadowolenie z tego, iż łatwo im było, jak dotąd, zrozumieć siebie nawzajem.

Emund nie był jednak gotów zawiesić swej pieczęci bez pewnych gwarancji, ponieważ nie wydawało mu się bezpiecznym dobijanie targu w sytuacji, w której jego własna drużyna została schwytana przez norweskich zbirów najgorszego autoramentu, i nie pojmował, jaką rolę w tej sprawie odgrywał człowiek podający się za Knuta, bo nie znał nikogo o tym imieniu.

Eskil odpowiedział, że dobrze rozumie wątpliwości Emunda. Ale dodał, iż można by je rozwiązać w prosty sposób, a mianowicie nazajutrz umieścić w saniach rodzinę Emunda i tych zbrojnych, którzy chcieliby dołączyć. Po odjeździe sań odczekano by z dokończeniem sprawy, póki ci, co wyruszyli w podróż, nie znaleźliby się w bezpiecznym miejscu. Dzięki temu Emund nie miałby powodu do obaw o życie i bezpieczeństwo rodziny.

Emund zgodził się z tym, lecz dopowiedział, że jego własne życie nie będzie wiele warte z chwilą, gdy pozostanie w Forsvik w pojedynkę, otoczony ludźmi, którzy nie są jego przyjaciółmi.

Eskil odrzekł po chwili refleksji, że tak jest i teraz. Jeśliby jednak krewni Emunda odjechali, pozostając przy życiu, i nie można by ich było dopędzić, to spotkałby tych ludzi całkiem inny los niż rychłą śmierć wszystkich zadana dlatego, że nie udało się osiągnąć porozumienia.

Emund stwierdził w owym momencie, że chce ugody. Ale pragnął jeszcze coś zaproponować. Niechby srebro będące zapłatą za sprzedaż odjechało tymi saniami, co rodzina.

Tę propozycję Eskil uznał za złą, bo nie byłoby to zręczne i zgodne z obyczajem, gdyby zapłacono za coś, czego się jeszcze nie otrzymało. Jeśliby Emund się wzbraniał, całe to srebro przepadłoby bez żadnego pożytku. Ci dwaj spotkali się w pół drogi po dłuższym rozważaniu sprawy na różne sposoby. Połowa należnej sumy miałyby zostać nazajutrz zabrana saniami, a drugą połowę otrzymałby Emund tuż po potwierdzeniu transakcji własną pieczęcią. Na tym stanęło, po czym udano się w Forsvik na spoczynek, lecz niejedna z obecnych tam osób nie mogła zasnąć.

Nazajutrz połowę zamkniętej drużyny wypuszczono, aby mogli ci zbrojni się posilić i przygotować sanie tak, jak należało. Następnie Emund pożegnał się ze swą małżonką Ingeborg i z dziećmi, jak uzgodniono, poniósł połowę srebra od Eskila do pierwszych sań i umieścił to srebro obok małżonki. Sanie ruszyły przez lód na jeziorze Wetter.

Niewiele mówiąc, czekano w wielkim domu, póki sanie nie pokonały takiego dystansu, że nie można ich było dogonić. I nadszedł czas na dokończenie sprawy. Emund był blady i ponury, a gdy z pomocą Eskila umieszczał swą pieczęć na akcie kupna, drżała mu lewa ręka. Kikut prawej ręki, przewiązany płótnem, roztaczał brzydki zapach.

Kiedy akt kupna uzyskał swą moc, Eskil zwinął go ostrożnie i schował za koszulę, podsunął Emundowi kufer z drugą połową sumy i pożegnał się, wyjaśniając zarazem, że akurat w tym momencie nie ma niczego więcej do załatwienia w Forsvik. Zapowiedział, iż część jego ludzi pozostanie i będzie dbać o majątek przez wiosnę, po czym przyjadą z Arnas nowi, którzy przejmą pieczęć.

Oznajmiwszy to, Eskil - z niezmienną dwornością wobec Emunda - wyszedł, pozbierał zbrojnych z Arnas, którzy na niego czekali, dosiadł konia i bez pośpiechu odjechał.

Wszakże w wielkim domu po nikim nie było widać, iżby kto chciał pozwolić Emundowi na wyruszenie czekającymi nań saniami. Ledwo upłynęło tyle czasu, że Eskil znalazł się poza zasięgiem własnego wzroku ani też nie mógł słyszeć hałasów, które dochodziły z Forsvik, Elling Mocny oraz Egil Olafsson wyszli na zewnątrz i wybili szybko zbrojnych, którzy oczekiwali swego pana, po czym załadowali ich zwłoki na sanie.

Gdy to zostało wykonane, wrócili do wielkiego domu i rozsiedli się bez słowa, bo przecież nie było co mówić. Wszyscy obecni w domu usłyszeli i zrozumieli.

I oto cicho, ale z bezwzględną nienawiścią w głosie, do Emunda zwrócił się Knut.

- Zastanawiałeś się, Emundzie Jednoreki, kim jestem, jako że nie znasz żadnego Knuta. Teraz ci to wyjaśnię, bo nie jestem byle jakim Norwegiem. Zwę się Knut Eriksson, a moim ojcem był Eryk Jedvardsson, ty zaś, który nie jesteś już nic winien Eskilowi Magnussonowi, nadal pozostajesz coś winien mnie.

Emund zrozumiał, o co szło, i zerwał się z miejsca, jakby chciał uciekać, lecz schwytali go, wesolo pokrzykując, Norwegowie. Bijąc i kopiąc, wyciągnęli go na zewnątrz, szydząc zeń bezlitośnie, i tam przyparli Emunda do zmarzniętej ziemi, wiążąc mu ręce i nogi, po czym leżał na wznak, a za poduszkę miał jakieś bierwiono.

Geir Erlendsen stwierdził, że należałoby związać Emunda tak, aby jego ciału nadać inny kierunek i aby słyszał rozmowę, a nie mógł nic wskórać, zgodnie z dobrym obyczajem Norwegów, który nakazywał krwawą zemstę i zadawanie bólu tym złoczyńcom, co zasłużyli sobie na śmierć w męczarniach. Kiedy już połamię się królobójcy żebra i zostaną one, niczym skrzydła, rozpostarte na ziemi, Knut powinien gołymi rękami wyrwać Emundowi serce z ciała.

O tym Knut Eriksson nie chciał nawet słyszeć, bo jakże miałby sobie brudzić ręce krwią łotra! Niechaj raczej będzie podług Pisma Świętego, niech królobójca zginie tak, jak sam zabił, poprzez ucięcie głowy od przodu.

Emund Ulvbane zachował się po męsku - nie poprosił o oszczędzenie go. Knut Eriksson odłączył jego głowę od ciała jednym ciosem, po czym kazał ją nadziać na kopię i tę wbić pośrodku podwórca, aby niewolna służba, która pozostała, nie mogła zapomnieć, że w Forsvik pojawił się nowy pan. Poleciał też, by ciało Emunda rzucono na sanie, pomiędzy zwłoki zbrojnych, i potem posłał sanie przez lód, ażeby je spalono.

Knut Eriksson i większość jego ludzi spędzili jeszcze tylko dzień w Forsvik i rozpatrzyli się w spiżarniach i domkach wypełnionych tym, co potrzeba w żegludze, poszukując rzeczy, które można by wykorzystać. I znaleźli coś dobrego, mianowicie w jednym z owych domków natrafili na tyle upiłowanej dębiny, że - tak jak zamierzali - mogli zbudować okręt. Eyvind Jonsson,

Jon Mickelsen i Egil Olafsen musieli pozostać w Forsvik, żeby skończyć tę budowę przed ruszeniem lodów na jeziorze Wetter. Z taką ciężką pracą mogli sobie poradzić tylko norwescy robotnicy.

Zabrawszy ze sobą resztę swej norweskiej drużyny i kilku zbrojnych z Arnas, Knut Eriksson ruszył znów ku Zachodniej Gocji. Miał za sobą pierwszy długi krok na drodze, która miała go doprowadzić do tych królewskich koron.

\* \* \*

*Cicho! Ukochany mój!*

*Oto on! Oto nadchodzi!*

*Biegnie przez góry,*

*skacze po pagórkach.*

*Umiłowany mój podobny do gazeli,*

*do młodego jelenia.*

*Oto stoi za naszym murem,*

*patrzy przez okno,*

*zagląda przez kraty.*

*Miły mój odzywa się i mówi do mnie:*

*„ Powstań, przyjaciółko ma,*

*piękna ma, i pójdź!*

*Bo oto minęła już zima,*

*deszcz ustał i przeszedł.”*

*(Pieśń nad Pieśniami, 2, 8-11)*

Powtarzając wciąż półgłosem Boże słowa o tym, co go wypełniało w większej mierze niż cokolwiek innego, jechał Arn do Husaby w takim tempie, że spod kopyt Chimała wydobywały się wielkie grudy ziemi i zmarzniętego śniegu oraz lód. Koń był zgrzany i spocony, Arn zaś zachowywał żar w swym wnętrzu i liczył na to, że ochłodzi go w trakcie tej szybkiej jazdy wiosenny wiatr. Dobrze wiedział, iż niekoniecznie w takim stanie ducha należałoby przebywać w domu Bożym, aby chwalić Pana - i nikogo poza Nim. Był też przekonany, że ojciec Henri miałby o tym niejedno do powiedzenia, i to surowym tonem.

Jechał jednak jak szaleniec i z szaleńczą prędkością, bo nie mógł inaczej jechać. Cecylia wypełniła jego jestestwo tak bardzo, że wszystko inne, prócz

samemu Bogu, musiało pozostać na uboczu. Można by nawet sądzić, iż szatan podsuwał mu złe myśli, pytając, co wybrałby: czy umiłowanie Pana, czy miłość do Cecylii? Mimo że się zaciekle bronił, takie myśli narzucały mu się, jakby istotnie szatan wypatrzył bardzo słabą duszę.

Arn poczuł potrzebę zatrzymania się, a wtedy zsiadł z konia i poprosił Boga o wybaczenie owych natrętnych złych myśli. Modlił się tak długo, aż przemarzył, i jeszcze trochę dłużej. Potem jechał dalej z bardziej obyczajną prędkością, zbliżył się bowiem do Husaby na tyle, że tamtejsi ludzie winni go wkrótce dojrzeć.

W porę przybył do kościoła, otarł pot z grzbietu Chimala, umieścił go w księzowskiej stajni i przykrył samodziałową derką, aby nie wyziębił się zbyt szybko po owej jeździe, w której musiał się spocić. Chimal patrzył na Arna z wdzięcznością w szeroko otwartych oczach.

Był to dzień Zwiastowania i czas przylotu żurawi do Zachodniej Gocji, a na ziemi duńskiej, wokół klasztoru *TJitae Scbola*, zaczynała się orka. W czasie tej mszy Arn starał się śpiewać równie pięknie, jak podczas pasterki. Najświętsza Panienska była patronką klasztoru w Varnhem, toteż wszyscy śpiewacy stamtąd znali na pamięć każdą pieśń wykonywaną na cześć Maryi.

Kiedy jednak zaczęło się kościelne śpiewanie, poczuł Arn, że grzeszył, i choć duet z Cecylią wprowadził go w taką ekscytację, jak w Boże Narodzenie, to przecież, odśpiewując fragmenty mówiące o miłości do Maryi, patrzył w oczy Cecylii, do niej też odnosił każde słowo i w jej śpiewie, gdy odpowiadała, rozpoznawał taki sam sposób wykonywania i taką samą intencję.

Nie pojmując, iż uraził tym Algota Palssona, wprosił się Arn na parę dni do królewskiego majątku w Husaby, by przećwiczyć z Cecylią nowe pieśni przed kolejną mszą. Zgodnie z przewidywaniami Arna, Algot Palsson spełniłby teraz każde życzenie tego czy innego syna dziedzica Arnas, lecz Arn nie rozumiał przyczyny owej ustepliwości. Sprawiała ona, że propozycja Arna została przyjęta bez dłuższej rozmowy na ten temat.

Później zaś rozpoczęła się walka, w której po jednej stronie było dwoje młodych, a po drugiej ci wszyscy, którzy z własnej woli albo z konieczności pilnowali ich. Oni sami uciekali się do wszelkich podstępów, by móc porozmawiać sam na sam. Algotowi oraz starszym niewiastom z tego domu udawało się to zauważyć, tak więc im też wypadło używać najróżniejszych forteli, aby Cecylia i Arn w każdej chwili pozostawali pod obserwacją. Póki obyczajnie siedzieli w izbie, mając obok siebie innych ludzi, i póki śpiewali co jedną to pięk-



niejszą pieśń na chwałę Pana, nikt się nie sprzeciwił. Arn i Cecylia wykazywali wielką wytrwałość we wspólnym śpiewaniu, nie większą jednak, niż ich otoczenie w obserwacji, której podlegali ci dwoje. Pilnowano nawet i tego, by nie siedzieli zbyt blisko siebie. Podczas wieczerzy siadali oboje na honorowym miejscu, mając między sobą falochron w postaci Algo ta, a wtedy jedynym sposobem zmniejszenia dystansu było dolewanie Arnowi piwa, co dwornie czyniła Cecylia i co skazywało Arna na pewne męczarnie, postanowił bowiem, że już nigdy w życiu nie wypije tyle, ile zdarzyło mu się wypić w czasie pierwszej wizyty w Husaby.

Tuż przed świętem Zwiastowania proboszcz Sunę z Husaby wziął w Skarżę udział w kolegium u biskupa Bengta. Chociaż o tej porze roku drogi były ledwo przejezdne, diecezjalny kler zebrał się w niespodziewanie wielkiej liczbie, co świadczyło o ogromnym niepokoju w całej Zachodniej Gocji, rozsiewanym przez wiatry plotek od czasu zgromadzenia szlachty w Axevalli. Powszechnie było wiadomo, że król Karol Sverkersson nie pogodzi się z całkowitą utratą władzy nad Zachodnią Gocją, i wszyscy wiedzieli też, iż pierwszym, który zechce wystąpić przeciw królowi i odebrać mu koronę, będzie Knut Eriksson. W najgorszym przypadku spodziewano się przybycia króla Karola na czele armii do Zachodniej Gocji, a niełatwo było przewidzieć, kto wówczas odniesie zwycięstwo. Jediną pewną perspektywą okazywało się straszliwe spustoszenie kraju przez taką wojnę.

Na porządku dziennym kolegium u biskupa Bengta znalazła się kwestia ewentualnego opowiedzenia się Kościoła za jednym czy drugim pretendentem w owej walce o władzę świecką. Król Karol miał poparcie tyluż duchownych, co Knut Eriksson, i wśród zwolenników tego pierwszego był sam biskup, lecz zdaniem większości Kościół zachowałby się najrozsądniej, jeśliby zaniechał wikłania się w walkę o władzę świecką. Albowiem udział Kościoła w takiej grze mógł wielce zaszkodzić tej instytucji. To właśnie stanowisko uzgodniono szybko podczas owego kolegium u biskupa Bengta i jednym z najgorliwszych orędowników takiej postawy był Sunę z Husaby — jeśli nie z innej przyczyny, to pewno dlatego, że jemu samemu narzucono udział w tamtej grze, gdy w królewskim kościele w Husaby wypadło mu odprawić pasterkę dla Folkungów.

Zebrani diecezjalni księża mieli też inne tematy do rozmowy, bo oto proboszcz z katedry opowiedział każdemu, kto chciał słuchać, i niebawem także każdemu, kto nie mógł już tego słuchać, o tym, że stał się naocznym świadkiem

cudu, który zdarzył się, gdy bezbronny chłopaczek z klasztoru z Varn-hem z pomocą archanioła Gabriela powalił na ziemię dwóch wojów.

Zaproszony na wieczerzę do królewskiego majątku w Husaby, dojrzał ksiądz Sunę przy tym samym stole Arna i przypomniała mu się wtedy historia owego cudu, której nie omieszkał opowiedzieć tak, jak sam ją słyszał. Ktokolwiek był przy stole, słuchał uważnie i w napięciu, lecz nie Arn, ten bowiem zdawał się niechętny opowieści. Księdzu przyszło zaraz na myśl, że Arn mógł wiedzieć więcej o tamtym zdarzeniu, skoro przybył z Varnhem, i pewno słyszał o tym wcześniej albo nawet znał braciszka, o którego chodziło. I dlatego z ust księdza padło pytanie o to, co się tam działo.

Wszyscy wiedzieli, że pytanie było Arnowi nie w smak, ale nikt nie rozumiał przyczyny. Trudno uwierzyć, iż Arn mógłby czuć zawiść wobec któregoś spośród innych młodych zakonników.

Odpowiedź Arna potoczyła się powoli, bo poczuł się przyparty do muru, a nie mógł się wyłgać, jak uczyniłby to kto inny. Zgodnie z prawdą stwierdził, że proboszcz z katedry miał fałszywy obraz owego zdarzenia. Nie nastąpił żaden cud i nie było bezbronnego chłopca z klasztoru, ponieważ on sam jest tym, o którym wspomniano. A oto, co się wydarzyło: jacyś pijani chłopcy porzucili ucztę weselną, by bezpodstawnie oskarżyć go o porwanie panny młodej, choć dopiero od kilku godzin przebywał poza klasztorowymi murami. Zamierzali go uśmiercić, aby jednak odbyło się to bardziej po męsku, wręczyli mu miecz i kazali się bronić.

W tym miejscu swej relacji Arn musiał urwać i obmyślić dalszy ciąg opowieści. Najchętniej wyrzekłby się go, uznał bowiem, że powiedział już to, co należało powiedzieć, a poza tym nie odczuwał bynajmniej dumy, raczej żal, iż tak wypadło mu postąpić. Zdążył wszakże na tyle poznać sposób myślenia ludzi ze świata nieuduchowionego, że domyślał się, iż zostanie posądzony o chełpliwość. Tym, co się puszył, był w istocie proboszcz z katedry, który w swej pysze miał siebie za świadka cudu, a w rzeczywistości po prostu nieszczęścia, tyle że i to Arn mógł wyjaśnić tylko pod tym warunkiem, że byłby gotów obmówić księdza.

Milczenie zniecierpliwionych słuchaczy, którzy sądzili, iż Arn nie chciał więcej powiedzieć, przerwała Cecylia, prosząc o dalszy ciąg. Arn uniósł wzrok i wtedy ich oczy się spotkały i Arn odniósł wrażenie, że usłyszał głos Maryi, że podpowiedziała mu Ona, jak powinien dobrać słowa, aby powstała dobra opowieść o czymś z gruntu złym.

To, co kłopotliwe, przedstawił Arn zwięźle. Otóż pijani chłopci nieopatrznie powzięli zamiar zabicia kogoś, kto wydał się im bezbronnym chłopcem z klasztoru, choć mieli do czynienia z Arnem, który nauczył się władania mieczem od templariusza, Bożego rycerza. Dlatego też walka trwała krótko. Ani w Axevalli, ani tam cudu więc nie było.

Pewien cud zdarzył się wszelako w historii, cud miłości. Albowiem miała ta historia dalszy ciąg, którego ksiądz nie znał bądź nie rozumiał i który świadczył zaiste o niezmiernej dobroci Dziewicy Maryi oraz Jej pieczy nad tymi, co pokładali w Niej ufność. Arn wstydził się trochę swych zuchwałych słów pod adresem proboszcza z katedry, ale że nikogo z obecnych nimi nie uraził ani też nie rozbawił, to i rychło ośmielił się na tyle, iż mógł mówić dalej.

Najświętsza Panienka od dawna słyszała żarliwe modlitwy młodej niewiasty imieniem Gunvor oraz młodzieńca, który zwał się Gunnar. Miłowali się tak, iż woleliby umrzeć niż wyrzec się szczęścia, jakim jest wspólne życie w małżeństwie błogosławionym przez Boga.

Pogrążona w najczarniejszej rozpaczycy Gunvor uciekła z uczty weselnej przed spełnieniem małżeństwa w łożu, wybiegła na trakt i spotkała właśnie owego chłopca z klasztoru, który niczego nie wiedział i nie pojmował, a został zesłany przez Najświętszą Panią gwoli wybawienia Gunvor z opresji. Uniknęła ona niemilego jej życia z człowiekiem, z którym współżyć nie chciała, jako że i jego spotkała śmierć.

Tymczasem okazało się, że proboszcz z katedry potrzebował nowego dzierżawcy majątku, w którym odbywało się owo wesele i tym arendarzem został Gunnar. Mógł tedy poślubić Gunvor i żyć z nią w szczęściu aż po kres doczesnego żywota. Dzięki pomocy udzielonej przez Maryję ich miłość odniosła zwycięstwo, pomimo praw, zwyczajów, zasad, jakie istnieją, okazała się większą potęgą niż cokolwiek innego. To właśnie objawiła ludziom Matka Boska, gdy wysłuchała żarliwych modlitw Gunvor i Gunnara, i wynagrodziła ich za to, że nawet w najtrudniejszym momencie pokładali w Niej ufność.

Opowiedziawszy aż tyle, Arn wyrecytował wersety Pisma Świętego o tryumfie miłości bezkresnej, które tak dobrze zapamiętał, również w rodzimym języku, iż potrafiłby je powtórzyć w każdej chwili. Tą recytacją bardzo zaimponował wszystkim biesiadnikom, a największe wrażenie zrobił na Cecylii, a właśnie na tym mu zależało.

Proboszcz z Husaby poświadczył, że Arn w rzeczy samej wyrecytował im wszystkim słowa pochodzące od Boga. I zaraz dodał, iż tak to już jest z mi-

łością, że potrafi czynić cuda, na co Pismo Święte podaje wiele przykładów. Zapewne niełatwo to było zrozumieć wszystkim obecnym, jako że większość ludzi, którzy stosowali się do obyczaju Zachodniej Gocji, raczyła się weselnym piwem z innych zgoła przyczyn niż to, czego dane było doświadczyć Gu-nvor i Gunnarowi. Wszakże proboszcz z Husaby podzielił zdanie Arna, ponieważ w swej opowieści potwierdził on umiejętność rozumowania istic po kościelnemu. Najświętsza Paniienka istotnie wskazała na cud miłości i wiary, nie zaś na cud uczyniony mieczem bądź przemocą. I niewątpliwie była to historia, z której można by się tego i owego nauczyć.

Mimo że opowieść urzekła biesiadników, niezbyt dobrze zrozumieli oni, jakież to nauki byłyby do zaczerpnięcia z niej. Ksiądz z Husaby nie wyjaśnił jednak dokładniej, co miał na myśli. Natomiast gdy wieczerza i modły dobiegły końca, odszedł on z Algotem na stronę i odbył z nim rozmowę, której nikt nie usłyszał.

Być może właśnie ta rozmowa nasunęła Algotowi pewne nowe myśli, gdyż nazajutrz zapytał Arna, czy ten, dobry przecież jeździec, nie chciałby zabrać Cecylii na konną przejażdżkę w tak pogodnym wiosennym dniu. Arn nie dał się długo prosić.

I oto Cecylia i Arn pojechali razem południowymi stokami góry Kinnekulle, w ów pierwszy dzień wiosny czując łagodny wiatr. Widać już było rozrost wierzb, mocno wzbierały potoki, a śnieg zalegał już tylko tu i ówdzie. Można by sądzić, że z początku Cecylia i Arn nie mieli odwagi rozmawiać ze sobą, mimo że wreszcie pozostawiono ich sam na sam, gdyż zbrojni, którzy jechali za nimi, zachowywali przez uprzejmość taki dystans, by widzieć, ale nie słyszeć. Nie padło żadne ze słów, które Arn kierował do niej, gorączkowo rozmawiając w nocy, albo pędząc na Chimalu i wykrzykując coś na wietrze. Już wkrótce wdał się Arn natomiast w infantylne wychwalanie zalet Chimala i objaśnianie, dlaczego konie z Ziemi Świętej były znacznie lepsze niż wszelkie inne.

Wzbudził tymi wywodami umiarkowane zainteresowanie Cecylii. Ale uśmiechała się, jakby chciała go zachęcić, by jednak mówił. Sama też prowadziła długie nocne rozmowy z Arnem, kiedy jej się śnił, wyobrażając sobie wtedy, że to on powinien by wypowiedzieć właściwe słowa jako pierwszy, ona zaś musiałaby go zachęcać, żeby mówił dalej w tym samym duchu. Opowieści o cechach koni i najstosowniejszym karmieniu tych zwierząt czyniły ją niezbyt elokwentną.

Ponieważ Arn był bliski rozpaczycy z powodu swego onieśmienia i miał do siebie żal o przemilczenie tego, co obiecywał sobie, że wypowie przy sposobności, pomodlił się w duchu do Matki Boskiej o bodaj cząstkę tej siły, którą otrzymała Gunvor. I zaraz nasunęły mu się słowa, jakby podpowiedziane z łagodnym uśmiechem przez Najświętszą Panią. Arn powściągnął Chi-mała, zerknął niepewnie za siebie, na zbrojnych, którzy byli nadal poza zasięgiem jego głosu, po czym z radością w sercu i ze wzrokiem, który utkwił w jej oczach, wyrecytował Cecylii te oto słowa:

*Oczarowałaś me serce, siostrze moja, oblubienico,  
oczarowałaś me serce  
jednym spojrzeniem twych oczu,  
jednym paciorkiem twych naszyjników.  
Jak piękna jest miłość twoja,  
siostrze moja, oblubienico,  
o ileż słodsza jest miłość twoja od wina,  
a zapach olejków twych nad wszystkie balsamy!  
Miodem najświeższym ociekają wargi twe, oblubienico,  
miód i mleko pod twoim językiem,  
a zapach twoich szat  
jak woń Libanu.*

(Pieśń nad Pieśniami, 4, 9-11)

Usłyszawszy słowa Boga, a zarazem słowa Arna, skierowane do niej, Cecylia powściągnęła swego konia i długo patrzyła na Arna, przywykła bowiem mówić najpierw oczyma, wszak dotychczas tak właśnie musieli oboje wyowiadać wszystko. Siedziała na koniu całkiem spokojnie, ale gwałtownie oddychała.

- Nigdy nie pojmiesz, Arnie, jak bardzo wyczekiwałam tych słów od ciebie - rzekła w końcu, nie spuszczać wzroku. - Jest tak, odkąd spotkały się nasze oczy podczas pierwszego wspólnego śpiewania. Bardziej niż kimkolwiek innym, pragnę być twoją oblubienicą na tym świecie.

- I ja nade wszystko i na zawsze należę do ciebie, Cecylie - odrzekł Arn, świadomy solenności słów, które czyniła je niejako modlitwą. - To prawda, iż oczarowałaś me serce jednym spojrzeniem, jak wieści słowo Boże. Nie chcę już nigdy rozstawać się z tobą.

Pewien odcinek drogi pokonali w milczeniu i dotarli do prastarego i na poły zmarniałego dębu, który wychylał się ponad niewielki wodospad. Tam zsiadli z koni i usadowili się na ziemi, mając dąb tuż za plecami. Zbrojni z Husaby zatrzymali się w pewnej odległości, nie bez wahania i chyba niezgodni co do tego, czy należałoby podjechać bliżej. Szum wodospadu nie pozwoliłby im niczego usłyszeć, jeśliby nie podjechali całkiem blisko. Woleli jednak zasiąść tam, gdzie się znaleźli, aby cokolwiek widzieć, choćby i nie słysząc niczego.

Cecylia i Arn ujęli się za ręce i przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie bez słowa, czuli bowiem, iż w ich wnętrzach dokonywał się cud.

W końcu odezwał się Arn i zapowiedział swój rychły powrót do Arnas, mimo że trudno mu będzie się rozstać z Cecylią, dodał też, iż zamierzał swemu ojcu, Magnusowi, wyjaśnić sytuację.

- Być może - wspomniał - udałoby się już latem zaręczyć.

Cecylia w pierwszej chwili była ucieszona jego słowami i dotknęła swego serca, jakby przeszył je ból, a po chwili wydało się Arnowi, że jej twarz się zachmurzyła.

- Pewno będziemy potrzebować nie mniejszego wsparcia ze strony Najświętszej Pani, niż Gunvor i Gunnar, o których tak pięknie opowiadałeś - powiedziała poważnym tonem. - Chyba wiesz, iż naszą miłość czekają ciężkie próby i nie lada przeszkody?

- Nie, nic o tym nie wiem - odparł Arn. - Z Bożą pomocą nic już nie stanie nam na drodze, pokonamy każdą przeszkodę, najwyższą nawet górę, przebędziemy najgęstszy las i najgłębsze morze.

- O Bożą pomoc przyjdzie nam się jednak modlić żarliwie - rzekła ze spuszczonego wzrokiem Cecylia. - Wszak mój ojciec jest po stronie Karola Sverkerssona, twój zaś popiera Knuta Erikssona, to wiedzą wszyscy. Mój ojciec obawia się z tego powodu o swój żywot i póki żyje król Karol, nie odważy się mocno związać z Folkungami. Tak już jest, mój najukochańszy Arnie, o, jakaż to radość, że mogę wypowiedzieć te słowa! Tak jednak jest, iż nasza miłość będzie musiała przebyć niejedno wielkie morze, dopóki Karol Sverkersson pozostaje królem, a mój ojciec jego stronnikiem.

Arn nie był bynajmniej skłonny popaść z tego powodu w przygnębienie. Miał w sobie wielką ufność, a poza tym wierzył, że Maryja stanęła po stronie ich dwojga. Co więcej, wiedział niemało o Arystotelesie i świętym Bernardzie z Clairvaux, o Platona podziale światów na wyższe i niższe, także o re gule cy-

stersów, czyli posiadał wiedzę niedostępną szlachcie Zachodniej Gocji, wszakże małe miał pojęcie o regułach gry, jakie rządzą walką o władzę; w Zachodniej Gocji znane one były doskonale.

Całkowicie zdał się na swą wiarę w to, iż miłość znaczy więcej niż wszystko inne.

Magnus i Eskil siedzieli we dwóch w izbie rachunkowej wewnątrz wieży H prowadzili niełatwą rozmowę. Było im to na rękę, że Arn miał akurat pilne zajęcia. Większość czasu spędzał on na jeziorze Wener, gdzie wykrawał bloki lodu, kształtowane tak samo, jak kamienie przydatne do stawiania murów. Owe bloki wieziono saniami do Arnas i składowano w chłodni, przedzielając je warstwami wiórów z warsztatów ciesielskich. Arn obstawał przy tym, że należało tę pracę wykonać właśnie teraz, później bowiem lód byłby zbyt cienki. Owo zajęcie Arna wypadło w samą porę. W jego obecności rozmowa Magnusa i Eskila okazałaby się jeszcze trudniejsza.

O tym, że młodzi mężczyźni i czasem ponoć także młode kobiety ulegają pokusom, którym trudno się oprzeć, wiedzieli obaj z własnego doświadczenia. Tak już w życiu jest i nie sposób zachować się inaczej, jak tylko odczekać, aż zauroczenie minie niczym wiosenny katar. Magnus pamiętał takie sytuacje ze swojej wczesnej młodości i owe wspomnienia nastawiły go na tyle sentymentalnie, że wyznał Eskilowi, iż niewiasta, która została pierwszą panią domu w Arnas oraz matką Eskila i Arna, z początku obchodziła go nie więcej niż para



pięknych cisawych koni albo inny dobry nabytek przydatny w majątku. Z czasem jednak Sigrid stała się mu droższą niż ktokolwiek. To, co Arn nazywa miłością, może wszak wynikać dzięki roztropności każącej żyć ze sobą zgodnie, mądrze. Po głębszym zastanowieniu doszedł Magnus do wniosku, że również Eryka Joarsdotter ostatnio jakby wypiękniała i bywała nawet powabna, i łatwiej przychodziło mieć z nią do czynienia. A przynajmniej nigdy wcześniej nie było tak łatwo godzić się z jej obecnością w domu, jak teraz. Tak właśnie przedstawia się to, co Arn zowie miłością.

Ale owa mądrość starszego wiekiem mężczyzny nie daje się przekazać słowami komuś młodszemu. Wobec braku rozsądku niepodobna przemówić do rozsądku, gdy idzie o coś takiego. Tak samo daremne jest mówienie o tym, że czas leczy wszystkie rany wobec kogoś, kto właśnie stracił bliską osobę i musiał ją pochować. Prawdziwe to stwierdzenie, lecz nieprzekonujące w porze największej żałoby.

Cóż więc począć, skoro Arn mówi o tym, że najlepiej byłoby już nazajutrz wyruszyć do Husaby, ażeby odprawić tam zaręczyny?

Eskil uznał, że potrzeba by tu chłodnej kalkulacji w myśleniu, łatwiejszej pod nieobecność Arna, który przypominał rozżarzone żelazo. Znalazłoby się i coś, co przemawiałoby za owym pomysłem, i coś przeciw niemu, a owe racje - właśnie te argumenty - trzeba by wyważyć i wreszcie przekonać się, które mają większą wagę.

Przeciw Arnowemu pomysłowi bardziej niż cokolwiek innego przemawiało podówczas to, że nikt nie wiedział, kto w ciągu najbliższych dwóch lat będzie sprawować władzę królewską. A póki królem był Karol Sverkers-son, związanie się z jego wrogami nie wchodziło dla Algo ta Palssona w rachubę, jeśli miał dość rozsądku. Folkungowie zaś nie okazaliby się też wielce roztropni, gdyby spowinowacili się z rodem nieprzyjaźnie nastawionym do Knuta Erikssona, wszak właśnie on, nikt inny, mógł zastąpić Karola na królewskim tronie.

Za pomysłem Arna przemawiały również pewne istotne względy. Połączenie majątku Forsvik nad jeziorem Wetter z posiadłością Arnas oddawało Folkungom we władanie całą północną część Zachodniej Gocji, tę jej część na południe od Tiveden, przez którą mógłby przebiegać szlak handlowy łączący cztery krainy. Najślabszym ogniwem łańcucha była okolica Kinnekulle, w sąsiedztwie ziem Algo ta. Wiele znaczyłoby przejęcie tej okolicy oraz brzegu jeziora Wener na południe od niej. Gdyby wynikła sytuacja sprzyjająca takiej

transakcji, Algot znalazłby się w opresji, pewno więc udałoby się go przekonać, że powinien by uczynić z owych ziem wiano, dwa razy większe niż kazał zwyczaj.

Przeprowadzenie tego za życia Karola Sverkerssona było jednak nieprawdopodobne. Algot okazałby się natomiast skory do transakcji, jeśliby Karol Sverkersson opuścił ziemski padół tak szybko, jak odpowiadałoby to Knu-towi Erikssonowi.

Właśnie tak przedstawiała się sytuacja. Niczego nie można było uczynić, póki król Karol czuł się bezpieczny na swoim zamku na jeziorze Wetter. Gdyby zaś zszedł z tego świata, ową sprawę ważną dla Arnas udałoby się szybko przeprowadzić.

Eskil dostrzegł w tej kalkulacji tylko jeden słaby punkt. Otóż mogło być tak, iż Birger Brosa i rada rodu powzięłyby inne plany. Wszak zdarzyło się to już wtedy, gdy jego ojciec, Magnus, sam zamierzał poślubić Cecylię albo Katarzynę, z tą właśnie intencją, o której teraz rozmawiali. A małżonką Magnusa została Eryka Joarsdotter, ponieważ rodowy *ting* uznał ten ożenek za korzystniejszy.

Wszakże Magnus stwierdził, że o żadnych planach tego rodzaju nie słyszał. Połączenie się z Erykidami dzięki poślubieniu Eryki było dobrą decyzją. Knut miał wprowadzić siostrę, Margaretę, wydano ją jednak wcześniej za Sverrego, króla Norwegii.

Więź z norweską dynastią była całkiem mocna, gdyż brat Magnusa, Birger Brosa, poślubił Brygidę, córkę króla Haralda Gille, który panował w Norwegii. Nie, w owym momencie Magnus nie sądził, by jakikolwiek ożenek mógł dla Arnas i dla całego rodu znaczyć więcej niż poślubienie Katarzyny albo Cecylii - obojętnie której. Choć Arn twierdził, że Cecylia jest dlań wszystkim i żadnej innej w swoim życiu nie widzi.

Pozostawało do ustalenia, kto miałby oznajmić Arnowi, co uzgodniono. Wniosek był prosty. Nie dojdzie do zaręczyn, póki żyje król Karol.

Same słowa wydawały się co prawda proste, ale trudno je było wypowiedzieć wobec młodszego syna czy brata dotkniętego gorączką albo szaleństwem, które zwał miłością.

Wypadałoby Magnusowi oznajmić, co uzgodnili, ponieważ on był ojcem i do niego słusznie należały wszelakie decyzje o ślubach. Mógł to też oznajmić Eskil, gdyż jako brat nie miał prawa decydowania, nie uległby więc perswazjom, a tylko wyjaśniłby sytuację. Magnus i Eskil przez dłuższą chwilę

rozważali tę delikatną kwestię, aż wreszcie postanowili, że Eskil powie, jak się sprawa przedstawia.

\*\*\*

Na tydzień przed dniem świętego Tyburcjusza, kiedy lody jeszcze zalegały, ale już zaczęły ciemnieć, bez zapowiedzi przybył Knut Eriksson do Arnas. Jechał tam szybko, a jego jedynymi towarzyszami podróży byli Geir Erlendsen, bard Orm Rógnvaldsen i Berse Mocny. Objeźdździ oni wcześniej Zachodnią Gocję, gdzie bard był zasłużenie dobrze wynagradzany, do Arnas zaś przybyli prosto ze Skary, miasta, w którym Knut miał wiele par uszu i oczu, i w którym uzyskali nader użyteczne wiadomości, opłaciwszy kogoś, kto dopiero co opuścił wyspę Vising i służbę u Karola Sverkerssona.

O celu swej wizyty powiedział Knut tylko tyle, że zależało mu na spotkaniu z Arnem, którego zastał w smętnym nastroju wśród niewolnych sług, i to w kuchni, miejscu - zdaniem Knuta Erikssona - niezbyt stosownym dla kogoś takiego jak Arn.

Wprowadził on Arna w zakłopotanie, bo wkrótce po przyjeździe zapragnął zmierzyć się z nim w strzelaniu z łuku, ustawiono więc na podzamczu cel w postaci związanych razem snopów. Arn nie'chciał odmawiać, ale owe zawody nie sprawiły mu żadnej radości. Umieścili cel w odległości czterdziestu kroków, w odczuciu Arna nadmiernej dla Knuta, ten jednak obstawał przy niej. Każdy wybrał sobie łuk spośród tych najlepszych, najsolidniejszych, po czym wszyscy domownicy przyszli zobaczyć, co się stanie, wiedzieli wszak, iż to, być może, następny król owego kraju zmierzy się w strzelaniu z jednym z synów dziedzica Arnas, i nikt nie chciał się znaleźć poza gronem naocznych świadków.

Kiedy stanęli z przygotowanymi łukami obok siebie i po Arnie wciąż nie było widać zapału do tych zawodów, Knut uchwycił Arna obiema rękami, objął go i wypowiedział to, co sobie wcześniej starannie obmyślił.

- Teraz, mój najdroższy przyjacielu z dziecinnych lat, będziesz strzelać tak, by pokonać swego króla, i nic inaczej, jak gdyby od tych strzał zależało wszystko inne. Pomyśl, że strzelasz ze względu na Cecylię, tak, wiem wszystko o niej i o tobie. Pomyśl sobie, że jestem twoim królem i mogę cię nią obdarzyć, jeśli mię pokonasz. Popatrz, będę teraz strzelać jako pierwszy. Na moje słowa nie odpowiadaj, a po prostu sam dobrze strzelaj.

Póki, wstrząśnięty słowami Knuta, Arn zbierał siły, aby wypaść jak najlepiej, oddał Knut swoich dziesięć strzałów i wielu widzów zadziwił, bo nikt się nie domyślał w nim tak dobrego łucznika.

Później strzelał Arn, z chłodem na twarzy i całkowitym wyciszeniem w sobie, jakby faktycznie wszystko zależało od tych strzał. Każdy z widzów dostrzegł zaraz ogromną różnicę między nimi i przewagę Arna.

I teraz Knut znów objął przyjaciela, i oznajmił, że być może Arn zapewnił sobie swymi strzałami poślubienie Cecylii Algotsdotter. Po tych słowach opuścili razem podzamcze i poszli na wieżę, dokąd na prośbę Knuta zanoesiono piwo.

Gdy znaleźli się sam na sam, Knut nie poczekał na piwo, lecz od razu zaczął objaśniać Arnowi całą sytuację. Oto bowiem nadeszła pora rozstrzygnięcia. Knutowi zależało na królewskiej koronie, Arnowi zaś - na Cecylii. Wszędzie w tym kraju miał Knut wielu informatorów, dowiedział się więc wszystkiego, co ważne, i uzyskiwał też takie wiadomości, które niejedynemu uznaliby pewno za mniej istotne, jak tę o Arn i Cecylii.

Arn odpowiedział markotnie, że potrafi zrozumieć znaczenie różnych wiadomości dla pretendenta do koron królewskich, lecz nie pojął, czemu służyło niedawne zabawianie się łukiem. Na cóż zawody, które narażały przyszłego króla na wielkie niebezpieczeństwo przegranej i niesławę kogoś, kto został pokonany?

W tej właśnie chwili służba przyniosła piwo i Knut uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy nastąpiła ta przerwa, przekonany, iż zrozumiał zniecierpliwienie i zdziwienie Arna. Wpierw, jak kazał zwyczaj, przepili dwornie do siebie i Knut dostrzegł w oczach Arna niecierpliwość człowieka, który oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi. Mimo to nie udzielił jej, zaczął natomiast wspominać ojca, świętego Eryka, dobrego wobec wszystkich, niepragnącego żadnych korzyści dla siebie, człowieka przedkładającego włosienicę i długie modły nad życie dworskie, skorego do pomagania słabym i występowania przeciw mocarnym, człowieka, który zmarł w opinii świętości z rąk łotrów. Knut miał co dodać do wiadomości zasłyszanych pewno wcześniej przez Arna.

Ojcem Eryka Jedvardssona był Jedvard z Orkney, uczestnik wyprawy Sigurda Jorsalofara do Ziemi Świętej, tam wielce przydatny norweskiemu królowi. Wdzięczny za chrześcijańską pomoc, król Sigurd obdarzył Jedvarda z Orkney dwoma niewielkimi fragmentami Krzyża Świętego, na którym zginął w

męcę nasz Zbawiciel. Wszak król Sigurd otrzymał ongiś większy fragment owego świętego drzewca od króla Baldwina *de l'oultre-mer*, czyli władcy Królestwa Jerozolimy.

Knut przerwał swą opowieść i spytał, czy Arn słyszał o *oultre-mer*, a radosny śmiech Arna oraz skwapliwe skinienie głową zaraz wyjaśniły, że istotnie słyszał.

I oczywiście owe odłamki z Krzyża Świętego odziedziczył ojciec Knuta, Eryk Jedvardsson, ten zaś kazał je umieścić w złotym krzyżu, który zawsze nosił na szyi. Gdy Emund Jednoręki uciął mu głowę, święta relikwia upadła na ziemię i ktoś przebiegły zaniósł ją człowiekowi, który był inspiratorem morderstwa, a teraz mienił się królem - Karolowi Sverkerssonowi. Okazał się on więc nie tylko królobójcą, ale również łotrem, który przywłaszczył sobie Bożą relikwię. Złoty Krzyż z umieszczonymi wewnątrz odłami krzyża Zbawiciela nosił teraz na szyi Karol Sverkersson i wciąż pewno raziło to Boga - czyż można było wątpić, że tak jest?

Arn nie omieszkął przyznać, iż nie mogło to być miłe Bogu, i stwierdził, że należałoby dołożyć wszelkich starań, by naprawić błąd.

Po tych słowach Knut Eriksson uśmiechnął się do Arna i spokojnie powtórzył, iż nadeszła właściwa pora. Aby jednak dotrzeć tam, gdzie znajduje się Boża relikwia, trzeba mieć przy sobie kilku ludzi odpornych na zimno i znających się na nawigacji, a prócz tego umięjących dobrze strzelać z łuku i lepiej niż wszyscy inni bronić się mieczem.

- Właśnie dlatego odbyli zawody- dopowiedział Knut. Bywa wszak, iż ktoś strzela dobrze w czasie zawodów, a wcale nie tak dobrze, gdy trzeba walczyć, czując gniew i strach. Podobnie było z Arnem, który strzelał i myślał o Cecylii, sprostał jednak próbie.

- To, co konieczne, winno nastąpić teraz i ani chwili później - wyjaśniał dalej Knut, który jakby stawiał prawdziwe pytanie, bo mówił z pewnym wahaniem i zapewnieniem, że jeśli zostanie królem, to jako pierwszy pobłogosławi małżeński związek Arna i Cecylii, zapytał, czy Arn zechce być jednym z zaledwie ośmiu templariuszy owej podróży.

Już po raz trzeci ktoś powiedział Arnowi, że nie poślubi on Cecylii, póki żyje Karol Sverkersson. Gdy słyszał to pierwszy i drugi raz, miał pewne wątpliwości, a teraz wyzbył się ich.

\* \* \*

Kiedy przybyli do Forsvik, nad jezioro Wetter, zobaczyli, że Eyvind Jonsson, Jon Mickelsen oraz Egil Olafsen *ulateig* zbudowali niewielki, ale bardzo piękny okręt o szerokim dziobie i małym zanurzeniu, który mógł popłynąć z trzema parami wioseł. Członkowie norweskiej drużyny przeprosili za to, że nie zdążyli ozdobić okrętu runami, które powinny stanowić uwieńczenie ich pracy, i wyjaśnili, iż pierwszą potrzebą była żeglowność, tym większa, że wkrótce miały ruszyć lody. Ów niewielki okręt, zbudowany na wzór norweskich długich łodzi, osiągał większą prędkość w żegludze niż inne okręty w tamtych czasach, zwłaszcza te znane w Zachodniej Gocji, wiosłowanie odbywało się sprawniej aniżeli na każdym innym okręcie, szczególnie, gdy dzierżyli wiosła Norwegowie, i łatwo było przenosić ten okręt po lodzie. Jego widok bardzo ucieszył Knuta, który objaśnił wszystko Arnowi, ten bowiem miał najmniej w rodzie do czynienia z Norwegią.

Po trzech godzinach oczekiwania nadszedł czas wyruszenia w drogę. Przedtem odbyła się msza, którą Ara, gwoli skuteczności, celebrował w języku liturgicznym. Gdy dobiegła ona końca, Knut Eriksson przemówił do wszystkich i przypomniał o tym, iż nastąpiła pora rozstrzygnięć. Ich siłą mogła być niewielka liczba osób: zaledwie ośmiu dzielnych mężczyzn, którzy przepłyną Wetter, choć nikt nie uwierzyłby w taką możliwość. Po przeciwnej stronie, na południowym cyplu wyspy Vising, rezyduje królobójca, Karol Sverkersson, ze swą drużyną i myśli, że jest bezpieczny. Wszakże Bóg nie wspomógł człowieka, który dla własnej korzyści zamordował świętego. Gdy zostanie osiągnięte to, co jest teraz osiągalne, każdego spotka nagroda wedle zasług.

Więcej słów nie padło. Konie ściągnęły okręt z przybrzeżnego przerebła, w którym stał, aby w tej wodzie nabrzmiały i uszczelniły się deski pokładu. Powstrzymano konie i rozprężono je, po czym każdy mężczyzna uchwycił koniec liny, żeby - pewno z wysiłkiem - sprowadzić okręt na jezioro. Ale dzięki szerokiemu dziobowi łatwo było ciągnąć go po lodzie i tych ośmiu wystarczyło.

Kiedy mieli za sobą pół dnia pracy, dotarli do szczeliny w lodzie, która wiodła ku środkowi jeziora Wetter, i w oddali ukazała im się już wyspa Vising. Jak zwykle o tej porze roku, wiatr był zachodni, mogli więc wkrótce podnieść żagiel. Szczelina rozszerzyła się w miarę ich żeglugi w kierunku południowym. O zmierzchu zauważyli, że południowy cypel wyspy Vising, do którego zmierzali, był otoczony otwartym akwenem, i zrozumieli, iż Bóg stanął po ich stronie. Gdyby przybyli o dzień wcześniej, musieliby pozostawić okręt na lodzie i

ukazałby się on skoro świt. A dzień później łód zniknął z jeziora Wetter i mury wokół królewskiego zamku Nas obsadzono wartownikami, aby zaczęli wypatrywać niebezpieczeństw od strony jeziora.

Na okręcie ściągnięto żagiel, po czym wiosłowano z wolna w kierunku Nas, a do brzegu udało się dotrzeć długo po zmroku. Tam zatrzymali się na czas oczekiwania w zatoczce z gęstą olszyną. Przykryli okręt żaglem i rozpalili ogień w dwóch żelaznych kadziach, po czym posłali na ląd zwiadowców, by sprawdzili, czy ognia nie widać. Lepiej było zapewnić sobie ciepło, bo wiosenne noce bywają jeszcze dokuczliwie zimne w tej północnej krainie.

Knut miał dobry humor, tak jakby wszystko, co trudne, zostało wykonane. Gdy usiadł tuż obok Arna, stwierdził, że jest to ich ostatnia wspólna noc albo też pierwsza noc w długiej podróży.

Później mówił o człowieku, który zamordował jego ojca, a ponadto próbował podstępem, przez nierówny pojedynek, uśmiercić Arnowego ojca, zaraz usłyszał Knut jednak od Arna, że to niepotrzebne słowa. Arn wszystko to wiedział i wiele o tym rozmyślał.

Coś budziło wszakże jego wątpliwości, jak sam wyznał Knutowi. Złożył niegdyś święte przyrzeczenie, iż nie podniesie miecza w gniewie ani dla własnej korzyści, a oto miał wrażenie, że był bliski takiego czynu. Sam przecież zyskałby wiele na śmierci Karola Sverkerssona. Arn wyznał, że dobrze zrozumiał, iż nie szło tylko o świętą relikwię, która należała się jego przyjacielowi Knutowi, a bezpodstawnie zawisała na szyi Karola Sverkerssona. Arn pojął, że po odzyskaniu krzyża powinna spaść głowa osadzona na tej szyi.

Knut nie uwolnił Arna od męki żadnym swoim słowem, bo przecież Arn wcale nie minął się z prawdą. Zamiast tego zaczął Knut spokojnie i ciepło mówić o Cecylii, wspominał też, iż odczuwałby wielką radość, jeśliby mógł - jako ich król - przyprowadzić oboje ku sobie w którymkolwiek kościele, a gdyby mieli takie życzenie, to nawet przed oblicze arcybiskupa w Ostra Aros. Te słowa sprawiły, że Arn rozgrzał się i poweselał, mimo chłodu i wilgoci owej wiosennej nocy, opowiedział też zaraz, iż jemu odpowiadałby każdy kościół, byle blisko. Po tej odpowiedzi obaj wybuchnęli śmiechem i w wywołanym przez owo rozbawienie nastroju Knut zaproponował Arnowi wypożyczenie jednego z solidnych norweskich mieczy, na które nie zostały złożone żadne święte śluby.

Potem zaś objaśnił Knutowi, już ciszej, co się wydarzy. W Skarze udało się uzyskać odpłatnie wiele wiadomości, a najważniejsze od człowieka, który

niedługo wcześniej porzucił służbę u Karola Sverkerssona, na zamku w Nas. Knut i jego otoczenie dowiedzieli się, że wtedy, gdy zamkowi nic nie zagrażało, jak właśnie o tej porze, kiedy lody nie pękały i nie ruszały jeszcze, Karol Sverkersson rozpoczynał każdy dzień krótkim spacerem na brzeg jeziora, aby się znaleźć w samotności. Nikt nie wiedział oczywiście, dlaczego to czynił, zawsze jednak odbywał tę samą wędrowkę wczesnym rankiem. Zwykł spacerować skoro świt, gdy pierwsze promienie słońca pozwalały zobaczyć, gdzie należało postawić stopę.

Za tę ważną informację człowiek, który zdradził Karola Sverkerssona, został wynagrodzony należycie.

Z Bożą pomocą wszystko powinno się odbyć, ledwo noc dobiegnie końca, była to bowiem ostatnia noc przed otwarciem się jeziora, czyli przed nastaniem pory właściwej do oczekiwania nieprzyjacielskich okrętów w pobliżu siedziby Karola Sverkerssona. Pozostało więc tylko pomodlić się i spróbować zasnąć na jakiś czas.

Wystawiono wartę. Okręt był dobrze ukryty w ciemnościach, bo w przybrzeżnej olszynie.

Arn nie pospał długo w tę chłodną noc i nie spali pewno także inni, choć byli Norwegami i nie wyglądali na zbyt wystraszonych z tego powodu, że następnego dnia mógł się stać ostatnim w ich życiu.

Jednakowoż aż do samego końca i później wszystko potoczyło się tak, jak gdyby Bóg ich wspierał. Arn stał na posterunku z przygotowanym łukiem i zapasem strzał jeszcze w zupełnej ciemności. Gdy zaczęło świtać, poszukał sobie lepszego miejsca nieco dalej. Przy nim stanęli: sam Knut, Jon Mickelsen i Egil Olafsen *ulateig*; wszyscy mieli na sobie grube futra z wilków i po dwie pary onuc - na czas oczekiwania w zimnie. Byli tak blisko królewskiego zamku, że ich strzały łatwo dotarłyby do szczytu murów. Arn miał u swego boku norweski miecz. W tej sytuacji nie chciał stawiać na swoim. Niewiele mówili do siebie nawzajem.

Ledwo jednak otworzyły się ciężkie dębowe drzwi na zamku w Nas, można było pomyśleć, że ich ciała wyzbyły się chłodu i że wręcz zapłonęli z napięcia. Zobaczyli trzech mężczyzn, którzy szli w stronę brzegu tuż obok miejsca ich zwiadu. Arn uczynił taki ruch, jak gdyby zamierzał napiąć łuk, ale został zaraz powstrzymany przez trzech innych mężczyzn. Dostrzegli kogoś, kto wychodził z dwoma mężczyznami po bokach. Widzieli, że tamci ludzie szli w stronę jeziora, i to bardzo blisko miejsca, w którym sami stali.



Słabe światło dnia, który właśnie ledwo się rozpoczął, nie pozwalało wyraźnie zobaczyć kolorów. Gdy jednak tamci trzej ludzie z zamku przeszli obok w odległości kilku kroków, okazało się, że ten, który szedł na przedzie, miał na sobie czerwony płaszcz, a na jego szyi lśnił złoty krzyż.

Knut Eriksson uniósł rękę w ostrzegającym geście, aby nikt go nie uprzedził żadnym własnym czynem, zresztą wszyscy zrozumieli, że minął ich król.

Karol Sverkersson doszedł na sam brzeg jeziora Wetter. Tam zatrzymał się, pochylił i nabrał wody w garść, po czym wypił ją i zaraz padł na kolana, żeby podziękować za to, iż właśnie ta woda w kolejną noc ocaliła mu życie.

Ziemia nie była zmarznięta. Dlatego też, skoro tylko tamci, co poszli nad jezioro, padli na klęczki, Knut Eriksson mógł przejść naprzód, nie będąc słyszonym. Nie zwlekał z odrąbaniem królewskiej głowy i tak samo rozprawił się z jednym zbrojnym. Drugiego nie uśmiercił. Przyłożył miecz do jego szyi i skinął na Egila i Jona, żeby od razu podeszli, co też uczynili natychmiast, szeptem poprosiwszy Arna, by pozostał na miejscu.

Ten widział teraz swego najdroższego przyjaciela z dzieciństwa, zajętego zdejmowaniem złotego łańcucha i obmywaniem go z krwi w jeziorze. Gdy Knut uporał się z tym, ruszył szybkim krokiem w stronę Arna, ale przedtem szepnął coś swym norweskim zbrojnym, po czym ci zabrali ze sobą tamtego, który ocalał, zatykając mu usta swoimi rękami.

Zepchnęli okręt z mielizny i weszli na pokład. Norwegowie zasiedli do wiosła, a Knut stanął na rufie, przy wiosle sterowniczym, jedną ręką trzymając więźnia, w drugiej zaś dzierżąc złoty łańcuch z Bożą relikwią. Gdy przygotowania do rejsu zakończyły się, wypuścił jeńca z rąk i głośno do niego przemówił:

- Oznajmiam ci teraz, więźniu, żeś wolny. Otrzymałeś dar żywota i wiedz, kto prócz Boga darował ci żywot. Jam jest Knut Eriksson, od tej chwili twój król. Pójdź na mszę ku czci świętego Tyburcjusza i podziękuj Bogu za ocalenie, On bowiem, który jest twym zbawcą, przyprowadził nas tutaj. I pośpiesz się, iżby nikt nie pomyślał, żeś ty zabił Karola Sverkerssona!

Przy tych słowach Knut gestem nakazał wiosłarzom niezbędny wysiłek, po czym kolejne mocne uderzenia wiosła wyprowadziły okręt za środek jeziora, poza zasięg strzał puszcanych z łuku, a tymczasem jeńiec, pchnięty przez Knuta Erikssona do wody jak kociątko, pobiegł co sił w nogach w stronę uchylonych dębowych drzwi królewskiego zamku, zbudowanego tak solidnie, że nikt nie zdołałby tam zabić króla.

Wioślarze zaprzestali swego wysiłku, aby poczekać na zbrojnych z drużyny Karola Sverkerssona, którzy przybiegli nad jezioro, dzierżąc kusze i długie łuki. Strzelali daremnie i król Knut, pewien zwycięstwa, trzymał nad głową Bożą relikwię.

Jego ludzie wzięli potem kurs pod wiatr, na Forsvik. W Zachodniej Go-cji nie było nikogo, kto mógłby dorównać norweskim krewnym króla Knuta w wiosłowaniu pod wiatr i dopędzić ich.

\* \* \*

W tydzień po Filipie i Jakubie, kiedy całe bydło trafiło już na pastwiska i naprawiono płoty, późna wiosna przemieniła się nagle w lato. Długo wiał ciepły wiatr od południa, po czym raptownie ukazała się delikatna zieleń, a pośród dębów na stokach Kinnekulle powstał biały kobierzec gęsto rosnących zawiłców. Na zachodzie po raz pierwszy odezwała się kukułka.

Tym razem Arn zajechał do Husaby w pojedynkę i bez pośpiechu. Można by sądzić, że chciał odwlec miłą mu mękę, skoro już wiedział, iż Cecylia będzie należeć do niego. Miał też niejedno do przemyślenia, bo ostatnimi czasy wiele czynił w służbie Knuta Erikssona. Było sporo różnych zdarzeń i Arn nie zawsze pojmował intencje Knuta.

Gdy po fortunnej wyprawie Knuta na wyspę Vising powrócili do Forsvik, mogli wpłynąć prosto do portu, bo wystarczył jeden dzień, by całkiem ustąpił lód. Knut posłał zaraz wici do Arnas, do Magnusa Folkessona, od niego zaś miał je otrzymać Joar Jedvardsson, pan na Eriksbergu. O tym, co się wydarzyło, należało przede wszystkim zawiadomić swoich krewnych, wkrótce bowiem trzeba było stworzyć armię dla prowadzenia wojny.

Arn zaproponował siebie jako tego, który mógłby najprędzej przekazać wici. Ale usłyszał od Knuta, że ma wesprzeć króla w pewnych ważnych sprawach i że do Cecylii będzie mógł się wybrać, gdy zostanie wykonane to, co trzeba zrobić w pierwszej kolejności.

Nade wszystko musiał Knut w towarzystwie Arna jeszcze raz przebyć jezioro Wetter, razem z końmi i drużyną, aby dotrzeć do Bjalbo i wtajemniczyć Birgera Brosę w to, co się stało. Nie było jednego dnia do stracenia, gdyż niewiedza mogła równać się śmierci, należało bowiem przed wrogim atakiem zebrać wszystkich krewnych. A poza tym byłoby lepiej, gdyby Birger Brosa dowiedział się o owym wydarzeniu od kogoś ze swego rodu, i to świadka śmierci tamtego łotra z wyspy Vising. Zdaniem Knuta, tak samo trzeba było rozumieć

spotkanie z drugą ważną osobistością, arcybiskupem Stephane'em z Ostra Aros. Zależało Knutowi na pozyskaniu Birgera Brosy i arcybiskupa dla swej sprawy, a przecież wiele łączyło Arna z nimi oboma. Arn nie mógł odmówić.

Kiedy wjechali konno do Bjalbo, zostali przyjęci przez Birgera Brosę jako młodzieńcy przybywający z wizytą do krewnych i usłyszeli jego przeprosiny z tego powodu, że nazajutrz wypadało mu ich opuścić, bo musiał załatwić coś ważnego w Linkóping. A gdy na prośbę Knuta znaleźli się sam na sam i Birger Brosa dowiedział się o owym wydarzeniu, ten nie wspomniał już, iż zamierzał wyruszyć z domu w urzędowej sprawie. Od tej pory nikt spośród mieszkańców Bjalbo nie zaglądał do Linkóping przez dłuższy czas, ponieważ w tym mieście rezydował Karol Sverkersson, po nim zaś Bolesław i Kol.

Birger Brosa zamilkł zupełnie i zamyślił się, wcale nie pokazując po sobie, w którym kierunku podążyły jego myśli. Oto Folkungowie stanęli jak jeden mąż po stronie Knuta Erikssona w jego walce o odzyskanie królewskiej korony, którą nosił ojciec. Innej możliwości nie było. Należało się zjednoczyć przeciw Sverkerydom i ich duńskim zwolennikom, należało zademonstrować własną siłę, nie zaś chwiejność, należało też roztropnie wykorzystać to, iż zyskało się na czasie, oraz posiadaną wiedzę.

Obłodzenie jeziora Wetter w przeddzień śmierci Karola Sverkerssona pozwalało sądzić, że wieść o tym nieprędko rozejdzie się na stałym lądzie. Birger Brosa uznał, iż sam powinien zrobić użytek ze swej wiedzy we Wschodniej Gocji, i zaproponował, by Knut też zaczął szybko działać z podobną intencją i udał się do Ostra Aros, gdzie być może przeciągnąłby arcybiskupa Stephane'a na swoją stronę, i spróbowałby ponadto zwołać *ting* Swewów u kamieni Mory, na którym wybraliby nowego króla. Wszystko to powinno by nastąpić w krótkim czasie, z dalszego goszczenia się i wypoczynku należało więc zrezygnować. I słowa Birgera Brosy spełniły się.

Nawet Knut Eriksson rychło przystał na propozycję Birgera, wiedział wszak doskonale, iż właśnie Birger Brosa naj roztropniej rozstrzygał wszelkie kwestie, które miały związek z walką o władzę. Gdy jednak nadeszła pora przygotowań do odjazdu, Knut wystąpił z żądaniem, które Arnowi trudno było zrozumieć. Poprosił, by z zasobów Bjalbo wydano im tarcze Folkungów, błękitne płaszcze i proporce na kopie, i by przydzielono też kilku zbrojnych. Birger Brosa skinął od razu głową, rozważywszy to szybko, i dał owym skinieniem poznać po sobie, że dobrze rozumiał, co kryło się za żądaniem Knuta Eriks sona, które Arnowi

zdało się i zbyt blahym, żeby tracić czas na spełnienie go, i przesadnym. Wszakże ostatnimi czasy przekonał się Arn, iż tok myśli Knuta i Birgera często był całkiem inny niż jego własny, iż myśli tamtych wędrowały drogami, do których on bynajmniej nie zdążył przywyknąć.

W Ostra Aros spotkała Knuta Erikssona najpierw odmowa, kiedy, przybywszy z Arnem do rezydencji arcybiskupa Stephane'a, poprosił o posłuchanie. Jak powiadano, arcybiskup zirytował się i stwierdził ponoć, iż Knut przybył po prostu z zamiarem intrygowania.

Dowiedziawszy się o tym, że Knut pojawił się w asyście Arna Magnussona, arcybiskup nie omieszkał zmienić decyzji, zaraz też przyjął obu i w mrocznym arcybiskupim skryptorium Arn padł na klęczki, ledwo zobaczył metropolitę Stephane'a, i ucałował jego dłoń, Knut zaś nie był pewien, czy powinien się zachować tak samo. Ku niezadowoleniu Knuta, rozmowa arcybiskupa z Arnem toczyła się w języku liturgii, co sprawiło, że sam Knut stał się osobą najmniej ważną spośród nich trzech i kilka razy gotów był zganić Arna za słowa wypowiedziane przez arcybiskupa.

To, co arcybiskup Stephane miał do powiedzenia Knutowi Erikssonowi, było oczywiste i łatwe do zrozumienia, choć niezbyt przyjemne. Kościół nie mógł i nie chciał zajmować stanowiska wobec walki, która musiała rozgorzeć. Jako arcybiskup, Stephane troszczył się o królestwo Boże, nie zaś o ziemskie walki między pretendentami do królewskich koron, toteż nie mogło być mowy o opowiedzeniu się za Knutem czy braćmi Karola Sverkerssona, czy kimkolwiek innym, kto w swoim czasie nadciągnąłby z południa. Władza świecka to jedno, a władza Boga to co innego.

Knut Eriksson umiał zapanować nad sobą, gdy pojął, że niczego więcej w tej materii nie wskóra, poprosił jednak Arna, by ten w imieniu ich obu wyraził wobec arcybiskupa życzenie otrzymania komunii świętej z jego rąk podczas mszy przewidzianej na następny dzień. Arn nie dopatrywał się żadnych złych intencji w owej prośbie i pewno użył nawet perswazji, kiedy przedstawiał arcybiskupowi propozycję Knuta. Propozycja została przyjęta, chociaż arcybiskup Stephane domyślił się, że Knutowi chodziło nie tylko o eucharystię, ale miał też jakieś inne zamiary. Niewykluczone, że metropolita uznał ów gest za dobry, bo przyjazny sposób na zatarcie różnicy zdań między nim samym a człowiekiem, który mógł zostać następnym władcą królestwa. Kościół nie powinien co prawda ingerować w walkę o królewską władzę, niechże jednak pozostaje z nią na przyjaznej stopie.

Ledwo Knut i Arn stosownie pożegnali się z arcybiskupem, okazał Knut Eriksson wielką energię i zapał, stwierdził bowiem, iż jeszcze wiele można będzie zyskać, a gdy powrócili do tych, co na nich czekali, zresztą nadal w podróżnym odzieniu, bez rodowego błękitu, Knut polecił owym ludziom, by to i owo rozgłosili w mieście.

Na mszę pojechali Knut i Arn nazajutrz na czele zbrojnych, którzy tym razem puszyli się błękitem proporców na kopiach i błękitem płaszczy. Knut i Arn byli ponadto w pełni uzbrojeni i mieli przy sobie tarcze z lwem i trzema koronami, czyli z herbem Folkungów.

Rozgłoszone wieści sprowadziły na tę mszę tak wielki tłum, że większości ludzi wypadło czekać przed kościołem, bo wewnątrz zabrakło miejsca. Knut i Arn zsiadli z koni tuż przy schodach, które wiodły do kościoła, wtedy też zatrzymała się ich drużyna, aby przejąć konie.

Do świątyni weszli ci dwaj obok siebie i wszyscy z szacunkiem usuwali się im z drogi. W zbrojowni Knut, jak należało uczynić, odpiął miecz i odstawił go. Arn tego nie uczynił, gdy więc szli między ławkami, zdumiony Knut skomentował to szeptem. W odpowiedzi Arn uśmiechnął się tajemniczo i pokręcił głową. Kiedy zaś znaleźli się przed obliczem arcybiskupa, by przyjąć komunię, zdarzyło się coś, co zdziwiło Knuta Erikssona, a zarazem było pożyteczną nauką, bo oto Arn wyjął tam, w przedniej części świątyni, miecz z pochwy i tym gestem przestraszył zgromadzonych. Po chwili jednak wręczył miecz arcybiskupowi, który przyjął go z szacunkiem, ucałował i skropił wodą święconą, a następnie oddał go Arnowi, który pokłonił się, schował miecz do pochwy i padł na kolana, szeptem podpowiedziawszy Knutowi, iż powinien niezwłocznie uczynić to samo.

Inni wierni odsunęli się, tak więc tylko oni dwaj pozostawali na klęczkach, aby sam arcybiskup udzielił im komunii. Ledwo otrzymali sakrament Boży, wolnym krokiem wyszli obok siebie z kościoła, rezygnując z dalszego uczestnictwa we mszy.

Gdy Knut i Arn znaleźli się na schodach świątyni, panował już wokół zgiełk, jako że dotarła tam wcześniej wieść o pobłogosławieniu miecza przez arcybiskupa, tyle że nikt nie wiedział, o czyją broń chodziło.

Oto jednak Knut wyjął swój miecz z pochwy i głośno oznajmił, iż nim, mieczem pobłogosławionym przez Boga, uśmiercił łotra, który w tym właśnie miejscu zamordował króla Eryka. Następnie zdjął z szyi złoty łańcuch i uniósł go pod słoneczne światło, dzięki czemu zaśnił krzyż, o nim zaś powiedział

Knut, że jest to Boża relikwia, odebrana przezeń łotrowi zwanemu Karolem Sverkerssonem, i że wielka estyma, jaką darzy Swewów oraz ich *ting*, nie inaczej niż jego ojciec, król Eryk, każe mu zgromadzić szlachtę za pięć dni, prosi więc, by z tą wieścią objeżdżono swewskich sędziów i wodzów.

Kiedy skończył mówić, znów rozpętał się zgiełk, w pierwszej chwili raczej za sprawą drużyny Knuta niż z udziałem innych ludzi, ale już wkrótce dołączyli do niego wszyscy zgromadzeni przed świątynią. Nie mogli wszak uwierzyć, iż sam arcybiskup zajął stanowisko w kwestii wyboru króla w kraju Swewów. Ta pogłoska rozeszła się z prędkością wiatru.

Tegoż dnia, ale później, gdy wrócili pod namioty, Knut posłał po wodę ze źródła świętego Eryka, by osobiście pokropić nią wszystkich, którzy przybywali w tym celu, a ponadto uwolnił Arna od obowiązków wobec króla.

Wziąwszy Arna na stronę, oznajmił, że kilka najbliższych dni okaże się czasem nudnego oczekiwania i trzeba je będzie wypełnić rozprawami z tymi, którzy kolejno się pojawią. A na to, zdaniem Knuta, nie starczyłoby pewno Arnowi cierpliwości. Cóż więc może być piękniejszego, niż bardzo szybka jazda na spotkanie z Cecylią? Ich szczęściu nie chciałby Knut już dłużej stać na przeszkodzie, wszak nie traktuje swych ludzi aż tak surowo.

Po tych słowach Arn objął swojego najlepszego przyjaciela i niebawem się rozstali. Arn odjechał gwoli spełnienia swych marzeń, a Knut pozostał na miejscu gwoli zdobycia władzy.

Jazda ku stokom, które otaczały Husaby, zajęła Arnowi tydzień, dotarł więc tam szybciej, niż potrafiłby tego dokonać ktokolwiek inny na Północy, przynajmniej na skandynawskim koniu. Arn zdążył nawet zajechać do Arnas, żeby opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło, żeby umyć się w domu i przebrać.

I oto docierał wreszcie do celu, dostrzegając Husaby na horyzoncie, zresztą jechał tak wolno i tak ściągając cugle, że Chimal zdawał się tańczyć w swym zniecierpliwieniu. Im bliżej było do Husaby, tym mniej obchodziły Arna wszystkie osobliwe zdarzenia, które miały związek z walką o władzę.

Wcześniej wezwano Algota Palssona do Arnas, aby uzgodnić wielkość posagu, i wyrażono zadowolenie z tego powodu, że rozmowy na ten temat mogły się odbyć pomiędzy Eskilem i Magnusem z jednej strony i Algotem z drugiej strony, i że obeszło się bez udziału w nich Arna.

Jemu samemu było to na rękę z dwóch względów. Po pierwsze, nie obchodziło go wcale, czy w oczach ojców Cecylia i on byli dla siebie nawzajem

dobrymi partiami. Po wtóre, wolał spotkać się z Cecylią i ucieszyć ją tym wszystkim, co miał do powiedzenia, pod nieobecność czujnego ojca czy też jego podejrzliwej drużyny.

Arn miał teraz wrażenie, że wszystko układało się zbyt dobrze, by mogła to być prawda. Niezadługo weźmie ją w ramiona i powie, iż pewno już w dniu świętego Eskila będzie można w Husaby sączyć zaręczynowe piwo.

Magnus i Eskil ustalili między sobą, raczej nie zapytawszy Algota o zdanie, że zaręczyny miałyby się odbyć w Husaby, wesele zaś - w Arnas. Jako ślubny prezent od małżonka przewidziana była posiadłość Forsvik. A posag Cecylii wypadało teraz wymóc na Algocie i to należało do Eskila i Magnusa, brata oraz ojca. Liczyli oni na to, że Algot nie będzie mógł odrzucić ich propozycji.

Sam Arn nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Bo i cóż znaczą dla człowieka jakieś tam lasy czy jeziora wobec największego z Bożych darów?

I jeśli nawet Algot niezbyt zważał na uczucia córki, tak jak Magnus nie traktował poważnie swego młodszego syna, zyskiem Algota z owego ożenku było zachowanie członków jego rodu przy życiu i zachowanie majątności. Arn poznał już wszelkie okoliczności walki o władzę na tyle, żeby to zrozumieć.

To, co niewiele wcześniej, bo wówczas, gdy ostatnio widział Cecylię, wydawało się Arnowi ciemnością, sytuacją beznadziejną, jawiło się teraz jako świetlana przyszłość. Podobnie jak Gunvor i Gunnar, nie przestaną ci dwoje, Arn i Cecylia, dziękować Maryi za to, iż zechciała znowu okazać swą moc i potwierdzić, że najwięcej znaczy miłość.

Gdy Arn dojeżdżał do królewskiego majątku w Husaby, wypatrzyli go niewolnicy, którzy siali rzepę. Jeden z nich pobiegł szybko do domu, żeby zapowiedzieć przybycie Arna. Z tej przyczyny zaczęła się zaraz bieganina i powstało zamieszanie, a kiedy Arn był już całkiem blisko, wszystka służba, zbrojni oraz domownicy ustawili się w dwóch rzędach przed wielkim domem, gdy zaś wjechał pomiędzy nich, rozległy się radosne okrzyki niewolnej służby, brzęk broni członków drużyny oraz narzędzi, które niewolnicy mieli pod ręką.

Cecylia weszła na mostek przed domem i w pierwszej chwili zrobiła kilka kroków, jakby gotowa pobiec naprzeciw Arna, ale zaraz się opanowała, złączyła ręce i poczekała nań, całkiem wyprostowana. Na tenże most weszła niebawem jej babka, Ulrika, i to z miną osoby skorej do wypowiedzenia jakichś surowych słów, gdy jednak dojrzała Arna pomiędzy rzędami niewolników i zbrojnych, zapanowała nad sobą i stanęła, by oczekiwać go w takiej pozie, jaką przyjęła jej wnuczka.

Arn walczył z samym sobą, gdy zsiadł z Chimala, odprowadzonego od razu przez niewolnika, który podbiegł do konia. Twarz Arna pałała, czuł, że się zaczerwienił, jego serce łomotało tak, iż spodziewał się utraty przytomności, i musiał wysilić wolę, aby na oczach tyłu świadków godnie i dwornie podejść do Cecylii, która przecież czekała na niego z takim opanowaniem, skromnie spuściwszy wzrok.

Po chwili jednak ich oczy się spotkały, bo uniosła wzrok. Dworność i powściągliwość poszły w zapomnienie - podbiegli do siebie i objęli się niestosownie dla pary jeszcze niezaręczonej. Znow rozległy się radosne trele niewolników i powstał taki rwetes, że przez dłuższą chwilę nikt nie zostałby usłyszany, gdyby miały paść jakieś słowa.

Niewolna służba w Husaby wiedziała już wszystko o niedawnych wydarzeniach i o tym, czego można było się spodziewać, zresztą niektórzy niewolnicy liczyli na to, że Cecylia zabierze ich ze sobą, gdy odbędzie się wesele. Wszyscy oni uważali, iż tych, co trafiliby do młodego pana Arna i Cecylii, traktowano by lepiej niż gdzie indziej. Chwalili Arna, ale nie za władanie mieczem i łukiem, o czym rozprawiali przy piwie ludzie wolni. Powiadano, iż panicz Arn traktował każdego niewolnika jak człowieka.

Cecylia i Arn nie chcieli się rozłączyć, lecz zmusili się do tego, gdy babka Ulrika zakasłała po raz trzeci. Obie weszły z Arnem do wielkiego domu, aby Arn wypił coś na powitanie i mógł przełamać się chlebem. Wewnątrz babka Ulrika odebrała młodym głos i zaczęła wypytywać o prezent ślubny od małżonka, o posag i miejsce zaręczyn. Arn musiał dołożyć starań, by na jej pytania odpowiedzieć rzetelnie, jakby rzeczywiście miało to dla niego znaczenie, i opisał położenie majątku Forsvik, podał liczbę budynków, określił wielkość głównego domu, wspomniał, ile niewolnej służby zatrudniono, jak też o paru innych rzeczach, których właściwie nie był całkiem pewien. Dopiero po tych wyjaśnieniach zaczęła Ulrika pytać o sprawy, które Arnowi wydawały się ważniejsze, takie jak postawa Folkungów ze Wschodniej Gocji, chciała też wiedzieć, czy Swewowie odbyli *ring*. Arn uspokoił ją zapewnieniem, że Folkungowie z obu Gocji zjednoczyli się z Erykidami, i dodał, iż *ting* Swewów wybrał już chyba Knuta Erikssona na króla, bo takie wieści w sposób niepozostawiający wątpliwości przekazywali mu wszyscy, których spotykał, jadąc z Ostra Aros przez kraj Swewów. Eryk Jedvardsson był królem wielce miłowanym w kraju Swewów, czego, zdaniem Arna, nie można by powiedzieć o Karolu Sverkerssonie, a tegoż bracia, Kol i Bolesław, nie dali się poznać Swewom i bynajmniej ich nie ob-



chodzili. Zapewne więc Knut Eriksson został już królem Swewów i latem przybędzie do Zachodniej Gocji na *landsting*, aby i tam doczekać się wyboru na króla.

Wszystkie te dobre nowiny ucieszyły panią Ulrikę, która miała świadomość, że udreńczyła oboje młodych, bo zmusiła Arna do mówienia o rzeczach niewątpliwie ważniejszych niż ich zawroty głowy i żarliwe uczucia, a zarazem takich, do których oni w tej chwili nie przywiązywali należytej wagi. I pani Ulrika zaskoczyła oboje, umyślnie wspomniała bowiem o tym, że przy tej pięknej pogodzie nie naraziliby się na żadne niebezpieczeństwo, jeśliby odbyli przejażdżkę na szczyt Kinnekulle. Po tych słowach Cecylia zerwała się z miejsca i wyściskała babkę Ulrikę, dotąd niewiastę ponurą i surową.

Niezadługo osiodłano i założono uzdę poczciwej klaczy, której miała dosiąść Cecylia, ubrana do tej jazdy w obszerny i ciepły płaszcz w zielonym kolorze, sięgający od szyi po kostki. Zarzuciwszy wyuczonym ruchem płaszcz na jedno ramię, Cecylia usadowiła się zwinnie na koniu, zanim Arn czy też ktoś spośród niewolnej służby zdążył jej pomóc. A kiedy Arn przyjmował od jednej z niewolnic skórzaną torbę z chlebem, wieprzowiną i drewnianymi kubkami, według życzliwych słów niewolnicy, wypowiedzianych z nieskromnym śmiechem, przygotowaną na wypadek przedłużenia się przejażdżki, Cecylia po nagliła swą klacz i pogalopowała przed siebie. Oddaliwszy się trochę i obróciwszy w siodle, krzyknęła do Arna, że powinien spróbować ją doścignąć. Wtedy Arn odrzucił głowę do tyłu i na cały głos roześmiał się ze szczęścia, serdecznym gestem poklepał Chimala po szyi i zażartował, że oto czekało ich obu polowanie, które nie mogło się nie udać. Po chwili, ku zdziwieniu tych, co stali dookoła, jednym skokiem znalazł się w siodle i ruszył. Z początku jednak powściągał galop Chimala, aby nie nazbyt szybko doścignąć rozwiany zielony płaszcz i rude włosy, które widział w oddali, a przecież tuż, tuż.

Kiedy z królewskiego majątku w Husaby nie było ich już widać, Arn popędził Chimala. Z prędkością wiatru doścignął Cecylię i przejechał obok niej, po czym obrócił Chimala i pędem ruszył w stronę Cecylii, w ostatnim momencie ją wyminął i szybko potem krążył wokół niej, uradowany jej wesołym śmiechem, który go ośmielił i rychło skłonił do zbytnej swobody. Stał w siodle, zaczął rękoma balansować w powietrzu i znów pędem przejechał obok niej, ona zaś, pełna podziwu dla tych popisów, musiała powściągnąć swego konia, a kiedy Arn ze śmiechem odwrócił się w jej stronę, dumnie trzy mając ręce po bo-

kach, nie dostrzegł grubej gałęzi dębu, która zrzuciła go na ziemię niczym rękawiczkę.

Wyglądało to na paskudny wypadek, bo Arn leżał bez ruchu. Ogromnie zaniepokojona Cecylia zatrzymała konia, zsiadła i rzuciła się ku Arnowi i w swej rozpaczyc zaczęła głaskać go po twarzy, w której nie było życia. Niebawem otworzył on jednak najpierw jedno, potem drugie oko, objął ją ze śmiechem i turlali się już razem w zawilcach, przy czym Cecylia z udaną złością wyrzuciła mu to, że ją tak nastraszył.

Nagle zamilkli, usiedli i długo pozostawali objęci, nie odzywając się do siebie, jakby brakowało słów, a możliwy był tylko śpiew ptaków.

Siedzieli tak, póki wygięcie ciał nie zaczęło ich męczyć. Cecylia uwolniła się jako pierwsza i opadła na trawę, Arn zaś położył się przy niej, pogłaskał ją po twarzy i po krótkiej walce z własnym wstydem pocałował ją ostrożnie, najpierw w czoło, a potem w policzki i usta. Ona odpowiedziała zaraz na jego pocałunki i początkowe onieśmienie obojga jakby przeminęło z letnim wiatrem.

Do królewskiego majątku w Husaby powrócili późno.

W otchłań nieszczęścia wpędziła oboje dobroć Cecylii. Ktoś mógłby zaprzeczyć i stwierdzić, iż jednak Pan Bóg decyduje o wszystkim dobrym i złym, co miałyby się wydarzyć, a w szczęściu czy też nieszczęściu dopada człowieka zaślepienie, tak jak dopada go śmierć, gdy Norna\* w jednej chwili odcina nić jego żywota.

Takie pojmowanie Chrystusowej nauki występowało w Zachodniej Go-cji dość często, ale cystersi i sam Arn dopatrywali się w owej wierze po prostu przeżytków dawnego pogaństwa i uznawali ją za niemal bluźnierczą, bo pozbawiającą znaczenia i ludzką dobroć, i niegodziwość, grzechy ludzi oraz ich dobre uczynki, ich błędy i roztropne działanie, jak też miłość ludzi do Boga. Każdy mąż i każda niewiasta w niemałej mierze przesądza o własnym żywocie dzięki wolnej woli oraz dzięki swej miłości do Boga. Toteż właśnie dobroć Cecylii stała się główną przyczyną ich nieszczęścia, co Arn wyjaśnił nie bez goryczy. Aby to rychło pojąć, wystarczyło bodaj przez chwilę czynić porównania między nią a

\* Norna - w mitologii skandynawskiej: bogini losu (przyp. tłum.).

jej siostrą Katarzyną. Zresztą obie siostry od samego początku miały swój udział w tym, że wszystko się rozstrzygnęło tak, a nie inaczej.

Szczęście Cecylii unieszczęśliwiało Katarzynę. W jej rozumieniu była skazana na los szczęścia, skoro czekało ją uwięzienie w znieawidzonych murach klasztoru Gudhem, do którego Cecylia nie miała już powrócić w celu kontynuowania nauki służącej rozwojowi duchowemu i doskonaleniu w robotach ręcznych. Rozzalenie Katarzyny wzmogło się na wieść o ogromnym posagu, na który AJgot musiał się zdobyć, aby wydać córkę za jednego z Folkungów. Trudno było Katarzynie uwierzyć w to, iż ojciec wydałby potem również ją za męża, obawiała się więc, że na zawsze pozostanie uwięziona w klasztorze i uschnie tam jako jedna z wielu starych panien.

Tymczasem Cecylia i Arn zdążyli się dopiero zaręczyć, nie z własnej woli, a za sprawą walki o władzę. Wbrew przewidywaniom Knuta Erikssona, nakłonienie Swewów do tego, by wybrali go na króla u kamieni Mory, okazało się dość trudnym zadaniem. Gdy to wreszcie osiągnął, musiał jeszcze bardziej opóźnić zamierzony przyjazd do Zachodniej Gocji, na *landsting*, a to dlatego, że Bolesław wysłał przeciw niemu wojska, wypadło mu tedy przekonać Swewów, iż ich pierwszą przysługą wobec nowego króla powinno być ruszenie do boju.

Wszakże Bolesław nie zgromadził wystarczających sił, uważał bowiem, że nie sprzyjała temu pora roku, i zbytnio zwlekał. Mając przy sobie oddziały złożone z członków swego rodu oraz Duńczyków, pociągnął on w kierunku Bjalbo i tam został szybko pobity przez Knuta Erikssona i jego Swewów oraz przez Birgera Brose z wschodniogockimi Folkungami. Tak oto wszystko potoczyło się, jak dotąd, po myśli Knuta, tyle że wymagało to czasu i minęła już połowa lata.

Pan na Arnas, Magnus Folkesson, uparł się jednak, iż przy weselnym stole znajdzie się król, i dlatego chciał poczekać do czasu jednogłośniego zapewne wyboru Knuta na króla przez *landsting* szlachty zachodniogockiej.

Wynikało z tego, że jadąc do Gudhem, Arn i Cecylia mogli już być zaślubieni sobie wobec Boga. A byli dopiero narzeczonymi. To, iż Cecylia nosiła pod sercem dziecię Arna, musiało jednak wkrótce stać się widocznym.

Zaniepokojony Arn zasięgnął języka u Eskila, który dobrze wszak poznał miejscowe prawo świeckie i ze śmiechem wyjaśnił, iż wedle prawa Arn musiałby zapłacić odszkodowanie, mianowicie sześć marek w srebrze, jeśliby ojciec

Cecylii istotnie chciał zrobić z całej tej historii użytek i o pohańbieniu domu zawiadomić *ting*. Tę możliwość Eskil wykluczył, stwierdził bowiem, że Algot znalazł się w sytuacji, która raczej nie pozwalała mu na hałaśliwe upominanie się o drobne sumy. A żadne gorsze następstwa nie wchodziły w rachubę.

Cecylia, powodowana siostrzaną miłością, chciała się spotkać z Katarzyną, żeby ją trochę pocieszyć, jeśli to było możliwe. Przekonana, że dobrze poznała swą siostrę, potrafiła Cecylia wyobrazić sobie, jakie męki cierpiała Katarzyna w murach Gudhem.

Czas pokazał, że jednak nie znała dobrze siostry. Gdyby rzeczywiście była świadoma charakteru Katarzyny, nigdy nie wybrałaby się do Gudhem, żeby ją pocieszać.

Kiedy siostry spotkały się w klasztorным ogrodzie, Cecylia bardzo się starała nie paplać bez końca o własnym szczęściu i, gwoli pocieszenia Katarzyny, zapowiedziała, że raczej po weselu porozmawia z ojcem, który pewno wysłucha jej słów z większą powagą, skoro będzie należeć do rodu Folkun-gów. Niechybnie znajdzie coś, czym zdoła przemówić Algotowi do rozsądku, na przykład tak oczywisty argument, że potrzeba sporo srebra i wypada się wyzbywać dębowych lasów, aby utrzymać córkę w klasztorze, a to skąpego Algota powinno przekonać. Co gorsza, srebro idzie na marne, skoro córka bynajmniej nie docenia osobliwego dowodu ojcowskiej miłości. Ta prawda sprawiła, że siostry wybuchnęły zgodnym śmiechem.

I wtedy Cecylia znów uległa pokusie rozprawiania o swym szczęściu, opowiedziała, że póki drogi będą nieprzejezdne, pozostaną w Arnas, potem zaś przez jezioro Wetter pojedą do Forsvik, wspomniała o podróży, którą oboje zamierzali odbyć w towarzystwie Eskila, aby odwiedzić norweskich krewnych, i o wielu innych rzeczach, kojarzonych przez Katarzynę ze swobodnym, szczęśliwym życiem poza klasztorem. Cecylia była zbyt przejęta własnym szczęściem, by dostrzec nienawiść i zazdrość w coraz węższych oczach siostry. Gdy ta zapytała, niby mimochodem, czy Cecylia przypadkiem nie gościła się ostatnio ponad miarę, skoro przybyło jej ciała, Cecylia nie umiała powściągnąć swej radości i zdradziła sekret niewielkiego przecież grzechu, bo za cenę sześciu marek srebrem, kilku ojczenaszów i zdrowasiek, i być może noszenia włosiennicy przez jakiś czas, tygodnia o chlebie i wodzie albo innej pokuty. Cecylia przyznała się do brzemienności. A skoro rozmowa przybrała taki obrót, nie potrafiła się dłużej powstrzymać, musiała się podzielić i strachem przed porodem, i szczęściem.

Katarzyna przestała słuchać dziecinnej jej zdaniem paplaniny młodszej siostry. Obmyśliła już, jak tę okoliczność wykorzystać dla uratowania samej siebie.

Gdy wreszcie nadszedł czas rozstania, czule uściskała Cecylię, kazała mieć wzgląd na oczekiwane dzieciątko i w jej imieniu serdecznie życzyć szczęścia Arnowi.

Ledwo za Cecylią, która jeszcze bardziej rozsierdziła Katarzynę tym, że na odchodnym westchnęła z ulgą, zamknęła się klasztorna furta, a już Katarzyna, z determinacją osoby umiejącej chłodno kalkulować, pospieszyła do matki przełożonej, aby czym prędzej wszystko odmienić.

Gudhem był młodszy klasztor, założony niedawno dzięki donacjom króla Sverkerssona, który obdarzył też ziemią żeński klasztor Vreta we Wschodniej Gocji. Nikt zresztą nie miał całkowitej pewności co do tego, jak Erykidzi odnosili się do klasztoru ustanowionego z woli Karola Sverkerssona i jego rodu. Wszakże ksieni z Gudhem, matka Rycheza, która pochodziła ze Sverkerowego rodu i była bliską krewną zamordowanego nieco wcześniej króla Karola, dała wyraz wielkiemu zaniepokojeniu losem Gudhem, jako że trzeba by pewno przenieść klasztor albo zamknąć go. Jeżeli, jak wszyscy przewidują, królem zostanie Knut Eriksson, to dawanie posłuchu Sverkerydom z Zachodniej Gocji straci sens i nie warto też będzie pozostawać w klasztorze, który powstał dzięki komuś z ich rodu. Wiadomo wszak powszechnie, iż w swoim czasie Eryk Jedvardsson sięgał swymi pazernymi rękami po Varnhem.

Matka Rycheza była szorstką w obejściu niewiastą, przez niektóre zakonnice uważaną wręcz za niebezpieczną, i młodym nowicjuszkom bywało ciężko mieć z nią do czynienia. Ale jako bliska krewna króla doskonale pojmowała wszystko to, co wiązało się ze sprawowaniem świeckiej władzy.

I oto gdy przybyła Katarzyna, aby niespodziewanie wyświadczyć się z dawnego grzechu, który pominęła milczeniem we wcześniejszych spowiedziach, a szło o cielesne obcowanie z młodym Arnem Magnussonem, ksieni powinna by okazać wielką surowość z powodu tak długiego milczenia. Mało tego: spuściwszy wzrok i udając ocieranie łzy, Katarzyna wyznała, że jej grzech stał się jeszcze gorszym przewinieniem, ponieważ Arn uwiódł nie tylko ją, słodkim głosem obiecawszy ślub, lecz także jej siostrę, Cecylię, teraz w stanie błogosławionym.

Matka Rycheza natychmiast dostrzegła tu wielką szansę. Zapewne dostrzegła ją też Katarzyna, bo ośmieliła się dodać, że uwodziciela Arna połą-

czyła serdeczna przyjaźń z Knutem Erikssonem, tak więc można by bardzo dokuczyć nieprzyjacielowi, jeśliby się udało uzyskać obłożenie Arna Magnus-sona ekskomuniką.

Usłyszawszy te słowa, matka Ryczeza doszła do wniosku, że znalazła w Katarzynie osobę ulepioną z tej samej gliny, a przynajmniej podobnie myślącą o tej wielkiej sprawie. Wyzaczyła Katarzynie bardzo łagodną karę za nierzetelną spowiedź i późne wyznanie winy, mianowicie tydzień odosobnienia, milczenie w tym czasie i życie o chlebie i wodzie oraz zwyczajowe modlitwy. Katarzyna okazała pokorę, w podzięcie ucałowała dłoń matki Ryczezy, głośno wyraziła wdzięczność Najświętszej Paniency za łagodność, jakiej zaznała, i odeszła z dostreżonym przez ksienię uśmiechem osoby zadowolonej z siebie.

Po chwili jednak matka Ryczeza energicznym krokiem i stukając obcasami, którego to dźwięku nowicjuszek z Gudhem bały się najbardziej, ruszyła w kierunku skryptorium, aby zająć się tym, co należało wykonać jak najszybciej.

Do Bolesława wystosowała prośbę o interwencję u arcybiskupa w Ostra Aros, a biskupa Skary, Bengta, pouczyła listownie, że powinien doprowadzić do owej ekskomuniki czym prędzej, zanim przewina, uchowaj Boże, zostanie pobłogosławiona przez któregoś z diecezjalnych sług Pana udzieleniem ślubu grzesznikom. Ksieni wyraziła też nadzieję, iż biskup Bengt stanie po jej stronie, skoro podzielił wcześniej jej zaniepokojenie z tego powodu, iż mogłaby się skończyć hojność na rzecz Kościoła i jego najgorliwszych sług. Wszak on sam miał wielki dług wdzięczności wobec Sverkerydów.

I rychło spełniło się wspólne życzenie Katarzyny oraz matki Ryczezy, chociaż w skrytości ducha powodowały się one zgoła odmiennymi pobudkami. Dwa tygodnie później, w czasie mszy odprawianej w katedrze, biskup Skary, Bengt, ogłosił, iż Cecylia Algotsdotter i Arn Magnusson zostali ekskomunikowani. Od tej pory żadnemu z zachodniogockich duchownych nie wolno było ani wobec niej, ani wobec niego wykonywać czynności tyczących się istnienia chrześcijańskiej wspólnoty. Jako jedyne miejsce schronienia, do którego mogli się udać, wskazany został klasztor.

\* \* \*

Arn i Cecylia znów pojechali razem do klasztoru Gudhem, ale była to przykra podróż. W drodze mieli eskortę, gdyż Magnus przysłał drużynę, której

surowo przykazał, by demonstrowała barwy i proporce Folkungów. Nie chciał on dopuścić do tego, żeby jego syn udawał się do miejsca odosobnienia, na pokutę, w hańbie i po kryjomu.

W czasie podróży Arn i Cecylia nie mieli sobie wiele do powiedzenia, bo przecież wszystkie możliwe słowa padły już niejednym razem. Cecylia nie potrafiła wybaczyć Arnowi, choć powtarzał wciąż, iż wtedy, gdy odwiedziła go Katarzyna, był tak odurzony piwem, że niezbyt dobrze zapamiętał, co się stało. Na to usłyszał, że nie ujawnił Cecylii tamtego zdarzenia i że została nieświadomie narażona na grzech, którego mogłaby uniknąć, jeśli by wiedziała o wszystkim. Arn próbował się bronić, ale nie był przekonujący, bo wyznał, iż z osobą najdroższą na świecie niełatwo byłoby mu rozmawiać o grzechu, którego dopuścił się z jej siostrą, a poza tym nie wiedział ponoć, że jego czyn został potępiony przez prawo. Temu ostatniemu wyznaniu Cecylia dała wiarę, choć niezajomość prawa obowiązującego chrześcijan wydała jej się czymś dziwnym u kogoś takiego jak on. Razem rozważali wszystko na wszelkie możliwe sposoby, aż wreszcie zaczęli szukać wyjścia ze swej sytuacji. Tak jak ją rozumiał Arn, zakończenie pokuty i przekazanie relacji o niej do Rzymu mogło nastąpić nieprędko, być może potrzeba będzie roku, albo i dłuższego czasu. Cecylia widziała przyszłość w ciemniejszych barwach.

W chwili rozstania pod murami Gudhem przysiągł Arn wobec Boga, iż kiedyś powróci po Cecylię, aby ją bardziej przekonać, przysiągł to na swój miecz, co jej wydało się po prostu dziecinadą. Arn powtarzał jednak żarliwie, że Cecylia powinna mu uwierzyć i nigdy nie utracić tej wiary, gdyż póki sam żyć będzie, poty wytrwa w oczekiwaniu chwili ponownego połączenia z nią, błagał ją też o to, by nie składała potrójnych ślubów zakonnych, ponieważ nie można się z nich wycofać. Niech już raczej stale żyje w nowicjacie, choć nowicjuszkom, podobnie jak braciom-laikom, żyje się gorzej w zakonie niż tym, co złożą śluby. Te słowa przyjęła Cecylia w milczeniu, a potem oderwała się od niego i odbiegła w stronę furty, przy której z drwiącym i surowym wyrazem twarzy czekała na nią matka Rycycheza. Gdy dębowa futra z żelaznymi okuciami zamknęła się za Cecylią, poczuł Arn tak wielki żal, że wydało mu się, iż wyzionie ducha. Padł na kolana i długo się modlił. Zbrojni czekali nieco dalej - cierpliwie i bez słowa. Ich samych przepelniało współczucie dla niego, dla Folkungów, i ubolewanie z tego powodu, że Arna, Cecylię i cały ród Erykowy ominęła radość. Do Sverkerydów, którzy, jak było powszechnie wiadomo, stali za ostatnimi wydarzeniami, żywiła ta drużyna nienawiść.



W towarzystwie swoich ludzi z Arnas pokonał Arn niewielki odcinek drogi. Zatrzymał się i zbroję Folkungów zamienił na zwyczajny szary samodział z czerwoną lamówką, czyli na taki świecki strój, jaki wdział niespełna rok wcześniej, gdy odjeżdżał z klasztoru Varnhem. Chciano wtedy, by choć trochę poznał ten gorszy świat. I poznał go nieźle przez rok, który właśnie mijał, tyle że akurat w tym momencie doszedł do wniosku, iż uczył się przeważnie złych rzeczy.

Arn postanowił sobie od razu, że pojedzie samopas do Varnhem, i to wschodnim brzegiem jeziora Hornborga, potem zaś przez lasy porastające górę Billingen. Członkowie drużyny stanowczo odradzali, wspominali o niespokojnych czasach i o tym, że nikt nie wie, co może czyhać na człowieka w lasach. Arn odpowiedział im chłodno, wyjaśniając, iż bynajmniej nie zamierzał pozbywać się miecza, i polecił opiece Pana zbójców czy inną hałastrę, która spróbowałaby napaść na niego w takim stanie ducha. Po tych słowach, nie wdając się w dalszą dyskusję, obrócił Chimala i odjechał. Wszyscy zbrojni z jego eskorty wiedzieli, że żaden z nich nie zdołałby doścignąć ogiera, który teraz pędził przed siebie, i nie pozostawało im nic innego, jak ruszyć w smętnym nastroju z powrotem do Arnas, nie mając wśród siebie człowieka, za którego, jak się zaklinali, w razie potrzeby gotowi byli oddać życie.

Arn jechał długo po błocie i podmokłym gruncie, przez obszar pozbawiony ludzkich siedzib, i ta trudna jazda tak go opóźniała, że dopiero o zmroku dotarł do stoków góry Billingen. Wiedział, iż mógł po prostu jechać dalej na północ, a wkrótce natknąłby się na ziemie należące do Varnhem, gdzie rozpoznałby drogę albo zasięgnął języka. Ale nocna jazda w górzystym terenie byłaby szaleństwem, tym bardziej, że niebo spowiły chmury i ani gwiazdy, ani księżyc nie oświetlały drogi. Apatycznie jechał więc dalej, póki widział, w którą stronę należało kierować Chimala, niebawem czekało go jednak przygotowanie noclegu. Zapowiadało się na zimną noc, bo Arn nie miał ze sobą owczych skór, a tylko cienki płaszcz, ale potraktował to jako niewiele znaczący początek spodziewanej pokuty i przykrych prób życiowych. Gotów był wiele przewyciężyć, byleby skrócić czas kary i z Bożą pomocą dotrzymać świętej przysięgi i zabrać Cecylię z Gudhem.

O zmierzchu wypatrzył Arn niewielki szałas z ogniskiem w środku, obok zaś na poły zniszczoną oborę, w której ryknęła wystraszona krowa, kiedy się zbliżył. Domyślił się, że mieszkali w owym szałasie wyzwoleni albo zbiegli

niewolnicy, wolał jednak przespać się właśnie tam, a nie w lesie na gołej ziemi.

Śmiało wszedł do szałas, żeby poprosić o nocleg. Nie bał się teraz niczego, bo nie potrafił sobie wyobrazić żadnej gorszej rzeczy niż to, co go już spotkało, a miał też srebro, którym mógł po chrześcijańsku i honorowo zapłacić, nie musiał więc wymuszać gościny groźbą użycia miecza.

Przestraszył się jednak trochę na widok garbatej staruchy, która mieszała w kotle postawionym na palenisku. Swym skrzekliwym głosem powitała go drwiną, zgoła nieprzyjemnie, i wypowiedziała coś, czego Arn nie zrozumiał, a mianowicie stwierdziła, że tacy ludzie jak on powinni bać się ciemności, tacy zaś jak ona są mu przychylni.

Arn odpowiedział spokojnie, wyjaśniając, że zależało mu tylko na noclegu, by nie narazić konia dalszą jazdą stokami i po ciemku, dodał też, iż dobrze zapłaciłby za przysługę. Nie usłyszawszy niczego z jej strony, wyszedł z szałas, rozsiedział Chimala i umieścił go w oborze, gdzie pozostawała tylko jedna chuda krowa. Gdy wrócił do szałas, odpiął miecz i rzucił go na wolną pryczę, dając do zrozumienia, że na niej będzie chciał się przespać, potem zaś ustawił przy ogniu stółek o trzech nogach i usiadł na nim, żeby ogrzać sobie ręce.

Starucha zerkała nieufnie przez dłuższą chwilę na Arna, nim zapytała, czy jest jednym z tych, co mają prawo nosić miecz, czy też nosi go, choć mu on nie przysługuje. Arn odparł, iż można by mieć różne zdania w tej kwestii i zapewnił, że tak czy inaczej ona nie musi się tego miecza obawiać. Jakby dla uspokojenia staruchy wyciągnął skórzaną sakiewkę, którą na pożegnanie podarował mu Eskil, i wyjął z niej dwie srebrne monety, po czym ułożył obie przy ogniu, aby oświetlił je żar. Starucha sięgnęła po nie od razu i ugryzła te monety na próbę, czego Arn nie potrafił pojąć, bo nie mieściło mu się w głowie, żeby ktoś mógł wątpić w szczerść jego słów i zamiarów. To, co starucha rozpoznała swymi niewidoma zębami, zadowoliło ją chyba, gdyż zapytała, czy - tak jak wszyscy inni - przybył po to, aby się dowiedzieć, co go czekało w życiu. Arn odrzekł, iż cała przyszłość jest w rękach Boga i nikt prócz Niego nie może jej przepowiedzieć. Te słowa skwitowała starucha głośnym śmiechem, ukazawszy na poły bezzębne usta z czarnymi kłami. Przez chwilę mieszała w milczeniu w swoim garnku, po czym spytała, czy zjadłby trochę zupy. Arn zaprzeczył, zresztą postąpiłby tak samo i wtedy, gdyby miał wziąć udział w uczcie u króla. Był już duchowo przygotowany na długie egzystowanie o chlebie i wodzie.

- Pośród wszystkiego, z czym się zetkniesz, widzę trzy rzeczy, chłopcze - odezwała się nagle starucha, jakby mimo nikłego zainteresowania Arna to, co chciała widzieć, wydobywało się jednak na zewnątrz. - Dostrzegam dwie tarcze, czy jesteś ciekaw tego, co widzę? - mówiła dalej, zamknawszy oczy, jak gdyby zamierzała wyraźniej zobaczyć własne wnętrze. Ciekawość Arna została już rozbudzona i pewno również to zauważyła starucha spoza zaciśniętych powiek.

- Jakież tarcze dostrzegasz? - zapytał Arn, przekonany, że usłyszy coś głupiego.

- Jedna ma trzy złote korony na tle nieba, a na tamtej widać lwa - odpowiedziała starucha innym już, śpiewnym tonem, ale nadal z zamkniętymi oczami.

Arn zaniemówił. Nie potrafił pojąć, jakim sposobem samotna niewiasta w podeszłym wieku, gdzieś daleko, na nieuprawianej ziemi, mogła cokolwiek wiedzieć o takich rzeczach, i był pewien, że nie znała też bynajmniej jego tożsamości i nie domyśliłaby się niczego, patrząc na jego odzienie. I przypomniała mu się pewna, przyjęta przez niego obojętnie, historia, którą Knut Eriksson opowiedział o swoim ojcu, Eryku Jedvardssonie, a chodziło o to, że w czasie krucjaty wywróżył mu ktoś trzy korony. Zdarzyło się to jednak daleko, bo po tamtej stronie Wschodniego Morza.

- Cóż jest tą trzecią rzeczą, którą widzisz? - zapytał ostrożnie.

- Widzę krzyż i słyszę słowa stosowne na ów krzyż, a brzmią te słowa: „Pod tym znakiem zwyciężysz” - mówiła dalej swym śpiewnym głosem, z obojętnym wyrazem twarzy i zamkniętymi wciąż oczami.

Arn pomyślał w pierwszej chwili, że dzięki lepszemu wzrokowi, niż przypuszczał, starucha odczytała łacińską inskrypcję na rękojeści miecza.

- Czy idzie ci o słowa: *In hoc signo vincesi* - zapytał dla sprawdzenia jej. Ale starucha pokręciła tylko głową, jakby owa łacińska inskrypcja nic jej nie mówiła.

- Czy pośród rzeczy, których mogę się spodziewać, dostrzegasz jakąś niewiastę? - spytał z niejaką trwogą, dość wyraźnie rozpoznawalną w jego głosie.

- Dostanie ci się twoja niewiasta! - zaskoczyła go starucha, zaraz też otworzyła oczy i wpatrzyła się w niego dzikim wzrokiem. - Wszelako nic nie potoczy się tak, jak sądzisz, nic!

Chrypliwy śmiech kraczącej wiedzy świadczył o nagłej zmianie jej nastroju. Arn nie wydobył więc z niej już ani jednego rozumnego słowa. Rychło zre-

zygnował ze swych indagacji i ułożył się do snu tam, gdzie rzucił miecz. Otulił się płaszczem i odwrócił do ściany, zamknął oczy, ale nie mógł zasnąć. Przez dłuższą chwilę rozważał na wszelkie sposoby słowa usłyszane od tej starszej niewiasty, po czym doszedł do wniosku, że powiedziała niewiele, tyle że mówiła prawdę. Musiał przyznać, iż, o dziwo, rozpoznała w nim kogoś związanego urodzeniem z Folkungami oraz z rodem Erykowym. Nie usłyszał wszakże niczego, co mógłby uznać za nowe dla siebie. Tak jak liczył, miał zdobyć Cecylię, i to go pocieszało. Ale słowa o tym, że nic nie potoczy się po jego myśli, zdawały się sprzeczne z tamtą zapowiedzią. Arn w końcu jednak zasnął.

Gdy się o świcie obudził, staruchy nie było, a Chimal stał na swoim miejscu w niewielkiej oborze i zarżał na powitanie, jak gdyby nic się nie działo.

Już po południu wjechał Arn do klasztoru w Varnhem i uderzyły go znajome zapachy - a to z ogrodów, a to z kuchennych budynków, nad którymi miał pieczę brat Roger. Choć spodziewano się Arna, jego przybycie wywołało pewne poruszenie, bo oto wybiegli mu na spotkanie dwaj bracia, z których jeden odprowadził Chimala, drugi zaś bez słowa zabrał Arna do łodzi i gestem wskazał na jego odzienie. Gdy Arn nie zrozumiał, ów brat wyjaśnił z irytacją, że do osoby ekskomunikowanej nie wolno się odzywać, póki choć trochę się nie obmyje, i zapowiedział, że Arn otrzyma potem odzienie stosowne dla brata-laika.

Długo i starannie doprowadzał się Arn do porządku, a obciął też sobie swe długie włosy, odmawiając przy tym właściwe modlitwy. W stroju brata-laika, który wydał mu się dziwnie znajomy, trafił Arn później do ojca Henri, który był w swoim ulubionym miejscu, na krużganku. Przeor przyjrzał mu się wzrokiem bardzo surowym, ale też świadczącym o miłości. Z głębokim westchnieniem założył on stulę i dał Arnowi znak, że trzeba się przygotować do spowiedzi. Arn padł na kolana i pomodlił się do świętego Bernarda o siły i szczerość podczas tej spowiedzi, która nie zapowiadała się na łatwą.

\*\*\*

Król Knut Eriksson przybył z całym orszakiem i z Birgerem Brosą do Arnas, pojawiło się tedy wielu mężczyzn, którym należało zapewnić dobre kwatery, a to musiało potrwać. Oczekiwano ich jednak, poza tym w najbliższej wsi obiecano godne przyjęcie sporej liczby głodnych i zmęczonych ludzi.

Birgerowi Brosie zależało na jak najszybszym odbyciu rady bez raczenia się wcześniej piwem i bezmyślnego przesiadywania z pełnymi brzuchami, gdy

trzeba było rozmawiać o sprawach wielkiej wagi. Mimo obecności króla Knuta wkrótce bardziej liczyło się życzenie Birgera Brosy, tak więc ci, których owe sprawy obchodziły, zebrali się w głównej izbie wielkiego domu, wypiwszy niewiele piwa.

Wpierw poproszono Boga o pobłogosławienie spotkania, o to, by nie padały słowa głupie, lecz roztropne. Zabrzmiała ta modlitwa tak, iż wydała się nieporadną i nieomal prostacką, i w całej izbie nagle, niczym powiew wiatru, odczuto brak Arna. Zresztą to, co jego dotyczyło, było tylko jedną z wielu spraw, co do których należało się porozumieć.

Gdy obecni się uspokoili i można było rozpocząć obrady, głos zabrał Birger Brosa i stwierdził, że w pierwszej kolejności trzeba by mówić o zgromadzeniu szlachty zachodniogockiej, wiele wszak zależało od jak najrychlejszego uzyskania drugiej królewskiej korony przez Knuta. Nikt się nie sprzeciwił. Dlatego też przez dłuższą chwilę rozważano sposób rozesłania wici i takiego rozpowszechnienia wiadomości o tym, że odbędzie się *ting*, by była przyjmowana jak najlepiej i docierała możliwie szybko. Ale że nie padły żadne słowa, które wносиłyby coś nowego czy nieznanego, to i rychło kwestia została wyczerpana.

Zdaniem Birgera Brosy, należało z kolei porozmawiać o tym, co powinien by Knut uczynić po swym wyborze na króla, żeby rzeczywiście uwolnić Folkungów od hańby, jaka spadła na nich przez ekskomunikowanie kogoś z ich rodu. Birger Brosa wspomniał, iż sam Knut musiałby się wypowiedzieć w pewnej kwestii, która miała związek z owym aktem.

Knut Eriksson zapewnił na początek, że - wszak wszyscy to wiedzieli - miał w Arnie najlepszego przyjaciela, a ponadto wielce mu się ten przyjaciel przysłużył, za co należało się odwdziaczyć, i dodał, że do wszelkich dobrych uczynków, na jakie wobec siebie nawzajem stać by było Erykidów i Folkungów, trzeba przywiązywać największą wagę. Wypowiedziawszy to i jeszcze więcej w podobnym duchu, przystąpił Knut do rzeczy.

Stwierdził, iż wedle jego rozumienia decyzję o ekskomunice, podjętą przez biskupa Skary, Bengta, mógłby bez trudu anulować arcybiskup. Tyle, że ten niestety udał się w nieznanym kierunku. Z całą pewnością nie przebywał w Linköping, zresztą źle by było, gdyby chciał przeczekać zamęt wśród zwolenników Sverkerowego rodu, i nie przebywał też w kraju Swe-wów. Szpiedzy Knuta zauważyliby to, bo przecież arcybiskupowi nie tak łatwo się skryć.

Ale cóż, duchowni bywają ludźmi gruboskórnymi. Gdyby więc nawet udało się wytropić arcybiskupa, trudno było przewidzieć, jak się zachowa, gdy król zażądał podjęcia decyzji w kwestii, którą Kościół zastrzega dla siebie. Co oczywiste, kler nie ugnie się wobec żadnej groźby. Duchowni są zachłanni, zależy im na majątkach ziemskich i pragną nowych donacji, a to czyni ich czasem ustępliwymi w negocjacjach. Więcej wszakże nie sposób powiedzieć, dopóki dwakroć nie zbierze się *ting*. Knut stwierdził, iż najpierwej musi również w Zachodniej Gocji nastąpić jego wybór na króla, tak jak powiedział jego drogi krewny i roztropny doradca, Birger Brosa. Dopiero wtedy będzie można z pozycji siły pertraktować z arcybiskupem. Co więcej, zanim jeszcze pozna się pogląd owego księcia Kościoła na sprawę, trzeba wypłoszyć go z kryjówki.

Magnus przytaknął smętnie i potwierdził, że istotnie dalsza rozmowa na ten temat byłaby bezużyteczna. Wyraził jednak chęć poruszenia kolejnej kwestii wielkiej wagi. Powiedział mianowicie, że zwykłemu chrześcijaninowi bardzo trudno zrozumieć cele Kościoła i sposób przekazywania do Rzymu relacji o tym, jak są osiągane. Wiadomo tylko, że na przewyciężenie wszelkich trudności potrzeba czasu. Trzeba zatem już teraz pomyśleć o dziecku Arna i Cecylii. Jak powiadają niewiasty, Cecylia wyda na świat Arnowego syna, kiedy minie pierwsza połowa zimy. I można mieć pewność, że związana ze Sverke-rydami baba, która rządzi w Gudhem, postara się wyrzucić owo dzieciątko, skoro tylko będzie mogła to uczynić. Jak postąpić w takim przypadku?

Najpierw odpowiedział Knut Eriksson, który zapewnił, że jeśli rychło zostanie wybrany królem Zachodniej Gocji, to nie bez satysfakcji zmierzy się z tamtą sverkerydzką babą z Gudhem. Musi ona zrozumieć, że straciła pewny grunt pod nogami, a to powinno ją uczynić ustępliwą, gdy dojdzie do rokowań.

Birger Brosa zganił ten sposób myślenia i poradził Knutowi, by się dobrze zastanowił, zanim zwróci przeciwko sobie Kościół, tak jak to kiedyś uczynił jego ojciec. Lepiej kusić niż grozić. Zresztą żadne dziecko z nieprawego łoża nie mogłoby pozostawać w murach klasztoru. Kto by tego oczekiwał, żądałby zbyt wiele, a nikomu nie posłużyłyby złośliwe komentarze w przypadku takiego żądania. Trzeba więc wprost zapytać: kto zajmie się synem Arna Magnussona? I jeszcze jedno: czy nieślubny syn stanie się pełnoprawnym dzieckiem, jeżeli rodzice pobiorą się później?

Eskil oświadczył, że potrafi odpowiedzieć na oba pytania. Nie byłoby dobrze, gdyby dziecię Arna i Cecylii - syn czy nie syn (Eskil nie rozumie, jakim

sposobem wszyscy są tacy pewni płci) - trafiło do domu Algota Palssona. Ponoć wyrzekął on już na to, że zamiast zięcia będzie miał w domu bękarta. Takie słowa nie świadczą o życzliwości. Dziecko musi więc się chować pod opieką Folkungów.

Na drugie pytanie - o prawowitość nieślubnych dzieci - łatwo odpowiedzieć. Jeśli się uda uzyskać zdjęcie klątwy i, tak jak zamierzano, napić się piwa na weselu Arna i Cecylii, to wszystko znów ułoży się pomyślnie.

I wtedy odezwał się refleksyjnym tonem Birger Brosa, który stwierdził, że skoro sam ma bardzo małe dzieci pod opieką matki i dwóch mamek, to jego zdaniem byłoby najlepiej, gdyby tamten chłopiec trafił do Bjalbo. Nikt nie wyraził sprzeciwu.

Ostatnia kwestia do omówienia była mniej istotna, ale kłopotliwa. Algot Palsson wyrzekął nie tylko na pojawienie się bękarta, prócz tego głośno, z gorącą mową, że zięć z Arnas wydawał się dobrą partią, a tymczasem widać, iż sprawa spelzła na niczym. Algot nie był zapewne groźnym przeciwnikiem i powinien się strzec zbrojnego wystąpienia przeciw Folkungom. Żle jednak czynił, utyskując w taki sposób wobec innych ludzi.

Magnus stwierdził z niejakim smutkiem, że właściwie idzie tylko o to, iż relacje duchownych i wszelkie inne dokumenty nieprędko trafiają do Rzymu. Gdyby potrzeba było niewiele czasu, wszystko odbyłoby się tak, jak pierwotnie planowano, i tyle. Gorzej będzie jednak, jeżeli sprawa przeciągnie się na kilka lat, co ponoć się zdarza. W tym przypadku - oświadczył Magnus — wypadnie ubić taki sam interes, lecz panną młodą będzie Katarzyna, jej małżonkiem zaś - Eskil. Wszak Katarzyna została niedawno wypuszczona z klasztoru Gudhem.

Choć nietrudno było zrozumieć intencję Magnusa, przy stole zapanowało jeszcze większe przygnębienie. Wszyscy wiedzieli, że właśnie Katarzyna przyczyniła się do tarapatów, w jakie popadli nie tylko Arn i Cecylia, lecz także cały ród Folkungów. Jak z westchnieniem stwierdził Eskil, ciężko było się pogodzić z tak wysoką nagrodą dla Katarzyny za jej knowania.

Na te słowa odpowiedział Birger Brosa, który uznał pomysł Magnusa jednak za roztropny i zwrócił Eskilowi uwagę na to, że powinien on mieć świadomość, iż mowa tu tylko o interesie, a nie o uczuciach. Jeśli więc Arn nie odzyska swobody, to wypadnie Eskilowi przygotować się do dzielenia łoża małżeńskiego z niewiastą, od której niełatwo byłoby odwrócić się plecami, bo mogłaby w nie wbić sztylet.

I na tym stanęło. Przy tamtym stole największą wagę przywiązywano do interesów i walki o władzę, nie zaś do miłos'ci.

\* \* \*

Wyraz twarzy ojca Henri, gdy wysłuchiwał spowiedzi Arna, nie świadczył bynajmniej o zamiarze udzielenia absencji. Zresztą Arn jej nie oczekiwał, jako że, po pierwsze, dotknęła go ekskomunika, a po drugie, nawet przeor, nawet ojciec Henri nie mógł jej anulować. Bardzo zwięźle wyjaśnił on Arnowi istotę jego grzechu, po czym odesłał go do celi, w której należało rozmyślać o chlebie i wodzie, a także czekać na to wszystko, czego można było się spodziewać.

Arn zdążył popełnić trzy ciężkie grzechy, kiedy przebywał w gorszym świecie zewnętrznym. Zabił dwóch pijanych wieśniaków, a ponadto, sam pijany, obcował cielesnie z Katarzyną oraz Cecylią.

Spośród owych trzech grzechów dwa pierwsze były wybacalne, i odpuszczenie ich uzyskał Arn tak łatwo, że się zdziwił. Trzeci zaś, grzech cielesnego obcowania z Cecylią, którą pokochał i z którą chciał już na zawsze pozostać w małżeństwie, okazał się grzechem tak ciężkim, iż spotkała go ekskomunika i także Cecylię na nią naraził. Niełatwo to było zrozumieć. Zabicie dwóch mężczyzn to nic, cielesne obcowanie z kobietą obojętną to nic, ale także obcowanie z kobietą umiłowaną ponad wszystko inne na świecie, darzoną miłością, o jakiej mówi Pismo Święte, jest grzechem najgorszym.

Z archiwum klasztoru w Varnhen otrzymał Arn tekst odpowiedniego przepisu prawnego - jednoznaczny i bezlitosny. Zapewne przechowywano w archiwum tylko takie przepisy prawne, do których przyczepił się sam Kościół, niezbyt zainteresowany czymkolwiek innym, choćby pojedynkiem, obmową, karami za wzajemne zabijanie niewolników i wykradanie bydła.

I oto przepis, który naruszył Arn, okazał się takim, o który Kościół walczył i który w końcu przeforsował. W ósmym paragrafie kodeksu małżeńskiego dla Zachodniej Gocji zapisano:

„O tym, że ktoś legł ze swą córką, trzeba przekazać wiadomość do Rzymu. Kazirodczy to fakt, kiedy ojciec i syn posiadają tę samą niewiastę, kiedy dwaj bracia posiadają tę samą niewiastę, kiedy synowie dwóch braci posiadają tę samą niewiastę, kiedy matka i córka posiadają tego samego męża, kiedy dwie siostry posiadają tego samego męża, kiedy córki dwóch sióstr albo córki dwóch braci posiadają tego samego męża”.



Tak zapisano. Posłużono się piękną kaligrafią, spisując tekst łaciński, a tłumaczenie na miejscowy język sporządzono bardziej pochyłym pismem. Arnowi nie było trudno rozpoznać zakaz, od razu sobie przypomniał, z której księgi Mojżeszowej w Piśmie Świętym pochodził.

Wszakże Biblia zawiera zakazy zgoła osobliwe i absurdalne, a oto cała wiedza Arna o właściwym interpretowaniu ich okazała się nieprzydatna. Łatwo mu przyszło zrozumieć, że spółkowanie z córką uznano za kazirodcze. Nie potrafił jednak pojąć, dlaczego tak samo potraktowano to, że jeden raz po pijanemu legł z Katarzyną, a później, okazując miłość, uczynił z Cecylią coś, co tylko cieleśnie, lecz nie duchowo, było takim samym obcowaniem.

Długo rozważał Arn na wszelkie sposoby prawo Boże, lecz do niczego w tym nie doszedł. Swym teologicznym myśleniem wnikał w przepisy zawarte w Starym Testamencie, gdzie znalazł ów zakaz, przeciwko któremu pewno wykroczył, jak też zakaz noszenia w miesiącu żałoby odzieży w niektórych kolorach albo strzyżenia włosów na określoną modłę, lecz jedynym rezultatem owych rozmyślań był wniosek, iż także zakazy umieszczono w zachod-niogockim kodeksie. Dobrze zapamiętał Arn respekt ze strony jego krewnych, gdy sędzia Karle odczytywał przepisy prawa. Możliwości interpretowania ich okazały się tak niewielkie, że nawet ojciec Arna był gotów umrzeć za każde słowo kodeksu.

A więc, według prawa, Arn dopuścił się przestępstwa porównywalnego z kazirodczym posiadaniem własnej córki.

Sądzenie leżało wszakże w gestii świętego Kościoła Bożego. A duchowni do motywów oraz intencji, które kryły się za naruszeniami prawa, podchodzili inaczej niż mieszkańcy Zachodniej Gocji.

Jakkolwiek Arn rozważał tę kwestię, wszystko zależało od decyzji, którą powinien był podjąć ojciec Henri. Tak czy inaczej, wyroku na Arna nie umiał wydać żaden *ting*, on sam prychnął pogardliwie na myśl o tym, jak łatwo by się obronił własnym mieczem albo z pomocą niezliczonych sprzymierzeńców, którzy poprzysięgli wierność Folkungom.

Skoro sędzić Arna miał święty Kościół Boży, można było przynajmniej liczyć na roztropność i wyważenie tego, co dobre, i tego, co złe. I dlatego miotał się Arn między rozpaczą i nadzieją.

Tej ostatniej przybyło, kiedy jeden z braci zabrał go na spotkanie z arcybiskupem Stephane'em. Arn nie wiedział wcale, że arcybiskup przebywał w Varnhem, i w pierwszej chwili pomyślał, iż wezwanie mogło mieć związek

z jego własną sprawą, bo przecież usłyszał kiedyś od arcybiskupa, że w świecie zewnętrznym będzie mieć przyjaciela, który go zawsze wspomże, w osobie samego metropolity.

Z nową nadzieją pośpieszył Arn na krużganek, gdzie na stałym miejscu zastał ojca Henri oraz, ku swej radości, arcybiskupa Stephane'a. Od razu padł na kolana i ucałował dłoń Stephane'a, usiadł zaś dopiero wtedy, gdy mu na to pozwolono.

Nie dostrzegł jednak łagodności w oczach arcybiskupa, który przez dłuższą chwilę przyglądał mu się bez jednego słowa. Wzrok metropolity sprawił, że Arn szybko wyzbył się nadziei.

- Nieźle nadokazywałeś w tamtym gorszym świecie przez krótki czas pobytu w nim - odezwał się wreszcie arcybiskup. Wypowiedział te słowa bardzo surowym tonem, a gdy mówił, ojciec Henri nie patrzył na Arna, lecz oglądał chyba swoje sandały.

- Wiesz doskonale - mówił dalej, nie mniej surowo metropolita - że władza kościelna nie powinna mieć nic wspólnego z władzą świecką. Ty zaś wielce mię zasmuciłeś tym, iż spróbowałeś je skojarzyć. Uczyniłeś to świadomie i wręcz podstępnie.

Arcybiskup zamilkł, jakby oczekując usprawiedliwień i wyjaśnień Arna. Ale on, nastawiwszy się na rozmowę o swym cielesnym grzechu, był teraz całkiem zbity z tropu. Nie zrozumiał, o czym arcybiskup mówił, i przyznał się do tego, przepraszając za swą nieświadomość. Arcybiskup westchnął głęboko, ale na ustach czcigodnego dostojnika dostrzegł Arn dyskretny uśmiech, niejako potwierdzający wiarę metropolity w jego naiwność.

- Nie masz chyba aż tak krótkiej pamięci, iżbyś zapomniał, że niedawno spotkaliśmy się w Ostra Aros? - zapytał arcybiskup tonem na poły łagodnym, na poły surowym.

- Nie, Wasza Dostojność, wszakże nie pojmuję, czym mogłem wówczas zgrzeszyć - odpowiedział niepewnie Arn.

-To zdumiewające! - prychnął metropolita pogardliwie. - Nadciągasz z jakimś tam pretendentem do królewskiej korony, których w tej części świata jest aż nadto. Przyłączasz się do żądania, bym w taki czy inny sposób, i czym prędzej, sprawił, żeby bodaj natychmiast odbyła się jego koronacja. Gdy zaś odrzucasz żądanie z powodów, które pewno znałeś wcześniej, cóż wtedy czynisz? Rozdziewasz mię właściwie i pozostawiasz z gołym zadkiem, oto, co czynisz. A żeś jest jednym z nas i będziesz zawsze jednym z nas, to rzeczywiście długo

zastanawialiśmy się z ojcem Henri, co sobie myślałeś, postępując tak, jak postąpiłeś.

- Niewiele myślałem - przyznał z wahaniem Arn, który już zaczął pojmować, o co chodziło. - Jak słusznie mówi Wasza Dostojność, wiedziałem oczywiście, że na rychłe poparcie ze strony Kościoła nie mógł Knut Eriks-son liczyć. Nie uważałem, iżby taka przysługa Waszej Dostojności dla mojego przyjaciela była czymś niewłaściwym. I tak się też stało.

- Hm, a później, cóż sobie myśleliście, urządzając spektakl, który miał przekonać głupi motłoch, że namaściłem i ukoronowałem tę kanalii?

-Ja sam nie całkiem zrozumiałem *to* wszystko - odpowiedział zawstydzony Arn. - Wcześniej nie rozmawialiśmy o tym, co powinno by się dziać, jeśliby życzenie Knuta Erikssona nie zostało przez Waszą Dostojność spełnione. Jemu wydawało się, że żądał czegoś łatwego do spełnienia. A ja nie potrafiłem mu uświadomić, iż był w błędzie, bo przecież czuł się już królem. I dlatego pomyślałem, że lepiej będzie, jeżeli Wasza Dostojność osobiście wyjaśni mu wszystko, i tak się właśnie stało.

- Tak, tak! - skwitował to arcybiskup i, zniecierpliwiony, machnął ręką.

- Mówiłeś już o tym. Ciekaw jestem jednak, co się działo później, kiedy wskazałem tej kanalii, gdzie jej miejsce!

- Prosił mnie, bym zapytał Waszą Dostojność, czy nie moglibyśmy obaj dostąpić zaszczytu przyjęcia eucharystii od Waszej Dostojności osobiście w czasie mszy, która miała się odbyć następnego dnia. Nie dopatrzyłem się w tym niczego, co mogłoby urazić chrześcijanina. Lecz nie wiedziałem, że...

- A zatem wcześniej nie omawialiście tego i nie wiedziałeś, jaka krotchwila miała wyniknąć! - przerwał mu surowo arcybiskup.

- Nie, Wasza Dostojność, nie wiedziałem - odparł ze wstydem Arn.

- Wszak mój przyjaciel liczył na to, że jego życzeniu rychło stanie się za-dość. A o przyjęciu komunii świętej nie rozmawialiśmy w ogóle.

Obaj starsi mężczyźni wpatrzyli się teraz w Arna, który nie uciekł wzrokiem i nie okazał bynajmniej niepewności, bo przecież wyznał całą prawdę, jakby nadal obowiązywały go zasady spowiedzi.

Ojciec Henri odchrząknął nieznacznie i spojrział na arcybiskupa, który odpowiedział spojrzeniem i pokiwał głową. Arn zrozumiał, że zawczasu wyciągnęli pewne wnioski z tego, o czym dyskutowali. Ale nie pojmował, jakiej kwestii dotyczyły.

- Cóż, mój młody przyjacielu, trzeba powiedzieć, że zdarza ci się być na-  
zbyt dziecinny - stwierdził arcybiskup innym już, o wiele życzliwszym tonem.  
- Zabrałeś ze sobą miecz i wręczyłeś mi go, wiedząc, że nie mogłem nie pobło-  
gosławić tego miecza, a przy tym mieliście na sobie stroje rycerskie. Z jaką in-  
tencją to uczyniłeś?

- Mój miecz został poświęcony i nigdy nie sprzeniewierzyłem się przysię-  
dze, którą nań złożyłem. Odczuwałem dumę, gdy mogłem wręczyć ten kon-  
sekrowany miecz Waszej Dostojności, i liczyłem na to, że również Wasza Do-  
stojność poczuje dumę, wszak poświęcenie dokonało się tu u nas, u cystersów -  
odpowiedział Arn.

- I nie domyślałeś się, jak to wykorzysta twój przyjaciel, ów Knut? - po-  
kręciwszy głową, zdziwił się arcybiskup, na którego ustach pojawił się nikły  
uśmiech.

- Nie, Wasza Dostojność, dopiero później pojąłem...

- Później wynikło z tego widowisko, które oglądano w całym kraju Swe-  
wów! - dopowiedział zgryźliwie arcybiskup. - Rozeszły się słuchy, że ja, z wy-  
sokości mego tronu pobłogosławiłem miecz, którym zamordowano króla Karola  
Sverkerssona, że jakoby udzieliłem błogosławieństwa Knutowi Erikssonowi i  
nieomal bym go namaścił i ukoronował, i od tej pory nie mam jednej spokojnej  
chwili, bo wszystkie królewicze, wszyscy półkrólowie i pretendenci zmówili się,  
żeby mię dopaść! Z czasem opuścę ten kraj, dlatego tu jestem, a nie z twojego  
powodu, choć mogłeś tak pomyśleć. A jednak daję ci wiarę, co się tyczy tam-  
tych wydarzeń w Ostra Aros, i wybaczam ci.

Arn padł na kolana przed arcybiskupem i znów ucałował jego dłoń, dzie-  
kując za pobłażliwość, jakiej doświadczył niezasłużenie, bo przecież głupota  
nie usprawiedliwiała go należycie. Ta krótka chwila sprawiła, że Arn wyobraził  
sobie, iż jest już po wszystkim, iż nie zgrzeszył miłosnym połączeniem się z Ce-  
cylią, lecz tym, że pomógł Knutowi Erikssonowi w podstępny zadrwieniu z  
samego arcybiskupa.

Ale sprawa nie miała jeszcze zakończenia. Gdy Arn, łagodnie upomniany  
przez arcybiskupa, wstał z klęczek i usiadł na swoje miejsce, na wprost dwóch  
starych przyjaciół, wydali oni wyrok na niego.

- Słuchaj teraz uważnie - zaczął metropolita. - Uzyskałeś odpuszczenie  
grzechów, co się tyczy żartu ze swego arcybiskupa. Lecz wykroczyłeś prze-  
ciw prawu Bożemu w ten sposób, iż posiadałeś dwie niewiasty, które są sio-  
strami, a wedle takiego grzechu, czyli kazirodztwa, niełatwo o ułaskawie-

nie. Zwyczajowo należałoby cię skazać na dożywotnią pokutę. Okażemy ci jednak łagodność, albowiem tego, jak sądzimy, chce Pan. Czeka cię pokuta przez połowę żywota, na czas dwudziestu lat, i dotyczy to także twej nałożnicy. Odbędziesz pokutę jako rycerz Świątyni Pańskiej i od tej chwili przysługuje ci imię Arn de Gothia, i żadne inne. Odejdź teraz, abyś rozpoczął pokutę, niechaj Pan kieruje twymi krokami oraz twoim mieczem i niechaj oświeca cię Jego Łaska. I to wszystko! Brat Guilbert udzieli ci bliższych wskazówek. Ja teraz odjeżdżam, lecz spotkamy się w drodze do Rzymu, dokąd ty udasz się najpierwej.

Arn był oszołomiony. Miał wrażenie, że doznał łaski, choć jej nie doznał. Otóż połowa życia była czasem dłuższym niż lata, które dotąd przeżył, i nie potrafił sobie wyobrazić siebie samego jako starego człowieka, w wieku trzydziestu siedmiu lat, kiedy to skończy się pokuta za popełnione grzechy. Bez słowa spojrział na ojca Henri, jakby o coś prosił i jakby trudno mu było odejść, nie usłyszawszy bodaj czegokolwiek z ust przeora.

- Mój drogi Arn, droga do Jerozolimy okazuje się z początku krętą drogą - rzekł spokojnie ojciec Henri. - Tego wszakże chce Bóg, obaj przekonaliśmy się, że tak jest. Idź teraz w pokoju!

Kiedy Arn oddalił się niemal chwiejnym krokiem i ze spuszczoną głową, tamci dwaj jeszcze długo pozostali na miejscu, zajęci coraz bardziej refleksyjną rozmową o woli Bożej. Obaj nie mieli przecież wątpliwości co do tego, iż to Bóg powziął zamiar posłania jeszcze jednego świetnego wojownika do swej świętej armii.

A jeśliby Knut Eriksson został królem nieco wcześniej, Arn zaś i Cecylia uzyskaliby już błogosławieństwo jako zaślubieni sobie? I jeśliby ona, Cecylia, zdaniem innych równie poczciwa i dziecinna jak Arn, nie odwiedziła swej siostry Katarzyny? I jeśliby ksieni Rycheza nie pochodziła ze Sverkerowego rodu i nie użyła swej siły i wielkiej determinacji, aby wywołać te wszystkie tarapaty?

Bez tych i wielu innych zdarzeń w świętej Bożej armii zabrakłoby pewnego wojownika. Wszakże już jeden z filozofów wykazał, iż takie rozumowanie nigdy nie przekonuje. Gdyby nie to czy tamto, arcybiskup przemieniłby się w konia. Jednakowoż Bóg objawił swą wolę jednoznacznie i tej woli trzeba ulec.

\* \* \*

W dniach, które nastąpiły, brat Guilbert, obarczony zadaniem uświadomienia Arnowi, co odtąd i na długo miało stać się dlań istotnym, zachowywał ostrożność w kontaktach z nim. Nie pozwalał, by Arn zaczynał mówić o swej karze i tym wszystkim, co wypadało mu porzucić, a skupił się na konkretnych.

Otóż czekała Arna podróż konno do Rzymu, i to w towarzystwie arcybiskupa Stephane'a, tam jednak mieli się rozstać, jako że arcybiskup musiał to i owo uzgodnić z papieżem Aleksandrem III, natomiast powinien był trafić do największej na świecie twierdzy templariuszy, ich rzymskiego zamku. Nie gdzie indziej, tylko tam, w Rzymie przyjmowano bądź dyskwalifikowano tych wszystkich, którzy pragnęli wstąpić do zakonu. Zapewne niejeden czuł powołanie do bojowania w świętej armii Boga, a niepoślednim motywem była chęć odbycia pokuty za wszelkie grzechy i odejścia do Królestwa Niebieskiego w przypadku śmierci z mieczem w dłoni. Toteż zaledwie jeden na dziesięciu optymistów zostawał przyjęty, gdy sprawdzono jego przydatność.

Dla Arna to sprawdzanie nie powinno było okazać się kłopotliwym. Od przyjmowanych do zakonu wymagano posiadania herbu, co brat Guilbert uważał za niesłuszne, widywał bowiem na polach bitewnych wielu giermków, którzy byliby dobrymi zakonnikami, gdyby ta zasada nie obowiązywała. Ale dla Arna nie stanowiło to problemu, skoro na jego tarczy widniał lew, herb Folkungów. I dwa pozostałe wymagania nie powinny były sprawić żadnych trudności. Brat Guilbert uśmiechał się dyskretnie, gdy rzeczowo wyjaśniał, że wymagano w przybliżeniu jednej czwartej wiedzy o Piśmie Świętym, z zakresu logiki oraz filozofii, którą posiadał Arn. I pewno wystarczyłaby czwarta część Arnowej sprawności w posługiwaniu się bronią. Prócz tego oczywiście przydadzą się listy od skandynawskiego arcybiskupa i ojca Hen-ri. Nie one jednak są najważniejsze, bo z takimi listami polecającymi przybywa niejeden ufny potomek hrabiowskiego rodu z ziem francuskich. Tyle że bez wiedzy, jaką posiadał Arn. Poza tym nikt nie może się przeciwstawić jednoznacznie wyrażonej woli Boga..

Arn dopatrzył się niejakiego okrucieństwa w tym, jak woli Bożej stawało się zadość. Dlaczegoż to musiał popaść w nieszczęście i opuścić umiłowaną Cecylię, aby spełnić Bożą wolę na polu bitwy *d l'oultre-mer*?

Brat Guilbert przyznał, że nie umie odpowiedzieć na to pytanie, i wyraził przypuszczenie, iż kiedyś, być może, Arn znajdzie na nie odpowiedź. I do-

dał, że sam wiedział od lat, że tak właśnie potoczą się losy Arna. Brat Guilbert nie pamiętał, by spotkał wielu, jeśli w ogóle kogokolwiek, kto dorównałby Arnowi zdolnościami, a skoro Bóg obdarzył go tymi rzadkimi talentami, to krył się za tym chyba jakiś pomysł? Nie inaczej miała się rzecz, gdy Bóg posłał ledwie pięcioletniego Arna do Varnhem, aby tam się kształcił we wszystkim, co uczyniło zeń człowieka zasługującego na przyjęcie do zakonu templariuszy, czyż nie tak?

Arn dostrzegał logikę w rozumowaniu brata Guilberta, lecz nie łagodziła ona jego żalu i tęsknoty.

Brat Guilbert pokazał Arnowi sporo nowego ekwipunku na jego miarę, który przygotowywał od dawna. Najważniejsza była kolczuga złożona z co najmniej czterdziestu tysięcy pierścieni w dwóch warstwach przedzielonych filcem, z miękką podszewką wewnątrz. Tę kolczugę można było założyć przez głowę i obejmowała ona ręce aż po przeguby, i sięgała daleko poza kolana, a przecież okazywała się lżejsza niż kolczugi skandynawskie. Uzupełniały ją plu-dry dla ochrony nóg, także stóp. Tak odziany rycerz był osłonięty od stóp do głów, a tego przecież wymagał nowy sposób prowadzenia wojen. Na koniec pokazał brat Guilbert czarną kataną z białym krzyżem na cały tors. Te kościelne barwy winien był Arn nosić jako rycerz w eskorcie arcybiskupa podczas podróży do Rzymu. Ów strój był także strojem giermków w zakonie templariuszy, tak więc, przybywając do ich rzymskiej twierdzy, okazałby się niejako wyekwi-powany, zresztą arcybiskup wyraził zgodę na to, by Arn nosił ten strój stale w czasie podróży.

Arn przymierzał to wszystko z dumą i respektem, lecz nie było w jego oczach radości. I brat Guilbert nie liczył na nią. Wszakże na czas odjazdu Arna, który miał nastąpić dwa dni później, przygotował szczególną niespodziankę gwoli, jak sądził, poprawienia nastroju tego młodego ucznia.

Chcąc pocieszyć Arna, brat Guilbert otoczył go ramieniem i odszedł z nim, jakby szło o krótką rozmowę bez konkretnego celu, ku najdalszej zagrodzie dla koni. Gdy tam dotarli, zakonnik wskazał coś bez słowa. Arn zobaczył swego ulubionego ogiera, Chamsiina.

I zaniemówił w pierwszej chwili. A potem zawołał i koń zaraz nadstawił uszu i zwrócił łeb w jego stronę. W następnym momencie potężny ogier pogalopował najszybciej, jak potrafił, i stanął dęba przy ogrodzeniu, naprzeciw Arna i brata Guilberta, wykonał kilka obrotów, jeszcze raz stanął dęba i zarżał, jakby się żałośnie skarżył albo witał drogiego przyjaciela.

Arn przeskoczył przez płot, pogłaskał Chamsiina po szyi i obsypał go pocałunkami.

- Teraz należy on do ciebie - powiedział brat Guilbert. - Jest to nasz pożegnalny prezent dla ciebie, Arnie de Gothia. Otóż jako templariusz przekonałem się, że podczas świętej wojny najważniejszym uczuciem jest ufność pokładana w Bogu. Liczy się też wprawa i pokora. A zaraz po nich dobra broń i taki koń jak Chamsiin.

Gdy Arn w swym czarnym stroju z białym krzyżem dosiadł Chamsiina, aby rozpocząć długą podróż, w trakcie której najpierw wypadło mu doścignąć arcybiskupa, na jego twarzy malowała się determinacja i - nie mniej wyraźnie - smutek, który nie opuszczał go, odkąd usłyszał wyrok.

Było już po wszystkich mszach. I padły wszystkie pożegnalne słowa. A jednak ojciec Henri oraz brat Guilbert pozostawali z Arnem, jakby chcieli jeszcze coś powiedzieć. Trudno im się było zdobyć na okazanie chrześcijańskiej godności, bo przecież smutek Arna sprawiał im ból i odczuwali go nie mniej niż on, choć byli przekonani o tym, że oto spełniła się rzeczywiście Boża wola.

- W imię Boże i na pohybel wszystkim Saracenom! - rzekł ojciec Henri z hardością, do której się zmusił.

- W imię Boże i na pohybel wszystkim Saracenom! - odpowiedział Arn, wyjąwszy błogosławiony miecz, który wzniosł ku niebu dla złożenia nowej przysięgi. A potem dał znak Chamsiinowi i ruszył bez pośpiechu.

Ojciec Henri chciał od razu wejść do klasztoru, ale brat Guilbert uniósł palec, dając do zrozumienia, że należałoby trochę poczekać, i wskazał Arna, który się oddalał.

I stali tak, choć ojciec Henri nie rozumiał, dlaczego, a tymczasem brat Guilbert wciąż trzymał wskazujący palec w górze, jakby czegoś oczekiwał.

Nagle zobaczył, że Arn pocwałował najpierw w prawo, potem w lewo, i że zmusił później swego krzepkiego ogiera do ciągłego zmieniania kierunków, co, jak się ojciec Henri zorientował, nie było łatwą sztuką. Ale radości Arna z tego powodu, że potrafił coś takiego wykonać, nie mógł mieć za złe.

- Widzisz to, co ja widzę, drogi ojcze Henri - nieomal nabożnym szeptem powiedział brat Guilbert. - Niechaj Bóg ma Arna w swojej opiece i niech ma też w owej opiece Saracenów, którym zdarzy się spotkać z Arnem.

Te ostatnie słowa wydały się ojcu Henri życzeniem niezrozumiałym i nieomal bluźnierczym. Nie była to jednak pora na przykre komentarze, nie na-



leżało wypowiadać ich tutaj, gdzie stali, będąc świadkami odjazdu najukochańszego syna zakonników z Varnhem, który opuszczał ich na zawsze.

Poza tym ojciec Henri zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że brat Gilbert miał pod pewnymi względami osobliwy pogląd na Saracenów. Liczył jednak na to, iż Arn, niegdyś bez skazy, niczym Perceval, nigdy nie ulegnie podobnej pokusie. Bóg powinien otoczyć opieką wojownika takiego jak Arn.